

Terzani Tiziano

Nic nie zdarza się przypadkiem

Z włoskiego przełożyła

Anna Osmólska-Mętrak

Świat Książki

Tytuł oryginału UN ALTRO GIRO DI GIOSTRA

Konsultacja Joanna Popiołek

Redaktor prowadzący Tomasz Jendryczko

Redakcja Jerzy Lewiński

Redakcja techniczna Lidia Lamparska

Korekta Bożenna Burzyńska

Wszystkie prawa zastrzeżone Longanesi é1 C. © 2004 - Milano Copyright © for the Polish édition by Bertelsmann Media sp. z o.o., Warszawa 2008

Świat Książki Warszawa 2011

Weltbild Polska Sp. z o.o. 02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: Weltbild.pl Skład i łamanie

waglk.

Druk i oprawa Finidr, Słowacja

ISBN 978-83-7799-566-2 Nr 90086489

WYJAZD

Droga bez skrótów

Wiadomo, zdarza się to wielu ludziom, ale nigdy się nie myśli, że może się to przytrafić właśnie nam. Taka też była zawsze moja postawa. Tak więc gdy mnie to dotknęło, byłem jak wszyscy nieprzygotowany. W pierwszej chwili zdawało mi się, iż rzeczywiście dotyczy to kogoś innego.

- Panie Terzani, ma pan raka - powiedział lekarz, ale miałem wrażenie, że nie zwracał się do mnie. Prawdę mówiąc - spostrzegłem to od razu z niejakim zdumieniem - nie rozpaczałem ani się nie przejąłem, jakby w gruncie rzeczy ta sprawa mnie nie dotyczyła.

Być może ta początkowa obojętność była tylko instynktowną formą obrony, sposobem zachowania powściągliwego dystansu, ale pomogła. Umiejętność spojrzenia na siebie z zewnątrz jest zawsze pożyteczna. I można się tego nauczyć.

Spędziłem w szpitalu jeszcze jedną samotną noc. Rozmyślałem. Wyobrażałem sobie tych wszystkich, którzy przede mną, w tych samych pokojach, dostali podobne wiadomości, i towarzystwo to w jakiś sposób dodało mi otuchy. Byłem w Bolonii. Dotarłem tam po pokonaniu kolejnych etapów, z których każdy sam w sobie wydawał się bez znaczenia. Złożyły się one jednak, jak wiele rzeczy w życiu, w pewną logiczną całość: uporczywa biegunka, która zaczęła się w Kalkucie, różne badania w Instytucie Chorób Tropikalnych w Paryżu, inne badania mające wykryć przyczynę niewytłumaczalnej anemii. Aż wreszcie pewien przezorny włoski lekarz, nie zadowolając się najbardziej oczywistymi wyjaśnieniami, postanowił - za pomocą dziwnego przyrządu, gumowego wężyka ze świecącym oczkiem - zajrzeć do najbardziej ukrytych zakamarków mojego ciała i, w oparciu o wieloletnie doświadczenie, natychmiast rozpoznał to, co stanowiło dla niego chleb powszedni.

Byłem mu wdzięczny za fachowość i szczerłość. Dzięki temu mogłem ze spokojem, a teraz także naprawdę rozsądnie, dokonać obrachunków, ustalić priorytety i podjąć konieczne decyzje. Zbliżały się moje pięćdziesiąte dziesięć urodziny i nadszedł czas, żeby spojrzeć za siebie, jak to się robi na szczycie góry, kiedy z satysfakcją oceniamy trasę naszej wspinaczki. Jakie było moje życie do tej pory? Wspaniałe! Jedna przygoda za drugą, wielka miłość, nic, czego trzeba by żałować, i nic ważnego, co pozostałoby jeszcze do zrobienia. Gdybym jako chłopak postawił sobie za cel to, do czego dąży tak wielu, czyli „posadzić drzewo, spłodzić syna i napisać wiersz”, to mniej więcej go osiągnąłem. I to niemal mimochodem, bez wysiłku, a jeszcze po drodze nieźle się przy tym bawiąc.

W ciszy, zakłócanej tylko szumem kół samochodów przejeżdżających po mokrym asfalcie i odgłosem kroków siostr sunących po linoleum korytarza, stanął mi przed oczami obraz, który od tamtej pory mi towarzyszy. Wydawało mi się, że całe moje życie przebiegło jakby na karuzeli: od samego początku przypadł mi w udziale biały koń; to na nim się obracałem i bujałem do woli, i nikt nigdy - wtedy po raz pierwszy zdałem sobie z tego sprawę - nawet nie przyszedł zapytać, czy mam bilet. A tak naprawdę go nie miałem. Całe życie jeździłem na gapę! Teraz jednak przechodził kontroler, płaciłem należność i - jeśli wszystko poszłoby dobrze - może udałoby mi się zrobić... jeszcze jeden obrót na karuzeli. Następnego dnia zaczął się jak każdy inny. Nic wokół mnie się nie zmieniło i nic nie odzwierciedlało wielkiej burzy myśli w mojej głowie. W Porretta Terme, gdzie miałem przesiadkę na pociąg do Pracchi, a stamtąd do Orsigni, przypomniałem sobie nawet, żeby odebrać z pralni bieliznę, którą zostawiłem tam kilka dni wcześniej. Kiedy dotarłem do domu, zaproponowałem czekającej tam na mnie Angeli spacer do lasu. Po prawie czterdziestu latach wspólnego życia zarówno rozmowa, jak i milczenie były dla nas proste. Obiecałem jej, że będę się starał z tego wyjść, i był to - jak sądzę - jedyny moment, kiedy się wzruszyłem.

Chodziło o to, żeby jak najszybciej zdecydować, co robić. Pierwszym instynktownym odruchem była reakcja zranionego zwierzęcia: schronić się w jamie. Nagle mi się wydało, że mam mało sił i że powinienem je maksymalnie zebrać w sobie. Postanowiłem nic nikomu nie mówić - poza dziećmi i

tymi przyjaciółmi, którzy uznaliby za niezrozumiałe moje nagłe zniknięcie. Chciałem wyostrzyć swój umysł, żeby nikt i nic mnie nie rozpraszało.

Przede wszystkim musiałem postanowić, gdzie, a szczególnie -jak się leczyć. Chemioterapia, radioterapia, chirurgia, ze wszystkimi swoimi szkodliwymi - jak się mówi - konsekwencjami, przestały być jedyną możliwością. Dzisiaj, kiedy wszystko podawane jest w wątpliwość, kiedy patrzy się podejrzliwie na to, co oficjalne, kiedy wszelkie autorytety straciły prestiż, a każdy czuje się uprawniony, bez żadnych zahamowań, oceniać wszystko i wszystkich, wręcz coraz modniejsze staje się krytykowanie medycyny klasycznej i wychwalanie metod „alternatywnych”.

Już same nazwy wydają się bardziej pociągające: ajurweda, energoterapia, akupunktura, joga, homeopatia, chińskie zioła, reiki i - czemu nie - uzdrawiacze, czy to filipińscy, czy inni. Są zawsze jakieś pogłoski, jest jakaś osoba, o której ktoś opowiada, jakaś historia, która wydaje się wprost idealna, by w nią uwierzyć i by dawała nadzieję na pomyślny efekt jednej z tych coraz liczniejszych „kuracji”. Nawet przez chwilę nie brałem ich na poważnie.

A przecież wiele z tych praktyk pochodzi z Azji, gdzie spędziłem trzydzieści lat; niektóre mają swoje korzenie w Indiach, gdzie mam dom! Sam w przeszłości nie miałem żadnych zahamowań, żeby się do nich uciekać: w Chinach oddałem mojego syna Folca, wówczas jedenastoletniego, w ręce uzdrowiciela stosującego akupunkturę, który wyleczył go z astmy, a zaledwie rok przed podjęciem decyzji we własnej sprawie zaprowadziłem mojego francuskiego przyjaciela Leopolda do osobistego lekarza dalajlamy, do Instytutu Medyczno-Astrologicznego (tak, to właśnie takie zestawienie) w Dharamsali, żeby zmierzył jego siedemnaście pulsów i przepisał mu na zapalenie wątroby - bardzo skuteczne, jak się zdaje - czarne pigułki, przypominające owcze bobki. Poza tym sam mówiłem i pisałem, że człowiek Zachodu, wkraczając na autostradę nauki, zbyt łatwo zapomni o ścieżkach swej dawnej mądrości i teraz, podbijając ze swoim modelem nowoczesności Azję, ryzykuje, że również tam doprowadzi do zniknięcia ogromnej części wiedzy związanej z miejscowymi tradycjami!

Nie zmieniłem poglądów, ale kiedy chodziło o moje przeżycie, nie zawahałem się nawet przez chwilę; musiałem zawierzyć temu, co było mi bliższe: nauce, zachodniemu rozumowi. Nie była to tylko kwestia czasu, a w tych przypadkach nie ma go zbyt wiele do stracenia, biorąc pod uwagę fakt, że wszystkie tak zwane metody alternatywne, jeśli już działają, to długoterminowo. Chodziło o to, że w gruncie rzeczy im nie ufałem. A mieć zaufanie do leczenia i do osoby, która je zaleca, jest w procesie zdrowienia czynnikiem niezwykle ważnym, wręcz podstawowym.

Szczęście w życiu pomaga, a ja go miałem zazwyczaj wręcz w nadmiarze. Również tym razem fortuna mi sprzyjała, a przynajmniej tak to czułem, co w sumie na jedno wychodzi. Wśród moich kolegów dziennikarzy, weteranów z Azji, był korespondent „New York Timesa”, dwukrotny laureat Nagrody Pulitzera. Łączyła nas przyjaźń zrodzona ze wspólnych doświadczeń: obydwaj zostaliśmy aresztowani i wydaleny z Chin; obydwaj, wbrew wszelkiej logice robienia kariery, po pobycie na dużo „ważniejszych” placówkach jako miejsce pracy wybraliśmy Indie. Teraz pojawiła się jeszcze jedna zbieżność losów: kilka lat wcześniej mój przyjaciel cierpiał na takie samo schorzenie i przeżył. Odwiedziłem go więc w Delhi i poprosiłem o radę.

Ci, którzy wyprowadzili go na prostą - nazywał ich fixers - byli jego zdaniem najlepsi na rynku. Zaufałem mu. Kilka rozmów telefonicznych, jeden faks i po kilku dniach byłem w Nowym Jorku, w Memorial Sloan-Kettering Cancer Center, albo raczej w MSKCC, jak się zaleca wpisywać tę nazwę na

czekach, aby swój pobyt w tej instytucji zachować w dyskrekcji również wobec własnego banku. W każdym razie ośrodek ten zajmował osiemnaste miejsce na liście instytutów stosujących najnowszą, eksperymentalną metodę leczenia, a zatem był w czubie prawdopodobnie najbardziej zaawansowanych badań w dziedzinie nowoczesnej, zachodniej medycyny.

Po ukazaniu się książki *Un indovino mi disse* (Powiedział mi jasnowidz) pytano, mnie, o czym będzie następna. Odpowiadałem, że książki są jak dzieci i że trzeba być przynajmniej brzemiennym, aby myśleć o wydaniu ich na świat. Mówiłem też, że jeśli nadarzyłaby się taka okazja, to po wielu latach spędzonych na Dalekim Wschodzie chętnie odbyłbym wielką podróż po najdalszych rubieżach Zachodu, żeby na nowo odkryć Stany Zjednoczone. Pod pretekstem, że wyjechałem do Ameryki, aby spróbować się „zapłodnić”, zdołałem odwrócić od siebie uwagę.

W rubryce ogłoszeń „New York Timesa” znalazłem informację o kawalerce do wynajęcia przy Central Parku, poszedłem ją obejrzeć i natychmiast wziętem. Tych niewiele metrów kwadratowych szarej wykładziny, ożywionej czym prędzej kilkoma indonezyjskimi tkaninami i małym chińskim Buddą z brązu, postawionym na parapecie dużego, niskiego okna, stało się na kilka miesięcy moją kryjówką.

Poza Angelą i ludźmi z MSKCC nikt nie wiedział, gdzie jestem. Telefon milczał, nikt nie dzwonił do drzwi; jedyną otwartą drogą komunikowania się ze światem pozostała poczta elektroniczna ze swoimi listami w butelce, wyrzucanymi od czasu do czasu na cybernetyczną plażę mojego komputera, która mogła znajdować się wszędzie. Według mnie jest to w tej chwili najbardziej dyskretny, najmniej natrętny, najlepszy sposób kontaktowania się, jeśli używa się go wtedy, kiedy naprawdę ma się coś do powiedzenia, jeśli nie popada się w niechlujstwo językowe wywołane pośpiechem i jeśli się drukuje, żeby móc potem jeszcze raz przeczytać wszystkie dobre rzeczy, które do nas przychodzą.

Sytuacja była doskonała, taka, o jakiej od dawna marzyłem: całe dnie miałem wolne, żadnych zajęć, żadnych obowiązków i niesamowite uczucie swobodnego biegu myśli, bez żadnych przerw, bez nieustannego wrażenia - które kiedyś było wręcz obsesją - że muszę coś zrobić. Po tak długim okresie zgiełku cieszyłem się w końcu wielką ciszą. Przez wiele lat, zajęty wojnami, rewolucjami, powodziami, trzęsieniami ziemi, wielkimi przemianami w Azji, stałem się namiętnym obserwatorem zagrożonych, unicestwionych lub - częściej - zmarnowanych wielu cudzych istnień. Teraz przyglądałem się po prostu temu, które dotyczyło mnie najbardziej: własnemu.

A było co obserwować. Po kolejnych badaniach i zwyczajowej sekwencji zdań: „Jest jakiś cień, który budzi nasze wątpliwości”, „Potrzebne będzie jeszcze jedno badanie”, „Proszę przyjść w przyszłym tygodniu”, „Przykro mi, ale mam dla pana złą nowinę...”, odkryto, że chodzi nie o jedno, ale o trzy schorzenia o różnych cechach, z których każde należało poddać innemu rodzajowi terapii. Tak więc, nie wątpiąc ani przez chwilę w ich skuteczność, a wręcz dodając jeszcze za każdym razem moje psychologiczne przekonanie, że wszystko jest właściwe i najlepsze z tego, czego mogę spróbować, poddałem się doświadczeniu chemioterapii, chirurgii i radioterapii.

Nigdy wcześniej w takim stopniu nie czułem, że zbudowany jestem z materii; nigdy nie musiałam z tak bliska obserwować własnego ciała, a przede wszystkim nauczyć się zachować nad nim kontrolę, pozostać jego panem, nie pozwolić zdominować się przez jego żądania, bóle, kołatania i ataki torsji.

Zdałem sobie sprawę, że dopóki pracowałem dla tygodnika, mój rytm biologiczny i stan ducha uzależnione były od terminu - i związanego z tym często niepokojem - napisania kolejnego artykułu:

wielka radość sobót i niedziel, kiedy świat mógł się walić, ale gazeta była już gotowa i nie miałem nic do dodania; poniedziałkowa obojętność, kiedy planowano następny numer; napięcie we wtorki i w środy, kiedy musiałem myśleć nad nowym tematem i zaczynałem robić notatki; post i koncentracja w czwartki, dzień składania artykułu; w piątki czujna ulga na wypadek konieczności wprowadzenia poprawek; i potem wszystko od nowa, tydzień po tygodniu, z wojennego frontu, ze stolicy, w której miał miejsce zamach stanu, z podróży przez kolejny kraj w poszukiwaniu jego duszy albo zagubionego wątku jakiejś historii. Teraz wszystkie dni tygodnia były jednakowe, bez wzlotów i upadków; po prostu, cudownie płaskie. I nikt niczego ode mnie nie chciał.

Tak jak każda pora roku rodzi swoje owoce, tak samo mój etap dziennikarski wydał swoje. Coraz częściej zdarzały mi się sytuacje, w jakich już się kiedyś znalazłem, problemy, z jakimi już wcześniej miałem do czynienia. A co gorsza, pisząc, słyszałem echo historii i słów zapisanych już przed dwudziestoma laty. Poza tym fakty, za którymi podążałem kiedyś z pasją psa myśliwskiego, już mnie tak nie zajmowały. Z biegiem lat zaczynałem rozumieć, że nie stanowią one nigdy całej prawdy i że poza nimi kryje się coś jeszcze - jakiś inny poziom rzeczywistości - coś, czego nie potrafiłem uchwycić, wiedziałem jednak, iż nie leży to w obszarze zainteresowań dziennikarstwa, szczególnie współczesnego. Gdybym kontynuował karierę w tym zawodzie, co najwyżej mógłbym spróbować pozostać taki, jaki już byłem. Rak stworzył dobrą okazję, żeby się nie powtarzać.

Ale nie tylko to. Stopniowo zauważałem, że rak stał się też rodzajem tarczy, za którą mogłem się schronić, obroną przeciwko temu wszystkiemu, co wcześniej mnie atakowało, czymś na kształt bastionu, w którym mogłem się ukryć przed banałem codzienności, obowiązkami życia towarzyskiego, koniecznością prowadzenia rozmów. Dał mi prawo, żeby nie czułem się już do niczego zobowiązany i nie miał żadnego poczucia winy. Wreszcie byłem wolny. Całkowicie. Może się to wydać dziwne - i czasami sam też tak to odbierałem - ale byłem szczęśliwy.

„Czy to możliwe, że trzeba zapaść na raka, by się cieszyć życiem?” - napisał mój stary angielski przyjaciel. Dowiedział się, że zniknąłem, więc przysłał mi maila z pytaniem o nowiny. Odpowiedziałem, że ta „nowina” jest moją sensacją dziennikarską i że przeżywam jeśli nie najpiękniejszy, to na pewno najbardziej interesujący okres w życiu. Podróżowanie było dla mnie zawsze sposobem życia i teraz potraktowałem chorobę jako kolejną podróż: niedobrowolną, nieprzewidzianą, bez map, do której w żaden sposób się nie przygotowałem, ale która ze wszystkich dotychczasowych wymagała największego zaangażowania i dostarczała najbardziej intensywnych przeżyć. Wszystko, co się wydarzało, dotyczyło mnie bezpośrednio. Napisałem mu, aby się cieszył, że nie ma raka, ale gdyby chciał przeprowadzić ciekawe doświadczenie, niech przez jeden dzień sobie wyobrazi, że jest inaczej, i zastanowi się nad tym, jak nie tylko życie, ale wszystkie osoby i rzeczy wyleczyć. Miałem też jednak coś ważnego do powiedzenia: przecież jestem także umysłem, może również duszą, a już na pewno zbiorem nagromadzonych historii, doświadczeń, uczuć, myśli i emocji, które z moją chorobą miały prawdopodobnie wiele wspólnego! Nikt nie zdawał się chcieć - czy też móc - wziąć tego pod uwagę. Nawet podczas terapii. Zwalczano raka, chorobę dobrze opisaną w podręcznikach, ze swoimi statystykami występowania i procentami wyleczonych przypadków, która może dotknąć każdego. Ale nie mnie!

Naukowe i racjonalne podejście do choroby powodowało, że mój problem zdrowotny można było przyrównać do zepsutego samochodu, który zupełnie obojętny wobec perspektywy czy to

złomowania, czy naprawy, powierzony zostaje mechanikowi, a nie do strapienia osoby, która świadomie, siłą całej swojej woli, zamierza zostać przywrócona do sprawności.

Ode mnie jako osoby znakomici lekarze-naprawiacze wymagali niewiele albo zgoła nic. Wystarczyło, żeby moje ciało stawiało się na spotkania, które oni mu wyznaczali, aby poddać je różnym „zabiegom”.

Czy przynajmniej wiadomo, co powoduje, że komórka w ciele zaczyna wariować? Co każe jej porzucić funkcję życiową i przeobrazić się w zagrożenie dla życia?

Poszedłem zapytać o to młodziutkiego szefa pionu badawczego MSKCC, o którym przeczytałem, że nie dość, iż znał odpowiedź na moje pytania, to jeszcze znajdował się u progu ważnego odkrycia: klucza do kodu, który niczym przełącznik powoduje, że zdrowa komórka staje się chorą i na odwrót.

- Jesteśmy na dobrej drodze, ale osiągnięcie celu wydaje się operacją bardziej skomplikowaną niż wystanie człowieka na Księżyc - wyjaśnił mi.

To, co zdołałem pojąć, było fascynujące. Czystym zbiegiem okoliczności ów młody człowiek specjalizował się w moim typie schorzenia. Im dłużej go słuchałem, tym wyraźniej jednak zdawałem sobie sprawę, że eksploracja tajemniczego świata życia oddalała szefa pionu badawczego MSKCC nie tylko ode mnie jako integralnej osoby, ale też ode mnie jako ciała.

Drażąc i analizując najdrobniejsze szczegóły, dotarł do wnętrza jednego z milionów kodów zawartych w DNA jednej z miliardów komórek ciała. Ale gdzie w tym wszystkim byłem ja? Chyba miałem jakiś udział w tym, że ten mój przełącznik źle zadziałał?

- Nie. Nie było w tym żadnego pańskiego udziału. Wszystko zostało już zawarte w pańskim kodzie i wkrótce będziemy w stanie na nowo zaprogramować tę część, która u pana szwankuje - odparł.

Wniosek był pocieszający, choć odchodząc, pomyślałem, że on i jego koledzy łudzili się: gdyby już znaleźli klucz do tych drzwi, wnet spostrzegliby, że za nimi znajdują się kolejne drzwi, a jeszcze dalej następne i jeszcze jedne - każde z własnym kluczem. Bo w gruncie rzeczy tym, do czego starali się dotrzeć moi drodzy uczeni, był klucz wszystkich kluczy, kombinacja kombinacji: „kod Boga”. Jak zatem mogli się spodziewać, że go odkryją?

Nigdy nie straciłem zaufania do lekarzy, którym powierzyłem swoje zdrowie. Wręcz przeciwnie. Ale im lepiej ich poznawałem, tym wyraźniej czułem, że są niczym skrzypce, którym brakuje struny. Sami wpadli w pułapkę mechanicyzmu w postrzeganiu problemu, a zatem także sposobu jego rozwiązywania. Niektórzy dostrzegali moją niepewność i niektóre moje uwagi ich bawiły. Na przykład: Dlaczego nie przyjrzeć się na nowo stosowanemu słownictwu? Mogłoby to być pożyteczne - mówiłem. Język, którym obudowana jest ta choroba, to język wojny i ja sam początkowo też go używałem. Rak jest „wrogiem”, którego należy „pokonać”; terapia to „broń”, a każda faza leczenia to „bitwa”. ..Choroba” postrzegana jest zawsze jako coś obcego, co wdziera się do naszego wnętrza, żeby narobić tam kłopotów, powinna być zatem zniszczona, wyeliminowana, usunięta. Już po kilku tygodniach obcowania z rakiem wizja ta przestała mi się podobać, przestała mi odpowiadać.

Ze względu na konieczność współistnienia czułem, że ten wewnętrzny gość stał się częścią mnie samego, tak jak ręce, nogi i głowa, na której w wyniku chemioterapii nie miałem już nawet jednego

włosa. Bardziej niż rzucić się na tego raka w jego różnych wcieleniach, wolałem z nim porozmawiać, zaprzyjaźnić się; głównie dlatego, że rozumiałem, iż tak czy owak on już tam zostanie, być może w uśpieniu, żeby towarzyszyć mi przez całą resztę drogi.

- Kiedy rano wstajecie, uśmiechnijcie się do waszego serca, do waszego żołądka, do waszych płuc, do waszej wątroby. Tak naprawdę wiele od nich zależy - usłyszałem od Thich Nhat Hanha, słynnego wietnamskiego mnicha buddyjskiego, który przyjechał kiedyś do Delhi, aby mówić

medytacji. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, jak bardzo ta rada mi się przyda. A teraz każdy dzień zaczynałem od uśmiechu do gościa, którego miałem w środku.

Im dłużej pozostawałem po stronie nauki i rozsądku, tym silniej rozbudzała się we mnie ciekawość wobec magii

szaleństwa metod „alternatywnych”, które na samym początku odrzuciłem. Na pewno nie dlatego, że uznałem, iż pomyliłem drogę (podpowiedziałbym wszystkim, żeby wzięli ją pod uwagę jako pierwszą), ale ponieważ czułem, że choć prawdopodobnie jest najlepsza, ma swoje ograniczenia. Gdzie indziej, podążając innymi szlakami, mógłbym znaleźć coś innego: zapewne nie „alternatywnego”, ale być może uzupełniającego.

Tak więc kiedy tylko lekarze-naprawiacze z Nowego Jorku powiedzieli mi, że zakończyli swoje „reperacje” i że przez kolejne trzy miesiące nie chcą mnie widzieć - trzy miesiące! zdawały mi się wiecznością - podążyłem w nowym kierunku.

Po tych wszystkich ciosach, jakie zadałem mojemu ciału, musiałem pozwolić mu trochę odetchnąć - oczyścić je ze wszystkich trucizn, jakie mu zaaplikowałem w ramach kuracji, a przede wszystkim przygotować mój umysł, przywykły już do samotności, na ponowny kontakt ze światem. Najbardziej oczywistym sposobem urzeczywistnienia tego celu wydało mi się podróżowanie. Ruszyłem więc w drogę z zamiarem przyjrzenia się wszystkim innym odmianom medycyny, kuracji i cudów, które ewentualnie mógłbym wykorzystać.

Postanowiłem najpierw wrócić do Indii, gdzie życie jest zawsze bardziej naturalne, gdzie społeczeństwo pozostaje wciąż niezwykle zróżnicowane, gdzie czas się wydłuża, gdzie stare egzystuje obok nowego, gdzie życie i umieranie wydają się bardziej niż gdziekolwiek indziej na świecie pierwotnym doświadczeniem.

Nie było mnie w Delhi prawie rok. Kiedy wszedłem do sklepu starego jubilera z Sundar Nagar, którego zastałem przy nawlekaniu na naszyjnik niezwykle pachnących kwiatów jaśminu, aby udekorować nim obraz Kryszny, ten zapytał, co się ze mną dzieło.

Krążyłem po szpitalach. Mam raka - powiedziałem sam z siebie, jak nie uczyniłbym wobec nikogo innego.

Musiał to być najbardziej boski okres w pańskim życiu - odparł całkowicie naturalnie.

Istotnie tak było. Ale skąd on mógł o tym wiedzieć?

Nie zna pan historii muzułmanina, który wyrzucony z meczetu, stacza się po schodach?

Nie, nie znam.

Na każdym stopniu, w który uderzał, czuł ból; cierpiał i myślał o Bogu. A kiedy w końcu znalazł się na samym dole, żałował, że nie ma więcej schodków. Wyobrażam sobie, że z panem było tak samo.

Czy istniał lepszy sposób, aby odkupić proste trzymadło do banknotów, jakie zgubiłem w Nowym Jorku? I czy mogłem dostać lepszy wiatyk na podróż, którą podjąłem w poszukiwaniu czegoś, czego istoty sam dokładnie nie znałem?

Przemieszczając się z miejsca na miejsce, z przerwami co trzy miesiące na wizyty kontrolne w Nowym Jorku, byłem w nieustannym ruchu, cały czas śledząc jakiś wątek, zaspokajając ciekawość lub próbując sprawdzić jakąś zasłyszaną opowieść.

Tak więc spędziłem tydzień na samym krańcu Indii, w starym i prymitywnym ośrodku ajurwedycznym, kierowanym przez młodego lekarza, który zna na pamięć wszystkie święte pisma tradycyjnej medycyny, jako że nauczył się ich od dziadka, a temu z kolei przekazał je jego ojciec, i tak dalej. Miejsce było przepiękne, pośród pól ryżowych, obok bardzo starej, dzisiaj zrujnowanej świątyni. Według legendy została ona wzniesiona przez Ramę, kiedy przejeżdżał tamtędy w drodze do Lanki, aby z pomocą małp odzyskać porwaną żonę.

Również w Indiach zrobiłem kurs reiki, z którego uzyskałem dyplom. Natomiast w Tajlandii pościłem przez siedem dni w ośrodku specjalizującym się w bardzo dziś modnej metodzie leczenia: oczyszczaniu jelita grubego.

Na północy Filipin, w przeddzień otwarcia ośrodka, byłem pierwszym pacjentem Piramidy Azji, zbudowanej jako Światowe Centrum Zdrowia przez najstynniejszego uzdrowiciela, który poprzedniego wieczora mnie „operował”.

Wiele dni spędziłem w małej wiosce w środkowych Indiach u „lekarza-maga”, który przygotowywał dla mnie z wiązek ziół i gałęzi specjalne, cuchnące, zielone mikstury. Dużo czasu przebywałem też w najstynniejszym tradycyjnym szpitalu w Kerali, gdzie - jak wszyscy pozostali pacjenci - nie mogłem zmrużyć oka, bo na dziedzińcu ryczał słoń i rozbrzmiewały bardzo dziwne trąby orkiestry, która przybyła tam z trupą aktorską, żeby od zmroku do świtu celebrować uroczystości ku czci opiekuńczego bóstwa ajurwedy.

Za młodym, byłem chirurgiem włoskim dotarłem aż do Bostonu, gdzie prowadził kurs dotyczący „lekarstw morskich”. Odkąd został homeopatą, w starej, wyremontowanej zagrodzie, zagubionej pośród nizinnych terenów Emilii. próbuje potwierdzić naukową wiarygodność swojej praktyki, w której - jak sam przyznaje - zawiera się element magii. A ja odczułem jej pozytywne rezultaty na własnej skórze!

Wybrałem się do Hongkongu na spotkanie ze starym Chińczykiem, miliarderem i filantropem, który, chcąc przed śmiercią pozostawić w darze ludzkości lek na raka, zainwestował część swojego majątku w badania, a teraz w produkcję ekstraktu z grzyba, od zawsze uznawanego przez tradycję chińską za „cudotwórczy”.

W Chiang Mai, na północy Tajlandii, odnalazłem starego przyjaciela Dana Reida, znawcę taoizmu i qigong, i każdego ranka, aby „zgrupować energię kosmiczną”, wykonywałem pod jego kierunkiem stare chińskie ćwiczenia,

których Dan właśnie skończył pisać swoją nową książkę.

W odizolowanym i wietrznym kompleksie starych budynków, zawieszonym nad skalistym wybrzeżem Kalifornii, z widokiem na ocean, który wypełnia duszę poczuciem bezmiaru, uczestniczyłem w seminarium mającym na celu wsparcie chorych na raka. Było nas dziewięcioro

o każdej z tych osób mam wzruszające i zabawne wspomnienia. Zaraz po tym przyłączyłem się do wielkiego mistrza jogi i do pewnego muzyka - obydwaj byli Hindusami - którzy zorganizowali bardzo specjalny kurs. Jego zasadnicza idea polegała na tym, że po przyjęciu różnych pozycji jogi oraz „otwarceniu kanałów” muzyka miała zostać przefiltrowana do tkanek i komórek ciała, stymulując ich funkcje życiowe. Na pewno zrobiła mi dobrze... jeśli tam dotarła! W każdym razie należała do tych, które trafiają bezpośrednio do serca.

W Indiach próbowałem się też zobaczyć z Sai Babą, jednym ze świętych, któremu przypisuje się bardzo wiele cudów, ale kiedy dotarłem do aśramu guru, akurat go nie zastałem, uznałem więc to za znak, że nasze spotkanie nie było konieczne.

Po drodze odwiedzałem święte miejsca buddyzmu. Wiele dni spędziłem w Benares, gdzie Hindusi jadą umrzeć, żeby uniknąć konieczności ponownych narodzin.

Ale jak to zawsze bywa, szukając jednej rzeczy, znajdujesz inną. I tak do bogatej już kolekcji lekarzy, specjalistów i uzdrowicieli dołączali stopniowo różni święci żebracy, stary jezuita - psycholog i hipnotyzer, mnich od dzieciństwa zakochany w pewnym posągu oraz inne dziwne i piękne postaci.

Wszędzie, czasami wypróbując również niektóre z „lekarstw”, które mi proponowano, zbierałem przypadki „cudownych” uzdrowień, wyleczeń za sprawą jakiejś mikstury albo innej dziwnej metody, ale także wiele historii ludzi, którzy po odrzuceniu normalnych terapii, oferowanych przez klasyczną medycynę zachodnią, poddali się jakiejś alternatywnej kuracji i umarli.

Jeśli myślałem, że aby wyleczyć się z choroby spowodowanej - moim zdaniem - stylem życia, jakie prowadziłem wcześniej, powinienem zerwać z przeszłością i rozpocząć wszystko całkiem od nowa, to byłem na dobrej drodze: stykałem się z zupełnie innymi ludźmi, mierzyłem się z innymi problemami, miałem inne myśli. Sam się stałem, nie tylko fizycznie, inny. W tym momencie nie pozostawało mi nic innego, jak zrobić następny krok, przekroczyć kolejny próg: również ten już wyłącznie indyjski.

Tak więc postanowiłem spędzić trzy miesiące w asramie, studiując trochę sanskryt i rozmyślając nad jedynym, wielkim pytaniem, jakie człowiek zawsze sobie stawiał i które stanowi samo serce wedanty, końcowej części Wed, sedno filozoficzne świętych pism Indii: Kim jestem? Ponieważ odpowiedzią na pewno nie było: „Jestem dziennikarzem takiej to a takiej gazety, autorem jakiejś książki czy też chorym na taką to a taką chorobę”, spróbowałem, również formalnie, przestać być tym, kim byłem wcześniej, nie nazywać się dłużej tak jak dotychczas, nie mieć żadnej przeszłości i stać się po prostu „Anamem”, Bezimiennym. To imię wydało mi się najwłaściwsze, aby zakończyć życie strawione w całości na próbach wyrobienia sobie renomy!

To dziwny eksperyment: przestać być tym, do kogo przywykliśmy, nie móc odwołać się do tego, kim byliśmy, czego dokonaliśmy, do miejsca, gdzie się urodziliśmy, albo do osób, które znamy, aby dokonać identyfikacji, samo- określenia i ustanowić nowe stosunki, nawet najbardziej podstawowe, z

osobami, które spotykamy na naszej drodze. Jest to ćwiczenie, którego warto spróbować, choćby na wakacjach!

I tak, krok po kroku, powoli, za każdym razem śmiejąc się z samego siebie i uśmiechając do tego, co mi się przytrafiało, przeszedłem od leczenia mnie jako ciała chorego na raka w jednym z najlepszych szpitali świata do leczenia mnie jako ciała plus tego wszystkiego, co - jak mi się zdawało - za tym się kryło, w spartańskich warunkach asramu, studiowania klasyków hinduizmu, śpiewania hymnów wedyjskich i jedzenia rękami z metalowej miski. Nie stosowałem żadnej z diet, które tak starannie dobrano mi w Nowym Jorku, ale spożywałem to, co akurat było, przeważnie gotowaną ciecierzycę.

A więc rozmawiałeś z Bogiem? - zapytał mnie stary przyjaciel, kiedy odwiedziłem go, przejeżdżając przez Paryż.

Żeby z nim porozmawiać, musiałbym go spotkać - odparłem... aby uniknąć odpowiedzi. Prawdopodobnie również on myślał, że ze względu na pobyt w Indiach w jakiś sposób się zagubiłem. Nic z tych rzeczy. Nie stałem się ani hinduistą, ani buddystą, nie jestem wyznawcą żadnego guru ani nie powróciłem do mojej rodzimej religii, choć na nowo odkryłem przyjemność przesiadywania w ciszy w pięknym kościele, wypełnionym dawną wiarą, jak na przykład we florenckim San Miniato al Monte.

Należę do tych, którzy bez specjalnych uprzedzeń, bez strachu przed nowym czy śmiesznym, poszukują. Może więc, poszukując, znalazłem doskonałe remedium na mojego raka? Na pewno nie, ale teraz przynajmniej jestem pewny, że takie lekarstwo nie istnieje, ponieważ donikąd nie ma drogi na skróty: ani do zdrowia, ani do szczęścia, ani do mądrości. Żadna z tych rzeczy nie może być natychmiastowa. Każdy musi ich szukać na swój sposób, przejść własną drogę, gdyż to samo miejsce może znaczyć coś innego, zależnie od tego, kto tam przybywa. To, co może być dla jednego lekarstwem, dla drugiego niczym albo wręcz trucizną - szczególnie, jeśli porzuca się na swój sposób sprawdzone pole nauki i zapuszcza na gęsto już zaludnione tereny „metod” alternatywnych, pełne kombinatorów, szarlatanów i sprzedawców wszelkich komunałów.

Czy po tak długiej podróży wróciłem do punktu wyjścia? Do wyłącznej wiary w naukę i rozum? Do poglądu, że zachodni sposób mierzenia się z problemami jest najlepszy? Nic z tych rzeczy. Dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek wierzę, że niczego nie należy wykluczać z góry i że zawsze można znaleźć kogoś albo coś cennego w najbardziej nieprzewidywanych miejscach i okolicznościach. Cuda? Oczywiście, że istnieją, ale uważam, iż każdy powinien być sprawcą swojego własnego cudu. Przede wszystkim jestem przeświadczony, że nasza znajomość świata i nas samych pozostaje wciąż mocno ograniczona i że za pozorami, za faktami, ukrywa się prawda, która nam umyka, ponieważ jest nieuchwytna dla sieci naszych zmysłów, dla kryteriów naszej wiedzy i naszego tak zwanego rozumu.

Bez wątplenia Zachód dokonał wielkiego postępu w dziedzinie poznawania ludzkiego ciała, choć wciąż wprawia mnie w zakłopotanie fakt, że u źródeł naszej medycyny jest anatomia, nauka opierająca się na sekcji zwłok, i zastanawiam się, jak można zrozumieć tajemnicę życia, wychodząc od badania zmarłych. Jednak Zachód nie zrobił żadnego kroku naprzód, a wręcz być może się cofnął, jeśli chodzi o znajomość tego wszystkiego, co niewidzialne, niewymierne, nieuchwytnie, a co się kryje w ciele i poza nim, co je podtrzymuje i łączy ze wszystkimi innymi formami życia, czyniąc je częścią przyrody. Psychoanaliza i psychologia wciąż się poruszają tylko po powierzchni tego niewidzialnego,

jakby czuły się zawstydzone w obliczu wielkiej tajemnicy, której żadna nauka, właśnie ze względu na swój charakter, nigdy nie będzie mogła stawić czoła.

Dlatego właśnie badania medyczne nie mają innego wyboru - muszą się zajmować coraz bardziej szczegółowymi zagadnieniami. Czy jednak jakieś inne studia, niekoniecznie naukowe, nie powinny pójść w odwrotnym kierunku: od szczegółu do spraw ogólnych?

Być może dlatego, że podświadomie chciałem ujrzeć mój problem również w innym wymiarze - nie tylko jako oszalałą komórkę - i znaleźć inne wyjaśnienie niż zepsuty przełącznik w kodzie mojego DNA, trafiłem do położonego w Himalajach małego domu z kamienia i błota. I tam, z sercem lżejszym niż kiedykolwiek, bez pragnień, bez dążeń, przepelniony wielkim spokojem, ujrzałem pierwszy wschód słońca nowego tysiąclecia, jakby to był początek Stworzenia, podczas gdy niektóre z najwyższych szczytów świata wyłaniały się z kosmicznej ciemności, rozpalając się różowym światłem, jakby miały przywrócić nadzieję na wieczność w narodzinach i umieraniu. Nigdy wcześniej nie czułem tak bliskiej obecności bogów.

Przez wiele tygodni - raz w promieniach wiosennego słońca, kiedy indziej wśród wysokiego na metr śniegu, w otoczeniu dębów i rododendronów przypominających nieruchome, lodowe olbrzymy - byłem gościem ponad-osiemdziesięcioletniego, bardzo wykształconego Hindusa. W swoim życiu nie robił on nic innego poza rozmyślaniami nad sensem egzystencji, a spotkawszy w przeszłości wszystkich wielkich mistrzów swoich czasów, mieszka teraz sam, przekonany, że jedynym, prawdziwym Mistrzem jest ten, którego każdy z nas ma w sobie. Nocami, kiedy cisza zdaje się aż huczeć w uszach, wstaje, zapala świecę i siedzi przed nią przez parę godzin. Po co?

- Żeby spróbować być sobą - odparł. - Żeby usłyszeć melodię.

Czasami, po popołudniowym spacerze po lesie śladami lamparta, który któreś nocy pożarł mu psa obronnego, wchodził do mnie po drewnianych schodach, a ja na małej maszynie gazowej podgrzewałem wodę z pobliskiego źródła, żeby przygotować dwie filiżanki chińskiej herbaty, którą zawsze ze sobą wożę.

Wszystkie moce, te widzialne i niewidzialne, te namacalne i nienamacalne, męskie i żeńskie, negatywne i pozytywne, wszystkie moce świata zjednoczyły się, abyśmy mogli obaj teraz siedzieć przy tym ogniu i pić herbatę - mawiał, wybuchając śmiechem, który sam w sobie był radością. A potem, cytując Plotyna i Boecjusza, upaniszady, jakiś wers z Bhagawadgity, z Williama Blake'a albo jakiegoś mistyka sufi, snuł bardzo osobiste teorie na temat sztuki i muzyki albo spowiadał się ze swojego „grzechu pierwotnego”: tego, że zawsze uważał „być” za coś o wiele ważniejszego niż „robić”.

A melodia? - zapytałem któregoś dnia.

To niełatwe. Trzeba się przygotować i czasami ją słyszeć: jest to melodia życia wewnętrznego, które podtrzymuje wszystkie inne, gdzie wszystko ma swoje miejsce i wszystko jest złączone: dobro i zło, zdrowie i choroba - życie wewnętrzne, w którym nie ma ani narodzin, ani śmierci.

Wraz z upływem dni, kontemplując w samotności majestat gór, wciąż tam pozostających, nieruchomych, symbolizujących największą stałość, a przecież także nieustannie się zmieniających i nietrwałych, jak wszystko na tym świecie, czując gdzieś w tle obecność tej pięknej, starej duszy

napotkanej przypadkiem, poczułem, że moja długa i kręta podróż, zapoczątkowana w szpitalu w Bolonii, dobiegła końca.

Postanowiłem to wszystko opowiedzieć, przede wszystkim dlatego, że wiem, jak bardzo krzepiące jest doświadczenie osoby, która pokonała już kawałek drogi, dla kogoś, kto ma ją dopiero przed sobą. A także ze względu na to, że jeśli dobrze się zastanowić, po pewnym czasie ta podróż w poszukiwaniu lekarstwa na mojego raka przekształcała się w poszukiwanie leku na chorobą nas wszystkich: nieuchronność śmierci.

Ale czy to naprawdę „choroba”? Czy to coś, czego należy się obawiać, „zło”, od którego trzeba trzymać się z daleka? Chyba nie.

- Pomyśl, jak zatłoczony byłby świat, gdybyśmy byli nieśmiertelni i musieli wciąż po nim krążyć, a wraz z nami wszyscy nasi poprzednicy na przestrzeni wszystkich wieków! - powiedział kiedyś mój stary kompan podczas wspólnego spaceru po lesie. - Chodzi o to, by zrozumieć, że życie i śmierć to dwa aspekty tej samej rzeczy.

Dojście do tego wniosku to być może jedyny prawdziwy cel podróży, którą wszyscy podejmujemy, przychodząc na świat. Sam o niej niewiele wiem, poza tym, że - jestem teraz o tym przekonany - prowadzi ona od zewnątrz do wnętrza i od tego, co małe, coraz bardziej ku temu, co wielkie.

Kolejne stronicie są opowieścią o moich niepewnych krokach na tej drodze.

NOWY JORK

Czyjeś odbicie w lustrze

Sytuacja wyglądała tak jak w akwarium. A ja byłem rybą. Z wybałuszonymi oczami, oddychając przez otwarte usta, w ciszy, odgradzony od niepogody, nafaszerowany antybiotykami, zaszczepiony nawet przeciw ewentualnemu przeziębieniu, które w moim przypadku mogło być według lekarzy groźne, pozostawałem sam w bezpiecznym miejscu - w moim zbiorniku - czasami przez wiele godzin bez ruchu i obserwowałem świat, który kłębił się tuż za szklaną ścianą: Nowy Jork.

Mieszkanie znajdowało się na piątym piętrze: wystarczająco nisko, aby wciąż mieć widok na ulicę z jej nieprzerwanym teatrem życia, i na tyle wysoko, żeby w obramowaniu wielkiego okna w całości wychodzącego na północ pojawiły się drzewa Central Parku, a w ich tle sylwetki drapaczy chmur.

Podobnie jak musi się jawić rybce ten dziwny świat po drugiej stronie szyby, ze swoimi hałasami, które docierają przytłumione i wyciszone, mnie również wydawał się odległy i absurdalny. Czuję pustkę w głowie; byłem niezdolny do precyzyjnego myślenia; miałem zdrętwiałe kości i pozbawione siły kończyny, a owo przebieganie nogami ludzi za oknem, którzy spotykali się, potracali, witali i biegli dalej, zdawało mi się tak bardzo nie przystawać do mojego rytmu, że czasami wybuchiałem śmiechem, jakbym był widzem starego, niemego filmu Charliego Chaplina.

Nawet naturalna cykliczność słońca, które wstawało i zachodziło z pokrzepiającą punktualnością po dwóch przeciwnych stronach tego akwarium, zdawała się nie pokrywać z rytmem mojego ciała.

Często zdarzało mi się spać w środku dnia i czuwać w nocy, kiedy wycie syren samochodów policyjnych, strażackich i ambulansów stawało się coraz bardziej obsesyjne, przyoblekając ciemność całunem trwogi.

Przez wiele miesięcy owo okno było moim towarzyszem: przez nie widziałem biegnących maratończyków i śnieg pokrywający swą bielą miasto; obserwowałem wiewiórki, ganiające się najpierw po ogołconych drzewach, a potem znikające w zielonym, wiosennym listowiu. Stamtąd śledziłem losy kilku sympatycznych włóczęgów, którzy - siedząc na ławkach wśród tobołków i plastikowych toreb - rozkoszowali się słońcem jak żaden z wielu mijających ich w pośpiechu i roztargnieniu ludzi interesu. Patrząc z tamtego okna, wyobrażałem sobie los pewnej dziewczyny, która przyjechała autobusem z prowincji z kilkoma ciuchami w wielkiej, czarnej torbie, przewieszzonej przez ramię, i z masą planów. Stamtąd przyglądałem się dziwnym relacjom, panującym między psami a ich właścicielami, a także - czasami nawet dziwniejszym - wzajemnym stosunkom między właścicielami psów. To zdumiewające, jak wiele można się nauczyć, wyglądając przez okno, i ile fantazji na temat cudzego życia da się snuć, wychodząc od obserwacji jakiegoś szczegółu czy gestu.

Nawet takie zwykłe, anonimowe miejsce może stać się „domem”. Wielokrotnie, wracając ze spaceru i czując spływające mi po plecach krople zimnego potu, liczyłem kroki, które mi jeszcze pozostały, jak gdybym z góry się cieszył, że za chwilę otworzę metalowe drzwi do mieszkania 5/C i poczuję ów zapach wynajmowanego pokoju, który daremnie próbowałem usunąć, zapalając kadzidełka z drzewa sandałowego.

Kiedy tylko się wprowadziłem, zasłoniłem kolorowymi, indonezyjskimi batikami wszystkie lustra, które jakiś dekorator kazał zainstalować na ścianach, aby stworzyć iluzję, że pokój jest większy niż w rzeczywistości. Pozostawiłem tylko jedno nad umywalką i za każdym razem, kiedy wchodziłem do łazienki, widziałem w nim jakiegoś opuchniętego, żółtego i tysego osobnika, który patrzył na mnie i robił miny, jakbym go znał. Ja zaś naprawdę nigdy wcześniej nie spotkałem tego typu. A przecież kiedy tylko otwierałem drzwi, wciąż był w tym lustrze. Czasami posyłał mi nawet uśmieški, które czyniły go jeszcze bardziej odpychającym. Ale on się nie zniechęcał i na swój sposób wciąż ze mną rozmawiał. Mówił, że znamy się od prawie sześćdziesięciu lat, że ten tam w lustrze to ja. Tak więc do tego nowego mnie - grubego, bladego i bez jednego włosa - zacząłem powoli przywykać.

Chińczycy sztukę pięknego starzenia się doskonalili przez całe wieki i ja, który przeżyłem wśród nich wiele lat, łudziłem się, że ją trochę przyswoiłem i odłożyłem na bok, aby poczekała, aż nadejdzie mój czas. Podobała mi się myśl, że zestarzeję się z siwymi włosami i może z gęstymi, pięknymi brwiami, podobnymi do brwi Zhou Enlaia, które wykwinął premier Mao Zedonga zapewne bardzo pracowicie hodował. Postanowiłem nie mierzyć się z chemioterapią. Ale ona też mnie nie dopadła! Żeby uniknąć recydywy wypadających garściami włosów, kilka dni przed rozpoczęciem pierwszego cyklu poszedłem do Angela, mającego zakład fryzjerski na rogu, i pod pretekstem zmiany wizerunku poprosiłem, żeby ogolił na zero włosy, które w owym czasie opadały mi już niemal na ramiona.

- Właśnie zamykam. Niech pan się zastanowi przez noc i przyjdzie jutro - powiedział Angelo. - Nie chciałbym, żeby potem podpalił mi pan zakład!

Nazajutrz Angelo wykonał swoje zadanie, ale co do wąsów pozostał niewzruszony i musiałem obciąć je sobie sam. Nosiłem je od 1968 roku, kiedy Richard Nixon wygrał w wyborach prezydenckich, a ja, wówczas student Columbia University, przegrałem zakład. Przez prawie trzydzieści lat stały się one

częścią mnie, tego, jakim się widziałem, więc zdumiałem się, że w ciągu jednej chwili zdołałem się ich pozbyć.

Mój stary szkolny kolega Alberto Baroni, który został potem znanym florenckim gerontologiem, powiedział kiedyś:

Starzy ludzie, którzy przez całe życie przywiązywali wielką wagę do swojego wizerunku, najbardziej cierpią i najtrudniej im dojść do siebie, kiedy zawał serca, paraliż albo jakaś inna choroba zmieniają ich wygląd.

Ja chciałem, żeby mi się udało. Warto więc było pochować tego dawnego mnie - z jego włosami i wąsami.

Ostatni dzień był szczególny. Jeszcze z moją zwykłą twarzą - żeby urzędnicy mogli mnie rozpoznać i nie mieli problemów z przyjęciem czeku - udałem się do Włoskiego Banku Handlowego przy Wall Street podjąć mały plik pieniędzy, które będę trzymał w domu. Drogę powrotną postanowiłem odbyć pieszo: bardzo długi spacer. Świeciło słońce, wiał wiatr, a ja - wciąż jeszcze ja - ubrany na biało, ciągle jeszcze pełen energii, z długimi włosami i wąsami, szedłem przez Manhattan wzdłuż Piątej Ulicy, przeglądając się w witrynach. Po kilku godzinach miałem już nie być taki sam. Myśl o tym, że stanę się kimś innym, nawet mnie bawiła. Przez lata poznałem różne osoby, o których wiedziałem, że prowadzą podwójne, a czasem nawet potrójne życie. Też miałbym na to ochotę, ale nigdy nie byłem do tego zdolny. Teraz mogłem przynajmniej myśleć, że mam dwa różne życia: to drugie miało nastąpić po pierwszym. Być może.

Ej Tiziano, co robisz w Nowym Jorku? - Na wysokości sklepu Walta Disneya stary francuski kolega z Libération, z żoną u boku, stanął przede mną z otwartymi na powitanie ramionami. - Co za niespodzianka widzieć cię tutaj. Zawsze na biało. Poznaliśmy cię z daleka. Zjemy dziś wieczorem razem kolację? - Ostatnim razem spotkaliśmy się w Ułan Bator i powiedział mi wtedy, że pisze powieść historyczną, której akcja toczy się właśnie tam, w Mongolii.

Skończyłeś książkę? - zapytałem.

Ależ skąd. Napisałem już ponad tysiąc stron, ale wciąż się rozrasta. To gorsze od raka! Rośnie, rośnie, więc ciągle piszę.

Zacząłem się śmiać, ale ani on, ani żona, drobna, pełna wdzięku Laotanka, nie zrozumieli, dlaczego. Czy to ja nieświadomie podsunąłem mu to skojarzenie? Wybąkałem jakąś wymówkę, żeby nie iść z nimi na kolację, i uciekłem.

Przed spotkaniem z Angelem musiałem jeszcze odświeżyć moją garderobę lub raczej zdecydować, jak ubrać tego nowego mnie. W tej kwestii nie miałem wątpliwości: Jeśli chciałem poradzić sobie z chorobą, nie powinienem niczego opłakiwać, nie powinienem tęsknić za przeszłością, a przede wszystkim nie powinienem się łudzić, czy też żywić nadziei, że - nawet jeśli mi się uda - kiedykolwiek będę taki jak przedtem. Tak więc należało skończyć z tamtym mną: ekstrawertycznym, pragnącym zawsze budzić sympatię, lekko aroganckim, towarzyskim i ubranym na biało. W sumie był to obraz tego, którego komórki zwariowały. A dlaczego zwariowały? Może właśnie z powodu tamtej tożsamości! Należało ją zatem zmienić, zerwać z dawnym sposobem życia, przyzwyczajeniami,

ulubionymi przez tamtego mnie kolorami. Nie chodzi o to, że wierzyłem dokładnie w to, co myślała moja głowa, ale obserwując ją, pozwalałem jej myśleć.

W Nowym Jorku jest zawsze czas „wyprzedaży”. Ostatnim wynalazkiem, mającym zachęcić ludzi do coraz większej konsumpcji i kupowania tego, czego absolutnie nie potrzebują, jest oferta „Dwa w cenie jednego”. Przy jednej z ulic, którymi przechodziłem, próbując codziennie zmieniać trasę z domu do szpitala, odkryłem wielki sklep, którego nazwa zdawała się stworzona specjalnie dla zaspokojenia moich gustów: Duffy's cheap clothes for millionaires. Nigdy nie byłem milionerem, ale zawsze się nim czułem. Jeśli chodzi o ubrania, kupowałem je po niskiej cenie, bo pójdźcie do eleganckiego sklepu i nabycie drogiej odzieży nie wydawało mi się niczym wielkim. Natomiast tam, wśród odrzutów z wielkich firm i rzeczy, które wyszły z mody, można było dokonać wielkich odkryć. W krótkim czasie, za niewielką sumę, zdołałem zgromadzić wszystkie elementy mojego nowego umundurowania: dwie pary sportowych dresów, jedno granatowe, jedno czarne; tenisówki, skarpety, rękawiczki i dwa piękne, wełniane berety, jeden czarny i jeden fioletowy, żeby zakryć bilardową kulę, którą wkrótce miała się stać moja głowa.

Idea chemioterapii jest prosta: komórki rakowe mają swoją złośliwą cechę, polegającą na tym, że się podwajają i mnożą. Chemioterapia jest mieszanką - nazywaną eufemistycznie „koktajlem” - bardzo silnych składników chemicznych, które - po wprowadzeniu do krwiobiegu - krążą po organizmie i niszczą wszystkie tego typu komórki. Problem polega na tym, że komórki rakowe nie są jedynymi, które mają tę cechę. Komórki włosów, podniebienia, języka i innych powierzchni śluzowych, jak te wewnątrz jelita, są tego samego typu i dlatego również one, choć potrzebne i zdrowe, atakowane są w taki sam sposób jak te chore.

- W sumie to tak, jakby bombardować napalmem dżunglę i niszczyć tysiące drzew, próbując zabić małpę przycupniętą na jednej z palm - powiedziałem do pielęgniarki, szykującej się pieczołowicie do przyrządzenia pierwszego koktajlu, którym miała mnie zbombardować.

Powiedziałem: małpa, ale w rzeczywistości pomyślałem o Vietcongu i o tym, jak podczas wojny w Wietnamie Amerykanie ogałali z liści całe lasy i niszczyli rozległe tereny zieleni tylko po to, aby uniemożliwić partyzantom znalezienie bezpiecznej kryjówki. Logika była taka sama. W Wietnamie jej nienawidziłem, ale teraz poddawałem się jej, szukając ocalenia. Już od pierwszych płomiennie czerwonych kropli, które obserwowałem, jak jedna po drugiej kapią z przezroczystej torebki, przepływają przez plastikową rurkę i przedostają się do moich żył za pośrednictwem igły wbitej w grzbiet lewej dłoni, wydawało mi się, że to działa.

Efekt był natychmiastowy i wstrząsający: usta wypełnił mi bardzo silny smak żelaza, głowa się rozpałała, jakby ogarnięta powiewem napalmu, i poczułem, jak płomień ten dociera do wszystkich zakamarków ciała, do koniuszka każdego palca. Siedziałem w wygodnym fotelu, który przypominał wyposażenie statku kosmicznego, na parapecie okna stała doniczka z kwiatami, skromnymi, ale żywymi, a ja słuchałem kochanej, młodej pielęgniarki, która opowiadała mi o swoim marzeniu, żeby pojechać do Kalifornii i zamieszkać w domu nad oceanem. Byłem spokojny, czułem, że jestem w dobrych rękach; podobał mi się ten mocny, prawie fosforyzujący kolor płynu, który przenikał do mojego ciała - wydawał mi się znakiem jego skuteczności. Poczułem się gorzej, kiedy po opróżnieniu pierwszej torebki dziewczyna podłączyła do urządzenia następną, zawierającą ostatni składnik

koktajlu, jakąś bezbarwną jak woda ciecz, która - jak sobie wyobrażałem - w żaden sposób nie mogła mi pomóc. Zasugerowałem, żeby zabarwili ten nijaki płyn na piękną, szmaragdową zieleń albo na fioletowo, aby do jego działania chemicznego dodać moc psychologiczną. Dziewczyna się zaśmiała:

Dobry pomysł! - stwierdziła.

Była spostrzegawcza. Obserwowała pacjentów i zauważyła, że każdy z nich ma własny sposób podejścia do chemioterapii. Jedni poddają się jej, medytując, inni przynoszą ze sobą walkmana, żeby w tym czasie słuchać ulubionej muzyki, jeszcze inni są niespokojni, cierpią jak na torturach, ponieważ nie postrzegają jej psychicznie jako kuracji, a przede wszystkim nie akceptują jej negatywnych konsekwencji, skutków ubocznych, które - jak wiadomo - muszą się pojawić.

Pan robi wrażenie, jakby się bawił - powiedziała.

Nie miałem wyboru i „robienie dobrej miny do złej gry”

wydawało mi się naturalne.

Dla mnie chemia stanowiła pierwszą fazę „strategii”, którą - po tygodniach analiz, badań kontrolnych, konsultacji ze specjalistami na różnych piętrach tej ogromnej instytucji, jaką jest MSKCC - uznałem za najlepszą, żeby przeżyć. Jako taka przedstawiona mi została przez stanowczą i zasadniczą lekarzkę, która miała zajmować się moim przypadkiem: pięćdziesiąt lat, żyłasta, prosta jak świeca, twarda i małowólna, choć czasem z cieniem lekkiego uśmiechu na ustach. Już przy pierwszym spotkaniu poczułem, że mogę jej zaufać, i bez namysłu zaufałem. Po chemii - koktajl odpowiedni dla mojego przypadku, powiedziała, został przygotowany przez grupę mediolańskich lekarzy, dla których miała wielki szacunek - czekała mnie operacja. Po zagojeniu się rany miałem zostać poddany radioterapii, przeprowadzanej według systemu pozostającego jeszcze w fazie eksperymentu, a opracowanego przez lekarza z Izraela, który został szefem oddziału radiologii tutejszego szpitala.

Niski, krępy radiolog, z bródką jak Freud, ciekaw również tego wszystkiego, co się działo poza medycyną, zdawał się promieniować nadzieją wyleczenia nawet bez swoich urządzeń. Przynajmniej takie było moje pierwsze wrażenie, więc bezzwłocznie postanowiłem zostać elementem jego „eksperymentu”. Byłem osiemnastym pacjentem.

A pozostałych siedemnastu? - zapytałem.

Wszyscy przeżyli.

Jak długo?

Dwa lata... Ale dopiero od dwóch lat stosujemy naszą terapię.

Od tamtej pory zawsze nazywałem go Irradiatorem.

Chirurg pojawił się przede mną w spodniach w kolorze khaki i dżinsowej koszuli. Był niskim, grubym blondynem o brzuchu niemieckiego piwosza. Takie zresztą musiało być jego pochodzenie. Jego nazwisko znaczyło „Pan”. Od razu uderzyły mnie jego błękitne, nieruchome oczy i maleńkie dłonie o cienkich i ostrych palcach. Pomyślałem sobie, że gdybym miał być Ludwikiem XVI i musiał pójść na gilotynę, lepiej, aby głowę mi ścinał ktoś precyzyjny. On robił takie wrażenie: był absolutnie pewny swojego zadania, tego, co ma usunąć, a co zostawić w środku po wykonaniu cięcia, które poprowadzi

znad pępka aż do pleców. Nie powiedział mi tylko, że w czasie swojej pracy pozbawi mnie także jednego żebra.

Szansa na przeżycie? - zapytałem.

Znakomita, pod warunkiem że przeżyje pan drugiego raka.

Cóż, lepsze to, niż nic. Poza tym powiedział to on, Pan, The Lord - jak już go w duchu ochrzciłem!

Każda z tych faz miała zostać poprzedzona zabiegiem „Speleologa”, bardzo młodego eksperta endoskopii, zdolnego dotrzeć ze swoją minikamerą tam, gdzie trzeba, żeby pobrać tkanki do analizy. Stałem się obiektem jego zejść do jam mojego ciała przynajmniej dziesięciokrotnie i nikt - jak sądzę - nie może twierdzić, że zna mnie lepiej od środka niż on.

W przybliżeniu cała praca „naprawiaczy” miała zająć sześć do siedmiu miesięcy. Z lekarką koordynującą całą „reperację” próbowałem się targować, pewne rzeczy skrócić w czasie, inne fazy odwlec.

Czy nie mógłbym poczekać rok na przeprowadzenie operacji? - zapytałem. Ale ona, patrząc mi prosto w oczy, odcięła wszelkie drogi ucieczki:

Mister Terzani, you wait - you die.

Jeśli czekanie byłoby równoznaczne z końcem na tym świecie, nie miałem wyboru i zaprzestałem wszelkich dyskusji.

Dlatego chemia mi się podobała i przywiązywałem się do niej jak do liny, którą ktoś rzucił, żeby ocalić mnie przed tygrysem przęającym się nade mną i urwiskiem, które miałem pod sobą. Zamierzałem więc się jej poddawać, mając świadomość każdej wpływającej we mnie kropli, obserwując efekty, uczestnicząc w jej działaniu z pełną koncentracją. Chemioterapia była początkiem jeszcze jednego, możliwego fragmentu życia, jeszcze jednego obrotu na karuzeli. Podobało mi się też, że w szpitalnym slangu dzień wstrzyknięcia nazywano Day One, i że poczynając od niego, ustalano terminy różnych badań oraz innych koniecznych zabiegów. Również dla mnie był to „pierwszy dzień” ... nowej ery, mojego drugiego życia.

Kiedy po paru godzinach dziewczyna pomogła mi wstać, poczułem się bardzo zmęczony, kości mnie bolały jak po okładaniu kijem, ale zostałem o tym uprzedzony, więc zdobyłem się na wysiłek, żeby wrócić do domu pieszo przez Central Park. Zazwyczaj jest to półgodzinny spacer. Tym razem zajął mi godzinę. Miałem wrażenie, że szybuję, jakbym był pod wpływem narkotyków, ale odczuwałem satysfakcję, że daję radę. Lekarka zachęcała mnie, żebym nie przerywał, jeśli to możliwe, codziennej rutyny owej gimnastyki i jazdy motocyklem. Pośród wielu innych rzeczy, które powinienem robić lub nie, poprosiła też, bym jak najwięcej pił - nawet trzy, cztery litry wody dziennie - żeby wydalać komórki zabite przez chemię. Pilnie stosowałem się do wszystkich zaleceń.

W tej wierze w lekarzy, w stosowaniu się do ich wskazówek, było coś pocieszającego. Miałem wrażenie, że jest mi to bardzo pomocne. Bez wątplenia jak modlitwa. Tego jednak nie potrafiłem robić, a w każdym razie wydawałoby mi się śmieszne fatygować Pana Boga czy kogoś tam w jego imieniu, żeby zajmował się moją chorobą i pośród tylu rzeczy na świecie, o które musiał się troszczyć, spowodował także moje wyzdrowienie.

Między jednym koktajlem a drugim następowały dwa tygodnie przerwy, podczas których miałem zażywać o ściśle ustalonych porach różne leki. Musiałem także robić sobie sam, wbijając igłę małej strzykawki w tłuszcz brzucha, zastrzyki ze steroidów. Miały mi one pomóc w odbudowie białych, krwinek, wywoływały jednak ból w kościach, szczególnie

miednicy i mostka. Dwutygodniowa przerwa miała przede wszystkim złagodzić skutki bombardowania i przywrócić organizm do jakiejś takiej normalności, żeby móc mu powtórnie przyłożyć.

Ciało. Ciało. Ciało. To ciekawe, jak na co dzień, kiedy jesteśmy zdrowi, prawie nie zdajemy sobie sprawy, że je mamy, a jego funkcje uznajemy za oczywiste. Wystarczy jednak zachorować i cała nasza uwaga zaczyna się na nim skupiać; zwykłe oddychanie, oddawanie moczu czy wypróżnianie stają się najważniejszymi czynnościami, które determinują radość lub cierpienie, wywołują ulgę lub niepokój. Zgodnie ze wskazówkami, jakie otrzymałem, śledziłem każdą funkcję mojego ciała i korygowałem stopniowo wszystkie nieregularności, jednak czyniąc tak, z każdym dniem coraz wyraźniej zdawałem sobie sprawę, jak bardzo jestem od niego zależny, jak silnie jego nastrój wpływa na mój i jak wielki wysiłek muszę wkładać (mój umysł, moja świadomość, słowem ten drugi ja), żeby nie stać się jego niewolnikiem.

Zawsze uważałem za przekonującą ideę, że dzięki silnej woli można czuć się wolnym nawet w więzieniu. Jednym z najpiękniejszych przykładów jest ten niedawny, dotyczący Paldena Gyatso, tybetańskiego mnicha, który zdołał przeżyć trzydzieści trzy lata tortur i odosobnienia w chińskich więzieniach, pozostając wolny duchem. Ale w jakim stopniu można być wolnym, będąc więźniem własnego ciała? I czymże jest ta błogosławiona wolność, o której wszyscy tak wiele prawimy? W Azji odpowiedź na te pytania można znaleźć w znanej od wieków historii:

Pewien człowiek udaje się do słynącego z wielkiej mądrości króla i pyta:

Panie, powiedz, proszę, czy w życiu istnieje wolność?

Oczywiście - odpowiada tamten. - Ile masz nóg?

Człowiek patrzy na niego, zdziwiony pytaniem.

Dwie, mój Panie.

A zdolny jesteś stać na jednej?

Oczywiście.

Spróbuj więc. Zdecyduj, na której.

Człowiek zastanawia się przez chwilę, po czym podnosi do góry lewą nogę, opierając cały ciężar ciała na prawej.

Dobrze - rzecze król. - A teraz podnieś również tę drugą.

Jakże to? To niemożliwe, mój Panie!

Widzisz? To jest wolność. Jesteś wolny, ale tylko wtedy, gdy podejmujesz pierwszą decyzję. Potem już nie.

A jaki ja miałem wybór? Do jakiego miejsca byłem też moim ciałem? Jaki był między nami stosunek? I czy naprawdę było nas dwoje? Czy też może mój umysł, z którym jako ja wolałem się identyfikować, to tylko jedna z wielu funkcji owego ciała, a zatem całkowicie jest z nim związany? Zadawanie sobie tych pytań, w obliczu śmierci coraz bardziej obecnej jako realna możliwość, w obliczu bólu, przerażenia, melancholii, którym należało stawić czoło, miało wielki sens, choć oczywiście nie znajdowałem odpowiedzi.

Podobała mi się myśl, że moje ciało jest kostiumem, który rodząc się, pożyczyłem, i prędzej czy później będę musiał zwrócić - bez obawy, że pozostanę nagi. Ale czy rzeczywiście tak się miało stać? Jedno było pewne: Ja jako umysł byłem świadomy swojego ciała, ale czy ono było świadome mnie? No więc, oby było, oby uznało moje istnienie i to, że nie może robić ciągle tego, na co ma ochotę!

Chemia natychmiast działała na żołądek, który pozbawiony autokontroli, na swój sposób próbował pozbyć się tego, co słusznie wydawało mu się trucizną. Aby tego uniknąć, w szpitalu dano mi fiolkę z bardzo drogimi pastylkami na wypadek, gdybym nie zdołał wytrzymać. Udało mi się nie zażyć nawet jednej. Kiedy tylko czułem, że żołądek zamierza narzucić mi swoje obrzydliwe reakcje, siadałem na ziemi ze skrzyżowanymi nogami naprzeciw małego Buddy z brązu, który stał na parapecie okna. Zamykałem oczy i koncentrowałem się całkowicie na żołądku. Wyobrażałem sobie, że go głaszczę, przemawiałem do niego i się uspokajał. Przynajmniej takie odnosiłem wrażenie. Być może miałem po prostu szczęście i oczywiście nie okłamywałem sam siebie, myśląc, że to, czego się nauczyłem kilka lat wcześniej od Johna Colemana na kursie medytacji vipassana w Tajlandii, mogłoby zastąpić moich lekarzy, ich pastylki, a tym bardziej ów jednocześnie szkodliwy i dobroczynny, czerwony, fosforyzujący płyn. Jednak sama koncentracja bardzo mi pomogła.

Mimo moich aspiracji, żeby być czymś więcej niż tylko ciałem, czymś może mniej materialnym, mniej podatnym na zmiany i rozkład, ciałem byłem i ciałem pozostawałem. Należało zatem bardziej uważać na to, co podtrzymywało funkcje tego ciała, od którego wszystko zdawało się teraz zależeć.

Dziewięćdziesiąt siedem procent tego, czym jesteśmy, stanowi to, co zjadamy - oznajmiła mi tytułem wstępu młoda dietetyczka z MSKCC, do której mnie wysłano, aby podpowiedziała mi dietę pomocną w łatwiejszym znoszeniu chemioterapii. - Uprzemysłowienie w produkcji pożywienia spowodowało ogromne zachwianie równowagi w naszym organizmie i poważnie zagraża naszemu zdrowiu. Dlatego proszę odżywiać się w sposób jak najbardziej naturalny.

Jeśli chciałem pomóc mojemu ciału, miałem pić wiele naparów ziołowych, unikać mleka krowiego, bo zbyt tłuste, i zadowalać się sojowym. Mogłem jeść chudy jogurt i dużo owoców. Jeśli upierałem się, by pozostać wegetarianinem, jakim stałem się na zasadzie osmozy, mieszkając w Indiach, powinienem jeść dużo różnych orzechów, migdałów i ziaren - najlepiej pestek dyni i słonecznika - byle nie były zbyt słone.

Proszę się starać, żeby na pańskim talerzu było bardzo kolorowo, kłaść obok siebie warzywa czerwone, żółte, zielone, czarne. Proszę jeść dużo brokułów, porów i do woli czosnku. Dwa lub trzy razy dziennie proszę sobie robić koktajle i wkładać do nich wszystko: marchewkę, jabłka, szpinak i

wszelkie owoce leśne, szczególnie jagody. Z pomarańczy i grejpfrutów proszę zjadać także białą część. Wszystko, co zawiera błonnik, jest dobre w pańskim przypadku i pozwala regulować pracę jelit - powiedziała, a ja, jakbym był wciąż jeszcze mną dziennikarzem, robiłem notatki.

Ja, który nigdy w życiu nie zwracałem zbytnej uwagi na to, co przetykałem, i nie przejmowałem się tym, czy potrawa stojąca przede mną była posolona, czy nie, czy została ugotowana, czy usmażona, szybko stałem się niezwykle świadomy wszystkiego, co wkładałem do ust. Zacząłem gorliwie odwiedzać sklepy z produktami ekologicznymi i uważnie czytać wszystko, co napisane było na opakowaniach. Nauczyłem się nie wierzyć etykietom z rysunkami jezior i gór, których jedynym zamysłem było nabranie kupującego, natomiast skrupulatnie studiowałem to, co zgodnie z prawem wytwórcy powinni podawać jako składniki swoich produktów. Nie dotykałem niczego, co zawierało konserwanty, sztuczne barwniki czy dodatki smakowe lub zapachowe. Ogarnęła mnie nagła obsesja groźby zjedzenia czegoś skażonego. Pozbyłem się wszystkich teflonowych garnków i patelni, jakie znalazłem w mieszkaniu, kupiłem naczynia ze stali i wkładałem wiele troski w to, by każdy posiłek przyrządzać w sposób możliwie prosty i naturalny.

Tym, co instynktownie najbardziej mnie odrzucało, było pożywienie zmodyfikowane genetycznie. Czy szefostwa wielkich, szkodliwych zakładów przetwórczych, które rzuciły się na oślepa na ten rodzaj manipulowania naturą, by czerpać z tego ogromne zyski, zastanawiały się, jakie skutki dla organizmu ludzkiego i dla środowiska może mieć ta ich zabawa w Boga? Tymczasem te produkty są w sprzedaży, ludzie je jedzą i nikt nie wie, jakie diabelstwa mogą z tego wyniknąć. Pewnego dnia zdamy sobie z tego sprawę i dla wielu będzie już za późno.

Jeśli to prawda, że ciało jest w dużym stopniu tym, co zjada, być może również rak, który stał się częścią mojego organizmu, spowodowany został tym, co zjadłem. Całe rozumowanie było bez zarzutu i z przerażeniem przypominałem sobie lata spożywania cudownych chińskich potraw, pochodzących z niechlujnych i cuchnących kuchni, zup zjadanych na ulicy w Indochinach, tysiący rzeczy, które z głodu, z nudów albo dla towarzystwa pochłonałem przez całe życie. A te niedomyte miski i talerze, z których się jadło? Albo z kolei te lśniące naczynia w wielkich hotelach, myte i polerowane nie bardzo zdrowym popiołem, jak za czasów naszych babek, ale przy użyciu najróżniejszych detergentów szkodliwych dla zdrowia?

W Indiach są grupy osób - na przykład najbardziej ortodoksyjni bramini - które jedzą tylko to, co same ugotowały, w naczyniach, które same umyły; inni uważają wybór kucharza za kwestię duchową, a nie praktyczną. Bramini myślą, że ten, kto przygotowuje posiłek, nawet nieświadomie wywiera na niego swój wpływ. Jeśli kucharz jest osobą niskiego ducha, wprowadzi do swoich dań negatywną energię, która nieuchronnie przeniesie się na osobę jedzącą. Z naukowego punktu widzenia to absurd, ponieważ żadna nauka nie jest w stanie zweryfikować istnienia takiej negatywnej energii, jak również zmierzyć jej nasilenia, ale to nie z tego powodu pewne osoby mniej w nią wierzą. Nie z tego powodu ta energia nie istnieje.

Lekarze byli rozbawieni, słuchając tych moich rozważań między jednym a drugim badaniem, ale żaden z nich nie zastanowił się, że być może także w tym odmiennym sposobie postrzegania świata kryje się jakaś prawda. Coś, co wymyka się nauce. Poza tym również ta ich - nasza - jakże wychwalana nauka pozostawia wiele do życzenia, szczególnie w takich dziedzinach, jak żywienie czy zdrowie.

Przez całe lata wszystkie badania naukowe potwierdzały wielką wartość witamin w leczeniu wielu chorób. Teraz jednak podawane są do wiadomości wyniki nowych analiz, które wykazują ich niewielką albo wręcz żadną przydatność. Przez prawie dwadzieścia lat byliśmy przekonani, że sól jest szkodliwa w diecie chorych na serce. Teraz okazuje się, że nie jest to taka oczywista prawda. Przez wiele lat lekarze wmawiali nam, że dieta bogata w błonnik znakomicie przeciwdziała rakowi okrężnicy. Teraz wychodzi na jaw, że wcale tak nie jest.

Niemal codziennie ukazywał się w prasie amerykańskiej jakiś artykuł, który - cytując badania przeprowadzone przez taki czy inny uniwersytet - udowadniał, dlaczego to czy inne warzywo jest skuteczniejsze od innych w zwalczaniu raka: raz była to cebula, innym razem brukselka, jeszcze innym marchewka, pomidory czy też kiełki brokułów, ale nie starsze niż... trzydniowe. Takich samych odkryć dokonywano w stosunku do owoców (bardzo ważne śliwki i jagody) i przypraw (przede wszystkim kurkuma i kmin). Jeśli spojrzeć z perspektywy lat, wszystkie te badania nie wytrzymują próby czasu i stają się po prostu śmieszne, jak to, o którym przeczytałem któregoś dnia w „New York Timesie”: osoby zestresowane są dużo bardziej podatne na... przeziębienie niż niezestresowane.

A zatem? Czy fakt, że nauka nie potrafi - przynajmniej na razie - wykazać dobrego czy też złego wpływu, jaki może mieć kucharz na przyrządzane jedzenie, jest wystarczający, aby wykluczyć, że on istnieje? Dlaczego nie można myśleć, że źródłem choroby wściekłych krów jest to, iż przez całe lata zmuszaliśmy najbardziej wegetariańskie ze wszystkich stworzeń, z natury niegwałtowne i dlatego najświętsze w oczach Hindusów, do codziennego żywienia się paszą, składającą się między innymi z mięsa i kości innych zwierząt? Z naukowego punktu widzenia może to być argument bez wartości, ale według mnie jest bardzo przekonujący: przeżuwanie przetworzonych zwłok innych zabitych istot doprowadziło krowę do szaleństwa. To proste. A czy my, ludzie, nie ryzykowalibyśmy tym samym, gdybyśmy pewnego dnia odkryli, że poranna kawa przygotowana została z palonych szkieletów naszych krewnych albo że befszyk na talerzu pochodzi z uda zamordowanego syna naszego sąsiada?

Jak krowy się zorientowały? Cóż, to również pytanie, na które nauka nie potrafi oczywiście - przynajmniej chwilowo - odpowiedzieć, co nie znaczy, że nie należy go sobie stawiać. Czy może zrozumieliśmy naukowo, dlaczego psy są tak bardzo przywiązane do człowieka albo dlaczego łosie po latach spędzonych na pełnym oceanie potrafią odnaleźć ujście rzeki, gdzie się urodziły, dopłynąć tam, aby złożyć ikrę i umrzeć? A jak to się działo, że królice, trzymane w klatce na statku, wiedziały, że w zanurzonej łodzi podwodnej ich dzieci, króliczki, były zabijane zawsze w nierównych odstępach czasu. Eksperyment ten przeprowadzano jeszcze w czasach Związku Radzieckiego właśnie po to, by wykazać, że śmierć każdego króliczka wywołuje reakcję matki.

Te moje swobodne przemyślenia najbardziej bawiły panią doktor-naprawiaczkę. Ale oczywiście nie dawała się złapać w pułapkę. Zresztą nie było to moim celem; na pewno nie chciałem, żeby przyznała, iż również jej nauka jest względna, a cała historia wiedzy to wiele prawd, które w krótkim czasie okazują się błędami w świetle nowych faktów i nowych prawd. Nie, nie! Bawiło mnie po prostu snucie domysłów, ale w głębi duszy chciałem ufać tej nauce, bo właśnie ją obstauiłem; tym numerem chciałem wygrać.

- Panie Terzani, słyszałam, że nadał pan prezwiiska wszystkim swoim lekarzom. Jak mnie pan nazwał?
- zapytała mnie któregoś dnia moja lekarka. Na szczęście nie musiałem kłamać. Bawiąc się jej nazwiskiem i zmieniając jedną samogłoskę, nazwałem ją Bringluck - Przynoszącą Szczęście.

Jeśli ciało składa się w dużym stopniu z tego, co do niego wkładamy, przede wszystkim musiałem się zajmować jedzeniem, drugą ważną kwestią było na pewno powietrze. Bez jedzenia ciało może wytrzymać wiele dni - i od czasu do czasu robi mu to nawet dobrze - ale bez dopływu powietrza nie przetrwa więcej niż kilka minut. Ponieważ nie mogłem wybrać jakości powietrza, którym oddychałem, postanowiłem przynajmniej się nauczyć, jak oddychać lepiej.

Pomysł przyszedł mi do głowy po przeczytaniu ogłoszenia reklamowego w gazecie: pewien chiński „mistrz” miał poprowadzić w weekend seminarium dotyczące qigong (dosłownie „praca powietrza”). Mogły w nim uczestniczyć „osoby w każdym wieku, niezależnie od stanu fizycznego”. Zapisałem się, zapłaciłem i w sobotę o dziewiątej znalazłem się w obszernym pomieszczeniu z drewnianą podłogą oraz metalowymi kolumnami w jednym z wielkich, postindustrialnych budynków Bowery - sympatycznej i modnej dziś dzielnicy Nowego Jorku. Stare fabryki włókiennicze i magazyny o pięknych fasadach, pochodzące z pierwszej połowy dwudziestego wieku, mieszczą teraz wielkie sklepy z modą, głównie młodzieżową, galerie sztuki i centra kultury „alternatywnej”, stanowiąc scenę najróżniejszych działań i interesów związanych z New Age.

Seminarium prowadzone przez Mastera Hu było znakomitym przykładem tego nowego typu konsumizmu. Miejsce setek świeżo przybyłych imigrantek - posadzonych przy tyłach maszyn do szycia - które niegdyś w tych „fabrykach potu” stworzyły potęgę amerykańskiego przemysłu konfekcyjnego, zajmowało tu teraz około pięćdziesięciu kobiet, młodych i w średnim wieku - ja i jeszcze jeden facet stanowiliśmy wyjątek. Gotowe one były słuchać Mastera Hu, który bardzo prostą angielszczyzną tłumaczył Jedną z najstarszych tajemnic Chin”, wspomagany uzupełniającymi komentarzami swojego asystenta i piewcy. Po akcencie rozpoznałem, że asystent jest Włochem; koreańska dziewczyna w kasie była jego partnerką.

Qigong, podobnie jak praktykowana w Indiach pranajama, to sztuka kontrolowania własnego oddechu i kierowania jego siły witalnej do różnych części ciała - oczywiście poza płucami. Jako że przez wiele lat żyłem wśród Chińczyków, widywałem o świecie w ogrodach publicznych wiele osób, szczególnie starszych, które wykonywały w wielkim skupieniu te powolne ruchy i słyszałem o ich wielkich zaletach terapeutycznych. W Pekinie jedna z przyjaciółek Angeli po przebyciu operacji na raka została wysłana przez swój zakład pracy na kurs qigong i opowiadała, że przyniosło jej to ogromną korzyść.

Tuż przed moim aresztowaniem, a następnie wydaleniem z Chin zacząłem brać lekcje tej pradawnej gimnastyki ciała i duszy. Kurs prowadził stary robotnik, który praktykował tę sztukę przez całe życie, i żałowałem, że nie mogłem zostać do końca jego uczniem. Teraz, w samym środku Nowego Jorku, musiałem wysłuchiwać banałów wypowiedzianych przez Mastera Hu, który perorował:

Jeśli qigong, którego was uczę, wykonywany jest we właściwy sposób, zmieni wasz charakter, uczyni was miłszymi, a w przypadku kobiet zdecydowanie ułatwi im znalezienie męża.

Biedny Master Hu: był w Ameryce od niedawna i nie zorientował się jeszcze, że tam takie rozumowanie się nie sprawdza, a wręcz jest „politycznie niepoprawne”.

Cały dzień uczyłem się różnych ćwiczeń: jedne miały nam uświadomić, że się oddycha, ponieważ rozszerzają się piersi, a nie odwrotnie; inne - nauczyć nas, jak oddychać, nie tylko otwierając klatkę

piersiową, ale także brzuch i podbrzusze. Jedno szczególne ćwiczenie polegało na tym, żeby stać z lekko ugiętymi kolanami, na stopach rozłączonych tak, aby tworzyły jedną linię z ramionami, i trzymać wyimaginowaną kulę energii w nieruchomych rękach na wysokości pępka. Gdzieś po dziesięciu minutach należało sobie wyobrazić, że kula przekręca się najpierw w jedną, a potem w drugą stronę.

Teraz spróbujcie rozdzielić dłonie i zobaczcie, jakie to trudne - powiedział Master Hu.

Niektóre kobiety przyznały entuzjastycznie, iż rzeczywiście tak jest. Ich ręce zostały unieruchomione w „polu magnetycznym”. Moje nie.

Wykonując ostatnie ćwiczenie, trzeba było zamknąć oczy i - wciąż na lekko ugiętych kolanach - wyobrazić sobie, że stoimy nogami na ziemi, natomiast głowę mamy wysoko w powietrzu. Bardzo mi się to podobało, był to bowiem mój ideał spełnionego człowieka: stojącego twardo na ziemi, a jednocześnie marzyciela.

Na zakończenie pierwszego dnia przedstawiłem się Mistrzowi, poprosiłem, by opowiedział mi swoją historię, i wkrótce stałem się częścią jego świty - obok włoskiego piewcy i Koreanki - w wegetariańskiej restauracji. Po drodze asystent opowiedział mi, że przyjechał do Stanów zaraz po zakończeniu służby wojskowej szukać pracy jako złotnik. Bez powodzenia, przy okazji jednak odkrył, jak sam powiedział, że „zawód uzdrowiciela jest o wiele ciekawszy”. Był oczywiście również łatwiejszy i bardziej dochodowy. Uczęszczał na różne kursy sztuk walki, od kung fu po judo, od aikido po taijiquan. Później spotkał Mastera Hu, stworzyli spółkę i wzajemnie się wspierali. Następnie dołączyła do nich Koreanka. Właśnie została zwolniona z firmy farmaceutycznej i teraz również ona zamierzała zostać uzdrowicielką.

Asystent dużo rozprawiał o „cudach” Mistrza. Powiedział mi, że potrafi poruszać przedmioty na odległość, unosić kartki papieru i inne rzeczy wyłącznie za pomocą swojej energii.

- Ja nauczyłem się zaledwie leczyć ból głowy, ale on umie wszystko - zakończył.

Leczenie raka było oczywiście jedną z najbardziej chlubnych specjalności Mistrza i jego asystent przysiągł, że sam widział, jak już przy pierwszej wizycie objętość pewnych guzów poddanych działaniu „energii” Mastera Hu zmniejszała się o połowę. Mistrz - ciągle według opinii asystenta - byłby w stanie wyleczyć chorobę Parkinsona, na którą cierpiał papież. Problem polegał na tym, jak zawiadomić Watykan. Master Hu był także przekonany, że może pomóc Giovanniemu Agnellemu, który właśnie w owym czasie przebywał w nowojorskim MSKCC, nie wiedział jednak, jak się z nim skontaktować. Ugryzłem się w język i nie powiedziałem, że ja też jestem klientem tej instytucji i że jakiś bardzo dziwny przypadek zrządził, iż znalazłem się z młodym Agnellim - po naszym przemiłym spotkaniu-wywiadzie w Indiach i po całej serii trudnych do wyjaśnienia zbiegów okoliczności - pod tym samym dachem, z podobną dolegliwością, w rękach tych samych naprawiaczy.

Mistrz i jego świta szukali najwyraźniej okazji, żeby zdobyć sławę; potrzebny był im „cud” albo też chcieli „cudownie” uzdrowić kogoś znanego, dzięki komu zyskaliby prestiż. Czy mogłem mieć im to za złe? W zasadzie cały świat funkcjonuje już w ten sposób: jedyne, co się liczy, to rynek, jedyną moralnością jest zysk i każdy zmaga się, jak może, żeby przeżyć w tej dżungli. Na razie niemożliwa zdaje się zmiana czegokolwiek. Mogę tylko powiedzieć, że to mi się nie podoba.

W gruncie rzeczy historia Mastera Hu była piękna i patetyczna. Urodzony w prowincji Gansu, jednym z najbardziej peryferyjnych i ubogich regionów Chin, wyrósł w wiosce, gdzie jego rodzina od wieków jakoś wiązała koniec z końcem dzięki swojej „tajemnicy”: lekarstwu na oparzenia. Sekret był prosty: obierali skórę z melonów i wkładali ją do glinianych naczyń. Szczelnie zamknięte naczynia wędrowały trzy metry pod ziemię i miesiącami tam leżakowały. Wytworzony w ten sposób płyn miał cudotwórczą moc. Wystarczyło posmarować nim poparzoną skórę i ta się goiła.

Wyobrażam sobie drogę w starej, typowej chińskiej wiosce: niskie domy z łupkowymi dachami i klepiska z ubitej ziemi, przechodzący chłopi; ci z poparzeniami przybywają z daleka, żeby się wyleczyć. Wszystko to miało sens, wszystko było na miarę człowieka i na swój sposób magiczne. A teraz globalizacja, wolny rynek, swobodny przepływ myśli i pragnień uczyniły z młodego Hu „Mastera Hu” i pchnęły go na światowe targowisko, by sprzedawał na nim najbardziej pożądany towar: nadzieję. Nadzieję na wyleczenie poparzeń? Oczywiście nie. Na te są już maści w każdej aptece. Nadzieję na wyleczenie raka, przeciwko któremu nie wynaleziono jeszcze żadnego w pełni skutecznego środka.

- Czy zauważył pan tę kobietę w głębi sali, tuż obok pana? - zapytał mnie asystent. - Nie chce, żeby o tym wiadano, ale mogę panu powiedzieć: ona ma raka piersi. Postanowiła nie poddawać się operacji ani chemioterapii i zdać się na leczenie Mastera Hu.

Oczywiście, że ją widziałem: blada, wystraszona. W porze obiadu usiadła na ziemi oparta o ścianę, sama. Wyjęła z torby miseczkę z jakąś zielonkawą zupką, prawdopodobnie wytworem jakiejś innej chińskiej albo makrobiotycznej mądrości, i w milczeniu, bez przyjemności, zaczęła ją sęczyć. Co za świat!

Młody włoski asystent być może byłby dobrym jubilerem w swoim kraju, młody Hu mógłby kontynuować tradycję rodzinną, koreańska dziewczyna urządziłaby się może szczęśliwie w swojej Korei. Tymczasem straszny wiatr historii wyrzucił ich tutaj jak rozbitków na dalekiej plaży i połączył na chwilę. Usiłowali przeżyć, obiecując złote góry w jakimś nowojorskim lofcie i stwarzając biednej, samotnej kobiecie iluzję, że ich szarlataneria jest lepsza od chemii i od tego wszystkiego, co zachodnia nauka - nawet przy swoich ograniczeniach - mogła jej zaoferować.

Drugiego dnia powtarzaliśmy ćwiczenia z pierwszego, a potem obserwowaliśmy niektóre z „cudów” Mistrza, zapowiedzianych przez jego włoskiego asystenta. Master Hu sadzał którąś z osób na krześle i mierzył jej ciśnienie. Następnie stawał za nią, wykonywał swoje ćwiczenia, przekazywał jej swoją energię i znów mierzył ciśnienie, aby pokazać, że się obniżyło.

Nie mogłem oderwać oczu od niskiej, chudej i bladej kobiety w rogu sali, niezbyt oddalonej ode mnie, śledzącej jak w transie każdy gest Mistrza, w którego ręce złożyła swoje życie. To było jej życie i miała prawo wybrać, jak przez nie przejść lub je zakończyć, ale czy była wolna? Gdyby nie miała tej możliwości, tej „alternatywy”, na pewno poszłaby do chirurga, poddałaby się chemioterapii i być może teraz znów biegałaby po parku.

Czy to wina qigong? Oczywiście nie. Qigong jest mądre. Widzę coś zdrowego, prawdziwego, prądawnego w tym zapanowaniu nad własnym oddechem, w „ćwiczeniu z kulą”, w wyobrażaniu sobie, że ma się głowę w chmurach, a być może nawet w tej próbie niesienia komuś pomocy poprzez przekazanie mu własnej energii czy też po prostu uspokojenie go. Nieznośne, przynajmniej dla mnie, było to, iż to wszystko odbywało się nie na swoim miejscu, zostało przeszczepione z jednego świata

do innego, pozbawione kontekstu, że stało się towarem na sprzedaż, opatrzonym hasłem reklamowym i pełną listą chorób „ostrych i przewlekłych”, które Master Hu obiecywał za pomocą swojego qigong z powodzeniem wyleczyć.

W Pekinie, w Parku na Tarasie Nieba, owe gesty, wykonywane o wschodzie słońca przez starych Chińczyków w kapciach z filcu, przy śpiewie ich słowików w pięknych klatkach zawieszonych na wierzbach płaczących, miały sens; w nowojorskim lofcie - żadnego. Tam nawet Master Hu wyglądał, jakby czuł się nieswojo.

Wszystkie starożytne cywilizacje badały „moc oddechu” i dostrzegły związek między oddechem a umysłem, a może nawet duszą. Niektóre z nich, jak hinduska, uważały, że w ten sposób można uświadomić sobie istnienie owej siły, która podtrzymuje cały świat, a jej najprostszym przejawem jest właśnie oddech. Kiedy jogowie zauważyli, że niektóre zwierzęta potrafiące oddychać powoli, jak stoń czy wąż, żyją o wiele dłużej od oddychających szybko, jak pies czy małpa, poświęcili całe lata na obmyślenie specjalnych ćwiczeń, mających na celu spowolnienie rytmu ich własnego oddychania. Dzięki temu mieli nadzieję przedłużyć swoje życie do stu pięćdziesięciu, dwustu lat.

Według innego poglądu, również bardzo hinduskiego, czasu wyznaczonego nam przez los nie mierzy się w latach, dniach i godzinach - są to nasze wymysły - ale w oddechach. Innymi słowy, mielibyśmy się rodzić nie z policzonymi dniami, ale oddechami. A ponieważ człowiek oddycha normalnie dwadzieścia jeden tysięcy razy dziennie, sześćset trzydzieści tysięcy razy miesięcznie i około siedmiu i pół miliona razy w ciągu roku, zwolnienie tego rytmu oznaczałoby przedłużenie życia. Wystarczyłoby to wyćwiczyć.

Sedno jednak w tym, że praktyki te, jeśli mają jakąś wartość, to tylko wtedy, gdy są trudne, ezoteryczne, nieosiągalne dla zwykłych śmiertelników, a rezultat uzyskuje się kosztem wielkich poświęceń i całkowitego oddania. Kiedy tylko stają się dostępne dla wszystkich, tracą swoje znaczenie, a wraz z nim całą skuteczność. Żeby zachować moc, tajemnica musi pozostać tajemnicą, a sekret sekretem.

Niemniej qigong podobał mi się.

Gdy wychodziłem, usłyszałem entuzjastyczne głosy kilku dziewcząt:

- Uprawiałam jogę i reiki, ale dopiero teraz, po raz pierwszy, naprawdę coś odczuwam - oświadczyła jedna z nich.

Za ladą obok drzwi stał asystent z Koreanką i sprzedawali koszulki z symbolem jin i jang, kasety wideo z nagranyimi lekcjami i fiołki z solami Mistrza, które po wsypaniu do wanny leczyły przeziębienie i stres. Natomiast gratis były całe sterty ulotek, które zapowiadały otwarcie gabinetu Mastera Hu w SoHo na Manhattanie. Konsultacja - sto pięćdziesiąt dolarów.

Cieszyłem się, że mam około sześćdziesięciu ulic do przejścia na piechotę (średnio jeden blok na minutę) i że nazajutrz znów oddam się w ręce moich lekarzy, którzy nie twierdzili, że cokolwiek wyleczą, a tylko spróbują.

Konieczność poddania się przede mną chemioterapii wynikała z tego, że pierwotne schorzenie, którego komórki reprodukowały się powoli i którego natura nie była szczególnie agresywna, przeszło nagle „mutację” i w swojej nowej wersji stało się bardzo szybkie i agresywne. Chemia miała powstrzymać tę mutację. Problem polegał na tym, że jednocześnie chemia „mutowała” mnie.

Po kilku tygodniach leczenia moje ciało przestało być tym, które znałem, i każdego dnia zauważałem coś, co się zmieniało - najpierw niepostrzeżenie, później coraz wyraźniej. Stawałem się mutantem jak bohater jakiegoś banalnego filmu science fiction. Moje zmysły straciły swoje właściwości: upośledzeniu uległo czucie w palcach, podobnie jak zdolność odczuwania smaku i zapachu. Dłonie wydawały mi się kruche i nietrwałe - jak ze szkła. Paznokcie nie były już w stanie przebić skórki pomarańczy. Wkrótce zbrązowiały jak paznokcie fotografów z dawnych lat. Zęby pożółkły, a dziąsła stały się tak wrażliwe, że nawet najbardziej miękka szczoteczka wywoływała efekt tarki. Palce stóp często cierpły, a czasami traciły czucie. Jeden zaczął się dziwnie wyginać. Paznokcie dużych palców poczerniały, a następnie odpadły. Twarz miałem wciąż opuchniętą; podobnie wyglądał brzuch.

Najgorzej było z głową; odnosiłem wrażenie, że już nie funkcjonuje, że nie jest w stanie myśleć. Nigdy nie uważałem się za szczególnie inteligentnego i zawsze podziwiałem osoby, które wokół jednego tematu albo myśli potrafiły zrobić cztery-pięć przewrotek, podczas gdy ja mogłem wykonać góra dwie. Jednak teraz moja głowa nie była zdolna do najprostszych czynności: pamiętaniu o wyjęciu klucza z zamka, niezostawianiu zapalonego ognia pod pustym garnkiem czy wypiciu ciepłego rumianku, który zaparzyłem przed pójściem do łóżka, a następnego ranka znajdowałem zimny w nietkniętej szklance.

Czasem miałem wrażenie, że znajduję się w jakimś transie; sądziłem, że coś mocno ściskam, tymczasem wypadało mi to z rąk. Ucierpiał na tym wiele talerzy i misek. Myślałem, że odległość między kanapą a kuchnią to trzy kroki, tymczasem żeby je zrobić, potrzebowałem trzech minut.

Całe moje ciało stało się wolniejsze i jakby utraciło poczucie równowagi. Często czułem, jakbym unosił się na wodzie, nie zaś stał twardo na ziemi. Mieszkałem na niewiele ponad czterdziestu metrach, a nieustannie gubiłem długopis i okulary.

Okulary: cieszyłem się, że mam parę, w której mogę czytać, leżąc na tapczanie. Myśl, że mógłbym je utracić, stała się prawdziwą obsesją. Ze wszystkich rzeczy, które zgromadziłem przez całe życie - dywanów, mebli, posągów, chińskich kaligrafii, obrazów - jedyną, na której zależało mi teraz bardziej niż na czymkolwiek innym, stały się okulary. Często zdarzało mi się myśleć - nie wiedzieć czemu - o starym, wychudzonym pustelniku, wyznawcy dalajlamy, którego odwiedziliśmy kiedyś z Folkiem w górach północnych Indii. Spędzał czas samotnie i pogodnie w maleńkiej, kamiennej chatce, czytając święte pisma, wyciągnięty w drewnianej skrzyni, która służyła mu za łóżko, a potem miała się stać jego trumną. A gdyby zabrakło mu okularów? Być może któregoś dnia jakiś młody mnich zszedłby do Dharamsali, żeby wziąć dla niego drugą parę. Ale stary pustelnik musiałby czekać tygodniami, może miesiącami - niewykluczone, że nawet do końca zimy, kiedy spod zwałów śniegu znów ukazują się ścieżki - nie ulegając pragnieniu, nie trapiąc się, akceptując fakt, że wszystko jest nietrwałe i przejściowe. Miesiące oczekiwania, żeby znów mieć okulary i móc z radością czytać swoje książki pożółkłe od upływu czasu i dymu.

Patrzyłem na moje okulary i wydawały mi się skarbem. Dużo czytałem, ale nie przetrawiając lektury, bez zapamiętywania. Wyłącznie dla przyjemności chwili. Czytałem zbiory poezji i - jak wtedy, kiedy

mając osiemnaście lat, spędzałem czas w sanatorium w towarzystwie Czarodziejskiej góry - tak teraz czytałem opowieści o chorobach: William Styron i jego depresja, Norman Cousins i jego zeszywnienie stawów, które leczy za pomocą własnej terapii, opartej na śmiechu i dużych dawkach witaminy C.

Słońce. Przez całe życie kochałem przebywanie na słońcu, na szczytach gór, nad morzem, w tropikach czy nad brzegami Mekongu. W tej chwili, idąc ulicą, automatycznie wybierałem chodnik po zacienionej stronie. Unikałem słońca jak dżumy. Moja naprawiaczka, doktor Przynosząca Szczęście, tłumacząc, że chemioterapia nieodwracalnie zniszczy system pigmentacji mojej skóry, nie zostawiała w tym względzie miejsca na żadne wątpliwości:

- Już nigdy w życiu nie będzie pan się mógł opalać. - Uśmiechnąłem się, a ona, myśląc, że chcę przez to powiedzieć: - Dobrze. Zobaczmy, jak będzie - dodała w ten swój pozornie sadystyczny, ale w gruncie rzeczy troskliwy sposób: - Panie Terzani, niech pan pobędzie na słońcu, a pański mózg się usmaży.

Najdziwniejsze, że wydawało mi się, iż również mój charakter się zmienia. Stałem się chwiejny w podejmowaniu decyzji, czułem się kruchy, narażony na zranienie. Te wszystkie aplikowane mi płyny miały moc wpływania na stan mojego ducha. Przez całe życie - na przekór Angeli, która ich nienawidziła - zawsze świetnie się bawiłem, oglądając horrory, z ich trzeszczącymi drzwiami i mordercami czyhającymi w zamkach zamieszkałych przez duchy. Wraz z chemioterapią ta przyjemność się skończyła: teraz budziły we mnie strach. Nie byłem w stanie oglądać żadnego nawet przez kilka minut.

Mój umysł stawał się coraz bardziej otępiały, ale też - co mnie cieszyło - spokojniejszy. Na początku terapii byłem bardzo rozstrojony psychicznie: negatywna myśl, która przychodziła mi do głowy, przeradzała się szybko w burzę, każdy głos zdawał mi się krzykiem, pokonanie schodka jawiło się równie trudne jak wspinaczka na szczyt góry. Zwykła rozmowa bywała dla mnie wstrząsem - nie z powodu tego, co zostało powiedziane, ale ponieważ miałem wrażenie, jakbym był beczką wypełnioną do połowy: po jednym dotknięciu ciągle coś się we mnie przelewało i przelewało.

Dzięki medytacji nauczyłem się, że dla uspokojenia umysłu najważniejsze nie jest opieranie się napływającym myślom, ale uświadomienie ich sobie, zaakceptowanie ich istnienia: łatwiej nas wtedy opuszczają, niż kiedy próbujemy je odepchnąć. Pragnąłem uczynić to samo z moim początkowym stanem ducha i powoli - być może również za sprawą opadnięcia z sił fizycznych - zdołałem odnaleźć dziwną, tymczasową, ale bardzo przyjemną równowagę. Nawet moje sny stały się lekkie i spokojne - podobnie zresztą jak ja sam.

Czasami, budząc się rano, czułem przyuczajony cień depresji. Ale była to tylko ciemna smuga, która szybko zniknęła, a nie ta straszna czarna dziura, w jaką zdawało mi się wpadać każdego dnia w Japonii, ani ten ciężar całego świata dźwiganego na grzbiecie, owa obsesja bezużyteczności. Teraz zmieniło się to raczej w poczucie dystansu, które czyniło świat nieważnym, nie na tyle interesującym, by chcieć w nim przebywać. Dzięki temu nawet rak przestał być dramatem. Pewnego dnia w jakimś filmie telewizyjnym usłyszałem zdanie, na które poprzednio wcale nie zwróciłbym uwagi:

Wiem, że umrę, ale nie mam pojęcia kiedy, i to mnie zabija.

Uśmiechnąłem się. Była to inna wersja słynnej kwestii Woody'ego Allena:

Umrzeć? Nie przejmuję się tym. Chciałbym tylko, żeby mnie tam nie było, kiedy to się stanie.

Innym ciekawym aspektem tego nowego stanu był mój odmienny związek z czasem. Zawsze zafascynowany pewnością przeszłości z całym jej bogactwem i zagubiony w obliczu niepewnej przyszłości z jej zbyt wieloma możliwościami, traktowałem teraźniejszość wyłącznie jako materiał, którym będę mógł się cieszyć, gdy tylko stanie się przeszłością. W ten sposób teraźniejszość zawsze mi umykała. Teraz już nie. Cieszyłem się teraźniejszością, godzina po godzinie, dzień po dniu, bez nadmiernych oczekiwań, bez planów.

Jeśli byłem zmęczony, spałem, czytałem albo po prostu wyglądałem przez okno. Cieszyłem się tą moją zminiaturyzowaną egzystencją, jak gdyby wszystko, co się działo na zewnątrz tych czterech ścian, nie miało smaku, zapachu, jakby cała reszta straciła wszelkie znaczenie. Czytałem „New York Timesa”, którego co dzień wsuwano pod moje drzwi, z taką samą obojętnością, z jaką robiłaby to mrówka albo pszczoła. Świat, o którym mówiła gazeta, był ode mnie bardzo daleko.

W każdym kraju miałem własny sposób czytania gazet. W Chinach zaczynałem od artykułu wstępnego, ponieważ zorientowałem się, że są tam najświeższe wiadomości. W Japonii, gdzie zacząłem grać na giełdzie, czytywałem przede wszystkim artykuły ekonomiczne. W Nowym Jorku spostrzegłem, że przeglądam z zainteresowaniem strony nieistniejące już w gazetach europejskich: nekrologi i artykuły. Każdego dnia wspólnota przeprowadza w nich rozrachunek z osobami - od ich dobrej i złej strony - które opuściły ten świat. Był to sposób na to, bym zdał sobie sprawę, że różnica między mną, pięćdziesięciodziewięcioletnim mężczyzną, a owymi zmarłymi „po długiej chorobie”, „z powodu zawału serca” lub „po przegranej bitwie z rakiem” nie była znowu tak duża. Czasami wręcz - żadna.

Zaciekawiał mnie nacisk, jaki kładziono na przypisanie każdej śmierci jakiejś konkretnej przyczyny. O nikim nie pisano: „Zmarł, bo się urodził”.

Również w dni wielkiego zmęczenia - dziesiąty po bombardowaniu był najgorszy - robiłem wszystko, aby utrzymać rutynę, którą narzuciłem sobie jako znak mojego hartu ducha. Są chorzy, którzy przestają myć zęby, czesać się, jak gdyby już nie było warto albo jakby ich ciało - przyczyna wszystkich nieszczęść - nie mogło być już kochane i stało się obiektem pogardy i nienawiści. Nie chciałem być jednym z nich i dlatego: spacer po Central Parku, pół godziny odpoczynku pod drzewem, trochę gimnastyki, zastrzyk w brzuch. A potem jak najdłuższy marsz, nawet przez pięćdziesiąt ulic: naprzód i z powrotem szybkim krokiem, dopóki dawałem radę. Choć czasem z trudem je rozpoznawałem, miałem jednak tylko to jedno ciało i utrzymanie go w sprawności uważałem za najlepszą rzecz, jaką mogłem zrobić.

Niekiedy po powrocie do domu czułem tak wielkie zmęczenie, że nie byłem nawet w stanie włączyć komputera, aby wysłać do Angeli codzienny komunikat - jeden z moich najbardziej autentycznych kontaktów ze światem. Jedyny, na którym naprawdę mi jeszcze zależało. Instynktowna decyzja, aby spędzić ten czas w samotności, z dala od rodziny, bez żadnej osoby u boku, którą mógłbym się cieszyć, ale z którą musiałbym się też liczyć, okazała się mądra. Nie musiałem martwić się niepokojem innych i mogłem lepiej skoncentrować całą swoją energię i uwagę.

Niczym stary żaglowiec, który ratując się przed pójściem na dno w czasie sztormu, wyrzuca do morza cały balast - skrzynie z prochem, baryłki rumu i wszystko to, co wcześniej wydawało się niezbędne -

ograniczałem do minimum związki międzyludzkie, zrywając wszystkie te, które były niepotrzebne, utrzymywane z przyzwyczajenia, oportunistycznie albo ze zwykłej grzeczności.

Mój świat wypełnił się ciszą, pustymi godzinami, drobnymi gestami, niepotrzebną krzątaniną, niepewnym spokojem, który dawało się utrzymać, pilnując każdego podmuchu tych wielu wiatrów, szalejących za pięknymi oknami mieszkania. Przez całe godziny obserwowałem, jak zmienia się drapacz chmur na East Side: czarny o świcie, niczym pionek na tle pomarańczowego, czystego nieba, potem szary wśród wielkiej jasności dnia, błyszczący niczym zapalona świeca wieczorem, kiedy, zaraz po zmroku, rozświetlały się wyższe piętra, jakby chciał się stać pochodnią, która rozjaśni moje czasem bezsenne noce.

Zdarzały się dni, kiedy nie wypowiedziałem i nie usłyszałem ani jednego słowa, i nie byłem nawet w stanie pozdrowić dominikańskiego portiera, gdy wychodziłem na spacer albo po zakupy.

Cieszyłem się moją coraz bardziej pustą głową, coraz mniej konfliktowym sercem i czasem, który mijał szybciej niż kiedykolwiek przedtem - w dodatku nie obarczając mnie udręką nieprzydatności i poczuciem obowiązku. Nie miałem nic do roboty, żadnych marzeń ani pragnień, poza tym, żeby być tam, gdzie byłem: w ciszy. Zachwycało mnie, że nie muszę nic mówić, nie muszę z nikim iść na obiad czy na kolację, nie muszę odgrywać roli, którą grałem całe życie. Jakie to szczęście nie musieć występować w tym samym repertuarze! Ileż to pogawędek miałem za sobą! Ileż osób po powrocie z kolejnej podróży zabawiałem przy stole opowieściami i wrażeniami, które odstawiałem potem na bok niczym butelki wypitego wina! Miałem na pieńku z zawodem dziennikarza, z ową nieustanną koniecznością wkradania się w łaski jakiegoś ministra czy prezydenta, żeby uzyskać od niego wywiad, albo jakiegoś ambasadora, aby dostać wizę do jego niegościnnego kraju. Miałem wrażenie, że mój zawód mnie skrzywił: to ciągłe przytrzymywanie drzwi nogą, zjednywanie sobie przychylności, przypominanie się, szukanie akceptacji, to zbieranie informacji, anegdot czy po prostu cytatów, którymi można by zastąpić artykuł! Wszystko to było na szczęście za mną. Ów Tiziano Terzani (tamten ja) już nie istniał, wypalony wreszcie pięknym, czerwonym, fosforyzującym płynem.

Nie musiałem już nigdzie telefonować, nie musiałem już chodzić na żadne „robocze śniadania"! Cóż to za absurdalny zwyczaj, żeby nawiązywać kontakty, poznawać ludzi czy też pracować... jedząc! Dlaczego, jeśli chcemy się z kimś zobaczyć albo poznać jakąś nową osobę, musimy to robić, mamląc coś i przeżuwać? Czemu nie może się to odbywać podczas spaceru wzdłuż rzeki albo gry w kule?

Książkę Powiedział mi wróżbita zacząłem od słów: „Dobra okazja w życiu zawsze się zdarza. Problem w tym, żeby umieć ją rozpoznać". W 1993 roku rozpoznałem ją w przepowiedni, według której miałem zginąć w katastrofie lotniczej - i nie poleciałem. Zdawało mi się, że rak jest kolejną dobrą okazją. Żartowałem często, że moim marzeniem jest zamknięcie dziennikarskiego kramiku, zaciągnięcie żaluzji i wywieszenie kartki: „Wyszedłem na obiad". Wreszcie mi się to udało. Już definitywnie „wyszedłem na obiad". Ten rak pojawił się jakby na życzenie.

Wkrótce zacząłem przypominać fizycznie Marlona Brando z Czasu Apokalipsy i zupełnie jak on czułem się niczym „ślimak, który ześlizguje się po ostrzu brzytwy". Obiektywnie byłem odrażający, ale uporczywie wmawiałem sobie, że nie jest znowu tak źle, że jestem w formie. Zrobiło mi to - jestem o tym przekonany - naprawdę dobrze. Wchodziłem do szpitala z uśmiechem i trzymając się możliwie prosto. Każdemu, kto pytał, jak się czuję, odpowiadałem nieodmiennie: „Cudownie". Uśmiechy rozbawionych osób, które nie były zmuszone mi współczuć i mogły oszczędzić sobie zwyczajowych,

niby to pocieszających banałów, poprawiały moje samopoczucie. Z drugiej strony, czy miałem jakieś inne wyjście - oczywiście poza zgrywaniem ofiary? Instynktownie wolałem tego nie robić.

Jeśli już spotkało mnie to doświadczenie, warto było dobrze je wykorzystać. Żeby o tym pamiętać, przykleiłem do stołu, na którym codziennie próbowałem prowadzić dziennik, kartkę, na której zapisane były wersy koreańskiego mnicha zen z ubiegłego wieku:

Nie proś o to by mieć doskonale zdrowie

Byłaby to zachłanność

Uczyń z cierpienia lekarstwo

I nie oczekuj drogi bez przeszkód

Bez tego ognia twoje światło by zgasło

Skorzystaj z burzy by się wyzwolić.

Zacząłem traktować tę chorobę jak przeszkodę ustawioną na mojej drodze, żebym nauczył się skakać. Problem polegał na tym, czy byłem zdolny skakać do góry, czy tylko w bok albo - co gorsza - w dół. Być może w tej chorobie ukryty był jakiś tajny przekaz: przyszła do mnie, abym się czegoś nauczył! Zacząłem myśleć, że sam, nieświadomie, chciałem tego raka. Od wielu lat próbowałem wyjść z rutyny, zwolnić rytm moich dni, odkryć inny sposób spojrzenia na różne rzeczy; słowem - żyć inaczej. Teraz wszystko się

zgadzało. Również fizycznie stałem się kimś innym.

Ubrany w sportowy dres, tenisówki, wełniany beret i rękawiczki, wędrowałem po mieście, wyobrażając sobie z rozbawieniem wszystkich kolegów, których mógłbym spotkać, a którzy nie byliby w stanie mnie rozpoznać. Mógłbym spokojnie zatrzymać się na rogu ulicy, wyciągnąć rękę i powtarzać jeden z refrenów, które słyszałem każdego dnia: „Hej bracie, masz jakieś drobne?”, „Jestem weteranem z Wietnamu. Zechcesz mi pomóc?”. Jestem pewny, że gdybym tak zrobił, redaktor naczelny „Der Spiegel”, dokonujący w Nowym Jorku świątecznych zakupów, dałby mi w rozkojarzeniu dwudziestopięciocentową monetę, nie zdając sobie sprawy, że to ja.

Ja? Jaki ja? Na pewno nie ten, którego jeden z moich najstarszych przyjaciół - jeden z niewielu, którzy wiedzieli, dlaczego jestem w Nowym Jorku - znał i widywał regularnie od trzydziestu lat. Właśnie przyjechał z Hongkongu i zatrzymał się w Essex House, hotelu położonym dwa kroki od mojego mieszkania.

- Wyjdę ci naprzeciw. Idź w stronę Columbus Circus - powiedziałem mu przez telefon.

Już z daleka natychmiast go zobaczyłem, on nie. Przeszedł obok, nawet się o mnie otarł i wciąż patrzył przed siebie, próbując rozpoznać starego przyjaciela pośród nadchodzących z naprzeciwka ludzi.

Podwójne światło miasta

W Indiach się mówi, że najpiękniejsza pora to świt, kiedy noc unosi się jeszcze w powietrzu, a dzień w pełni nie nastał, kiedy rozróżnienie między mrokiem a światłem nie jest jeszcze wyraźne. Jeśli człowiek chce, jeśli skupi uwagę, to przez kilka chwil może wyczuć, że wszystko, co wydaje mu się w życiu kontrastem: ciemność i światło, fałsz i prawda, są tylko dwoma aspektami tej samej rzeczy. Różnią się, ale niełatwo je rozdzielić, są odmienne, ale „nie dwa”. Jak mężczyzna i kobieta - tak cudownie różni - którzy w czasie miłosnego aktu stają się Jednym.

Jest to pora, kiedy w Indiach - jak się mówi - rysziowie, „ci, którzy widzą”, rozmyślają samotnie w swoich oddalonych, lodowych jaskiniach w Himalajach, wprowadzając do powietrza ładunek pozytywnej energii i pozwalając w ten sposób początkującym zajrzeć, właśnie o tej godzinie, do swego wnętrza w poszukiwaniu wyjaśnienia wszystkiego.

Nie wiem, gdzie rozmyślali amerykańscy rysziowie, ale świt również w Nowym Jorku był dla mnie najpiękniejszą porą, kiedy powietrze naprawdę wydawało mi się bardziej naładowane nadzieją i czymś dobrym. Oczywiście działa się tak dlatego, że pierwsze, dodające otuchy promienie nowego słońca rozpraszały, szczególnie w przypadku osoby chorej, nocne niepokoje. Poza tym pogrążone jeszcze we względnej ciszy miasto, bez tłumy mieszkańców, przeżywało swój poetycki moment: z papierami unoszącymi się niczym mewy nad szerokimi, prostymi i opustoszałymi ulicami, pojedynczymi taksówkami, przejeżdżającymi powoli w poszukiwaniu pierwszego klienta, i włączkami, skulonymi jeszcze na swoich posłaniach, rozłożonych na instalacjach wentylacyjnych metra. Tajemnicze otwory rozproszone tu i tam na asfalcie wypuszczały w powietrze dziwne słupy białej pary, jakby to były nozdrza smoków uśpionych jeszcze w gorących trzewiach tego nadzwyczajnego serca Nowego Jorku, jakim jest Manhattan.

W podwójnym świetle owej godziny samo miasto wydawało się zadumane, skupione na sobie, skoncentrowane na swoim bycie, zanim stanie się polem bitwy niezliczonych, zachłannych wojen o przeżycie i władzę, toczonych na biurkach i w łóżkach domów, na stołach restauracji, na ulicach i w parkach.

Bardzo lubiłem Nowy Jork. Kiedy miałem siłę, uwielbiałem przemierzać miasto pieszo wzdłuż i wszerz, czasami przez kilka godzin w rzędu. Niekiedy nie mogłem jednak nie czuć brzemienia pracy, bólu i cierpienia, kryjącego się w każdym z jego drapaczy chmur. Patrzyłem na siedzibę Narodów Zjednoczonych i myślałem o tych wszystkich słowach i kłamstwach, o tym, ile spermy i łez wylewano w daremnych próbach zapanowania nad ludzkością, czego nie da się zrobić, ponieważ jedyną rządzącą nią zasadą jest chciwość i każda jednostka, rodzina, miasteczko czy naród myśli tylko o swoim, nigdy o naszym. Przechodziłem obok Plaza Hotel, mijałem Waldorf Astoria, wielkie, słynne nowojorskie hotele, w których zatrzymywali się i wciąż zatrzymują dyktatorzy, głowy państw i szefowie rządów, szpiedzy i szacowni zabójcy z połowy świata. Myślałem wówczas o podjętych tam decyzjach i zawiązanych w hotelowych pokojach spiskach, które odmieniły losy wielu krajów, obalając ich reżimy, mordując opozycjonistów albo powodując zniknięcie uwięzionych dysydentów.

Patrzyłem na szyldy banków, na flagi trzepoczące na budynkach wielkich wielonarodowych spółek mających różne intencje, jednak wszystkich, bez wyjątku, zakorzenionych tutaj, i wyobrażałem sobie, jak jakiś facet w krawacie - ktoś, na kogo nikt nie głosował, którego nazwisko mało kto słyszał, kto wymyka się kontroli wszystkich parlamentów i wszystkich sędziów świata - postanowi w ciągu kilku

godzin, w imię przynajmniej zasady zysku, wycofać miliardy dolarów zainwestowanych w jednym kraju, żeby przenieść je do innego, skazując w ten sposób całe rzesze ludności na nędzę.

Całe racjonalne szaleństwo współczesnego świata było skupione właśnie tam, na tych niewielu cudownych, witalnych kilometrach kwadratowych cementu, rozciągających się między East River a Hudsonem, pod przejrzystym niebem, zawsze gotowym odbijać pomarszczony blask wody. Było to kamienne serce rozprzestrzeniającego się, beznadziejnego materializmu, który zmienia całą ludzkość - stolica tego nowego, okrutnego imperium, w którego stronę wszyscy jesteśmy popychani, którego wszyscy stajemy się poddanymi, a wobec którego czułem zawsze jakiś instynktowny opór: imperium globalizacji.

I znalazłem się właśnie tam, w ideologicznym centrum tego wszystkiego, co mi się nie podoba, żeby prosić o pomoc, szukać ratunku! Zdarzyło mi się to zresztą nie po raz pierwszy. Gdy miałem trzydzieści lat, przyjechałem tu, sfrustrowany pięcioletnią pracą w przemyśle, żeby rozpocząć nowe życie, zgodne z moimi pragnieniami. Teraz wróciłem, aby zyskać na czasie, kiedy to życie dobiegało końca. Również za pierwszym razem silnie odczuwałem głęboką sprzeczność między naturalną wdzięcznością za to, co Ameryka mi dawała - dwa lata opłacanej wolności, żebym mógł studiować język i sprawy chińskie na Columbia University, przygotowując się do pracy dziennikarskiej w Azji - i pogardą, niechęcią, czasami wręcz nienawiścią do tego, co poza tym sobą reprezentowała.

Kiedy w 1967 roku, pełni entuzjazmu, zeszliśmy z Angelą na ląd w Nowym Jorku ze statku Leonardo da Vinci, który tydzień wcześniej wziął nas na pokład w Genui, Ameryka próbowała, w brudnej i nierównej wojnie, narzucić swoją wolę biednemu azjatyckiemu narodowi, uzbrojonego tylko we własny opór: Wietnamowi. Teraz z kolei, na drodze dużo bardziej wyszukanej, mniej widocznej i przez to trudniejszej do odparcia agresji, usiłowała narzucić światu - wraz ze swymi towarami - swoje wartości, prawdy, definicje dobra i sprawiedliwości, postępu i... terroryzmu.

Czasami na widok eleganckich panów z ich małymi walizkami z pięknej skóry, wchodzących do wielkich, słynnych budynków przy Piątej Ulicy czy Wall Street, nachodziło mnie podejrzenie, że są to ludzie, których należy się wystrzegać. W ich torbach, pod płaszczkiem „planów rozwoju”, kryły się projekty czasem zupełnie tam zbędnych, trujących fabryk, groźnych elektrowni jądrowych, nowych, szkodliwych stacji telewizyjnych, które raz wprowadzone do kraju przeznaczenia, mogły wyrządzić więcej krzywd i spowodować więcej ofiar niż niejedna bomba. Czyżby to oni byli prawdziwymi „terrorystami”?

Wraz z zapełniającymi się zaraz po świcie ulicami Nowy Jork tracił w moich oczach swój czarujący wygląd i czasami jawił mi się jako potworna zgraja zdesperowanych ludzi, z których każdy gonił za jakimś marzeniem o smutnym bogactwie albo o nędznym szczęściu.

O ósmej Piąta Ulica, na południe od Central Parku, krok od mojego domu, była już pełna ludzi. Powiew zapachu kupowanych zazwyczaj na lotniskach perfum wypełniał mi nozdrza za każdym razem, gdy jakaś kobieta, biegnąc z charakterystycznym pudełkiem śniadaniowym w ręku, mijala mnie, żeby wejść do któregoś z okolicznych drapaczy chmur. Co za sposób rozpoczynania dnia! Myślałem o florentyńczykach, którzy wchodząc do baru Petrarca przy Porta Romana, nie zamawiali po prostu kawy, ale kawę „wysoką”, albo „macchiato”, „w szklance” albo „w filiżance”, „kremowe cappuccino bez pianki” albo „mocny napar w szkło”, i o młodym Francescu, który zwraca uwagę na upodobania wszystkich klientów. Dla większości ludzi w Nowym Jorku kawa to kwaśna lura w

papierowym kubeczku z plastikową pokrywką w kształcie smoczka, żeby można ją było sączyć, jeszcze parzącą, w drodze do pracy.

Tłum o tej porze składał się głównie z ludzi młodych, pięknych i twardych: nowa rasa wyrosła w siłowniach i żywiona w Vitaminshopach. Jeśli chodzi o niektórych starszych mężczyzn, miałem wrażenie, jakbym już ich widział w Wietnamie: wtedy jako oficerów marines, a teraz - nadal wyprostowanych i szczupłych w mundurach biznesmenów, wciąż „oficerów” tego samego imperium - zajętych zmienianiem reszty świata w część ich globalnej wioski.

Kiedy przebywałem w Nowym Jorku, miasto nie zostało jeszcze zranione straszliwym atakiem z 11 września i dwie wieże, smukłe i potężne, rysowały się na tle panoramy Downtown. Nie znaczyło to wcale, że Ameryka była wtedy krajem pozostającym w zgodzie z samym sobą i z resztą świata. Choć Amerykanie nigdy nie musieli walczyć na swoim terenie, od z górą pół wieku nie przestali czuć, że są - a często i byli - w stanie wojny: najpierw z komunizmem, z Mao, z partyzantami w Azji i rewolucjonistami w Ameryce Łacińskiej; potem z Saddamem Husajnem, a teraz z Osamą bin Ladenem i islamskim fundamentalizmem. Nigdy w stanie pokoju, zawsze gotowi do ataku. Bogaci i potężni, ale wciąż niespokojni i niezadowoleni.

Któregoś dnia, podczas lektury „New York Timesa”, uderzyła mnie informacja dotycząca badań przeprowadzonych przez London School of Economics na temat szczęścia na świecie. Wyniki były zaskakujące: najszczęśliwszy okazał się jeden z najbiedniejszych krajów, Bangladesz. Indie znajdowały się na piątym miejscu. Stany Zjednoczone na czterdziestym szóstym!

Czasami odnosiłem wrażenie, że pięknem Nowego Jorku cieszy się naprawdę niewielu. Poza mną, którego jedynym zajęciem były przechadzki, i jakimiś żebrakami podejmującymi dyskusję z wiatrem, wszyscy, których widywałem, robili wrażenie, jakby ich wyłącznym celem było przeżycie i niedopuszczenie, aby cokolwiek ich przygniotło. Wciąż na polu walki, tocząc jakąś wojnę.

Konfliktem, który mnie zadziwił, gdyż przez ponad dwadzieścia pięć lat mieszkałem w Azji, okazała się wojna płci, zresztą jednostronna: kobiet przeciwko mężczyznom. Siedząc pod wielkim drzewem w Central Parku, obserwowałem te kobiety: zdrowe, twarde, pewne siebie, przypominające roboty. Najpierw mijały mnie spocone podczas codziennego joggingu, w bardzo obcisłych, prowokacyjnych strojach, z włosami związanymi w koński ogon; potem pojawiały się w swoich biurowych mundurkach - czarnym kostiumie, czarnych butach, z czarną torbą na laptop - z rozpuszczonymi włosami, wilgotnymi jeszcze po prysznicu.. Piękne i lodowate, również fizycznie aroganckie i pogardliwe. Wszystko to, co moje pokolenie uznawało za „kobiece”, znikło, celowe wyparte przez tę nową, perwersyjną ideę eliminowania wszelkich różnic, czynienia wszystkich jednakowymi, natomiast kobiet brzydkimi kopiami mężczyzn.

Mój syn Folco, także wychowany w Azji, opowiedział mi kiedyś, że kilka dni po przybyciu na studia w New York University Film School, próbował otworzyć drzwi sali, żeby przepuścić koleżankę, a ta zmroziła go słowami:

- Ej ty, myślisz, że nie jestem w stanie sama otworzyć tych pieprzonych drzwi?

Myślałem, że to wyjątek. Nie, okazało się, że reguła. A im bardziej kobiety rozwijają mięśnie i arogancję, tym bardziej mężczyźni stają się wystraszeni i niezdecydowani. Jeśli są konieczni do splodzenia dziecka, zdarza się, że wzywa się ich w potrzebie, a potem, po użyciu, odsyła do domu.

Efekt? Jak mi się zdawało, dojmujące poczucie nieszczęścia, szczególnie jeśli to - co zdarzało mi się obserwować w milczeniu spod drzewa albo z okna - było drugim aktem tej samej historii: bardzo wiele samotnych kobiet, czterdziesto-, pięćdziesięcioletnich, często z papierosem w ustach, wyprowadzało na spacer psa, który nosił być może imię jakiegoś mężczyzny z przeszłości.

- Bill, chodź tu do mnie. Nie, Bill, nie przechodź sam przez ulicę. No, Bill, chodź już, wracamy do domu.

Były to te same kobiety, które przed laty biegały, żeby wyrzeźbić sobie piękne ciało, teraz już trochę podstarzałe; te same, których młodość minęła na marzeniach o rzekomej wojowniczej wolności, zakończonej teraz samotnie. Zostały im tylko drobne, nerwowe tiki, zmarszczki i - przynajmniej w odczuciu mnie jako obserwatora - głęboka melancholia.

Często przypominałem sobie kobiety hinduskie, wciąż bardzo kobiece, pewne siebie w jakże odmienny sposób, zyskujące jeszcze na atrakcyjności w wieku czterdziestu czy pięćdziesięciu lat. Nie atletyczne, ale w naturalny sposób piękne. Naprawdę inna strona księżycy. Poza tym - podobnie jak kobiety europejskie z pokolenia mojej matki - zawsze stanowiące część rodziny, grupy, nigdy niepozostawione sobie samym.

Z okna mojego mieszkania często byłem świadkiem prawdziwej „przeprowadzki”. Widywałem dziewczyny, które przybywały do Nowego Jorku z drugiego krańca Ameryki z całym życiem zamkniętym w jednej torbie. Wyobrażałem sobie każdą z nich, jak czyta ogłoszenia w prasie, znajduje pokój do wynajęcia, salę gimnastyczną, gdzie może uprawiać aerobik, i zajęcie przed ekranem komputera. Widziałem w myślach, jak w czasie przerwy obiadowej idzie do baru sałatkowego, gdzie zjada na stojąco plastikowym widelczykiem ekologiczne warzywa na wagę nałożone szczypczykami do pojemnika z przykrywką. A wieczorem? Kurs - jogi kundalini, który obiecuje rozbudzić całą energię seksualną do tego potencjalnie boskiego aktu, który dzisiaj został sprowadzony w najlepszym razie do... punktowanych osiągnięć sportowych: John bije Boba cztery do dwóch.

W końcu również ta dziewczyna, zwabiona niczym ćma światłami Nowego Jorku, skończy w wielkim ognisku ludzkości, która nieustannie doładowuje swoją energią życiową to jakże szczególne miasto. Za dziesięć, dwadzieścia lat może się zdarzyć, że będzie jedną z tych zasmuconych, milczących i wystraszonych kobiet, bez żadnego przyjaciela czy krewnego, które widywałem siedzące na fotelach w MSKCC w oczekiwaniu na operację czy też wynik jakiegoś budzącego niepokój badania.

Być może, żyjąc w samotności, traci się poczucie miary. Ale w zamian, milcząc, stajemy się bardziej wrażliwi na odbiór. Zdarzało mi się więc podczas spacerów wychwytywać fragmenty dyskusji, jakieś wypowiedziane kwestie, które jeszcze długo potem brzmiały mi w uszach. Odnosiłem wrażenie, że ludzie mówią przede wszystkim o pieniądzach, problemach i konfliktach. Większość rozmów zdawała mi się kłótniami, natomiast słowa - naładowane napięciem i agresywnością.

Jest odrażający, po prostu odrażający. Jak dziecko - mówi jakaś kobieta.

Być może ma na myśli męża. W każdym razie nie wiedziałem, że dzieci są odrażające. Pewnego dnia wróciłem do domu ze słowem „okrutny” w głowie: usłyszałem je w trzech różnych wypowiedziach. Najprzyjemniejsza rzecz zdarzyła się pewnego ranka, kiedy usłyszałem słowa jednego z ogrodników z

Central Parku. Kończąc pogawędkę z kimś, kogo nie widziałem, bo był schowany za żywopłotem, powiedział:

...i bardzo proszę opiekować się malcem.

„Malec”, którym tamten miał się zajmować, okazał się trzymanym przez niego na smyczy pieskiem.

Na pierwszy rzut oka jest w Amerykanach coś ujmującego, ciepłego. Urzędnik imigracyjny, który kontrolował mój paszport i papiery wjazdowe na lotnisku, zapytał, w jakim celu przyjechałem do Stanów Zjednoczonych.

Żeby się leczyć na raka - odparłem.

Spojrzał na mnie z sympatią.

Powodzenia - powiedział i uprzejmie wbił mi zwykłą, trzymiesięczną wizę, dodając do niej współczujący uśmiech.

Szybko jednak zdajemy sobie sprawę, że ta gotowość, ten przyjacielski, niemal rodzinny sposób wchodzenia w relacje to tylko technika, rodzaj sztuczki, którą opanował każdy Amerykanin i której nikt już się nie dziwi. W rzeczywistości każdy kontakt międzyludzki traktuje się podejrzliwie, a życie to nieustanna obrona przed kimś albo przed czymś. W wielkich sklepach każda wystawiona na sprzedaż chusteczka zaopatrzona jest w elektroniczny czujnik, który - jeśli nie zostanie odłączony przy kasie - uruchamia system alarmowy przy drzwiach wyjściowych. Księgarnie, sklepy z płytami i z ubraniami znajdują się pod nieustanną obserwacją strażników w cywilnych strojach, którzy krążą ze słuchawkami w uszach, jakby byli tajnymi agentami wyznaczonymi do ochrony prezydenta. Wszystkie transakcje poddawane są szczegółowej kontroli, ponieważ istnieje podejrzenie, że każdy klient może być oszustem, a karta kredytowa, którą płaci, została skradziona. Z niektórych sklepów musiałem natychmiast wyjść, proszono mnie bowiem, abym zostawił przy kasie moją skromną indyjską torbę z materiału. Najwyraźniej przypuszczano, że zamierzam napełnić ją skradzionym towarem.

Spółczeństwo, którego członkowie wyrażają głęboką, wzajemną nieufność i w którym nie istnieje świadomość wspólnych dla wszystkich wartości - odczuwanych, zanim jeszcze staną się zapisanym systemem - wciąż musi się odwoływać do prawa i sędziów, żeby regulować różne powstające w jego łonie powiązania. Taka jest Ameryka: wszystkie stosunki społeczne, nawet te najbardziej intymne, obciążone są ciągłą obawą przed możliwą ingerencją prawną. Zagrożenie jest trwałe, a adwokaci stali się straszakami każdego związku opartego na przyjaźni, miłości, współpracy czy zaufaniu. Nowym, typowo amerykańskim sposobem zarabiania pieniędzy, jest oskarżenie jakiegoś wielkiego przedsiębiorstwa o dyskryminację rasową, własnego szefa o molestowanie seksualne, kochanka o gwałt, a lekarza o zaniedbanie.

W szpitalu przed każdym badaniem musiałem podpisywać papiery, które zwalniały instytucję z wszelkiej odpowiedzialności w razie jakiegoś wypadku. Na przykład przed endoskopią musiałem obejrzeć film, w którym tłumaczono między innymi, jakie jest procentowe ryzyko, że nie obudzę się z narkozy.

- Zrozumiał pan, prawda? Proszę tu podpisać - mówiła, świadoma absurdalności tej sytuacji, pielęgniarka włoskiego pochodzenia. Potem, dla dodania otuchy, śpiewała mi Volare, podczas gdy pierwsze krople owej magicznej mieszanki środków usypiały mnie, szczęśliwego, że leżę na idealnie czystym łóżku, w otoczeniu fachowych, skutecznych i znakomicie wyszkolonych ludzi. Również oni byli wytworem owego społeczeństwa, na które czasami w duchu tak bardzo się złościłem, a któremu teraz powierzyłem się z ufnością, aby przeżyć.

Nie byłem jedynym, który przybył do Ameryki w poszukiwaniu jakiegoś ratunku. Gdziekolwiek się obróciłem, znajdowałem jakiegoś towarzysza tej drogi nadziei. Wszyscy portierzy w mojej kamienicy byli imigrantami: starzy pochodzili z Haiti, najmłodszy z Kosowa. Kioskarz na rogu był Pakistańczykiem, właściciel sklepu z owocami Koreańczykiem, chłopak, stojący na zimnie przed sklepem i sprzedający kwiaty, przyjechał z Ekwadoru. Taksówki, którymi jeździłem do szpitala, kiedy moje ciało spóźniało się na wyznaczone wizyty albo kiedy lało jak z cebra, a ono mogło ryzykować przeziębienia podczas spaceru przez Central Park, niemal wszystkie bez wyjątku były prowadzone przez nowych imigrantów. Wystarczyło spojrzeć na tabliczkę ze zdjęciem i nazwiskiem, jaką każdy kierowca jest zobowiązany umieścić wewnątrz samochodu. Wielu było Haitańczykami - bardzo szczęśliwymi, jeśli się ich natychmiast rozpoznawało i zwracało do nich po francusku - inni pochodzili z Bangladeszu, niektórzy z Afryki - bardzo ważne, żeby nie brać ich za czarnoskórych Amerykanów - jeszcze inni okazywali się rosyjskimi Żydami. Ci ostatni byli, przynajmniej dla mnie, najbardziej interesujący. W pewien sposób się do nich przywiązałem. Ich pobratymców poznałem w Azji Środkowej, kiedy imperium sowieckie rozpadało się, poszczególne republiki uzyskiwały niepodległość, a oni, traktowani jak obywatele drugiej kategorii - zarówno przedtem, jak i potem - mieli tylko jedno dążenie: wyemigrować do Izraela albo do Stanów Zjednoczonych.

Kiedy przyjechał pan z Rosji? - pytam jednego z nich.

Nie z Rosji, tylko z byłego Związku Radzieckiego... pochodzę z Mołdawii, jesteśmy Europejczykami.

Jak się pan tutaj czuje? Podoba się panu Ameryka?

Patrzy na mnie w lusterku wstecznym, żeby się upewnić, czy nie popełni gafy:

Ameryka? Ameryka to gułag, obóz pracy z dobrym jedzeniem. Kiedy mówię to głośno, niektórzy się obrażają, ale co mogę zrobić: oni są Amerykanami, ale teraz ja też jestem Amerykaninem.

Próbował wyemigrować już w 1979 roku, ale udało mu się wyjechać dopiero w 1991. Mieszka w Brighton Beach w Brooklynie. Kiedyś była to czarna dzielnica, gdzie nawet McDonald's musiał zamknąć swój lokal; teraz to część miasta, która przeżywa wielki rozwój, zamieszкана niemal wyłącznie przez Żydów rosyjskiego pochodzenia, z ich sklepami, restauracjami i synagogami.

W dawnym Związku Radzieckim - jak upiera się nazywać kraj swojego pochodzenia - był biznesmenem.

- Kupowałem meble za dwadzieścia tysięcy rubli i odsprzedawałem je za pięćdziesiąt, parę butów za osiemdziesiąt rubli sprzedawałem za sto dwadzieścia. I to wszystko bez podatku od sprzedaży i bez podatku dochodowego. Za najpiękniejsze w dawnym Związku Radzieckim uważam brak podatków.

To, co robiłem, było niebezpieczne, wciąż ryzykowałem więzieniem, ale udało mi się go uniknąć. Tam byłem wolny. Tutaj wmawiają mi, że jestem wolny, ale nikt nie jest wolny w Ameryce, nawet prezydent. Mówią, że jestem wolny finansowo. To nieprawda. Ta taksówka jest rzekomo moja, ale naprawdę należy do banków. Wszyscy jesteśmy niewolnikami jakichś menedżerów, którzy z kolei są niewolnikami kogoś innego.

Kiedy w byłym Związku Radzieckim kobieta rodziła dziecko - kontynuował - zostawała w domu na wiele miesięcy. Tutaj dwa tygodnie po porodzie moja żona została wezwana przez swojego szefa i musiała wrócić do pracy: po dwóch tygodniach! Jestem wdzięczny Stanom Zjednoczonym za to, że dały mi obywatelstwo. Dzięki temu uniknąłem wojny domowej w 1994 roku, śmierci i zabijania, ale tutaj nie ma życia. Wczoraj wyszedłem z domu o szóstej rano, wróciłem o wpół do dziesiątej wieczorem, żeby znów wyjść dzisiaj o szóstej. Lepiej bym zrobił, gdybym spał w samochodzie.

I nie dotyczy to tylko mnie - mówił dalej. - Tutaj wszyscy tak żyją, także bogacze, którzy mieszkają tam, gdzie pan, albo przy Park Avenue. Wiem, bo wożę ich do biur. Wzywają taksówkę, a kiedy wsiadają, nie są nawet w stanie zatrasnąć drzwiczek, bo w jednej ręce trzymają papierowy kubek z kawą, a w drugiej bajgla lub kanapkę. Kiedy mówią, dokąd mam ich zawieźć, nie rozumiem, bo mają pełne usta.

Kiedy wysiadają, wciąż mają obydwie ręce zajęte i znów nie mogą zamknąć drzwi. W byłym Związku Radzieckim mieliśmy czas dla rodziny, na długie spacery i rozmowy z przyjaciółmi. Tutaj jestem w stanie wziąć góra dziesięć dni urlopu rocznie, a i tak nie wypoczywam, bo wiem, że kiedy mnie nie ma, skrzynka pocztowa wciąż zapełnia się rachunkami do zapłacenia.

Po rozpadzie Związku Radzieckiego w 1991 roku ponad pół miliona Żydów przyjechało do Stanów Zjednoczonych, bardzo wielu do Nowego Jorku. W dodatku są to osoby wykwalifikowane. W tym właśnie kryje się sekret wielkiej witalności Ameryki, a szczególnie Nowego Jorku: wciąż nowe fale imigrantów, gotowych na największe poświęcenia, żeby im się powiodło. W latach trzydziestych i czterdziestych przyjechali Żydzi z Niemiec i innych krajów europejskich, potem Chińczycy, Koreańczycy i Wietnamczycy; teraz znowu Chińczycy i Hindusi, i jeszcze Żydzi, tym razem z byłego Związku Radzieckiego.

Dla ogromnego kraju, którego pierwotni mieszkańcy - Indianie - zostali metodycznie ograbieni i wymordowani, imigracja stała się przyrodzoną koniecznością, a wieloetniczność jej oczywistą konsekwencją. To ciekawe, że te fakty, wynikające częściowo z prawdziwego ludobójstwa, są dzisiaj przedstawiane jako wzorcowe, jako zaleta. W oparciu o to ich bardzo szczególne doświadczenie Stany Zjednoczone propagują mit przyszłego społeczeństwa: globalnego, wielorasowego, wielokulturowego, przypominającego światowy potpourri, który - odnawiając się nieustannie - gwarantowałby żywotność i rozwój.

Prawda jest taka, że nie ma globalnych recept na problemy wszystkich narodów, a najlepsze są zawsze te, które liczą się z lokalnymi uwarunkowaniami. To, co sprawdza się w Ameryce, niekoniecznie zadziała gdzie indziej, a to, co jest szkodliwe w jednym miejscu, nie musi być takie samo w drugim.

Dotyczy to nawet medycyny. Jeśli mieszkańiec Nowego Jorku odżywałby się tak samo jak ktoś z Ladakhu, szybko zmarłby na zawał serca ze względu na typowe dla północnych Indii ogromne ilości

masła oraz całkowity brak owoców i warzyw. A przecież choroby serca są tam prawie nieznanne, ponieważ ludzie żyją na otwartym powietrzu, jedzą produkty ekologiczne i nie potrzebują siłowni, żeby zachować formę. Mieszkańcy Ladakhu dużo chodzą i pracują, nie wiedzą, czym jest stres, i żyją w wielkim spokoju ducha. Mają również swój sposób na zwalczanie chorób! Na przykład kobiecie cierpiącej na zapalenie wątroby, amchi, lokalny lekarz-szaman przepisuje kurację polegającą na „silach i intensywnych stosunkach seksualnych”. Rezultat zaskakuje nawet angielską antropolog Helenę Norberg Hodge, która przywołuje tę historię w swojej pięknej książce Archaiczna przyszłość (Ancient Futures): „Po paru dniach stan zdrowia kobiety znacznie się poprawił”.

Nigdzie bardziej niż w Ameryce nie czułem się Europejczykiem, uzbrojonym w europejskie korzenie i europejskie nadzieje. Przyjechałem tu, żeby znaleźć remedium na moje perypetie zdrowotne, ale czułem, że metody proponowane przez ten kraj nie zawsze są właściwe dla rozwiązywania cudzych problemów. Typowym przykładem wydawała mi się imigracja. Nie ma wątpliwości, że będzie stanowić jeden z podstawowych dylematów przyszłości zachodniego świata, jednak Europa, ze swoją historią i uwarunkowaniami społecznymi, całkowicie odmiennymi od panujących w Stanach Zjednoczonych, popełniłaby wielki błąd, przyjmując amerykańskie rozwiązania.

Pomyślałem o słowach Luciana, starego przyjaciela, którego florenckie korzenie sięgają wielu wieków wstecz: - Trochę Marokańczyków, Senegalczyków, Tunezyjczyków i Albańczyków nie zaszkodzi, ale w pewnym momencie trzeba powiedzieć „basta”. Bo inaczej jeśli pewnego dnia będzie referendum, mające zdecydować, czy zburzyć katedrę i w jej miejsce zbudować parking, oni zagłosują za zburzeniem.

Rasizm to przede wszystkim kwestia liczb i taka reakcja była typowa.

Mimo całej retoryki dotyczącej globalnego społeczeństwa w samej Ameryce problem bynajmniej nie jest rozwiązany. Co się stało z czarnoskórymi Amerykanami, którzy w czasach mojego pierwszego pobytu - z górą trzydzieści lat temu - jak się wydawało, zdołali się wyzwolić i znaleźć własną drogę włączenia się w nurt społeczeństwa? Są coraz bardziej spychani na margines, do własnych gett, coraz bardziej odurzani narkotykami. Każda nowa fala emigracji potęguje regres czarnoskórej ludności.

Imigranci są przepełnieni nadzieją, gotowi do poświęceń i pracy. Ameryka sprawia wrażenie, że może im się udać: jeśli nie w pierwszym pokoleniu, to w drugim albo w trzecim. W przypadku czarnoskórych jest inaczej. Przeminięły kolejne pokolenia i tak naprawdę nic się nie zmieniło. Czują się ofiarami. Nie mają już nadziei i jak chorzy, którzy przestali wierzyć w możliwość wyzdrowienia, odpuszczają. Są wykończeni. W przeciwieństwie do imigrantów chińskich, hinduskich czy rosyjskich, którzy mierzą się z drabiną społeczną i ekonomiczną, mogąc liczyć na pomoc swojej solidnej, tradycyjnej rodziny, stojącej zawsze za swoimi murem, Afroamerykanie nie mają już nawet takiego wsparcia. Dla nich rodzina przestała istnieć: siedemdziesiąt pięć procent czarnoskórych noworodków jest owocem związków pozamałżeńskich.

Wystarczyło rozejrzeć się wokół, aby zdać sobie sprawę, że mimo wszystkich pretensji do demokracji amerykańskie społeczeństwo jest jeszcze bardzo podzielone i nierówne. Niektóre obrazy przypominały mi czasy apartheidu w Johannesburgu, gdzie mieszkałem na początku lat sześćdziesiątych. W ciągu dnia całe miasto było białe: biali ludzie na ulicach, biali w biurach i

sklepach. Dopiero wieczorem, kiedy zamykano wszystkie instytucje i życie w centrum zamierało, jak spod ziemi wyływała rzeka rdzennych Afrykanów, którzy utrzymywali cały ten system przy życiu, zmiatali, czyścili i wsiadali do swoich autobusów „tylko dla czarnych”, żeby wrócić do townships. W Nowym Jorku było podobnie:

niektóre dzielnice, całe odcinki i przystanki metra zdawały się zarezerwowane dla tej czy innej rasy, natomiast przez metalowe drzwi prowadzące do podziemi restauracji i supermarketów wychodzili tylko czarni i Latynosi, niosąc pojemniki ze śmieciami. Nawet pejzaż ludzki w moim ukochanym Central Parku, cudownie utrzymanym przez prywatne stowarzyszenie zamożnych pań, które przejęły zarządzanie nad tym terenem, zmieniał kolor w zależności od pory dnia: ranek należał niemal wyłącznie do białych biegaczy, rowerzystów, właścicieli psów, obserwatorów ptaków i spacerowiczów, po czym robiło się stopniowo coraz ciemniej wraz z pojawieniem się czarnoskórych nianiek, które po dziewiątej wyprowadzały na spacer dzieci białych rodziców, uwięzionych już w swoich biurach.

Jedną z najwspanialszych umiejętności Ameryki jest zdolność tworzenia swojego skrajnie korzystnego wizerunku, wiary w ten obraz i powodowania, żeby również inni w niego uwierzyli. Zasadniczą rolę w tym względzie odgrywa przemysł filmowy. Zarówno dla Amerykanów, jak i dla dużej części opinii publicznej połowy świata znajomość amerykańskiej historii kształtują nie książki, ale filmy. Amerykanie to zawsze „nasi”, którzy przybywają we właściwym momencie, aby przeciwstawić się w słusznej sprawie „dzikim czerwonoskórym”; to zawsze ci „dobrzy” - w walce z nazistami, komunistami, partyzantami, terrorystami czy „obcymi”.

Hollywood nie ucieka przed konfrontacją z licznymi problemami amerykańskiego społeczeństwa, ale ma sobie tylko właściwy sposób przedstawiania ich i rozwiązywania za pomocą happy endu, który jest zarówno z ideologicznego, jak i komercyjnego punktu widzenia obowiązkowy dla każdej historii. Demokracja, równość, sprawiedliwość to wartości, które ewidentnie przegrywają w rzeczywistości, natomiast w jej przedstawianiu znajdujemy nieustannie ich potwierdzenie. Fikcja zajmuje miejsce informacji, a propaganda - prawdy.

niektóre dzielnice, całe odcinki i przystanki metra zdawały się zarezerwowane dla tej czy innej rasy, natomiast przez metalowe drzwi prowadzące do podziemi restauracji i supermarketów wychodzili tylko czarni i Latynosi, niosąc pojemniki ze śmieciami. Nawet pejzaż ludzki w moim ukochanym Central Parku, cudownie utrzymanym przez prywatne stowarzyszenie zamożnych pań, które przejęły zarządzanie nad tym terenem, zmieniał kolor w zależności od pory dnia: ranek należał niemal wyłącznie do białych biegaczy, rowerzystów, właścicieli psów, obserwatorów ptaków i spacerowiczów, po czym robiło się stopniowo coraz ciemniej wraz z pojawieniem się czarnoskórych nianiek, które po dziewiątej wyprowadzały na spacer dzieci białych rodziców, uwięzionych już w swoich biurach.

Jedną z najwspanialszych umiejętności Ameryki jest zdolność tworzenia swojego skrajnie korzystnego wizerunku, wiary w ten obraz i powodowania, żeby również inni w niego uwierzyli. Zasadniczą rolę w tym względzie odgrywa przemysł filmowy. Zarówno dla Amerykanów, jak i dla dużej części opinii publicznej połowy świata znajomość amerykańskiej historii kształtują nie książki, ale filmy. Amerykanie to zawsze „nasi”, którzy przybywają we właściwym momencie, aby przeciwstawić się w słusznej sprawie „dzikim czerwonoskórym”; to zawsze ci „dobrzy” - w walce z nazistami, komunistami, partyzantami, terrorystami czy „obcymi”.

Hollywood nie ucieka przed konfrontacją z licznymi problemami amerykańskiego społeczeństwa, ale ma sobie tylko właściwy sposób przedstawiania ich i rozwiązywania za pomocą happy endu, który jest zarówno z ideologicznego, jak i komercyjnego punktu widzenia obowiązkowy dla każdej historii. Demokracja, równość, sprawiedliwość to wartości, które ewidentnie przegrywają w rzeczywistości, natomiast w jej przedstawianiu znajdujemy nieustannie ich potwierdzenie. Fikcja zajmuje miejsce informacji, a propaganda - prawdy.

W Ameryce przemysł reklamowy i public relations stały się już dwoma niezwykle wyszukаныmi systemami manipulacji umysłem ludzkim i nie istnieje już nic - począwszy od Boga, po produkty elektroniczne czy wojnę - co nie jest zresztą zapakowane w jakieś połyskujące i kolorowe pudełko oraz zaprezentowane za pomocą stosownej iluzjonistycznej formuły słownej, a następnie wypuszczone na rynek. W ten sposób prawda pozostaje zawsze przesłonięta, czasem wręcz zaniechana i zapomniana - jak fakt, że to Stany Zjednoczone były pierwszym i jak dotąd jedynym krajem, który użył bomby atomowej. Tak samo każdy odpychający epizod niesprawiedliwości, wykorzystywania i przemocy przybiera zawsze w końcu pozór happy endu - właśnie tak, jak się dzieje w filmach. Jakiś biedny imigrant haitański zostaje schwytany pewnego wieczora przez policjantów z Nowego Jorku, pobity, torturowany i zgwałcony za pomocą kija od szczotki? Słynny adwokat z Los Angeles przybędzie mu z odsieczą, „żeby jego cierpienie nie było daremne”, „żeby coś takiego nigdy więcej nikogo nie spotkało”. Dużo bardziej prawdopodobną przyczyną jest to, że gra toczy się o miliony dolarów, które władze Nowego Jorku będą musiały wypłacić temu nieszczęśliwemu... i jego adwokatowi.

Każdy kraj, do którego przybywa cudzoziemiec, wyróżnia się jakąś charakterystyczną cechą czy właściwością, której odbicie dostrzega się natychmiast w czymś albo w kimś. W Indiach była to absurdalność. Pamiętam, jak uderzyła mnie pewna historia przeczytana w gazecie, dostarczonej mi wraz ze śniadaniem pierwszego ranka w Delhi. Dopiero przybyłem do tego miasta, żeby się osiedlić. Była to historia mężczyzny, który w młodości zdobył sławę i znalazł się w Księdze rekordów Guinnessa - to zaszczyt, do którego Hindusi przywiązują wielką wagę - ponieważ zjadł więcej gwoździ, potłuczonego szkła i kamieni niż ktokolwiek inny na świecie, a teraz, stary już i zapomniany, umierał z głodu w wiosce w stanie Bihar i prosił rząd o zapomogę, by przeżyć.

W Ameryce najbardziej uderzające były dla mnie tym razem historie przemocy: czternastoletni chłopiec z dobrego domu, wzorowy uczeń, zafascynowany komputerem i grami elektronicznymi, nawiązuje przez Internet przyjaźń z czterdziestoletnim mężczyzną. Ten, po wielu pogawędkach w sieci, pewnego dnia zaprasza chłopca na spacer, po czym gwałci go - najpierw sam, a potem razem z bandą przyjaciół. Chłopiec wyznaje wszystko rodzicom, trafia pod opiekę psychoterapeuty, ale pewnego dnia, kiedy jest sam w domu, do jego drzwi puka jedenastolatek, zbierający pieniądze na targi szkolne. A ten go łapie, gwałci, dusi, wkłada do walizki i nocą porzuca w lesie.

W stanie Kentucky również czternastoletni chłopiec, błydy i wychudzony, przychodzi do szkoły i zaczyna strzelać na oślep z dwóch pistoletów, zabijając trzy dziewczyny. Naśladował innego nastolatka, który niewiele wcześniej zrobił to samo w Missisipi.

W jednej z peryferyjnych dzielnic Nowego Jorku pewien chłopak zostaje aresztowany, ponieważ świadomie zaraził AIDS „dziesiątki” (tak piszą gazety) swoich koleżanek, niektóre z nich były bardzo młode. „I tak go kocham” - oświadcza jedna z ofiar. Ma trzynaście lat. Wielkie gazety zastanawiają się, co też się dzieje z Ameryką. Komentatorzy telewizyjni mają twarze naznaczone żalem, ale

wystarczy spojrzeć na to, co różne kanały pokazują, żeby zrozumieć oczywistość: włącza się telewizor, naciska się guzik pilota zmieniający programy i niezawodnie trafia się na scenę, w której ktoś rzuca kimś o ścianę, bije, morduje, podpala, dusi lub gwałci. O każdej porze dnia i nocy! Jedno z wielu prowadzonych aktualnie badań ujawnia, że amerykańskie dziecko w ciągu roku widzi w telewizji ponad dwa tysiące zamordowanych osób.

Jednak wszystko to jest częścią postępu, ceną, jaką trzeba zapłacić w imię ogólnego rozwoju. Ale w jakim kierunku? O tym już nikt nie wspomina. Czasem zdawało mi się, żyję w świecie będącym na krawędzi katastrofy, w samym sercu coraz dziwniejszego społeczeństwa, złożonego z ludzi bardziej „zmutowanych” niż ja, którzy popadali stopniowo w szaleństwo. Któregoś dnia przeczytałem, że w celu zneutralizowania bakterii znajdujących się w mięsie, które Amerykanie spożywają w zastraszających ilościach, było ono poddawane promieniowaniu. Ale czy nie to właśnie mogło uczynić je bardziej rakotwórczym? Takiego pytania nikt nie postawił.

Innym razem przeczytałem, że w jakimś miasteczku w stanie Nowy Jork wymyślono system kamer telewizyjnych, zainstalowanych w przedszkolach, aby matki na monitorze komputera w biurze mogły widzieć, co robią ich pociechy, i spokojniej pracować. Czy lepszym rozwiązaniem nie byłoby jednak zostawienie tych matek w domu z dziećmi? To ma być ten postęp?

Również Freud pod koniec życia zastanawiał się, czy różne zdobycze, którymi chlubi się człowiek, są naprawdę znakiem postępu. Jeden z ostatnich esejów, Kultura jako źródło cierpienia, stary psychoanalityk rozpoczyna od pochwały rozwoju technologicznego, który przynosi mu, na przykład, radość z możliwości usłyszenia głosu syna oddalonego o tysiące kilometrów. Po tym jednak dodaje: Z drugiej strony, gdyby nie było wynalazku kolei, która zabrała mojego syna tak daleko, nie potrzebowałbym telefonu, żeby usłyszeć jego głos; gdyby nie zbudowano statku, nie potrzebowałbym telegrafu, żeby otrzymać wiadomości od przyjaciela z drugiego końca świata.

Patrzyłem na słupy dymu wydobywającego się z olbrzymich kominów elektrowni, znajdującej się na mojej trasie do szpitala, i myślałem o tych nieskończonych zastępach ludzi, którzy z pokolenia na pokolenie, poprzez kolejne fale imigracji, dorzucają węgiel do pieca tej nadzwyczajnej lokomotywy postępu, nowoczesności... i nowotworów. Amerykanie są największymi ekspertami w dziedzinie raka - to oczywiste - ale dlatego, że za sprawą swojego przemysłu, pożywienia, nawozów, uzbrojenia, całego stylu życia najbardziej się też przyczyniają do jego powstawania. Więcej chorych, więcej lekarzy, większe doświadczenie. Właśnie dlatego tu przyjechałem.

Były takie dni, kiedy zdawało mi się, że gdziekolwiek się obrócę, mówi się tylko o raku. Ulotka dołączona do porannej gazety ostrzegała mnie, że jeden ze zwykłych składników chemicznych prania na sucho został uznany za rakotwórczy i tylko jeden, nowy rodzaj pralni dawał pod tym względem gwarancje. Spacerowałem po Central Parku i natrafiłem na wielką manifestację tysięcy kobiet, zaangażowanych w „Marsz na rzecz leczenia raka piersi”. Włączałem radio i słyszałem dyskusję dotyczącą czynników rakotwórczych obecnych w powietrzu i wodzie, a także polis ubezpieczeniowych na wypadek choroby. Szedłem do szpitala, w którym mój kolega, znany amerykański dziennikarz, o rok młodszy ode mnie, również pacjent tego instytutu, właśnie zmarł. Czekala tam na mnie wiadomość od jego żony, która chciała się ze mną spotkać. Wydawało jej się, że odkryła coś, co łączyło pewną grupę korespondentów, którzy w krótkim odstępie czasu zapadli na tę samą chorobę: wszyscy byliśmy w Wietnamie podczas wojny i prawdopodobnie - według niej - zostaliśmy wystawieni na działanie Agent Orange, stosowanej przez Amerykanów mieszkanki

powodującej opadanie liści. Przypisywane jej są deformacje, z jakimi mimo upływu trzydziestu lat wciąż się rodzą setki dzieci w Indochinach. (Oblicza się, że Amerykanie wylali na lasy oraz pola ryżowe Wietnamu i Laosu około stu milionów litrów tej mieszanki. Po raz pierwszy w historii ludzkości zastosowano w czasie tej wojny broń chemiczną masowego rażenia. Również broń atomowa została użyta po raz pierwszy przez Amerykanów: w 1945 roku w Japonii. Jeszcze wcześniej użyli oni broni bakteriologicznej, rozdając Indianom koce nasączone wirusem ospy).

Nie sądzę, żeby to był mój przypadek, nie ma jednak wątpliwości, iż istnieje straszne powiązanie między uzbrojeniem a rakiem, tak samo jak między pewnymi produktami elektronicznymi, chemicznymi i żywnościowymi a tym schorzeniem. Przemysł spożywczy uzależnił ludzkie ciało od diety skrajnie nienaturalnej, której konsekwencje są absolutnie nieprzewidywalne. Ale kto ma ochotę tego wszystkiego dochodzić? Badania medyczne, jak zresztą wszystkie inne, finansowane są i kierowane przez wielkie koncerny przemysłowe, a one na pewno nie kwapią się do odkrycia prawdziwych przyczyn raka. Co więcej, mawia się, że „znalezienie lekarstwa na raka jest łatwiejsze niż znalezienie jego przyczyny”. A już na pewno mniej kompromitujące. I na dłuższą metę nieporównanie bardziej dochodowe: lekarstwa to korzyści. Wielkie korzyści. Poza tym poszukiwanie ich zwrócone jest ku przyszłości, zbudowane z nadziei, wspierane optymizmem, który stanowi wielki katalizator ekonomii.

Tak więc wciąż jemy, oddychamy, pracujemy i żyjemy w warunkach, które bez wątpienia powodują raka, i nie robi się nic, aby zmienić tę sytuację. W zamian podsyca się nieustannie nadzieję, że ktoś, gdzieś wynajdzie wkrótce lekarstwo pozwalające go zwalczyć. Rzecz jasna, wieści z tego frontu są zawsze „dobre”. Tytuły gazet regularnie zapowiadają „ważny przełom” i „wielki krok naprzód”. Jak mawiał również młody badacz z MSKCC, wydaje się, że wciąż jesteśmy „w przeddzień” wielkiego odkrycia, wciąż o krok od rozwiązania. Ja sam czasami, czytając nieuważnie, dawałem się złapać w pułapkę. Jakieś badanie wykazywało, że dieta oparta na produktach niegotowanych zmniejszała o ponad osiemdziesiąt procent przypadki występowania raka. Szkoda, że badanie to dotyczyło tylko kotów! Jakiś instytut farmaceutyczny zapowiadał zakończenie prac nad nowym preparatem przeciwnowotworowym. Liczby były imponujące, ale musiałbym być myszą, żeby móc z niego skorzystać. Wszystkie eksperymenty przeprowadzono wyłącznie na gryzoniach, a dobrze już wiadomo, że to, co działa w przypadku tego typu królików doświadczalnych, niekoniecznie sprawdza się na ludziach.

Prawda jest taka, że trzydzieści lat po wypowiedzeniu z głośnymi fanfarami przez prezydenta Nixona „wojny rakowi” - być może również po to, by zapomniano na chwilę o wojnie wietnamskiej, która zabijała dziesiątki tysięcy młodych Amerykanów - choroba ta, ogólnie rzecz biorąc, daleka jest od pokonania. Mimo postępu, jaki dokonał się w przypadku niektórych typów raka, całkowita liczba osób, które umierają dzisiaj na niego w Stanach Zjednoczonych, wcale się od tamtej pory nie zmniejszyła.

Ale również tej „prawdy” do siebie nie dopuszczałem. Wskaźniki procentowe zachorowalności, przeżycia czy nawrotów zupełnie mnie nie interesowały. W statystykach było coś podejrzanego, bo - jak mawiał de Gaulle: „Jeśli ty zjesz dwa kurczaki, a ja żadnego, to statystycznie wychodzi, że obaj zjedliśmy po jednym”.

Wolałem traktować siebie jak bardzo subiektywny przypadek, a nie jak teoretyczną możliwość matematyczną.

Podczas tych samotnych miesięcy w Nowym Jorku Angela odwiedziła mnie dwa razy. Jak w przypadku wszystkich wielkich radości towarzyszył też temu wielki niepokój, ponieważ - przy tym wszystkim, co nas łączyło - należeliśmy teraz do dwóch zupełnie innych światów. Ja - do świata chorych, z ich logiką, priorytetami, cierpieniem, rytmem i, przede wszystkim, bardzo szczególnym postrzeganiem czasu. Ona - do świata wszystkich innych, ludzi zdrowych, z ich planami, pragnieniami, terminami dotyczącymi przyszłości.

Czym innym była codzienna wymiana wiadomości za pośrednictwem maili, a czym innym znalezienie się twarzą w twarz na przestrzeni niewielu metrów kwadratowych. Zapowiedź jej przyjazdu mnie zatrwożyła. Zrezygnowaliśmy z telefonu z powodu jego agresywności, a także dlatego, że stwarzał wrażenie zbyt iluzorycznej bliskości, co - po odłożeniu słuchawki - czyniło otaczającą pustkę jeszcze bardziej dojmującą. Wiadomości mailowe okazały się idealne. Te od Angeli, zawierające sprawozdania z jej florenckich dni, były dla mnie niczym dziennik pokładowy okrętu, który zaginął na morzu wiele wieków temu. Mówiły o rzeczach i ludziach, którzy zdawali mi się cieniami, zjawami, stanowiącymi w mojej pamięci ledwie zarysy. Ale stanowiły też dla mnie swoiste koło ratunkowe. To znowu coś, czego nauka nie potrafi zrozumieć: już myśl o osobie, której istnienie uzasadnia nasze własne, jest sama w sobie lekarstwem przedłużającym życie. Co do tego nie mam wątpliwości.

Angela była cudowna, rozumiejąc powody, dla których chciałem być sam. Wiedzieliśmy oboje, że dzieląca nas odległość jest tylko fizyczna. Odnalazłem równowagę i obawiałem się każdego podmuchu, który mógłby jej zagrozić. Wiedziałem, że Angela istnieje, że mogę na nią liczyć. Prawdziwe błogosławieństwo!

Spśród wielu historii chorób, które czytałem w tamtych czasach, jedna głęboko mnie poruszyła. Była to autobiografia Paula Zweiga, wydana wkrótce po jego śmierci. Pisarz zapada na zdrowiu. Pewnego dnia, po wielu tygodniach badań i niepokoju, lekarz oznajmia mu: rak. Wraca do domu, mówi o tym żonie, a ona w odpowiedzi pokazuje dokumenty rozwodowe. „Ona potraktowała tę diagnozę jak gwóźdź do swojej trumny i postanowiła odejść, żeby kontynuować swoje życie” - pisze Zweig. To jest miłość? Zaangażowanie? Lojalność? Kolejna „nowoczesna” historia. Kolejna historia amerykańska.

Dystans, jaki powstaje między zdrowymi a chorymi, wystawia na próbę związek międzyludzki. Choroba zakłóca pewien porządek, ale stwarza własny, i z tym paszportem chory wkracza do innego świata, gdzie logika zdrowych, świata zewnętrznego, staje się nieistotna, absurdalna, czasami nawet obraźliwa.

Zrozumiałem to pewnego dnia, kiedy czekając na swoją kolej przed jakimś badaniem, zobaczyłem, jak pomiędzy nami, chorymi, źle wyglądającymi, pobladłymi, w naszych dresach i czapkach, z naszymi plastikowymi opaskami na rękę z imieniem, nazwiskiem i numerem na liście, pojawił się elegancki, dobrze ubrany, opalony mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych, który przyszedł prawdopodobnie kogoś odebrać. Było to jak ukłucie w oko, jak nielojalne wyzwanie. Wynocha, wynocha, precz stąd! - myślałem w duchu.

Jedną z konsekwencji bycia chorym jest zrezygnowanie z pragnień, owo nieświadomione przekonanie, że naprawdę nie warto kupować sobie jeszcze jednej pary butów czy też iść na aukcję dywanów. Osoby zdrowe nie są w stanie zrozumieć chorych, i tak powinno być. Jest w nich,

niezależnie od postawy wobec choroby, pewne odrętwienie wywołane słabością, ale także spokój, którego - z całą sympatią - osoba zdrowa nie zdoła osiągnąć. Można powiedzieć, że wręcz zdrowy przyjmuje taką postawę za rezygnację i sądzi, że jego obowiązkiem jest pomóc choremu w jej zwalczeniu. Jednak choroba ma swoją logikę, być może również tę, aby przygotować psychicznie kogoś, kogo dotknęła, na możliwy koniec.

Angela przybywała z zewnątrz i wchodziła w świat, w którym, nic nie było jej znajome, nic nie było rozpoznawalne, począwszy ode mnie. Zostawiła mnie ubranego na biało, z długimi włosami i wąsami, a na lotnisku czekałem na nią ubrany na czarno, bez zarostu, w czapeczce na łysej i siwej głowie. Należałem już do innego plemienia.

Wśród chorych rodzi się natychmiastowe braterstwo. „Ja”, które wszędzie indziej ma nieustanną potrzebę potwierdzenia i obrony, w szpitalu czuje się spokojnie. Kiedy raz przekroczy się jego próg i owionie nas fala ciepłego powietrza, które nie dopuszcza chłodu zewnętrznego świata, nie trzeba już mówić, kim się jest, a raczej było, czym się człowiek zajmuje, a raczej zajmował. Choroba ma wielką moc zrównywania. Kiedyś Folco mi powiedział:

- Kiedy czegoś mi brakuje, myślę o Indiach. Tam wszystkim czegoś brakuje: jednemu jedzenia, drugiemu ręki, jeszcze innemu nosa. To, czego może brakować mnie, nigdy nie jest takie straszne.

Czułem to samo, wchodząc do MSKCC. Każde z pięter szpitala przeznaczone było dla innego typu raka. Najbardziej poruszało mnie to, gdzie leżały dzieci. Ja miałem szczęście: przeżyłem już kawał życia, one nie. Ale być może również to nie było ściste. Może to, co widziałem, było owocem innych istnień, efektem skumulowanej w nich karmy. Mając przed oczami wychudzone, niemal przezroczyste, czasem prawie już nieludzkie ciała dzieci, wydawało mi się, że spośród wszystkich religii hinduizm daje najbardziej pocieszające wyjaśnienie tej pozornie potwornej niesprawiedliwości.

W poczekalniach różnych oddziałów przyglądałem się innym pacjentom, próbując odgadnąć ich historię: rozpoznawałem tych, którzy przychodzili po raz pierwszy, przywiązani jeszcze do zewnętrznego świata i zachowujący się, jakby znaleźli się tu przez pomyłkę; tych przestraszonych, którzy rozpoczynali dopiero chemię, i tych przywykłych już do mutacji; tych, którzy już się poddali, i tych, u których wyczuwało się, że sobie poradzą.

Ale co takiego przyprowadziło nas wszystkich, choć różnymi drogami, w to samo miejsce i z takim samym schorzeniem? Czy mieliśmy ze sobą coś wspólnego?

Pewnego dnia siedziałem obok około pięćdziesięcioletniego mężczyzny, wysokiego, bardzo chudego, żółtego na twarzy i zupełnie łysego. Przyglądał mi się i czułem, że ma ochotę porozmawiać. W końcu, niepewną angielszczyzną o silnym rosyjskim akcencie, wskazując na zegarek na moim nadgarstku, powiedział:

Został zrobiony w Rosji. Pan też jest uciekinierem?

W pewnym sensie tak... a zegarek rzeczywiście został wyprodukowany przez Sowietów w 1991 roku. Była to jedna z ostatnich rzeczy, jaką zrobili, żeby podarować je Buriatom, którzy w owym roku obchodzili dwieście pięćdziesiątą rocznicę przejścia na buddyzm. Kupiłem ten zegarek za pięć

dolarów od jakiegoś Mongoła na posterunku granicznym z Chinami - odpartem, odpinając pasek, żeby pokazać mu napis cyrylicą.

Zegarek jest bardzo prosty, nieautomatyczny, z tych, które trzeba nakręcać każdego ranka albo przed pójściem spać. Przyciąga uwagę tym, że nigdy nie pokazywano go w żadnej reklamie, nie jest jednym z tych, które kosztują wiele tysięcy i są noszone przez badaczy bieguna północnego albo Jamesa Bonda w ostatnim filmie. Pośrodku białej tarczy znajduje się wizerunek medytującego Buddy, owiniętego w pomarańczową tunikę. Nawet dalajlama podczas naszego spotkania w Dharamsali nie odrywał od niego wzroku. Wiedząc, że jego ulubioną rozrywką jest naprawianie zegarków, powiedziałem:

Proszę Waszej Świątobliwości, ten chodzi znakomicie!

Wywołałem tym jeden z jego cudownych, niepowtarzalnych wybuchów śmiechu.

Zona mojego sąsiada, zdrowa, wścibska i wyzywająca, wcina się w naszą rozmowę i swoją dużo płynniejszą niż mężowska angielszczyzną próbuje ją zawładnąć.

Jesteście Żydami? - pytam.

Ja tak - odpowiada z wielką dumą. - On nie, jest Rosjaninem, ale w Uzbekistanie powiedzieli, że Rosjanie nie mogą tam dłużej zostać, że to nie ich kraj i w ten sposób, dzięki mojemu żydostwu, udało się nam obojgu przyjechać do Ameryki jako uchodźcy - również jemu.

„On” ma piękne, ujmujące i łagodne spojrzenie, ale cierpi i jest zakłopotany, podczas gdy ona pełnym głosem, tak żeby wszyscy ją słyszeli, opowiada ich historię. W Uzbekistanie był inżynierem, pracował w kopalniach złota, ale po przybyciu do Nowego Jorku znalazł jedynie posadę stróża nocnego w magazynie.

To nic, to nic - mówi on.

Ale tak musi być - ciągnie ona. - Kiedy przyjeżdża się jako uchodźca, nie można niczego wymagać. Trzeba zaczynać od początku jako kierowca, portier albo nocny stróż.

On uśmiecha się i powtarza:

To nic, to nic. Nocny stróż.

Robił to przez osiem miesięcy i natychmiast zachorował. Rak płuc.

To ze stresu - mówi żona.

To nic, to nic. Stres - powtarza mąż.

Oczywiście, stres! Stres, że ma taką żonę, że jest Rosjaninem w kraju, którego językiem swobodnie się nie posługuje, którego obyczajów nie zna, gdzie wszystko to, czego wcześniej się z trudem nauczył, tutaj niczemu nie służy.

Stres, stres - powtarza, jakby chciał nas rozśmieszyć.

Wycięli mu już jedno płuco, a teraz nastąpił przerzut do

drugiego. Są przekonani, że ja też jestem uchodźcą, ale nie pytają, skąd uciekłem i z jakiego powodu.

Tutaj, w Ameryce, wszyscy jesteśmy tacy sami - mówi kobieta. - Jesteśmy uchodźcami.

Nie myliła się. Pośród ludzi w poczekalni było bardzo wielu nowych imigrantów: Chińczyków, Wietnamczyków i innych Rosjan z byłego Związku Radzieckiego. Być może rak ma również coś wspólnego ze stresem, ze zmianą miejsca pobytu, z poczuciem utraconego spokoju. W przypadku tego człowieka na pewno tak było. Czuł się samotny, Ameryka nie miała mu wiele do zaoferowania. Jedynymi słowami, jakie powtarzał, podczas gdy żona ciągnęła swoje opowieści, było:

To nic. Stróż nocny. Stres.

Wychodziłem ze szpitala i mnie również przepełniała strachem pustka, którą zdawało mi się wyczuwać wszędzie dookoła. Wsiadałem do taksówki i wraz z włączeniem taksometru rozbrzmiewało nagranie okropnego głosu pewnej sławnej aktorki:

Miau... Koty mają siedem żyć, ale ty, niestety, tylko jedno...

Nie potrzebowałem, żeby ona mi o tym przypominała!

...dlatego bądź grzeczny i zapnij pas bezpieczeństwa!

Mniej niż kiedykolwiek miało się ochotę to zrobić.

Nowy Jork był „niczym”, ale było w nim także wszystko, Każdego dnia coś przykuwało naszą uwagę, działo się coś interesującego. Przypadkowo przeczytałem, że Robert Thurman, profesor religii azjatyckich na Columbia University, stary bywalec Indii i ojciec słynnej hollywoodzkiej aktorki - która nie przypadkiem nosi imię Uma, należąca do kobiety Śiwy, zanim została jego żoną - będzie miał odczyt w jednym z „alternatywnych” ośrodków w Bowery.

Sala była wypełniona - przede wszystkim kobietami. To zawsze kobiety, ze swoimi naturalnymi antenami, gotowe są odbierać pokusy nowości, z całym ryzykiem, jakie ze sobą niesie, ale także są bardziej zdolne, bardziej gotowe niż mężczyźni wyczuć to, co prawdziwe i autentyczne. Jako pierwsze zdają sobie sprawę, że coś zwyczajnie po ludzku nie gra. Tematem prelekcji miał być buddyzm tybetański, ale Thurman mówił głównie o Ameryce.

Zachód jest w tej chwili najlepszym punktem wyjścia, aby osiągnąć iluminację. Nigdy, w żadnej części świata, człowiek nie był tak blisko nirwany, jak w tej chwili w Ameryce. Tutaj dobrze się rozumie znaczenie pustki, nicości, ponieważ żyjemy już w nicości: jesteśmy nicością, nasze ludzkie relacje są nicością i każdego innego mamy za nic. „Hello Jim, hej John!”. Tak, oczywiście, jesteśmy bardzo ciepli w powitaniach, ale tak naprawdę inni zupełnie nas nie obchodzą. To tak, jakbyśmy mieli się widzieć ten jeden raz i potem nigdy więcej. Ale gdybyśmy tylko wiedzieli, że zawsze byliśmy razem i że naszym przeznaczeniem jest pozostawanie razem przez wieczność!

Podobała mi się jego ironia.

Kto z was wie coś o buddyzmie? - zwrócił się do widowni. Wielu podniosło rękę.

Kto z was przeżył doświadczenie opuszczenia własnego ciała, pójścia gdzie indziej, zapomnienia się, a potem szok powrotu?

Przystojny chłopak, towarzyszący starszej od siebie kobiecie o miedzianych włosach, wyraźnie jej kochanek, wstał i opowiedział nieprawdopodobną historię. Jego opowieść spowodowała, że towarzysząca mu pani jeszcze mocniej się do niego przytuliła, kiedy na powrót usiadł. Był jednym z tych, którzy odbyli „gwieźdną podróż”.

Nie, nie - powiedział Thurman. - To, o czym mówię, nie jest niczym wyjątkowym. Wszyscy przeżywacie to doświadczenie opuszczania waszego ciała. Dzieje się tak każdego wieczora, kiedy zasypiacie.

Zasugerował, że być może czymś takim jest również śmierć. To forma zaśnięcia, a nie koniec świadomości, jak zwykle się uważać na Zachodzie:

Jama, demon z głową byka, przybywa, żeby zdzielić nas kijem i zabrać ze sobą nasze ciało. Ale my nie jesteśmy ciałem, choć tak bardzo się z nim identyfikujemy i poświęcamy masę czasu, żeby utrzymać je w formie, wygładzać i naprawiać. Na ciało wydajemy dosłownie fortunę, choć wiemy, że i tak któregoś dnia zgnije i stanie się nawozem...

Publiczność słuchała z wytężoną uwagą.

...ale jesteśmy Amerykanami - kontynuował Thurman - a pogoń za szczęściem jest nie tylko prawem zagwarantowanym przez Konstytucję, ale także naszym najważniejszym narodowym hobby. I świetnie, ponieważ również szczęście może wspomóc refleksję: Ci, którzy wygrywają milion dolarów na loterii, spostrzegają nagle, że stracili wszystkich przyjaciół. Dlaczego?

Sens całej tej pogawędki zamykał się w tym, że życie stanowi okazję do poznania samych siebie, że społeczeństwo, w którym żyjemy, trzeba uznać za szalone, ponieważ sama jego istota, zbudowana z czystego materializmu, dokładnie zaprzecza temu, kim jesteśmy: pozostałościami wielu istnień.

Spójrzcie na moją szczękę: również ona jest rezultatem wielu poprzednich istnień, powstałych w wyniku tolerancji, współczucia i samokontroli, które zmieniły mój pierwotny wygląd. Kiedyś miałem szczękę z wielkimi kłami, którymi mogłem się bronić i atakować, teraz już nie...

Słuchacze uśmiechali się i wydaje mi się, że jakieś ziarenko nowości zostało zasiane. Dobrze było usłyszeć głos jakże odmienny od tych, które codziennie grzmią dookoła.

Wyszedłem ze spotkania z Thurmanem z przyjemnym poczuciem lekkości. Właśnie w tamtych dniach mój bardzo serdeczny przyjaciel, przeżywający fatalną porażkę zawodową i rodzinną, napisał mi, że po raz pierwszy w życiu pomyślał o samobójstwie. Po powrocie do domu, znalazłem wreszcie słowa, żeby mu odpowiedzieć: wagi i miary, wartości, od których - jak myślimy - zależy nasze życie, są tylko czystymi konwencjami. Sposobem, w jaki kierujemy naszym życiem, ale też je obciążamy. Jeśli dobrze się przyjrzeć, to życie wcale od nich nie zależy. Sukces, porażka - to kryteria absolutnie względne, pozwalające ocenić jakieś wydarzenie czy okres życia, który sam w sobie jest przejściowy, nietrwały. To, co dzisiaj wydaje się nam nie do zniesienia, za dziesięć lat uznamy za nieistotne. Prawdopodobnie niemal o tym zapomnimy. Dlaczego nie spróbować spojrzeć na dzisiejszą potworność oczami, które

będziemy mieli za dziesięć lat? Poczułem ulgę, choć nie wydawało mi się, bym mógł samemu sobie służyć podobną radą. Dziesięć lat...?

Prelekcja Thurmana stanowiła wspaniałą powiew myślenia pod prąd i inteligentnych prowokacji. To również był Nowy Jork: nicość i przeciwieństwo nicości. Wewnątrz tego społeczeństwa, całego nastawionego na szczęście, które Thurman ośmieszył za to, że nie może być „absolutne”, jak byśmy tego chcieli („to, czego doznaję, nie może być nigdy absolutne, a to, co nawet jawi mi się jako absolutne, może być tylko względne”), żyła cała grupa osób, które nie akceptowały banalnej materialności codziennej egzystencji, które dążyły do czegoś innego i często, również w sposób niedorzeczny, szukały innych dróg. Byli to ludzie, którzy na swój sposób „się opierali”.

Nie potrzebowałem dużo czasu, żeby odkryć jeden z głównych ośrodków tego „oporu”. Zaprowadził mnie tam wąż. Pewnego ranka szedłem wzdłuż Spring Street. Żelazna brama, którą mijiałem, otworzyła się, pchnięta przez wychodzącą dziewczynę, i owionął mnie powiew znajomego zapachu kadzidła. Spojrzałem, zaciekawiony, i zanim brama na powrót się zamknęła, wślizgnąłem się do środka. Znalazłem tam New York Open Center, mieszankę uniwersytetu powszechnego, ośrodka społecznego i supermarketu, ze wszystkim, co alternatywne. Na tablicach umieszczone były szczegółowe opisy różnych prowadzonych tam kursów, od zielarstwa po dietetykę, od refleksologii po wszelkie odmiany jogi, a poza tym najróżniejsze kuracje i terapie medycyny niekonwencjonalnej. Sklep-księgarnia, skąd wydobywał się zapach kadzidła i nieprzerwane dźwięki „medytacyjnej muzyki”, był znakomicie zaopatrzone w literaturę New Age, CD, kasyety i wszelkie inne „alternatywne” materiały. Pomiędzy salami przemieszczał się tłum „innych” - znowu przede wszystkim kobiety: grubych, ale pogodnych dziewcząt i pań w średnim wieku, wyraźnie zamożnych, ale „uduchowionych”. Panowała tam swobodna, miła atmosfera.

Podszedłem do stołu, przy którym prowadzono zapisy, aby zasięgnąć informacji, ale zanim zdążyłem otworzyć usta, siedząca tam dziewczyna spojrzała na mnie i z szerokim uśmiechem wykrzyknęła:

Łał...!

O co chodzi? - zapytałem, nie rozumiejąc.

Masz wspaniałą aurę.

Naprawdę?

Tak. Czy wiesz, że masz aureolę wokół całego ciała? Jesteś szczęśliwym człowiekiem!

Chudy i szarawy chłopak, który siedział obok niej i śledził całą scenę, dodał:

Tak, tak, twój uśmiech jest cudowny, naprawdę masz aureolę.

Była to prawdopodobnie ich technika sprzedaży; mówią to pewnie wszystkim, którzy przychodzą się zapisać na jakiś kurs, ale w owej chwili naprawdę wydawało mi się, że mam tę aureolę. Zapisalem się w końcu na kurs tarota. Chodziłem tam dwa razy w tygodniu przez dwa miesiące. Nauczycielką była uzdolniona Amerykanka włoskiego pochodzenia. Grono „uczniów” stanowiły przede wszystkim kobiety, ale także pewien dziwny pan, który przychodził ubrany jak normalny urzędnik bankowy albo adwokat, a pod mundurem biznesmena nosił - jak drugą skórę - biały kostium gimnastyczny. Przed każdą lekcją odchodził w kąt, zdejmował spodnie, marynarkę, koszulę i krawat, jak ktoś, kto

kamuflując się, żeby przeżyć, w końcu może ściągnąć maskę. Na to dziwne plemię, na swój sposób podziemne, którego członkowie potrzebowali kontaktu z drugim człowiekiem, nie składali się wyłącznie ludzie młodzi, którzy kiedyś byliby hipisami, wyzwolone dziewczyny czy też rozwodnicy poszukujący nowej przystani. Byli tam również ludzie, których nikt by nawet o to nie podejrzewał.

Przed operacją musiałem się spotkać z lekarzem, który miał być odpowiedzialny za znieczulenie. W trakcie wizyty, podczas której zadawał mi standardowe pytania dotyczące wcześniejszych operacji i ewentualnych alergii na leki, zobaczyłem, że jego wzrok zatrzymuje się na moim zegarku.

Jest pan buddystą? - zapytał.

Nie. A pan?

Nie - odpowiedział. I po krótkiej pauzie, zwiastującej jakąś rewelację, dodał: - Jestem sufim, sufim z Kaszmiru.

Mój Boże, Kaszmir! Spędziłem tam całe tygodnie, śledząc brudną wojnę, która niszczy jeden z najpiękniejszych regionów świata, obiekt sporu między Indiami a Pakistanem. Stąpałem po dymiących jeszcze zgłiszczach precudownego meczetu, zbudowanego w całości z drewna. Kiedyś przychodzili do niego sufiowie, mistyczni muzułmanie, znajdujący się pod wpływem hinduizmu i buddyizmu, ale tam, w Kaszmirze, nie spotkałem ani jednego. Być może jeśli nawet jeszcze jacyś istnieją, nie mają już odwagi się z tym ujawniać ze względu na prześladowania ze strony ortodoksyjnych muzułmanów, którzy uważali ich za heretyków. I oto tutaj, w Nowym Jorku, mój anestezjolog jest sufim i wydaje się z tego powodu szczęśliwy.

Miałem go przed oczami, w białym fartuchu, niewzbudzającego żadnych podejrzeń, wyglądającego zupełnie normalnie, tak jak według naszych oczekiwań powinien prezentować się lekarz. A przecież musiałem go sobie wyobrazić ubranego w długą, wełnianą tunikę (suf po arabsku znaczy wełna), z rękami wzniesionymi ku górze, wirującego wokół własnej osi w jednym z tańców derwiszów, które - za sprawą zawrotów głowy wywołanych przez nieustanny ruch - miałyby wprowadzać człowieka w stan ekstazy i bezpośredni kontakt z boskością. Rozumiałem go: osamotniony, w tym społeczeństwie całym zbudowanym z materii, w którym żył bez poczucia, że do niego przynależy, szukał czegoś wyższego, jakiegoś celu, niezamykające- go się wyłącznie w woli przeżycia, i odnajdował w sposobie, w jaki sufiowie „byli w świecie, ale nie jako część świata”, własną odpowiedź.

„Istnieje tysiąc sposobów klękania i całowania ziemi” - pisze największy poeta sufi Dżalaluddin Rumi, urodzony na terenach dzisiejszego Afganistanu w 1207 roku. - Z dala od idei, z dala od tego, co słuszne i niesłuszne, jest miejsce. Spotkajmy się tam”.

On, mój anestezjolog z MSKCC, odnalazł to idealne miejsce w punkcie, który jako taki już nie istnieje, w Kaszmirze: egzotyczna nazwa, nieprzystępny kraj. Stamtąd, w formie tańca, przyszła do niego nadzieja na owo „więcej”, bez którego życie staje się nieznośne. Tak więc w każdy weekend, w towarzystwie innych „nas przyjaciół” - jak mawiają o sobie sufiowie - spotykali się w jakimś nowojorskim lofcie albo w wiejskim domu, aby czytać poezję i - w rytm muzyki, której crescendo towarzyszy „unoszeniu się” - wirować godzinami w mistycznym rytuale, będącym symbolem życia. Obracanie się stanowi bowiem podstawowy warunek egzystencji: w atomie krążą elektrony i

neutrony, w kosmosie krążą ciała niebieskie, planety, gwiazdy; i my sami krążymy po ziemi, powstając z niej i powracając do niej jako proch. Ów taniec - powiedział mi - wytwarzał w nim próżnię, w której czuł się naprawdę wolny. Owa próżnia odrywała go od zwykłego życia i przybliżała do boskości.

No właśnie, boskość. Brakowało jej również mnie, choć do tamtej pory nie odczuwałem jakiejś specjalnej potrzeby takiego kontaktu. Chodziłem ulicami i nigdy nie zdarzało mi się zobaczyć czy poczuć jakiegoś nawiązania do boskości: żadnej procesji, święta, jakiegoś wizerunku Boga niesionego na ramionach wiernych. Nigdy żadnej aluzji do czegoś, co byłoby ponad pozorami.

Gdziekolwiek mieszkałem w Azji, poza komunistycznymi Chinami, odwoływanie się do boskości jest nieustanne: w języku, w gestach ludzi, w ceremoniach i rytuałach. Sprzedawca ryb w Japonii otwiera rano swój sklep, rozsypując na chodniku małą garść soli; w świątyniach Singapuru, Tajlandii, Malezji bez przerwy palone jest kadzidło ofiarowane przez kogoś, kto pragnie zjednać sobie łaskę jakiegoś boga. W Indiach boskość jest stale obecna. Sam sposób pozdrawiania się, polegający na składaniu dłoni na wysokości piersi, lekkim pochylaniu czoła i wypowiedaniu słowa Namaste, oznacza: „Pozdrawiam boskość, którą rozpoznaję w tobie”.

Często myślałem o Indiach, o mieszkaniu w Delhi, pod którego oknami widziałem przechodzące rzędy wielbłądów albo słonia, przytrzymującego trąbą swoją dzienną porcję trawy. Zdarzało się, że w nocy budziły nas dzwonki przechodzącej procesji sikhów albo muzułmanów. Dostrzegałem czasem w nowojorskim tłumie twarz Hindusa i zdawało mi się wtedy, że rozpoznaję prawie krewnego. Był mi on dużo bliższy od Amerykanina.

Pewnego dnia, kiedy lało jak z cebra i byłem spóźniony na wizytę mojego ciała u jego naprawiaczy, wzięłem taksówkę Kierowca był sikhem z wielką, czarną brodą, w błękitnym turbanie na głowie.

Zechce mnie pan zawieźć do Memorial Sloan-Kettering, Sardar-ji.

Fakt, że nazwałem go „sardar” - szef - z dodatkiem pełnego szacunku Ji”, wystarcza do nawiązania bliskiego kontaktu. Pochodzi z wioski nieopodal Amritsar, siedziby Złotej Świątyni, Watykanu sikhów. W Nowym Jorku jest od trzech lat, zarabia około trzech tysięcy dolarów miesięcznie. Połowę udaje mu się wysyłać do domu. Ma czterdzieści siedem lat i Jeszcze trzynaście do przeżycia”.

Trzynaście? A skąd pan to wie?

Powiedział mi to mój bóg. Stało się to, kiedy byłem jeszcze w moim domu w Indiach, dwadzieścia lat temu. Jestem zadowolony, ponieważ człowiek w wieku sześćdziesięciu lat nie powinien się martwić, że umiera. Oczywiście nikt tego nie chce, ale jest nas tak wielu na Ziemi, że musimy ustąpić miejsca innym... sześćdziesiąt lat wydaje mi się dobrym wiekiem, aby to uczynić.

Ale, Sardar-ji, ja mam pięćdziesiąt dziewięć lat, raka, i dlatego właśnie jadę do szpitala. Sądzi pan, że naprawdę muszę umrzeć, kiedy będę miał sześćdziesiąt?

O nie, proszę pana, pan ma całkowicie zdrowy wygląd. Ale co mówi o tym pana bóg?

Nie wiem, nie mam jakiegoś szczególnego boga, ale kilku wróżbitów powiedziało mi, że dożyję starości.

Oczywiście, oczywiście. Ma pan taki zdrowy wygląd!

Dojechaliśmy. Sardar zatrzymuje samochód, odwraca się, składa dłonie na wysokości nosa i kłaniając się mnie oraz swojemu bogowi, którego we mnie widzi, mówi na pożegnanie:

?amaste. Powodzenia. Powodzenia.

?amaste, Sardar-ji.

I już po chwili jestem w białym świecie szpitala, gotowy na spotkanie z czerwonym, fosforyzującym płynem.

Drogę powrotną odbyłem pieszo. Powoli. Po dotarciu do mojej kryjówki poczułem się bardzo zmęczony i usiadłem przy oknie. Powietrze, obmyte deszczem, było czyste, krystaliczne. Przedemną rozciągał się przepiękny widok, z drapaczami chmur, ozłoconymi zachodzącym słońcem po jednej stronie okna, po drugiej zaś, w cieniu - zimnymi, stalowymi. Ulica podemną wypełniona była ludźmi wszystkich kolorów i ras, przyodzianych w najdziwniejsze stroje. Nagle na niebie, dokładnie nad moją kamienicą, na linii dachów, pojawiły się dwa wojskowe helikoptery. Atak? Inwazja? Marsjanie? Gdyby nawet tak było, nikt by się nie zdziwił. Amerykanie żyją już w rzeczywistości przypominającej ich filmy science fiction, w których wszystko jest możliwe. Kosmici? Już tu byli. Przyszłość nie może się różnić od przeszłości wymyślonej przez scenarzystów z Hollywood. Gdyby w telewizji ogłoszono, że prezydent został porwany, to również wydałoby się normalne: stało się już tak w paru filmach, które wszyscy widzieli.

Helikoptery nadal krążyły. Zbiorowość ludzka, w której teraz żyłem, należała już do „dnia następnego”. A ja, zagubiony w mojej samotności, pogodnie zawieszony między życiem a śmiercią, bez pragnień, bez planów, byłem jak oczekująca rozmowa telefoniczna - z absurdalną muzyczką w tle.

Czasami czułem się w Ameryce naprawdę obcy. Nie znosiłem banalności okolicznościowych pogaduszek, stereotypowej uprzejmości ludzi i skomputeryzowanych głosów nagranych w telefonach. Nie cierpiałem dwóch kilogramów ulotek reklamowych, które musiałem wyrzucać z niedzielnego wydania „New York Timesa”, jak również standardowego zaproszenia wszystkich kelnerów ze wszystkich restauracji i kawiarni: Enjoy it - bym się cieszył - czymkolwiek miało być owo it. W okolicach Bożego Narodzenia do normalnej kakofonii miasta dołączył dźwięk banalnej pioseneczki Jingle Bells: na ulicach, w i klepach, w windach.

Po długim spacerze wszedłem do księgarni, ale udało mi się tam spędzić zaledwie kilka minut. Jingle Bells prześladowało mnie. Także tam dyszało, spływało z każdego sufitu yang, unosiło się w każdym kącie. Jingle Bells... Jingle Bells. Nieznośne, obsesyjne. Wybiegłem na ulicę, a tam, na chodniku, stał zmarznięty mężczyzna, który ledwie osłonięty kawałkiem plastikowej firanki zawieszanej na wózku, sprzedawał hot dogi.

Gdzie jest najbliższa stacja metra? - zapytałem.

Na końcu tego bloku, po lewej stronie.

Po akcencie poznałem, że jest jednym z tych zamożnych, rosyjskich Żydów, z którymi przed laty, pisząc Buonanotte, signor Lenin (Dobranoc, panie Lenin), tak wiele dyskutowałem, śmiałem się i piłem herbatę w Azji Środkowej.

Spasiba - odpowiedziałem.

Spojrzał na mnie, jakbym był zjawą. Z ciepłem, jakiego nie czułem przez cały dzień, odparł niepewnie:

Pażałsta.

I - jakby to wzajemne rozpoznanie dodało nam otuchy - z uśmiechem na ustach kontynuowaliśmy nasze równie dziwne żywoty w tym obozie dla uchodźców, w tym ludzkim tyglu, w tym porcie ocalenia, w tym gułagu ze znakomitym jedzeniem, jakim dla nas obu był Nowy Jork.

„Ja” w kawałkach

Wśród wielu ćwiczeń, mających przynajmniej dwa tysiące lat, którym poddawani są młodzi Tybetańczycy pragnący zostać mnichami w Szkole Dialektyki Buddyjskiej w Dharamsali, jest jedno, które wszyscy powinniśmy od czasu do czasu wykonywać: ustalić, gdzie znajduje się ta rzecz, na której tak bardzo nam zależy, nasze Ja”.

W imieniu? - sugeruje stary lama, siedzący przed dwoma długimi rzędami stolików, za którymi przycupnęli na ziemi studenci. Nie, ponieważ imię może się zmienić bez zmiany „Ja”. A przecież ile osób identyfikuje się ze swoim imieniem! Ale ile z nich identyfikuje się jeszcze bardziej z tytułami, które je poprzedzają! Jasne jednak, że „Ja” nie może zawierać się w imieniu.

W ciele? - pyta więc stary mnich. Oczywiście, „Ja” ma wiele wspólnego z ciałem, do tego stopnia, iż można by powiedzieć, że bez niego „Ja” nie istnieje.

Ale gdzie w ciele znajduje się „Ja”? - nalega lama i zaczyna naśladować z rozbawieniem najrozmaitsze sposoby, jakimi różne ludy, mówiąc „Ja”, wskazują na poszczególne części ciała. Chińczycy mówią Ja” i przykładają palec wskazujący prawej dłoni do czubka nosa. Ale czy „Ja” może znajdować się w nosie? Czy może być w sercu, na którym zazwyczaj kładą rękę Amerykanie? A może na czole albo w głowie,

która wskazywana jest jako siedziba „ja” przez tych, którzy zdają się pewnie uważać intelekt za ważniejszy od uczuć?

Studenci słuchają, niektórzy zabierają głos. Dyskusja trwa jakiś czas. Po tym stary lama zza stolika, przy którym siedzi na drewnianym podwyższeniu, wyciąga różę i trzyma ją przed sobą tak, żeby wszyscy skupili na niej uwagę.

To jest kwiat, wszyscy się z tym zgadzamy, prawda? - Mówiąc tak, obrywa jeden płatek. - A to, czy to też kwiat? Nie! To płatek... a to? - pyta retorycznie, ponownie pokazując różę. - To jest kwiat. - Obrywa kolejny płatek, potem jeszcze jeden i następny, wciąż pytając: - A to, co to jest?

W końcu na stoliku leży stosik płatków, a w dłoni mnicha pozostała sama łydyga. Stary lama pokazuje ją wszystkim i pyta:

A czy to jest kwiat? Nie. To już nie jest kwiat... To samo dotyczy dłoni - mówi, podnosząc do góry lewą rękę. - Gdybym zaczął odrywać sobie po kolei palce, żaden z nich nie byłby moją dłonią, a sama dłoń szybko przestałaby nią być. A zatem? Dokładnie tak samo rzecz się ma z całym naszym ciałem. Czy my też nie jesteśmy złożeni z wielu kawałków, z których żaden nie jest naprawdę nami...?

Kiedy pewna droga, starsza pani, jedna z tych, które dla dobra bliźnich pracują jako wolontariuszki w szpitalach, przyszła bardzo wcześnie rano zapytać, czy chcę się pomodlić razem z nią, żeby ręka operującego mnie chirurga trafiła za godzinę pewnie i prosto do celu, i wycięła to, co ma do wycięcia, mój umysł odgrzebał w pamięci wspomnienie wizyty w Dharamsali na północy Indii, gdzie dalajlama żyje na wygnaniu, i zaczął, bez mojej kontroli, wykonywać ten eksperyment. Gdzie tak naprawdę byłem ja? A chirurg, którego przezwiałem The Lord, ile kawałków mógł wyciąć z mojego ciała, żebym ja sam przy tym nie zniknął?

Mój umysł nie miał wiele czasu na tę zabawę. Pielęgniarka przyszła zapytać, czy w przypadku przedłużającej się śpiączki mam zamiar upoważnić moją żonę do zdecydowania, kiedy odłączyć aparaturę („Wie pan, takie jest prawo w stanie Nowy Jork, musi pan zrozumieć...”), a sufi z Kaszmiru zrobił mi pierwszy zastrzyk ze środkiem znieczulającym, po którym umysł najpierw się wyciszył, a potem całkowicie stracił świadomość.

Jak mi potem powiedziano, operacja trwała sześć godzin. Gdzie przez cały ten czas przebywało moje „Ja”, naprawdę nie wiem. Czy było już poza ciałem? A może wciąż pozostawało w środku, również w uśpieniu, tak jak się zdarza podczas snu?... Albo śmierci? Kiedy się obudziłem, brakowało mi pewnych kawałków, ale większa część mnie, choć z podłączonymi tu i tam różnymi rurkami, wciąż istniała, a wraz z nią istniałem też ja.

Problem ze mną i z tymi kawałkami zaczął się już w szpitalu w Bolonii. Odniosłem tam wrażenie, że medycyna, z którą od wielu lat nie miałem do czynienia, znacznie się zmieniła w stosunku do tego, co miałem w pamięci. Teraz obiektem jej zainteresowania nie tyle jestem ja jako osoba, ile moja choroba. W Nowym Jorku problem ten objawił się jeszcze wyraźniej.

Podróżowałem z piętra na piętro, często w wózku na kółkach. Znajdowałem się pod wpływem środków, które po ustąpieniu ich podstawowego działania, mającego na celu uśpienie mnie na kilka godzin, teraz powodowały, że przez cały dzień byłem przytomny i uważałem na wszystko, co się wokół dzieje, tyle że potem nic z tego nie pamiętałem. Jakieś kartki w ręku, plastikowy kartonik z wszystkimi moimi danymi, który miałem pokazywać na każdym „przystanku” i dawać do podstemplowania; na jego podstawie kolejne kartki - „moja karta kredytowa na życie”, jak go nazywałem; fiołki z kolorowymi płynami do wypicia, zastrzyki wywołujące fale gorąca w ustach, rurki, przewody, czekanie... Ustawiano mnie przed jakimiś urządzeniami - telewizorami, ultrasonografami - albo wsuwano do wielkiej rury o fosforyzujących światłach, w której, przy odgłosach szalejącej burzy, popychano mnie do przodu i do tyłu na wąskim łóżeczku z zaleceniem, żebym jak najdłużej wstrzymał oddech. Wszystko to, aby odkryć, co tam u mnie w środku jest nie tak. Na każdej stacji badano fragment mojego ciała: wątrobę, nerki, żołądek, płuca, serce. Jednak żaden z kolejnych specjalistów

nie dotykał mnie ani nie osłuchiwał. Cała ich uwaga skoncentrowana była na tych kawałkach, a nawet nie tyle na nich samych, ile na ich przedstawieniu, obrazie, jaki pojawiał się na ekranie komputera, a jeszcze bardziej na przetworzeniu danych, które drukarka wyrzucała po zakończeniu badania.

Ja sam, na przykład, postrzegałem moją wątrobę w postaci drżącej, zielono-czerwonej plamy na monitorze; widziałem ją wyrwaną, obcą, poza moim brzuchem, w którym spędziła sześćdziesiąt lat, przyjmując wszystkie ciosy niepomnego konsekwencji życia w nadmiarze. Ale „ja” jako całość, Ja” jako choćby zbiór tych wszystkich kawałków, nie istniałem. Nikt się nawet ze mną nie konsultował.

Wiem, że lekarz, który podczas jednego z badań odkrył trzeciego raka, i którego bystrości zawdzięczam na pewno przedłużenie życia, był rudowłosą kobietą (próbowałem ją rozpoznać pośród wielu innych w szpitalnej kawiarni), ale nie mogłem mojej wybawicielce ani podziękować, ani nadać przydomka, bo nigdy jej nie widziałem. Tej kobiecie natomiast wystarczyło przestudiowanie intensywności jakiejś plamy, która zmieniała się w krótkim czasie na ekranie jednego z urządzeń, wystarczyło zwrócenie uwagi, że istnieje niewyjaśniona, ale statystycznie potwierdzona współzależność między moją główną chorobą a tą nową, żeby wyciągnąć wnioski. Nie miała potrzeby mnie dotknąć, porozmawiać, zapytać, jak się czuję.

Mało tego, gdybyśmy się spotkali, powiedziałyby być może to, co twierdzi dziś wielu lekarzy: że odczucia pacjenta nie na wiele się przydają, a obrazy, liczby, wykresy wyprodukowane przez maszyny podczas różnych badań są dużo bardziej wiarygodne. Dla współczesnej medycyny jedyną rzeczywistością badawczą jest obiektywność tych danych, nie zaś subiektywność doznań chorego. Mój przypadek na pewno potwierdza te koncepcje, ponieważ schorzenie, które odkryła owa lekarka, w żaden sposób mi nie dokuczało, nie dawało żadnych objawów, i gdybym to ja, subiektywnie, dostrzegł jego istnienie, być może byłoby zbyt późno. Maszyna wiedziała o wiele wcześniej i znacznie lepiej ode mnie, jak się czuję.

W tym podejściu oderwanym od pacjenta i od jego reakcji kryło się bez wątpienia coś bardzo pozytywnego i skutecznego, ale fakt, że byłem traktowany coraz bardziej jako zbiór kawałków, nie zaś jako całość, wywoływał u mnie pewien dyskomfort. Zastanawiałem się, czy nauka, której zaufałem, nie jest w gruncie rzeczy tak samo ślepa jak pięciu bohaterów pewnej starej, hinduskiej opowieści, poproszonych, by opisali słońca. Pierwszy ślepiec zbliża się do zwierzęcia i dotyka jego nóg:

Słoń jest jak świątynia, a to są jego kolumny - mówi. Drugi maca trąbę i orzeka, że słoń jest jak wąż. Trzeci ślepiec przykłada rękę do grubej skóry na brzuchu i stwierdza, że słoń jest jak góra. Czwarty wodzi dłonią po uchu i mówi, że słoń jest jak wachlarz. Ostatni ślepiec, macając po omacku, ujmuje w rękę ogon i oświadcza:

Słoń jest jak bat!

W każdym z tych określeń jest coś słusznego, ale żadne nie przedstawia rzeczywistego słońca. A czy ci moi świetni lekarze przypominali może owych ślepców? Oczywiście, że tak. Byli przecież uczonymi, a nauka ma swoje ograniczenia. Naukowy opis słońca - autorstwa fizyka, chemika, biologa czy nawet zoologa - jest w swej istocie podobnie śmieszny i niepełny jak w przypadku owych ślepców.

To problem całej nauki: ścisłej, dokładnej, wolnej i gotowej także zmieniać zdanie, zastępując jedną teorię inną, starą prawdę nową. Pozostaje ona jednak - właśnie dlatego, że jest nauką - nieuchronnie ograniczona w swoim pojmowaniu rzeczywistości.

Patrzeć na rzeczywistość wyłącznie poprzez szkło nauki to postępować jak pijak Mułły Nasruddina, mistycznego i mitycznego bohatera wielu pięknych, ironicznych historii, pierwotnie środkowowschodnich, ale teraz stanowiących już część ludowej kultury azjatyckiej. Mężczyzna, spędziwszy wieczór na picu z przyjaciółmi, w drodze do domu spostrzega, że zgubił klucze, i zaczyna ich szukać w snopie światła rzucanym przez jedyną latarnię na ulicy.

Dlaczego właśnie tutaj ? - pyta przechodzień.

Ponieważ to jedyne miejsce, gdzie jestem w stanie coś zobaczyć - odpowiada pijak.

Uczeni zachowują się tak samo. To, co opisują za pomocą swoich przyrządów, nie jest światem rzeczywistym, lecz jego częściowym przedstawieniem, abstrakcją, która w rzeczywistości nie istnieje. Tak samo jest w przypadku liczb: niezwykle przydatne w nauce, w naturze nie istnieją.

Świat, w którym człowiek budzi się rano, składa się z gór, ze spienionych fal rozbijających się o skały, z porośniętą zieloną trawą łąk, z nawojujących się okrzykami ptaków oraz zwierząt i z wielu, wielu ludzi z ich różnymi losami. A co robią biedni uczeni w obliczu tego wszystkiego? Mierzą, ważą, odkrywają prawa, analizują różne aspekty, poprzez które objawia się świat, objaśniając każdy z nich, aby na koniec nic nie wytłumaczyć. W każdym razie biorą pod uwagę tylko to, co oczywiste, proste, co jest postrzegane zmysłami. Nie mogą zająć się emocjami, uczuciami, tym, co niepostrzeżenie zmienia życie każdego z nas z osobna, jak miłość, albo tym, co zmienia świat wszystkich, jak zachłanność.

Co na przykład robią uczeni ekonomiści? Badają światowy popyt na jakiś produkt, przewidują notowania giełdy w Hongkongu i obliczają, przy jakiej stopie procentowej banki mogą dawać gwarancje na swoje pożyczki. Ale co mogą nam powiedzieć na temat chciwości, która niszczy świat w imię tego, co być może oni sami nazywają „postępem”? Takie słowa, jak „zachłanność”, „chciwość”, „egoizm”, nie pojawiają się w książkach ekonomicznych, a sami ekonomiści wciąż tak podchodzą do swojej dziedziny, jakby nie miała ona nic wspólnego z przeznaczeniem ludzkości.

Stary kolega z uniwersytetu, którego przed chemioterapią odwiedziłem w Chicago, gdzie kieruje laboratorium badawczym medycyny jądrowej na Northwestern University, dobrze streścił mi frustracje inteligentnego uczonego. Przykładając palec wskazujący do czoła, powiedział:

Wiem wszystko o tym, jak funkcjonuje każdy typ komórki tu, w środku, ale nie mam pojęcia, jak funkcjonuje mózg.

Enrico Mugnaini zaczął w Pizie, a później przez ponad trzydzieści lat nie robił nic innego, tylko badał - najpierw jako fizjolog, potem biolog molekularny - ten fragment ciała. Jednak ze względu na to, że do każdego kawałka wchodzi inne kawałki, które razem tworzą fragment zwany mózgiem, w końcu znalazł się na straconej pozycji.

Medycyna jest związana z biologią, nie z matematyką - mawiał.

Mając do czynienia z moimi lekarzami z MSKCC, wyspecjalizowanymi, znakomitymi, którzy dotarli tam po przejściu ostrej selekcji, przeprowadzanej na całym świecie wśród najlepszych w danej dziedzinie, często myślałem o doktorze Macchionim. To on, kiedy byłem dzieckiem i zachorowałem, przychodził do domu mnie zbadać: lekarz rodzinny.

Matka, czekając na niego, stawiała na krześle miskę z wodą, nowe mydło na talerzyku, a na oparciu wieszła świeży, pachnący ręcznik. On przychodził, elegancki, w okularach w złotych oprawkach, kładł na łóżku swoją skórzaną torbę, wysłuchiwał najświeższych nowin, przykładał mi drewniany stetoskop do piersi i do pleców, kazał głęboko oddychać, powiedzieć „trzydzieści trzy”, zaglądał mi do oczu, polecił pokazać język, mierzył puls, mył ręce, a potem, wycierając je starannie, palec za palcem, stawiał diagnozę. Dla mnie, dziecka, było coś magicznego w jego pewnym sobie i spokojnym sposobie poruszania się i mówienia. On sam mógł uchodzić za lekarstwo. Był przy moim porodzie, przy śmierci dwóch moich ciotek, które bardzo młodo zmarły na tyfus, i mojej babki, którą zabrała starość. Wiedział wszystko o wszystkich i ja czułem się od razu lepiej, kiedy matka odprowadzała go do drzwi i czekała, aż zejdzie po schodach. Powtarzała przy tym:

- Dziękuję, doktorze, dziękuję.

W moim życiu wielokrotnie miałem do czynienia z lekarzami i - na szczęście - najczęściej trafiałem na osoby tego pokroju. Kiedy jako osiemnastolatek znalazłem się w szpitalu z zakażonym płucem i po miesiącach bezskutecznego leczenia jedynym wyjściem zdawało się jego wycięcie, zostałem za włosy wyciągnięty z opresji przez starego florenckiego ordynatora, który - korzystając z całego swego doświadczenia i nowego leku, który dopiero pojawił się na rynku - uratował moje płuco, a wraz z nim moje dalsze życiowe plany.

Wiele lat potem inny lekarz, tym razem szwajcarski, ocalił Angelę przed negatywnymi skutkami kuracji, która z naukowego punktu widzenia zdawała się nieunikniona. Żona miała trzydzieści trzy lata, zachorowała na raka piersi, przeszła operację, a następnie leczenie kobaltem, w owych czasach jeszcze bardzo prymitywne, w dodatku przeprowadzone w Singapurze! Należało zdecydować, czy ma zacząć - a potem kontynuować przez całe życie - zażywanie całej serii diabelstw, które przestały być produkowane w sposób naturalny przez chirurgiczne usunięcie części jej ciała. Wszyscy lekarze, z jakimi się konsultowaliśmy, byli zdania, że ta kuracja uzupełniająca jest niezbędna, choć nie ulegało wątpliwości, że wywoła skutki uboczne. Jeden z nich powiedział mi, że u Angeli pojawi się wkrótce zarost na twarzy i najprawdopodobniej wąsy!

Już sam pomyślałem, żeby zażywać jakiś lek przez całe życie, instynktownie mi się nie podobał. Trafiliśmy więc do szwajcarskiej kliniki i tam - po kilkudniowych badaniach stary, osiemdziesięcioletni endokrynolog zadał Angeli dziwne pytanie:

- Czy ma pani szczęśliwe życie? Czuje się pani kochana? Nie wiem dokładnie, co moja żona mu odpowiedziała, ponieważ poprosił, żebym zszedł na zewnątrz. Kiedy jednak znów tam wszedłem, powiedział, że jego zdaniem Angela nie musi nic brać i że my dwoje oraz nasi synowie, wówczas jeszcze bardzo mali, możemy żyć dalej bez specjalnych obaw. Geniusz! Ktoś, kto najwyraźniej nie sprowadzał wszystkiego tylko do chemii, przyznając także umysłowi i psychice istotną rolę - być może nawet bardzo ważną - w utrzymaniu zdrowego ciała. Z czysto naukowego punktu widzenia powinniśmy powierzyć wszystko chemicznej terapii zastępczej, ale on założył, że powrót do normalnego życia uczuciowego i do spokoju ducha odniesie podobny skutek jak lekarstwa, jednak bez skutków ubocznych. Minęło trzydzieści lat... i w naszej rodzinie, jak dotąd, wąsy mam tylko ja!

Niestety, taki typ lekarza, który nie tylko dobrze zna swoją dziedzinę, ale także życie, solidnie przygotowany namowo, ale wciąż pojmujący medycynę jako sztukę, na Zachodzie już nie istnieje i nie jest kształcony. Lekarze, opuszczający dziś mury naszych uniwersytetów, skupiają się niemal

wyłącznie na schorzeniach, a nie na chorych. Pacjent jest „nosicielem” choroby, a nie osobą zintegrowaną albo nie ze swoim światem i rodziną, zadowoloną albo niezadowoloną ze swojej pracy. Żaden lekarz nie chodzi już do domu chorego, nie zna otoczenia, w jakim żyje, nie rozumie jego związków uczuciowych. Nie ma na to czasu. Nie ma już w nim tej ciekawości, tej postawy.

Dlatego też chory - czy to w Europie, czy w Ameryce - czuje się coraz mniej rozumiany przez lekarza-urzędnika, który zadaje pytania przede wszystkim po to, żeby wypełnić formularze, albo przez lekarza-specjalistę, który jest ekspertem tylko od kawałka jego ciała i zajmuje się nim, jakby nie był on niczyją częścią.

W związku z tym coraz więcej osób zwraca się ku takiej czy innej medycynie „alternatywnej”. Na przykład w Stanach Zjednoczonych, gdzie specjalizacja jest najbardziej posunięta, roczna liczba wizyt „alternatywnych” przewyższa już tę u normalnych lekarzy.

Medycyna niekonwencjonalna obiecuje pacjentowi indywidualne podejście, pozwala odczuć, że traktuje go jako całość, szuka na przykład przyczyn bólu głowy na podeszwie stopy. Przywraca w ten sposób do związku między lekarzem a chorym element tajemnicy i magii, który już sam w sobie zdaje się mieć działanie terapeutyczne. Jest to

w sumie dużo przyjemniejsze.

- Proszę mi powiedzieć, czy w toalecie pani fekalia pływają na powierzchni, czy spadają na dno? Co pani woli jeść, czekoladkę czy cytrynę? Gdyby znalazła się pani w lesie naprzeciw dzikiego zwierzęcia, jaka byłaby pani reakcja? Próbowałaby pani uciec czy wdrapać się na drzewo? - Angela była rozbawiona i odpowiadała najlepiej jak umiała.

Mieszkaliśmy już w Indiach od paru lat. Skaleczyła się w palec u nogi i żadne maści, antybiotyki i okłady, przepisane przez lekarza wykształconego na Zachodzie, którego polecały ambasady, na nic się zdały. Rana wyglądała wręcz coraz gorzej. Jeden z hinduskich przyjaciół podpowiedział, żeby pójść do lekarza specjalizującego się w ajurwedzie. Zadzwoiłem do prezesa ich stowarzyszenia, a on, niezwykle uprzejmy, przyjął nas w swoim domu w centrum Delhi. Miejsce było skromne, a atmosfera bardzo swobodna. Lekarz zainteresował się snami Angeli, zapytał o jej tryb życia, kim chciała zostać, kiedy była dzieckiem. Poprosił, żeby narysowała dom i łódkę, po czym zmierzył jej puls w obu nadgarstkach. Stopy prawie nie oglądał. Na koniec tej trwającej niemal godzinę konsultacji wręczył nam receptę. Poszliśmy do starej ajurwedyckiej apteki przy Connaught Place i tam, na naszych oczach, przygotowano wiele zawiniątek z białego papieru - podobnych do tych, do jakich przywykliśmy w Chinach - wypełnionych proszkiem, który należało zażywać po rozpuszczeniu w wodzie.

Angela wypita wszystko w przepisowych odstępach, ale stan palca się nie poprawił. Pierwsze doświadczenie z ajurwedą nie było zatem zbyt zachęcające. Zona chodziła ze swoją brzydką raną jeszcze przez kilka tygodni... aż pewnego wieczora stary znajomy z „Newsweeka” przyprowadził na kolację bardzo dziwną kobietę: około czterdziestki, wysoka, żyłasta, piękna, ale szorstka, jakby zaprawiona ciężkim życiem, które zniszczyło jej też większość zębów. Była Australijką. Dziesięć lat wcześniej pracowała jako dziennikarka w Hongkongu. Tam poznała młodego Indonezyjczyka, wyszła za niego i pojechała za mężem do małej wioski, położonej przy jednej z rzek na Borneo, skąd

pochoził. Została muzułmanką. Nauczyła się języka i przystosowała się do dziwnego życia owego miejsca zdominowanego, jak zresztą cała Indonezja, przez magię.

Historie, które opowiadała Nur - „Światło”, jak brzmiało teraz jej nowe imię po arabsku - należały naprawdę do innego świata. Była jedyną białą kobietą, jaka kiedykolwiek się znalazła w wiosce męża. Wkrótce po przyjeździe pewnego dnia sprzedawca warzyw na targu, gdzie się zaopatrywała, odezwał się do niej w te słowa: Dzisiaj wieczorem przyjdę do ciebie. Jeśli zobaczysz srebrnego chrząszcza, nie zabijaj go. To będę ja. Owego wieczora Nur zobaczyła wpadającego przez okno owada, który krążył przez jakiś czas po domu, po czym wyleciał. Pomyślała, że to zbieg okoliczności. Jednak po tygodniu sprzedawca warzyw na targu opisał dokładnie wszystkie pomieszczenia w domu białej kobiety i ostrzegł ją: Uważaj, w twoim domu są złe duchy.

Mężczyzna miał rację: wkrótce małżeństwo Nur zaczęło się psuć i bomoh, miejscowy czarownik, a także rodzina męża rozpoczęli z nią wojnę, próbując nakłonić kobietę do wyjazdu. Kury Nur, dotknięte czarną magią bomoha, przestały znosić jaja, kwiaty w jej ogrodzie więdły, ledwie rozwinęły się z pączków, niektóre przedmioty w domu nagle znikaly, podczas gdy w szufladach pojawiały się zardzewiałe gwoździe.

Nie dając za wygraną, Nur, z potajemną pomocą sprzedawcy-chrząszcza, zaczęła studiować białą magię. Nauczyła się odpowiadać, wet za wet, na czarne praktyki bomoha. Nie opuściła wioski również po wyjeździe męża i stała się, dzięki zdobytej mocy, uzdrowicielką. Niedawno przeniosła się do Dżakarty, gdzie znana już była jej umiejętność leczenia różnych chorób.

Również ran na nodze? Oczywiście. Nur przychodziła codziennie, kazała kłaść się Angeli na kanapie w salonie, zaciągała zastony, włączała indonezyjską muzykę, paliła kadzidło i gładziła stopę, opowiadając mojej żonie o życiu na Borneo i pytając o jej własne. Po tygodniu rana się zagoiła.

Ja też poddałbym się z przyjemnością takiemu leczeniu, leżąc wygodnie w półmroku pięknego pokoju pachnącego kadzidłem, słuchając muzyki gamelan i opowieści Nur, a czasem samemu snując swoje. Jednak mój problem był trochę inny niż gnijący palec i nie miałem czasu na eksperymenty.

- Spróbuj. Medycyna alternatywna nie ma skutków ubocznych. Co najwyżej nie zadziała - słyszymy. Może się to okazać śmiertelną pułapką. Ile osób, chcąc uniknąć chirurgicznego okaleczenia, spustoszenia wywołanego chemią i zagrożeń związanych z naświetlaniami, wybiera rozwiązania pozornie łatwiejsze i bardziej obiecujące! Pięćdziesięcioletnia matka jednego z przyjaciół, chora na raka piersi, oddała się w ręce „uzdrowiciela”. Ten kazał jej pić wielkie ilości naparów z ziół i mierzył postępy „leczenia” za pomocą wahadełka. Kiedy po kilku miesiącach kobieta postanowiła wrócić do chirurga, który proponował jej wcześniej usunięcie piersi z dużą szansą na przeżycie, było już za późno. Straciła cenny czas. Umarła.

W ostatnich czasach stało się to problemem szczególnie istotnym, ponieważ pewne praktyki, które w przeszłości ograniczały się do wąskiej grupy ludności, wystawionej na kalifornijskie powiewy New Age czy też mody na orientalną egzotykę, są w tej chwili w zasięgu wszystkich i pienią się jak chwasty w każdym mieście i niemal w każdym rejonie Europy. We Florencji prosty rzemieślnik, tapicer, który przyszedł do domu zmienić obicie na kanapie, zaczął opowiadać mi o czakrach i o „strumieniach energii”, za pomocą których - jak kazał mu wierzyć jakiś „energoterapeuta” - mógł wyleczyć raka jelita

grubego, unikając interwencji chirurga. Nawet w Orsigni, liczącej stu mieszkańców wiosce w toskańsko-emiliańskich Apeninach, gdzie spędzam okres letni, zaprzyjaźniony pasterz opowiadał mi ostatnio, że co tydzień pokonuje kilkaset kilometrów samochodem, jeżdżąc do jakiejś „tybetańskiej czarodziejki”. W jego przypadku chodziło na szczęście tylko o utrudniający chodzenie ból nogi. Co najwyżej ryzykował, że ta kobieta go... wyleczy.

Problem polega na tym, że nie ma już żadnej kontroli. Wszyscy sądzą, że wszystko wiedzą, czują się upoważnieni do oceniania. Przepisy są niedostosowane do życia, a chaotyczna i bezładna lawina informacji produkowanych przez Internet stworzyła tę bardzo już rozpowszechnioną połowiczną wiedzę, która jest najgorszą i najgroźniejszą formą ignorancji. W tej próżni, w której nie ma prawdziwej i uczciwej znajomości rzeczy, zaczyna brakować nawet zdrowego rozsądku i każdy szarlatan może ludzi omamić.

Kiedyś lekarz, adwokat, architekt czy inżynier przedstawiał jako gwarancję swoich usług dyplom magisterski podpisany przez rektora uczelni, która przyznała dany tytuł. Dzisiaj nie stanowi on już sam w sobie wielkiej rękojmi, a w każdym razie nikt nie zwraca już na to uwagi, Przypadek jakiegoś wyleczenia, jakaś zasłyszana historia, a czasem zwykły dźwięk egzotycznego słowa zastępują tradycyjne certyfikaty. Ani sędziowie, ani stowarzyszenia zawodowe nie są już w stanie chronić obywatela. A on sam, czując się „wyzwolony”, nie chce już być chroniony. Poza tym również w tej kwestii, jak we wszystkich dziedzinach „nowoczesnego” życia, decyduje rynek, a nadzieja jest towarem, którego - jak się zdaje - nigdy nie ma w nadmiarze. Każdy sprzedawca nadziei znajdzie klientów. A jeśli potem staną się oni ofiarami, to już ich sprawa. Więcej, ich wina!

Jednym z najbardziej pociągających aspektów terapii alternatywnych jest to, że pacjent musi uczestniczyć w procesie zdrowienia, że wiele od niego i od jego woli zależy. Oznacza to jednak również, że jeśli coś nie działa, nie można przypisywać winy samej kuracji: to pacjent nie zaangażował się wystarczająco. Szarlatani w ten sposób znakomicie usprawiedliwiają swoją nieskuteczność.

Często rada, aby zwrócić się ku medycynie niekonwencjonalnej - już samo używanie terminu „medycyna” to w większości przypadków nadużycie - dawana jest w absolutnie dobrej wierze. Na pewno tak było w przypadku Dana Reida, starego kumpla z czasów moich chińskich studiów w Ameryce, który stał się ekspertem od taoizmu, buddyzmu, qigong, medycyny wschodniej i wielu innych aspektów wiedzy tajemnej, którą praktykuje i na której temat napisał liczne książki przełożone na wiele języków.

W połowie mojej chemioterapii wysłałem do niego z Nowego Jorku maila, w którym zawiadaniałem, co się ze mną dzieje, i prosiłem o pomoc w kwestii, co mógłbym potem zrobić dla przywrócenia równowagi, wzmocnienia mojego systemu odpornościowego i odnalezienia tych małych skarbów, które - jak wiedziałem - kryły się w uprawianych przez niego praktykach. Żle na tym wyszedłem. Po kilku godzinach odpowiedź paliła dosłownie ekran mojego komputera: oszalałem, oddając się w ręce „tych morderców w białych fartuchach”! Oni będą próbowali zabić mojego raka, trując go, ale jednocześnie otrują również mnie. Oczywiście to kwestia życia i śmierci, ale także późniejszej jakości życia! Ostatnią rzeczą, jaką powinienem robić, jest chemioterapia. Mam natychmiast przestać niszczyć mój organizm, ponieważ szkody, jakie przyniesie ta kuracja, głównie dla wątroby i krwi, spowodują, że nie będę już później mógł zrobić nic innego. Jak ośmieliłem się poddać temu wszystkiemu, wcześniej się z nim nie konsultując? Jak mogłem, po życiu spędzonym w Azji, zawierzyć „temu gównu, jakim jest tak zwana zachodnia nauka medyczna”?

Co sugerował mi Dan? Miałem natychmiast zadzwonić pod podany numer w San Francisco, aby umówić się na telefoniczną „wizytę” u jasnowiedzki, wielkiej uzdrowicielki, będącej w stanie „zobaczyć” wszystko również na odległość. „Przez trzydzieści lat wędrówek po Azji, od Indii po Chiny i Tybet, w poszukiwaniu mistrzów duchowych i wielkich uzdrowicieli nie spotkałem nigdy nikogo, kto choćby minimalnie zbliżał się do mocy i wizji tej kobiety - pisał Dan. - Sam się przekonasz... a jeśli chcesz wiedzieć coś więcej na temat tego, co robią twoi przyjaciele z MSKCC z pacjentami chorymi na raka, przeczytaj...”, i tu następowała mała bibliografia, którą po części już znałem, a także kilka adresów stron internetowych, gdzie miałem znaleźć inne historie wycelowane przeciwko mojemu - w tej chwili jakże już kochanemu - szpitalowi.

Wiadomość od Dana nie zrobiła na mnie wrażenia. Byłem na bieżąco z teoriami, według których MSKCC wspólnie z wielkim przemysłem farmaceutycznym negowało jakiegokolwiek wartości kuracji alternatywnych, z których ten ostatni nie czerpał żadnych korzyści. Czytałem, że w przeszłości z niewytłumaczalnych powodów szpitalem leczącym raka kierował osobnik związany z przemysłem tytoniowym, który - jak wiadomo - w znacznym stopniu przyczynia się do powstawania tej choroby. Nie zmieniało to jednak mojego przekonania, że był to najlepszy wybór, jakiego mogłem dokonać.

Jestem pewny, że gdybym skontaktował się z ową kobietą, byłoby to bardzo ciekawe doświadczenie. Ona „zobaczyłaby” moje wewnętrzne „Ja” z jego siedmioma warstwami i wielobarwną aureolą wokół ciała; kazałaby mi „myśleć pozytywnie” i uczestniczyć w „mojej kuracji”. O tych rzeczach w nowojorskim MSKCC nikt nie chciał nawet słyszeć.

Gdybym miał szkarlatynę albo na przykład katar sienny, zadzwoniłbym do niej - choćby dlatego, że jak na jasnowiedzkę przystało, nazywała się Santa Chiarezza. (Święta Jasność)

Byłem przekonany o słuszności swojej decyzji, ale jednocześnie coraz wyraźniej zdawałem sobie sprawę, że medycyna, której powierzyłem zdrowie - właśnie dlatego, że jest nauką, a nie magią, że opiera się na rozumie i na doświadczeniu, nie zaś na intuicji - nie może wyjść poza pozory, poza fakty, poza to, co zmysłowo postrzegalne. Takie podejście wywoływało we mnie pewną pustkę poznawczą, ponieważ byłem coraz bardziej przekonany o istnieniu czegoś wewnątrz rzeczy, czego nauka, ze względu na to, jak działają jej sieci, nie jest w stanie wyłowić z morza rzeczywistości. Czegoś ważnego. Być może ważniejszego od całej reszty.

Fakt ten może świadczyć tylko o tym, że sieci są niewłaściwe. Nauka próbuje zrozumieć i wyjaśnić świat, rozkładając go na czynniki pierwsze, mierząc, obserwując i - o ile to możliwe - odtwarzając. W jaki zatem sposób może wychwycić ogień ukryty w kawałku drewna, drzewo drzemiące w nasieniu, radość lub smutek, które każdy z nas w sobie nosi?

Jednak nie tego wymagałem od moich lekarzy. Rozumiałem, że nie mogą mi naukowo wyjaśnić, dlaczego dachówka spada na głowę komuś, kto w tym właśnie momencie przechodzi pod domem; dlaczego kula trafia mojego sąsiada, a nie mnie. Ale jak mogą nie brać pod uwagę możliwości istnienia związku przy czyn owo-skutkowego między moim życiem, tym wszystkim, co zrobiłem, co zobaczyłem, moimi frustracjami, depresją, a tym, że moje komórki oszalały?

Jeśli to prawda, że twarz danej osoby jest zwierciadłem jej życia, że można z niej odczytać rozczarowania i radości, to dlaczego życie, jakie ktoś prowadził, nie miałyby pozostawić jakiegokolwiek śladu

w głębi własnej materii: w komórkach? Chciałem udowodnić, przede wszystkim samemu sobie, że rak, na którego zapadłem, był moim rakiem. Oczywiście nie po to, aby siebie za to obwiniać, ale raczej dlatego, że jeśli odegrałem jakąś rolę w wywołaniu choroby, to teraz chciałem mieć ją także w jej kontrolowaniu. Być może była to tylko kwestia postawy, ale dla mnie okazało się to istotne.

Wielki dziewiętnastowieczny hinduski mistyk Ramakryszna, którego opowiadania i przypowieści są wciąż na ustach wielu ludzi, mówił, że istnieją dwa sposoby ocalenia: sposób małego kociaka, który nie musi nic robić, bo brany jest przez kocią mamę za kark i wyprowadzany na spacer, i sposób małpy, która zaraz po urodzeniu musi się nauczyć przytrzymywać z całych sił maminej sierści. Zawsze jest jakaś „mama” - los - która czuwa nad naszym bezpieczeństwem. Ja mojemu losowi chciałem ze wszystkich sił jakoś pomóc.

- Przesadza pan, sądząc, że to pan sam przyczynił się do powstania swojej choroby - powiedział mi Lucio Luzzatto, sześćdziesięcioletni, niski, bardzo szczupły Genuńczyk, który spędził wiele lat w Afryce, zanim stanął na czele zespołu badań genetycznych w MSKCC. Poszedłem do niego właśnie po to, by mi wyjaśnił, jak się rodzi rak.

Tak jak to potrafią tylko prawdziwi intelektualiści, którzy nie potrzebują dla dodania sobie powagi komplikować tego, co proste, Luzzatto uprościł dla mnie to, co było skomplikowane. Jeśli dobrze zrozumiałem, sprawy mają się tak: rak jest chorobą genetyczną komórek somatycznych. Oznacza to, że u jej podstaw leżą geny. Stanowią one bazę DNA, naszego kodu tożsamości. Każdy z nas ma swój własny. Każde DNA składa się z około stu tysięcy genów. Determinują one, jacy jesteśmy i jacy będziemy. W genach zapisany jest kolor naszych włosów w młodości i na starość, długość nosa i naszego życia. Na swój sposób są one naszym „przeznaczeniem”. Geny te reprodukują się poprzez powtórzenie, czyli wytwarzając dokładne kopie samych siebie. I tu zaczyna się problem, tu może narodzić się rak, ponieważ jest praktycznie niemożliwe, żeby reprodukowały się one w nieskończoność dokładnie w taki sam sposób. Możliwość pomyłki - nawet tylko jednej kopii na milion - jest naturalna, tak samo jak normalne jest, że skryba, przepisując całą Biblię, popełni błąd w transkrypcji. Pomyłka może być minimalna, ale jako dziedziczna stanowi mutację, która odtworzy się przy następnym powtórzeniu i tak dalej.

Część z tych mutacji nie niesie ze sobą żadnych konsekwencji; inne zatrzymują funkcjonowanie komórki, która traci przez to możliwość reprodukcji, i na tym koniec. Jeszcze inne powodują zmianę w komórce, i te są niebezpieczne.

Mutacja - powtórzył Luzzatto z naciskiem - jest błędem przypadkowym, a nie „złośliwym”. Przeciwnie, to fakt całkowicie naturalny. Bez mutacji nie byłoby ewolucji - dodał.

Mutacja sama w sobie nie wywołuje raka. Dopiero kiedy po jednej następuje kolejna i jeszcze jedna, problem staje się poważny.

Na przykład u pana potrzeba było co najmniej pięciu kolejnych mutacji, i proszę pamiętać: wszystkie były przypadkowe! Przypadkowe! - powtórzył z naciskiem.

Podobnie jak młody szef zespołu badawczego, który uważał, że jest o krok od odkrycia tajemniczej budowy komórki, również Luzzatto był przekonany, że nauka medyczna będzie wkrótce w stanie pomóc uniknąć tych mutacji.

A więc nie mógł pan wpłynąć na te mutacje - zakończył. - Jeśli jednak rzeczywiście chce się pan czuć za coś odpowiedzialny, proszę się zająć swoim systemem odpornościowym. Ten jest bardzo zindywidualizowany: nawet dwoje identycznych bliźniąt ma zupełnie różne systemy odpornościowe. Ten, jeśli pan chce, jest pański! Ma pan na swój sposób wpływ na odpowiedź odpornościową, a zatem na to, co się stanie z pańskim rakiem i ogólnie z panem.

Wreszcie! Nie musiałem już być zwykłym obserwatorem swojej choroby i tego, co miała ze mną zrobić. Było coś, co zależało ode mnie! Miałem jakąś rolę, odpowiedzialność. Moja przyszłość znalazła się także w moich rękach.

Chętnie spędziłbym całe godziny jako uczeń z takim jak on nauczycielem. Luzzatto był uczonym, przy którym nie tęskniłem za żadnym szamanem! Żegnając się, zadałem mu jeszcze pytanie, które w tamtych dniach nie dawało mi spokoju: Czym dokładnie jest choroba?

Spojrzał na mnie tak, jak może spojrzeć tylko ktoś, kto jest dziedzicem starej kultury, która przez wieki wywracała wszystko do góry nogami za pomocą swoich największych umysłów, i z rozbajającym uśmiechem odpowiedział:

To fascynujący temat, ale łatwiej mi mówić o raku. O tym mam przynajmniej jakieś jasne wyobrażenie.

Rozmowa z Luzzatto dała mi do myślenia. Pisząc *Un indovino mi disse* (Powiedział mi wróżbita), próbowałem - muszę przyznać, ze znaczną dawką sceptycyzmu - zrozumieć, czy to możliwe, aby los człowieka został zapisany na przykład w liniach jego dłoni i aby ktoś był w stanie go odczytać. Ależ po co tu sceptycyzm! Jeśli - jak twierdził Luzzatto - przeznaczenie jest ostatecznie zapisane w genach każdej jednostki i jeśli tacy jak on są już w stanie je odczytać, jak zatem nie myśleć, że może być również zapisane na dłoni. Jedyna różnica polega na tym, że lektura genów jest bardziej nowoczesna, mniej spowita tajemnicą. A także naukowa. I z tego powodu o wiele bardziej niepokojąca. Fakt, że można dosłownie „odczytać przyszłość” danej osoby w jej genach, otwiera niesłychane perspektywy manipulacji, nie wszystkie pożądane tak, jak możliwość odcięcia przełącznika wywołującego raka. Już wkrótce, kiedy mapa ludzkiego genomu będzie kompletna, naukowcy, a raczej nieliczne spółki, które zawłaszczyły te badania i odpowiednie patenty, zyskają wyłączność na genetyczne planowanie naszego gatunku oraz posiadają różne środki umożliwiające ingerencję i klonowanie. Niektóre zakłady specjalizują się w produkcji embrionów zdolnych zaspokoić popyt na ostatni wynalazek konsumpcyjny: dzieci na zamówienie (chłopiec, długowieczny, niebieskooki blondyn); inne będą mogły zaoferować swoje usługi pracodawcom, którzy zechcą dokonać selekcji między kandydatami, aby zatrudnić tych, którzy na podstawie odczytania ich przyszłości z kodu genetycznego okażą się najmniej podatni na raka prostaty czy piersi.

Wyobrażalne i niewyobrażalne konsekwencje połączenia tej nowej nauki genetycznej z coraz bardziej zaawansowanym użyciem potężnych komputerów napawają mnie strachem. To tak, jakby człowiek naprawdę doszedł do wniosku, że może wejść w rolę Boga i wprowadzić za chwilę na scenę swoje własne ministrowanie. Ale czy Bóg mu na to pozwoli?

Nie pamiętam, w jakim języku rozmawialiśmy, ale być może po angielsku, ponieważ w jakiś sposób Luzzatto, choć studiował medycynę we Włoszech, nie był już włoskim lekarzem. Ci, kiedy osiągną swoją pozycję, nie zapinają fartucha - co jest symbolem duchowym, jak dla szamanów czaszki i kości zwierząt zawieszane na szyi. Wręcz przeciwnie, celowo pozwalają, żeby jego poły fruwały, kiedy kroczą szpitalnymi korytarzami z całym orszakiem asystentów, i wszystkich, łącznie z chorymi, traktują z góry. Nazywa się ich „baronami”, ale oni sami poczytują się przede wszystkim za panów życia i śmierci.

W przypadku lekarzy amerykańskich było odwrotnie: uważali się co najwyżej za wyspecjalizowanych mechaników. W wielkim bufecie na parterze MSKCC, gdzie w porze śniadania albo obiadu wszyscy stali w kolejce z tacą przy samoobsługowej ladzie, nie można było odróżnić, kto jest lekarzem, a kto pielęgniarzem albo kimś z obsługi technicznej.

Żyjąc w świecie ludzi chorych, zdałem sobie sprawę, że jeszcze jedną z przyczyn, które skłaniają niektóre osoby do rezygnacji z medycyny klasycznej na rzecz alternatywnej, jest właśnie postawa lekarzy: lekceważenie przez nich wrażliwości pacjenta, ich - wynikająca czasem z pośpiechu, a czasem wręcz z wymogów prawnych - zwyczajna brutalność.

Szczególnie znamienna jest tu historia Ludovica. Poza tym ma ona reperkusje, które jeszcze dziś wprowadzają mnie w głębokie zakłopotanie.

Ludovico nie był typowym przyjacielem przyjaciół, który dzwoni, żeby zaprosić go na kolację i poradzić mu, gdzie ma pójść i co kupić w Indiach. Przeczytał jedną z moich książek, był przejazdem w Delhi i spróbował wybrać numer, o który poprosił w ambasadzie włoskiej... a ja miałem szczęście, bo zamiast włączyć moją stałą płytę i powiedzieć: „Dziękuję. Właśnie wyjeżdżam. Jaka szkoda. Spotkamy się następnym razem”, coś kazało mi spytać:

Przepraszam, ale czym się pan zajmuje w życiu?

Ja? Jestem ekspertem w chorowaniu.

Była to nietypowa odpowiedź, nietypowy człowiek i nietypowe od tamtej pory następstwo wypadków, które - jeśli spojrzeć na nie przez pryzmat późniejszej wiedzy - każą myśleć, że być może naprawdę jest w naszym życiu coś, czego nie da się pojąć za pomocą wiedzy, coś, co kryje się poza oczywistością i wymyka rozumowi.

Kiedy Ludovico do mnie zadzwonił, miał czterdzieści siedem lat. Wcześniej wykonywał wiele zawodów, a „ekspertem w chorowaniu” stał się po tym, jak włoscy lekarze zaaplikowali mu chemioterapię, zdiagnozowawszy uprzednio raka. Doświadczenie to było dla niego prawdziwym dramatem. Przez cały okres terapii czuł się jak numer, a lekarze nie dawali mu prawie nic, żeby złagodzić negatywne efekty koktajlu. Kiedy na zakończenie różnych cykli kuracji poszedł do lekarza prowadzącego zapytać, czy może uważać się za wyleczonego, ten najpierw unikał odpowiedzi, po czym oznajmił sucho:

- Z raka nie można się wyleczyć. Proszę to sobie wbić do głowy raz na zawsze!

Dla Ludovica taki wyrok był nie do przyjęcia. Od tamtej pory zaczął szukać czegoś lub kogoś, kto nie odbierałby mu tak brutalnie wszelkiej nadziei. Pewna kanadyjska przyjaciółka podpowiedziała, żeby wypróbował caisse formula, ziołową miksturę, stosowaną przez jedno z plemion Indian amerykańskich w leczeniu różnych chorób, w tym raka. Ludovico stał się jej zagorzałym, codziennym konsumentem, a z czasem również propagatorem. Za pośrednictwem owego niezniszczalnego łańcuszka świętego Antoniego, jakim jest nadzieja, najpierw kilka, a potem dziesiątki osób - od początku sceptycznych wobec medycyny konwencjonalnej albo zawiedzionych jej działaniem - zwracały się do niego po radę, jak zdobyć ową „cudowną” miksturę. Przyjechał do Indii, żeby postudiować trochę miejscową medycynę i poznać lekarzy praktykujących ajurwedę, których można by sprowadzić ewentualnie do Włoch.

Angela i ja słuchaliśmy go przez parę godzin. Podobały mi się jasne oczy Ludovica, jego ciepło i szczerść. Ale w owym momencie nie byłem osobiście zainteresowany tym, co mówił - czy to jako chory, czy też znawca terapii alternatywnych. Czułem się znakomicie, rak dotyczył „innych” i nie miałem najmniejszego zamiaru pisać o medycynie indyjskiej, biorąc pod uwagę, że stała się już modnym tematem, którym się zajmowało wielu dziennikarzy. Po wyjściu Ludovica wyłącznie z ciekawości poszukałem w Internecie informacji na temat owej mikstury, o której nigdy wcześniej nie słyszałem. Znalazłem setki stron, kilka z nich przeczytałem i cała historia na tym się dla mnie zakończyła, aż do chwili... kiedy kilka miesięcy po naszym spotkaniu również u mnie zdiagnozowano raka, i to tego samego typu, co u Ludovica. Zbieg okoliczności, jak to się mówi. Być może, zgadzam się, bo chwilowo nie znajduję żadnego innego wyjaśnienia. A przecież, jakże dziwny!

Od tamtej pory nasze losy się splotły. Jego doświadczenie i obecność były mi bardzo pomocne. Kiedy ja przebywałem jeszcze w Nowym Jorku, Ludovico - mimo „cudownej” mikstury, której zawierzył - miał nawrót starej choroby. Po miesiącach wahań, czy nadal trzymać się tego,

do czego przekonał również wielu innych, czy też przyznać się do porażki i znów oddać się w ręce medycyny klasycznej, wrócił w końcu do chemioterapii i zdecydował się na przeszczep szpiku. Jednocześnie nauczył się nie pytać więcej, czy wyzdrowiał, i czuje się dobrze. Żeby wspomóc swoją „wiarę”, ciągle przyjmuje też dawną miksturę.

Ja natomiast wciąż się zastanawiam, co tak naprawdę doprowadziło do naszego spotkania w Delhi, i nie mogę uwierzyć, że był to tylko „przypadek”.

Pewnego dnia pod drzwiami swojej nowojorskiej kryjówki znalazłem paczuszkę zostawioną przez listonosza. W środku, zawinięty w żółtą bibułkę, był kata, długi i wąski szalik z białego jedwabiu. Jeden z tych, które po dotknięciu - czyli pobłogosławieniu - przez któregoś z ważnych łamów Tybetańczycy noszą jako amulet albo zawieszają w domu na tance, świętym malowidle, lub też wokół wizerunku Buddy. Ten przysłał mi sam dalajlama.

Mój przyjaciel i kolega z redakcji „Der Spiegel” pojechał z Hamburga do Dharamsali przeprowadzić z nim wywiad. Na zakończenie spotkania rozmawiali o mnie, o tym, że nie jestem tam z nimi, tylko przebywam teraz w Memoriał Sloan-Kettering Cancer Center. Dalajlama, trzymając ów kata w obu dłoniach, podniósł go ceremonialnie do czoła, przez kilka sekund się koncentrował, po czym przekazał szal przyjacielowi z prośbą, by mi go dostarczył..., dodając przy tym:

- Gdyby moje błogosławieństwa nie wystarczyły, proszę mu powiedzieć, żeby brał też wszystkie lekarstwa, które mu dają.

Wciąż ten sam: wielki w swej prostocie, ironiczny także w odniesieniu do własnej osoby i obdarzony tym przymiotem, który - choć wcale nie powszechny - przez Anglików nazywany jest common sense, a przez Włochów buon senso. (Zdrowy rozsądek. Istnieje również w języku włoskim określenie senso comune, mające podobne znaczenie: zdrowy (chłopski) rozum).

Kiedy spotkałem go ostatnim razem, dalajlama, „Ocean Mądrości”, był mocno przeziębiony i od tygodni miał uporczywą chrypkę, która bardzo niepokoiła brata, u którego mieszkałem.

Czy Wasza Świątobliwość wykorzystuje w leczeniu medycynę tybetańską, czy zachodnią? - zapytałem dalajlamę.

To przypomniało mu, że jest spóźniony.

Stosuję obydwie - odpowiedział, wybuchając swoim pięknym, zaraźliwym śmiechem.

Po tym szybko połknął jak najbardziej zachodni antybiotyk. Popił go gorącym tybetańskim naparem, postawionym chwilę wcześniej przez jednego z asystentów na stoliku, przy którym siedzieliśmy w jego pracowni w Dharamsali.

Szal (kata) otulił małego Buddę, stojącego na parapecie mojego okna wychodzącego na Central Park. I tak każdego dnia, zażywając lekarstwa, myślałem o jakże pożądanych błogosławieństwach dalajlami, którymi być może przesiąknięty był ów pas białego jedwabiu.

W 1993 roku schroniłem się na dziesięć dni na północy Tajlandii, gdzie brałem udział w kursie medytacji vipassana, prowadzonym przez Johna Colemana, wspaniałego Amerykanina, byłego agenta CIA, który został buddystą. W owym czasie „medytowanie” było jeszcze rzadko używanym określeniem. Ja sam, choć mieszkałem w Azji, ledwie o nim słyszałem jako o zajęciu dla ludzi, którzy mają dużo czasu do stracenia, lub ostatecznie jako o czymś w rodzaju odskoczni, duchowego eksperymentu dla hipisów na wakacjach.

Od tamtej pory sytuacja znacznie się zmieniła: szczególnie na Zachodzie. „Medytacja” jest dzisiaj słowem, które weszło do potocznego języka, i wiele osób twierdzi, że ją praktykuje - lub przynajmniej tak im się wydaje. Fryzjerka z zakładu na rogu medytuje; medytuje kierowca autobusu, medytują sekretarki w przedsiębiorstwach i urzędnicy bankowi; medytują kobiety w średnim wieku, sfrustrowane pustką swojej egzystencji, i medytują młodzi ludzie pracujący na giełdzie po to, aby ich umysł - mają taką nadzieję - był zdolny do większej koncentracji i bardziej nastawiony na sukces.

Z powodu tego potwornego i zniechęcającego procesu trywializacji, który z każdego małego odkrycia czyni obiekt mody, a z każdej małej tajemnicy produkt do wystawienia na sprzedaż, medytacja trafiła już do supermarketów. Ogłoszenia o nowych kursach medytacji wiszą obok dotyczących adopcji psa albo pary syjamskich kotów. W księgarniach tomy dotyczące tego zagadnienia wystawione są obok tych na temat jogi, reiki, okultyzmu, tarota, buddyzmu tybetańskiego, qigong, taoizmu, i Ching,

medycyny Indian oraz podróży międzygwiazdnych. W amerykańskiej sieci księgarń Barnes & Noble, po salach poświęconych historii, literaturze, nauce i biografom, są pomieszczenia z poradnikami i książkami dotyczącymi New Age, astrologii i zdrowia. Kto nie ma ochoty czytać, może się nauczyć medytować, słuchając książek nagranych na kasetach - na przykład podczas jazdy samochodem. Wszystko znajduje się już w zasięgu wszystkich i - co za tym idzie - straciło ową rzeczywistą wartość, która - szczególnie w przypadku pewnych praktyk duchowych - związana była z trudnością odkrywania, z „tajemnym” sensem nauki.

Uczeń musiał przez lata służyć swojemu mistrzowi, przynosić mu wodę, rąbać drzewo, sprzątać chatę, aż ten dawał mu wreszcie jakąś wskazówkę, czegoś go uczył, czynił częścią części „tajemnicy”. Dzisiaj wszystko stało się jak kawa w proszku: błyskawiczne. Tym samym nic już nie jest naprawdę szczególne czy cenne.

Czasami odnoszę wrażenie, że nawet język, którym mówimy, został zainfekowany jakimś wirusem, odbierającym mu jego siłę. Pewne słowa, używane wciąż na okrągło, w dodatku często bez sensu, zatraciły dużą część swojego znaczenia. Coraz częściej wypowiadamy się za pomocą kalek, powtarzamy banały i mówimy przede wszystkim nieuważnie - ot tak, dla podtrzymania konwersacji. Na przykład „kochać” to piękne wyrażenie, potężne słowo. Ale przecież nie można każdego dnia kogoś albo czegoś kochać, nie da się w taki sam sposób kochać osobę albo rzecz. Dlatego ktoś, kto naprawdę medytuje, nie mówi o tym.

Po odbyciu kursu medytacji u Johna Colemana spróbowałem wprowadzić tę praktykę do mojej codziennej rutyny, ale nie zawsze z powodzeniem. Jeśli brakuje zaangażowania w aspekt duchowy medytacji, szybko przestaje być ona koniecznością i w końcu wypada się z rytmu. Narzucenie jej sobie jako codziennego obowiązku niczemu nie służy. Dla mnie kurs ten był czymś podobnym do nauki jazdy na rowerze. Wyczułem możliwość użycia umysłu do kontrolowania ciała i wydało mi się to sztuką, którą warto przyswoić. W istocie okazała się bardzo pomocna.

Już w Bolonii, podczas różnych badań - czasem bolesnych - uciekałem się do tego, czego nauczył mnie John: koncentracji na oddechu, doprowadzaniu umysłu do bólu, wyobrażaniu sobie cierpienia jako węzła do rozsypnięcia, próbie dostrzeżenia jego koloru, kształtu (jest okrągły czy kwadratowy?), wielkości, policzeniu zadawanych przez niego ciosów. Wszystko po to, aby oddzielić mnie jako ciało od jego cierpienia, a przede wszystkim, żeby nieustannie pamiętać, iż wszystko, ale to wszystko jest nietrwałe, przychodzi i odchodzi - również ów ból.

Kiedyś pewna siostra zakonna, gdy zobaczyła mnie siedzącego na piętach z zamkniętymi oczami, podeszła i zapytała, co robię. Mniej więcej to, czego przez wieki uczono również osoby takie jak ona - nazywało się to kontemplacją -jednak tradycja ta w zakonach gdzieś się zagubiła. Mamy umysł i nie używamy go, mamy inteligencję i nie czerpiemy z niej owoców. Co więcej, robimy teraz wszystko, żeby wyprodukować sztuczną. Co za potworność!

Umysł należy do najbardziej wyszukanych narzędzi, jakimi dysponujemy, ale nie bierzemy tego pod uwagę. Przyjmując postawę typową dla naszych „nowoczesnych” czasów, powierzamy działaniu chemii to, co tymczasem -przynajmniej częściowo - moglibyśmy poruczyć umysłowi. Chemia w coraz większym stopniu staje się środkiem na całe zło. Jesteśmy w depresji, zmęczeni, bezpłodni, chudzi, grubi? Zawsze istnieje jakaś wymyślona pigułka, która właśnie pojawiła się w sprzedaży, żeby rozwiązać nasz problem. Dziecko jest nadpobudliwe? Po co szukać przyczyny? Prozac go uspokoi,

niezależnie od tego, czy u źródeł zdenerwowania są rozwiedzeni rodzice, którzy traktują go jak paczkę pocztową, wciąż odsyłaną do nadawcy, czy też szkoła próbuje uczynić z niego kogoś, kim nie jest. Prozac jest dziś produkowany w opakowaniach dla dzieci. W Stanach Zjednoczonych dziesiątki tysięcy najmłodszych muszą już codziennie przyjmować ten środek uspokajający, żeby móc funkcjonować „normalnie”.

To samo dzieje się z bólem. Jego pokonanie uważane jest dzisiaj za jedno z wielkich zwycięstw współczesnego człowieka. A przecież nawet to nie jest tak do końca pozytywne. Przede wszystkim ból spełnia ważną funkcję naturalną: alarmową. Sygnalizuje, że coś jest nie w porządku. W pewnych sytuacjach nieodczuwanie go może być jeszcze bardziej uciążliwe niż jego doświadczanie. Jednym ze straszliwych przejawów trądu jest fakt, że niszczy on naczynka włoskowa- te chorego, który nie odczuwa żadnego bólu. Nie zauważa więc, kiedy jego palce uderzają i roztrzaskują się o coś. Jeszcze gorsza rzecz dzieła się z trędowatymi w najbiedniejszych krajach: ich palce nocą, podczas snu, zjadały szczury.

Eliminując cierpienie w jego pierwszym objawie, współczesny człowiek odmawia sobie zyskania świadomości bólu, jak również nadzwyczajnego piękna jego przeciwieństwa: braku bólu. Dlaczego we wszystkich wielkich tradycjach religijnych postrzegany on jest jako rzecz naturalna, jako część życia? Może w bólu kryje się jakieś znaczenie, które nam umyka, o którym zapomnieliśmy? Nawet gdyby tak było, nie chcemy o tym wiedzieć. Jesteśmy uwarunkowani myśleniem, że dobro musi eliminować zło, że światem musi rządzić element pozytywny i że egzystencja nie stanowi harmonii przeciwieństw.

W takiej wizji nie ma miejsca dla śmierci, a tym bardziej dla bólu. Śmierć negujemy, nie myśląc o niej, wyrzucając ją z naszej codzienności, spychając, również fizycznie, tam, gdzie jest mniej widoczna. Z bólem poradziliśmy sobie jeszcze lepiej: pokonaliśmy go. Znaleźliśmy lekarstwa na każdą dolegliwość i wyeliminowaliśmy z ludzkiego doświadczenia nawet najbardziej naturalny, najstarszy ból: ból porodu, na którym, jak świat światem, opierała się duma macierzyństwa oraz niepowtarzalność związku między matką a dzieckiem, umocnionego być może właśnie przez cierpienie. Ale taka jest nasza cywilizacja. Coraz bardziej przywykamy do rozwiązywania naszych problemów za pomocą środków zewnętrznych, a co za tym idzie - stopniowo tracimy naszą naturalną moc. Odwołujemy się do pamięci komputera i zatracamy naszą. Pochłaniamy coraz więcej lekarstw syntetycznych i tym samym redukujemy zdolność ciała do produkowania własnych.

Ale czy naprawdę można kontrolować ból siłą umysłu? Kiedy mieszka się w Indiach, słyszy się wiele historii - czy też legend - według których można to osiągnąć. Logika takiego procesu byłaby następująca: Wszystkie nasze odczucia związane są z naszą świadomością; kiedy mówimy, że widzimy albo słyszymy, nie chodzi dokładnie o to, że to nasze oczy widzą, a uszy słyszą, ale o to, że nasza świadomość przyjmuje fakt, iż oczy widzą, a uszy słyszą. Dlatego też wystarczyłoby odciąć siłą umysłu świadomość od wrażeń, żeby nie odczuwać bólu. Prawdę mówiąc, właśnie to robimy, kiedy zasypiamy: świadomość odpływa, a my przestajemy odczuwać jakikolwiek ból. Ale jak to osiągnąć na jawie?

Tradycja jogi obiecuje tę moc i wspomina o jeszcze innej, znacznie ciekawszej: zdolności przeniesienia bólu poza siebie, ewentualnie na jakiś przedmiot. Jedną z najbardziej popularnych historii dotyczących tej zdolności liczy prawie tysiąc lat. Jej bohaterem jest Milarepa, Tybetańczyk, który był postacią historyczną, ale potem przeszedł do legendy jako jeden z największych joginów. Milarepa

jeszcze dziś jest często przedstawiany na tankach z otwartą dłonią za prawym uchem, co ma obrazować wsłuchiwanie się w cierpienie świata.

Urodzony w Tybecie w połowie jedenastego wieku, w rodzinie bogatych handlarzy wełną, zubożałych po śmierci ojca, aby pomścić matkę, którą krewni pozbawili wszelkiej własności, Milarepa studiuje czarną magię. Dzięki niej udaje mu się spowodować ich śmierć i zasiać zniszczenie. Następnie, pod wpływem skruchy, Milarepa zostaje uczniem wielkiego mistrza swoich czasów Marpy Tłumacza. Żyje przez całe lata jako asceta w lesie, żywiąc się wyłącznie gotowanymi w glinianym garnku pokrzywami. Stopniowo staje się sławny i jest niezwykle szanowany przez ludzi za wielką mądrość, która nie pochodzi ze świętych tekstów wyuczonych na pamięć, ale z doświadczenia.

Jeden z mnichów, zadufanych w sobie i czerpiących wiedzę wyłącznie z ksiązek, zaczyna mu zazdrościć reputacji i postanawia go zabić. Posyła do niego jedną ze swoich konkubin z poleceniem, aby poczęstowała ascetę szklanką zatrutego jogurtu. Jednak Milarepa pośród wielu innych umiejętności uzyskanych dzięki praktykowaniu jogi posiadał również zdolność czytania w myślach. Widząc nadchodzącą kobietę, natychmiast więc pojmuje, o co chodzi, ale ponieważ jest już stary i wie, że prędzej czy później będzie musiał umrzeć, bierze od niej jogurt i wypija.

Kiedy jednak Milarepa jest już w agonii, jego wróg odczuwa skruchę, biegnie do starego jogina i - dla okupienia winy - błaga, aby ten przelał na niego cały odczuwany przez siebie ból.

- Gdybym to uczynił, nie wytrzymałbyś nawet minuty - odpowiada asceta, który zdaje się doskonale kontrolować swoje cierpienie.

Mnich nalega. Milarepa, żeby pomóc mu zrozumieć, jak bardzo nieznośny byłby to ból, mówi, że przeniesie tylko część swojego cierpienia na drzwi pokoju. Te natychmiast zaczynają skrzypieć i się skręcać; drewno pęka. Złemu mnichowi nie pozostaje nic innego, jak rzucić się do stóp Milarepy, błagać go o przebaczenie i o to, aby zostać in extremis - jego uczniem, zanim stary jogin „opuści swoje ciało”.

Kiedy po operacji zaczyna się odzyskiwać przytomność, jedną z pierwszych konstatacji, jednym z pierwszych, uspokajających znaków, że wciąż jeszcze pozostajemy na tym świecie, jest ból. Ja odczuwałem tak wielkie cierpienie w brzuchu, jakby był on przebity tysiącem halabard, ale szybko nauczyłem się trzymać je pod kontrolą. Za pomocą medytacji? Przenosząc je na drzwi? Nic z tych rzeczy. Po prostu naciskałem guzik, który włożono mi do ręki. Ten otwierał zawór jednego z wielu urządzeń otaczających moje łóżko, skąd wypływało coś cudownego, co dostawało się bezpośrednio do moich żył przez wbitą gdzieś w ciało igłę. Ból przechodził, a ja byłem spokojny. Kiedy tylko powracał, znów naciskałem guzik. Elektroniczny przyrząd kontrolował ilość wstrzykiwanej substancji, aby uniemożliwić mi przekroczenie ustalonego limitu. Kiedy przesadzałem, odcinał na jakiś czas bez mojej wiedzy dostarczanie substancji. A ja naciskałem guzik... i wciąż miałem wrażenie, że czuję się lepiej. To właśnie lekarze nazywają „efektem placebo”: zadziwiająco leczniczym efektem czegoś, co tak naprawdę nie daje żadnego rezultatu, tak jak wypicie szklanki wody zamiast lekarstwa albo połknięcie pigułki zrobionej z mąki, a nie ze związku chemicznego.

Za urządzenie z przyciskiem odpowiadali dwaj młodzi lekarze z „Jednostki kontroli bólu”, którzy codziennie składali mi wizytę. Nie wiem, czym wypełnione były kroplówki, ale pomagały mi nie

odczuwać bólu. Być może było w nich to samo, co organizm produkuje sam, automatycznie, kiedy istnieje absolutna konieczność. Ciało wie, co robi. W chwili potwornego bólu, który by je zabił, wprowadza do krwioobiegu swój środek znieczulający, pozwalający mu go znieść. Tak dzieje się z żołnierzem, któremu odłamek urwał rękę, a on biegnie jeszcze przez chwilę, jakby nic się nie stało.

Być może w taki właśnie sposób można wyjaśnić piękną historię Sarmada, siedemnastowiecznego mistyka, którą przewodnicy jeszcze dziś opowiadają turystom, przybywającym do jego grobu w pobliżu Dżamma Maszid, wielkiego meczetu naprzeciw Czerwonego Fortu w Delhi. Sarmad -żyd, a może chrześcijanin - pochodzący z Armenii, przyjeżdżając do Indii, przeszedł na islam i stał się sławny za sprawą swej mądrości, pisanych po persku wierszy, a także dlatego, że „upojony miłością Boga”, tańczył publicznie nago, „oswobodzony w końcu ze wszystkich ciężarów, nawet ciężaru ubrania”. Był sufim - podobnie jak mój anestezjolog - i bardzo ortodoksyjni, dworscy mułowie oskarżyli go o herezję. Cesarz Aurangzeb rozkazał, aby ścięto mu głowę.

- O, wielki Przyjacielu, przybywasz tu dziś pod postacią kata, ale ja cię rozpoznaję. Witaj! - powiedział Sarmad, zwracając się do Boga, kiedy ujrzał zbliżającego się z potyskującą w dłoni szablą mężczyzną, mającego wykonać egzekucję. Z uśmiechem nadstawił szyję. Kat wypełnił rozkaz, a Sarmad, trzymając uciętą głowę w dłoniach, zrobił jeszcze dwa taneczne kroki w obliczu przerażonego tłumu. Był rok 1659.

Podobna jest historia al-Hallaja, również mistyka, ale z dziewiątego wieku, utrzymującego, że Bóg i Prawda to jedno i to samo, a człowiek jest częścią owej prawdy. Zostaje postawiony przed oblicze Sułtana, który rozkazuje mu zmienić zdanie. Hallaj odmawia. Sułtan każe obciąć mu dłoń, ale ten powtarza swoje bluźnierstwo:

Ja jestem Prawdą.

Sułtan rozkazuje uciąć mu ramię, jednak Hallaj wciąż powtarza to samo. Każe obciąć nogę, a mistyk mówi jeszcze:

Ja jestem Prawdą.

Wówczas Sułtan rozkazuje, aby ścięto mu głowę, a ta, tocząc się po ziemi, nadal porusza wargami:

Ana 'l-haqq (ja jestem prawdą).

Unieruchomiony w łóżku, zabijałem czas, przypominając sobie te historie, które towarzyszyły mi w grze, jaką toczyłem sam z sobą, aby nie naciskać guzika. Próbując kontrolować ból, medytowałem, zmuszałem umysł do wyobrażania sobie czegoś przyjemnego, jak na przykład unoszenie się na powierzchni spokojnego i ciepłego morza. Mówiłem sobie, że ową radość, odczuwaną tak wiele razy, równoważy teraz ten ból, i że jest w tej równowadze jakaś sprawiedliwość.

Zastanawiałem się, dlaczego jesteśmy tak skonstruowani, że nie potrafimy przypomnieć sobie nawet najstraszliwszego bólu, kiedy ten minie. Wiemy, że był, ale nie jesteśmy w stanie poczuć jego intensywności ani nawet natury. Rozważałem, dlaczego w różnych językach, podobnie jak we włoskim, słowo „ból” używane jest bez różnicy, zarówno w przypadku cierpienia fizycznego, jak i każdego innego. Myślałem o psychoanalizie jako o Jednostce kontrolującej ten inny ból i o tym, jak

bardzo jestem uprzywilejowany, mając zawsze pod ręką mój guzik. I czasami, poddając się... naciskałem go.

W drodze powrotnej ze szpitala do mojej kryjówki przynajmniej raz w tygodniu zatrzymywałem się na rogu Sześćdziesiątej Siódmej Ulicy i Madison Avenue. Starą, trzeszczącą windą wjeżdżałem na dwunaste piętro i wchodziłem bez pukania, bo drzwi były zawsze otwarte, do małego, słonecznego mieszkania.

Od kilku dziesięcioleci mieszkał tu stary, podziwiany przeze mnie przyjaciel i pisarz, należący do wielu światów i kultur; jeden z tych, którzy powinni być trzymani pod kloszem, choćby po to, aby dać nadchodzącym generacjom wyobrażenie, jakim człowiekiem można było kiedyś być. Jego czas dobiegał końca. Od miesięcy dziewięćdziesięcioletni już Niccoló Tucci przykuty był do łóżka. Leżał w nim bez słowa skargi, elegancki, z piękną siwą brodą i długimi włosami, które nadawały mu wygląd szlachetnego dziewiętnastowiecznego buntownika.

Pół Rosjanin, pół florentczyk, Nica przybył do Nowego Jorku pod koniec lat trzydziestych. Tutaj, wraz z innymi Wiochami, zaczął działać na rzecz walki z faszyzmem i tutaj też został po zakończeniu wojny. Pisarz, pamflecista, literacki Don Kiszot wielu spraw, miał zawsze świetne, gotowe riposty albo zupełnie nieprawowierne interpretacje starych i nowych ludzkich przypadków. Zналиśmy się od ponad trzydziestu lat.

Pośród wielu pięknych rzeczy, jakie mu zawdzięczałem, była też umiejętność czytania Dantego z akcentem tokańskim, prosto, bez retoryki, jakby chodziło o nieprawdopodobną opowieść, którą ktoś snuje w jakiejś florenckiej tawernie. Z rzeczy zabawnych zawdzięczałem mu radę, aby dawać napiwek hotelowym portierom w chwili przyjazdu, a nie wyjazdu, a także kwestię wypowiedzianą przez Gaetana Salveminiego, którą pocieszałem się za każdym razem, kiedy próbowałem - z upływem czasu z rosnącym trudem - nauczyć się nowego języka. Salvemini przebywał od niedawna w Stanach Zjednoczonych i z przymusu uczył się angielskiego.

Jak idzie? - spytano go.

Cóż, zaczynam rozumieć to, co... sam mówię!

Nicoli zawdzięczałem też wielką zachętę:

Dlaczego nie przestaniesz wreszcie uprawiać tego dzień...nikarstwa i nie spróbujesz zająć się trochę wieczn... .nikarstwem?

Dobrze wiedział, że nic nie jest wieczne, ale chciał mnie ustrzec przed kontynuowaniem życia z dnia na dzień - czy z tygodnia na tydzień - i zmobilizował mnie, żebym niektóre ze swoich doświadczeń zamknął w książkach. On sam napisał piękne rzeczy, niektóre po angielsku, inne po włosku, ale - jak sam mówił -, jeśli już raz przepłynąłeś Atlantyk, zawsze jesteś na niewłaściwym brzegu", więc jego literacka sława też tak się skończyła, „między dwoma stołkami".

Również umierając, znajdował się na niewłaściwym brzegu. Mieszkanie miało wszystko, czego taki człowiek jak on mógł zapragnąć: dwa małe pokoje, dużo światła, piękny stół, wiele książek, stary telefon, fotel. Było tam także powiększone czarno-białe zdjęcie jego rodziców na plaży w Forte dei

Marmi oraz kilka kolorowych obrazków z Toskanii, przymocowanych do ściany taśmą samoprzylepną obok wycinka z pięknym artykułem, jaki napisał dla „New Yorkera” z okazji śmierci Gaetana Salveminiego. Wiedział, że z tych czterech ścian nie wyjdzie już o własnych siłach.

Wiesz, gdybym dzisiaj umarł, byłbym naprawdę zadowolony - powiedział mi pewnego dnia.

- Ale jak mógłbyś być zadowolony, skoro byś umarł?

- Nie wiem, ponieważ nie mam pojęcia, czym jest śmierć.

- A boisz się jej? - zapytałem.

Wytrzeszczył swoje filuterne oczy pod pięknymi, gęstymi, wciąż jeszcze czarnymi brwiami:

- Mamma mia, tak!

- Daj spokój, Nica. Miliardom miliardów ludzi przed nami się udało. My też damy radę!

- Tak, ale gdybym chociaż mógł umrzeć w innym miejscu! Widzisz, na przykład Florencja jest bardziej... - Nie mógł znaleźć słowa.

- Bardziej cywilizowana? - podpowiedziałem ot tak, żeby wypróbować jakieś określenie.

- Tak, bardziej cywilizowana. A poza tym... - Jakby kontynuując inny wątek rozmowy, który prowadził sam ze sobą, zaczął mówić o chlebie z rozmarynem, który w czasach jego dzieciństwa jadało się we Florencji w Wielki Piątek.

- Dzisiaj można go kupić na co dzień - powiedziałem. -Czyż to nie absurd? I myślę, że nawet zapach rozmarynu rozprowadzają sprayem! Czy wiesz, że teraz we Florencji istnieje sieć piekarń, do których wchodzisz i po zapachu wydaje ci się, że piec stoi tuż za kasą. Nic z tych rzeczy! Wszystko jest sztuczne! Chleb wypiekają zupełnie gdzie indziej, w jakiejś fabryce, a zapach nadają mu na miejscu, rozpryskując jakiś preparat.

Opowiedziałem mu o „inżynierze zapachów”, którego poznałem rok wcześniej w Kalkucie. Był Francuzem i próbował sprzedać indyjskiemu przemysłowi samochodowemu ową charakterystyczną woń - mieszankę plastiku, gumy i zapachu macho - jaką charakteryzują się nowe samochody.

Ale Nica chciał rozmawiać o Florencji. Nie wiedzieć czemu, przyszło mi do głowy, żeby opisać mu spacer, na jaki moglibyśmy się wybrać. Wyruszyliśmy z Ponte Vecchio, potem w górę przez Erta Canina, dalej przez via San Leonardo, zatrzymywaliśmy się przed domem, w którym mieszkał i malował Ottone Rosai, a kończyliśmy na viale dei Colli. Ja opowiadałem, mówiłem, gdzie skręcamy, co znajduje się przed nami, a on miał przymknięte oczy i się uśmiechał. Ta zabawa, rozpoczęta przypadkowo, stała się naszym rytuałem.

- Dokąd dzisiaj idziemy? - pytał, kiedy tylko pojawiałem się w domu. I po chwili znów spacerowaliśmy po Florencji. Kiedyś poszliśmy tak z piazza Torquato Tasso do Torre di Bellosguardo, gdzie się zatrzymaliśmy, żeby podziwiać jeden z najpiękniejszych widoków na świecie. Innym razem z Torrione di Ponte alle Grazie wspięliśmy się przez Le Rampę aż do piazzale Michelangelo. Ale tam zastaliśmy mnóstwo autokarów pełnych turystów, poszliśmy więc do baru Colonne czegoś się napić.

- Co weźmiesz, Nica?

- Jedno z tych... no wiesz?

- Campari? Wermut?

Nie. Chciał tylko trochę białego wina, ale w jednym z tych niskich i pękatych kieliszków z dawnych czasów, które winiarz napełniał aż po brzegi.

Cudownie spędzałem z nim czas. Wystarczy go trochę wygospodarować, a nawet końcówka życia, już zamglona, może przynieść radość.

W sprawie mojej chemioterapii nie miał nic do zarzucenia, ale kiedy któregoś dnia powiedziałem, że idę na operację, rozgniewał się.

- Nie ufaj lekarzom. To same głupki, A poza tym, jak możesz pozwolić, żeby wyjęli z ciebie jakieś kawałki? Co to, to nie! - Zażądał papieru i pióra, żeby napisać list protestacyjny do szpitala.

- Nica, jesteś gorszy od Japończyka z Agencji Cesarskiej! - oświadczyłem i rozśmieszyłem go, opowiadając, jak to wysocy funkcjonariusze dworscy musieli się upewniać, czy narzeczona następcy tronu, a więc przyszła cesarzowa, ma jeszcze wszystkie kawałki na swoim miejscu i czy jej ciało jest absolutnie nienaruszone. Podczas ostatniej selekcji, która odbyła się w okresie naszej bytności w Tokio, pewna dziewczyna została odrzucona tylko dlatego, że zrobiła sobie dziurki w uszach na kolczyki!

Nica był szczęściarzem. Przez całe życie nigdy go nie otworzono i teraz odchodził, mając wszystkie części ciała w komplecie. Ale umierał leczony i pielęgnowany na łóżku z wodnym materacem, żeby nie zrobiły mu się odleżyny, w mieście, którego nie uważał za „cywilizowane”. Nica, znający znakomicie wiele języków i potrafiący rozśmieszyć tyle osób, naśladowując różne akcenty, na sam koniec zdawał się rozumieć tylko włoski.

A czyja chciałbym tam umrzeć?

Nie. W gruncie rzeczy nie miałem z tym krajem nic wspólnego. Wszystko to, co moje, należało do innych miejsc... może w Azji, a może - tak naprawdę - w Europie.

Myśląc o tym, opowiedziałem mu, że Chińczycy kazali się dawniej chować tam, gdzie potem kobiety rodziły, aby również symbolicznie ustanowić ciągłość między pokoleniami. Stąd zrodził się kult przodków. W gruncie rzeczy dla Chińczyków ciało nie należało do nich, ale do Chin. Z tamtej ziemi pochodziło i do niej miało powrócić. I nie tylko ciało, ale też wszystko to, co było przez nie produkowane! I by znów go rozśmieszyć, opowiedziałem, jak to pierwsza misja dyplomatyczna Niebiańskiego Cesarstwa przybyła do Stanów Zjednoczonych i każdy wchodzący w jej skład mandaryn przywiózł ze sobą specjalne pudełka na fekalia, żeby zabrać je z powrotem do domu. Nawet kupki Chińczyka nie mogły pozostać w tej barbarzyńskiej ziemi! Nica się uśmiechał.

Owe spacerunki po Florencji były też jego ostatnimi w życiu.

Pamięć wody

Często zapominamy, że pamięć robi nam dziwne kawały. Zapamiętuje i zapomina to, co chce. A robi to pozornie bez żadnego powodu. Przynajmniej my tak uważamy, sądząc często, że sami jesteśmy pamięcią albo że ona do nas należy, lub że przynajmniej mamy nad nią kontrolę.

Starzy ludzie złością się, a czasem martwią, kiedy nie mogą sobie przypomnieć imienia jakiejś osoby albo właściwej nazwy przedmiotu. Biorą to za znak własnego upadku, czegoś, co nagle przestaje funkcjonować. Ale - jeśli dobrze się zastanowić - zawsze tak jest: Już od dzieciństwa pamięć podąża własnymi drogami, odkładając coś na bok według własnego uznania, a potem wyciągając, być może wykrzywione i zafałszowane, kiedy z jakiegoś powodu zaczynamy szperać w jej zakamarkach.

Po sześćdziesięciu latach intensywnej pracy moja pamięć w przegródce „homeopatia” pozostawiła niewiele albo nic: podstawowe pojęcie, zgodnie z którym przeziębienie leczy się zimnem, i jakieś dwie dziwne historie, zmagazynowane nie wiadomo gdzie ani kiedy.

Oto pierwsza z nich: Pewna dziewczyna cierpi na depresję i mówi, że źle się czuje między ludźmi; chce przebywać sama i na wysokości. Często ucieka na dach domu i marzy, że „odfruwa”. Lekarze nie wiedzą, co z tym robić. Rodzina idzie z nią do homeopaty, a ten, po nakłonieniu jej do mówienia, odnajduje w owym „odfruwaniu” przejaw niepotrafiącej się uzewnętrznić natury orla. Każe sobie dostarczyć z miejskiego ogrodu zoologicznego kroplę orlej krwi. Rozcieńcza ją w litrze wody, po czym wielokrotnie potrząsa butelką. Kroplę tej mikstury rozrzedza w następnym litrze wody i znów potrząsa. Po tym rozcieńcza jedną kroplę w wodzie, potrząsa, aż w końcu zaleca dziewczynie, aby wypijała codziennie kilka kropel tej cieczy, która z krwią orla nie ma już praktycznie nic wspólnego, poza być może... pamięcią o tym fakcie. Po kilku tygodniach dziewczyna czuje się dobrze.

Druga historia - przynajmniej tak, jak ją zapamiętałem - dotyczyła chłopca z małej wioski, uządlonego przez pszczołę. Twarz puchnie mu straszliwie i malec źle się czuje. Rodzice dzwonią do homeopaty, a ten mówi, żeby natychmiast kupili miksturę o nazwie Apis 200. Niech rozpuszczą ją w butelce wody, potrząsną i podadzą chłopcu kilka kropli tego płynu. To niemożliwe. Apteka jest daleko, a czas nagli: chłopiec czuje się coraz gorzej. Lekarz sugeruje zatem telefonicznie, żeby wzięli kawałek kartki, napisali na niej Apis 200, włożyli kartkę do butelki z wodą, dobrze potrząsnęli i dali chłopcu napój do wypicia. Obrzęk powoli ustępuje i malec dochodzi do siebie.

Kiedy przyjaciel Ludovico oznajmił mi, że znalazł znakomitego lekarza, który mógłby nam pomóc w chorobie, o homeopatii nie wiedziałem prawie nic. Przypomniałem sobie jednak owe dwie historie - po to zapewne pamięć odłożyła je na bok - i wpadłem na pomysł, aby po tych wszystkich miesiącach spędzonych w Nowym Jorku udać się do homeopaty. Naprawiacze po chemioterapii i operacji dali mi dwa tygodnie urlopu, a ja, z torbą na kółkach, żeby nic nie dźwigać, i brzuchem całym jeszcze w fastrygach, poruszając się bardzo uważnie z obawy, żeby nikt mnie nawet nie musnął, wsiadłem do samolotu i poleciałem do Florencji.

Lekarz mieszkał daleko, w okolicy Modeny. Przyjmował tylko umówionych pacjentów, a jego kalendarz wypełniony był na najbliższe dwa miesiące. Zadzwoiłem do niego i już na odległość mi się spodobał. Czy mogę przyjechać późnym popołudniem w wigilię Bożego Narodzenia? Oczywiście. Wyruszyłem więc w podróż.

Po opuszczeniu autostrady dalej jechałem drogą regionalną, potem lokalną, aż wreszcie polną, która zdawała się ginać gdzieś w otchłani. Nad równiną opadła bardzo gęsta mgła, ale wskazówki, które

lekarz przestał mi faksem, były tak precyzyjne, że się nie zgubiliśmy. Jeszcze przed naszym spotkaniem, przekręcając trochę jego nazwisko, które po włosku brzmiało dziwnie, Mangialavori, ochrzciłem go mianem: Mangiafuoco¹.

Był tego przeciwieństwem - przynajmniej fizycznie: niski, jasnowłosy i zielonooki. Mieszkał w starej, wyremontowanej chacie, pośród innych niedużych domów bez stylu, ale też bez pretensji, rozrzuconych po płaskim, opustoszałym terenie. Wszystko zdawało się pogrążone w letargu: ziemia, rośliny, drzewa owocowe. Także ludzie, po drodze bowiem nikogo nie zauważyliśmy.

Mangiafuoco przyjął mnie w małym gabinecie. Było tam - zapewne z jego wyboru - bardzo mało światła, ale w powietrzu unosił się miły zapach. Na ścianie dostrzegłem tybetańską tankę marnej jakości, a na stole leżał piękny liść miłorzębu, ot tak, jak ozdoba. On sam był bardzo serdeczny i skrupulatny. Poprosił, abym mu o sobie opowiedział: kim jestem, czym się zajmowałem, co jeszcze chciałbym zrobić, jak sam siebie widzę, o czym marzę. Czułem się swobodnie i mówiłem bez zahamowań. Dopiero po jakimś czasie się zorientowałem, że choć cały czas na mnie patrzył, wystukiwał palcami notatki na klawiaturze komputera, dyskretnie ukrytego za stołem. O mojej ostatniej chorobie chciał wiedzieć niewiele. Schorzenia, które go interesowały, dotyczyły wcześniejszego okresu, dzieciństwa... najbardziej zaś zaciekały go moje hemoroidy. Chciał, żebym opowiedział mu o nich wszystko, co pamiętam.

Bardzo go też zainteresowało, że podczas miesięcy spędzonych w Nowym Jorku trzymałem przy łóżku kartkę i ołówek, aby zaraz po przebudzeniu zapisywać sny. Obok zwykłego dziennika prowadziłem też sennik, i na nim właśnie Mangiafuoco skoncentrował swoją uwagę.

Potem kazał mi się rozebrać, położyć na kozetce i zbadał mnie od stóp do głów, jak to robili starzy lekarze. Przy każdym miejscu, które dotykał, pytał, czy boli. Oszczędził jedynie mój brzuch.

Kiedy znów usiedliśmy przy biurku, zadał pytanie, które wydało mi się bardzo subtelne:

- Czego pan oczekiwał, przyjeżdżając tutaj?

Szczerść przyszła mi bez trudu. Nie łudziłem się, że wyleczy mnie z raka. Byłem przekonany, że te dwa słowa: „rak” i „leczenie”, nie są stworzone po to, żeby stać obok siebie. W każdym razie, żeby uczynić wszystko, co możliwe, wybrałem już naprawiaczy ze Sloan-Kettering. Od niego natomiast oczekiwałem, że pomoże mi uporządkować coś, co równie mocno leżało mi na sercu: emocje. Świat zewnętrzny nadmiernie wpływał na moje samopoczucie. Byłem drażliwy, zmienny, poddany zbyt dużym wahaniom nastroju. Powiedziałem, że mam wrażenie, jakbym oglądał świat w kalejdoskopie: mały ruch i wszystko stawało się zielone; kolejne lekkie dotknięcie i wszystko było czerwone, potem znowu czarne albo złote. Chciałem zatrzymać ten kalejdoskop, tak by wszystko pozostało w jednym kolorze. Pragnąłem położyć kres wahaniom nastroju, tak by wszystko się wyrównało. Powiedziałem, że chciałbym wysłuchać Jingle Bells, nie musząc uciekać ze sklepu.

Rozmawialiśmy ponad godzinę i człowiek ten wywarł na mnie bardzo dobre wrażenie. Był otwarty, prostolinijny, a także wykształcony, inteligentny i okazał się pasjonatem tego, co robił. W najmniejszym nawet stopniu nie pretendował do tego, by „leczyć raka”. W moim przypadku chodziło, jego zdaniem, o jakiś brak równowagi w systemie odpornościowym. Mógłby wspomóc siłę witalną, którą każdy z nas nosi w sobie - a ja, w jego opinii, miałem jej bardzo dużo - aby odzyskała ową równowagę. Zauważyłem, że mówiąc o raku i nie tylko, niechętnie używał słowa „choroba”.

Oczywiście. Choroba każe myśleć o czymś złym, a to nie jest słuszne; angielskie słowo disease wydaje się dużo właściwsze - powiedział. - Ciało ma jakiś kłopot, objawy sygnalizują nam, że organizm próbuje sobie z nim poradzić. Naszym zadaniem: moim i pana - podkreślił z naciskiem - jest wspieranie organizmu w tym wysiłku.

Śledziłem jego wywód. Rozumieliśmy się. A ja, jak zawsze trochę ciekawski, poprosiłem, żeby opowiedział o sobie.

W młodości dużo zajmował się muzyką. Potem, kontynuując tradycję rodzinną, podjął studia medyczne z myślą o chirurgii dziecięcej. Jednak jego prawdziwą pasją była antropologia. Podczas podróży do Ameryki Łacińskiej zgubił się, a raczej odnalazł. Przebywając wśród peruwiańskich Indian, spotkał szamana, zobaczył, jak ten leczy ludzi i - , jak to się zdarza świętym", zauważyłem - poczuł „powołanie”.

To, co miało być krótkimi wakacjami, przerodziło się w długi pobyt. Szaman zabrał go ze sobą i wprowadził w tajniki swojej sztuki. Po powrocie do Europy nie był już w stanie praktykować jako normalny lekarz. Wybrał homeopatię.

To wielka medycyna - powiedział - choć dominująca kultura za taką jej nie uważa. Jednak metody dominującej kultury nie muszą być wcale najlepsze, szczególnie jeśli chodzi o człowieka, który - dzięki Bogu - nie podlega żad-

nym ścisłym prawom... pod warunkiem że takie w ogóle istnieją.

Zgadzałem się z nim. Jego punkt widzenia interesował mnie i on to czuł.

- Nasi krytycy twierdzą, że homeopatia to magia. I co z tego? - kontynuował. - Magia jest bardzo poważną sprawą. Często nazywamy nią coś, czego jeszcze nie rozumiemy, ale jest ona czymś więcej: czymś, co znajduje się na tej samej krzywej co religia i nauka.

Któregoś razu Mangiafuoco zapytał swojego indiańskiego szamana, czym jest dla niego magia.

- Postawą umysłu - odpowiedział tamten.

- Dla mnie - mówił dalej Mangiafuoco - magia jest odmiennym sposobem interpretowania zjawisk; o wiele ciekawszym i bardziej twórczym od tych typowych, ponieważ łączy sztukę z przyjemnością zabawy z materią. To coś, co nas zmienia, co daje nam zdolność pomagania innym, aby oni też się zmienili. - Zatrzymał się na chwilę, po czym dodał: - Pan robi to samo, pisząc. Być może jednym zdaniem z pańskich książek pomógł pan komuś poprawić choć trochę jego życie. Czyż to nie magia? Jednym jedynym zdaniem! Wystarczy zrobić to właściwie, pozwalając, aby energia natury przepływała swobodnie...

Po miesiącach spędzonych w Nowym Jorku, gdzie traktowano mnie jako maszynę do zreperowania, jego słowa stanowiły muzykę dla moich uszu. Były głosem dochodzącym z innego świata. A ich dźwięk poszerzał mi serce, zmniejszał ciężar mojej materii.

- My, homeopaci, używamy kropelek do leczenia ludzi -ciągnął. - Tak, jest to kwestia niewielu kropelek. Ale jeśli mędrzec mówi, co jest nam potrzebne, to także kwestia niewielu słów. A poza tym

proszę pomyśleć: kropelka spermy stwarza życie, jakie by ono było, piękne czy brzydkie, ale jednak życie!

Problem - wyjaśnił mi - leży w tym, aby pomóc osobie, która uważa się za chorą, odnaleźć równowagę.

- Jej równowagę - podkreślił z naciskiem - a nie tę, którą dominująca kultura za taką uznaje. Często chodzi o to, aby wyeliminować cierpienie pacjenta, a niekoniecznie wyleczyć wszystko za wszelką cenę. Gdybyśmy zawsze wszystko leczyli, nie mielibyśmy sztuki - powiedział.

Homeopatia próbuje wyodrębnić w każdej jednostce bodziec, czynnik, który uruchomi naturalny powrót do równowagi. Taka jest funkcja kropelek. Dlatego nie są nazywane „lekarstwem”, tylko „remedium”.

Podczas naszej długiej pogawędki Mangiafuoco ani razu nie wypowiedział się przeciwko medycynie oficjalnej, alopacyjnej, (Alopacyjny jest przeciwieństwem homeopatycznego: oznacza zastosowanie wobec choroby intensywnej kuracji, która wywoła skutki odwrotne do tych spowodowanych chorobą) nie skrytykował też mojej decyzji o wyjeździe do Nowego Jorku. Przeciwnie, uznał, że skoro zacząłem się tam leczyć, powinienem zrobić to gruntownie. On mógłby spróbować mi pomóc w ograniczeniu szkód, jakie ten typ terapii w trakcie „leczenia” wyrządzał mojemu organizmowi.

Wypisując receptę, wyjaśnił, że odpowiednim „remedium” będzie w moim przypadku Calcarea phosphoica, mineralny ekstrakt pochodzący od fosforanu wapniowego. Miałem zażywać roztwór pierwszego stopnia, Q1 - jedna kropla ekstraktu na pięćdziesiąt tysięcy kropeł wody. Podał następujące wskazówki: dobrze potrząsnąć fiolką, wlać dwadzieścia pięć kropeł do pół szklanki wody, wymieszać i pić przed snem. Ważna uwaga: nie trzymać kropli w pobliżu perfum i wypijać po przepłukaniu ust.

Miałem je zażywać, dopóki nie zauważę pojawienia się jakiegoś objawu z przeszłości albo czegoś, co wzbudzi moje podejrzenia. Będzie to znak, że mój „system” został wystarczająco pobudzony. Od tej pory wejdę w fazę wstępującą, leczniczą. Jeśli po czterdziestu dniach nie zauważę żadnej zmiany, powinienem kontynuować terapię, stosując ten sam preparat, ale w silniejszej formie, to znaczy rozcieńczony w większej ilości wody: roztwór trzeciego stopnia - Q3.

Poza tym „remedium” Mangiafuoco przepisał mi koncentrat witamin A i E oraz zasugerował, żebym zaraz po powrocie do Nowego Jorku zaopatrzył się w płynny chlorofil (w Europie trudno było go znaleźć) i zażywał dwadzieścia pięć kropli trzy razy dziennie. Co do reszty, jeśli chcę, mogę kontynuować wszystkie moje ćwiczenia duchowe i powinienem też dużo oddychać na świeżym powietrzu. Bardzo jest mi potrzebne dotlenienie,

Wszystko, co powiedział, spodobało mi się, a on sam wydał mi się pięknym dodatkiem do ludzkiej panoramy, jaką każdy z nas kompletuje podczas całego życia. Przyszli mi do głowy różni przyjaciele i znajomi, którym on swoją „magią” mógłby pomóc.

Przy pożegnaniu powiedziałem, że uważam się za szczęściarza: jako pacjentowi zdawało mi się, że znalazłem właściwego lekarza, a on, rozbawiony, zacytował sławnego kolegę z przeszłości:

- Również lekarz ma szczęście, kiedy znajduje właściwego pacjenta.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę o niezwykle ważnym związku między chorym a lekarzem. Byliśmy zgodni, że nie powinien on mieć charakteru paternalistycznego - typu wybawiony i wybawca - lecz opierać się na współpracy.

Mangiafuoco zorientował się, że nie mam uprzedzeń do jego „magii” i że jego profesja mnie interesuje, więc powiedział, że wkrótce wybiera się do Bostonu. Ma tam poprowadzić seminarium na temat środków leczniczych pochodzących z morza, w czym się specjalizował. Gdybym miał ochotę, mogę w nim uczestniczyć.

Zrobiło się późno. Na dworze było ciemno, a mgła nasilała moje poczucie dezorientacji i wrażenie, że znalazłem się - oczywiście za sprawą magii - poza rzeczywistym światem. Na szczęście Mangiafuoco zadzwonił do miejscowego aptekarza, żeby na mnie zaczekał i przygotował „remedium”. Już sama jazda niemal po omacku w poszukiwaniu świecącego neonu z krzyżem, żeby odebrać brązową fiolkę z kropplomierzem, była przygodą.

Potrząsając flakonikiem i odliczając z nabożeństwem krople, zażyłem przepisaną mi dzienną dawkę. Zwróciłem baczną uwagę na stan ducha, żeby sprawdzić, czy „objawy” się nasilają, czy też nie. Trudne zadanie: Jak tu obiektywnie stwierdzić, czy ból się nasila, czy maleje? Czy jesteśmy mniej lub bardziej gwałtowni? Mniej lub bardziej wrażliwi na jakąś pioseneczkę albo głupotę ogłoszenia reklamowego? Ale być może już samo wsłuchiwanie się w siebie i zwracanie uwagi na każde wahnięcie nastroju przyczyniło się do zmiany. Minęło kilka dni i zacząłem częściej niż zazwyczaj miewać sny. Wiele z nich dotyczyło mojego dzieciństwa: znak - jak powiedział Mangiafuoco - że stosowany środek jest właściwy. Potem powoli, ale wyraźnie zauważałem, że wracam do „równowagi”: czułem się znakomicie, stałem się bardziej opanowany i odkryłem, że śmieję się coraz częściej i z coraz większą radością. Tego właśnie chciałem. Mangiafuoco spisał się znakomicie. A ja wraz z nim.

Jego odwoływanie się do magii, do „siły witalnej”, odzywało się u mnie echem myśli, które były mi bliskie. Pomysł, że to ja sam mam siebie kurować, a nie czekać, aż ktoś mnie wyleczy, bardzo mi odpowiadał. Czułem wyraźnie, że w takim spojrzeniu na sprawę kryła się prawda, której logiki naprawiacze z Nowego Jorku nie brali pod uwagę. A przecież nie należało jej ignorować.

Historia tego, jak Norman Cousins, stary amerykański dziennikarz, dyrektor „Saturday Review”, wyrwał się ze szponów śmierci, związana jest z prawdą, którą Rzymianie dobrze znali i nazywali *vis medicatrix naturae*, leczniczą siłą natury. U Cousinsa została zdiagnozowana choroba, na którą medycyna alopacyjna nie znalazła żadnej terapii, a on, odważnie, z uporem, a przede wszystkim z pozytywnym i radosnym podejściem, zmobilizował własne zasoby energii, odkrył terapeutyczny walor śmiechu i stymulował ów popęd do życia, jaki jest w każdym z nas.

Pomysł podsunął mu wiele lat wcześniej stary Albert Schweitzer. Cousins pojechał do Gabonu w Afryce, żeby spotkać się ze sławnym niemieckim filozofem, muzykiem i lekarzem, o którym zamierzał napisać. Pewnego wieczora, przy kolacji, być może chcąc wyrazić uznanie owemu nadzwyczajnemu Europejczykowi, który wprowadził swoją wiedzę do dżungli, Cousins powiedział:

Tubylcy są szczęściarzami, że mają tu takiego lekarza jak pan i nie muszą uciekać się do czarowników.

Schweitzer nie przyjął dobrze tej uwagi.

- Co pan wie o czarownikach? - spytał.

Cousins musiał przyznać, że niezbyt wiele. Nazajutrz wielki lekarz zabrał go na leśną polanę, nieopodal swojego szpitala, i przedstawił mu starego czarownika, którego określił mianem kolegi. Schweitzer zmusił Amerykanina, żeby przez dwie godziny obserwował pracę starca. Niektórym pacjentom, po osłuchaniu ich, dawał zawiniątko z ziołami; na innych po prostu dmuchał, wygłaszając magiczne formuły; jeszcze innym wskazywał doktora Schweitzera, który stał w pobliżu.

Schweitzer wyjaśnił Cousinsowi, że pacjenci pierwszego typu cierpieli na choroby, które czarownik - jak myślał - mógł wyleczyć ziołami; ci drudzy mieli zaburzenia, które według jego rozpoznania były pochodzenia psychicznego, stosował więc wobec nich swoją formę psychoterapii. Natomiast pacjentów z problemami zdecydowanie fizycznymi, takimi jak przepuklina, ciąża pozamaciczna, guz albo złamanie kości, odsyłał do szpitala doktora Schweitzera.

Cousins jednak nie ustępował:

- Jak można pomyśleć, że zostało się uzdrowionym przez czarownika?
- Żąda pan, abym wyjawiał tajemnicę, którą wszyscy lekarze, poczynając od Hipokratesa, zawsze zachowywali dla siebie.

Jaką tajemnicę?

Czarownicy leczą w taki sam sposób jak my. Pacjent tego nie wie, ale prawdziwego lekarza nosi w sobie. A my odnosimy sukces, kiedy stwarzamy temu doktorowi możliwość dokonania swego dzieła.

Kilka lat później Erich Fromm mówił to samo jednemu z uczniów, który przyszedł porozmawiać z nim o jakimś trudnym przypadku.

Nie przejmuj się zbytnio. W gruncie rzeczy to nie my leczymy pacjentów. Po prostu jesteśmy blisko i kibicujemy, kiedy oni leczą samych siebie.

Jeśli się dobrze zastanowić, tak właśnie jest: to nie lekarstwa leczą ciało, ale ciało się leczy, korzystając z lekarstw. Ortopeda nastawia złamaną kość i wkłada ją w gips, ale już zdrowienie to dzieło samego ciała... albo jego „siły witalnej”, aby dodać odrobinę magii. Faktem natomiast pozostaje, że dzisiejsi lekarze przypisują sobie wszystkie zasługi i wykazują dużo mniej respektu dla czarowników, niż to czynił stary Schweitzer.

Wróciłem do Nowego Jorku zdecydowanie spokojniejszy i w pogodniejszym nastroju. Kalejdoskop nie zatrzymał się co prawda na stałe na złotym kolorze, ale często tam gościł. Kropelki okazały się magiczne; moje zainteresowanie homeopatią wzrosło. Wszystko, co miało coś wspólnego z tym rodzajem medycyny, zdawało się przeczyć rozumowi i zdrowemu rozsądkowi, jednak coraz bardziej mnie fascynowało. A przede wszystkim nie było agresywne.

Zaczynały się też pojawiać pytania: Czy „remedium”, które tak dobrze zadziałało na mój humor, może też coś zrobić dla raka? Czy kropelki mogą stymulować moją siłę witalną i przywrócić równowagę oraz mądrość oszalałemu systemowi odpornościowemu? Wszystkie terapie zalecone przez

naprawiaczy miały wyniszczające i groźne skutki uboczne. Metody homeopatyczne były całkowicie nieszkodliwe.

Wiedziałem, że nie mam czasu na eksperymenty z magią, ale wątpliwości dotyczące radioterapii, którą powinienem właśnie zacząć, jednak się pojawiły. Zastanawiałem się, czy za dwieście lat również naprawiacze z MSKCC nie będą postrzegani jako prymitywni, a ich metody jako męczarnie, które na dłuższą metę przynoszą wśród pacjentów więcej ofiar niż wyzdrowień. Zacząłem czytać na temat homeopatii i uświadomiłem sobie, że narodziła się na przełomie osiemnastego i dziewiętnastego wieku z poczucia odrazy do sposobu, w jaki traktowano chorych: przetrzymywanych w łózkach i poddawanych prawdziwym torturom, polegającym głównie na upuszczaniu krwi i stosowaniu środków przeczyszczających.

Przez prawie piętnaście wieków medycyna opierała się na przekonaniu, że choroba wywoływana jest przez trucizny, opisywane często jako „humory”, które miały być usunięte z organizmu za pomocą wszelkich możliwych środków: nie tylko poprzez naturalne narządy wydalania, ale również metodami sztucznymi. Do najczęściej stosowanych należało upuszczanie krwi, powierzane przykładanym do różnych części ciała pijawkom. Kiedy myślimy o tym dzisiaj, przechodzi nas dreszcz, ale tak wyglądała nauka medyczna jeszcze dwieście lat temu. Jerzemu Waszyngtonowi podczas ostatniej nocy życia upuszczano krew siedmiokrotnie. To niewiele w porównaniu z biednym królem Ludwikiem XIII, którego poddano temu zabiegowi czterdzieści siedem razy. W jednym tylko roku 1827 Francja importowała trzydzieści trzy miliony pijawek, ponieważ w wyniku wypijania krwi pacjentom rezerwa krajowa została wyczerpana.

- Miał tak złą krew, iż mimo jej upuszczenia zmarł - powiedzieli lekarze o królu Austrii Leopoldzie II, u którego rozpoznali gorączkę reumatyczną.

To właśnie wówczas Samuel Hahnemann, niemiecki lekarz o wykształceniu także chemicznym, urodzony w Miśni w Saksonii w 1755 roku, wzburzony sposobem, w jaki przedstawiciele jego profesji traktują pacjentów, pomyślał, żeby odwrócić całe podejście do choroby i rozwinąć terapię, która... nie zabijałaby chorych. Hamując zabójcze praktyki starej medycyny, Hahnemann ocalił bardzo wielu ludzi i to miałyby być - w opinii jego krytyków - jedyną zasługą homeopatii. Chodziło oczywiście o wiele więcej.

Hahnemann był uważnym obserwatorem natury, prawdziwym uczonym. Zauważył na przykład, że pojawienie się u pacjenta jakiejś nowej choroby leczyło go czasami ze starej. Powrócił zatem do badania zasady znanej wielu ludom w przeszłości: leczenia jednego czymś innym, podobnym. Znał ją już Hipokrates w Grecji w czwartym wieku przed Chrystusem, powrócił do niej Paracelsus w okresie odrodzenia, stosowali ją Chińczycy, Majowie i Indianie. W Indiach wciąż stanowi część tradycji ajurwedycznej, a wszyscy Hindusi znają historię Bhimy, jednego z bohaterów Mahabharaty, który ratuje się przed otruciem, pozwalając się ukąsić jadowitemu wężowi.

Pierwszy eksperyment Hahnemann przeprowadził na samym sobie. Odkrył, że wyciąg z kory drzewa chinowego wywołuje u człowieka takie same objawy jak malaria. Zauważył, że podanie niewielkich dawek tego ekstraktu osobie zarażonej malarią prowadzi do jej wyzdrowienia. Wniosek był oczywisty: aplikując małą ilość „choroby”, wywołuje się jej objawy, a tym samym stymuluje się organizm do obrony i zdrowienia. Nie jest to wcale bezsensowne: szczepionki, które uważamy dziś za coś oczywistego, działają dokładnie w ten sposób. Być może tak właśnie funkcjonuje dziwny system,

za pomocą którego ludność plemienna w Gudżaracie w Indiach leczy wodowstręt: ludzie wyjmują kleszcze z sierści psa, który ich pogryzł, i wypijają je z odrobiną wody.

W przypadku Hahnemanna chodziło o zbadanie - przy wykorzystaniu nieograniczonej farmakopei, będącej w dyspozycji natury - jakie „objawy” jest w stanie wywołać element zwierzęcy, roślinny lub mineralny. Odkrycie, jaki składnik wywołuje dane objawy, oznaczać mogło znalezienie nowego remedium.

W przedsięwzięciu tym pomogli Hahnemannowi najpierw krewni, a potem również wolontariusze. Każdy z nich, po zażyciu minimalnej dawki jakiegoś ekstraktu, miał prowadzić szczegółowe zapiski dotyczące swoich reakcji - nie tylko fizycznych, ale także emocjonalnych. Z zebranego materiału Hahnemann wysnuł ważną konstatację, że każda osoba inaczej reaguje na to wszystko, co się jej przydarza, łącznie z chorobą: zarówno pojawiającą się samoistnie, jak i wywołaną jakąś substancją. Co prawda każda choroba powoduje pewne objawy wspólne dla wszystkich, ale nie wszystkie symptomy tej samej choroby są jednakowe u każdej osoby. Dzieje się tak, ponieważ każdy z nas ma swój własny, jedyny i niepowtarzalny sposób reagowania.

„Każdy chory cierpi na chorobę, która nie ma nazwy i nie objawiła się nigdy wcześniej ani nie objawi nigdy później w taki sam sposób i w takich samych okolicznościach” - pisał Hahnemann. Stąd rodzi się podstawowa zasada homeopatii: zajmować się chorym, jego objawami, jego odczuwaniem choroby, a nie chorobą samą w sobie. Wiele osób może boleć głowa, jednak każdą z nich z innego powodu. Aspiryna może usunąć ten objaw u wszystkich, ale każdy zostanie ze swoim powodem, który wywołał ból. I powód ten, prędzej czy później, znajdzie inne sposoby, aby się ujawnić.

Dla lekarza homeopaty bardzo ważne jest zrozumienie pacjenta. Dlatego musi go uważnie obserwować i słuchać. Słowa, jakich pacjent używa, opisując swój stan, swoje objawy - szczególnie te nietypowe - są dużo ważniejsze od obiektywnych oznak pozostawianych przez chorobę. Wygląd osoby, jej nawyki, upodobania żywieniowe czy nastroje mają zasadnicze znaczenie dla homeopatycznego określenia samej osoby.

To właśnie czytając o Hahnemannie i jego badaniach, zrozumiałem rozumowanie Mangiafuoco w przypadku mojej osoby. Uznając za szczególnie znaczący fakt, że oglądam świat jakby przez kalejdoskop, ocenił mnie jako osobę chwiejną, której emocje równie łatwo się rozpalają, co stygną, gotową zapłonąć jak fosfor i zaraz potem zgasnąć. Przyjął jednak również z powagą moje pragnienie, aby ten kalejdoskop kontrolować. Byłem zatem dla niego osobowością „fosforową”, ale także osobą stąpającą twardo po ziemi, czyli - zgodnie z terminologią homeopatyczną - „wapienną”. Stąd remedium, które mi przepisał. Idąc za systemem Hahnemanna, który określał każdego pacjenta nazwą najbardziej dlań wskazanego „remedium”, ja w karcie klinicznej Mangiafuoco byłem *Calcarea phosphorica*.

Jest to ważna cecha homeopatii: Pacjent nie jest klasyfikowany na podstawie choroby, ale w oparciu o jej objawy i stosowany środek zaradczy. Na przykład pacjent, który ma objawy zarówno fizyczne, jak i umysłowe wywoływane u zdrowej osoby powiedzmy przez remedium *Belladonna*. nazwany zostaje „pacjentem *Belladonna*”. Na ogół jeśli raz zostanie rozpoznany środek właściwy dla danej osoby, pozostaje on jej remedium na zawsze, bez względu na to, na jakie choroby osoba ta zapadnie.

A zatem: dla każdego pacjenta jego remedium. Owa zasada jednego remedium była jeszcze jednym znaczącym wkładem homeopatii. Tradycyjna medycyna używała związków składających się z dziesiątek, a czasem nawet z setek elementów, z których każdy miał jakąś swoją użyteczność. Nie wiedziała jednak, czy elementy owe nie kłóciły się ze sobą, a w każdym razie nie była świadoma, jakie konsekwencje może wywołać ich kombinacja. Zdarza się tak jeszcze dzisiaj: zażywa się kombinację różnych leków - z których każde samo w sobie jest już kombinacją - nie wiedząc dobrze, jakie reakcje może spowodować ich połączenie.

Hahnemann położył temu wszystkiemu kres, wprowadzając zasadę stosowania tylko jednego środka na raz. Jeśli ten nie działa, wypróbujemy się następny, a potem jeszcze kolejny. Ale zawsze tylko jeden na raz, tak żeby można było zaobserwować efekty, to znaczy objawy, jakie wywołuje u pacjenta.

Suma tej wiedzy, owoc eksperymentów przeprowadzonych na osobach zdrowych, nie chorych, z zastosowaniem najróżniejszych substancji, stanowi Materia Medica, biblię każdego homeopaty.

Inną wielką zaletą remediów jest fakt, że nie trzeba się przejmować skutkami ubocznymi. Po prostu ich nie mają. Roztwory są absolutnie nieszkodliwe. W przeciwieństwie do leków alopatycznych, z ich ostrzeżeniem zrzucającym odpowiedzialność na pacjenta, aby przechowywać je w miejscu niedostępnym dla dzieci, środki homeopatyczne nie stanowią żadnego zagrożenia. Dziecko, które wypłoby nawet całą fiolkę, nie potrzebowałoby płukania żołądka.

Spojrzenie Hahnemanna na człowieka i jego egzystencję na świecie było niegdysiejsze, a w tym sensie utrzymane również w duchu New Age. Człowiek był dla niego istotą złożoną, bytem wielowymiarowym, składającym się nie tylko z materii, ale także ze świadomości i inteligencji. „Umysł jest centralnym punktem człowieka” - pisał. Dlatego również na chorobę, jako fenomen biologiczny zmienionego życia, należy spojrzeć w kontekście całej osoby. „To pacjent jest chory, nie jego narządy”. To samo mówił Hipokrates; to samo utrzymują dzisiaj przedstawiciele tak zwanej medycyny alternatywnej, holiści.

W dodatku, według Hahnemanna, przed lekarzem stał cel dużo ważniejszy niż zwykle przywrócenie zdrowia fizycznego. „U człowieka w normalnym stanie - pisał w 1810 roku - siła witalno-duchowa ożywia ciało materialne. Siła ta rządzi całym organizmem i utrzymuje różne jego części w cudownej harmonii, tak aby umysł, który w nim zamieszkuje, mógł swobodnie korzystać z tego zdrowego i żywotnego narzędzia dla wyższego celu naszej egzystencji”. Reasumując, ciało było dla niego czymś o wiele więcej niż tylko maszyną.

Innym ważnym aspektem homeopatii jest - już od czasów Hahnemanna - stosowanie w bardzo małych ilościach albo w bardzo dużym stopniu rozcieńczenia - określanym mianem tak zwanych potencji - substancji, które stanowią podstawę remediów.

Początkowo istniała konieczność przeprowadzania eksperymentów z prawdziwymi truciznami, takimi jak cyjanek czy arsenik, podawanymi w minimalnych ilościach. Jednak dzięki eksperymentom, robieniu coraz bardziej rozwodnionych preparatów, Hahnemann się przekonał, że również w roztworze wykorzystywane substancje wywierają na organizm działanie stymulujące. A wręcz zauważył, że moc roztworu wzrasta za każdym razem, kiedy zostaje on dodatkowo rozcieńczony i wstrząśnięty sto razy - „zdynamizowany”, jak to określał - a potem znów rozcieńczony i jeszcze raz

wstrząśnięty. Stąd wniosek, do jakiego Hahnemann doszedł w ostatnich latach życia: Remedium jest tym skuteczniejsze, im bardziej zostało rozcieńczone, nawet do takiego stopnia, kiedy w wodzie nie można już znaleźć śladu pierwotnej substancji.

Może więc pozostaje po niej wspomnienie?

Krytycy homeopatii często używali tego argumentu, żeby powiedzieć, iż remedia to tylko czysta woda i że tak zwane sukcesy tej praktyki medycznej należy przypisać efektowi placebo.

Jednak również ta argumentacja nie jest przekonująca. Niedawne badanie, którego wyniki opublikowało czasopismo medyczne „Lancet”, wykazało, że w czasie eksperymentu przeprowadzonego na dwóch różnych grupach pacjentów (bez ich wiedzy) - gdzie jednym podawano produkty homeopatyczne, a drugim substancje neutralne -w pierwszej grupie było więcej przypadków wyzdrowienia (mniej więcej dwa i pół razy) niż w grupie, której nie leczono niczym.

A jednak klasyczni lekarze uporczywie ignorują wszystko, co się dzieje poza ścisłym podwórkiem ich nauki, obstając przy twierdzeniu, że chodzi o efekt placebo, i używają tego określenia z pogardą, jakby zjawisko to nie było nadzwyczajne: człowiek, wierząc w to, że jest leczony, leczy się sam! Połyka zupełnie obojętną substancję i - myśląc, że to bardzo skuteczne lekarstwo - zdrowieje! Ależ to bezsporny dowód na władzę, jaką ma umysł nad materią! Uczni nie są oczywiście gotowi go zaakceptować, gdyż tym samym pod ich aktualną koncepcją świata, człowieka i jego ciała otworzyłaby się przepaść.

Poza tym jak można mówić o efekcie placebo w przypadku noworodków albo wręcz zwierząt leczonych homeopatią? Tak, ponieważ są również weterynarze homeopaci! Sam Mangiafuoco opowiadał mi o weterynarzach, którzy w jego regionie współpracowali z producentami sera: żeby powstał dobry parmezan, krowy powinny mieć zapalenie sutka. Aby więc nie usunąć owych bakterii z mleka, lepiej nie leczyć ich ewentualnych chorób za pomocą antybiotyków.

Losy homeopatii po śmierci Hahnemanna w 1843 roku bardzo przypominają miejsce medycyny alternatywnej w świecie dzisiejszym.

Ludzie czuli się zawiedzeni tradycyjnymi lekarzami, uznawali ich metody za barbarzyńskie, a sposób traktowania przez nich pacjenta - jakby był przedmiotem, który można ciąć, upuszczać mu krew i faszerować bardzo skomplikowanymi miksturami - za mało odkrywczy. Homeopatia, jak wiele praktyk, które stają się dzisiaj modne (a wśród nich na nowo również i ona), jawiła się jako prawdziwa alternatywa. Praktykujący ją lekarze zwracali wielką uwagę na pacjenta; stosowane przez nich środki nie były ani agresywne, ani niszczące. Epidemia cholery, która dotknęła Europę w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku, pochłaniając wiele ofiar, przyczyniła się do dobrej reputacji homeopatii. Zauważono bowiem, że zwolennicy Hahnemanna zdołali uratować osiemdziesiąt procent swoich pacjentów, natomiast lekarze konwencjonalni tylko pięćdziesiąt.

Kiedy Hahnemann umarł, był sławny, miał bardzo wielu następców i mógł chlubić się tym, że stworzył nową praktykę medyczną. Opierała się ona nie na rozpoznaniu choroby, ale na dużo trudniejszej i bardziej złożonej diagnozie dotyczącej chorego. System ten zajmował się nie tylko niektórymi

objawami, ale wszystkimi. Hahnemann stworzył w ten sposób podwaliny pod medycynę, która w swoim najlepszym wydaniu była potencjalnie w stanie wyleczyć choroby wówczas jeszcze nieznaną, jak AIDS.

Terenem najbardziej żyznym dla homeopatii była początkowo Ameryka. Tamtejsza medycyna została zdominowana przez takie postaci jak Benjamin Rush, człowiek, który nie wierzył zupełnie w leczniczą moc natury i był zatwardziałym zwolennikiem interwencji chirurgicznych, podawania końskich dawek środków przeczyszczających, a przede wszystkim upuszczania krwi. Mawiano o nim, że „przelał więcej krwi niż jakikolwiek generał w całej historii”. Homeopatia, która całkowicie podważała ową dominującą wówczas postawę, stała się niezwykle popularna. Już na początku dwudziestego wieku wykładano ją na dwudziestu dwóch uniwersytetach, praktykowano w setkach szpitali, ponad tysiąc aptek sprzedawało stosowane przez nią remedia, a poświęciło jej się około dwudziestu procent amerykańskich lekarzy.

W Stanach Zjednoczonych homeopatia była już tak rozpowszechniona i cieszyła się takim powodzeniem, że towarzystwa ubezpieczeniowe oferowały dziesięć procent zniżki dla osób korzystających z tej formy leczenia. Ale to właśnie ten sukces homeopatii przyczynił się do jej upadku. Tradycyjne stowarzyszenia lekarskie zauważyły, że ich członkowie tracą klientów, przemysł farmaceutyczny zanotował spadek zysków - środki homeopatyczne były tanie i często przygotowywane przez samych lekarzy - dostrzeżono więc w nowej metodzie leczenia groźnego rywala, którego trzeba jak najszybciej wyeliminować. Runęła lawina ataków i w krótkim czasie homeopatię uznano za metodę nienaukową. Uniwersyteckie kursy homeopatii zostały rozwiązane, a homeopaci odsunięci. W Europie zdarzyło się mniej więcej to samo, choć wiele ważnych osobistości, poczynając od Marka Twaina po Piusa X, od Dickensa po Goethego, Williama Jamesa i Nathaniela Hawthorne'a, stosowało homeopatię. Również sama angielska rodzina królewska od 1830 roku korzystała z usług lekarzy homeopatów.

Innym powodem upadku homeopatii na Zachodzie były postępy poczynione przez medycynę tradycyjną. Wynalazek mikroskopu i odkrycie bakterii pozwoliły na badanie przyczyn każdej pojedynczej choroby, a tym samym jeszcze silniejsze położenie akcentu na szczegóły, na pewne części ciała, a nie organizm jako całość.

Tylko w Indiach, gdzie dotarła już w czasach Hahnemanna, przywieziona przez niemieckich misjonarzy, doczekała się swojej historii i niemal autonomicznego rozwoju. Gandhi określił ją jako „najbardziej przemyślny, najtańszy i najmniej gwałtowny system traktowania pacjentów”. Zasugerował też rządowi, aby ją wspierał i upowszechniał. Tak też się stało. W 1973 roku homeopatia została uznana za jeden z oficjalnych systemów medycznych. Sto sześćdziesiąt dwa indyjskie uniwersytety oferują dziś kursy homeopatii, a ponad sto pięćdziesiąt tysięcy lekarzy praktykuje ją w każdym zakątku kraju: nie dla zaspokojenia kaprysu zamożnych czy też zwolenników metod alternatywnych, ale jako najbardziej dostępne i najmniej kosztowne rozwiązanie problemów zdrowotnych biedaków.

Na Zachodzie, gdzie nauka stała się czymś w rodzaju nowej religii, homeopatia nie mogła naukowo wykazać swojej skuteczności. Żaden chemik czy biolog nie jest w stanie znaleźć związku przyczynowo-skutkowego między ilością substancji obecnej - a często już w ogóle nieobecnej - w jakimś remedium a jego działaniem leczniczym. Ale to właśnie tę mechanicy styczną i molekularną interpretację

rzeczywistości biologicznej homeopatia podaje w wątpliwość! Nauka i homeopatia mówią dwoma różnymi językami. Jak więc mogą się porozumieć?

W okresie powojennym ten dialog między głuchymi dodatkowo się skomplikował. W badaniach naukowych nastąpił ogromny postęp i praktyka medyczna przyjęła za bezdyskusyjną prawdę pogląd, że choroba wywołana jest zmianą w mechanizmie molekularnym. Terapia polega więc na zmodyfikowaniu lub zastąpieniu danej molekuly za pomocą lekarstw wprowadzonych do organizmu pacjenta, niezależnie od tego, kim jest, co odczuwa, myśli, w co wierzy, albo... o czym śni. Dokładna odwrotność koncepcji homeopatycznej!

Homeopata nie myśli kategoriami choroby, tylko pacjenta, i nie pojmuje swojej terapii jako interwencji pochodzącej z zewnątrz. Przeciwnie. Działanie remedium ma tylko stymulować organizm, aby leczył się sam, od środka. W koncepcji homeopatycznej terapia działa właśnie od środka na zewnątrz, z góry do dołu, od najważniejszych narządów w kierunku pomniejszych, postępując w kierunku odwrotnym do tego, w jakim występują objawy. Właściwy środek zaczyna zatem swe działanie od eliminowania przede wszystkim ostatnich objawów wywołanych przez chorobę, potem następnych, podążając jakby wstecz. Dlatego też pojawienie się u pacjenta starych symptomów uznawane jest za dobry znak: oznacza, że leczenie działa i że proces zdrowienia znalazł się w decydującej fazie.

Wszystko to jest dziwne i ciekawe, ale też nie do zaakceptowania przez naukowy umysł. Klasyczny lekarz, przyzwyczajony do swojej procedury, uzna za absurdalną opowieść homeopaty o wyleczeniu dzięki potraktowaniu pacjenta jako całości, a nie wyłącznie w kontekście jego choroby. Siedemdziesięcioletnia kobieta przykuta jest do wózka inwalidzkiego z powodu poważnej osteoporozy. Podczas rozmowy z homeopata, pani ta wyznaje, że niemal każdej nocy ma taki sam sen; widzi, jak spada z dużej wysokości. Homeopata skupia się na powtarzalności tego snu i postanawia dać jej remedium, które ma coś wspólnego z tym „objawem”, a nie z jej stanem fizycznym. Po pewnym czasie kobieta zostawia wózek i znów zaczyna chodzić o własnych siłach.

Wyleczenie, które należy zawdzięczać zażyciu przed zaśnięciem kilku kropel roztworu jakiejś nieadekwatnej substancji? To niemożliwe - mówią lekarze-naukowcy, wrzucając - niesłusznie - homeopatię do tego samego garnka, co pseudoterapeutyczne szaleństwa, takie jak piramidologia, automasaż czy psychogimnastyka.

Bez wątplenia homeopatia cierpi z powodu swojej reputacji, przedstawiającej ją jako magię albo - co gorsza - czary. W najlepszym razie praktykowanie jej zostaje odrzucone i wyśmiane, ponieważ w gruncie rzeczy, ze swoimi roztworami, miałyby być niczym innym jak tylko czystą wodą.

Ale co my wiemy o wodzie? Odkąd staliśmy się realista-mi, wydaje się nam absurdalne, żeby mogła ona zawierać informacje dotyczące pierwiastków lub substancji, które kiedyś w niej były. Czy wiemy może coś na temat tego, co jakieś wydarzenie zostawia w miejscu, w którym zaistniało? Co rzeczy, substancje czy cząsteczki owych substancji mogą komunikować?

Mimo naszych pretensji do rozumienia i naszej wyniosłej pogardy w stosunku do wszystkiego, co nienaukowe, wciąż korzystamy z tego, co jest nam przydatne, choć nie rozumiemy, jak działa. Na przykład lekarze-naukowcy wrócili do stosowania elektrowstrząsów w leczeniu pewnych chorób psychicznych, ciągle nie mając pojęcia, co tak naprawdę wywołuje pożądane efekty. A jednak robią to

z taką samą ufnością, z jaką gospodynie domowe rozkładają prześcieradła na ławkach przy pełni księżyca, przekonane, że wybielą się lepiej niż przy użyciu detergentów. Podobnie Hindusi nadal wypijają rano szklanek wody, która w nocy stała w miedzianym naczyniu, z którego miałyby pobrać dobroczynną „energię”. Zaczęli tak robić przed wiekami, kiedy być może lepiej znali powód takiego postępowania.

Twórcy każdej wielkiej koncepcji naukowej przede wszystkim sobie uświadamiają, że nic nie wiedzą. Czynią tak na swój sposób reprezentanci najnowocześniejszych i najbardziej wolnych od przesądów gałęzi wiedzy, akceptując na przykład teorię chaosu, według której nic nieznanego wydarzenie w jednej części świata może wywołać katastrofalne i niewyobrażalne skutki w innej. Nauka uznaje także, w opozycji do tego, co myślano do tej pory, brak istnienia obiektywnej obserwacji, jako że nawet najbardziej nieożywione przedmioty nie pozostają obojętne na naukową obserwację: reagują!

To, co wiemy o naszym świecie, jest minimalnym ułamkiem w stosunku do tego, czego nie wiemy. Jeśli się dobrze zastanowić, mimo wielkich postępów poczynionych przez różne nauki żyjemy wśród zjawisk, których nie rozumiemy i o których w najmniejszym stopniu nie mamy pojęcia, co mogą znaczyć albo ukrywać.

Książki. Książki. Również pod tym względem Nowy Jork jest cudowny. Można tu znaleźć wszystko, cokolwiek chciałoby się przeczytać, a często odkrywa się coś, o czego istnieniu nie miało się zielonego pojęcia. Moim terenem łowieckim były kilometry wypełnionych książkami półek w Strand Bookstore, na roku Dwunastej Ulicy i Broadwayu. Można tam znaleźć za połowę ceny egzemplarze dopiero co wydanych książek, prosto spod prasy, przeznaczone dla recenzentów i przez nich odsprzedane, jak również stare woluminy, których nakład został wyczerpany.

Pewnego dnia, w pobliżu tomów dotyczących medycyny alternatywnej, rzuciła mi się w oczy dziwna książka angielskiego biologa. Przeczytałem na skrzydełku okładki, że autor, Rupert Sheldrake, po studiach w Cambridge trafił do Indii, do aśramu Będę Griffithsa, benedyktyna, ucznia C. S. Lewisa, autora kilku pięknych dzieł dotyczących pogrążania się współczesnego człowieka w materializmie oraz możliwości odkupienia poprzez życie duchowe. W owym aśramie, w Shantivanam w okręgu Tamilnadu, młody Sheldrake napisał interesujący esej A New Science of Life, łącząc swoje doświadczenia i pewność uczonego z doświadczeniami i niepewnością kogoś, kto wszedł na drogę duchową.

Teza Sheldrake'a jest następująca: Wszystkie żyjące istoty, a najprawdopodobniej również minerały, potrafią w jakiś sposób wprowadzić do swojej pamięci fakty, które przytrafiły się wcześniej im podobnym, mimo że nie istniała między nimi żadna możliwość komunikacji... przynajmniej tego typu, jaki my znamy. Innymi słowy, kiedy przedstawiciel jakiegoś gatunku przejawia nowe zachowanie albo sposób reagowania na pewne doświadczenia, owo nowe zachowanie, jeśli zostaje powtórzone wiele razy, wpływa na cały gatunek. Sheldrake sugerował tym samym, że wiele z tak zwanych niezmiennych praw przyrody nie jest niczym innym, jak bardzo zmiennymi nawykami, które miałyby zależeć od tego, co i jak często wydarzało się wcześniej.

Sheldrake opowiada na przykład o eksperymencie przeprowadzanym na przestrzeni wielu lat w Londynie: Myszy z różnych pokoleń, wkładane do napełniającej się powoli wodą wanny, z której

istnieje tylko jedna droga ucieczki, uczą się stopniowo, jak się uratować. To znaczy, jeśli ponad połowa myszy z pierwszego pokolenia tonie, o wiele mniej ich ginie w pokoleniach następnych, aż wreszcie wszystkie się ratują.

Natomiast absolutnie zadziwiające jest to, że w trakcie powtarzania tego samego eksperymentu w Australii niemal wszystkie myszy z pierwszego pokolenia znajdują drogę wyjścia, tak jakby doświadczenie ich krewniaczek z Londynu w jakiś sposób przeniosło się również na nie. To samo dzieje się - według Sheldrake'a - w przypadku reakcji minerałów i metali poddanych pewnym procesom. Na przykład pewne minerały, które krystalizują się w Londynie po pewnej liczbie prób, krystalizują się natychmiast, kiedy eksperyment jest przeprowadzany później w innej części świata.

Sheldrake wysnuwa z tego wniosek, że istnieje pewien rodzaj akumulacji doświadczenia na odległość: zarówno w sensie czasu, jak i przestrzeni. Nazywa to zjawisko rezonansem morficznym.

Czyżby z wodą działa się coś podobnego? Czyżby zapamiętywała kontakt, informacje pozostawione przez coś, co przez nią przeszło? Chciałoby się powiedzieć, że to jakieś szaleństwo. A jednak w najbardziej bezstronnej wizji rzeczywistości biologicznej, według której cząsteczki nie są jedynymi czynnikami determinującymi funkcjonowanie żywego organizmu, natomiast inne czynniki, takie jak energia oraz informacje natury bioelektromagnetycznej, odgrywają rolę równie istotną, szaleństwo to byłoby możliwe do przyjęcia.

Ostatnie eksperymenty pokazują, że oddziaływanie na wodę falami elektromagnetycznymi dostarcza jej właściwości fizyczno-chemicznych, które mogą być potem przeniesione na inne systemy biologiczne. Innymi słowy, coś mogłoby zostać zapisane w wodzie jak na kartce papieru. To znaczy, że woda mogłaby zapamiętywać. Miałaby pamięć.

Homeopatyczna wizja medycyny fascynowała mnie. Stanowiła przynajmniej jakąś alternatywę dla mechanicyzmu podejścia moich naprawiaczy z Nowego Jorku. Tym samym nasiliły się też moje wątpliwości.

Krążyłem między domem a szpitalem, poddawałem się kolejnym badaniom, kolejnym operacjom, kolejnym znieczuleniom ogólnym i myślałem... o pamięci wody, o remedium, które dostałem od Mangiafuoco, o możliwości rezygnacji z naświetlań i terapeutycznych spustoszeń, jakie poczynią w moim organizmie.

Sprzeczność, jaką silnie odczuwałem już podczas chemioterapii, odnosząca się do Ameryki, której wartości nie byłem w stanie podzielać, i faktu, że jednak tu przyjechałem w poszukiwaniu ratunku, znów stała się dla mnie wyzwaniem - szczególnie teraz, kiedy w pewnym sensie dostrzegłem alternatywę: nieamerykańską.

To oczywiste, że cywilizacja znajduje odzwierciedlenie w każdym swoim aspekcie, a medycyna amerykańska, bez wątpienia najbardziej rozwinięta na świecie, odzwierciedlała ową imperialistyczną agresywność, wobec której coraz bardziej nasilała się moja wrogość. Wraz z upadkiem muru berlińskiego i swoim triumfem w zimnej wojnie Ameryka nie miała już żadnych oporów, żeby objawić poczucie swojej wartości jako kraju potrafiącego w najwyższym stopniu zrealizować dążenia i pragnienia człowieka, największej potęgi kiedykolwiek istniejącej na Ziemi. Owo spiętrzenie arogancji

wytwarzało cywilizację nieznającą ograniczeń, która przyjmuje jako naturalne prawo panowanie nad innymi i nie obawia się „niszczyć, żeby ocalać” -jak miał powiedzieć ów amerykański generał w Wietnamie, gdy zrównano z ziemią całą wioskę, aby uwolnić ją od Yietcongu.

Amerykańska medycyna, której powierzyłem swoje zdrowie, również taka była: interwencjonistyczna, agresywna, niszcząca. Stała się taka od czasów rewolucji. Wizja pozornie nieograniczonych obszarów do zdobycia przy stopniowym posuwaniu się w kierunku Dzikiego Zachodu leżała u podstaw myśli, że również choroba jest jak ziemia do zdobycia, bez względu na ewentualne masakry, do jakich może dojść po drodze: Indian i pacjentów. Któregoś dnia przeczytałem, że czterdzieści procent operacji przeprowadzanych każdego roku w Stanach Zjednoczonych jest zbędne i że pod skalpelem umiera więcej Amerykanów, niż ginęło ich rocznie podczas wojny w Korei czy w Wietnamie.

Z drugiej strony mówiłem sobie, że to medycyna amerykańska, zawsze gotowa do eksperymentów, do poddawania próbie nowych narzędzi, nowych technik, nowych leków, pokonała stare choroby i przedłużyła przeciętną długość życia ludzi. To fakt, ale osiągnęła to dzięki olbrzymim środkom zgromadzonym na drodze systematycznego wyzysku reszty świata oraz cudzych zasobów, z czego, w gruncie rzeczy, ja również korzystałem.

Takie właśnie myśli chodziły mi po głowie, kiedy przygotowywałem się do radioterapii. Zrobiłem wszystkie analizy i próby symulacyjne. Pozostawał mi ostatni wolny weekend. Właśnie ten, podczas którego Mangiafuoco prowadził swoje seminarium homeopatyczne w Bostonie.

Przeżywałem kryzys związany z Ameryką. Również stary Boston, który pamiętałem z czasów, kiedy brałem tam udział w marszu protestacyjnym przeciwko wojnie w Wietnamie, mnie rozczarował. Miasto było ładne, kulturalne, dostojne, ale bez wielkości, bez czegoś pociągającego czy wzruszającego. Przyleciałem tam jednym z tych małych samolotów, które kursują co godzina między Nowym Jorkiem a Bostonem, podobnie jak autobusy jeżdżące we Florencji między Porta Romana a Duomo. Wylądowaliśmy, przelatując nad szeregami jednakowych domków, pokrytych na szczęście śniegiem. Wszystko funkcjonowało świetnie, według rozkładu, jak naoliwiona maszyna. Dopiero przy baczniejszym spojrzeniu można było dostrzec, że wielka skuteczność amerykańskiego stylu życia opiera się na współczesnej wersji systemu kastowego. Czarni, Portorykańczycy i Latynosi zajmują się w Stanach Zjednoczonych, jak niegdyś w Indiach niedotykalni, tym, co dotyka ziemi, co jest „brudne”, poczynając od śmieci, po bagaże czy toalety. Wszyscy są marnie opłacani – średnio zarabiają coś około siedmiu dolarów na godzinę - ale sekret tkwi w tym, że wszyscy też uważają się za wolnych obywateli najlepszego ze światów.

Tuż nad niedotykalnymi sytuuje się kasta typowo amerykańska: nieudacznicy. Są to z reguły biali z przyzwoitym wykształceniem. Z jakiegoś powodu im się nie powiodło, a bezlitosny system nieustannej rywalizacji, premiujący agresywność i sprzeniewierzenie się zasadom, spycha ich na margines. Stają się sfrustrowanymi, żalonymi ofiarami. Trzej taksówkarze, z którymi zetknąłem się pierwszego dnia pobytu w Bostonie, należeli właśnie do tej kasty. Każdy z nich chwilę po tym, jak usiadł za kierownicą, oznajmił mi, że tak naprawdę nie jest kierowcą, ale scenarzystą. Cóż, Ameryka!

Seminarium odbywało się około sześćdziesięciu kilometrów od miasta, w jednym z tych hoteli z syntetyczną wykładziną, meblami ze sztucznego drewna i wielkim basenem. Położony na uboczu,

został tam postawiony tylko ze względu na niską cenę ziemi. Można tam było organizować różne konferencje, na przykład w obronie wielorybów, kursy doskonalenia zawodowego dla kosmetyczek i seminaria homeopatyczne.

Seminarium Mangiafuoco mnie zachwyciło. Czułem się tak, jakbym wylądował na Marsie i odkrył, że Marsjanie są przemili, inteligentni i serdeczniejsi od wielu ludzi. Czym innym było czytać o homeopatii w książkach, w które się zaopatrzyłem, a czym innym siedzieć w grupie około pięćdziesięciu uczniów Mangiafuoco, którzy między jedną a drugą prelekcją dyskutowali o swoim zawodzie, o pacjentach i o bardzo tajemniczych remediach.

Szybko zdałem sobie sprawę, że również „Marsjanie” należą do pewnej kasty, tak zwanych drop outs, jak w Ameryce określa się tych, którzy wyskoczyli w biegu z pociągu pędzącego ku nowoczesności, ludzi z wątpliwościami, aspirujących do czegoś wyższego niż tylko zwykłe, materialistyczne cele społeczeństwa konsumpcyjnego.

Wśród pięćdziesięciorga uczestników seminarium było wiele kobiet. Wszystkie osoby uciekały przed przeszłością, mimo że często osiągnęły sukces - niektóre w medycynie, inne w psychologii. Byli też artyści i hipisi. Wielu mężczyzn nosiło brody, jakby chcąc zasłonić swoje „poprzednie” twarze.

Odnosiłem wrażenie, że dla większości homeopatia nie stanowiła po prostu alternatywy zawodowej, ale była alternatywnym stylem życia.

Żeby pomóc pacjentom, muszę ich zrozumieć, a żeby ich zrozumieć, muszę przede wszystkim zrozumieć samą siebie - oznajmiła mi pewna czterdziestolatka, która wcześniej pracowała jako bibliotekarka na uniwersytecie. Z kolei była malarka wyjaśniła mi, że homeopatia jest najbardziej „artystycznym” środkiem wyrazu, jaki udało jej się znaleźć. Wielu dostrzeżało w rosnącej popularności homeopatii zwiastun możliwego, wielkiego zwrotu w historii ludzkości. Wszyscy zdawali się maksymalnie umotywowani. Każdy podjął jakieś szczególne zobowiązanie.

W przypadku Mangiafuoco wybrzmiało ono wyraźnie w tym, co powiedział: pragnął przywrócić homeopatii wiarygodność naukową, a swojej profesji godność.

Jesteśmy lekarzami, ale jeśli chcemy, żeby traktowano nas poważnie, musimy wziąć się do roboty - powtórzył kilkakrotnie. - Nie możemy oczywiście rezygnować z naszego podejścia, które pomogło ludzkości przetrwać przez tysiące lat; powinniśmy jednak także zaakceptować, że podejście naukowe, choć dużo młodsze, niekoniecznie trzeba odrzucić. Musimy spróbować połączyć wszystkie siły.

Nie robił tajemnicy z faktu, że homeopatia jest w przełomowym okresie. Właśnie dlatego, że staje się coraz bardziej popularna i modna, jej reputacja cierpi z powodu wielu szarlatanów, którzy utrzymują, iż potrafią ją praktykować. Inne niebezpieczeństwo - zaznaczył - pochodzi z wielkich koncernów farmaceutycznych. W przeszłości były wrogie homeopatii, ale teraz, widząc jej powodzenie, próbują wejść na ten rozrastający się rynek i produkują środki na taką czy inną dolegliwość, działając przeciw podstawowej zasadzie tej metody: leczyć pacjenta, a nie chorobę.

Mangiafuoco zakładał całkowitą rewizję praktyki homeopatycznej; szkolenie nowych medyków, pochodzących być może z szeregów niezadowolonych lekarzy alopacyjnych, oraz badanie nowych remediów w celu zwiększenia liczby środków terapeutycznych będących w dyspozycji homeopatów.

Mówił, że *Materia Medica*, kompendium środków homeopatycznych, opublikowane jeszcze za życia Hahnemanna, powinno zostać przejrane, poszerzone i opracowane według nowoczesnych kryteriów; powinno też zostać skomputeryzowane. Absurdem jest stosowanie wyłącznie starych środków, jeśli dziś tak łatwo można wypróbować nowe. Na przykład prawdziwą kopalnią produktów jest morze, ale homeopatia korzystała do tej pory z niewielu. Celem seminarium było właśnie wprowadzenie kilku remediów pochodzenia morskiego, które on sam zbadał i z powodzeniem stosował.

I tak przez trzy dni, za pomocą wykresów, slajdów i małych karteczek, na których miał swoje notatki, Mangiafuoco mówił o atramencie z mątwy, o skorupie *Homarus gammarus* (homara), o życiu seksualnym meduz, o ich truciznie i bardzo dużo o rozgwiazdach. Już sama nazwa wiele znaczy! Starożytni myśleli, że są to te same gwiazdy, co na niebie, i wysyłali epileptyków, aby je łowili, ponieważ według nich mieli oni w sobie coś niebiańskiego, boskiego.

O każdym zwierzęciu czy roślinie Mangiafuoco znał mity, w których się pojawiały, literaturę, która o nich mówiła. Wiedza ta wzbogacała jego prezentację o ową magiczną aurę, mającą, również zdaniem prelegenta, wielką wartość. Powtarzał wielokrotnie, że badając efekty wywoływane przez określone remedium, należy także obserwować zachowanie zwierzęcia, od którego dany środek został pozyskany. Każda istota - mawiał - ma swój sposób na przetrwanie w przyrodzie; znajduje on swoje odzwierciedlenie w reakcji pacjenta na konkretne remedium.

Opowiadał o homarze (*Homarus gammarus*), który nie ma związków z innymi zwierzętami. W jego głowie znajduje się narząd przypominający nasze ucho, a w jego wnętrzu coś w rodzaju kamyka, który daje mu poczucie równowagi. Kiedy homar rośnie i jego pancerz staje się zbyt ciasny, zrzuca go. Czyni go to jednak słabym i bezbronny, chowa się więc w piachu, dopóki nie wyrośnie mu nowa skorupa. *Homarus gammarus* ma w żołądku płyn, który ścina mleko. To właśnie z tego płynu uzyskuje się remedium skuteczne u osób z alergią na nabiał.

Mangiafuoco opowiedział o jednym ze swoich przypadków *Homarus gammarus*. Matka, kobieta o dominującym charakterze, nauczycielka gimnastyki i maniaczka fitness, przyprowadziła swojego dziesięcioletniego syna. Chłopiec był gruby i zupełnie niezainteresowany sportem. Miał uczulenie na mleko i wszystkie jego pochodne. Coraz częściej nawiedzały go ataki astmy. Matka odwołała się do homeopatii, ponieważ po wizytach u kilku lekarzy alopatów chłopiec nie może już właściwie żyć bez środka rozszerzającego oskrzela. Po operacji migdałków nadmiernie urósł oraz utył i ma bardzo silne bóle kości. Uwielbia krewetki. Jada je nawet z owocami. Jego ulubionym bohaterem jest Piotruś Pan, ale kiedy zobaczył film, bardzo poruszył go epizod, w którym ten traci swój cień i trzeba mu go na nowo przyszyć. Dziecko boi się też ciemności.

Podczas wizyty mówi tylko matka. Z zeszytu, w którym robiła notatki, czyta wszystko to, co chce opowiedzieć lekarzowi. Syn jest wystraszony, a za każdym razem, kiedy chce coś powiedzieć, matka mu przerywa. Lekarzowi udaje się jednak wydobyć z niego coś, o czym matka nie wie: jego sny, i w nich odnajduje klucz. Chłopiec opowiada, że często śni mu się, że jest w towarzystwie wielkiego cienia. Nie boi się go, przeciwnie, daje mu on poczucie bezpieczeństwa. Mangiafuoco przepisuje *Homarus gammarus*. Dlaczego?

- Na płaszczyźnie fizycznej - wyjaśnił lekarz - chłopiec ma ewidentne problemy z alergią na mleko. Matka nie jest dla niego żadnym wsparciem. Żeby zmierzyć się ze światem, próbuje stać się coraz

grubszy, jakby stanowiło to gwarancję większej stabilności. Jada krewetki, ponieważ instynktownie szuka w tym zwierzęciu czegoś, co mogłoby mu pomóc. W historii Piotrusia Pana ciekawe jest to, że żeńska postać, która przyszywa mu cień, to nie matka, ale dziewczynka, Wendy. A zatem, z punktu widzenia chłopczyka, to nie mama go chroni przed ciemnością, ale jego własny cień. Stąd analogia z krewetkami, których dziecko tak bardzo pragnie; stąd analogia z homarem i oślanającym go pancerzem.

Mangiafuoco przepisał dziecku wyciąg z homara. Chłopiec zażywał go i po kilku tygodniach alergia na nabiał ustąpiła, zaczął tracić kilogramy i przestał mu dokuczać ataki astmy.

Czy to medycyna? A dlaczego nie? Lekarzem jest ten, kto pomaga wyzdrowieć, a nie ten, kto ma po prostu dyplom. Nie miałem żadnego powodu, żeby wątpić w historię tego chłopca i sposobu, w jaki został wyleczony. Sugestia? Efekt placebo? I co z tego? Niech tak będzie, jeśli uzdrawia ludzi!

Jeżeli sprawdzian chleba polega na jego zjedzeniu, sprawdzian remediów polega na ich stosowaniu. Przez trzy dni Mangiafuoco opowiadał historie pacjentów: „meduz”, „mątw”, *Homarus gammarus* i innych, leczonych 'odpowiednimi preparatami morskimi. Jego opisy różnych osobowości homeopatycznych, wraz z ich nawykami, zachowaniami społecznymi, preferencjami żywieniowymi, środowiskowymi czy... muzycznymi, były stymulujące. Ludzkość jako gatunek stawiała się niezwykle interesująca w świetle najdziwniejszych powiązań, jakie Mangiafuoco ustalał między osobami, zwierzętami i roślinami; między chorobami i remediami.

Zgromadzona publiczność - w tym i ja - piła mu z ust.

Nie byłem w stanie śledzić wszystkiego, co mówił; często nie rozumiałem logicznego powiązania między rzeczami (być może nie istniało), nie dostrzegałem związku przyczynowo-skutkowego (a on przestrzegał przed jego szukaniem), byłem jednak zafascynowany. Tak jakby otworzyło się przede mną okienko na nieznaną planetę. Miałem wrażenie, jakbym założył specjalne okulary, dzięki którym w dzieciństwie zobaczyłem kiedyś trójwymiarowy świat na kinowym ekranie.

Pozostawałem jednak racjonalnym florentczykiem i wiele z jego cudownych historii sprawiało, że czułem się zagubiony. Wydawało mi się, że rozumiem, ale nie rozumiałem. To jasne, że na tak niepewnym terenie, przy odwołaniach do ezoteryzmu i mistycyzmu, bardziej niż przesłanie pociągał cię za sobą sam posłaniec. A w tym Mangiafuoco był doskonały: inteligentny, wykształcony, dowcipny i charyzmatyczny. Przekonujący, a czasami po prostu błyskotliwy.

Wielki uwodziciel z czarodziejskim fletem?

Naprawdę podobały mi się te trzy dni spędzone na Marsie. Inni ludzie, inne rozmowy, inna logika. Pomyślałem o tym, jak dziwne było to, co się ze mną działo. A może to, co sam na siebie sprowadzałem? W 1993 roku, przyjmując przepowiednię jasnowidza, zwolniłem rytm życia, zacząłem patrzeć na świat innymi oczami. Teraz z kolei rak sprowadzał mnie na to seminarium i kazał przebywać z tymi dziwnymi ludźmi. Oczywiście, ów mój „kłopot” - jak go nazywał Mangiafuoco - miał swoje ciemne, groźne oblicze; miał jednak również jasną stronę, niosącą ze sobą nowe możliwości. Ów „kłopot” spowodował, że odkryłem homeopatię, której w innym przypadku nie poświęciłbym

najmniejszej uwagi. Być może coś wewnątrz mnie chciało urosnąć, i oto rośnie mi rak... abym ja mógł dorosnąć. Mój Boże, myślałem już jak homeopata!

Fakt, owa nie-logika homeopatów weszła mi pod skórę, owo rozumowanie na opak, nie w małej, ale w wielkiej skali, pociągało mnie. Trochę tego właśnie szukałem, choć czasem zdawało mi się, że w łańcuchu ich rozumowania brakuje jakiegoś ogniwa. Miałem wrażenie, że przyglądam się fantastycznym skokom akrobaty, który fruwa w powietrzu między jednym trapezem a drugim... aż do chwili, gdy gubi gdzieś jeden z drążków. Tak samo wydawało mi się, że mój umysł spada w próżnię.

Zdałem sobie sprawę, że mimo całego entuzjazmu, jakie wywoływała we mnie homeopatia, nie mogę brać serio pod uwagę hipotezy zrezygnowania z radioterapii i zaufania wyłącznie magii mojego remedium. Być może padłem ofiarą naukowych uprzedzeń, ale to byłem cały ja: ciekawy, ale racjonalny; poszukiwacz, ale nie całkiem nieustraszony. Nie miałem wątpliwości, że *Calcarea phosphorica* przyczyniła się do przywrócenia mi spokoju ducha, ale nie byłem w stanie się przekonać, że położy również kres produkcji oszalałych komórek. A sam fakt mojego braku przekonania zwiększał ryzyko, że remedium na nic się nie zda.

Takim samym samolotem-autobusem, do którego wsiadłem w ostatniej chwili, kiedy zamykano już drzwi, wróciłem do Nowego Jorku i zaszyłem się, zadowolony, w swojej kryjówce.

- Czterech Amerykanów na dziesięciu zapadnie na raka - ogłoszono w wiadomościach wieczornych jednego z wielkich kanałów telewizyjnych. Informowano, że wiele osób w Stanach Zjednoczonych niepotrzebnie umiera na tę chorobę, ponieważ towarzystwa ubezpieczeniowe odmawiają opłacania najnowszych, drogich kuracji pod pretekstem, iż są one jeszcze „w fazie eksperymentalnej”.

Do nich należała również radioterapia, którą miałem rozpocząć nazajutrz. Chodziło o eksperyment, o którym wiedziałem, że sam w sobie jest rakotwórczy.

A jednak wybrałem.

W nocy miałem dwa sny. W pierwszym leciałem wysoko nad światem, który był tak oddalony, że już mnie nie interesował. Natomiast w drugim spacerowałem brzegiem morza, a porzucone na plaży, nieruchome przedmioty ożywały, kiedy je mijałem, wypuszczały iskrę, małe światełko, a ono zamieniało się w ptaka, który odlatywał wolny w przestworza.

Przyjąłem całe to latanie za dobrą wróżbę.

W objęciach Pajęczycy

- Panie Terzani, jest pan gotowy?

- Tak - odpowiadałem, a wszyscy uciekali, kryjąc się za opancerzonymi drzwiami. Leżałem nieruchomo pośrodku pogrążonego w półmroku pokoju, z nagim torsem, uważając, aby nie zrobić ani jednego głębszego niż zwykle oddechu. Musiałem pozostawać dokładnie w takiej pozycji, w jakiej zostałem ułożony: czarne punkty, które zostały mi wytatuowane na klatce piersiowej, musiały pokrywać się z punkcikami czerwonego światła, wydobywającymi się z ognistych oczu ustawionej nade mną

piekielnej maszyny. Przeważałem ją Pajęczycą, ponieważ ja sam nie byłem niczym innym, jak małą muszką, zaplątaną w tajemniczą sieć, którą ona wokół mnie tkąła.

Pajęczycą miała wielką, okrągłą głowę, która najpierw patrzyła na mnie z góry, potem powoli się obracała, zatrzymywała, wciąż w tej samej odległości, przy jednym z moich boków, umieszczała przede mną, żeby potem na powrót obserwować mnie z góry, wydając przy każdym ruchu niepokojący syk, niekiedy prawie wołanie, a czasem jęk, westchnienie. Uwięziony w środku magicznej pajęczyny, czułem się niczym obiekt uwodzenia, któremu nie miałem najmniejszego zamiaru się opierać. Postanowiłem, że to zbliżenie ma mnie ocalić.

Przyjąłem zakład, podobnie jak czyniłem to wiele razy w kasynach Makau, gdzie po przegranym wieczorze przy stole do black jacka stawiałem w końcu wszystko, co mi zostało - poza biletem powrotnym na wodolot do Hongkongu - na czerwone albo czarne w ruletce i obserwowałem z kontrolowanym drżeniem toczenie się piłeczki.

Za szklanym ekranem wielkiego iluminatora widziałem pielęgniarzy i techników śledzących ruchy Pajęczycy, która z centrum swojej głowy bombardowała mnie przez niekończące się minuty bardzo celnymi i zabójczymi promieniami. Koncentrowałem się na regularności oddechu - krótkie wdechy, krótkie wydechy - tak, żeby klatka piersiowa się nie unosiła, nie rozszerzała, a promienie trafiały w cel. Nie miałem bólów. Tak naprawdę nic nie czułem, poza tym, że jestem we władzy jakiejś siły, prawdziwej obecności, z jaką nigdy wcześniej się nie zetknąłem.

Wiadomo już powszechnie, że zbyt wiele naświetlań szkodzi zdrowiu, że kobieta w ciąży powinna się do nich uciec tylko w przypadku absolutnej konieczności i że również dentysta musi być oszczędny z tym swoim łatwym systemem znajdowania próchnicy. Ryzyko polega na tym, że owo promieniowanie, nawet ograniczone, może aktywować jakiś nowotwór. No dobrze: jeśli prześwietlenie, powiedzmy, klatki piersiowej wysyła trzy jednostki owej miary, jaką określa się promieniowanie - i już te trzy uznawane są za potencjalnie niebezpieczne - Pajęczycą w trakcie naszych spotkań (pięciu tygodniowo przez półtora miesiąca) władowała we mnie ponad trzy tysiące tych jednostek.

„Promieniodawca”, nauczyciel i treser Pajęczycy, wiedział, co robi. Zarówno w moim, jak i w siedemnastu poprzednich przypadkach dobrze wyważył za i przeciw tych bombardowań. Liczył także na działanie bardzo szczególnego ekranu, który - aby zminimalizować szkody - dokładnie kontrolował zarówno obszar, jak i głębokość, do jakiej powinny dotrzeć wyładowania. Komputer wyznaczał trójwymiarową mapę narządu, w który należało uderzyć; inny komputer wytwarzał model ekranu, który - po serii prób - wykonywany był ze specjalnego, bardzo ciężkiego stopu metalu i mocowany na głowie Pajęczycy; jeszcze inny, jakby był komputerem myśliwca, śledzącym na mapie tor lotu swoich pocisków, kontrolował bombardowanie. Dla mnie natomiast wykonano na miarę jakby półbroję z gipsu, w której byłem układany i unieruchamiany.

Eksperymentalna terapia, na którą się zgodziłem, polegała na niszczeniu silnym promieniowaniem skupisk oszalałych komórek w konkretnej części ciała, tak by nie wystąpiły „szkody uboczne”, jak nazywa się w żargonie wojskowym zburzenie jakiejś szkoły albo zabicie ludności cywilnej podczas nalotu powietrznego. W moim przypadku chodziło o zbombardowanie chorego narządu tak, aby nie zapłaciły za to wszystkie znajdujące się wokół niego.

Moja love affair z Pajęczycą była najtrudniejszym okresem w całym leczeniu. Być może dlatego, że przez dwa tygodnie nie odwiedzałem szpitala, teraz nie chodziłem tam już z niegdysiejszą obojętną ciekawością. A może dlatego, że od moich jakże barwnych homeopatów słyszałem tyle o naturze i jej remediach, iż teraz biały, jednobarwny świat lekarzy oraz ich lekarstw wydawał mi się zupełnie nienaturalny, A szczególnie naświetlania.

Choć Pajęczycą mnie nie dotykała, jednak całkowicie wyczerpywała - do tego stopnia, że czasem nie miałem nawet siły dłużej utrzymać się na nogach. Kilka godzin po spotkaniu z nią jakiś dziwny ogień palił mi wszystkie wnętrzości. Kiedy głęboko oddychałem, wydawało mi się, że wciągam do środka płomień. Było to uczucie, jakiego nigdy wcześniej nie doznałem, ale w żadnym wypadku nie mogłem go uznać za nieznośne. Uświadamiałem je sobie, zastanawiałem się nad nim i płomień znajdował się szybko pod kontrolą. Często sam fakt, że nazwiemy coś albo kogoś nieznośnym, naprawdę takim to czyni.

Broszura informacyjna zapewniała mnie, że naświetlania nie uczynią mnie „radioaktywnym”, ale na swój sposób Pajęczycza zadawała mi większy gwałt niż chemia i bardziej niż ona ograniczała mój entuzjazm do życia. Nie tak często wychodziłem, mniej się rozglądałem wokół siebie, byłem bardziej skoncentrowany na sobie i tym samym coraz rzadziej trafiałem tam, gdzie chciałem być: piętro wyżej.

Wiedziałem, że to kwestia przyjętej perspektywy. Za każdym razem, kiedy wizja świata się zmniejsza, nasze problemy albo nasze dolegliwości wydają się nam niezwykle ważne, nasza śmierć jawi się jako straszna i nie do pomyślenia. Jeśli wizja się poszerza i udaje się zobaczyć świat w jego całokształcie oraz wspaniałości, nasz stan, choć bolesny, staje się częścią tego bezkresu, tej wieczności, naturalną udręką człowieka.

Dostrzegałem to, włączając telewizor albo idąc do kina: jeśli oglądałem jakiś głupi film, upadałem na duchu; bóle brzucha czy żołądka wydawały mi się straszliwe. Natomiast kiedy widziałem piękny film, jak na przykład odrestaurowaną wersję Nocy Cabirii Felliniego, wszystko, co się ze mną działo, zdawało mi się wyrazem tego „wielkiego i straszego” świata, o którym stary mnich tybetański opowiada młodemu Kimowi Kiplinga: epizodem pięknej historii. Ja zaś byłem kimś mało ważnym.

Dlatego też sztuka, ta prawdziwa, pochodząca z duszy, jest tak ważna w naszym życiu. Sztuka nas pociesza, przynosi ulgę, wskazuje kierunek. Leczy nas. Nie jesteśmy tylko tym, co jemy, i powietrzem, którym oddychamy. Jesteśmy także usłyszonymi opowieściami, bajkami, które usypiały nas w dzieciństwie, przeczytanymi książkami muzyką, której słuchaliśmy, a także emocjami, jakich dostarczyły nam obrazy, rzeźby, wiersze.

Któregoś dnia, kiedy Pajęczycza bardziej niż zwykle dała mi się we znaki, w nadziei, że poprawię sobie humor, wybrałem się do Metropolitan Museum. Zorientowałem się jednak natychmiast, że przy wszystkich mutacjach, jakim zostałem poddany, jedna cecha mi pozostała: nienawiść do muzeów. Szczególnie do tych ogromnych, bezkresnych, jak Metropotan. Wszystkiego było tam w nadmiarze: zbyt wiele obrazów, ludzi, posągów, za duży chaos, zbyt dużo sklepów, strażników, za dużo światła, pocztówek, długopisów i koszulek. Metropolitan tak się miało do sztuki, jak sklep Balducciego w Downtown do jedzenia. Tu i tam znajdowało się to, co najlepsze ze wszystkich zakątków świata: malowidła renesansowe, jak i różne rodzaje makaronu; rzeźby greckie i miniatury Mogołów, jak i różne gatunki sera, oliwek i łososia. Czułem duszności, niestrawność i uciekłem stamtąd.

Jedynymi muzeami, jakie mogę zaakceptować, są te małe, na miarę człowieka, jak Mauritshuis w Hadze, gdzie w młodości zatrzymywałem się niemal codziennie w drodze do pracy, której nie lubiłem, żeby nacieszyć wzrok widokiem Saskii, żony Rembrandta, pięknej i krzepkiej, z kieliszkiem wina w dłoni; albo muzeum w Lahore, które wciąż wydaje się prowadzone przez ojca Kiplinga; czy też małe muzeum w Peszawarze, gdzie jeden jedyny Budda z Gandhary, znaleziony w pobliskich górach i ustawiony na byle jakim piedestale, wystarcza, by wypełnić radością cały dzień.

Umieściłem Metropolitan na liście miejsc, które wpędzały mnie w depresję. Na szczęście w kinie Paris, w pobliżu mojego domu, zaczynał się przegląd filmów wyprodukowanych przez parę Merchant-Ivory, łącznie z tymi rozgrywającymi się w Indiach. Niektóre przepiękne. Były moim wybawieniem. Oglądałem je wielokrotnie z przyjemnością i ulgą. Mój nastrój się poprawił i pozostał na tym poziomie. Pajęczycza robiła na mnie coraz mniejsze wrażenie i zacząłem myśleć, jak odtruć się po działaniu jej promieni.

Przez wiele lat na starym kartonowym pudle, do którego wrzucałem wszystko, co moim zdaniem mogło mi się kiedyś przydać w odbyciu pewnej podróży, widniał napis:

Uzdrowienie pochodzi od roślin

I od noża

Od prawej i świętej osoby

I od śpiewanych mantr.

Było to zdanie pochodzące z szóstego wieku przed Chrystusem, kiedy na ziemiach dzisiejszego Iranu żył człowiek, którym wiadomo mało albo nic. Nazywał się Zaratusztra był twórcą - a może tylko odnowicielem - religii, w centrum której znajdował się ogień: ogień, który oczyszcza, pozostając wciąż czystym; ogień, który jest sprawiedliwy, ponieważ ogrzewa tak samo mędrca i głupca; ogień, który daje światło i życie; ogień, który obracając wszystko w proch, przypomina człowiekowi o nietrwałości wszelkiego stworzenia. I to w rzeczywistości właśnie ogień zniszczył większą część tego, co Zaratusztra napisał, zrobił i powiedział.

Oryginały tych świętych pism zniknęły w 330 roku przed Chrystusem, kiedy Aleksander Macedoński - którego my, ludzie Zachodu, mimo jego zbrodni upieramy się nazywać Wielkim - spalił bibliotekę w Persepolis wraz ze wszystkimi jej zbiorami. Reszta znikła w siódmym wieku po Chrystusie. Wtedy to Arabowie, od niedawna nawróceni na islam przez Mahometa, napadli zbrojnie na Persję, zrównali z ziemią jej świątynie, zmusili wszystkich ludzi, aby stali się muzułmanami, i systematycznie zatarli wszelkie ślady po tolerancyjnej religii ognia.

Po Zaratusztrze i zaratusztrianizmie pozostało tylko to, czego nieliczni wierni, którzy przeżyli masakry, nauczyli się na pamięć, i to, czego obrazoburcza furia islamu nie zdołała zniszczyć - jak właśnie owa maksyma wyryta w skale niedostępnych gór. To jednak wystarczyło, aby zaratusztrianizm ze swoimi świątyniami ognia i wieżami ciszy, na których szczytach zmarli po rytuałach pogrzebowych przeznaczani byli na pokarm dla sępów, wciąż pozostawał religią kilkudziesięciu tysięcy osób: parsów. Najwięcej ich jest w Bombaju w Indiach. W kraju tym prześladowani wyznawcy wszystkich religii - ostatnio tybetańscy buddyści - zawsze znajdowali schronienie.

Wkrótce po przeprowadzce z Bangkoku do Delhi zainteresowałem się parsami i odnalazłem ich. Owo zdanie: „Uzdrowienie pochodzi od roślin i od noża, od prawej i świętej osoby, i od śpiewanych mantr”, znalazło się, niczym wiatyk, na moim kartonowym pudle.

Wówczas nie mogłem sobie oczywiście wyobrazić, że pewnego dnia to ja będę szukał w każdym z tych sposobów mojego uzdrowienia. W owym czasie byłem po prostu zainteresowany roślinami, a raczej ich królową: mityczną rośliną, z której - według legend wielu ludów - pozyskuje się eliksir życia.

We wszystkich epokach człowiek zawsze myślał, że przyroda jest czymś w rodzaju kasy pancерnej pełnej ukrytych skarbów, i wyruszał, aby w leśnych gęstwinach i na górskich urwiskach szukać kwiatu, korzenia, magicznej trawy, która pomoże ocalić: przed chorobą, starością, śmiercią. Mój plan polegał zatem na tym, aby zgodnie ze współczesnymi kryteriami na nowo odbyć taką podróż i napisać książkę o poszukiwaniu czegoś, co najprawdopodobniej nie istnieje - a może istnieje: ocalenia przed narkotykami.

Pomysł podsunęła mi lektura bardzo dziwnej książki, wydanej w Anglii w 1935 roku. Napisał ją niejaki James S. Lee, prawdopodobnie pod pseudonimem. The Underworld of the East jest historią osiemnastu bardzo burzliwych lat spędzonych przez autora na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku w Chinach, Indiach i na Malajach, gdzie jako inżynier pracował dla Anglików w kopalniach węgla. Interesujący jest fakt, że po przeżyciu najbardziej niewiarygodnych doświadczeń z każdym rodzajem narkotyku - od morfiny po kokainę, od opium po haszysz - autor, całkowicie już uzależniony od nałogu i podupadły na zdrowiu, opowiada o tym, że znalazł drogę ocalenia. Pewnego wieczora w małej osadzie położonej u brzegów jednej z rzek w dżungli Sumatry do jego drewnianej werandy podpłynął sampan z kilkoma Malajami. Mężczyźni przybyli z głębi wyspy i zaproponowali mu wymianę opium na wiązkę trawy i korzeni. Mężczyzna zgodził się, bo w pęku była roślina, której nigdy wcześniej nie widział: krzewina z małymi pączkami pełnymi nasion.

Nasz bohater zebrał te nasiona, zagotował w wodzie i odparował. W rezultacie otrzymał biały proszek, który wypróbował na domowych myszach, dosypując im do jedzenia. Kiedy przeżyły, przeprowadził próbę na samym sobie. Efekt był zadziwiający. Biały proszek uzyskany z nasion wyeliminował działanie wszystkich narkotyków i wyzwolił wielką witalność - zarówno umysłową, jak i fizyczną. Dzięki temu proszkowi mężczyzna wyszedł z nałogu. Później zniszczył strzykawki, maszynki, fajki i wszystko to, bez czego przez całe lata nie mógł się obejść. Odkrył coś cudownego. Nazwał to eliksirem życia.

Czy to prawda? Trudno powiedzieć. Jednak prosta hipoteza, że mogło tak być, fascynowała mnie. Jak wielu młodych ludzi mogłoby zostać wyciągniętych z mrocznej studni narkotyków, gdyby naprawdę gdzieś na Sumatrze istniała owa roślina! Postanowiłem jej poszukać, podążając śladami opowiadania Jamesa Lee i jego opisów miejsc. Ciekawe, dokąd doprowadziłby mnie ten wątek!

Autor sam w sobie stanowił tajemnicę: angielskie wydawnictwo, które opublikowało The Underworld of the East, nie odpowiedziało na liczne prośby o informacje, jakby nie chciało mieć już do czynienia z całą tą historią. Druga książka, którą anonsował James Lee, opisująca inne przygody jego życia, była nieosiągalna, a być może wcale nie wyszła.

A przecież człowiek ten nie mógł być czystym wymysłem. Jego opowieść o tym, jak po zachorowaniu na malarię w odludnym zakątku indyjskiego Asamu dostaje pierwszy zastrzyk z morfiny, a jak potem,

uzależniwszy się od niej, przechodzi na kokainę i całą resztę, brzmi autentycznie. Tak samo autentycznie wydaje się rozczarowany czasami, w których przyszło mu żyć. Ze względu na swój zawód musi zagłębiać się w trzewia ziemi, gdzie widzi śmierć niektórych towarzyszy w wyniku wybuchu gazu albo zawału korytarzy. Wyrabia sobie wizję świata, którą dziś nazwalibyśmy New Agę. Ziemia jest dla niego - i w tym zdaje się wyprzedzać o kilka dziesięcioleci hipotezę Gai - wielką, skomplikowaną istotą żyjącą, dla której człowiek w swojej pazerności nie ma żadnego respektu. Przeciwnie, swoim działaniem zadaje jej straszliwe ciosy. A ziemia - pisze Lee - broni się przed tym pasożytem, wywołując choroby, trzęsienia ziemi, susze, powodzie, klęski nieurodzaju, eksplozje, tajfuny i pożary.

Człowiek poczyni wielkie postępy w nauce - uważa Lee. Wynajdzie syntetyczne pożywienie, zamieszka w podziemnych miastach, sztucznie ogrzewanych i wentylowanych, wykopie coraz głębsze dziury w poszukiwaniu środków do produkcji ciepła i zastąpienia Słońca, które powoli wygasa. Będzie próbował wszelkimi sposobami przedłużyć swoje życie, ale w końcu przegra bitwę. W całym tym niepokoju autora jako ekologa ante litteram pobrzmiewa coś szczerzego. Czy to możliwe, że skłamał na temat „cudownej” rośliny?

Jeszcze bardziej zaciekała mnie reakcja eksperta. Wysłałem kserokopię książki do włoskiego chemika, o którym wiedziałem, że długo zajmował się roślinami, pytając, co myśli o tej całej sprawie i czy wie o istnieniu takiej rośliny. Odpowiedź była zaskakująca: tak, mogło chodzić o mitragynę. Są to niskie drzewa o niezbyt cenionym drewnie. Wydają owoce podobne do małych melonów, wypełnione ciemnymi nasionami. Znanych jest dwanaście różnych gatunków tej rośliny. Pewien Amerykanin nazwiskiem Shellard długo je badał w latach siedemdziesiątych i odkrył, że zawierają dziwne alkaloidy, zdolne wywołać dokładnie takie efekty, jakie opisał James Lee. „Dziwi mnie - kończył swoją odpowiedź mój chemik - że żadna firma farmaceutyczna nie wykorzystała rezultatów tych badań. Nie rozumiem, dlaczego”. Do licha! Owo „dlaczego” mogło stanowić znakomity początek historii, pierwszy krok podróży, którą zamierzałem odbyć.

Z chemikiem wymieniliśmy jeszcze kilka maili, po czym wszystko wylądowało w kartonowym pudle razem z innymi notatkami, wycinkami z gazet i starymi mapami Sumatry. Postanowiłem dociec, w jakim stopniu Zaratusztra, a dwa tysiące sześćset lat po nim James Lee mieli rację w kwestii leczniczych właściwości roślin, i jak to się stało, że ta niezwykle istotna informacja została zapomniana, a może celowo ukrywana.

Okazja, aby wyruszyć śladami Jamesa Lee i jego cudownego krzewu, nigdy się nie pojawiła, ale w oczywisty sposób przede wszystkim pomyślałem o ziołach, kiedy zacząłem szukać, jeśli nie dokładnie środka na „wyzdrowienie”, to przynajmniej naturalnego sposobu oczyszczenia się ze wszystkich toksyn, jakimi zatrąły mnie skrajnie nienaturalne kuracje naukowe.

Pewnego wieczora, gdy udawałem się na jedną z ostatnich lekcji tarota, w gablocie Open Center zobaczyłem ogłoszenie o kursie prowadzonym przez znaną zielarkę. Właśnie tego było mi trzeba. Zadzwoiłem do niej, naświetliłem moją sytuację i poprosiłem o poradę. Wyznaczyła mi wizytę i pewnego poranka wyruszyłem w podróż: nie na Sumatrę, ale do New Jersey.

Padał deszcz, a Nowy Jork był ponury, jak to się zdarza przy takiej pogodzie tylko w miastach. Bez zapachu wody na wysuszonej ziemi; z ludźmi, szczególnie tymi bez parasola, którzy kulą się, żeby mniej zmoknąć, bez owej radości towarzyszącej w przyrodzie każdej pierwszej ulewie. Doskonały dzień, abym zdał sobie sprawę, jak bardzo stronnicze było moje wrażenie dotyczące nowojorskiego życia, gdy przebywałem w swoim uprzywilejowanym i osłoniętym obserwatorium w zamożnym centrum Manhattanu.

Już sam dworzec autobusowy, ogromny i czysty, był przygnębiający z tłumem samotnych podróżnych, z których każdy miał swój plecak, torbę albo plastikowy pojemnik wypełniony sztucznym jedzeniem. Tak wiele osób, a jednak wielka cisza, nie licząc informacji podawanych przez megafony.

Przejazd w ciemności przez Lincoln Tunnel przypominał przekroczenie granicy. Kiedy tylko powróciliśmy na powierzchnię, byliśmy już w innej Ameryce: jeden parking za drugim, małe domki, restauracyjki, hoteliki - wszystko prowizoryczne, postawione na jeden sezon. Gdziekolwiek spojrziałem, widziałem amerykańskie flagi: ogromne przed stacjami benzynowymi, urzędami pocztowymi, posterunkami straży pożarnej; duże w oknach i przydomowych ogródkach; małe na każdym z używanych samochodów, setkami wystawionych na sprzedaż wzdłuż drogi.

Również kierowca autobusu, uprzejmy i bardzo gruby, miał małą flagę przyszytą do rękawa białej, starannie wyprasowanej koszuli. Przysypiałem, więc poprosiłem, żeby mnie obudził, kiedy będę na miejscu.

Usnąłem, śmiejąc się w duchu z sytuacji, w jakiej się znalazłem, myśląc o ziołach i o tym, że moi pochodzący z chłopskich rodzin dziadkowie dobrze wiedzieli, które owoce natury służą zdrowiu. Bolał cię brzuch, byłeś przeziębiony albo miałeś biegunkę? Ktoś szedł na pole i wracał z jakimś ziołem, mówiąc:

- Zaparz to i wypij wieczorem.

Natura była pierwszym lekarzem, do którego wszyscy się odwoływali. Wystarczyło umieć rozpoznawać liście, kwiaty, nasiona bądź łupinę danej rośliny. Cała ta wiedza znikła na moich oczach. Już matka nie pozwalała, żeby babcia robiła mi okłady na piersi, kiedy miałem kaszel. Wołała iść do apteki po coś bardziej nowoczesnego, chemicznego. Było droższe, musiało zatem mieć też większą siłę.

Wszystkie dawne cywilizacje były na swój sposób przekonane, że poza tym, co natura dawała wszystkim do dyspozycji, musiało istnieć jeszcze coś specjalnego, rzadkiego, cudotwórczego, ukrytego w leśnych kniejach albo górskich jarach. Zanim żeńszeń zaczęto uprawiać sztucznie i na

skalę przemysłową, dla Chińczyków był istotą o ludzkich kształtach, pochodzącą z ziemi, wróżką - miał zresztą wszystkie jej cechy - rosnącą tylko na dużych wysokościach, a potem stał się panaceum na wszelkie dolegliwości. Przede wszystkim zaczęto go uważać za cudowny środek przeciw starzeniu się.

Dla Hindusów soma, zioło nieśmiertelności, o którym mówi się nawet w Wedach, a jogini twierdzą, że dzięki jego stosowaniu żyje się dwieście lat, była pnączem rosnącym wyłącznie w Himalajach powyżej czterech tysięcy metrów. Dzisiaj nikt go już nie znajduje, tak jakby również ta wiedza, jeśli kiedykolwiek istniała, przepadła.

A czy wiemy dzisiaj, dlaczego jemiola uznawana jest od wieków za roślinę stanowiącą dobrą wróżbę? Dlaczego starożytni druidzi ścinali ją wyłącznie złotym nożykiem? Dlaczego weszła do folkloru różnych ludów jako coś przepelnionego tajemnicą, jako roślina święta i stanowiąca panaceum na wiele dolegliwości, szczególnie dotyczących ducha? Nie wiemy. A jednak wciąż, szczególnie w Boże Narodzenie, zawieszamy nad drzwiami domu jako talizman gałązkę tego dziwnego pasożyta, który przyczepia się do wierzchołków takich drzew jak dąb czy brzoza, i pozostaje zielony, podczas gdy ich żywiciel, którego soki spija, traci liście i zapada w letarg.

Jako roślina jemiola do niczego nie służy. Zarówno drewno, jak i liście są bezużyteczne. Z naukowego punktu widzenia jej jagody nie mają żadnej specjalnej właściwości. A jednak zimą utrzymują one przy życiu leśne gołębie, a w Niemczech otworzono ostatnio klinikę, w której niektóre formy raka leczone są ekstraktem z jagód jemioli.

Być może rację mają ludzie pokroju Ericha von Dänikena, snujący przypuszczenia, że dawno, dawno temu ludzkość została skolonizowana przez cywilizację bogów-astronautów. Po pobycie na Ziemi, rozczarowani naszą nieumiejętnością wykorzystania ich szerokiej wiedzy i mądrości, powrócili na swoją odległą planetę. Zapomnieliśmy o nich, A przecież tylko nadzwyczajna wiedza niezwykle inteligentnej i technologicznie zaawansowanej rasy pozaziemskiej mogłaby wyjaśnić istnienie na Ziemi takich tajemniczych konstrukcji, jak piramidy, głązy ze Stonehenge czy też obecność pośród ludzi pewnych dziwnych postaci na płaskorzeźbach Majów i innych zabytkach Ameryki Środkowej.

Kierowca nie zapomniał o mojej prośbie, więc byłem jeszcze z głową na planecie bogów-astronautów, kiedy - wysiadłszy z autobusu - znalazłem się na głównej ulicy miasteczka, które wyglądało jak zmontowana poprzedniego wieczora dekoracja, mająca służyć jako tło dla jakiegoś horroru. Zdjęcia były być może kręcone właśnie w owym momencie z udziałem przechadzających się chodnikami źle ubranych, bladych kobiet- Dochodziła dziesiąta rano, ale niektóre z nich wyglądały już na wyraźnie pijane. Wszystkie domy były małe, drewniane, parterowe, w większości niezamieszkałe, wiele z nich z wywieszoną na drzwiach tabliczką: „Na sprzedaż”. A jednak na przestrzeni dwustu metrów, które musiałem pokonać od przystanku autobusowego do domu zielarki, dostrzegłem holistyczny ośrodek zdrowia, ośrodek medytacji i jogi oraz gabinet masażysty-kręgarza.

Moja zielarka przyjmowała w starym budynku z gnijącego drewna, pomalowanego łuszczącą się, błękitną farbą. Przyjechałem trochę za wcześnie, zatrzymałem się więc przed drzwiami, przysiadając na plastikowym krześle i obserwując deszcz, który kapał spokojnie z sufitu na wykładzinę przy wejściu. Zza zamkniętych drzwi dochodził mnie głos zielarki, która kończąc seans z poprzedzającą mnie pacjentką, wyjaśniała jej znaczenie „więzów karmicznych”. Informowała także, w jaki sposób również jej życie uległo dzięki nim zmianie. Pewna kobieta zasugerowała kiedyś, żeby pchnęła naprzód swoją karierę. Posłuchała i teraz była w końcu osobą „spełnioną”: uczyła w Open Center w Nowym Jorku!

A co z moimi więzami karmicznymi? Od lat planowałem wyprawę w poszukiwaniu eliksiru życia, a teraz, zamiast w dżungli Sumatry, siedziałem pod dziurawym dachem w poczekalni jakiejś nieznannej zielarki w robotniczym miasteczku New Jersey!

Spotkanie z nią było przemiłe i zbyteczne. Zielarka okazała się piękną kobietą pod czterdziestkę, bez śladu makijażu, ubraną w prosty sposób, w długą, szeroką spódnicę, osłaniającą początki otyłości. Miała blond włosy związane w sięgający aż do pasa koński ogon. Przyjęła mnie bardzo serdecznie. Kazała mi usadowić się na podłodze, sama usiadła na macie w pozycji lotosu i zapaliła - jak powiedziała, specjalnie dla mnie - kadzidełko przed skromnym, drewnianym Buddą, ustawionym na małym ołtarzyku. Jej gabinet pomalowany był na biało i udekorowany różnymi rupieciami ze sklepików niby-orientalnych i New Age. Siedzenie na podłodze było dla mnie czymś naturalnym - już od lat piszę i czytam w takiej pozycji - ale zastanawiałem się, jak radzili sobie z tym inni jej pacjenci.

Zaczęła w tonie feministycznym: ktokolwiek w przeszłości miał jakąś wiedzę dotyczącą natury, traktowany był z podejrzliwością, a wiele kobiet, zielarek, posądzano z tego powodu o czary i palono na stosie. Następnie przeszła na ton antymodernistyczny: ortodoksja religijna oraz nauka zniszczyła wszystkie wierzenia animistyczne, na przykład pierwotnych mieszkańców Ameryki, Indian, oraz przecięły wszelkie nasze związki z otaczającym nas światem.

- Tym samym zagubiliśmy tę naszą część, która była intuicyjna i porozumiewała się z naturą oraz jej siłami. Ja chcę ją odszukać i przywrócić do życia - powiedziała, jakby chciała wyjaśnić mi swoje powołanie. - Rośliny są sposobem na odzyskanie kontaktu z boskością.

Uważałem, że jest urocza, bardzo mi się podobała. To, co mówiła, było mi bliskie; w dużej mierze podzielałem jej opinie. Nie ulegało jednak wątpliwości, że moja wyprawa na nic się zdała. Tego, czego szukałem, nie mogłem znaleźć w słusznych opiniach czy jej szczerzej postawie. Ona też o tym wiedziała, ale kontynuowaliśmy nasze spotkanie. Rozmawialiśmy o raku, o systemie odpornościowym i o tym, jak mogła mi pomóc. Zapisała mi codzienne dawki chlorofilu, podobnie jak uczynił to Mangiafuoco, dwa wyciągi z ziół chińskich oraz algi morskie, które miałem zamówić u jakiegoś człowieka w New Hampshire. Poradziła, bym pił dużo soku z marchwi oraz często jadał grzyby, szczególnie shiitake. Później, bardziej niż ja zakłopotana absurdalnością sytuacji, powiedziała, że najważniejsza część jej kuracji miała polegać na wysyłaniu mi „pozytywnej energii”, kiedy będę daleko. Musiałem powstrzymać się od śmiechu i żeby zielarki nie obrazić, dałem jej w końcu za konsultację więcej, niż się należało.

W drodze powrotnej autobus prowadziła piękna, czarna dziewczyna, również z małą, amerykańską flagą na rękawie koszuli. Pasażerami byli milczący zombi, a wśród nich ja.

Droga z dworca autobusowego do mojej kryjówki nie należy do tych, które powinien przemierzyć ktoś, kto chce pojednać się z Ameryką: wiedzie przez brzydką dzielnicę ze sklepikami odzieżowymi dla ubogich, kawiarniami dla samotnych i wieloma sex snopami „tylko dla dorosłych”. Żeby otrząsnąć się ze smutku, zboczyłem na wschód w stronę Piątej Ulicy, gdzie wszystko się zmienia: eleganckie butiki, księgarnie, wytworne restauracje, apteki. Jednak moje oczy, jak mawiają Hindusi, zdawały się dostrzegać tylko cień pod każdą latarnią.

Kiedy na światłach czekałem na zielone, uderzyła mnie scena rozgrywająca się na półpiętrze budynku naprzeciwko: Dziesiątki spoconych mężczyzn i kobiet widocznych za szybami wielkich okien biegło i biegło, pozostając jednak w tym samym miejscu z purpurowymi twarzami zwróconymi w stronę ulicy. Nie po raz pierwszy widziałem siłownię, ale obraz tych wszystkich młodych ludzi, którzy po wyjściu z

pracy biegali, żeby zrzucić z siebie frustrację i tłuszcz, wydawał mi się kwintesencją owej cywilizacji: biec, żeby biec, iść, żeby nigdzie nie dotrzeć.

Wydawało mi się, że jestem jednym z Tybetańczyków z historii, którą opowiedział mi kiedyś brat dalajlamy. W 1950 roku delegacja mnichów i dostojników, którzy nigdy nie opuszczali Tybetu, została zaproszona do Londynu, żeby omówić kwestie pomocy Wielkiej Brytanii dla ich kraju. Przybywali ze świata biednego, prymitywnego, ale przepięknego. Przyzwyczajeni byli do wielkich, pustych przestrzeni, do barwnej przyrody; zresztą oni sami wyglądali bardzo kolorowo w swoich tunikach, płaszczach i czapkach. W Londynie przyjęto ich niezwykle uprzejmie i zaprowadzono na spacer po mieście. Pewnego dnia Tybetańczycy, wraz ze swoimi przewodnikami, znaleźli się w metrze. Byli przerażeni: wszyscy ludzie pod ziemią! Ubrani na czarno mężczyźni w melonikach czytali gazety na ruchomych schodach, tłum deptał sobie po piętach w korytarzach, biegnąc do odjeżdżających pociągów; nikt z nikim nie rozmawiał, nikt się nie uśmiechał! Przewodniczący tybetańskiej delegacji zwrócił się pełen współczucia do angielskiego opiekuna, pytając:

- Co możemy dla was zrobić?

Wiem: tamci Tybetańczycy już nie istnieją. Także i oni marzą dziś, aby żyć jak w Londynie i biec, nie ruszając się z miejsca. Pozostaje jednak zasadnicze pytanie: Kto jest bardziej prymitywny?

Miałem w kieszeni receptę od zielarki, wszedłem więc do Vitamin Shop w nadziei, że znajdę tam coś z tego, co mi zaleciła. Jednak pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem między ogromnymi plastikowymi pojemnikami, zawierającymi wszystkie możliwe kombinacje witamin w pastylkach, ekstraktów z czosnku, cebuli i miłorzębu, był Homeopathic Kit: przyciągające wzrok pudełko z trzema rzędami fiolek, z których każda opatrzona była kolorową etykietką z nazwą remedium. Znalazłem tam również moje! Opadły mi ręce. Moje remedium miało wartość i działało, ponieważ dotarłem do niego za pośrednictwem wielu osób, ponieważ jechałem przez owe pogrążone we mgle tereny, ponieważ nabyłem je w tamtej aptece rodem z filmów Felliniego, która pozostała dłużej otwarta specjalnie dla mnie. A tu, w tym opakowaniu ze „sposobem użycia”, sprzedawane w pierwszym lepszym sklepie z witaminami w centrum Manhattanu, nie miało żadnej wartości. Podobnie jak, tak mi się zdawało, cała reszta: qigong Mastera Hu, joga kundalini w Open Center, medytacja w tamtym miasteczku w New Jersey i zioła pięknej czarownicy.

Wszystko, co widziałem, wydało mi się wypaczone: społeczeństwo, w którym nie szanuje się nic ani nikogo, ale gdzie wszyscy są przekonani o swojej wolności i prawie do wszystkiego, żeby potem skończyć w smutnym osamotnieniu.

Na wysokości Pięćdziesiątej Ulicy zobaczyłem mężczyznę niewiele młodszego ode mnie, ale zaniedbanego i schorowanego. Prawdopodobnie był to jakiś prowincjusz z wizytą w Nowym Jorku, który pozował żonie do fotografii przed szyldem jakiejś wietnamskiej restauracji. Wyobraziłem go sobie, jak stawia to zdjęcie obok innego, starszego, z czasów, kiedy był żołnierzem w Wietnamie. Miałem ochotę go uścisnąć. Z nim miałem coś wspólnego: tęsknotę za Sajgonem, za zapachem zgniłych warzyw, za owym czasem, kiedy w naszym życiu wszystko było ważniejsze.

Mijały tygodnie i miesiące, aż nadszedł ten moment, którego z powodu jednej z dziwnych, życiowych sprzeczności chorzy na raka obawiają się najbardziej: ostatni dzień w charakterze pacjenta. Dla wielu

wiąże się to z obawą przed nawrotem choroby. Dla mnie był to strach przed powrotem do wcześniejszego życia.

Zrobiliśmy wszystko. Teraz proszę być spokojnym. Niech pan prowadzi normalny tryb życia i wróci tu za trzy miesiące - powiedziała mi moja cudowna doktor Przynosząca Szczęście, z zadowolonym uśmiechem mechanika, który wręcza właścicielowi kluczyki do naprawionego samochodu.

„Normalny tryb życia”? Była to ostatnia rzecz, jakiej chciałem. Wrócić do poprzedniego życia? Znowu popaść w rutynę? Gazety, wywiady, kolacje z dyplomatami, artykuły do napisania, nic nieznaczące pogaduszki, jak te w windzie wjeżdżającej na trzydzieste piętro, kiedy wolałoby się wejść po schodach? Rozmowy? Nigdy, przenigdy.

Po to zostałem „naprawiony”? Bez sensu. Poza tym uważałem, że mój rak był w jakiś sposób związany z trybem życia, jaki wcześniej prowadziłem, i dlatego teraz postanowiłem to zmienić. Zmieniło się też już moje ciało: miałem dużą przepuklinę, która rozdymała mój brzuch niezbyt dobrze zszyty przez asystenta chirurga, włosy odrastały z trudem, a wszystkie gesty były spowolnione. Ja sam też byłem inny: bardziej niż kiedykolwiek świadomy swojej śmiertelności. Inaczej myślałem, inaczej czułem. Zmienił się mój stosunek do reszty świata.

Wszystko to było dla mnie oczywiste. Ale nie dla innych. Musiałem stoczyć walkę o zrealizowanie mojego pragnienia, żeby żyć inaczej. Nie była to „walka” z chemią czy radioterapią. Wokół chorego tworzy się coś w rodzaju życzliwego spisku tych, którzy chcą przedstawić mu chorobę jako stan przejściowy, miniony, natomiast powrót do „przedtem” jako rzecz najbardziej pożądaną. Spiskowcami zaś są lekarze, rodzina, najlepsi przyjaciele. Wszyscy w dobrej wierze. Wszyscy zatroskani, że nie chcesz znowu być „normalny”, wszyscy w ten czy inny sposób mówiący:

Śmiało, odwagi, zobaczysz, że wszystko będzie jak dawniej.

Tego samego wieczora, kiedy pożegnałem się ze szpitalem, znalazłem się w gościnie u Kofiego Annana i jego małżonki. Stary przyjaciel, który pisał o nim książkę, przyjechał do Nowego Jorku, powiedział mi o mnie i - żeby zrobić mi niespodziankę - sprawił, że zaprosili mnie na kolację dla uczczenia mojego „powrotu do normalności”.

Nie mogłem odmówić. Wieczór był przemiły, a para gospodarzy niezwykle bezpośrednia i serdeczna. Dopiero wychodząc z ich mieszkania na East Side, zdałem sobie sprawę, że naprawdę nie jestem już dziennikarzem. Zamiast zadawać pytania, zamiast dowiadywać się, co sekretarz generalny Organizacji Narodów Zjednoczonych myśli o tym czy owym - być może również dlatego, że wcześniej tak długo milczałem - teraz przez cały wieczór nie dopuszczałem innych do głosu i powtarzałem się, przyjmując wszelkie możliwe punkty widzenia.

Powiedziałem, że powinien postawić moralność przed polityką i ekonomią; że musi wykorzystać tę platformę wystawioną na oczy całego świata, aby znowu zabrzmiał głos, na który wszyscy czekają: głos serca, a nie tylko rozumu. Świat nie powinien być dalej rządzony przez zachłanność lub interesy tej czy innej władzy. Ktoś musi powiedzieć o odpowiedzialności wobec własnej rodziny, przedsiębiorstwa czy kraju. Miał idealną możliwość, aby to uczynić. Wszystko przemawiało na jego korzyść: pochodzenie, wychowanie, kolor skóry, fakt, że nie miał być ponownie wybrany. Stanowiło to wyjątkową kombinację. Dla świata była to szczęśliwa okoliczność. Ludzkość potrzebowała kogoś „wielkiego”. Teraz jego kolej.

Odkryliśmy, że obydwaj urodziliśmy się pod znakiem Tygrysa i że wkrótce skończymy sześćdziesiąt lat. Zgodziliśmy się, że to taki moment w życiu, kiedy można wycofać się z tłumu i spojrzeć na różne rzeczy z pewnego dystansu. Jest to czas, kiedy niezależnie od spełnianej roli człowiek powinien robić to, co słuszne, a nie to, co mu odpowiada. Rozmawialiśmy także o śmierci. Zapytałem go, czy „potem” chcielibyśmy być wspomniani jako ci, którzy wykazali się przezornością. Zaśmiał się, rozbawiony i - jakby wyznawał sekret - dodał, że właśnie przezorność nieustannie podpowiadają mu jego doradcy.

- Proszę ich wszystkich zwolnić - powiedziałem.

Nie sądzę, aby wziął mnie za wariata. Przeciwnie, odniosłem wrażenie, że się zrozumieliśmy.

Wróciłem do domu piechotą. Siąpił deszcz, ale czułem się dobrze w mojej nowej skórze.

INDIE

Powrót do źródeł

Kto kocha Indie, ten wie, że nie wiadomo dokładnie, dlaczego traci się dla nich głowę. Są brudne, biedne, zakażone: czasami złodziejskie i kłamliwe, często cuchnące, zepsute, bezlitosne i obojętne. A jednak jeśli raz się z nimi spotkasz, nie możesz się bez nich obyć. Jeżeli wyjedziesz daleko, cierpisz. Ale taka jest właśnie miłość: instynktowna, niewytłumaczalna, bezinteresowna.

Ktoś zakochany nie kieruje się rozumem, nie czuje przed niczym strachu, jest gotowy na wszystko. Odczuwa upojenie wolnością, ma wrażenie, że można objąć ramionami cały świat i że cały świat nas obejmuje. Indie - chyba że się je znienawidzi przy pierwszym zetknięciu - szybko wywołują to uniesienie: tam każdy czuje się częścią stworzenia. W Indiach nigdy nie czujemy się samotnie, nigdy całkowicie odsunięci od reszty. Na tym polega ich urok.

Kilka tysięcy lat temu indyjscy mędrcy, ryszi, „ci, którzy widzą”, przeczuwali, że życie jest jednością, i doświadczenie to, odnawiane pobożnie z pokolenia na pokolenie, stanowi sedno wielkiego wkładu Indii w ucywilizowanie człowieka i rozwój jego świadomości. Każde życie, moje i drzewa, pozostaje częścią całości o tysiącu kształtów, jakim jest życie.

W Indiach nie ma już potrzeby tak myśleć. Idea ta jest już częścią wspólnego odczuwania wszystkich ludzi. Występuje w powietrzu, którym się oddycha. Samo istnienie wprowadza pewną nieświadomą zgodność z tą starą już wizją. Bez trudu odnajduje się harmonię z nowymi dźwiękami, nowymi wymiarami. W Indiach jest się innym niż gdziekolwiek indziej. Odczuwa się inne emocje. Ma się inne myśli.

Być może dlatego, że w Indiach czas nie jest postrzegany jako linia prosta, tylko kolista, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość nie mają takiej samej wartości jak u nas. Tutaj postęp nie stanowi celu ludzkich działań, jako że wszystko się powtarza, a posuwanie się do przodu uznaje się za czystą iluzję.

Tutaj rzeczywistość postrzegana przez zmysły nie jest na ogół brana za prawdziwą - to nie „rzeczywistość ostateczna”. Indie wprowadzają więc - nawet kogoś, kto w to wszystko nie wierzy - w

pewien stan oderwania. To czyni ten kraj tak szczególnym, a jego rzeczywistość, czasami naprawdę straszną, w gruncie rzeczy do przyjęcia. Takie jest bowiem życie: jest wszystkim, a zarazem przeciwieństwem wszystkiego, jest wspaniałe i okrutne. Ponieważ życie to również śmierć i nie istnieje przyjemność bez bólu, nie ma szczęścia bez cierpienia.

W żadnym innym miejscu na świecie przeciwstawienie opozycji - piękna i potworności, bogactwa i biedy - nie jest tak dramatyczne, tak zuchwałe, jak w Indiach. Ale to właśnie ta wizja nieuchronnej podwójności istnienia popchnęła ryszich do poszukiwania jej ukrytego znaczenia, które jeszcze dziś wydaje się działać jak duchowy katalizator na każdego, kto ośmieli się podjąć ten trop.

Wystarczy postawić nogę w Indiach, żeby poczuć tę zmianę. Przede wszystkim człowiek jest tu bardziej pogodzony: z samym sobą i ze światem. Ja sam nie potrzebowałem już tu remediów, żeby poczuć równowagę, by mój zazwyczaj chwiejny kalejdoskop zatrzymał się trwale na przyjemnym kolorze. Wszystko dookoła stanowiło remedium. Nie w czymś konkretnym, ale w każdym szczególe.

- Indie są doświadczeniem, które skraca życie - powiedział mi Dieter Ludwig, kiedy wiele lat temu przybyłem do Delhi, żeby definitywnie rozbić tam namiot. Po czym dodał: - Ale to także doświadczenie nadające życiu sens.

Dieter, stary, serdeczny przyjaciel, z zawodu fotograf, zorganizował wówczas dla mnie powitalne przyjęcie. Przedstawił mi na nim kilku kolegów, którzy już tam mieszkali. Na swój sposób chciał mnie przestrzec, ale także pogratulować mi dokonanego wyboru, aby zakończyć karierę dziennikarską w miejscu takim jak Indie, gdzie zazwyczaj inni ją zaczynają. Z jego barsati, mieszkania położonego na dachu, z tarasem pełnym roślin i pnączy, które Dieter pielęgnował i o których mówił, jakby należały do rodziny, kopuła starego grobowca Mogołów, odcinająca się na tle turkusowego zachodu słońca, wyglądała tak pięknie, że zdawało się, iż umieszczono ją tam celowo, aby niosła pocieszenie biedocie mrowiącej się u jej stóp. Z Dieterem poznaliśmy się podczas wojny w Indochinach i on dużo wcześniej niż ja postanowił wyruszyć na poszukiwanie sensu życia, nawet kosztem jego skrócenia.

Kiedy po wielu miesiącach spędzonych w higienicznym bezpieczeństwie Nowego Jorku wróciłem do Delhi i pierwsze kroki skierowałem do domu Dietera, by powitać przyjaciela w otoczeniu jego roślin, przypomniałem mu owo zdanie, które wówczas tak bardzo mnie uderzyło. Teraz zdawało mi się prawdziwsze niż kiedykolwiek.

Po przebytej chemioterapii, operacji i naświetlaniach musiałem jeszcze bardziej niż kiedyś uważać, żeby nie zachorować, a zatem przestrzegać wszystkich starych zasad ostrożnego podróżnika przebywającego w Indiach: nigdy nie pić nieprzegotowanej wody (a więc nigdy nie pić tej, którą cię częstują); nigdy nie jeść surowych warzyw, a także niczego smażonego i odsmażanego w tłuszczu niepewnego pochodzenia. Byłem słaby, podatny na urazy. Jednak jeśli ciało musiało uważać na to, co pije i je, duch albo ta część naszej istoty, która się tym nie przejmuje - może dlatego, że żywi się czymś innym - rozwinęła skrzydła.

Powrót do Delhi po całym tym czasie spędzonym w Ameryce był naprawdę dojmującą radością, jak spotkanie obiektu miłości. Przybywałem ze świata błogostawionego rozumu, który wszystko wyjaśnia, ze świata skuteczności i doskonałej organizacji, a odnajdywałem się w świecie, gdzie rozum szybko się zatrzymuje, żeby ustąpić miejsca absurdowi, a zaraz potem szaleństwu; w świecie, w którym wszystko okazuje się nietrwałe, a jedyną pewnością jest jej brak.

W Indiach niczego nie można przewidzieć: linia telefoniczna jest niemal zawsze głucha (dlatego, jeśli to możliwe, ma się przynajmniej dwa telefony); godzinami brakuje elektryczności; faks psuje się bez przerwy z powodu spadków napięcia, a woda może wylać się w publicznej toalecie przed domem, bo ktoś zabrał sobie plastikowy kran, i potem brakuje jej przez wiele dni we wszystkich mieszkaniach. Jednak w Indiach człowiek się przystosowuje, akceptuje i szybko przyswaja sobie ową logikę, według której nic nie jest naprawdę dramatyczne, nic nie jest bardzo ważne. W rzeczywistości podobne rzeczy wydarzyły się już wiele razy wcześniej i wiadomo, że dojdzie do nich nieskończoną liczbę razy również później. Indie pozostają sobą, i na swój sposób jest to uspokajające. Powodują, że czujesz się po prostu człowiekiem, w naturalny sposób śmiertelnym. Każą ci zrozumieć, że jesteś jednym z wielu statystów w ogromnym, absurdalnym spektaklu, o którym tylko my, ludzie Zachodu, myślimy, że możemy go reżyserować i decydować o tym, jak się skończy.

Przybyłem tu z luksusowego budynku w centrum Manhattanu, gdzie był portier w liberii, automatyczna pralka i „złota rączka” na każde skinienie, gdyby trzeba było coś naprawić. Trafiłem natomiast do starego, odrapanego mieszkania w centrum Delhi, którego przedpokój wybrała sobie na oborę jedna z wielu krów pasących się spokojnie w ulicznym ruchu.

Również tutaj, podobnie jak w Nowym Jorku, były psy; ale nie te rasowe, dobrze utrzymane, jakie widywałem w Central Parku prowadzone na smyczy przez właścicieli -każdy ze swoim medalikiem, niektóre z imieniem, nazwiskiem i numerem telefonu wygrawerowanymi na obroży. Tutaj biegały sfory bezpańskich, wychudzonych kundli. Zajmował się nimi mój sąsiad Bhim Dewarma, mężczyzna w moim wieku, niski, serdeczny, wnuk maharadży z Kuchleharu. Jako dziecko mieszkał w pałacu z setkami komnat i setkami słoń. Teraz wychodził codziennie rano ze swojego małego mieszkania w towarzystwie służącego-kucharza, żeby nakarmić kilkadziesiąt psów błąkających się po naszej dzielnicy. Każdego ranka, punktualnie, nie zważając na wiatr czy deszcz, wyruszał swoim starym samochodem, do którego czasem ładował i zabierał do domu jakieś ranne albo umierające zwierzę zgarnięte z ulicy.

Roberto Rossellini w mistrzowskim dokumencie o Indiach nakręconym wiele lat temu pokazywał, jak na wsiach ludzie i zwierzęta żyją obok siebie w nieustającej symbiozie. Nic się nie zmieniło, nawet w centrum stolicy: pozostała naturalna pamięć o tym, że ludzie, zwierzęta i rośliny to wszystko przejawy tej samej rzeczy, różne fazy tej samej egzystencji.

Mimo różnicy strefy czasowej, automatyczny budzik, który mam w środku, kazał mi wstać o świcie. Tak więc już pierwszego poranka wróciłem do Lodhi Gardens, jednego z najpiękniejszych parków w Delhi, zaledwie kilometr od mojego domu. Całymi latami wylewałem tam siódme poty podczas długich biegów, teraz mogłem tylko spacerować, ale było równie pięknie. Wszystko pozostało jak dawniej: sępy przycupnięte na kopułach małego, opuszczonego meczetu; osoby uprawiające jogę ze swoimi matami rozłożonymi na trawie; inne, które stojąc w kręgu, śmiały się do rozpuku (mówi się, że to świetne ćwiczenie „terapeutyczne”, a na pewno znakomity sposób na rozpoczęcie dnia!). Setki kruków, gołębi, papug i wiewiórek konkurowało jak zwykle o skórki chleba, pozostawione specjalnie dla nich przez przechodniów na szczątkach grobowców. I wciąż był tam chudy starzec z białą brodą, który krążył po trawnikach, wysypując z płóciennego woreczka do pewnych otworów w ziemi mieszanek mąki i cukru. Podobnie jak przed moim wyjazdem, codziennie karmił mrówki! To się zdarza tylko w Indiach.

W każdej innej części świata ludzie reagują na mrówki, niszcząc je. Najczęściej stosowane metody to ogień, DDT czy wrząca woda. Za każdym razem hekatomba. Natomiast w Indiach postępują z

mrówkami tak jak Lakszmana, jeden z bohaterów Ramajany, ze swoją szwagierką Sitą, próbując ją ochronić, kiedy pewnego dnia musiał wyjechać. Przed drzwiami chaty narysował na ziemi czubkiem łuku linię i powiedział:

- Masz jej nigdy nie przekraczać.

Zamiast łuku Hindusi używają dziś kredy z domieszką ziół, którą zaznaczają próg domu, a także obrysowują na biało nogi łóżek i kredensów. Mrówki strasznie boją się tej kredy i nigdy nie przekraczają wyznaczonego przez nią śladu. Kreda ta nazywa się „kreską Lakszmany”.

Każda rzecz w Indiach wydaje się odnosić do innej. Zazwyczaj są to odwołania do jakiegoś mitu, legendy, do jednej z bardzo wielu starych historii ze świata fantazji, w którym Hindusi zdają się czuć dużo bardziej swojsko niż w codziennym życiu. Czasami odwołują się po prostu do zdrowego rozsądku. Jeśli mrówki istnieją, to po co je zabijać? Nie trzeba myśleć, że są reinkarnacją dziadka albo wuja. Wystarczy zdać sobie sprawę, że stanowią - tak jak i my - część stworzenia. Po co więc je tępić? To również ważny wymiar Indii.

Pogląd, że człowiek to istota wyższa niż zwierzęta i dlatego ma prawo wykorzystywać je i uśmiercać do woli, w Indiach jest po prostu nie do wyobrażenia. Przyroda nie istnieje po to, żeby człowiek mógł z nią robić, co chce. Nic do niego nie należy. A jeżeli człowiek korzysta z tego, co istnieje, musi dawać coś w zamian: przynajmniej podziękować bogom, którzy go stworzyli. Poza tym sam człowiek jest częścią przyrody. To od niej zależy jego istnienie, a Hindusi wie, że „żaba nie pije wody ze stawu, w którym żyje”.

W pewnym stopniu również my, na Zachodzie, zaczynamy zdawać sobie sprawę, że coś jest nie tak w naszym sposobie traktowania przyrody. Czasami mamy wręcz wrażenie, że nasza chełpliwa cywilizacja, oparta na rozumie, nauce i panowaniu nad tym, co nas otacza, zaprowadziła nas w ślepy zaułek. Jednak koniec końców wciąż myślimy, że ten sam rozum i nauka pomogą nam się z niego wydostać. Wciąż więc niewzruszenie trzebimy lasy, zanieczyszczamy rzeki, osuszamy jeziora, ogławiamy oceany, hodujemy i uśmiercamy wszelkie gatunki zwierząt, bo to - jak przekonują uczeni ekonomiści - tworzy dobrobyt. Łudząc się, że większy dobrobyt oznacza większe szczęście, angażujemy całą naszą energię w konsumowanie, tak jakby życie było niekończącym się, rzymskim bankietem, na którym się je i wymiotuje, żeby znów móc jeść.

Najbardziej zadziwia fakt, że czynimy to wszystko z wielką naturalnością, w przekonaniu, że mamy do tego prawo. W ogóle nie czujemy się częścią całości. Przeciwnie. Każdy postrzega siebie jako jednostkę; każdy czuje się silny swoim umysłem, swoimi zdolnościami, a przede wszystkim swoją wolnością. Ale właśnie to przekonanie o wolności i oderwanie od reszty świata powoduje wielkie poczucie osamotnienia i smutku. Przyjmujemy za pewnik tylko ten mały wycinek, który mamy wokół siebie, i przy tym ograniczonym punkcie widzenia nie jesteśmy w stanie poczuć wielkości całej reszty, choć przecież stanowimy jej część. Ryszi powiedzieliby, że zagubiliśmy nasze „połączenie kosmiczne” i przypominamy kup manduk, żabę ze studni, bohaterkę starej indyjskiej opowieści.

Pewnego dnia do małej studzienki, w której pewna żaba mieszkała całe życie, wskakuje inna żaba, która mówi, że przybywa z oceanu.

- Z oceanu? A co to takiego? - pyta żaba ze studni.

- Duże, ogromne miejsce - odpowiada nowo przybyła.

Jak duże?

Bardzo, bardzo duże.

Żaba ze studni rysuje łapką małe kółko na powierzchni wody.

Takie duże?

Nie. Dużo większe.

Żaba rysuje większe kółko.

Takie duże?

Nie. Większe.

Żaba rysuje więc kółko tak duże jak studnia, w której żyje i która jest całym światem, jaki zna.

Takie?

Nie. Dużo, dużo większe - mówi żaba przybyła z oceanu.

Kłamczucha! - wrzeszczy kup manduk, żaba ze studni, do drugiej żaby. I więcej z nią nie rozmawia.

Również Hindusi czują się wolni. Co prawda zamotani - tak jak wszyscy - w pajęczynę kosmicznej egzystencji, ale wolni w myśleniu. Po latach spędzonych w Chinach, gdzie zdawało się, że każdy boi się jeszcze kary tysiąca cięgów za wyrażenie własnej opinii, swoboda myśli, jaką cieszyli się Hindusi, stanowiła prawdziwą ulgę. W ich przypadku niemal zawsze tak było. W całej ich historii nigdy nikogo nie spalono na stosie za poglądy. Nikomu nie zabraniano się zastanawiać, nad czym chciał. U Hindusów nigdy nie istniały tabu, nie mieli żadnych ograniczeń w poszukiwaniu wiedzy. A to dlatego, że już od czasów starożytnych za prawdziwych władców uznawano nie królów czy wojowników, ale mędrców. Żadna inna kultura nie obfituje w tyle historii o uczonych i pustelnikach, których królowie odwiedzają pokornie w lasach, aby oddać im hołd albo prosić o radę. Królowie mogli być bogaci i potężni, ale mędrzy „widzieli” (stąd słowo „rysz”) ponad pozorami, i ta ich wiedza uznawana była za ważniejszą od wszelkiego bogactwa i władzy.

Ryszi, postaci mityczne, ale też historyczne - znane są imiona niektórych z nich - interesowali się nie tyle otaczającym światem, ile bytem. A ten badali na samych sobie -nie w wymiarze ciała, ale umysłu. To umysł był ich laboratorium badawczym, miejscem wszystkich eksperymentów. Starali się zrozumieć jego funkcjonowanie i właściwości, a dzięki temu znaleźć sposób kontrolowania go. Rozmyślali o różnych stanach umysłu, w zależności od tego, czy Ja" jest obudzone, czy też śpi albo śni. Zastanawiali się na przykład, jaka jest różnica między tygrysem napotkanym w puszczy, a tym, który się śni, zważywszy że oba budzą strach i mocniejsze bicie serca.

Ramakryszna, wielki indyjski mistyk, sam uważany za współczesnego rysiego, opowiadał historię drwała, któremu się śni, że jest królem. Kiedy zostaje obudzony przez przyjaciela, złości się.

- Siedziałem na tronie. Zajmowałem się sprawami państwa; moich siedmiu synów, ekspertów w sprawach wojny i sztuki, siedziało u mego boku; a ty przychodzisz mi tu przeszkadzać!

- Ależ to był tylko sen - mówi przyjaciel.

- Nic nie rozumiesz - odparł drwal. - Bycie królem we śnie jest tak samo prawdziwe jak drwałem na jawie.

W Chinach tę samą myśl zawierała stara historia mnicha, który ujrawszy się we śnie jako motyl, po przebudzeniu nie wie już, czy jest mnichem, który śnił, że jest motylem, czy też motylem, któremu się śni, że jest mnichem.

Od badania umysłu ryszi przeszli do refleksji, co się za nim kryje, co go wspiera, a potem dalej, do poszukiwania czegoś, co łączy i podtrzymuje wszystko, nadając życiu sens i znaczenie.

Inne ludy stawiały sobie za cel podboje, bogacenie się, żeglowanie, odkrywanie. Dla Hindusów, którzy w ostatnich dwóch tysiącach lat nie napadli na żaden kraj ani nie podbili cudzych ziem, celem było zawsze poznanie. I to nie poznanie świata, ale samego siebie. Poznać siebie to znaczy poznać wszystko, gdyż na samym dnie owego siebie mieści się to, co ich zdaniem pozostaje niezmiennie w wiecznej przemianie wszystkiego.

Dlatego historia nigdy ich nie interesowała. Nigdy jej nie napisali; nigdy się specjalnie nad nią nie zastanawiali. Dla nich owo następowanie po sobie faktów jest niczym piasek unoszony powiewami wiatru: zmienne i nieistotne. Właśnie dlatego, że uważają świat, który my nazywamy realnym, za bardzo podobny do świata snu, nigdy się szczególnie nie troszczyli, aby go zmieniać albo poprawiać. Ów świat jest rzeczywistością częściową, dlatego również jego znajomość nie może być pełna. Ich natomiast interesuje poznanie całości. Ona jest najwyższym dobrem. Nad nią zastanawiali się w nieskończoność.

Czy z tego powodu stali się wielkimi filozofami? Nie w naszym rozumieniu. W całej bardzo długiej historii indyjskiej myśli nie ma żadnego Arystotelesa, Platona, Kanta czy Hegla. A to dlatego, że filozofia, czyli „ukochanie wiedzy”, nigdy w Indiach nie miała na celu konstruowanie abstrakcyjnych systemów wartości, ale raczej wspieranie i nadawanie życiu kierunku.

Myślę o moim doświadczeniu z filozofią. Uczyłem się jej przez trzy lata w liceum. Byłem dobrym uczniem, dostawałem świetne stopnie, ale dopiero teraz zdaję sobie sprawę, jak kompletnie nic nie rozumiałem. Było to ćwiczenie intelektualne, „przedmiot”, jak fizyka czy biologia, coś, czego należało się nauczyć, żeby popisać się przy odpytywaniu czy zdać egzaminy - cel sam w sobie. Żaden z moich nauczycieli, którzy prowadzili lekcje filozofii, jakby to była seria następujących po sobie idei - z których jedna przeczyła drugiej - nie zdołał spowodować, bym zrozumiał, że wszystko to ma coś wspólnego z moim życiem.

W Indiach wszyscy zdają się o tym wiedzieć. Filozofia nie jest tu formą gimnastyki, nie jest monopolem wykształconych, nie jest zarezerwowana dla akademii, szkół czy „filozofów”. Stanowi ona w Indiach część życia, nic Ariadny, za pomocą której można wydostać się z labiryntu niewiedzy. Jest religią, dzięki której Hindusi liczą na osiągnięcie zbawienia, którym w ich przypadku jest wiedza. Nie wiedza „użyteczna”, którą można manipulować, posiąść, zmienić, zdominować świat (nauka nigdy

nie była ich mocną stroną), ale - jak mówią święte teksty - „owa wiedza, która raz poznana nie pozostawia nic więcej do poznania”: znajomość samego siebie.

Dla ludzi Zachodu wszystko to brzmi dziwnie. Dla nas jedyną wiedzą, która się liczy i którą się szanuje, jest właśnie ta „użyteczna”, stosowana, służąca znalezieniu pracy albo dostarczająca przyjemności. Nie zastanawiamy się już, kim jesteśmy, traktujemy siebie i innych czysto użytkowo.

Na początku lat trzydziestych angielski awanturnik Paul Brunton odbył długą podróż po Indiach śladami wiedzy, która zdawała mu się zagrożona niepowstrzymaną ofensywą mentalności zachodniej. Jedną z pięknych postaci spotkanych przez Bruntona był stary jogin, który w trakcie rozmowy powiedział mu:

- Dopiero kiedy zachodni mędrcy zrezygnują z wymyślania samochodów, które jeżdżą szybciej od tych, które już macie, a zaczną zaglądać do swego wnętrza, wasza rasa odkryje trochę prawdziwego szczęścia. Pan chyba nie uważa, że możliwość coraz szybszej jazdy czyni waszych ludzi szczęśliwymi.

Minęło ponad siedemdziesiąt lat. Wielu Hindusów jeszcze dziś może zadać nam to samo pytanie. Ale czy my sami kiedykolwiek je sobie zadaliśmy?

Wydaje się, że coraz szybsza jazda stała się naszym sposobem bycia. Wszystko jest już właściwie biegiem. Żyjemy, nie zważając na samo życie. Śpimy, nie zwracając uwagi na to, co się nam śni. Patrzymy tylko na budzik. Interesuje nas wyłącznie mijający czas, posuwamy się do przodu, odkładając na potem to, czego naprawdę byśmy pragnęli. Nasza uwaga koncentruje się na „potem”, nie na „teraz”. Szczególnie w miastach życie przemija bez chwili refleksji, bez chwili spokoju, która zrównoważyłaby ten ciągły bieg. Nikt nie ma już na nic czasu. Nawet na to, żeby się zdziwić, przerazić, wzruszyć, zakochać, pobyć z samym sobą. Są tysiące wymówek, żeby się nie zatrzymać i nie zastanowić nad tym, czy ten bieg czyni nas szczęśliwymi, a jeśli ich nie ma, jesteśmy świetni w ich wymyślaniu.

Jako dziecko znałem ludzi, którzy mieli czas. Byli to pasterze z Orsigni w Apeninach Toskańsko-Emiliańskich, gdzie jeździłem na wakacje. Spędzali całe godziny ze źdźbłem trawy w ustach, wyciągnięci na łące na zboczu góry, patrząc z daleka na swoje stado, rozmyślając, marząc i układając strofy. Czasem zapisywali je rylcem na kamieniach w pobliżu źródeł albo śpiewali w niedzielę podczas zawodów poetyckich, siedząc wokół gąsiora z winem. W Indiach wszyscy mają czas i często też jakieś proste przemyślenie, którym dzielą się z przechodniami - jak ten człowiek parzący herbatę w skromnym baraczkach przy wiejskiej drodze. Podaje ci ją w glinianej miseczce i uczy, jak cisnąć potem naczyniem o podłoże. W ten sposób staje się ono na powrót częścią ziemi... z której zrobi się następne miseczki. Podobnie jak się dzieje z nami.

Gdy starożytni Grecy spotykali Hindusów na bazarach Azji Mniejszej, byli poruszeni tą ich skłonnością do refleksji i mawiali:

- To nie kupcy. To filozofowie.

Mędrcom w dzisiejszych Indiach, podobnie jak wieki temu, nie musi być koniecznie bramin kierujący świątynią albo pandit znający na pamięć Wedy. Może nim być każdy.

Niektórzy z największych mędrców - czy też „świętych” albo ryszich - w ostatnich stu pięćdziesięciu latach byli samoukami o bardzo skromnym pochodzeniu. Niedawno zmarły Nisargadatta Maharaj, niezwykle szanowany, był sprzedawcą papierosów, jednym z tych, którzy na drewnianym sześcianie ustawionym na chodniku zawijają tytoń w specjalne liście, robiąc cygaretki nazywane przez Hindusów bidi-bidi. Ramakryszna, dziewiętnastowieczny wielki rysi, o którym pisali Max Miiller i Romain Rolland, urodził się jako wieśniak, podobnie jak wiek później Ramana Maharysi, człowiek uznający milczenie za jeden z najbardziej skutecznych sposobów komunikacji. Tym swoim milczeniem Ramana zmienił życie tysięcy osób. A jego wpływ jest wciąż odczuwalny.

Innym wielkim „prostym” mędrcecm był Kabir, jeden z najbardziej kochanych poetów Indii, także rysi, żyjący w szesnastym wieku w Benares, gdzie pracował jako tkacz. Do grona jego uczniów należały bogate i potężne osobistości tych czasów. Niektórzy proponowali mu, żeby przestał pracować i nie chodził już na targ sprzedawać swoich tkanin, jednak Kabir odmówił.

- Tkanie jest moim sposobem modlenia się - mawiał.

Kiedy umarł, hinduiści i muzułmanie rywalizowali

O prawo pochowania go zgodnie z własną tradycją. Ale on pozostawił zalecenie: „Zakryjcie mnie woalem, tam zapadnie decyzja”. Tak też uczynili. A kiedy unieśli woal, ciała już tam nie było. Na miejscu Kabira leżał stos kwiatów

1 dwóm społecznościom nie pozostało nic innego, jak podzielić się nimi.

Ja także miałem w Delhi swojego osobistego mędrca -również człowieka z bazaru. Nazywał się Sundar Nagar i był jubilerem. Siedział zawsze w półcieniu w swoim sklepiku w dawnym stylu - w otoczeniu zawieszonych na ścianach portretów przodków i bogów - w którym zawsze unosił się zapach bardzo wonnego kadzidła. Ów starzec okazał się jedyną osobą, z którą mogłem rozmawiać o tym, jak się czuję i co mi chodzi po głowie, bez wzbudzania współczucia. Zareagował bardzo delikatnie, kiedy po raz pierwszy wspomniałem mu o swojej chorobie, a historia muzułmanina, który wyrzucony z meczetu stacza się po schodach, ale przy każdym uderzeniu myśli o Bogu, aż w końcu żałuje, że znalazł się już na dole, bardzo mnie poruszyła.

Od czasu do czasu do niego wstępowałem. Pewnego ranka przybyłem w chwili, kiedy z jego sklepu wychodziła z pompą żona jednego z europejskich ambasadorów. Czekał na nią samochód z rejestracją „01”, a w nim szofer w liberii z emblematami w narodowych barwach kraju ich pochodzenia. Wygłosiłem jeden z moich typowych złośliwych komentarzy na temat nieukrywanej arogancji niektórych funkcjonariuszy państwowych i ich małżonek, którzy zamiast samym sobą reprezentować swoje kraje, wykorzystują je, aby to one reprezentowały ich osoby.

Jubiler nie skomentował moich słów. Zapytał tylko, czy znam historię boga Indry, i tonem kogoś, kto opowiada bajkę, zaczął...

Indra na polecenie innych bogów zabił olbrzymiego smoka, który w swoim brzuchu więził wody całego świata. W ten sposób przywrócił ziemi życie, a ludziom szczęście. Dumny ze swojego osiągnięcia, popadł w próżność i zażądał od architekta, boga sztuk, aby zbudował mu wielki pałac, odpowiedni dla bohatera. Ten postawił przepiękny pałac, ale Indra chciał więcej komnat i ogrodów. Architekt poszedł poskarżyć się Brahmie. Ten porozmawiał o tym z Wisznu, który postanowił

interweniować. W przebraniu dziecka stanął u bram miasta Indry i poprosił o audiencję. Indra przyjął najpierw śmiechem impertynencję tego małego żebraka, ale w końcu kazał go przyprowadzić i z wysokości swego tronu zapytał, czego chce. Chłopiec, zbliżając się, parsknął śmiechem, ponieważ dostrzegł, że za jego plecami pojawiła się armia mrówek, która zalewała salę tronową.

Kim one są? - zapytał zaniepokojony Indra.

One? - odparł chłopiec. - Wszystkie były Indrą w poprzednim życiu.

Indra zrozumiał.

Ja też zrozumiałem: to on, jubiler, był prawdziwym dyplomatą.

Innym razem zaczęliśmy rozmawiać o dzieciach. On też miał ich dwoje. Zapytałem, co jeszcze możemy im dać.

- Dać? Niech im pan da wszystko, co ma. Potrzebują tego bardziej niż pan. W naszym wieku musimy kultywować tylko to, co nie umiera. Cała reszta, won! Zna pan historię Guru Nanaka?

Wiedziałem, że Guru Nanak jest wielkim świętym sikhów. Ale o jaką historię chodziło?

- Guru Nanak zawsze podróżował... - zaczął jubiler. Pewnego dnia przybywa do jakiejś wioski. Widzi piękny

dom z wieloma kolorowymi chorągwiemi, trzepoczącymi przy wejściu. Mówią mu, że mieszka tam najbogatszy człowiek w okolicy, który udziela pożyczek. Za każdym razem, kiedy odstawia na bok kolejną skrzynię pełną monet, wywiesza następną flagę i wydaje przyjęcie. Guru Nanak idzie do jego domu i pyta, czy również jemu mogą dać coś do jedzenia. Gospodarz, rozpoznając w nim świętego człowieka, każe mu przynieść jedzenie i picie.

Posiliwszy się, Guru Nanak pyta lichwiarza, czy może mu oddać przysługę.

- Oczywiście - mówi tamten, szczęśliwy, że zrobi dobry uczynek i w ten sposób uzyska zasługi dla swojej karmy. -Uczynię, co zechcecie.

Guru Nanak wyciąga ze swojego worka zardzewiałą metalową spinkę.

- Zatrzymaj to dla mnie w depozycie. Oddasz mi, kiedy się spotkamy w następnym życiu.

- Obiecuję - mówi lichwiarz. - I nie każę wam nawet płacić.

Guru Nanak wyrusza w dalszą drogę, a mężczyzna idzie do żony, żeby powiedzieć, co się stało.

- Głupcze - mówi kobieta. - Jak zamierzasz dotrzymać obietnicy? Kiedy umrzesz, nie będziesz mógł nic ze sobą zabrać, również tej spinki!

Mężczyzna pojmuje. Biegnie za świętym człowiekiem, rzuca mu się do stóp i błaga, żeby mógł za nim podążyć jako jego uczeń.

Jubiler, tak samo jak ja, cieszył się swoimi opowieściami, a na zakończenie tej, jakby mówiąc sam do siebie, dodał:

Śmierć zabiera nam wszystko. Gdybyśmy zdołali pozbyć się wcześniej ciężaru, poczulibyśmy się bardziej wolni.

Właśnie! Dlaczego czekać do ostatniej chwili, żeby się trochę ograniczyć, wyrzucić do morza balast rzeczy i emocji, które ciągniemy za sobą? Lepiej uczynić to teraz, świadomie, kiedy są jeszcze siły. To byłoby prawdziwe uwolnienie!

Oczywiście - powiedział jubiler. - Śmierć nadejdzie. Po co dać się zaskoczyć? Jeśli nie jest na targu, to w Samar- kandzie. Zna pan tę historię?

Tę akurat znałem. Przeczytałem ją niedawno ponownie u Roberta Musila. Jest to stara legenda z Azji Środkowej, ale udało mi się, że jej nie słyszałem, żeby mi ją opowiedział.

Pewnego dnia Kalif wysłał swojego Wezyra, żeby posłuchał, co mówią ludzie na bazarze. Ten idzie i w tłumie spostrzega chudą i wysoką kobietę, owiniętą w wielki, czarny płaszcz, która baczenie mu się przypatruje. Przerażony Wezyr ucieka. Biegnie do Kalifa i błaga go:

Panie, pomóż mi! Zobaczyłem na bazarze Śmierć. Przyszła po mnie. Pozwól mi odjechać, proszę. Daj mi swojego najlepszego konia. Dzięki niemu, przy odrobinie szczęścia, wieczorem będę już bezpieczny w Samarkandzie.

Kalif się zgadza i każe przyprowadzić najszybszego rumaka. Wezyr wskakuje na siodło i rusza z kopyta.

Zaciekawiony Kalif sam się udaje na bazar. W tłumie dostrzega kobietę w wielkim, czarnym płaszczu i podchodzi do niej.

Dlaczego przestraszyłaś Wezyra? - pyta.

Nawet z nim nie rozmawiałam - odpowiada Śmierć. - Byłam tylko zdziwiona, że go tu widzę, bo mieliśmy się spotkać dziś wieczorem w Samarkandzie.

Takie były moje pogawędki z jubilerem - z indyjskim jubilerem.

A gdzie, jeśli nie w Indiach, znajdzie się takiego dentystę, jak doktor Siddhartha (imię Buddy) Mehta z Khan Market? Przy usuwaniu zęba dał mi lekkie znieczulenie, wziął cęgi, uprzedził, że usłyszę trzeszczenie, skoncentrował się, silnie pociągnął i ząb gładko wyszedł. Odkładając cęgi na stolik, podniósł wzrok ku niebu.

- Dziękuję - powiedział do swojego boga. Po czym, zwracając się do mnie, dodał: - Zawsze mi pomaga...

Światło w rękach

Słowo „reiki”, wraz z jego dwoma ideogramami, zobaczyłem po raz pierwszy w gablocie w Open Center w Nowym Jorku. Plakat zapraszał do zapisania się na „pierwszy poziom” kursu reiki, który miał się odbyć w weekend.

Moją uwagę przyciągnęły owe dwa znaki. Po chińsku oznaczały „energię uniwersalną”, ale zapowiadano, że kurs dotyczy „terapeutycznych właściwości energii duchowej”. To wzbudziło już

moje podejrzenia. Potem przeczytałem, że praktykę tę, za pomocą której można leczyć siebie i innych, wymyślił przed stu pięćdziesięciu laty pewien Japończyk, więc zrezygnowałem z pójścia tam nawet dla zaspokojenia ciekawości. Długo mieszkałem w Japonii i dobrze znałem zdolność synów Kraju Wschodzącego Słońca do przywłaszczania sobie cudzych rzeczy i pomysłów, żeby później wprowadzić je z powrotem na rynek jako produkty japońskie. Na Hokkaido zwiedzałem „pierwszą piramidę na świecie” - oczywiście japońską! - „grobowiec Chrystusa” oraz „dom świętego Mikołaja”. Nie miałem zatem ochoty oglądać w Nowym Jorku, co jakiś japoński pan, żyjący w epoce Meiji, kiedy jego kraj kopiował wszystko, żeby stać się „nowoczesny”, zdołał wykombinować ze starym i bardzo chińskim terminem qi (pisanym również ki), dotyczącym energii życiowej. Byłem u Mastera Hu i to mi wystarczało.

Ale w Delhi? Kurs reiki prowadzony przez dwóch „mistrzów” indyjskich? To zbyt nietypowa kombinacja, żebym mógł się jej oprzeć. Zadzwoiłem, zapisałem się i zaraz potem przysłano mi faksem instrukcje: Miałem się stawić w wygodnym stroju z czystej bawełny albo wełny i nie używać wcześniej żadnych zapachów, bo mogą „wpłynąć na swobodny przepływ energii”.

Kurs odbywał się w szkole tuż za Delhi, w pobliżu Qutab Minar, bardzo wysokiego minaretu z czerwonego kamienia, wzniesionego dziewięćset lat temu przez najeźdźców afgańskich jako symbol muzułmańskiego panowania nad Indiami. Miejsce było czyste i przyjemne. Duże, puste sale otwierały się na piękny, skąpany w słońcu ogród. W pomieszczeniu, w którym się zebraliśmy, leżała pleciana mata przykryta białymi prześcieradłami. My, uczniowie, czy też raczej „klienci”, jako że zapłaciliśmy znaczną sumę za trzy dni, siedzieliśmy w rzędzie na podłodze. Dwoje „mistrzów”, mężczyzna i kobieta około pięćdziesiątki, mający za sobą nie wiadomo jakie doświadczenie - być może nauczycielskie - zajęło miejsca na niedużym, drewnianym podwyższeniu. Siedzieli w pozycji lotosu lub -jak niegdyś mawiało się w Europie - „krawca”. Jest to ułożenie ciała naturalne i eleganckie... jeśli ktoś potrafi je przyjąć. Jest to również pozycja zdrowa. Ja, dzięki temu, że siadywałem tak również przy czytaniu i pisaniu, wyleczyłem się z bólu kręgosłupa.

Było nas około trzydziestu osób, w większości kobiet, i każdy musiał się przedstawić. Powiedziałem, że jestem emerytem, i powstrzymałem się od dodania czegokolwiek. Podczas tych prezentacji uderzyło mnie, że grupa - poza mną w całości indyjska - złożona była z ludzi bardzo podobnych do tych, które w Nowym Jorku uczęszczały do Open Center. Były to osoby szczególne, ale przechodzące kryzys; wykształcone, ale niezadowolone. Każda z nich szukała „czegoś innego”, pocieszenia, jakiejś drogi wyjścia. Były tam kobiety w średnim wieku, mające problemy małżeńskie, a także młode i „wolne”, ale samotne. Mężczyzn reprezentowali radiolog, pracownik reklamy i fotograf.

Były to ofiary tego samego społeczeństwa konsumpcyjnego, które w Ameryce i Europie wysyła ludzi, aby szukali pocieszenia na kursach medytacji, jogi, tarota, czy qi gong, i które skłoniło mojego anestezjologa z Nowego Jorku do zostania „sufim z Kaszmiru”. Byli Hindusami, ale z „nowych” Indii - zurbanizowanych i zamożnych, które od lat marzą o zachodniej nowoczesności, a teraz zaczynają cierpieć na takie same dolegliwości duszy jak Zachód.

Te „nowe Indie” to mniej więcej ten sam kraj, który w przeszłości został skolonizowany i „zraniony” - jak pisze V. S. Naipaul - przez traktujących ich z pogardą Brytyjczyków, a który teraz, znów wprowadzony na nieindyjską drogę, próbuje dotrzymać kroku dominacji nowej, wielkiej potęgi imperialnej, Stanów Zjednoczonych Ameryki. To Indie rodzącego się mieszczaństwa Delhi, Bombaju i Kalkuty; Indie, które odwracają się plecami do milionów wiosek, gdzie żyje przytłaczająca, nigdy

nieskolonizowana większość indyjskiej ludności. To Indie, które nie są już wegetariańskie, piją alkohol, ubierają się w dżinsy, wysyłają dzieci na zagraniczne studia i obnoszą się ze swoją zachodniością. To Indie, które chciały bombę atomową. Było to naturalnie ich prawem, ale też rezygnacją z tradycyjnego poszukiwania siły, która nie miałaby nic wspólnego z banalną potęgą oręża. To Indie, które odrzuciły Gandhiego.

Para „mistrzów” wiedziała, do jakiego typu osób się zwraca, więc ich wstęp, w którym zaprezentowali reiki, mógłby zabrzmieć dokładnie tak samo w Nowym Jorku: Cały świat ma te same problemy; związki międzyludzkie są coraz radsze; żyjemy w izolacji i osamotnieniu; Ziemi zagraża postępujące zanieczyszczenie; rasie ludzkiej grozi wymarcie, a nawet gdyby miała przeżyć, w przeciągu najbliższych dwudziestu lat społeczeństwo ulegnie zmianie. Zatem uczeni i święci muszą teraz złączyć siły dla ocalenia świata.

Dla olbrzymiej większości Hindusów słowa te byłyby całkowicie bez znaczenia. Problemy te nie dotyczyły milionów mieszkańców wsi czy też wybrzeży Gangesu, gdzie nikt -jak się zdaje - nie zorientował się jeszcze, że człowiek poleciał na Księżyc.

- Jak możecie wciąż czcić Słońce i Księżyc, jakby to byli bogowie? - pyta zachodni podróżnik starego bramina. -Słońce, jak wiadomo, jest tylko ciałem gazowym. Jeśli chodzi o Księżyc, Amerykanie już tam dotarli i wetknęli swoją flagę.

- O... nie - odpowiada bramina, szczęśliwy i spokojny w swojej małej świątyni pośród pól. - Słońce i Księżyc, którym my oddajemy cześć, są inne. Znajdują się dużo dalej, po drugiej stronie. Słońce i Księżyc, które widzimy, są uczniami Słońca i Księżycy, które czcimy.

Moi towarzysze niewiele już mieli wspólnego z owymi starymi Indiami, mądrymi i zaskakującymi. Należeli do Indii, które zmieniły się na moich oczach.

Kiedy przyjechaliśmy z Angelą do Delhi wiosną 1994 roku, miasto oblepione było plakatami: „Oto ja, wróciłam!”. Chodziło o coca-colę, która obwieszczała swoje ponowne pojawienie się na rynku indyjskim po uprzednim wyrugowaniu jej z niego na siedemnaście lat. Ogromne, kartonowe butelki przymocowane do wszystkich słupów elektrycznych szpeciły miasto, a tylko kilka setek Hindusów protestowało przed hotelem, gdzie świętowano ten wielki „powrót”.

Indie postanowiły zrezygnować z próby samowystarczalności i samodzielności, ustępując przed pokusami rynku. Opór przed naporem globalizacji stał się niemożliwy bez odczuwanej i przeżywanej ideologii. Ideologia Gandhiego umarła mniej więcej równocześnie z uzyskaniem niepodległości, a wraz z postępującą modernizacją rozpoczęło się stopniowe wprowadzanie wzorców zachodnich.

Gdzieniedzie pojawiały się jeszcze próby stawiania oporu, ale w końcu, szczególnie po dojściu do władzy Rajiva Gandhiego, syna Indiry i wnuka Nehru, nastąpiła niemal całkowita kapitulacja. Wraz z coca-colą dotarły telefony komórkowe, sieć restauracji McDonalda, smażony kurczak pułkownika Sandersa, opakowania junk food, elektrownia jądrowa Emron, telewizja kablowa i amerykańskie programy telewizyjne, przetłumaczone na różne miejscowe języki. Miasta wchłonęły te nowości z rozkoszą. Wkrótce dotarła tu cała reszta: większa swoboda seksualna, mniej tradycyjnych małżeństw (organizowanych przy porozumieniu rodzin), więcej rozwodów, pragnień, niepokoju, niepewności.

Niepotrzebna jest globalizacja, żeby nauczyć kraj Kama- sutry, „radości seksu”, jednak nowa, indywidualistyczna kultura Zachodu oderwała ową „radość” od jej funkcji społecznej - podtrzymywania małżeństwa - i dostarczyła różnego typu usprawiedliwień dla zerwania z tradycją. Indyjskie pisma kobiece zaczęły mówić o „prawie do orgazmu”, o niewierności, o związkach homoseksualnych między kobietami i o nowej modzie - oczywiście całkowicie miejskiej - na przyjęcia, podczas których mężczyźni wymieniają się żonami, wyciągając na chybił trafił z wazy, gdzie zostały umieszczone po przyjeździe, kluczyki do samochodu, którym wrócą do domu.

Filozoficzną podstawą Indii było przez tysiąclecia pojęcie, że wszystko stanowi jedność. Teraz wydawane tam są czasopisma „holistyczne”, w których ta właśnie idea, przetworzona zgodnie z założeniami New Age, wykorzystywana jest do sprzedawania „kursów dobrego samopoczucia psychofizycznego” i innych bujd.

Jakieś dziwne postaci z Zachodu przybywają już regularnie do Indii, przywożąc „starożytną wiedzę Majów” albo Egipcjan. Jakiś Amerykanin prowadzi kursy na temat „nauczania Lemurii”, zaginionego kontynentu, którego tajemnicę rzekomo on miałby osiąść. Dzięki niej można by „rozpowszechnić i ożywić siły psychiczne, pozwalające na pozostawanie w związku z boskim wymiarem”.

Z kolei jakiś Australijczyk uczy metody Melchizedeka (Wiecznego Pana Światła), za pomocą której można „dopasować się do bicia serca wszechświata i stworzyć w ten sposób równowagę między ciałem a umysłem”. Metoda ta - czytamy w ulotce reklamowej - praktykowana była na ziemi w czasach Atlantydy, kiedy człowiek uczył się jej od delfinów i wielorybów. Od dawna zapomniana, została ostatnio na nowo „objawiona” rzeczonemu Australijczykowi, wyznawcy Sai Baby, przez „wstępującego” mistrza Totha. Kursy - oczywiście odpłatne - obejmują „pobudzanie holografii orbitalnych, merkabę miłość-lekkie ciało, nową platynę, magiczne energie hermetyczne, ukierunkowanie poszczególnych elementów w taki sposób, aby dostosować je do każdego uczestnika i poprawić jego rzeczywistość”. Stosując metodę Melchizedeka - i tu tkwi pułapka -jakaś kobieta miała rzekomo w ciągu dwóch dni wyleczyć się z raka piersi. Również chorzy na AIDS mogliby pokładać w niej wielkie nadzieje.

Indie, gdzie szczególnie w ubiegłym wieku dotarło tak wielu mieszkańców Zachodu w nadziei na odnalezienie tu „tajemnic” leczenia duszy, które mogłyby okazać się niezbędne dla przeżycia zachodniego świata, same teraz importują owe „tajemnice”, zamienione w towar i zapakowane przez ten sam Zachód. Wiadomo, że to, co przybywa z daleka i jest tajemnicze, przyciąga o wiele bardziej niż coś, co się ma pod ręką.

- Reiki to duchowe lekarstwo na wiele chorób - oznajmił mistrz pierwszego dnia kursu. - W naszym życiu jest zbyt wiele stresu, zbyt wiele zmęczenia i napięcia. Reiki pragnie przywrócić równowagę między różnymi sferami ludzkiej egzystencji: fizyczną, umysłową, emocjonalną i duchową. Każdy z nas ma siłę o boskim pochodzeniu. Chodzi o to, żeby nauczyć się ją gromadzić i przekazywać za pośrednictwem naszych rąk. Reiki jest sekretną metoda była wiarygodna i „skuteczna”, musi mieć swoją historię, założyciela, nić, która poprowadziłaby również tę praktykę ku tajemniczemu źródłu sekretów. Towarzystwo Teozoficzne musiało wymyślić sobie „mistrzów” o egzotycznych imionach, którzy gdzieś z Tybetu dawali wskazówki jego członkom.

Gurdżijew - niezwykle oryginalna postać - który założył Instytut Harmonijnego Rozwoju Człowieka i miał wśród swoich adeptów takich pisarzy, jak Katherine Mansfield i René Daumal, a wśród admiratorów wielkiego architekta Franka Lloyd Wrighta, niejasno dawał do zrozumienia, że nauczył się pewnych ważnych rzeczy w trakcie podróży najpierw po Azji Środkowej, a potem także po Tybecie. W końcu znalazł odpowiedź na nurtujące go kwestie w pewnych bardzo tajemniczych ormiańskich manuskryptach, na które natrafił w klasztorze Sarmung, położonym między Urmią a Kurdystanem.

Również reiki ma swój rodowód. Ten opowiedziany przez „mistrzynię” z mojego kursu, rozgłaszany jest za pośrednictwem mniej więcej takich samych słów na setkach kursów, prowadzonych już właściwie na całym świecie. Reiki stało się bowiem bardzo modne i spośród wszystkich praktyk New Age najbardziej się rozprzestrzenia. Istnieje już reiki tęczowy, reiki yin i yang, a także reiki transcendentalne.

Oto zatem historia reiki. W 1865 roku w starej japońskiej rodzinie samurajskiej przychodzi na świat Mikao Usui. Po odbyciu studiów Usui zaczyna uczyć w małym chrześcijańskim uniwersytecie. Tam jego uczniowie domagają się, aby im wyjaśnił cuda Chrystusa, jego umiejętność leczenia chorych i wskrzeszania zmarłych. Usui nie zna odpowiedzi i postanawia wyruszyć na jej poszukiwanie. Podróżuje do Chin, Indii i Tybetu. Później trafia do Stanów Zjednoczonych, gdzie mieszka przez kilka lat i robi dyplom z medycyny na Uniwersytecie Chicagowskim.

Po powrocie do Japonii Usui udaje się w odosobnienie na górę Kurama, na północ od Kioto. Zamierza zostać tam przez trzy tygodnie, poszcząc i medytując. Żeby nie stracić rachuby mijających dni, kładzie przed sobą dwadzieścia jeden kamieni i codziennie o wschodzie słońca zrzuca jeden z nich z góry. Kiedy dochodzi do ostatniego, widzi, jak kamień, który właśnie rzuci, powraca do niego w postaci wielkiej kuli światła i energii. Usui próbuje się gdzieś schronić, ale nie zdąża. Kula leci z ogromną prędkością i uderza go w głowę. Kiedy odzyskuje przytomność, czuje, że znalazł odpowiedź, której szukał: to owa świetlista i boska siła, owa uniwersalna energia jest źródłem wszystkich uzdrowień, wszystkich cudów, i powinna być przekazywana poprzez przykładanie rąk. Metodą tą jest reiki.

Doktor Mikao Usui, wciąż zgodnie z rozpowszechnianą wersją, początkowo wypróbowuje swoją metodę wśród żebraków i bezdomnych w Kioto; potem, odniósłszy wielkie sukcesy, przenosi się do Tokio, gdzie otwiera małą klinikę. Podczas katastrofalnego trzęsienia ziemi w 1923 roku Usui uczestniczy w akcjach ratunkowych i za pomocą reiki leczy bardzo wielu rannych. W 1926 roku umiera, a jego uczniowie wznoszą na jego cześć słup kamienny w świątyni Saihoji w okolicach Tokio.

I to byłby koniec całej historii, gdyby nie pani Hawayo Takata, Japonka z Hawajów. Około 1970 roku, nauczysz się tej metody od Chujiro Hayashiego, ucznia Usui, zaczynają propagować w Stanach Zjednoczonych. Za pośrednictwem dwudziestu jeden uczniów pani Takata (tylu, ile było kamieni!) reiki rozprzestrzenia się na cały świat. Uczniowie tamtych uczniów zostają nauczycielami, którzy przygotowują następnych uczniów i tak dalej. We wszystkich językach wydawane są dziesiątki książek na temat reiki. W każdej z nich figuruje piękna, stara fotografia charyzmatycznego Japończyka w średnim wieku, o szpakowatych włosach i brodzie, dobrodusznym uśmiechu, głębokim spojrzeniu, gęstych brwiach nad okrągłymi okularkami, z refleksyjnym i kojącym wyrazem twarzy: doskonały wizerunek tajemniczej, orientalnej mądrości.

Przed wypróbowaniem na nas samych metody, której się nauczyliśmy, musieliśmy wykonać kilka ćwiczeń, mających nam pomóc - jak tłumaczyli „mistrzowie” kursu - w skoncentrowaniu uwagi i „spojrzeniu poza”. Jedno z ćwiczeń polegało na tym, że mieliśmy siedzieć z zamkniętymi oczami i wyobrażać sobie, czego doświadczył Usui na górze Kurama dwudziestego pierwszego dnia postu; wykonując inne, trzeba było patrzeć w niebo i próbować dostrzec krążące w powietrzu „kulki energii”.

Mnie to śmieszyło, ale dla moich kolegów sprawa była poważna. Niektórzy mówili, że widzą światło, inni energię. Pewna kobieta, jakby opętana, oświadczyła, że poczuła, jak spowija ją wielki blask.

Dobrze, wyrobiliście sobie pojęcie na temat niewidzialnego świata - podsumował „mistrz”.

Stąd od cudów dzielił nas już tylko krok i „mistrz” opowiedział o jednym, dokonanym przez panią Takata. Została wezwana do wezgłowia przyjaciółki, ale kiedy przybyła, ta już nie żyła od pół godziny. Pani Takata się nie poddała: zrobiła jej reiki w okolicy serca i kobieta w chwili, gdy wkładano ją już do trumny, podniosła się i żyła jeszcze pięć lat.

Chodzi zatem o to, aby nauczyć się korzystać z tej siły, która - jak tłumaczyli „mistrzowie” - jest we wszechświecie i w każdym z nas. Metoda jest prosta: rozchyła się lekko dłonie i trzyma w odległości dziesięciu - piętnastu centymetrów od ciała, które trzeba wyleczyć.

Żeby opanować tę sztukę, każdy miał „leczyć” swojego sąsiada, a potem poddać się jego terapii. Nie było łatwo trzymać nieruchomo dłoni i napiętych ramion przez mniej więcej dziesięć minut... aż przepływie nurt energii. Dla „oczyszczenia” ciała ręce musiały działać kolejno na różne jego narządy. Jeden seans trwał od godziny do dwóch.

Nie należy nigdy robić reiki na głowie, gdzie mieści się Czakra Korony. I nigdy na pępek - wyjaśnił „mistrz”. – Chorym na raka nigdy, ale to nigdy nie robić reiki na Korzeń, u podstawy kręgosłupa. - Nastawiłem uszu.

- Wszystkie choroby - kontynuował - rodzą się z zachwiania równowagi fizycznej i emocjonalnej. Pewien wielki onkolog doszedł do wniosku, że rak spowodowany jest brakiem miłości, i dlatego sugeruje jako kurację dużą dawkę uścisków, przynajmniej trzy razy dziennie. Stan pacjentów, którzy wypróbowali tę terapię, znacznie się poprawił.

Mógłbym wstać, dać mu dwa razy w gębę i pójść sobie, tymczasem zamiast przyptywu energii nasza mnie wielka ochota, aby się roześmiać, i musiałem się opanować, żeby nie wprowadzić wszystkich w zakłopotanie. Problem stał się jeszcze poważniejszy, kiedy przyszła moja kolej, aby pójść ze złożonymi dłońmi na „ceremonię zestrojenia”. Jest to rytuał, podczas którego „mistrz” zestraja się, jaką każdy ma w sobie, z siłą uniwersalną.

Wszedłem do małego pokoju pogrążonego w półmroku. „Mistrz” stał przed ołtarzykiem, na którym paliła się lampka oliwna. Wypowiedział słowa, których nie zrozumiałem i uderzył drewnianym w miskę z brązu. Dźwięk ten, jak mi wyjaśnił, miał obudzić moją wewnętrzną siłę i dostosować ją do częstotliwości reiki. On, „mistrz”, ustanowił owo mistyczne połączenie i znajdowałem się w bezpośrednim kontakcie z energią wszechświata, której mogłem używać do leczenia innych.

Staliśmy tam naprzeciw siebie, nie było żadnej możliwości ucieczki, a ja bałem się tylko, żeby nie wybuchnąć gromkim śmiechem. A było się z czego śmiać! Po powrocie do sali „mistrz”, mówiąc o właściwościach reiki, oświadczył, że można wykonać je z powodzeniem nawet... własnemu komputerowi!

- Narzędzia, z których korzystamy, są rozwinięciem naszego ciała - wyjaśnił. - Czy zauważyliście? - Zrobił pauzę, a my czekaliśmy z zapartym tchem. - Czy zauważyliście, jak maszyny, których używamy i od których zależy, mają tendencję do odmawiania posłuszeństwa, kiedy nasz stan ducha jest negatywny i wszystko zdaje się iść nie tak? - Była to jego zdaniem ważna kwestia: - Kiedy nie jesteśmy mentalnie zestrojeni ze wszechświatem, wszystko wokół nas na tym cierpi: również nasze ciało.

Następnie „mistrz” wytłumaczył, że reiki można też robić roślinom i zwierzętom. I - jakby zwracając się do mnie - dodał:

- Rośliny i zwierzęta nie są sceptyczne. Rośliny i zwierzęta są mentalnie dużo bardziej otwarte od wielu ludzi.

Wytrzymałem i na koniec trzeciego dnia dostałem dyplom pierwszego poziomu. Teraz, po dwudziestu jeden dniach reiki wykonywanego na sobie samym, żeby się „oczyścić”, mogłem się zapisać na poziom drugi. Nauczyłem się na nim wykonywać reiki na odległość, to znaczy leczyć osoby przebywające daleko, i dostosowałem się do wyraźniejszej i potężniejszej częstotliwości „siły uniwersalnej”. Wtedy też mogłbym wstąpić na poziom trzeci, na którym opanowałbym zestrzajanie innych, czyli sam stałbym się „mistrzem”.

Nie miałem tego jednak w swoich planach.

Kurs pozostawił we mnie jakąś pełzającą irytację. Szerzenie się takiego powierzchownego podejścia, ze wszystkimi powiązaniymi z tym zagrożeniami dla kogoś, kto mógłby uznać to za metodę leczenia poważnej choroby, wydawało mi się obrazą inteligencji. A przecież światowy sukces reiki był niezaprzeczalny. W samym tylko Delhi było ponad dwa tysiące „mistrzów”. Fakt, że wszystko narodziło się w Japonii, ciekawił mnie, ponieważ byłem już tam kiedyś zamieszany w bardzo dziwną historię, która miała coś wspólnego z nakładaniem rąk.

W połowie lat osiemdziesiątych podróżowałem na północ Honsiu, głównej japońskiej wyspy, z przemiłym kolegą z Tokio, którego nazwisko rodowe, o naprawdę samurajskich korzeniach, oznacza Wielki Przyjaciel. Późną nocą dotarliśmy do miasteczka Takajama i ledwie rozlokowaliśmy się na tatami w starym ryokanie, tradycyjnym japońskim zajeździe, kiedy z zewnątrz doszły mnie głosy przechodzących osób, które mówiły po... włosku. Nastawiłem uszu. Rozmawiały wręcz po toskańsku! Wstałem, otworzyłem okno i zawołałem. Byli to młodzi ludzie z Pistoii, którzy przyjechali do tego zagubionego zakątka Japonii na wielkie obchody „nowej religii”. Ja sam nigdy o niej nie słyszałem, a oni - w Pistoii! - byli jej adeptami.

Zmieniłem plany i następnego ranka nie wróciłem do Tokio, lecz poszedłem ich śladem do wspaniałej, pełnej przepychu świątyni o ogromnych dachach, które wyglądały jak złote grzbiety fal na połyskującym morzu. W głębi świątynnej sali, całej pokrytej czerwienią, stała scena, umieszczona na gigantycznym akwarium iluminowanym błękitnym światłem, w którym pływały powoli wielkie białe i

czerwone karpie. Kiedy podniosła się kurtyna, pośród krajobrazu, złożonego ze sztucznych gór i prawdziwych wodospadów, pojawiła się, spowita w białe woale, kapłanka sekty, aby przywitać delegację przybyłą z całej Japonii i reszty świata. W ten sposób odkryłem sektę mahikari.

Założył ją w latach trzydziestych japoński oficer. Został natchniony, jak to się zdarza, przy upadku z konia, kiedy stacjonował w Wietnamie. Uderzenie wywołało iluminację, a wezwanie było jasne: ma założyć religię poświęconą wyłącznie łagodzeniu bólu i leczeniu chorób ludzkości. Dotknął właściwej struny i w krótkim czasie liczba adeptów się pomnożyła. Gdy umarł, zastąpiła go córka i mahikari stała się jedną z najbogatszych i najbardziej trwałych sekt spośród wielu, jakie każdego roku rozkwitają - a czasem przekwitają - w Japonii.

Uczniów było już kilkadziesiąt tysięcy i mogłem ich z łatwością potem rozpoznać, szczególnie na stacjach metra, gdzie ustawiali się, żeby zatrzymać ludzi w tłumie, kłaść im rękę na czoło i proponować uleczenie ich dolegliwości.

Bo w tym właśnie leży tajemnica powodzenia mahikari: kto staje się członkiem sekty, uzyskuje moc leczenia innych przez zwykłe położenie ręki. Wykorzystuje przy tym pochodzącą z nieba energię wszechświata. Sekta służy za stację rozdzielczą. Jest tu jednak pewien podstęp: aby utrzymać tę „moc”, każdy członek musi płacić sekcie miesięczną kwotę, rodzaj rachunku, który pozwala pozostać podłączonym do „światła”.

Reiki działa w bardzo podobny sposób, tyle że opłata jest jednorazowa. Poza tym jeśli ktoś raz zostanie „zestrojony”.

nie musi się obawiać, że kable będą odcięte.

Chciałem dowiedzieć się o tym czegoś więcej. Napisałem do Wielkiego Przyjaciela w Tokio i poprosiłem, by znalazł mi wszystko, co możliwe na temat Usui i jego systemu uzdrawiania. Odpowiedź nadeszła po paru tygodniach i była interesująca. W Japonii reiki nie ma wyznawców (rynek nakładania rąk został już zajęty przez mahikari), a Usui jest praktycznie nieznany. Słup kamienny w świątyni Saihoji istnieje, ale na temat samego twórcy tej metody mojemu przyjacielowi nie udało się nic więcej znaleźć. Jego nazwisko nie figurowało na liście lekarzy z początków ubiegłego wieku, a przy tym było bardzo mało prawdopodobne, żeby uzyskał dyplom w Chicago, ponieważ w czasach, kiedy Usui rzekomo miałby tam przebywać, na tamtejszym uniwersytecie nie istniał jeszcze wydział medyczny. Japoński przyjaciel sugerował, że być może „doktor Mikao Usui” nigdy nie istniał, a jego historia, wraz ze starą fotografią, szczegółami dotyczącymi życia i cudów, jest tylko bardzo zręczną inscenizacją, aby „sprzedać” nową technikę uzdrawiania.

Niezależnie od tego, jak się sprawy miały, całe przedsięwzięcie odniosło ogromny sukces. Reiki zyskiwało adeptów na całym świecie; niektórzy „mistrzowie” bogacili się na swoich stronach internetowych, książkach, a przede wszystkim na monopolu „boskiego pochodzenia”, to znaczy ich bezpośredniego związku z założycielem. Tak, reiki ukształtowało się bowiem na podobieństwo łańcuszka świętego Antoniego, gdzie tylko ktoś, kto uczył się u ucznia albo ucznia ucznia, albo ucznia ucznia ucznia Usui, zostaje „mistrzem”. Jedynie to bezpośrednie pochodzenie gwarantuje autentyczność nauczania oraz „zestrojenie z siłą”.

Następnie odkryłem, że istnieje również inna wersja, w jaki sposób reiki, wciąż za pośrednictwem Usui, rozprzestrzeniło się w świecie: wersja bardziej burzliwa i... amerykańska.

Według niej Usui, który od dzieciństwa interesował się pismami buddyjskimi, w 1899 roku w sklepie z używanymi książkami w Kioto kupuje plik starych manuskryptów. Jest wśród nich tekst, którego poszukiwał od lat, Tantra pioruna, który leczy ciało i rozświecła umysł, dotyczący przekazywania energii w celach terapeutycznych. Tekst ten, pierwotnie tybetański, pochodzi z siódmego wieku po Chrystusie i miałby dotrzeć do Japonii przez Chiny za pośrednictwem założyciela buddyjskiej sekty shingon.

Z tego to tekstu Usui uczy się reiki i zaczyna je praktykować. Po wielkim trzęsieniu ziemi w Tokio, czując, że podupada na zdrowiu, umieszcza wszystko, co dotyczy reiki, łącznie z własnymi notatkami i dziennikami, w pudełku z laki. Na krótko przed śmiercią, w 1926 roku, powierza je ulubionemu uczniowi. Od tego momentu historia pudełka z laki zaczyna przypominać scenariusz filmu sensacyjnego. Uczeń, powołany do wojska podczas drugiej wojny światowej, oddaje pudełko na przechowanie w pewnej świątyni. W 1942 roku on sam ginie w Manili. Wkrótce potem świątynia zostaje zbombardowana, a pudełko, ocalone przez grupę mnichów, podróżuje po Japonii. Pewnego dnia kupuje je zainteresowany buddyzmem amerykański oficer sił okupacyjnych. Po jakimś czasie zostaje on generałem, zabiera pudełko do Ameryki i zapomina o nim. W 1994 roku odnajduje je na strychu syn, który - cóż za zrzędzenie losu! - odkrywa, że jest reinkarnacją ważnego tybetańskiego lamy.

Według dokumentów znajdujących się w pudełku reiki miałyby pochodzić bezpośrednio od Buddy w jego terapeutycznej formie Pana Światła Lapis-Lazuuli. Innymi słowy, reiki, którego dziś uczą w jeden weekend, miałyby historię nie stu pięćdziesięcioletnią, ale liczącą ponad dwa i pół tysiąca lat. Właśnie to przyciąga ludzi.

A zatem: czy reiki jest tylko oszustwem? Czy należy go unikać? Ależ skąd. Wszystko może być pożyteczne przy uruchamianiu procesu zdrowienia: medytacja, wiara w jakiegoś świętego, joga, modlitwy i oczywiście również reiki. Wystarczy wierzyć w jego skuteczność. Kładzenie rąk jest starą praktyką religijną i nie ma wątpliwości, że przyjazne zbliżenie się do innej osoby, ciepły dotyk są pocieszające, podnoszące na duchu... „terapeutyczne”. Nie wiem, w jakim stopniu może to leczyć chorych na raka albo wskrzeszać zmarłych, ale na pewno zmniejsza napięcie, uspokaja umysł, wywołuje pozytywne myśli, które same w sobie, podobnie jak śmiech - jestem tego pewien - bardzo pomagają i wzmacniają system odpornościowy.

Faktem pozostaje jednak, że we wszystkich tradycjach, łącznie z chrześcijańską, skuteczność przykładania rąk była zawsze związana z walorami osoby wykonującej ten gest. a nie z samym gestem. Tylko człowiek o wielkiej i czyste; duszy mógł mieć „magiczny dotyk”.

Reiki wypaczyło tę prawdę, zamieniając magiczną moc uzdrawiania w „metodę”, której wszyscy mogą się nauczyć w kilka dni i która wcale nie zależy od tego, kto ją praktykuje, ani od jego psychicznych czy moralnych przymiotów To, co było „darem bożym”, stało się zwykłym produktem do kupienia.

Czy zatem nadal działa?

Według taoistów, nie.

- Jeśli niewłaściwy człowiek stosuje właściwe środki, właściwe środki działają w niewłaściwy sposób - mawiali owi mędrcy. Ale kto jeszcze słucha starych Chińczyków?

Koniec końców, niezależnie od przymiotów moich „mistrzów”, również ten kurs nie wydał mi się całkowicie bezużyteczny. Na pewno był to weekend spędzony lepiej niż na zakupach albo przed telewizorem. Przynajmniej miałem okazję do wyjścia poza rutynę, do spojrzenia na siebie w odmienny sposób, a może nawet wróciłem do domu z czymś nowym.

Nauczyłem się na przykład, że jeśli przeżuwa się jeden kęs trzydzieści dwa razy, zjada się o jedną trzecią mniej, a odżywia zdecydowanie lepiej. Przynajmniej tak twierdzili moi „mistrzowie”.

Pewnego wieczora, w domu indyjskich przyjaciół, opowiedziałem o moim doświadczeniu z reiki i o mojej frustracji. Przybyłem do Indii przekonany, iż odnajdę tu silną, pewną siebie kulturę, zdolną oprzeć się ujednocającemu gwałtowi globalizacji. Tymczasem, gdy mieszkałem w Delhi, zdawało mi się, że również Indie nie robią nic innego, tylko gonią za produktami, myślami i modą pochodzącymi z Zachodu.

Gospodarz domu, brodac, wykształcony producent filmowy o nowoczesnym sposobie myślenia, ale wciąż jeszcze dobrze zakorzeniony w tradycji, nie podzielał mojego pesymizmu.

- Nie obawiaj się - powiedział. - Indie podążają za wszystkim, ale bardzo, bardzo powoli. Zobaczysz, że w końcu spóźnią się nawet na pogrzeb kultury zachodniej.

Według niego Indie przetrwają obecny proces zachodniej inwazji, tak jak przetrwały wszystkie inne najazdy z przeszłości, począwszy od muzułmańskich po angielski.

Przez tysiąclecia kraj ten, jak większa część Azji, łącznie z Chinami, kierował się aspiracjami głównie duchowymi.

Słonność ta na swój sposób przetrwa i będzie się rozwijać. Nic tutaj nie zostaje całkowicie zapomniane i pogrzebane; nic nie jest niszczone i zastępowane czymś nowym. Indie są Arką Noego, na której przeżywa to, co gdzie indziej jest już od dawna martwe. Tutaj przechowane są najlepsze ziarna tego wszystkiego, co człowiek kiedykolwiek pomyślał. Również w dziedzinie medycyny, co sobie uświadomiłem, gdy tylko rozpocząłem moje bardzo osobiste poszukiwania możliwej kuracji. Indie są jedynym krajem na świecie, gdzie praktykuje się jeszcze unani, starożytną medycynę grecką, wprowadzoną przez Hipokratesa, która dotarła tu śladem Aleksandra Wielkiego w czwartym wieku przed Chrystusem. (Unani - w języku urdu znaczy właśnie „Grecja” - leczy przede wszystkim choroby nerwowe, jak również bezsenność i nadciśnienie. Podstawową zasadą tej medycyny jest utrzymanie równowagi między różnymi elementami organizmu w celu pobudzenia zdolności samokonserwacji. Terapia opiera się przede wszystkim na diecie wyłącznie wegetariańskiej. Lekarze nazywają się akim. Dzisiaj jest ich w Indiach około pięćdziesięciu tysięcy)

W Indiach współistnieją najróżniejsze systemy lecznicze. Obok medycyny zachodniej jest ajurweda, stara medycyna lokalna, jest homeopatia, jest medycyna naturalna, medycyna chińska i - przede wszystkim - tybetańska.

Za moich czasów dziennikarskich utworzyłem dossier Medycyna, w którym umieszczałem wszystko, co prasa indyjska publikowała na ten temat. Na przestrzeni lat zgromadziłem bardzo wiele historii. Niektóre z nich tak dziwne, jak ta. Raz do roku w mieście Hajdarabad tysiące osób stoi w kolejce, żeby połączyć pięć- lub sześciocentymetrowe sardynki, którym włożono do pyszczków tajemniczą mieszankę ziół. Jest to cudowna kuracja przeciwko astmie. Receptura stanowi od 1845 roku własność rodziny Goud. Wtedy to jeden z jej przodków dostał w darze sekretną formułę od pewnego świętego człowieka, który utrzymywał, że pochodzi od mitycznego założyciela ajurwedy.

Dziś tę kurację stosuje ponad pół miliona pacjentów. Podobno jest ona skuteczna tylko w pierwszych dniach czerwca, kiedy na niebie pojawia się pewien gwiazdozbiór, nadający „moc” kombinacji sardynek i mikstury. Napływ astmatyków jest tak wielki, że często brakuje ryb. Rząd musi interweniować, aby zapewnić ich zapasy. Za ten sardynkowy cud rodzina nie każe sobie płacić. Darowizny są jednak mile widziane.

Wśród moich wycinków znalazłem przykłady innych kuracji, równie dziwacznych -jedna opierająca się na muzyce -przeciw cukrzycy i nadciśnieniu. Natomiast do najstarszych należy tak zwana kuracja wodna. Jest to dziennikarski eufemizm, aby opisać nawyk picia codziennie rano na czczo szklanki własnego moczu, który miałby pokonać wszelkiego rodzaju choroby. Wśród najznakomitszych adeptów tej terapii był również jeden z byłych premierów.

W moim dossier znalazłem bardzo dużo metod leczenia raka. W Kalkucie ocalenie obiecywali homeopaci. Na peryferiach Delhi mieszkał lekarz, który twierdził, że wynalazł szczepionkę na raka w oparciu o... cyjanek potasu.

- Trzy krople tej szczepionki podane trzyletniemu dziecku są najlepszym ubezpieczeniem na życie. Kiedy ten człowiek dorośnie, będzie mógł palić i jeść, ile zechce; nigdy nie zachoruje na raka - orzekł, ogłaszając, że zamierza opatentować swój wynalazek.

W poszukiwaniu czegoś, co byłoby odpowiednie dla mnie, mogłem podjąć tysiąc tropów, pójść w tysiące kierunków. W mojej kartotece były nazwiska, adresy, numery telefonu. Postanowiłem jednak zacząć od kogoś, o kim nikt nigdy nie napisał, kto nie został jeszcze „odkryty”, kto nie robił sobie reklamy, ale za to dobrze wypowiadali się o nim moi indyjscy przyjaciele.

Był to młody lekarz praktykujący ajurwedę, który mieszkał na drugim krańcu Indii.

Osobowość ziół

Za każdym razem, kiedy samolot wpada w turbulencje, nieuchronnie myślę o tym, że latanie nie jest najbardziej naturalnym stanem człowieka. Lepiej bym zrobił, zostając na lądzie i wybierając pociąg. Indyjskie samoloty szczególnie skłaniają do tego rodzaju refleksji, jako że zdają się mieć jakąś specjalną, większą od innych skłonność do wstrząsów i skrzypienia. Ten, którym leciałem, na przykład miał wylądować w Wiśakhapatnamie, ważnym mieście portowym w Andhra Pradeś nad Zatoką Bengalską, ale chmury były tak gęste i niskie, że pilot nie widział pasa. Zamiast czekać na przejaśnienie nad burzą, on wołał przebywać w samym jej środku, stwarzając tym samym wszystkim pasażerom znakomitą okazję do refleksji nad własnym losem. W moim przypadku, patrząc z tej wysokości, można było wręcz mówić o ironii losu. W poszukiwaniu odpowiedniej „kuracji” udawałem

się w niemal nieznanym miejscu, którego nazwa nie figurowała w żadnym przewodniku turystycznym, położone około dwustu kilometrów od lotniska. Tymczasem zanim jeszcze wylądowałem, miałem być może znaleźć „lekarstwo nad lekarstwami”.

Na szczęście zostało mi to oszczędzone. Po serii wstrząsów i podskoków oraz kolejnym upadku w pustkę, samolot w końcu przysiadł na ziemi. Na powitanie rzuciły się nam te same co zawsze, rozpaczliwe, cudowne Indie: bosi taksówkarze, hotelowi naganiacze i bardzo dużo beczynnych ludzi, zasiadających - z braku innych widowisk - przed sceną wystawiającą spektakl życia. Wybrałem kierowcę, który na pierwszy rzut oka wydawał się najbardziej godny zaufania: najstarszego i jedyne, który był obuty.

Wiśakhapatnam jest czwartym co do wielkości portem w kraju i jednym z „biegunów rozwoju”. Innymi słowy, zalicza się do miast najbardziej zaangażowanych w aktualny wyścig ku „modernizacji”. Z lotniska wyprowadza teraz nowa, imponująca autostrada, skazując na zatracenie dziesiątki małych sklepików, budek, szynków i straganów z owocami, stłoczonych poprzednio wzdłuż starej drogi. Żeby dotrzeć do jednego z tych żółtych chlewików, które służą za budki telefoniczne, musiałem pokonać góry piachu, resztki jakichś konstrukcji oraz gruzu. Stamtąd zadzwoniłem do „lekarza”, żeby umówić się na spotkanie. Przyjaciele z Delhi już go uprzedzili i czekał na mnie.

Droga prowadziła między dziwnymi wzgórzami. Kierowca powiedział, że jeszcze przed kilkoma laty porośnięte były wysokimi drzewami. Teraz wyglądały jak łyse głowy. Historia się powtarza: lasy są wycinane, ziemia ulega erozji, zapada się, klimat się zmienia, okresy wielkiej suszy następują na przemian z katastrofalnymi powodziami. Równowaga została zakłócona. Ale nowoczesność postępuje, pochłaniając na swej drodze kolejne ofiary. Ta piękna autostrada, jeszcze bez pasów ruchu i bez żadnych barier ochronnych po bokach, była jednym z frontów ofensywy. Co jakiś czas, na przestrzeni niewielu kilometrów, widziało się kolejne wywrócone ciężarówki z rozsypanym po asfalcie ładunkiem albo płataninę samochodów. Z trudem można było sobie wyobrazić, by ktoś z takiego karambolu wyszedł żywy.

- Tak jest każdego dnia - oznajmił kierowca. - Prawdziwa hekatomba.

W wioskach, które mijaliśmy, sceneria była typowa dla Indii: grupki przycupniętych beczynnie mężczyzn, palących, gawędzących, obserwujących drogę i zdarzające się na niej katastrofy. Samochód musiał się zatrzymać na przejeździe kolejowym i mój wzrok padł na pracujących mężczyzn: niektórzy ładowali gołymi rękami bryły ziemi na wóz, inni bardzo prymitywnymi narzędziami majstrowali coś wokół wykopanych dołów. Jakiś starzec próbował ściąć małą siekierką grubego pień drzewa. Z daleka dałem mu znak, żeby użył piły. Świetnie zrozumiał. Uśmiechnął się i zamachał rękami. Gest ten w Indiach znaczy: „Nie mam”. Na straganach wzdłuż drogi sprzedawcy rozbijali toporkami orzechy kokosowe albo małymi nożykami kroili mango.

Jeśli spojrzeć na indyjską wieś oczami człowieka z Zachodu, można się załamać. Żadne pole nie jest właściwie utrzymane. Ziemia i rośliny wydają się pozostawione samym sobie. Głównym zajęciem ludzi zdaje się oczekiwanie: że ziemia coś urodzi, że drzewa dadzą owoce, które będzie można sprzedać na straganach. W Indiach człowiek często się zastanawia, czy panująca w kraju nędza nie wynika także z tej gnuśności, z tego poczucia, że nie warto nic robić, że nic się nie zmieni, że wszystko zostało już zrobione, zobaczone, doznane, i że zaangażowanie się niczemu nie służy. Świat to majak, złudzenie.

Należy zrobić wszystko co możliwe dla uniknięcia ponownych narodzin, nie zaś dla poprawienia jakości życia na tym świecie.

Był to sezon mango i wszędzie widziało się tylko te owoce. Stosy mango na poboczach drogi, stosy mango na wózkach. Mango, tylko mango. Żadnej kapusty, jabłka, jakiejś zieleniny.

Kierowca się zatrzymał, żeby wypić sok z trzciny cukrowej. Wokół straganu latały chmary much, ale nikt się nie przejmował, że również one mogą skończyć zgniecione przez zardzewiałe tryby dwóch kół, które wyciskały orzeźwiający napój. Mały chłopiec kręcił w roztargnieniu korbką. Potem z plastikowego pojemnika wyjmował kawałki żółtawego lodu, wrzucał je do czarnej torby wyciętej z samochodowej plandeki, uderzał w nią kijem i dodawał garść tej zimnej papki do szklanek.

Przejechaliśmy przez miasteczko, w którym bardzo wielu mężczyzn, a także dzieci, ogolonych było na zero. Pomyślałem, że musiała tu być epidemia wszy. Kierowca dał mi lepsze wyjaśnienie. Miejskowa świątynia poświęcona była bogini, która wymaga, aby każdy odwiedzający przyniósł połówkę orzecha kokosowego i miał całkowicie ścięte włosy. Jest to na pewno dobre dla fryzur miejscowej ludności... a być może także skuteczna metoda na wszy.

W miarę oddalania się od „bieguna rozwoju”, portowego miasta, wszystko stawało się na powrót takimi Indiami, jakie znałem: przerwane w połowie budowy, jakiś opuszczony dom, inny z kolei bez dachu. Tu i tam jakże krzepiący widok: stare wioski z chatami z bambusa, dachami z liści palmowych sięgających ziemi i tylko małym otworem służącym jako drzwi. W oddali sylwetki starych wozów ciągniętych przez wielkie woły.

Mnie, przekonanemu jak zawsze, że wystarczy podążyć za nicią, żeby do czegoś dotrzeć, pomyśl, aby odwiedzić „lekarza” tam, gdzie żaden obcy nie ma najmniejszego powodu się znaleźć, bardzo się podobał. Jednak przyjazd do Kakinady nie był wesoły. Mimo swojej dziwnej nazwy było to jedno z typowych, brudnych indyjskich miasteczek. W dodatku górowały nad nim kominy dwóch wielkich fabryk nawozów sztucznych, które wypluwały w powietrze cuchnące, szarawe opary. Dopiero co padało i ulice, przy braku kanalizacji, zamieniły się w bagno, po którym podskakiwały wózki wypełnione mango. W błocie grzęzły zawsze wspaniałe kobiety w kolorowych sari, nędzni mężczyźni w brudnych dhoti i jeszcze nędzniejsi - w syntetycznych spodniach i koszulkach w stylu zachodnim. W moim kurta pijama (Wielka koszula zapinana na trzy guziki, sięgająca kolan, z bardzo prostymi spodniami, związanymi w pasie sznurkiem), z tkanej ręcznie bawełny, jaki można znaleźć we wszystkich „skleпах Gandhiego”, wydawałem się jedynym Hindusem krążącym po mieście.

„Lekarz”, niski i drobny młody człowiek około trzydziestki, czekał na mnie przed domem. Uderzyły mnie jego płożące, pełne ciepła oczy. Była to na pewno osoba szczególna, silnie oddziałująca.

Dom był nowutki, „nowoczesny”, cały z szarego cementu, nawet niepobielony. Rodzina mieszkała tu zaledwie od dwóch miesięcy i pierwszą rzeczą, jaka przypadła mi w udziale, było przejrzanie albumu z jego otwarcia. Zgodnie z rytuałem wedyjskim do każdego pokoju weszły najpierw krowa i jałówka. Na dachu-tarasie „lekarz” zbudował sobie zadaszenie z drewna kokosowego, pod którym medytował. Tam - mówił - były znakomite wibracje, jako że odbijały się od starego, dziwnego drzewa, które górowało nad ogrodem. Miało lśniący pień w kolorze butelkowej zieleni i wielkie, gęste oraz stojowate liście, błyszczące od deszczu.

W rogu ogrodu chwiała się jeszcze bardzo stara palma kokosowa, której korzenie były w dużej części odsłonięte. Wydawało się, że w każdej chwili może się przewrócić. Nie, nie była niebezpieczna - powiedział „lekarz”; przeciwnie - bardzo pożyteczna. Wziął kawałek korzenia i z radosnym uśmiechem oznajmił, że to najlepsze lekarstwo na files... siles. Nie rozumiałem. Wtedy „lekarz” bez skrępowania położył rękę na moim siedzeniu.

Ach tak, na hemoroidy... zrozumiałem!

Yes, piles, hemoroidy - powtórzył „lekarz”, odrywając kolejny korzeń spod stóp drzewa. - Sieka się go bardzo drobno, uciera w moździerz i przykładają tutaj - wyjaśnił, tym razem kładąc rękę, na szczęście, na swoim „tutaj”, a nie na moim.

„Lekarz” mieszkał w domu z cementu z matką i dwoma młodszymi braćmi. Ojciec, urzędnik w miejscowym szpitalu, zmarł przed kilku laty w młodym jeszcze wieku.

- Nagle zaczął wymiotować krwią: była to reakcja na angielskie produkty chemiczne... szczególnie na aspirynę! - wyjaśnił. Jak na lekarza był to dziwny sposób opisywania choroby, ale nie potrzebowałem wiele, aby zrozumieć, że w tym przypadku chodziło o dziwnego „lekarza”, i już się zastanawiałem, pod jakim pretekstem uda mi się jak najszybciej wyjechać, nie wprowadzając nikogo w zakłopotanie.

Zgodnie z ustaleniami, jakie poczynili przez telefon przyjaciele z Delhi, którzy mi go polecieli (mówili, że wyleczył ich chorą na białaczkę krewną), miałem zostać w Kaki-nadzie przynajmniej przez tydzień, żeby przede wszystkim oczyścić organizm. W tym czasie on będzie przygotowywał prawdziwe lekarstwo, które zacznę przyjmować później.

Gdybym się od razu wycofał, byłby to wielki nietakt. Pojechałem aż tam wiedziony ciekawością i być może również odrobiną nadziei, że znajdę jakieś cudowne lekarstwo. Zaraz po przyjeździe pojąłem jednak, iż tam to ja jestem kuracją. Ja byłem wytęsknionym cudem: „zagraniczny dziennikarz z rakiem” (na pewno tak mnie przedstawili), który przyjechał z Włoch leczyć się w Kakinadzie! Sąsiedzi już stawali w oknach; dzieci wślizgiwały się bez zahamowań do domu, żeby iść za mną w orszaku podczas oprowadzania z przewodnikiem, jakie przygotował mi gospodarz.

- To wszystko zioła, tylko zioła - powiedział, wskazując na dwie beły konopi w pokoju, który on nazywał „laboratorium”, a mnie zdawał się raczej zakurzonym schowkiem. Spod zlewu „lekarz” wyciągnął wielki, kamienny moździerz i żerdź, również z kamienia, którymi zioła, sprowadzone już specjalnie dla mnie, zostaną obrobione. „Gabinet”, inny zakurzony pokój, miał swoją „bibliotekę”: na murowanych półkach stały stosy starych szpargałów i kilka książek.

Matka chciała poczęstować mnie kawą, herbatą albo wodą, tymczasem „lekarz” - aby przywitać mnie w salonie, z którego byli bardzo dumni - podbiegł i włączył ogromny, kolorowy telewizor. Pokazywali właśnie amerykański film wojenny, którego akcja toczyła się w Wietnamie.

Angielszczyzna „lekarza” była bardzo elementarna. Często się nie rozumieliśmy, ale i na to byli przygotowani, a rozwiązanie problemu już wkrótce przybyło na siodełku vespy. Mężczyzna przedstawił się jako „wuj”, choć był tylko kilka lat starszy od „lekarza”. Kiedyś uczył angielskiego w

szkole średniej; potem - poślubiwszy dziewczynę z kasty trochę niższej od swojej, ale z dużo bogatszej rodziny - musiał zostać sprzedawcą ubezpieczeń na życie.

Mnie chciał „sprzedać” przede wszystkim „lekarza”, swojego siostrzeńca. Wyciągnął z torby zafoliowane listy niektórych wyleczonych pacjentów i zamówienia na leki z różnych indyjskich miast. W końcu podał mi listę wszystkich chorób, które „lekarz” mógł wyleczyć: od otyłości po astmę, od artretyzmu po łuszczycę. W przypadku zaćmy stosował okłady w oparciu o opium i miód, które w trzy dni rozwiązywały problem bez konieczności operacji. Jeśli chodzi o cukrzycę, w ciągu dwóch tygodni był w stanie zredukować do zera używanie insuliny. Inną jego specjalnością było leczenie niepłodności.

- Oto list pierwszej kobiety, wyleczonej już w 1989 roku! Po kuracji urodziła troje dzieci. Wszystko kosztowało ją tylko trzy tysiące rupii. Oczywiście leczenie raka i białaczki trwa dużo dłużej, dlatego również koszt jest wyższy - wyjaśnił „wuj”. Było to pierwsze nawiązanie do pieniędzy.

„Lekarz” czuł się wyraźnie nieswojo w obliczu tej reklamowej tyrady, ale nic nie mógł zrobić. „Wuj” był w pewnym sensie jego szefem i kontrolerem. Musiał pozwolić, aby odegrał swoją rolę.

Tamten opowiedział więc, że wywodzi się ze starego rodu „ortodoksyjnych” braminów, właściwie zepchniętych już na bok przez braminów nowoczesnych - „sfalszowanych”, jak ich nazywał. Zaliczył do nich swoich teściów, którzy wzbogacili się na handlu. Jeśli chodzi o niego, zerwał z tradycją. Skomplikowane relacje społeczne narzucone przez religię są dla niego absurdalne i nieznośne. Tym, co się liczy, nie jest kasta, ale osobiste powodzenie każdej jednostki. Uważa się za zdeklarowanego ateistę i pogardza wszystkim, co należy do przeszłości.

- Rytuály? Ceremonie? Czyste szaleństwo - orzekł. Żeby dać mi przykład, opowiedział, jak to każdego roku podczas święta Węża chłopci z okolicznych wsi wciąż jeszcze usypują małe kopce z otworami. Wlewają do nich później całe wiadra mleka, wabiąc węże, aby je wypity, w nadziei, że potem, kiedy spotkają je na polach, te z wdzięczności ich nie ukąszą.

- Cóż to za postawa? - pytał. - Na polach boją się węży i próbują zabić. Natomiast w świątyni czczą go, jakby był bogiem, klękają przed nim i ofiarowują mu mleko. Czy nie lepiej byłoby dać je dzieciom na ulicy? Bramini są strasznymi egoistami.

Opowiedział, że kiedy zmarł ojciec „lekarza”, żaden bramin z dzielnicy nie poszedł na pogrzeb, ponieważ istnieje przesąd, że w drodze powrotnej z miejsca kremacji człowiek może być śledzony przez pewne duchy, które potem zamieszkają w jego domu. Ojciec pomógł wielu z tych ludzi, kiedy pracował jeszcze w szpitalu, ale w jego ostatniej drodze żaden z nich mu nie towarzyszył - każdy myślał tylko o sobie.

„Lekarz” był zakłopotany długimi wywodami „wuja”. Dopiero, kiedy tamten sobie poszedł, a my ruszyliśmy w stronę starego centrum Kakinady, żeby obejrzeć dom jego dziadków, zdołał mi trochę opowiedzieć o swoim życiu.

Dom, w którym się urodził, wychował i mieszkał jeszcze dwa miesiące temu, stanowił część opowiadania. Mały, ciemny, walący się, postawiony został w niewybrukowanym zaułku ponad dwieście lat temu i wyglądało na to, że nigdy nie był naprawiany ani odnawiany. Płyty dachowe się rozchodziły, belki były przegniłe. Żeby zapobiec przeciekaniu w głównym pomieszczeniu, w którym

mieszkali dziadkowie, pod sufitem podwieszono błękitną płachtę. Wszędzie panował wielki bałagan. Tu sterta desek, tam rower bez kół, motor, rozklekotany fotel, na którym odpoczywał dziadek. A przecież wystarczyło, żeby babcia otworzyła puja room, pokój modłów z posągami Hanumana, boga - małpy, z portretami innych bogów, stertą orzechów kokosowych, lampami oliwnymi oraz trociczkami, za pomocą których trzy razy dziennie składali ofiary, aby poczuć, że to inny świat, niepoddający się dyktatowi skuteczności. To świat starych braminów, „pobożnych i ortodoksyjnych”, których jedyną prawdziwą aktywnością jest regularne i ściśle celebrowanie niezmiennych rytuałów.

Słodka woda - powiedział „lekarz”, wskazując starą studnię na podwórku, z której rodzina od wielu pokoleń czerpała wodę do picia. Oczy mu pojaśniały. - Bardzo słodka woda - powtórzył, nabierając jej w dłoń. Również tutaj, w rogu podwórza, wyrastała majestatyczna palma kokosowa, przynajmniej trzykrotnie wyższa od domu, ze swoimi na poły odsłoniętymi leczniczymi korzeniami. Tam zapuszczone też były wszystkie korzenie mojego „lekarza”.

Powiedział mi, że jest najstarszy z trzech synów. Rodzina obawiała się, że nie będzie normalny, bo ojciec poślubił bratanicę. Kiedy „lekarz” był mały, niemal bez przerwy chorował i spędził dużą część dzieciństwa oraz okresu dorastania w łóżku. Różne alergie, astma, która dosłownie odbierała oddech, i nieustanny bronchit uniemożliwiały mu zabawy z dziećmi. Nigdy nie miał przyjaciela. Częściej niż w szkole przebywał w szpitalu, gdzie - dzięki pracującemu tam ojcu - szpikowano go za darmo zachodnimi lekarami.

Również dużą ilością hormonów i steroidów - spreyczował.

Nikt, nawet brat dziadka, który był słynnym lekarzem specjalizującym się w ajurwedzie, nie zdołał go wyleczyć. I tak dorósł, marząc, że pewnego dnia sam znajdzie odpowiednie dla siebie lekarstwo. Był zachłannym czytelnikiem i pochłaniał wszystkie książki, jakie wpadły mu w ręce. Cokolwiek przeczytał, pamiętał nawet po upływie wielu lat. Pewien swami, przybyły z Riśikeś, a potem następny, powracający z Benaresu, pomogli mu w lekturze świętych tekstów. Od dzieciństwa zbierał każdy liść palmowy z tekstem dotyczącym ajurweddy, astrologii czy ziół. Jak uważał, były to wszystkie aspekty nauki medycznej. Szpargały, które zauważyłem w bibliotece w nowym domu, to była jego kolekcja.

Już w wieku pięciu lat zaczął rozpoznawać różne zioła, „rozmawiać z nimi” - jak mówił - i przygotowywać, zgodnie ze wskazówkami brata dziadka, swoje pierwsze napary. Zioła były jego zabawkami, przyjaciółmi. Traktował je jak osoby: z ich własnym charakterem, cechami, reakcjami. W wieku szesnastu lat zdołał wyodrębnić spośród nich osiem, przydatnych w jego stanie i - mieszając je we właściwych proporcjach - wyleczył się z wszystkich dolegliwości.

W tym momencie historii zachodni lekarz powiedziałby, że wyleczyło go dojrzewanie. Gdy jednak obserwowałem, z jaką pasją „lekarz” mówi o ziołach i sposobie ich łączenia, nie miałem żadnej wątpliwości, iż najbardziej racjonalne wyjaśnienie - jak często się zdarza - wszystkiego nie tłumaczyło. Jego problemy skończyły się być może również dlatego, że się przekonał, iż wziął życie we własne ręce. Zdał sobie sprawę, że znalazł swoją drogę, i z chorego przemienił się w uzdrowiciela.

Po samowyleczeniu chłopiec wyruszył w podróż, odwiedzając różnych uzdrowicieli i „lekarzy” z regionu, ucząc się czegoś od każdego z nich i zawsze przywożąc do domu zioła. Wkrótce miał swoich pierwszych pacjentów i zaczął odnosić sukcesy. Pewnego dnia, po zastąpieniu, wezwał go do „pięciogwiazdkowego hotelu” minister stanu Andhra Pradeś. Od tamtej pory nazwisko „lekarza” stało

się znane poza Kakinadą. Za pośrednictwem ożywianej nadzieją skutecznej metody „z ust do ust” dotarło aż do Delhi i w ten sposób również do mnie.

„Wuj” dołączył do nas i razem odprowadzili mnie do Hotel Jaya de luxe, który zapowiadały już wielkie tablice ustawione wzdłuż autostrady jako najelegantszy w mieście. Trudno sobie wyobrazić, jak wyglądały te mniej eleganckie! W moim indyjskim stroju musiałem się jednak postarać, żeby dostać pokój i nie zostać wyrzuconym za drzwi niczym jakiś niewyłaźniący hipis albo podróżnik z plecakiem, który pomylił adres. Prześcieradła były szare i wygniecione, ale przykryłem je sarongiem, który zawsze ze sobą wożę.

Leżąc na łóżku, z oczami utkwionymi w sufit wykonany z azbestowych płyt - materiału uważanego dziś za jeden z najbardziej rakotwórczych - dostałem ataku śmiechu. Wyobraziłem sobie miny moich naprawiaczy z Nowego Jorku, gdyby za sprawą czarów mogli mnie zobaczyć w hotelu de luxe w Kakinadzie, w przeddzień kuracji, jaką przygotował dla mnie ich „kolega”.

Obudził mnie wpadający przez okno fetor smażonej cebuli. Hotelowa kuchnia przygotowywała swoje potrawy de luxe na śniadanie. Nie mogłem z nich skorzystać, ponieważ o ósmej powinienem się stawić na czczo u „lekarza” na badanie kliniczno-astrologiczne, po którym miał zdecydować o szczegółach dotyczących terapii.

W holu młodzi ludzie przeciągali brudnymi, mokrymi ścierkami szare posadzki. Tuż za drzwiami hotelu sarta śmieci, którą zauważyłem poprzedniego wieczora, jeszcze urosła, a psy, świnię, kozy, krowy i kruki - wielcy indyjscy sprzątacze - już się zabrały do pracy.

Postanowiłem pójść na spotkanie pieszo. Droga była krótka, ale też niezbyt właściwa, żeby przygotować mnie psychicznie do kuracji, bym zyskał zaufanie do „lekarza”, niezbędne dla jej skuteczności. Szarawe ścieki w rynsztokach pod gołym niebem gotowały się i oddychały, jakby żyły jakimś trującym życiem. Jakaś krowa zatrzymała się leniwie, napiła się spokojnie tej brei i ruszyła dalej, wlokąc pysk po ziemi. Tak w Indiach zdają się czynić prawie wszystkie zwierzęta: być może, żeby nie stracić nigdy okazji na jakiś kęs. Pomyślałem o mleku, które mogłaby dać, i o kimś, kto by je wypił. Przypomniłem sobie, że średnia długość życia w Indiach wynosi tylko pięćdziesiąt dwa lata. Przyszły mi na myśl historie opowiedziane przez „7wuja”: nikt w ich rodzinie nie dożył sześćdziesiątki. Nawet słynny lekarz specjalizujący się w ajurwedzie, brat dziadka, nauczyciel mojego uzdrowiciela, zmarł nagle na zawał w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat. Wspomina się jednak, że sobie to przepowiedział.

„Lekarz” już na mnie czekał, rozpromieniony, uśmiechnięty, z oczami bardziej błyszczącymi niż kiedykolwiek. Posadził mnie na stołku, stanął przede mną i - trzymając moje ramiona w górze dłońmi, które ścisnęły nadgarstki - z zamkniętymi oczami zaczął słuchać pulsowania krwi w moich żyłach. Powiedział, że coś nie jest w porządku po lewej stronie mojego ciała.

- Jakaś infekcja - stwierdził.

Kazai mi się rozebrać i położyć na macie. Po lewej stronie miałem dużą przepuklinę, pamiątkę po operacji, ale on nie zwrócił na to uwagi. Zainteresowało go natomiast długie cięcie, które przebiegało

przez brzuch i skręcało w kierunku pleców. Wyjaśniłem, że miałem trzy różnego rodzaju dolegliwości i że to cięcie zostało wykonane, żeby usunąć chorobę nerki.

- Czy operacja była robiona w Indiach?

- Nie, w Ameryce. - odparłem. Był zdziwiony. - W Indiach dociera się do nerki od tyłu, nie od przodu - powiedział.

Bardzo dokładnie zbadał mi nogi, kolana, okolice wątroby, a następnie oczy. Oglądając mój język, rozpromienił się. Jakby dokonał odkrycia, wykrzyknął:

Proszę bardzo, oto infekcja! - po czym zadał dwa ciekawe pytania:

Czy kiedykolwiek miałem hemoroidy?

Tak, od dwudziestu lat.

Czy kiedykolwiek bolały mnie plecy?

Tak, często, szczególnie ostatnimi czasy, zanim zachorowałem.

Był szczęśliwy, jakby znalazł klucz do tajemnicy. Źródłem wszystkich moich kłopotów są - według niego - hemoroidy.

Wy, z Zachodu, nie przywiązujecie do tego wagi, a to ważna choroba, sygnał, który trzeba brać na serio - powiedział.

Również Mangiafuoco się nimi zainteresował. To one, zdaniem „lekarza”, wywołały infekcję w środku ciała, wokół żołądka. Stamtąd przeszła ona na nerkę. Nerka - wyjaśnił - ma w środku sprężynę. Jest tak długa, że mogłaby okrążyć świat. Ta sprężyna się zepsuła. Ale nie muszę się martwić: on może ją na powrót uruchomić właściwym leczeniem. Przede wszystkim w ciągu tygodnia mam oczyścić żołądek.

W tej chwili jest pełen robaków i w tych warunkach lekarstwo nie dałoby żadnych efektów - zawyrokował.

Robaki? W moim żołądku? Nie, nie ma tam żadnych robaków!

A skąd pan to wie? - zapytał jakby wyzywająco.

Lekarze z Nowego Jorku zaglądali tam wiele razy.

Uśmiechnął się, jakbym powiedział kłamstwo, i przeszedł do drugiej części badania: astrologicznej. Przez szkło powiększające przyglądał się długo moim liniom, ale nie tym na dłoni, tylko na kciukach. Następnie bardzo starannie zbadał skórę na moim ciele w poszukiwaniu znamion, pieprzyków, czarnych lub czerwonych plamek. Na koniec dokonał wielkich obliczeń w oparciu o datę i godzinę moich urodzin, odjął, pomnożył i doszedł do liczby: 2526. To było dla mnie ważne. Miałem ją zapamiętać i nigdy nikomu nie zdradzić.

Według niego różne gwiazdozbiory były dla mnie sprzyjające. Tylko Mars miał na mnie zły wpływ, dlatego powinienem bardzo uważać na promienie tej planety. Znał rośliny i zioła, które wchłaniają

promienie zdolne zwalczać promieniowanie Marsa. Zioła te miały się znaleźć w miksturze, którą miał dla mnie przygotować. Moja choroba mieściła się przede wszystkim we krwi, ale zdołam ją pokonać.

W jakim czasie?

Gdybym brał zioła w połączeniu z metalami - sugerował złoto - sześć miesięcy kuracji powinno wystarczyć. Bez metali potrwałoby to co najmniej rok.

Złoto?

Nie. Nie powinienem się niepokoić - wyjaśnił. Zanim by mi je podał, sproszkowałby je metodą na gorąco. W każdym razie chodziło tylko o kilka miligramów. Dodałyby one jednak mocy jego formule.

„Wuj”, który podczas całej wizyty służył za tłumacza, w tym momencie wyciągnął kartkę i pióro, żeby dokonać obliczeń. Jednostką miary każdej kuracji jest mandala, to znaczy ilość lekarstw wystarczających na czterdzieści jeden dni. Żeby mocją prowadzić przez pół roku, potrzebuję cztery i pół mandala. W kombinacji ze złotem cała terapia - poza oczyszczaniem żołądka, które miałem rozpocząć po południu - kosztowałaby mnie dwanaście tysięcy rupii, mniej więcej dwieście pięćdziesiąt euro. W Kakinadzie była to ładna sumka, ale nie szaleństwo.

„Lekarz” powiedział, że podczas kuracji będę musiał zwracać wielką uwagę na to, co jem. Poza cebulą i czosnkiem, składnikami dla mnie dobroczynnymi, ponieważ „ochładzają zapalenie”, powinienem absolutnie unikać wszystkiego, co rośnie w ciemności, pod ziemią, jak marchew, ziemniaki czy buraki. Również bakłażany, ogórki i dynie nie były dla mnie dobre. Zalecał natomiast spożywanie wszelkiego gatunku zbóż i ryżu, szczególnie jeśli mają pół roku albo więcej, najróżniejszych sałat, kapusty, fasoli, ciecierzycy i wszystkich owoców.

Gorąco doradzał złoto. Przy tej kombinacji gwarantował mi dobre zdrowie do końca życia. Natomiast bez złota jego gwarancja byłaby „tylko na dwadzieścia lat”.

- Dwadzieścia? To już za dużo - powiedziałem, a on chciał jeszcze raz spojrzeć na moje ręce. Kazał mi je złożyć i obserwował sposób, w jaki łączą się opuszki małych palców i kciuków. Powiedział coś, co „wuj” przetłumaczył jako „radiacje”. Nie rozumiałem, czy odnosi się to do promieniowania Marsa, które mi szkodziło, czy do naświetlań z Nowego Jorku, o których nie wiedział, ale być może dostrzegł jakiś ślad. Przecież one również musiały zostawić gdzieś jakiś znak, może nawet bardziej konkretny i szkodliwy niż Mars.

Uzgodniliśmy, że zacznę od jednego mandala i wrócę po południu, aby przyjrzeć się przygotowywaniu lekarstw i zażyć pierwszą porcję mikstury oczyszczającej żołądek. Postanowiłem przestrzegać reguł gry lub raczej zmienić punkt widzenia. Zamiast odczuwać zawód z powodu nie- znalezienia lekarstwa, którego szukałem, chciałem wykorzystać nietypową sytuację i przyjrzeć się światu, na który w innym przypadku nigdy bym nie spojrział. Nie myślałem już, że tracę czas. Wszystko stało się dużo piękniejsze i ciekawsze.

W drodze powrotnej do hotelu czułem wielki głód, ale restauracja z zaciągniętymi zasłonami, zamkniętymi oknami, lepiącymi się jeszcze stołami i z resztkami po gościach, którzy wcześniej tam jedli, skutecznie odstręczyła mnie od jedzenia. Postępując zgodnie ze starą zasadą każdego podróżnika, żeby żywić się tylko jajkami na twardo i bananami (po oderwaniu dwóch końcówek),

zapytałem, czy nie mógłbym dostać czegoś w tym rodzaju. Jajka? Zabrzmiało to tak, jakbym chciał zjeść rękę kelnera. To była restauracja wegetariańska, wegańska, a jajka to „życie”. Jeśli się jednak upieram, mogę... zjeść je w pokoju.

Po południu w cementowym domu „lekarza” wrzało. Jeden z pacjentów, leczący się na cukrzycę i zobowiązany do znalezienia niektórych składników do mojej mikstury, przyszedł z workiem pełnym ziół, które wyrzucił na zakurzoną podłogę „laboratorium” i teraz segregował. Poza tym z Wiśakhapatnamu przybyła z matką gruba, zdeformowana czternastolatka. Co tydzień jechały pięć godzin autobusem, żeby wyleczyć dziewczynę z otyłości i brzydkiej łuszczycy. Teraz - jak powiedziała matka - dostała jeszcze wszy!

Podobnie jak inni pacjenci przybywający z daleka, obie kobiety miały zatrzymać się tu na noc. Żeby odpłacić za gościnność, zabrały się - każda z dużym, drewnianym tłuczkiem - do ucierania całych garści korzeni i ziół wrzucanych do kamiennego moździerza.

Robiły to na podwórzu, które nie zostało wcześniej zamieciono. Podczas rytmicznej pracy tłuczków czasem zioła i korzenie wypadały z moździerza. Były wtedy zbierane w dłoń i wrzucane z powrotem, razem z kurzem. W pewnej chwili zobaczyłem, jak matka wyjmując z rzadkich włosów otyłej córki coś, co musiało być wszą, i wciera to paznokciem w ziemię, po czym wraca do pracy, wkładając ręce do mojej mieszanki. Pod wieczór zielona pasta została podzielona na małe porcje, a potem na wiele kuleczek, które miały następnie wyschnąć na słońcu.

Jedynymi osobami, które przeszły obojętnie wobec tego wielkiego zamieszania, byli dwaj młodszy bracia „lekarza”. Najpierw oglądali w telewizji jakiś hałaśliwy film, potem coś majstrowali przy grze elektronicznej. Jeden z nich wrócił właśnie z Hajdarabadu, stolicy stanu, gdzie przystąpił do konkursu o posadę w banku. Gdyby mu się nie powiodło, zamierzał próbować tak długo, dopóki nie wygra. Powiedział, że chce za wszelką cenę dostać pracę jako „biały kołnierzyk”.

Kiedy zamierzałem wracać do hotelu, pojawił się uśmiechnięty „lekarz” ze szklanką wypełnioną zieloną miksturą, którą przygotował osobiście. Chciał, bym ją wypił tam, w obecności wszystkich. Było to lekarstwo, które miało oczyścić mnie z robaków. Na szczęście miałem ze sobą butelkę z wodą. Opróżniłem ją, wlałem do środka miksturę i powiedziałem, że wypiję przed snem.

„Wuj” zrozumiał:

- Nie powinno się nigdy oglądać, jak przygotowywane są lekarstwa - powiedział.

Zapytałem, jaki jest skład mojego preparatu na raka. Był wykonany z dwudziestu dziewięciu różnych substancji roślinnych. Z pomocą dwóch słowników „lekarz” zaczął mi mówić, że wśród ziół były *Anacyclus pyrethrum* i *Celosia cristata*. Nagle, zaniepokojony, zatrzymał się. Dlaczego chciałem poznać formułę? Miałem może zamiar przekazać ją „uczonym”, jak ich nazywał? Przysięgłem, że nie chcę tego zrobić, ale to nie wystarczyło. Zamiast kontynuować, podając resztę składników, powiedział, że do produkcji preparatu starczającego na czterdzieści jeden dni, czyli mandala, potrzeba dwanaście kilo ziół i korzeni, zredukowanych pod koniec obróbki do pięćdziesięciu gramów pigułek.

Odprowadzając mnie na ulicę, „lekarz” poprosił, żebym zrozumiał jego powściągliwość. Nie chciał wcale trzymać w tajemnicy swojej przeciwrakowej formuły, przeciwnie, miał plan, w którym powinienem mu pomóc. Chciał przekazać tę formułę do dyspozycji Światowej Organizacji Zdrowia, żeby wszyscy mogli z niej skorzystać. Miałbym napisać do dyrektora generalnego, opowiedzieć mu o swojej wizycie i spróbować uzyskać fundusze, dzięki którym on mógłby kontynuować swoje badania. To był jego plan i nie musieliśmy - jak powiedział - rozmawiać o tym w obecności „wuja”.

Gdy w hotelu siedziałem naprzeciw butelki z jaskrawozielonym płynem, pomyślałem, że mógłbym go nawet wypić. Przynajmniej spróbować, jeden raz! Wydawało mi się, że nie robiąc tego, zdradzam dobrą wiarę i entuzjazm „lekarza”. Natomiast w przeciwnym razie postąpiłbym wbrew własnemu instynktowi. W końcu wszystko... wylądowało, gulgocząc, w umywalce. Nawet gdyby to był znakomity i skuteczny środek, niewiele by mi dał, ponieważ w gruncie rzeczy nie wierzyłem w to wszystko. Nazajutrz rano oczywiście nakłamałem „lekarzowi”.

Pozostałem jeszcze w Kakinadzie przez kilka dni w oczekiwaniu na wyschnięcie pigułek. Skorzystałem z okazji, żeby odwiedzić kilka starych świątyń w regionie, zobaczyć, co zostało z portu, gdzie przed dwoma wiekami rozlokowali się jako kolonialiści Francuzi, próbujący konkurować z Anglikami. Parę razy porozmawiałem też jeszcze na osobności z „lekarzem”.

Była to niezwykła postać, dogłębnie i rozbijająco szczerą. Powiedział mi, że niedawno został brahmacharią - złożył śluby czystości i nie zamierzał się żenić. Czuł powołanie do medycyny. Był przekonany, że w śastrach, starych, świętych pismach, zawarto interpretację wszystkich zjawisk świata. Chodziło o to, żeby umieć odczytać je sercem.

Jego wizja świata była mieszaniną nauki, astrologii, religii i filozofii. Jest to coś, co oburza umysłowość zachodnią, przywykłą nie tylko rozdzielać naukę od całej reszty, ale także jedną naukę od drugiej. Dla tradycyjnego Hindusa jest to natomiast postawa jak najbardziej normalna, ponieważ w jego oczach wszystko jest wzajemnie zależne, wszystko stanowi część niewidzialnej całości. Człowiek, nie będąc wyłącznie ciałem, ale także umysłem i duszą, nie może w razie choroby być leczony wyłącznie w swoim jednym przejawie. W dodatku w tym najbardziej trywialnym, jakim jest właśnie ciało.

Fizyka i metafizyka nie są w świecie indyjskim przeciwstawne, lecz się dopełniają. Astrologia, jako pierwsza i najstarsza ze wszystkich nauk, wchodzi w skład nauki medycznej, natomiast religia i filozofia, spełniając rolę regulującą życie codzienne poprzez kombinację zasad etycznych i ćwiczeń fizycznych - wystarczy pomyśleć o jodze - nie mogą być pomijane w trakcie diagnozowania i leczenia.

„Lekarz” miał swoje korzenie w tej tradycji i mówił mi o osobowości ziół, promieni wysyłanych przez planety, sprężynie w nerce, o terapeutycznej roli dźwięków oraz boga z głową świni, do którego siły należy się odwoływać, aby utrzymać ciało w czystości.

- Świnia zjada wszelką magmę, jaka wydostaje się przez otwory człowieka: ropę z oczu, śluz z nosa, ślinę, ekskrementy - stwierdził, po czym dodał: - Czystość ciała, zarówno zewnętrzną, jak i wewnętrzną, jest bardzo ważna dla zdrowia. Ale jeszcze ważniejsze jest utrzymywanie w czystości duszy, a umysłu w spokoju.

Dla nas, nowoczesnych ludzi Zachodu, wszystko to jest trudne do przyjęcia, ale sedno indyjskiej myśli tkwi w tym, że zdrowie ciała nie jest celem samym w sobie, a tylko środkiem pozwalającym uzyskać zdrowie duszy. Dla Hindusów życie nie może zostać po prostu przeżyte, ale zrozumiane. Innymi słowy, nie żyje się, by żyć, ale żeby odkryć sens życia. Zdrowie ciała jest warunkiem sprzyjającym osiągnięciu tego celu, ale nie jedynym. Przeciwnieństwo zdrowia, to znaczy choroba, może być również znakomitą okazją do duchowego uniesienia. Tak więc niemożliwe jest w tej perspektywie przeprowadzenie rozumowania naukowego, do jakiego my, ludzie Zachodu, jesteśmy przyzwyczajeni. Na tym jednak polega spojrzenie tradycji ajurwedy.

Ayuh w sanskrycie oznacza okres między narodzinami a śmiercią, natomiast veda - wiedzę. Ajurweda jest zatem w szerszym znaczeniu „nauką o życiu”, tym, co trzeba wiedzieć na temat jedzenia, oddychania, ruchu i lekarstw, pozwalających utrzymać w zdrowiu - albo raczej w równowadze z samym sobą i światem - ciało fizyczne, aby inne nasze „ciała” - ciało duszy i ciało umysłu - mogły jak najlepiej rozwijać swoje możliwości. Cel ostateczny? Nie to, co my nazywamy zdrowiem, ale moksza, uwolnienie cyklu życia i śmierci.

A propos „zdrowia” i „pozdrawiania się”: „Lekarz” wyjaśnił, że indyjski sposób składania rąk przy piersiach oznacza również życzenie drugiej osobie dobrego samopoczucia fizycznego, ponieważ przy wykonywaniu tego gestu dochodzi do złączenia własnych punktów przekazywania energii. Natomiast pozdrawianie osoby starszej, bardziej wykształconej lub szacownej poprzez dotknięcie jej stóp służy naładowaniu się jej energią. Taki gest odbiera tej osobie siły, a zatem, jeśli na niego pozwoli, uznane to zostaje za przejaw hojności.

- Ciało utrzymuje się w pionie dzięki stopom - powiedział. - W nich mieści się cała moc. Im mocniejszy jest ten, którego stóp dotykamy, tym większy jest ładunek energii, jaką otrzymujemy.

Słuchałem „lekarza”, który, podekscytowany, opisywał związek między świętymi dźwiękami, jak OM, a zdrowiem, między roślinami a planetami. Te, dla nas bezsensowne, zestawienia mnie fascynowały. Czułem, że na swój sposób „lekarz” z Kakinady miał szerszą wizję człowieka, bardziej złożoną, a także bardziej magiczną niż moi znakomici naprawiacze z Nowego Jorku. Dla niego było oczywiste, że ciało nie jest tylko maszyną, że choroba nie jest wyłącznie faktem fizycznym i że z tego powodu również terapia nie może być jedynie kwestią chemii. Przepisana dla mnie kuracja w istocie brała również pod uwagę wpływ planet!

Podobały mi się jego opisy ziół, roślin, zwierząt, tak jakby chodziło o osoby. Ale tak naprawdę najbardziej podobał mi się on sam: czysty, wciśnięty między kowadło tradycji a młot nowoczesności, między aspirację zrozumienia tajemnicy życia a pokusę, aby ze wszystkiego zrobić interes. Bez przyjaciół, bez wsparcia, z dwoma banalnymi braćmi, rozdarty między dziadków braminów, „pobożnych i ortodoksyjnych”, a wuja bramina, „fałszywego” i bezbożnego, czuł się samotny i niezrozumiany. Myślał, że znalazł we mnie, słuchającego go i robiącego notatki, spójnię ze światem zewnętrznym.

Kiedy wyjeżdżałem, wręczył mi z nabożnością, obiema rękami, jakby chodziło o relikwie, lekarstwa, które przygotował. Przez chwilę pomyślałem, że będę je zażywał. Na znak solidarności, sympatii. Ale te wypełnione brązowymi kulkami plastikowe pojemniczki z odzysku po jakimś poprzednim użyciu szybko się zgubiły pośród wielu rzeczy, które po powrocie z podróży gdzieś kładziemy, a potem

nich zapominamy.

Nie zapomniałem natomiast o nim, „lekarzu” o płonących oczach, żyjącym w owym oddalonym od wszystkiego miasteczku, w cieniu dwóch fabryk nawozów sztucznych,

pozostaję z lekkim poczuciem winy. Nie zrobiłem nic, żeby mu pomóc. Nie napisałem nawet listu do Światowej Organizacji Zdrowia!

Ten, który tędy przeszedł

Podróżowanie. Przyjemność całego życia. Pragnienie dorastającego chłopca, które stało się zawodem, sposobem bycia. Zawsze tym samym, a przecież zawsze innym: przygotowania do wyjazdu, podróż, pisanie o niej. Ale jaki jest sens tego wszystkiego? Szczerze mówiąc, nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Teraz, kiedy siedziałem na tarasie Ganges View Hotel w Benares, patrząc na wieczny przepływ najświętszej rzeki świata, a także - tutaj równie nieuchwytną - paradę najstarszej ludzkości świata, pojąłem ów sens. Powód tego mojego całego ruchu, nieustannego wyjeżdżania w poszukiwaniu czegoś na zewnątrz, okazał się prosty: nie miałem nic w środku. Byłem pusty. Pusty, tak jak pusta jest gąbka, gotowa jednak nasiąknąć tym, w czym jest zanurzona. Wkładasz ją do wody, wypija wodę, zamoczysz ją w occie i staje się kwaśna. Gdybym nie podróżował, nie miałbym nigdy nic do powiedzenia, do opisanie; nic, nad czym mógłbym się zastanowić.

Podróżowanie mnie podniecało, ładowało, dawało do myślenia, pozwalało żyć. Przyjazd do nowego kraju, do jakiegoś odległego miejsca, to był za każdym razem płomień, zakochanie; czułem się przepełniony emocjami. Pamiętam, jakby to było wczoraj, kiedy w wieku piętnastu lat po raz pierwszy w życiu przekraczałem granicę. Pojechałem wtedy do Szwajcarii popracować jako pomywacz. A potem, po latach, samotny przejazd samochodem przez Afrykę Południową. Dalej: pierwszy dzień w Sajgonie, widok Angkor Wat, przyjazd do Samarkandy, do Kaszgaru, a konno do Lo Mantang, stolicy królestwa Mustang. Za każdym razem towarzyszyło mi uczucie odkrywania.

Czy trwało to nadal? Pod tym względem chemia i radioterapia mnie nie „zmieniły”. Przeciwnie, skłaniały do powracania na już przebyte szlaki. Przedtem jeździłem w poszukiwaniu przygód i myśli, teraz szukałem lekarza, zioła, magicznej formuły, cudu, rozwiązania moich zdrowotnych problemów. Ale w taki sam jak zawsze sposób: na zewnątrz, gdzieś w świecie. Właśnie tak człowiek cały czas postępował - tłumaczyłem sobie. Miał nadzieję, że gdzieś daleko, w jakimś innym miejscu albo innym czasie, znajduje się klucz otwierający drzwi do wszystkich tajemnic. Chodziło tylko o to, żeby go odnaleźć, ukrytego może w jakiejś jaskini, w sarkofagu jakiegoś faraona, zasypanego piaskiem pustyni albo pośród ruin Atlantydy w najgłębszych otchłaniach oceanu.

Od czasu do czasu ktoś - podejmując wielkie ryzyko - wyruszał w drogę na poszukiwanie. Dlatego w każdej cywilizacji istnieje mit podróżnika-bohatera: marnotrawny syn bogów, który gubi się i powraca po długim pielgrzymowaniu; Gilgamesz, król sumeryjski, który wciąż podróżuje, żeby nie umrzeć;

Ulisses, który z determinacją postanawia wypłynąć poza słupy Heraklesa, ostatnią granicę znanego świata.

Poza tym podróż była zawsze uważana za środek do duchowego dojrzewania, tak jakby poruszanie ciałem przyczyniało się do unoszenia duszy. W Indiach mówi się o sadhu, świętych żebrakach, którzy mieliby być jak woda - nieustannie się poruszają, bo inaczej zastygają.

Ja również, gdybym się zatrzymał, na pewno bym zastygł.

Ale teraz? Już w Kakinadzie się zastanawiałem, czy kontynuując podróż, nie będę odkrywał coraz mniej. Czasami miałem wręcz wrażenie, że dawna emocja związana z drogą zaczyna pobrzmiwać słabiej, jak potłuczona, a potem sklejona waza chińska. A poza tym dokąd miałem dotrzeć? Każdy zakątek świata coś obiecywał. Czy miałem się cofnąć w czasie do moich poprzednich wcieleń, jak sugerowała „terapia regresywna” doktora Briana Weissa? Według niego moja dzisiejsza choroba ma swoje korzenie w jakimś urazie doznanym przed wiekami. A może miałem wyruszyć w „podróż astralną”, podobną do tych, jakie odbywałem eksperymentalnie z Nicą? W tym przypadku chodziłoby o dotarcie do miejsca, o którym czytałem w jakiejś innej książce New Age. Za pośrednictwem brazylijskich uzdrowicieli ustala się spotkanie ze Szpitalem Astralnym, strefą psychiatryczną. Łączą się w niej wielcy lekarze i uzdrowiciele wszystkich tradycji i wszystkich epok, aby wspólnie opracować „dostosowaną do osobniczych potrzeb terapię, opartą na kolorach, zapachach, dźwiękach i promieniach laserowych”, która byłaby w stanie wyleczyć choroby każdego pacjenta.

Być może byłem tylko zmęczony, ale myśl, że również dla mnie przyszła chwila, aby się zatrzymać, nie okazała się aż tak bardzo odpychająca. Przyjechałem do Ganges View Hotel, żeby odpocząć po kolejnej podróży i powierzyć się opiece troskliwego właściciela Shashaka. Ten, po oddaniu każdego ranka o świcie w malutkiej świątyni u stóp tarasu należnej czci swojemu bogowi Hanumanowi, Królowi Małp, całą resztę dnia poświęcał z takim samym oddaniem swoim gościom. Oferował im uczoną rozmowę, bardzo proste, ale czyste potrawy wegetariańskie, porady oraz wieczorne koncerty na sitarze.

Potrzebowałem tego. Tym razem przybywałem ze stanu Bihar, jednego z najpiękniejszych, ale też jednego z najbardziej brudnych i przygnębiających w całych Indiach, Ziemia, gdzie niegdyś kwitły bogate republiki i wielkie imperia rządzone przez mędrców, należała dziś do najbiedniejszych, a jednocześnie najbardziej bandyckich i zalanych przemocą regionów kraju. Bihar był także kolebką buddyzmu i dlatego tam pojechałem.

Zwiedziłem Rajgir, gdzie - na Wzgórzu Sępów - są jeszcze jaskinie, w których Budda i Ananda, jego ulubiony uczeń i kuzyn, oddawali się medytacji. Byłem w ruinach Nalandy, wielkiego, sławnego uniwersytetu buddyjskiego, sanktuarium życia wewnętrznego całej epoki. Między czwartym a trzynastym wiekiem przewijały się przez niego największe umysły filozoficzne Azji, dopóki muzułmańscy najeźdźcy nie zrównali go z ziemią, mordując dziesięć tysięcy nauczycieli i studentów oraz spychając buddyzm za łańcuch Himalajów, żeby poszukał schronienia w Tybecie. Chinach i Japonii.

Potem byłem w Bodh Gai, gdzie pod świętym figowcem, drzewem, które wciąż istnieje, po odrodzeniu się dwukrotnie z pierwotnej rośliny Budda doznał oświecenia. Stamtąd pokonałem drogę

do Benaresu. Kierowca odmówił jednak jazdy przed świtem ze strachu przed bandytami, którzy - jak twierdził - po ciemku zatrzymywali i okradali samochody.

Chciałem odwiedzić święte miejsca buddyzmu, żeby poczuć ich spiritus loci, żeby zobaczyć na własne oczy ową maleńką część świata - praktycznie tylko równinę otoczoną siedmioma wzgórzami - gdzie dwa i pół tysiąca lat temu narodziła się legenda, która, podobnie jak legenda Mojżesza wcześniej, a Jezusa i Mahometa potem, zdeterminowała historię ludzkości.

Chciałem prześledzić po kolei etapy wędrówki Buddy, ponieważ - jawiło mi się to coraz wyraźniej - również jego mit jest zasadniczo mitem podróży. Wychodzi ona od tego, co w człowieku jest najbardziej fizyczne i materialne, to znaczy ciało, aby dotrzeć do sfer najbardziej duchowych. W przypadku Buddy jest to próżnia umysłu, „nicność” nirwany. A ponieważ mit przekazuje to, co wszyscy nieświadomie mię odczuwamy w sobie jako prawdziwe, więc wciąż nie traci na sile.

Gautama Siddhartha był młodym, bogatym i szczęśliwym księciem. Poślubił piękną kobietę, a ta wydała na świat chłopca. Ojcem Gautamy był władca małego królestwa Sakjów, a on miał zostać jego następcą. Jednak pewnego dnia, wychodząc przez bramy miasta, w którym dotąd dorastał, chroniony przed wszystkim, natknął się na chorego, na starca i na zmarłego. Zdał sobie wówczas sprawę, że ciało ludzkie - również jego - jest nie tylko źródłem radości, lecz także bólu.

Myśl ta nigdy go już nie opuściła. Więcej, skłoniła do opuszczenia żony, syna i królestwa. Postanowił całkowicie zmienić życie, szukając - nie tylko dla siebie, ale dla całej ludzkości - drogi wyjścia z cierpienia. Początkowo myślał, że wszystko uzależnione jest od ciała. Spróbował więc oderwać się od niego, nie spełniając jego wymagań dotyczących pożywienia, wody i okrycia. Przez sześć lat żył jako pustelnik w lesie, jedząc dziennie tylko ziarno ryżu albo sezamu. Ale kiedy zmienił się w ów makabryczny i szokujący szkielet, przedstawiany przez niektóre z najpiękniejszych posągów Gandhary, niezdolny do utrzymania się na nogach i zachowania przytomności, pojął, że brak dbałości o ciało oznacza brak dbałości o umysł, co uniemożliwia medytację. Wtedy postanowił odzyskać zdrowie.

Żyjąc tym, co dostawał od ludzi, wciąż w milczeniu kontynuował swoje poszukiwania, aż pewnego dnia usiadł pod drzewem, które stało się potem drzewem bodhi, oświecenia, z postanowieniem, że nie wstanie, dopóki nie znajdzie odpowiedzi. Było wiele pokus, którym musiał się oprzeć, ale przewyciężył wszystkie, łącznie z ostatnią, kiedy ukazały mu się trzy przepiękne tancerki, które próbowały go uwieść.

(Poza tymi oczywistymi, dotyczącymi zmysłów, doznał też pokusy, którą lubię nazywać polityczną. Wróg Buddy, Mara, dla jasności diabeł, przyjął postać posłańca, który przybywa w imieniu jego rodziny błagać, by wrócił do domu. Tron został zawłaszczony, ojciec wtrącony do więzienia, żona i syn stali się własnością uzurpatorów. Tylko on. Budda, może interweniować, aby przywrócić sprawiedliwość i pokój.)

O świecie zwyciężył.

- Teraz wiem wszystko, co można wiedzieć, mam wszystko, co można mieć. Nic więcej mi nie trzeba - powiedział. Był sam i musiał wziąć ziemię na świadka swojego oświecenia.

Przez siedem tygodni księżę, który stał się teraz Buddą - Oświeconym albo Przebudzonym - pozostał obok drzewa, któremu tak wiele zawdzięczał, po czym przeniósł się do Sarnath, na peryferiach Benaresu, i tam po raz pierwszy, w obliczu pięciu uczniów, wprowadził w ruch koło nauczania. Zaczął głosić, że między ślepą pogonią za przyjemnościami zmysłowymi a ascetycznym odrzucaniem ciała i całej reszty istnieje droga pośrednia, która prowadzi do oderwania się od namiętności, do wewnętrznego spokoju, a co za tym idzie - usunięcia cierpienia. Jest to droga dharma: właściwego sposobu widzenia, mówienia, zachowania, życia, medytowania, kierowania wysiłkiem, dążeniami i świadomością.

To, czym dokładnie było dla Buddy oświecenie, pozostało tajemnicą. Nigdy nie mówił o tym szczegółowo. Słowa nie zawsze pomagają zrozumieć - twierdził. Każdy musi sam tego doświadczyć. On wskazał drogę. Inni powinni nią podążać.

Ze wszystkich opowieści o jego życiu Budda wyłania się jako człowiek rozsądny, przeciwnik myślenia fideistycznego - go, okultyzmu i dogmatów. Pewien uczeń zarzucał go intelektualnymi pytaniami i znów przypuścił atak, chcąc się dowiedzieć, czy dusza istnieje jeszcze przed narodzeniem. Budda w odpowiedzi przytoczył historię żołnierza przeszytego strzałami, który niezwłocznie udaje się do chirurga, żeby ten wyjął mu groty i uratował życie. Jednak medyk chce przedtem wiedzieć, kto go zranił i z jakim zamiarem. Opowiadając tę anegdotę, Budda chciał wyjaśnić uczniowi, że jego pytanie jest nieistotne, ponieważ bez względu na odpowiedź tak naprawdę ważne jest, aby zrozumieć znaczenie narodzin, starzenia się, śmierci i cierpienia. Budda nie lubił definicji. Wiedział, że mogą to być pułapki, podobnie jak słowa. Pewnego razu uczniowie zapytali go, czy gdyby umarł, wciąż by jeszcze był. Odpowiedział następująco:

- Jeśli powiem tak, wywołam zamęt, jeśli powiem nie, wywołam inny zamęt. Po śmierci Tathagata będzie bez granic, jak ocean.

Tathagata było to określenie, jakiego używał w stosunku do siebie, i imię, jakim chciał, by go nazywano. Oznacza ono: „Ten, który tędy przeszedł”. Pragnął w ten sposób podkreślić, że nie jest nikim szczególnym, że nie jest ani pierwszym, ani ostatnim Oświeconym, że nie jest bogiem, ale tylko człowiekiem jak inni, kimś, kto przeszedł tędy, którego mogą przejść wszyscy inni, którzy podążają za nim drogą.

Umarł w wieku osiemdziesięciu lat, otruty jadem, które ofiarował mu ze szczerym oddaniem pewien niedotykalny. Według jednej z wersji miał być to talerz grzybów, według innej mięso świni. Jego ostatnie słowa, skierowane do uczniów, brzmiały:

- Wszystko, co istnieje, upada i gnije. Teraz pracujcie pilnie na wasze zbawienie.

W następnych wiekach doktryna Oświeconego rozprzestrzeniła się po całych Indiach. Różni królowie nawrócili się na nią ze wszystkimi swoimi poddanymi, w tym wielki cesarz Aśoka, który zaniósł doktrynę dharma aż na Cejlon, skąd potem rozprzestrzeniła się na całą Azję Południowo-Wschodnią.

Buddyzm, ze swoim negowaniem rytuałów, odrzuceniem kast oraz wprowadzeniem obcego hinduizmowi pojęcia współczucia, stanowił dla Indii prawdziwą rewolucję, być może jedyną w całej długiej historii tego kraju. Ale jako rewolucja, choć o charakterze duchowym, w praktyce była skierowana przeciwko władzy religijnej, a tym samym dominacji politycznej braminów, najwyższej kasty w społeczeństwie indyjskim. Ich reakcja była powolna. Dopiero w ósmym wieku po Chrystusie

bramini, dzięki Śankarze, wielkiemu filozofowi hinduistycznemu, komentatorowi Wed, który mieszkał właśnie w Benares, zdołali wyprowadzić kontrofensywę ideologiczną i osłabić wpływ buddyzmu na ludność niższych kast. Reszty dokonali muzułmanie. Pod koniec trzynastego wieku doktryna Oświeconego była praktycznie martwa w kraju, w którym się zrodziła. I tak pozostało po dziś dzień.

Budda stał się częścią ogromnego hinduistycznego panteonu, buddyzm jest oficjalnie uznawany, pojęcia buddyjskie, takie jak dharma, które miały skądinąd pochodzenie hinduistyczne, zakorzenione są w powszechnym światopoglądzie mieszkańców. Hindusi praktycznie jednak zapomnieli, że Gautama Siddhartha był jednym z nich, więc z rozbawieniem pytałem wielu sprzedawców pamiątek w Bodh Gai, dlaczego Budda na ich posążkach dla turystów ma skośne oczy.

Budda jest już Chińczykiem, Japończykiem, Tybetańczykiem, Mongołem, mieszkańcem Indochin albo Tajlandii, ale nigdy Indii. Szczególnie w Indiach.

Z wysokości tarasu Ganges View patrzyłem codziennie rano na wschód słońca na drugim brzegu rzeki, natomiast na moim brzegu na tłum wiernych, którzy pochylali się nad wodą, czerpali ją w dłonie, podnosili ręce do nieba i ofiarowali pierwszym promieniom krople, które opadały, połyskując.

Przedziwne widowisko: na tym nabrzeżu, na odcinku kilku kilometrów, dziesiątki tysięcy osób zwróconych ku wodzie, stojących u stóp schodów, świątyń, domów, pałaców, pośród śpiewów, modłów, dźwięku dzwonków; na drugim nabrzeżu nikogo, nic, tylko opary tajemniczej mgły nad zupełnie opustoszałą ziemią. Pełnia i pustka, światło i cień, dźwięk i cisza: inna wielka metafora dwóch przeciwieństw, które tworzą jedność, Prawdy, stanowiącej harmonię kontrastów. Benares jest bowiem miastem świętym, ale tylko po zachodniej stronie. I tylko ten, kto umiera na zachodnim brzegu Gangesu, zatłoczonym, hałaśliwym i słonecznym, gdzie dniem i nocą płoną zachłanne płomienie stosów, może ocalić się przed ponownym narodzeniem. Na drugim brzegu nie dzieje się nigdy nic, chyba że dopłyną tam jakieś zwłoki dziecka albo sadhu, które prąd wyrzuca na piasek. Tam nic nie istnieje ani się nie staje. Tam śmierć nie jest wyzwoleniem. (Noworodki i sadhu nie są kremowani, tylko powierzani wodzie).

Jak daleko sięga pamięć ludzka, tak się właśnie dzieje. Benares jest najstarszym istniejącym miastem i od czterech tysięcy lat miliony Hindusów przybywały tu, żeby umrzeć. Niektórzy zaś po to, by nie powrócić znów do życia, ponieważ ten zachodni brzeg Gangesu jest jedynym miejscem na ziemi, gdzie bogowie na to pozwalają. Dlatego Benares, święte miasto, miasto śmierci, pozostaje poza światem, należy do innej rzeczywistości, żyje w innym wymiarze.

Czasami naprawdę potrzebowałem ochronnej odległości tarasu, żeby nie zagubić się i próbować zrozumieć. Dla nas, ludzi Zachodu, trudno jest utożsamiać świętość z nędzą, brudem, zgnilizną. Jednak musiałem pamiętać, że cywilizacja indyjska ma także za ideał życie żebraków, więc ja również zostałem wciągnięty przez ową świętą gorączkę śmierci, która nie miała w sobie nic ze smutku.

Zdarza się, że przy obserwowaniu jakiegoś detalu, uderza nas całość, w której ten szczegół jest bez znaczenia. Pewnego ranka, niemal bezwiednie, śledziłem wzrokiem kobietę, która troskliwie i starannie podlewała i układała łańcuch z pomarańczowych kwiatów na szyi małej, kamiennej bogini nad brzegiem Gangesu, pod moim tarasem. Podeszła czarna koza i oderwała kawałek wieńca. Zabierała się do drugiego, kiedy została odpędzona przez krowę. To święte zwierzę za jednym

zamachem pochłonęło całe piękno kwiatów i modłów, które kobieta ofiarowywała jeszcze swojej bogini. Nikt się nie zbuntował i wkrótce kobieta, koza i krowa odeszły każda w swoją stronę, odegrawszy przypisaną sobie rolę w wielkiej komedii iluzji. Występują w niej miliardy ludzi i zwierząt, istot widzialnych i niewidzialnych, które w tym samym momencie na miliardach różnych planet w wiecznym czasie nieskończonego wszechświata obracają się nieustannie po kole istnienia.

Kiedy przed laty Angela stanęła na tym samym tarasie, powiedziała:

- Stąd widać świat w taki sposób, w jaki musi go widzieć Bóg... i tu się rozumie, że nie może zajmować się tym wszystkim, co się dzieje.

Czy to możliwe, że część niepokoju ludzi Zachodu wynika z faktu, iż chcielibyśmy właśnie zajmować się tym, co się dzieje na świecie, a często nawet go zmieniać? Czyż naprawdę w myśli wschodniej nie kryje się wielka mądrość, według której to, co jest poza nami, pozostaje niezmiennie, a jedyną nadzieją jest zmiana w nas samych?

Takie było również przesłanie Oświeconego, dla którego jednak zmiana samego siebie musiała być owocem wysiłku, „sumiennej pracy”. Ocalenie, według niego, nie przychodziło po prostu wraz ze śmiercią w Benares. I nie przypadkiem udał się do Sarnath, aby to obwieścić.

Idąc od Ganges View Hotel na północ, wzdłuż schodów prowadzących do rzeki, natykamy się na dwa pola kremacyjne, gdzie trwa nieprzerwana praca, polegająca na układaniu ciał - publicznie, na oczach wszystkich. Godzinami obserwowałem nieustanny przepływ żywych i martwych, ciągłą krzątaninę wokół ognia zatrudnionych tam ludzi oraz krewnych nieboszczyków. Uderzyło mnie, że nikt nigdy nie płakał. Śmierć była faktem, przeciwko któremu nikt nie zdawał się buntować. A my, ludzie Zachodu, akceptujemy ją z takim trudem! Dla nas jest zawsze porażką, czymś, przeciwko czemu musimy walczyć wszelkimi środkami, a in extremis mieć choćby nadzieję na „cud”, który -kłoni naturę, aby przynajmniej ten jeden raz zmieniła swoje ustalone prawa.

Pewnego razu jakaś kobieta stanęła przed Oświeconym z dopiero co zmarłym dzieckiem na ręku i poprosiła o cud, aby ten zwrócił mu życie. Budda powiedział, że uczyni to, ale pod jednym warunkiem: że kobieta przyniesie mu garść ryżu od rodziny, której nigdy nie odwiedziła śmierć. Kobieta pobiegła, chodziła od domu do domu, od wsi do wsi, ale do kogokolwiek się nie zwróciła, był tam kiedyś jakiś zmarły. Kobieta wróciła do Buddy, zrezygnowana. Ale zrozumiała, a „Ten, który tędy przeszedł”, pocieszył ją. Teraz obydwójce są na tej samej drodze.

A ciało? Patrząc na tych, którzy pospiesznie puszczani byli z dymem na stosach, myślałem o tym, jak bardzo identyfikujemy się z naszym ciałem i jak bardzo nie potrafimy się od niego odłączyć. Nawet nasze nadzieje związane z nieśmiertelnością i zmartwychwstaniem dotyczą ciała. Nie jesteśmy w stanie, jak Hindusi albo Oświecony, dostrzec w nim narzędzia, które raz użyte, można bez żalu wyrzucić.

Na ulicach Benares spotyka się bezustannie procesje Kierujące się na pola kremacji. Zwłoki, owinięte w płótno, .łożone są na bambusowych noszach, niesionych na ramionach przez czterech mężczyzn. Orszak nie ma w sobie nic żałobnego, smętnego, nie wlecze się. Przeciwnie. Posuwa się krokiem marszowym, niemal biegnąc, nie zważając specjalnie na zmarłego, który podskakuje na noszach i uderza o nie głową. Nie towarzyszy mu żałobna muzyka, tylko szybkie, pulsujące okrzyki niektórych ludzi:

Ram nama satya hey (tylko imię Ramy jest prawdą).

I odpowiedź tłumu:

Satya hey, satya hey (prawda, prawda).

I naprzód, szybko do stosu, pod który pierworodny zmarłego, który właśnie ogolił głowę, podkłada ogień. Potem przygląda się płomieniom trawiącym polana i ciało, aż w końcu chlusta na popioły z miski napełnionej świętą wodą z Gangesu. Następnie, nie odwracając się, idzie dokonać oczyszczających ablucji i powraca do koła świata.

To nie jest pogrzeb jego ojca, tylko jego ciała, niepotrzebnej już materii, niemającej żadnej wartości, której trzeba i można z łatwością się pozbyć.

My, ludzie Zachodu, za naturalne natomiast uważamy widzenie zmarłego poprzez jego ciało i czynienie z tego ciała obiektu naszego bólu. Kiedy zaś chodzi o nasze własne ciało, identyfikacja jest jeszcze silniejsza. Dlatego owo pójście z dymem zatrwaja nas i nie wystarcza nam wizja sufi mojego ukochanego Rumiego, który pisze:

Umarłem już jako minerał i stałem się rośliną

Umarłem jako roślina i wzniosłem się do zwierzęcia

Umarłem jako zwierzę i teraz oto jestem człowiekiem.

Dlaczego się bać?

Kiedyż to stałem się czymś mniej

Umierając?

Któregoś dnia Shashnak przysiadł się do mnie na tarasie. Przyniósł mi książkę o Benares, którą - jak powiedział - musiałem koniecznie przeczytać. Miał rację. Pośród wielu pięknych historii dotyczących tego miasta poza światem znalazłem tam także fragment Brahman, części starych, świętych tekstów Indii. Są to wersy, w których Indra, bóg opiekuńczy podróżników, zachęca młodzieńca imieniem Rohita, by podjął życie na drodze:

Nie ma szczęścia dla kogoś, kto nie podróżuje, Rohito!

Od przebywania w społeczeństwie ludzi

Nawet najlepszy z nich się gubi.

Wyruszaj w podróż.

Stopy wędrowca stają się silne,

Jego dusza dojrzewa i wydaje owoce,

A jego przywary zmywane są trudami podróży. Los kogoś, kto stoi w miejscu, nie porusza się, Śpi razem z nim I wstaje, kiedy ten się budzi. A więc idź, podróżuj, Rohito!

Oczywiście Indra znalazł właściwy sposób, żeby przemówić również do mnie. Kilka dni później wróciłem do Delhi, a stamtąd ruszyłem dalej. Nie mogłem jeszcze się zatrzymać, tym bardziej pod drzewem. W gruncie rzeczy byłem zawsze tylko gąbką, a moje stopy wciąż jeszcze myślały, że mogą się stać... kwiatami.

Siła modłów

Dworzec kolejowy w starym Delhi nocą jest jednym z tych miejsc, gdzie podróżny z Zachodu, który nie przywykł jeszcze do Indii, może wpaść w panikę i mieć ochotę tylko na ucieczkę. Kiedy w dodatku dociera tam po opuszczeniu pachnącego luksusem jednego z hoteli trompe l'oeil, gdzie z reguły zatrzymują się zagraniczni turyści, obsługiwani przez kelnerów przebranych za maharadzów, może pomyśleć, że pomylił wiek lub planetę. Niewykluczone, iż przyjdzie mu do głowy, że wpadł w czeluść piekielną albo w ruchomą reprodukcję naszego wyobrażenia o mrocznych czasach średniowiecza.

Nic w żadnej innej części świata nie wygląda tak, jak ta nieprzerwana, wezbrana rzeka ludzi, biedny i kolorowy tłum, który wspina się i schodzi po wiaduktach, zbite w grudy ciała śpiące pod daszkami, policjanci ze swoimi groźnymi, bambusowymi pałkami, chłopci sikhowie w błękitnych tunikach, z połyskującymi mieczami u boku, sadhu ubrani na pomarańczowo i uzbrojeni w trójzęby, tragarze w czerwonych prochowcach, ze stosem chwiejących się bagaży na głowie, perony zasypane śmieciami, po których uganiają się szczury, zbieracze plastiku z torbami, grzebiący w nich swoimi szpikulcami, oraz bandy chłopców, którzy żyją z odpadków i drobnych kradzieży tam, gdzie jest ich dom: na dworcu.

Z tego dworca odjeżdżają wszystkie duże pociągi w kraju: te, które przez noc hałaśliwego stukotu dowożą do stóp Himalajów albo na pustynię Radżasthanu, nad brzegi Gangesu albo na równiny środkowych Indii. Pociągi, które się wykolejają, które się zderzają, które są wysadzone w powietrze, za każdym razem pochłaniając dziesiątki ofiar śmiertelnych, co na kilka godzin czyni z nich gorący news. Później wszystko zaczyna się od początku: odjazdy, wykolejenia, zderzenia, eksplozje, średniowieczny tłum santonów, policjantów, chłopów i ubranych na czerwono tragarzy.

Mój pociąg kierował się na północ i o szóstej rano miał dotrzeć do Pathankot. To stacja, skąd najbliższej do Dharamsali, miejsca wygnania dalajlamy, duchowego i politycznego centrum tybetańskiej diaspory, celu podróży wielu młodych ludzi z Zachodu, jak tej Angielki, której przydzielono kuszetkę pode mną.

- Dlaczego jedziesz do Dharamsali?

- Jak wszyscy. Bo jestem nieszczęśliwa - odparła.

To nie był mój przypadek. Ja jechałem tam szukać lekarstwa na moją chorobę. Jednak, mimo różnych intencji, przyciągała nas do Dharamsali ta sama siła: siłą mitu Tybetu jako ostoji spokoju, miejsca tajemnic i cudownych mocy.

Mit jest stary. Początkowo żywił się tym, że ze wszystkich krajów świata Tybet, osłonięty łańcuchem Himalajów, był jedynym niedostępnym; że władająca tu teokracja, na czele z dalajlamą, uznawanym za boga i króla, nie dopuszczała tam żadnego obcego; że nieliczni, którzy zdołali się tam przedostać,

ryzykując własnym życiem, powrócili z niesłychanymi opowieściami o wielkich bogactwach i o mnichach obdarzonych magicznymi mocami, jak na przykład umiejętnością biegania z prędkością wiatru albo zdolnością do przeżycia nago na śniegu.

Człowiek ma wrodzoną potrzebę, aby myśleć, że istnieje gdzieś jakieś Eldorado, raj, w którym istoty ludzkie żyją w zgodzie z sobą i gdzie - niepoddane już prawom natury - są wolne od wszystkiego. Może też od śmierci. Tybet, ogromny płaskowyż o niezrównanym pięknie, z soczyste zielonymi pastwiskami pośród imponujących gór, z tajemniczymi klasztorami przyczepionymi do skał i krystalicznymi jeziorami, z których powierzchni pewni lamowie - jak się mawiało - potrafili odczytać przyszłość, był idealnym miejscem, gdzie owo marzenie mogło się ziścić. To tam znajdowała się Sambhala, mityczne królestwo czystości, przedproże nirwany, ostatecznego celu buddystów; to tam była Dolina Księżycza z Shangri-La, gdzie - jeśli ktoś tam przybywał i postanawiał nie wracać - można było dążyć do nieśmiertelności. Tam, w Tybecie, wszystko było magiczne i nikt nie potrafił oprzeć się jego urokowi. Nawet oficer kolonialnego imperium Korony Brytyjskiej!

W 1903 roku, kiedy pierwsza obca kolumna wojskowa wkracza do kraju i dociera do stolicy, dowódca ekspedycji, młody pułkownik Francis Younghusband, zsiada z konia, wspina się na wzgórze wznoszące się nad równiną Lhasa i doznaje wstrząsającego doświadczenia duchowego. „Z radości wyszedłem poza siebie, cały świat zdawał mi się płonąć taką samą, nieuchwytną miłością, jaka płonęła we mnie. Wbrew wszelkiej logice poczułem wielką dobroć wszystkich ludzi i przekonałem się, że każdy człowiek w swoim sercu jest boski” - napisał potem. Od tamtej pory jego życie całkowicie się odmieniło, a mit zataczał coraz szersze kręgi.

W 1959 roku chińscy komuniści na rozkaz Mao najechali Tybet, spalili klasztory, zamordowali tysiące mnichów i zmusili dalajlamę do ucieczki do Indii. Ten tajemniczy i niepodległy kraj był teraz kolonizowany, niszczony i przerabiany na modłę chińską. Jednak mit przetrwał. A wręcz stał się symbolem cywilizacji ducha dręczonej przez komunistyczny materializm.

Kiedy dalajlama, jeden z niewielu „wielkich” naszych czasów, otrzymuje w 1989 roku Pokojową Nagrodę Nobla, Tybet jest u szczytu popularności. Występują w jego obronie wszyscy idealisci, a Dharamsala - lub raczej McLeod Ganj, położone wyżej miasteczko, w którym rezyduje Jego Świątobliwość - staje się celem wszystkich poszukujących... szczęścia.

Przybywają tu tysiące młodych Europejczyków i Amerykanów, a dziesiątki z nich zostają mnichami. Przyjeżdżają sławni hollywoodzcy aktorzy, pisarze, artyści. Przybywa nawet wielu młodych Izraelczyków, którzy - po odbyciu brutalnej służby wojskowej - mają nadzieję, że tam, na górze, zrzucą z siebie nienawiść, którą przesiąkli. Niemal jednocześnie powstają dwie superprodukcje na temat dziejów Tybetu i życia dalajlamy. Wszystko to, co tybetańskie, poczynając od sztuki, po buddyzm i medycynę, zyskuje na wartości i wiarygodności.

Mnie również Dharamsala zawsze się podobała. Byłem tam kilka razy: przeprowadzałem wywiady z dalajlamą, pisałem o Tybetańczykach i ich beznadziejnej już sprawie. Zatrzymałem się zazwyczaj w Kashmir Cottage. To bungalow, który dalajlama po przybyciu do Indii kupił swojej matce i gdzie ona zmarła. Przeszedł on na własność najmłodszego z braci, Tenzina Cheogyała, znanego wszystkim jako T. C., który urządził tam swoją rezydencję i mały, spokojny pensjonat.

Ostatnio byłem tam w styczniu 1996 roku z Angelą i Leopoldem, starym przyjacielem i towarzyszem wielu przygód. Pojechaliliśmy do Dharamsali specjalnie dla niego. Leopold nie czuł się dobrze. Sprzedał wytwórnę biżuterii w Bangkoku, ponieważ nie chciał już - jak mówił - „spędzać życia na produkowaniu zbędnych rzeczy”. Założył czasopismo, zaczął pisać, ale często brakowało mu sił. Czuł się słabo.

Paryscy lekarze znaleźli mu coś w wątrobie, być może żółtaczkę. Ale przed postawieniem ostatecznej diagnozy chcieli jeszcze zrobić dla pewności dodatkowe badania, natomiast Leopold wołał odsunąć to wszystko, żeby udać się w podróż. Przyjechał do nas do Delhi, rozmawialiśmy o żółtaczce i ja opowiedziałem mu o dwóch „cudownych” metodach leczniczych, o których słyszałem w moich stronach. Jedną z nich była praktykowana w Peszawarze, pakistańskim mieście w pobliżu granicy z Afganistanem. Opisał mi ją stary muzułmanin, kupiec dywanów, który przysięgał, że w ten sposób się wyleczył: Bierze się kożę, odziera ze skóry, okrywa się nagie ciało jej zakrwawioną skórą i śpi w niej przez kilka nocy.

Po tygodniu wątroba jest całkowicie zdrowa - zapewniał.

Druga kuracja była tybetańska i przeprowadzał ją osobisty lekarz dalajlamy. Specjalizował się w chorobach wątroby. Tej właśnie metody postanowiliśmy spróbować. I tak to, po zakwaterowaniu się w Kashmir Cottage, rekomendowani przez T. C., Leopolda, Angelę i ja zostaliśmy przyjęci w Men-Tsee-Khang, dosłownie Instytucie Medyczno-Astrologicznym, gdzie spotkaliśmy się z jego sławnym dyrektorem, doktorem Tenzinem Choedrakiem. Miał ponad siedemdziesiąt lat, był chudy, twarz miał trochę wykrzywioną, a oczy lekko zezowate z powodu licznych ciosów, jakie otrzymał od Chińczyków przez prawie dwadzieścia lat spędzonych w więzieniu.

Z ramionami opartymi o okno, owinięty w czerwoną narzutę, doktor Choedrak siedział z nogami skrzyżowanymi na drewnianym podeście, który w dzień służył mu jako ambulatorium, a w nocy jako łóżko. My także, w towarzystwie młodej Tybetanki, która asystowała nam jako tłumaczka, tam usiedliśmy. Wszystko było proste i skromne, człowiek ten zaś serdeczny i pogodny.

W poprzednich życiach my, Tybetańczycy, musieliśmy zrobić Chińczykom wielką krzywdę. Dlatego teraz oni traktują nas tak samo - powiedział.

Jego życie obrośli już legendą. Urodzony w wiosce trzy dni drogi od Lhasy, wstąpił jako dziecko do jednego z wielkich klasztorów w okolicy, a gdy miał trzynaście lat, został wybrany do uczęszczania na kursy w Szkole Medycyny w stolicy. W wieku trzydziestu lat, uznany za jednego z najbłyskotliwszych lekarzy w kraju, został przydzielony do Potali, rezydencji dalajlamy, żeby zajmować się zdrowiem jedenaście lat od siebie młodszego boga-króla Tybetu.

Kiedy w 1959 roku dalajlama w przebraniu prostego żołnierza uciekł do Indii, wiele osób z jego otoczenia, żeby nie wzbudzać podejrzeń, pozostało na swoim miejscu w Lhasie. Był wśród nich Tenzin Choedrak, którego wkrótce, wraz z tysiącami innych zwolenników dalajlamy, aresztowano, wtrącono do więzienia i poddano wszelkiego rodzaju torturom.

Fakt, że lekarz ten zna tajemne formuły pewnych specjalnych lekarstw, zupełnie Chińczyków nie interesował. Gardzili wszystkim, co tybetańskie, a wszelkie aspekty życia związane z religią uważali za przeszkodę na drodze do modernizacji i zwalczali. Skazali Tenzina Choedraka na ciężkie roboty, a po zajęciu Potali wyrzucili masę starych rzeczy, które ich zdaniem zawały pałac. Było wśród nich

dwieście kilo dziwnego czarnego proszku, pozornie nieużytecznego, którego jednak Tybetańczycy zazdrośnie strzegli przez ponad trzy stulecia.

Z upływem lat Chińczycy zorientowali się, że pracujący w kamieniołomach Tenzin Choedrak jest postacią szczególną. Przede wszystkim - w przeciwieństwie do wielu innych więźniów - wciąż żył. Znał więc być może jakiś sekret, który mógł być pożyteczny również dla nich. Poza tym po jakimś czasie do Chińczyków dotarło, że czarny proszek, który wylądował w potoku, był bardzo cenną mieszanką złota i srebra, oczyszczoną w drodze bardzo skomplikowanego procesu. Przy użyciu owego proszku tacy lekarze jak Tenzin Choedrak wytworzyli „cenną pigułkę długowieczności”.

Chińczycy zaoferowali mu wolność, jeśli zdradzi, jak zrobić czarny proszek, a przy jego użyciu - słynne pigułki. Początkowo Choedrak odmówił. Nastąpiły długie i potajemne pertraktacje, w których brali również udział wysłannicy dalajlamy. W 1980 roku władze w Pekinie pozwoliły Choedrakowi opuścić Chiny i udać się na zesłanie do Dharamsali.

Od tamtej pory Tenzin Choedrak znów jest osobistym lekarzem „Jego Świątobliwości” - widuje go dwa razy w tygodniu. Objął dykcję Instytutu Medyczno-Astrologicznego, uruchomił produkcję trzech różnych typów „cennych pigułek” i wprowadził w arkana swej sztuki setkę młodych tybetańskich lekarzy.

Tego oto człowieka mieliśmy teraz przed sobą. Chciał poznać objawy złego samopoczucia Leopolda, zajrzał mu w oczy, do ust. Później ujął jego nadgarstki i przykrywając oczy, skoncentrował się. Konsultacja trwała krótko. Przypadek Leopolda był według doktora Choedraka prosty: miał co prawda problemy z wątrobą, ale jego pigułki go wyleczą. I zabrał się do wypisywania recepty, z którą mieliśmy pójść do apteki. My jednak nie kwapiliśmy się, żeby już wychodzić. Chcieliśmy go jeszcze zapytać o tyle rzeczy!

Zacząłem ja. Jak mu się udało przeżyć ciężkie roboty?

- Wytwarzając ogień w moim żołądku - odparł. - Dzięki niemu byłem w stanie strawić niejadalne pożywienie, które innych zabijało.

Nauczył się tego jeszcze w dzieciństwie w pierwszym klasztorze od pewnego lamy. Nie mógł powiedzieć nic więcej, ponieważ była to „tajemnica, która przechodziła tylko z mistrza na ucznia”.

Zapytaliśmy, jakie jeszcze choroby jest w stanie wyleczyć. Niczym się nie chwalił. Powiedział, że wielu ludzi z Zachodu, szczególnie Amerykanów, przyjeżdża do niego w poszukiwaniu lekarstwa na AIDS, ale on takiego nie ma. Co najwyżej potrafi poprawić jakość ich życia.

Wówczas nie interesowałem się rakiem; była to choroba, która przytrafiała się tylko innym. Zapytałem go natomiast, czy potrafi wyleczyć depresję. To z pozoru niewinne pytanie doprowadziło do dziwnego wydarzenia, którego jeszcze dziś nie potrafię sobie wytłumaczyć. Choedrak powiedział, że depresja jest chorobą przede wszystkim ludzi Zachodu.

- Powód jest taki - dodał - że zbyt się przywiązujecie do rzeczy. Macie bzika na tym punkcie. Ktoś gubi, na przy- ad, pióro, i od tej pory nie myśli o niczym innym, tylko o tym. Nie zastanawia się, że nie ma ono żadnej wartości, że można też pisać ołówkiem. Na Zachodzie nadmiernie przejmujecie się sprawami materialnymi.

Śluchałem go i automatycznie robiłem notatki swoim starym, czarnym piórem Montblanc. Rozmawialiśmy jeszcze o jego niewoli, o cennych pigułkach, o mantrach, o formułach magicznych, które należy wypowiadać w trakcie ich przygotowywania, a ja wciąż notowałem moim piórem. Na koniec podziękowaliśmy, poszliśmy do apteki odebrać pigułki, wróciliśmy do Kashmir Cottage i tam się zorientowałem, że... mój Montblanc zniknął!

Natychmiast posłałem tłumaczkę do lekarza, poprosiłem brata dalajlamy, żeby zadzwonił do Instytutu. Wszystko na nic. Pióro przepadło. A ja wciąż o nim myślałem. Nie dlatego, że byłem do niego przywiązany. Zacząłem podejrzewać, że stary lekarz, słysząc w moich pytaniach nutę sceptycyzmu, chciał zademonstrować swoją „moc” i dać mi lekcję. Czy to możliwe?

Tego samego wieczora Leopold zaczął zażywać swoje pigułki. Wyglądały rzeczywiście jak owcze bobki, a jednak wszyscy byliśmy przekonani, że mają jakieś szczególne właściwości. I miały. Były „wypełnione”: historią, która nas do nich doprowadziła, mantrami, które towarzyszyły ich wytwarzaniu, ścisłymi zaleceniami, jakich musiał się trzymać pacjent przy zażywaniu: rozgryzać jedną po drugiej i połykać, popijając małymi łykami letniej wody. Były wypełnione całą mocą, jaką przypisywał im umysł pacjenta.

Umysł, wciąż umysł! Tam mieści się magia. Stamtąd również pochodził „ogień w żołądku”, o którym mówił nam Choedrak. Ćwiczenie, zwane tummo, mistyczny ogień, stanowiło część starej praktyki jogi, którą Tybetańczycy dostosowali do swoich warunków klimatycznych. Żeby mnisi mogli przetrwać w wielkim zimnie, uczono ich, aby się ogrzewali, koncentrując umysł na wyobrażonym we wnętrzu brzucha ogniu, którego płomienie, z pomocą umysłu i oddychania, krążyły po całym ciele. W trakcie szkolenia uczeń musiał siedzieć nago na ziemi i osłonić się bawełnianym płótnem, repa, zamoczone w wodzie. Za pomocą ciepła wytwarzanego przez adepta w krótkim czasie płótno to miało całkowicie wyschnąć. Wielki święty, poeta i pustelnik tybetański, Milarepa, został tak właśnie nazwany, „człowiek ubrany w płótno”, ponieważ zdał ten egzamin, osuszając - jedno po drugim - trzy prześcieradła nasączone wodą.

Przy kolacji rozmawialiśmy o tym wszystkim z T. C., który opowiedział, że w 1981 roku jego brat - „Jego Świątobliwość”, jak również on z szacunkiem go nazywał - pozwolił niektórym swoim mnichom wykonać tummo w obecności grupy uczonych i lekarzy z Harvardu, którzy szukali naukowego dowodu na władzę umysłu nad ciałem. I zadziałało. W ciągu kilku minut wszystkim mnichom udało się podnieść o kilka stopni temperaturę ciała.

Na koniec wróciliśmy do sprawy pióra. Zapytałem T. C., czy wierzy w „moc” starego lekarza, która doprowadziła do jego zniknięcia. Nie potwierdził ani nie zaprzeczył, wyraźnie rozbawiony faktem, że ja, sceptyczny dziennikarz, biorę w ogóle pod uwagę taką hipotezę. Po czym, być może jako odpowiedź, przytoczył nam historię własnych narodzin.

Matka miała już czternaścioro dzieci - dalajlama był czwartym - kiedy zaszła w ciążę po raz piętnasty. To dziecko jednak szybko zmarło i kobieta była tym bardzo zasmucona. Przyszedł do niej lama i powiedział:

- Nie rozpaczaj. To dziecko się odrodzi.

Zanim zabrali je na pochówek, lama zrobił masłem znak na pośladku zmarłego maleństwa. Wkrótce matka znów była w ciąży i kiedy dziecko się urodziło, miało na pośladku ów znak. To był T. C., ostatni z braci.

Leopold brał regularnie swoje owcze bobki i po upływie kilku tygodni poczuł się dobrze. Czy to za sprawą pigułek, czy też z jego wątrobą nigdy nie było tak źle i wróciła do zdrowia sama? Nie wiadomo. Mnie jednak pozostało po spotkaniu ze starym lekarzem dobre wspomnienie. Teraz do niego wracałem - tym razem, żeby zapytać, czy nie ma jakiejś sugestii w przypadku mojej choroby.

Pociąg wjechał o świcie na stację w Pathankot. Do Dharamsali mieliśmy jeszcze cztery godziny jazdy samochodem. Razem z angielską dziewczyną i dwoma innymi młodymi osobami wynająłem taksówkę. Odbywali tę podróż po raz pierwszy, ale wiedzieli już, że w tych dniach dalajlama daje serię specjalnych „nauk”. Ja, nie zasięgnąwszy wcześniej informacji, nigdzie nic nie zarezerwowałem. Ledwie więc postawiłem nogę w McLeod Ganj, wszystko szło mi jak po grudzie. Doktor Choedrak był chory i przez kilka dni nie mógł się ze mną spotkać; w Kashmir Cottage, jak zresztą we wszystkich innych hotelach, był komplet ze względu na wielu cudzoziemców, którzy przyjechali posłuchać „nauk”.

Szykowałem się już do drogi powrotnej, kiedy dzięki typowemu, szczęśliwemu łańcuchowi znajomości i zbiegów okoliczności spotkałem księcia Rupendrę. Był to młody potomek bardzo starego rodu z tej okolicy, który zaprosił mnie jako swojego pierwszego gościa do bungalowu Hari Kothi. Odziedziczył go po swojej babce i właśnie ukończył remont, żeby otworzyć w nim pensjonat. Jego przodkowie, radżowie z Chamby, ponad tysiąc lat temu założyli uniwersytet buddyjski w Biharze, podobny do tego w Nalandzie, przeznaczony dla Tybetańczyków, którzy przybywali na studia do Indii.

Rupendra przydzielił mi „Pokój królów”, który należał do jego babki. Przed stu laty nocował w nim Vivekananda, słynny mistyk, uczeń Ramakryszny. Rezydencja Hari Kothi, ze ścianami pokrytymi fotografiami przodków, ze służącymi w liberjach i ze sztandarem radżów, wciągany na maszt wraz ze wschodem słońca, nie przypominała Dharamsali, do której byłem przyzwyczajony. Jednak książkę zrobił wszystko, bym czuł się jak w domu. Pewnego wieczora, wiedząc, że interesuję się medycyną tybetańską, przygotował kolację, na którą zaprosił holenderską lekarzkę.

Ją też do Dharamsali przyciągnął mit. Chciała w jakiś sposób wesprzeć sprawę Tybetańczyków, a także dowiedzieć się czegoś na temat ich sposobu postrzegania chorób i leczenia. Przez ponad rok pracowała w miejscowym szpitalu tybetańskim i teraz przygotowywała się do powrotu - rozczarowana i rozgoryczona. Tybetańczycy - mówiła - byli już rozpieszczeni zbyt wielką uwagą, jaką okazywali im cudzoziemcy.

A ich medycyna?

Jeżeli cokolwiek jest w niej dobrego, pochodzi z ajurwedy. Jeśli już ktoś szuka medycyny alternatywnej, powinien się zwrócić właśnie w tym kierunku - powiedziała. To przede wszystkim sami lekarze tybetańscy nie wierzą w tybetańskie metody. Ledwie tylko któryś z nich dostawał kaszlu albo któreś z jego dzieci gorączki, natychmiast przybiegali do niej po antybiotyki i witaminy. Tak, Tybetańczycy twierdzą, że za pomocą swoich „cennych pigułek” potrafią wyleczyć zapalenie wątroby, a dokładniej zamienić żółtaczkę typu B - pozytywną, tę, która może zapoczątkować raka i mieć fatalne

skutki - w żółtaczkę negatywną. Ona nie zdołała jednak znaleźć żadnego naukowego materiału, który dokumentowałby to zjawisko.

Czy zaobserwowała kiedykolwiek przypadki wyzdrowienia, będące wynikiem leczenia tybetańskiego?

Tak, pewien młody człowiek z Zachodu odmówił przyjmowania leków alopacyjnych. Ale jego żółtaczka miała być może pochodzenie wirusowe, więc tak czy owak by wyzdrowiał. Natomiast była świadkiem śmierci wielu osób tylko z tego powodu, że jakiś lama po ceremonii przepowiadania przyszłości powiedział im, żeby nie szły do szpitala i nie pozwoliły się operować zachodnim lekarzom - takim jak ona.

- A „moce”? - zapytałem. Czy naprawdę nie istnieją? Nawet takie, które powodują zniknięcie pióra?

- Jeśli byli w posiadaniu tych magicznych mocy, dlaczego nie użyli ich do obrony przed Chińczykami? - odpowiedziała pytaniem.

Owe moce stały się pułapką, w którą wpadli sami Tybetańczycy. W czasie ekspedycji angielskiej w 1903 roku byli przekonani, że kule nie mogą im zrobić krzywdy, i dlatego zostali wykoszeni przez karabiny maszynowe pułkownika Younghusbanda.

Wrażenia holenderskiej lekarki dały mi wiele do myślenia. W gruncie rzeczy nie różniły się od impresji podróżników z przeszłości. W 1900 roku tajemniczy mnich japoński, Kawaguchi Ekai, zdołał w przebraniu pielgrzyma dostać się do Tybetu. Przebywał tam trzy lata. W książce, którą napisał już po powrocie do Japonii, przedstawił żałosne warunki higieniczne w kraju i absolutny brak wiarygodnej praktyki medycznej. Wspominał także, że sam był niezwykle mile widziany ze względu na kilka podstawowych umiejętności, jakie przyswoił sobie w dzieciństwie, przeglądając książki swojego dziadka - lekarza. Kiedy w klasztorze, w którym przebywał Kawaguchi, doszło do bójki między dwoma mnichami tybetańskimi, mimo obecności tysiąca łamów tylko on jeden potrafił nastawić zwichnięte ramię jednego ze skłóconych rywali.

Jak to możliwe, że medycyna tybetańska jest dziś uznawana przez wiele osób za jedną z wartościowych praktyk alternatywnych, jeśli jeszcze zaledwie sto lat temu nie była brana na serio przez samych Tybetańczyków? Ich powiedzenie, przytoczone przez Kawaguchiego, brzmiało w istocie: „W Tybecie każdy Mongoł jest lekarzem”.

Również Austriak Heinrich Harrer, autor Siedmiu lat w Tybecie, jeden z niewielu cudzoziemców, którzy przebywali w Lhasie podczas drugiej wojny światowej, nie ma do powiedzenia nawet jednego dobrego słowa na temat medycyny tybetańskiej. Opowiada, że jeśli za jego czasów ktoś

zachorował, wolał zwrócić się do wróżbitów albo znachorów leczących przez nakładanie rąk niż do łamów ze Szkoły Medycyny.

Także i ja podczas mojej wizyty w Lhasie w 1979 roku nie wyrobiłem sobie na temat tej szkoły zbyt pozytywnego zdania. Pewnego ranka, jeszcze przed świtem, zamieniłem mój polaroid na rower i po uśpieniu czujności chińskiego przewodnika-szpiega zdołałem dotrzeć na szczyt Wzgórza Medycyny. Stamtąd, mając u stóp równinę Lhasy, a przed sobą front Potali, ujrzałem wschód słońca i zorientowałem się, że stoję wśród ruin: pozostałości starego budynku szkoły. Chińczycy ostrzelali ją i zrównali z ziemią, twierdząc, że jest gniazdem oporu. Dla Tybetańczyków było to jednak wciąż

miejsce święte. W pierwszych promieniach światła zobaczyłem dziesiątki wspinających się tam osób, które zeskrobywały pył z kamieni. Nie rozumiałem. Mówiący po chińsku starzec pomógł mi. Pył ten potem rozpuszczano w wodzie i wypijano jako lekarstwo na każdą chorobę.

Być może holenderska lekarka się nie myliła, myśląc, że medycyna tybetańska, jeśli kiedykolwiek miała swoją tradycję, w ostatnim wieku sprowadzona została do niewiele więcej niż zwykłego przesądu.

„Jeśli pacjent wchodzi do pokoju lekarza lewą nogą, a nie prawą, kuracja się powiedzie. Jeśli pacjent wyciąga do lekarza lewy, a nie prawy nadgarstek, jego wyzdrowienie nastąpi szybciej” - przeczytałem w jednej z książek poświęconych medycynie tybetańskiej, którą kupiłem sobie właśnie w Dharamsali.

Z tej samej książki dowiedziałem się, że na każdej ręce jest sześć pulsów do osłuchania; każdy puls odpowiada jednemu z narządów. Poza tym jest kilka „pulsów specjalnych”. Jeden z nich odzwierciedla na przykład stan rodziny. Inny, to tak zwany puls gościa: słucha się pulsu osoby uczuciowo najbliższej komuś, kogo się oczekuje, a lekarz jest w stanie powiedzieć, czy jest on jeszcze w swoim domu, już w drodze albo się za chwilę pojawi.

Czy można ufać takiej „logice”? Sam dalejlama zdawał się mieć wątpliwości. Czyż sam nie widziałem, że leczył ból gardła jak najbardziej zachodnimi antybiotykami, choć popijał je miksturą sporządzoną przez doktora Choedraka?

Wszystko miałyby zatem być mitem?

Częściowo tak. Nie ma bowiem wątpliwości, że zainteresowanie medycyną tybetańską, jako alternatywą dla alopa-tycznej, wzrosło na Zachodzie na równi z sympatią dla kwestii tybetańskiej i samego dalajlamy. W Ameryce są już różne ośrodki terapii tybetańskich, a w każdym kraju europejskim nie brak uzdrowicieli, masażystów i łamów, którzy oferują swoje usługi i bardzo drogie lekarstwa.

Różne „systemy uzdrawiania” oraz „programy zdrowia” sprzedają się dzisiaj po prostu dlatego, że noszą tybetański znak firmowy. Jeden z nich, przedstawiany jako „kombinacja nauk filozoficznych, medycznych, astrologicznych i tantrycznych”, obiecuje „leczenie chorób, odmłodzenie człowieka, wewnętrzny spokój oraz pokój na świecie¹”. Inny system, zwany samoleczeniem, polega na kwestionowaniu samej choroby. Zbiera się chorych na raka i każe się im powtarzać, jakby to była mantra: „Nie jestem chory, nie jestem chory...”. Dziesiątki, setki, tysiące razy, i w niektórych przypadkach to działa, ponieważ - jestem o tym przekonany - wszystko, dosłownie wszystko „w niektórych przypadkach” działa.

Popyt na medycynę tybetańską wzrósł do tego stopnia, że ostatnio Instytut Medyczno-Astrologiczny w Dharamsali musiał otworzyć specjalne biuro zajmujące się eksportem. Wśród całej gamy produktów - oprócz słynnych pigułek - są teraz również: herbata na stres, kremy upiększające, kadzidło do medytacji - znakomite również na „rozstroje wywołane frustracjami seksualnymi, na wysuszony język, szumy w uszach, wzdęcia brzucha i zawroty głowy” - oraz „tonik zdrowia”, który „podnosi krzepę fizyczną, poprawia funkcję nerek, wspomaga energię i stosunek płciowy, powstrzymując przedwczesny wytrysk i przedłużając czas kopulacji” - jak można przeczytać na pudełku.

Gdyby dalajlama zobaczył, w jaki sposób prezentowane są te cudowne środki, których wiarygodność związana jest w dużym stopniu z jego sławą, na pewno roześmiałby się w ten swój niepowtarzalny sposób. W gruncie rzeczy on sam najlepiej wie, że sprawa Wolnego Tybetu nie jest już kwestią zasad, sprawiedliwości czy też międzynarodowej moralności, ale po prostu rynku - czyli reklamy. To, co tybetańskie, sprzedaje się, ale żeby się sprzedać, musi być takie, jak tego chcą konsumenci: mityczne.

- Najpierw byliśmy ofiarami imperializmu chińskiego. Teraz jesteśmy ofiarami neokolonializmu kalifornijskiego, New Age, który chce, abyśmy wszyscy, przesiąknięci religią i pacyfizmem, dosiadali jaków i medytowali na ośnieżonych szczytach - mówił mi pewien laicki pisarz tybetański, mieszkający w Dharamsali. - Zachód gotów jest finansować wszystko, co dotyczy jego Tybetu - mnichów, artystów, tancerzy, mistyków - nie zaś pomagać nam, Tybetańczykom, w odzyskaniu naszego kraju.

Dharamsala jest przykładem takiej transformacji. Początkowo była centrum wygnańców, zdecydowanych zachować własną tożsamość i wrócić do kraju. Z upływem lat - z górą czterdziestu - nikt już nie wierzy w możliwość powrotu. Tybetańczycy przywykli do swojej roli ludzi przeszczepionych, a Dharamsala przetrwała, ponieważ stała się małym Disneylandem, parkiem rozrywki, gdzie „tematami” są buddyzm, duchowość, magia, medytacja, astrologia i medycyna.

McLeod Ganj stał się już centrum handlowym, pełnym rupieci New Age, poczynając od torebek ozdobionych wizerunkiem Buddy, po łańcuszki, CD z relaksacyjną muzyką i książki o tantryzmie. Rynek służy podsycaaniu mitu Tybetu, który ma niewiele wspólnego z prawdziwym Tybetem z przeszłości i coraz mniej ze współczesnym Tybetem, wchłoniętym już przez Chińczyków.

Jednak mit trwa.

Gdy pewnego wieczora spotkałem grupkę cudzoziemców mieszkających w Dharamsali, którzy przybyli tu przed laty, aby wesprzeć „sprawę”, zauważyłem, jak bardzo potrzeba wiary w magiczny Tybet jest silniejsza od jakiegokolwiek logiki. Jeden Amerykanin opowiedział, że był z dalajlamą w Delhi na jakiejś uroczystości w parku poświęconej Gandhimu i widział, jak chmara os zaatakowała wszystkich zgromadzonych. Tymczasem Jego Świątobliwość kontynuował przemówienie, niezaczepiony nawet przez jednego owada. Pewna ekscentryczna Angielka, Jane Perkins, mieszkająca w Dharamsali od niemal piętnastu lat, powiedziała, że źle śpi, ponieważ w klasztorze sąsiadującym z jej domem mnisi uczą się lewitować. Kiedy nie są już dłużej w stanie utrzymać się w powietrzu, spadają na podłogę z wielkim hukiem, który nie pozwala jej zasnąć.

To właśnie Jane mnie zawiadomiła, że nazajutrz dziesięć kilometrów od Dharamsali odbędzie się wyjątkowa ceremonia. Mamy wielkie szczęście! Karmapa, szesnastoletni młodzieniec, przypuszczalnie następca dalajlamy, który niedawno zbiegł z Chin, gdzie przebywał jako zakładnik, po raz pierwszy pojawi się publicznie i pobłogosławi wszystkich zgromadzonych, udzielając im „mocy długiego życia”. Tego właśnie potrzebuję!

I tak następnego ranka znalazłem się w jednej z tych sytuacji, do jakich może doprowadzić tylko niezaspokojona ciekawość podróżnika. Świątynia przydzielona Karmapie była jeszcze w budowie, na uboczu, w kamienistej dolinie. Hindusi, z obawy przed akcją Chińczyków - wściekłych, że wypuścili z rąk tego „świętego” chłopca - zorganizowali imponujący kordon bezpieczeństwa. Dziesiątki uzbrojonych policjantów i agentów kontrwywiadu rewidowało wszystkich przybywających,

sprawdzało tożsamość, rekwirowało aparaty fotograficzne i magnetofony. Połączenie buddyzmu ze stanem obłączenia, starych łamów i wycelowanych karabinów maszynowych, było absurdalne.

W końcu, po godzinach oczekiwania i kontroli, zostaliśmy wpuszczeni do wielkiej sali świątyni. W pierwszych rzędach zasiedli mnisi, wśród nich około dwudziestu z Zachodu, następnie grupa buddystów przybyłych specjalnie z Tajwanu. Za nimi wymieszany tłum Tybetańczyków, zagranicznych rezydentów i podróżników. Była wśród nich angielska dziewczyna z pociągu.

Karmapa wszedł w otoczeniu starych łamów i indyjskich ochroniarzy. Chłopak miał wygląd wieśniaka, był zdrowy i silny - sam zdziwiony tak wielkim zainteresowaniem. Zainteresowaniem bardziej niż uzasadnionym, ale z punktu widzenia Tybetańczyków. Dla nich ten chłopak był trzydziestą reinkarnacją wielkiego mistrza, dużo starszą, a zatem duchowo bardziej zaawansowaną od samego dalajamy, który jest zaledwie czternastą.

- Ja sam mogę nie mieć daru długiego życia, ale jestem w stanie, zgodnie z tradycją, nadać wam tę moc, wraz z mocą, która sprawi, że wszystkie wasze pragnienia się spełnią, a każdy z was zyska spokój, harmonię i szczęście - powiedział Karmapa w krótkim przemówieniu, przełożonym na angielski przez kogoś z jego orszaku. Miał wspaniałą prezencję i fakt, że starzy mnisi płaszczyli się przed nim, zgięci dosłownie wpół, w postawie absolutnego poddania, jeszcze bardziej eksponował jego postać. Chłopiec ten będzie mógł stanąć pewnego dnia na czele tybetańskiej diaspory, kiedy po śmierci dalajamy trzeba będzie poczekać, aż dziecko, w które się wcieli, dorośnie.

Reinkarnacja! Zawsze uważałem za genialny sposób, w jaki Tybetańczycy potrafili przystosować do swojej kultury i z własną korzyścią tę bardzo starą ideę, zgodnie z którą nie wszystko umiera wraz z naszym ciałem. Coś, nazywane duszą albo czymś innym, przechodzi do kogoś nowego. Uniknęli w ten sposób degeneracji wpisanej we wszystkie dziedziczne monarchie. Kolejne pokolenia dzieci nie zawsze mogą osiągnąć poziom wielkiego przodka, więc najpewniejszym sposobem na zachowanie jakości dynastii jest każdorazowe poszukiwanie jako następcy zmarłego błyskotliwego dziecka, w którym ktoś rozpozna właśnie reinkarnację.

Wszystko polega na umiejętności tego rozpoznania. W przypadku Karmapy i aktualnego dalajamy starzy mnisi mieli - jak się zdaje - świętego nosa.

Błogosławieństwo Karmapy nie było, jak się spodziewałem, urbi et orbi, ale miało charakter osobisty. Każdy dostał je osobno i całe spotkanie trwało w związku z tym bardzo długo. Stałem cierpliwie w kolejce. W końcu dotarłem przed jego oblicze, uśmiechnąłem się, on odwzajemnił uśmiech. Podałem mu biały szal kata, który dostałem od Jane. Włożył mi go na szyję, oczywiście „naładowany”. Następnie uderzył lekko w moją pochyloną czaszkę małą, złotą stupą, która musiała zawierać jakąś świętą relikwię. Jeden z łamów podał mi szarą kulkę tsampy, mąki z jęczmienia, którą Tybetańczycy wrzucają do herbaty razem z masłem z jaka. Powinienem ją zjeść. Inny wręczył mi czerwoną tasiemkę z supełkiem, również naładowaną błogosławieństwami, która miała mnie ochraniać.

Wyszedłem na zewnątrz i usiadłem na schodach w słońcu. Obserwowałem innych wychodzących. Byli podekscytowani, uszczęśliwieni. Każdy z nich głęboko wierzył - tak jak Jane - że los się do niego uśmiechnął i otrzymał od Karmapy wielki dar. Natomiast ja, jak zwykle sceptyczny, racjonalny i w gruncie rzeczy arogancki, już myślałem, żeby wyrzucić szarą kulkę, którą trzymałem w dłoni. Na razie jednak jej się przyglądałem. A jeśli właśnie byłaby dobrym lekarstwem? Inni nie mieli co do tego

wątpliwości - uważali ją za rękojmię długiego życia. Dlaczego więc tylko ja się waham? Włożyłem ją do ust i zjadłem. Później przywiązałem starannie czerwoną tasiemkę do plecaka.

Czasami warto zmienić punkt widzenia. Nagle zdałem sobie sprawę, że nic z medycyny tybetańskiej nie rozumiałem i że całą tę wizytę w Dharamsali zacząłem od złej nogi... prawej! Sposób mojego rozumowania przypominał ten, który ja sam w Nowym Jorku chciałem przezwyciężyć. Był to sposób rozumowania holenderskiej lekarki, typowa metoda oparta na logice, na naukowej wizji mnie jako ciała, a choroby jako faktu czysto fizycznego.

Jeśli przyjechałem szukać u lekarza dalałamy lekarstwa takiego typu, jakie dawali mi naprawiacze z MSKCC, działającego chemicznie na mój organizm, to na pewno pomyliłem adres. Wypróbowałem już wszystkie specyfiki tego rodzaju. I to najlepsze na świecie.

Tutaj natura lekarstw była odmienna. Nie służyły temu, aby wywołać w organizmie jakąś reakcję, a tym bardziej chemiczną. Były to lekarstwa na umysł, na duszę. Gdy widziałem w Lhasie Tybetańczyków oskrobujących święte kamienie, żeby pić rozpuszczony pył, traktowałem ich ze wzgardą, zachowując się, jakbym sam był chińskim komisarzem politycznym. A naprawdę to oni, Tybetańczycy, wiedzieli, co robią: wzywali moc, która nie była siłą chemii, ale modlitw i błogosławieństw.

Właśnie to - uznałem ów fakt za oczywisty - było jedyną siłą kuracji dostępnych w Dharamsali. Mogłem odrzucić tę siłę, mogłem z niej nie skorzystać, ale nie mogłem wypominać medycynie tybetańskiej, że nie jest taka sama jak medycyna praktykowana przez naprawiaczy z Nowego Jorku. Jej wartość - jeśli w ogóle taką miała - polegała właśnie na tej odmienności. A jej odmiennosc opierała się na bardzo silnej podstawie religijnej.

Początkowo medycyna tybetańska nie była niczym innym, jak indyjską ajurwedą, Tybetańczycy uczyli się ze zwykłych przekładów klasycznych śastr w sanskrycie. Ale ajurweda dotarła do Tybetu z tymi samymi mnichami, którzy między siódmym a ósmym wiekiem po Chrystusie sprowadzili tu buddyzm. Podobnie też jak ten ostatni, przystosowując się do lokalnych warunków, nabrała wkrótce głęboko tybetańskiego charakteru. Buddyzm, który zanikał i był zapominany w Indiach, gdzie się narodził, w Tybecie stał się niemal odrębną religią, przejmując główne cechy bon, starej, miejscowej animistycznej wiary. Natomiast ajurweda, mieszając się stopniowo z buddyzmem, oderwała się od swoich korzeni indyjsko-naukowych i stawała się coraz bardziej tybetańsko-religijną.

Historyczny Budda nie żył już od ponad tysiąca lat, kiedy Tybetańczycy nawrócili się na jego religię, ale ich konwersja była całkowita, wstrząsająca. Buddyzm uzyskał wpływ na każdy aspekt życia społecznego i zdeteterminował charakter każdego działania.

Również w Indiach ajurweda miała w sobie od samego początku element duchowy, ale był on związany z filozofią, a nie z religią, natomiast praktyka medyczna nie stanowiła nigdy monopolu kapłanów. Natomiast w Tybecie, gdzie buddyzm zawładnął wszystkim, łącznie z władzą polityczną, lekarzami zostawali wyłącznie lamowie.

Zapominając o tym, że ajurweda miała bardzo odległe korzenie historyczne i tradycję sięgającą ryszich, Tybetańczycy woleli myśleć o swojej praktyce lekarskiej jako o czymś, co przyszło do nich w czasach dużo późniejszych, ale z nieba.

„Nasza nauka medyczna sięga Buddy” - było napisane we wszystkich zakupionych przeze mnie książkach, myślałem jednak, że to tylko takie powiedzenie. Tymczasem było to stwierdzenie, które należało brać dosłownie. Ponownie przeczytałem te książki i wszystko to, co przedtem wydawało mi się absurdem, przy przyjęciu wyłącznie buddyjskiego spojrzenia na każde zjawisko stawało się logiczne.

Z tego buddyjskiego punktu widzenia wszelkie choroby - zarówno psychiczne, jak i fizyczne - mają to samo źródło: ignorancję. Ignorancja naszego „ja” powoduje cierpienie, które dotyka człowieka od narodzin do śmierci. Ta sama ignorancja rodzi „trzy wielkie trucizny umysłu” - pragnienie, gniew i ośpienie - które wywołują choroby ciała. Tylko nieustanne przestrzeganie zasad moralnych i praktykowanie medytacji może doprowadzić do uwolnienia się od wszelkiego bólu. W tym sensie to prawda, że Budda jest twórcą medycyny. Po rozpoznaniu głównego powodu ludzkiego cierpienia i odkryciu antidotum na wszelki ból stał się „Wielkim Lekarzem”. Pójście jego drogą (dharma) jest jedynym prawdziwym lekarstwem na wszystkie choroby.

W wizji tybetańskiej nie istnieje różnica między religią a medycyną, a człowiek - połączenie ciała, umysłu i duszy - żeby być zdrowy, ma być wyłącznie pobożny. Choroba jest zakłóceniem, które się rodzi w umyśle dużo wcześniej niż w ciele. Dlatego dla Tybetańczyków terapia jest przede wszystkim duchowa, a powtarzanie mantry lub wykonywanie pewnej liczby wyczerpujących ćwiczeń - ważniejsze od popijanej wodą pigułki.

Było też dla mnie interesujące, w jaki sposób - przystosowując ajurwedę do swojego stylu życia, a przede wszystkim do religii - Tybetańczycy przenieśli do siebie wraz z buddyzmem główne pojęcia indyjskiej tradycji medycznej. Aż po dziś dzień medycyna tybetańska podzielona jest mniej więcej na tych samych osiem sekcji co ajurweda: choroby ciała, choroby dzieci, choroby kobiet, choroby wywołane przez duchy, rany spowodowane przez broń, otrucia, odmładzanie, płodność i afrodyzjaki. Stosuje te same zioła lecznicze co ajurweda, z położeniem rzecz jasna nacisku na rośliny występujące w Himalajach. Na sposób buddyjski przekłada na „trzy trucizny umysłu” ajurwedyczną teorię trzech różnych typów indywidualnej budowy (vata, pitta i kafa), których zachwianie jest dla Hindusów źródłem każdej choroby. W końcu utożsamia też cztery fazy praktyki ajurwedy (diagnoza, przyczyna, rokowanie i leczenie) z czterema szlachetnymi prawdami buddyzmu: wszystko jest cierpieniem; przyczyna cierpienia leży w pragnieniach; można położyć kres cierpieniu; aby pozbyć się cierpienia trzeba wejść na szlachetną ścieżkę.

Aby uzupełnić proces nadawania ajurwedzie tybetańskiego charakteru, wyznawcy dalejmy dodali przed wiekami do różnych postaci Buddy Sangye Menla, Buddę Medycyny. Przypisują mu powstanie świętych tekstów Gyu Shi, czterech tantr (które są natomiast, jak wiadomo, przekładami sanskryckich tekstów indyjskich), oraz moc uzdrawiania.

Z ciałem pomalowanym na niebiesko - i dlatego nazywany też „Panem Światła Lapis-Lazuli” - osłonięty częściowo złotą tuniką, Budda Medycyny przedstawiany jest w pozycji lotosu. Przed sobą ma wazę pełną owoców, wśród których jest arura, owoc doskonałego zdrowia - niemożliwy do znalezienia w naszych upadłych czasach, który jednak znów zacznie rosnąć, kiedy na ziemię zstąpi nowy Budda.

W jednej z książek przeczytałem, że jeśli medytuje się przed tanką tego Buddy, z jego obrazu wytryska „nektar zdrowia”. „Promienie światła wychodzą z serca Sangye Menla. Pod wpływem tych promieni

człowiek czuje się wyzwolony od wszelkich negatywnych myśli i oczyszczony z wszelkiej ignorancji. Choroby znikają, a trzy trucizny umysłu się uspokajają".

Dokładnie tego było mi trzeba. Podczas mojego życia wszedłem w posiadanie wielu tank, ale nigdy nie miałem wizerunku Buddy Medycyny.

Wybrałem się zatem z Jane zapytać pewnego starego malarza, który w Dharamsali pracował niemal wyłącznie dla dalajlamy, czy nie namalowałby mi Sangye Menla. On sam nie, bo musiał wykonać wszystkie tanki dla będącego jeszcze w budowie klasztoru Karmapy. Ale mógł to zrobić jeden z jego uczniów. Karma Sichoe, młody, dwudziesto-siedmioletni malarz, sierota, bojownik o Wolny Tybet - głodował przez czterdzieści osiem dni przed ambasadą chińską w Delhi - obiecał, że wykona to dla mnie w ciągu dwóch miesięcy. Zapytał tylko, czy przed zamontowaniem tanki na tle z niebieskiego brokatu ma otworzyć z tyłu Buddy trzy ośrodki: serca, słowa i umysłu.

Wiedząc, że promienie, których potrzebowałem, mają wytrysnąć właśnie stamtąd, odpowiedziałem twierdząco.

Zadzwoiłem jeszcze raz do instytutu Choedra, ale powiedziano mi, że lekarz jeszcze choruje. W tej sytuacji uznałem, że spotkanie z nim nie jest już dla mnie tak ważne. Dharamsala dała mi wystarczająco dużo. Zostałem pobłogosławiony przez Karmapę, miałem jego czerwoną tasiemkę naładowaną mocą długiego życia, zamówiłem Buddę Medycyny, którego malarz miał mi dostarczyć za pośrednictwem Jane, a także zakupiłem duży zapas najlepszego kadzidła, które - poza niewiarygodnymi właściwościami opisanymi na opakowaniu - miało ponoć zdolność wywoływania swoim zapachem wspomnień spokoju i pogody ducha, już samych w sobie „mocnych", a być może też terapeutycznych.

Zjechałem samochodem do Pathankot, a tam wsiadłem w nocny pociąg. O świcie wjechaliśmy w meandry torów poprzedzających Delhi. Pociąg zwolnił i zaczął rozpaczliwie gwizdać, żeby uprzedzić na czas dziesiątki ludzi, którzy załatwiali się, przykucnięci na szynach.

Następnie minęliśmy wielkie peryferyjne barakowisko, duszącą przestrzeń brudu, fetoru i nędzy. Dzieci, kozy, świnie i kruki grzebały w stertach plastiku i rozkładających się śmieci. Z wnętrza pociągu, chłodnego i czystego, sceneria na zewnątrz zdawała się nierealna. Okno przypominało telewizyjny ekran, na którym wyświetlano jakiś horror. Tak przynajmniej musiało się zdawać dobrze sytuowanym

Hindusom, którzy podróżowali ze mną i zbierali się do wysiania. Ich pozorna obojętność uderzyła mnie, przypominając o tym, co zawsze wydawało mi się czarną dziurą hinduizmu: braku współczucia.

Rozumiałem, dlaczego wielu Hindusów również z niskich kast przeszło w przeszłości na buddyzm; i dlaczego potem jeszcze znacznie więcej zostało muzułmanami.

TAJLANDIA

Wyspa zdrowia

Nie należy nigdy wracać do własnej przeszłości ani -jak mawiają mądrzy Hindusi - próbować powtórzyć dzisiaj ową chwilę radości, którą mieliśmy już szczęście przeżyć wczoraj.

Ale przeszłość była dla mnie zawsze wielką uwodzicielką i pokusa, aby wrócić na Ko Sarnui, wyspę u wschodniego wybrzeża Tajlandii, gdzie spędziłem piękne dni, zanim została odkryta przez turystykę i skażona postępem, okazała się nieodparta. Mogłem oczyścić trzewia ze wszystkich lekarstw, trucizn i mniej lub bardziej radioaktywnych diabelstw, które wchłonąłem, żeby się wyleczyć. Chodziło dosłownie o to, żeby porządnie przepłukać wnętrzności. Leopold, którego nie widziałem od czasów naszej wspólnej wizyty u lekarza dalajamy, chciał uczcić ze wszystkimi honorami mój powrót do świata i zarezerwował dwa bungalowy w ośrodku zdrowia specjalizującym się w czynności, która stała się bardzo modna w społeczeństwie New Age - płukaniu jelita grubego.

Ileż to razy byłem świadkiem, jak osoby, które przeszły to doświadczenie, opowiadają w uniesieniu o „widocznych” rezultatach - wszyscy kładli nacisk na przymiotnik - tego płukania! Sugestywne opisy, jak to podczas tygodnia postu i codziennych lewatyw dany osobnik widzi wychodzące z jego wnętrzności długie pasma czegoś czarnego, „pozostałości gromadzonych latami trucizn i toksyn”, zawsze mnie śmieszyły. Dorośli ludzie mówiący o własnej kupie z użyciem terminów „naukowych”, ale zasadniczo z taką samą pasją jak dzieci, które w niej grzebią - to było dla mnie co najmniej dziwne. A jednak efekty „odtrucia, odmłodzenia i utraty wagi”, jakie w opinii wszystkich wtajemniczonych uzyskuje się dzięki tej metodzie, wydawały się stworzone dla mnie.

W dodatku właśnie przeczytałem, że również Hipokrates - dzisiaj odkrywany jako wielki prekursor medycyny alternatywnej - leczył swoich pacjentów w czymś w rodzaju miejsca termalnego ante litteram, również na wyspie. Ten „zbieg okoliczności” zachęcił mnie do przyjęcia nietypowego prezentu Leopolda.

Hipokrates był geniuszem. Sprowadzał chorych na wyspę Kos i tam, daleko od ich codziennego życia, poddawał leczeniu, dziś można powiedzieć „holistycznemu”. Składała się na nie dieta oparta na ziołach, ćwiczenia fizyczne, medytacja, studiowanie własnych snów - uważanych wówczas za komunikaty pochodzące od bogów - oraz inicjacyjna ceremonia zdrowienia, bez której nikt nie mógł wrócić na kontynent. Innym obowiązkiem, jaki Hipokrates narzucał swoim pacjentom podczas pobytu na wyspie, było obejrzenie co najmniej dwóch tragedii i jednej komedii spośród sztuk, jakie wystawiano specjalnie dla nich. Stanowiło to część „kuracji”. Cóż za mądrość już w czwartym wieku przed Chrystusem!

Dokumenty z epoki nie wspominają, czy na wyspie Kos wykonywano płukanie jelita grubego, ale wcale by mnie to nie dziwiło. Wiele z rzeczy, które wydają się nam dzisiaj odkrywcze, ludzkość znała już od dawna. Zapomnieliśmy tylko o nich, gdyż każde nowe pokolenie odrzuca doświadczenie poprzednich generacji. Odkrywamy zatem z wysiłkiem na nowo, że koło się kręci, że ogień płonie, że ktoś przemawia do nas poprzez sny, a żeby czuć się lepiej, trzeba się mniej złościć, więcej śmiać i... dbać o jelita.

Według mnie Hipokrates wiedział wszystko o płukaniu jelita grubego. Za jego czasów Grecy pozostawali w dobrych stosunkach z Hindusami, a w Indiach oczyszczanie wnętrzności, zwane basti, było już starą praktyką wśród jo-ginów. Ktokolwiek zamierzał mieć kontrolę nad własnym ciałem, musiał przede wszystkim oczyścić przewód trawienny. Wskazówki, przestrzegane jeszcze dziś przez osoby ortodoksyjnie praktykujące hatha-jogę, były precyzyjne: adept musiał wejść do rzeki aż do

pasa, następnie powoli, dzięki codziennym ćwiczeniom, nauczyć się używać własnego zwieracza, jakby to była pompa, dopóki nie był w stanie wciągnąć do środka wody i napętnić nią jelit. Po jakimś czasie najlepsi potrafili - jak się mówi - zrobić to samo z cewką moczową i w ten sposób oczyścić sobie również pęcherz.

Wyspa Ko Samui, ze swoim lasem tropikalnym, wodospadami, morzem w kolorze nefrytu i palmami kokosowymi opadającymi aż na plażę, jawiła się w moich wspomnieniach jako miejsce idealne do odzyskania formy. Mogłem sobie wyobrazić, że Kos Hipokratesa była właśnie taka. Nie mogłem sobie natomiast wyobrazić, że na Ko Samui odbędę całą kurację z wyspy Kos - łącznie z tragediami i komedią.

Pierwszą tragedią - przynajmniej dla mnie - był przyjazd. Już nie powolnym nocnym promem, płynącym z południa Tajlandii, ale samolotem. W dodatku wypchanym nową rasą ludzi Zachodu, zupełnie odmienną od hipisów, którzy jako pierwsi odkryli wyspę i trzymali ten sekret tylko dla siebie. Nowymi podróżnymi byli przede wszystkim młodzi ludzie z ekskomunistycznej Europy Wschodniej - kobiety o zwiotczącej, bladej skórze i palący, wytatuowani mężczyźni - oraz starzy, emerytowani Australijczycy, pijani już o siódmej rano. Wszyscy zapakowani przez jakieś dalekie biuro podróży, wszyscy już teraz niezbyt szczęśliwi, zmęczeni lotem w kierunku ostatniego ziemskiego raju, aby wyegzekwować swoje święte prawo do wakacji.

Droga, która z lotniska prowadziła wzdłuż Chaweng Beach, kiedyś jednej z najpiękniejszych plaż, stała się teraz główną ulicą jakiegoś miasteczka rodem z Japonii, z domkami jeden przy drugim, sklepikami, restauracjami, kantorami wymiany walut, wypożyczalnią jeepów i motorów oraz typowymi atrakcjami turystycznymi Tajlandii, jakimi są salony masażu i sauny z ich domyślnym zaproszeniem: „wypożycz żonę na cały pobyt”. Morze było prawie niewidoczne, nieosiągalne za różnymi placami budowy, na których hałaśliwie stawały nowe hotele, domki, sklepiki, kantory, wypożyczalnie i cała reszta.

Na szczęście The Spa, ośrodek zdrowia zarezerwowany przez Leopolda, wychodził na morze, a chata, którą dla mnie zamówił, znajdowała się nieco na uboczu, najbliżej wody. Był to ośrodek niewyszukany, ale wygodny, prowadzony przez Amerykanina Sama, pochodzącego z San Francisco, który zagubił się z jakiegoś powodu na Wschodzie, oraz przez niezwykle energiczną i sympatyczną kobietę, pół Chinkę, pół Laotankę. Miała liczną gromadkę dzieci, nie wszystkie z Samem, ale wszystkie ubrane jak książęta, obok Sama odzianego niczym król na wielkim, rodzinnym zdjęciu wystawionym na ladzie recepcji.

Leopold był już w tym ośrodku po raz trzeci i jego przybycie spotkało się z niezwykle wylewnym przyjęciem ze strony Sama, jego żony i całego zastępu masażystek. Rzuciły się one na nas, żebyśmy umówili się z nimi na przynajmniej dwa spotkania dziennie. Masaże wykonywane były na sala, bambusowych pomostach zawieszonych nad ziemią i wystawionych na wiatr od morza, w cieniu palm kokosowych. „Medytacyjna muzyka” z głośników ukrytych w listowiu unosiła się nad całym naszym miasteczkiem.

Ani Leopold, ani ja od poprzedniego wieczora nic nie jedliśmy i nie piliśmy, tak więc mogliśmy wejść bezpośrednio w „program”. Godzina dziesiąta: napój odtruwający. Do dużej szklanki z uszkiem wlewano sok owocowy i wsypywano do niego trzy łyżki białawej mąki, pochodzącej ze słoja bez żadnej etykiety. Wydawało mi się, że rozpoznałem, co to jest, ale nie miałem czasu na zastanawianie.

- Szybko, szybko! Pij, bo inaczej zgęstnieje - powiedziała, mieszając łyżką, dziewczyna zajmująca się przygotowaniem napoju.

Potem następowała szklanka wody, którą popijało się „integratory”: około dziesięciu szarzielonych, plastikowych kapsułek, zawierających proszek o mniej więcej tej samej barwie. One też nie miały nazwy, ale wydawało mi się, że są zrobione z tego koncentratu roślinnego, Green Plus, który w Ameryce widziałem w każdym sklepie z witaminami. Wszystkie polecenia wykonałem pilnie, zgodnie z instrukcjami.

Idea postu - równie stara co ludzkość - podobała mi się. Nie ma sensu robić kursów medytacji, żeby kontrolować umysł, jeśli nie nauczymy się kontrolować również ciała! Post wydawał mi się sposobem poddania się próbie. Człowiek pierwotny pościł, „żeby wzruszyć przodków” widokiem swojej siły woli. Dopiero później, kiedy został przejęty przez różne religie, post przybrał moralistyczną szatę samooczyszczenia i samobiczowania. Podobnie było z powstrzymywaniem się od innych przyjemności zmysłowych.

Tak samo znano od czasów starożytnych wartość terapeutyczną postu. Pewien chiński mnich, który w siódmym wieku po Chrystusie odwiedził wielki uniwersytet buddyjski w Nalandzie w Indiach, opowiadał, że kiedy jakiś student zaczynał chorować, przed podaniem mu jakiegokolwiek lekarstwa polecano, aby przez tydzień całkowicie pościł. Mnich dodaje: „Zazwyczaj przez ten czas pacjent zdrowiał”.

Dzisiaj wszystkie te znaczenia zostały utracone, a post -podobnie jak joga i wiele innych działań, które zrodziły się w celu przede wszystkim duchowym - stał się aktem czysto fizycznym, skupionym na ciele i podejmowanym wyłącznie po to, żeby „schudnąć” i „się oczyścić”.

O poście się mówi, że jest najtrudniejszy przez pierwsze trzy dni, ponieważ organizm próbuje rozpaczliwie robić to, do czego przywykł. Czwartego dnia zaczyna rozumieć, zmienia rytm i wszystko staje się łatwiejsze. Byłem bardzo ciekaw, jak zareaguję, i postanowiłem prowadzić dziennik tamtych dni. Oto on.

Pierwszy dzień postu

Chata, w której mieszkam, ma kształt wielkiej litery A. Dach jest z gałęzi palmy kokosowej, łóżko to deska ze sklejki, na której leży słomiana mata. Z przodu są drzwi wejściowe, mała galeryjka i schody prowadzące na plażę, z tyłu - drugie drzwi, dwa stopnie i miejsce osłonięte blachą: moja łazienka z ustępem w stylu tureckim. To centrum operacyjne tego wszystkiego, co się tu robi i o czym tak wiele dyskutuje. Odkąd przyjechaliśmy, słyszę wyłącznie historie o lewatywach.

Jest tutaj około dwudziestu gości, wszyscy cudzoziemcy, wszyscy w taki czy inny sposób on the road, w drodze, jak mawiał Kerouac, albo on the path, na ścieżce, jak mawiają ci, którzy czują się... „uduchowieni”. Każdy jest tu klasyfikowany w zależności od dnia postu. Na tych, którzy dotarli do siódmego dnia, patrzy się z szacunkiem. Ci, którzy pozostają dłużej niż trzeba, tylko po to, żeby opowiadać o swoich doświadczeniach nowicjuszom, są antypatyczni jak wszyscy zarozumialcy.

Bawi mnie pobyt tutaj. Jedyne moment przerażenia przeżyłem dziś rano. Wskoczyłem z wielkim entuzjazmem do wody - po raz pierwszy po miesiącach spędzonych w Nowym Jorku. Spojrzałem z morza na rzędy chat należących do Spa i zacząłem się zastanawiać, gdzie uchodzą rury odpływowe wszystkich ustępów, które się tam znajdują. Odpowiedź była oczywista: dookoła mnie! Wskoczyłem z wody. Jeśli będę chciał popływać, muszę pójść dużo dalej.

Po napoju oczyszczającym o dziesiątej, identyczny dostałem o trzeciej po południu. Kleista substancja, którą wsypują do środka, coś mi przypomina, ale nie wiem, co. O czwartej „program” przewidywał niespodziankę. Dziewczyna z obsługi zaprowadziła nas na projekcję wideo, na której Chuck, amerykański blondyn z kucykiem, wyjaśniał przebieg lewatywy. Leopold i ja pękaliśmy ze śmiechu od pierwszej do ostatniej chwili. Nie sposób się powstrzymać, widząc innych, strasznie poważnych delikwentów, przyklejonych do telewizora i wpatrzonych w Chucka. Instruował on z ekranu zebranych, ile wazeliny nałożyć na mały palec i jak głęboko wsunąć rurkę do odbytnicy. Tłumaczył, że nie trzeba się zbytnio wysilać, aby przytrzymać wodę w brzuchu.

- Kiedyś pewien Niemiec zdołał nie wypuścić jej przez trzy godziny. Pobił rekord, ale to niczemu nie służy - skomentował Chuck.

Następnie wyjaśnił zastosowanie pochyłego blatu, jaki każdy miał w swojej łazience - to na nim należy ułożyć się do płukania - a także znaczenie, „również psychologiczne”, plastikowego sitka, które należy umocować w muszli klozetowej, aby dobrze kontrolować (zanim zniknie w morzu przed moją chatą!) wszystko, co wydostaje się z kiszki.

Chuck istnieje również w rzeczywistości. Po zakończeniu projekcji pojawił się we własnej osobie, oddając się do dyspozycji w razie potrzeby. Każdemu wręczył dawkę „integratorów”, białych pastylek, które miały przywrócić florę bakteryjną. Należało je zażyć wieczorem przed snem. Wszyscy dostali także jednorazowe dzióbki do robienia lewatywy oraz piękną broszurę z rozkładem różnych zajęć i opisem programu „Wstań i Rozbłyśnij!”, na który jesteśmy zapisani. Już sama nazwa - co za pomysł! Zdaje się jakimś boskim nakazem. A wszystko po to, aby zyskać „więcej energii i zdrowia, poprawić trawienie, ustabilizować wagę, ale także uwolnić się od negatywnych myśli i poczuć się szczęśliwszymi”. I któż chciałby sobie odmówić tych wszystkich pięknych rzeczy?

„Płukanie jelita grubego - wyjaśnia broszura - pomyślane jest specjalnie dla ciebie, który poddany byłeś typowej diecie amerykańskiej, jadłeś mięso, pożywienie przetwarzane przemysłowo, używałeś soli stołowej, gotowanej oliwy albo brałeś antybiotyki”. W sumie ja - nawet bez udziału owej amerykańskiej diety - mam wszelkie powody, aby tu być.

O zachodzie słońca, po lewatywach, masażach i saunie, społeczność poszczących zbiera się na plaży wokół stołów, na których ustawione są naczynka z kolorową wodą i pływającymi w nich świeczkami. Wśród „kolegów” zawieram znajomość z panią w średnim wieku, byłą piękną i byłą sekretarką w Narodach Zjednoczonych w Genewie, z młodym Japończykiem, który nie mówi ani słowa po angielsku, z amerykańską studentką o ogromnym biuście, pokazywanym ze słuszną dumą, oraz z pewną dziwną parą: on jest Holendrem w moim wieku, przystojnym mężczyzną i kulturystą, opalonym i medytującym, właścicielem łodzi, na której opływa świat; ona przechodzącą kryzys tożsamości ładną Belgijką, na tyle młodą, że mogłaby być jego córką.

Wszyscy mówią o młodej Australijce, która w czwartym dniu postu miała silne bóle brzucha i krwotok. Chuck poradził jej, aby przerwała głodówkę i poszła do szpitala, ale ona odmawia. Wydaje się jej to zdradą i chwilowo pozostaje w swojej chacie.

O siódmej podają „kolację”: ciekłą lurę o niewyraźnym zapachu warzyw, bez żadnego tłuszczu i bez soli. Niemal jakby dla pocieszenia wszyscy mówią o sobie, opowiadają o własnym życiu i tłumaczą, jak się tu znaleźli. Mam wrażenie, że również to spowiadanie się nieznanym, przy miłym wietrze wiejącym od morza, stanowi część oczyszczania, obmycia.

We wszystkich opowieściach pobrzmiwia przekonanie, uznane już za pewnik, że współczesne życie nas zatruwa, że wszystko, co robimy i jemy, pozostawia w naszym organizmie szkodliwe resztki. Tylko to radykalne mycie usunie z niedostępnych innymi sposobami zakamarków jelit; wszystkie nagromadzone przez lata „trucizny i toksyny” Dowód? Sitko. Zaglądając do niego, odkrywamy, co many w środku i bez tego płukania wciąż byśmy tam nosili.

Sam puszcza w obieg między stołami ciężki album z foliowanymi kartkami. Jest to Złota księga Spa, z grupowymi zdjęciami poszcząjących tu w przeszłości i ich komentarzami. Wszyscy są zachwyceni „wyczyszczeniem”. Wielu Twierdzi, że czują się „wyzwoleni”. Niektórzy opisują radość z powodu zapachu i widoku tego, co wyszło hałaśliwie i ich trzewi jeszcze szóstego i siódmego dnia. Inni, zamiast opisywać swoje wrażenia, woleli wkleić zdjęcia tego, co zobaczyli w sitku! Wszyscy praktycznie to samo.

Mój „pierwszy dzień” upłynął bez cierpienia. Język mam trochę obłożony, lekką głowę, nogi trochę miękkie, ale nie czuję żadnej rozpaczki ani wielkiej ochoty na jedzenie.

Drugi dzień postu

Śpię znakomicie, bez moskitiery. Sny mam chaotyczne, ale spokojne, o miejscach, w których urządzam się tak samo, jak uczyniłem to tutaj: z dzbankiem na herbatę, komputerem, książkami, lampką do czytania.

Wstaję wcześnie i wychodzę na długi spacer po plaży. Obserwuję nowe bungalowy z zamontowanymi na stałe oknami, tak że nie można ich otworzyć, a w pokojach można przebywać tylko przy włączonej klimatyzacji. Postanowiłem jednak się tym nie zadręczać. Zrozumiałem: wszystko się zmienia. A poza tym, czyja sam się nie zmieniłem? Kiedy pierwszy raz wylądowałem na tej wyspie, byłem pięknym, szczupłym, opalonym młodzieńcem, ze wspaniałymi czarnymi wąsami, kruczymi włosami, pełnym energii i pewności siebie. Przybywałem z Sajgonu, żeby pooddychać świeżym powietrzem, z dala od wojny. A teraz? Jestem stary, blady, jeszcze spuchnięty z powodu zastrzyków ze steroidów i wyłuskały wskutek Themioterapii. Muszę zaślaniać brzuch, żeby nie wprawiać innych w zakłopotanie moimi szwami i wielką przepukliną. Co powiedziałyby Ko Samui, widząc mnie tak zmienionym?

O jedenastej, po napoju odtruwającym, przychodzi pora na lewatywę. Dziewczęta przycupnięte na ziemi wokół wielkiego podgrzewacza wody i uzbrojone w łyżki wazowe, przygotowują wiadra. Czeka się w kolejce; można wybierać między mieszanką z dodatkiem kawy, octu jabłkowego lub czosnku. Ta ostatnia zalecana w przypadku podejrzeń o obecność pasożytów. Później się zaczyna. Każdy rusza do

swojej chaty z plastikowym wiadrem do zawieszenia na haczyku pod sufitem łazienki i całymi litrami letniej wody, którą należy wprowadzić do brzucha trzy- lub czterokrotnie.

Przystaję zafascynowany, przyglądając się tym wszystkim ludziom Zachodu, którzy maszerują zgięci pod ciężarem swoich lewatyw. Wszyscy przyjechali tu, marząc, że wydalą nadmiar życia, w nadziei, że zobaczą w sitku cały ten „przesyt”, którym jesteśmy dotknięci.

Kiedy byłem dzieckiem, reguła w moim domu była następująca: nie więcej niż jedno jajko tygodniowo, mięso tylko w niedzielę i - jeśli mogliśmy sobie na to pozwolić - codziennie jeden owoc sezonowy. Byliśmy biedni, ale jedliśmy pokarm prosty i naturalny. Dzisiaj można jeść wszystko, ale do niczego nie należy mieć zaufania. Nawet w moich biednych i ukochanych Indiach trzeba uważać na pomarańcze i mandarynki, bo handlarze, żeby podnieść wagę, wstrzykują do nich brudną wodę. Ale czy lepsze są w naszych supermarketach czyściutki, wypełnione hormonami truskawki, które wyglądają jak pomalowane na czerwono kartofle? Albo jabłka, wszystkie jednakowe, wszystkie nabłyszczane olejem, które nie mają już nic wspólnego z jabłkiem ze starego powiedzenia: „Jedno jabłko dziennie i zapomnisz o lekarzu”.

Instynktownie wyczuwamy, że się trujemy. Kiedy jednak zaglądam do mojego sitka, nie widzę tam ani trucizn, ani toksyn. Dostrzegam tylko pozostałości po trzydziestu plastikowych kapsułkach, które „program” każe mi codziennie połykać. A jeśli „Wstań i Rozbłyśnij!” - to jedno wielkie oszustwo? Zaczynam podejrzewać, że tak właśnie jest.

Na razie nie mówię o tym Leopoldowi, a kiedy on proponuje wypożyczenie motoroweru i objechanie wyspy, zanim zaczniesz brakować nam sił, przystaję z przyjemnością.

Po drodze zatrzymujemy się przy starej, odrestaurowanej świątyni. Na dopiero co zbudowanym parkingu z autobusów i taksówek wysiadają chmary ludzi, którzy przyjechali zobaczyć „Mumię”. Jest to mumia starego mnicha, który spędził życie na medytacji, a po ukończeniu osiemdziesięciu lat ogłosił publicznie datę i godzinę swojej śmierci. Kiedy nadszedł ów dzień, usiadł w pozycji lotosu i w obliczu setki śpiewających psalmy wyznawców odszedł, pozostawiając tam swoje ciało wyprostowane w medytacji, z uniesioną głową, z lekko rozchylonymi w uśmiechu ustami, odsłaniającymi komplet zębów. Skóra mumii jest jak z kartonu. Tylko w miejscu oczu - wyjaśniają przewodnicy - ma dwa puste otwory. Ale ich nie widać. Założyli mu na nos piękne okulary przeciwsłoneczne, a on siedzi tam, niewzruszony, w szklanej gablocie i pozwala się fotografować. Jeszcze jedna atrakcja turystyczna, jak wodospady w dżungli, burdele na Lamai Beach i małpy, które na komendę wdrapują się na palmy, żeby zerwać orzechy kokosowe.

Dobrze znoszę post. Jestem głodny, ale nie za bardzo. Czasami jednak - jeśli wystawię głowę poza Spa - wydaje mi się, że wszyscy jedzą. Widzę tylko usta, które wgrzają się w udka kurczaka w sosie z zielonej papai oraz w soczyste plastry surowego mango, obtoczone w mieszance soli, cukru i czerwonej papryczki. Pokusa jest wielka.

Spędzam trzy godziny w rękach jedyne go masażysty mężczyzny w całym Spa. Jest urzędnikiem rządowym, przysłanym tutaj na kilka tygodni w celu kontrolowania jakości pracy kobiet. Twierdzi, że w trakcie masowania wyczuwa choroby, o których jego klienci jeszcze nie wiedzą. Bez wątplenia jest dobry, ale na pewno nie zdoła spowodować, abym zmienił moją starą opinię: nie lubię być masowany.

W porze kolacji - której nie ma - wszyscy znów rozmawiają o tym, co zobaczyli w sitku. Zastanawiam się, o czym rozmawiali w dziewiętnastym wieku wielcy panowie z Europy i rosyjskie hrabiny, spędzający czas u wód w Baden-Baden.

Trzeci dzień postu

Śpię płytkim snem i nie pamiętam, co mi się śniło. Budzę się wcześnie. Siedzę na pustej plaży i próbuję skupić myśli na starym indyjskim powiedzeniu, które wbiło mi się do głowy w półśnie i już mnie nie opuszcza: „Człowiek mówi, że czas przemija. Czas mówi, że człowiek przemija”.

Potem zaczyna padać i biegnę schronić się pod dachem recepcji. To dobra okazja, żeby przejrzeć w spokoju Złotą księgę, którą Sam trzyma na ladzie. Moje podejrzenie się wzmacnia. Na wszystkich zdjęciach pozostawionych przez poszcząjących zawartość różnych sitek jest taka sama: galaretowata, czarnozielonkowa masa. „Toksyny i trucizny współczesnego życia”? Gdzie tam! To resztki plastikowych kapsułek po „integratorach”, które wszyscy połykamy. I... nagle przypominam sobie, czym jest kleista i biaława mąka, wsypywana przez dziewczęta łyżkami do odtruwającego napoju, który trzeba natychmiast wypić, bo inaczej stężeje. To jeden z najlepszych środków indyjskiej farmakopei: isabgol, łupina pewnego zboża, rzecz jak najbardziej naturalna, stosowana przez wszystkich jako regulator jelitowy. W Indiach jest bardziej znany od aspiryny, kosztuje niewiele, a najpopularniejszy lek wyprodukowany w oparciu o ten składnik - ze znakiem telefonu - sprzedawany jest w oryginalnym, zielonym opakowaniu z rysunczkiem starego aparatu na korbkę. Wypija się go po rozpuszczeniu w wodzie, zarówno w przypadkach biegunki, jak i zaparcia. Rzeczywiście, trzeba to zrobić szybko, bo inaczej grudki powstają w ustach, zamiast w kiszkaach.

A zatem? Pości się, to prawda, ale tym, co się produkuje, nie są pozostałości złych diet, a kapsułki green plus i isabgol połknięte kilka godzin wcześniej. Nie ma wątpliwości, że następuje oczyszczenie, ale nie w sposób, w jaki każe nam wierzyć „Wstań i Rozbłyśnij!”.

Wzywam Leopolda do swojej chaty na „pilne posiedzenie gabinetowe” i wyluszczam mu te domysły. Jest rozbawiony, ale jednocześnie poirytowany, bo już dwa razy przeszedł przez cały program, nigdy nie mając żadnych wątpliwości. Żeby zweryfikować moją hipotezę, postanawia kontynuować głodówkę, ale bez kapsułek i odtruwającego napoju. Od tej chwili będzie pił tylko wodę.

Ja idę normalnym trybem. Zrezygnowałem z masażu, za to spędzani dużo czasu w saunie. Siedząc w prymitywnym, cementowym bunkrze, na gorących kafelkach, wdycha się bardzo wonne wyziewy z mieszanki ziół pochodzących z pobliskiego lasu, posiekanych i wrzucanych stopniowo do wrzącej wody. Mam nadzieję, że pomogą mi zwalczyć stare zapalenie zatok, które znów zaczęło dawać znać o sobie.

Para w saunie jest czasem tak gęsta, że nie widać siedzącej obok osoby. Wytwarza to sytuację jak w konfesjonale. I tak była sekretarka Organizacji Narodów Zjednoczonych w Genewie opowiada mi dzisiaj być może najbardziej wiarygodną wersję swojego życia, spędzanego ostatnio „wzorem mistrzów i guru”. Zaczęła od Osho Rajnisha i wolnej miłości w aśramie w Punie, potem przyłączyła się do innych grup i sekt, których nazw nigdy nie słyszałem. Teraz jest tybetańską buddystką. Ale... ostatnio, podróżując po Europie, weszła do kościoła i na widok posągu świętego Franciszka niemal zemdląła, poczuła, że „ogromna energia tej postaci ją porywa”. Teraz mieszka na Hawajach, gdzie

pracuje jako opiekunka społeczna z młodymi ludźmi, mającymi problemy z narkotykami. Opowiada, że niektórzy z nich mają zaledwie po piętnaście lat i już ją odwiedzają, przynosząc zdjęcia swoich dzieci.

Na zewnątrz sauny kilka masażystek obmywa liście dziwnej, tłustej rośliny, rosnącej między naszymi chatami. Ich wnętrze stanowi galaretowata masa, przypominająca ciało meduzy. To aloes. Niektórzy na Zachodzie uważają, że ma doskonałe właściwości przeciwrakowe. Tutaj miksują ją i nakładają na twarz osób, które poza „programem” życzą sobie jeszcze zabiegów kosmetycznych.

Dostrzegam afisz z cytatem przypisywanym Bernardowi Shaw: „Każdy kretyn jest w stanie rozpocząć fast (post), ale tylko mądry wie, jak break thefast (przerwać go)”. Stąd pochodzi angielskie słowo breakfast, oznaczające śniadanie, „przerwanie postu”. Leopold, który teraz już we wszystko wątpi, zastanawia się, czy to na pewno cytaty z Shawa.

Po południu robię prawie dwugodzinny spacer wzdłuż plaży. Niebo pokryte jest ogromnymi, czarnymi chmurami. Nadciąga tajfun. To okres, w którym hotele powinny być zamknięte albo na poły opustoszałe, ale dzięki nowym turystom ze Wschodu, zachęconym pozasezonowymi obniżkami, prawie wszystkie mają komplet.

Wieczorem znów zasiadamy wokół stołów z pięknymi świecącymi. Wszyscy tłumaczą wszystkim wielkie zalety płukania jelita. Belgijska dziewczyna, towarzysząca medytującego kulturysty, objaśnia je Leopoldowi, który udaje ignoranta. Tybetańska buddystka przybliża je nowo przybyłemu, natomiast Sam, stojąc za ladą recepcji, tłumaczy je, z pomocą Złotej księgi, dwóm przedstawicielom biur podróży, którzy - ma taką nadzieję - zapewnią mu regularny przyływ klientów i gotówki.

Dobrze znoszę post. Trochę gorzej powtarzanie się tych pogaduszek o różnych „przepływach”.

Czwarty dzień postu

Wstaję na trzęsących się nogach. Postanawiam nie odbywać porannego spaceru, nie wykonywać ćwiczeń ani tej odrobiny koniecznej koncentracji umysłu. Grzeję wodę na herbatę i zapraszam Leopolda. Przychodzi z egzemplarzem Małego księcia, który ktoś zostawił w recepcji. Cytuje mi jedno zdanie: „To, co ważne, nie może być dostrzeżone przez oczy”. Odwzajemniam się historią z czytanej właśnie książki, napisanej przez amerykańską dziennikarkę, która została sannjasinem w Indiach.

W 1897 roku pewna dziewczynka napisała do „New York Sun”, że dowiedziała się od przyjaciół, iż Święty Mikołaj jest wymysłem. Nie istnieje. Chce, żeby gazeta powiedziała jej prawdę. I „Sun” w artykule wstępnym, jakiego dziś już żaden dziennikarz nie miałby odwagi napisać, odpowiedział: „Droga Virginio, twoi przyjaciele się mylą. Są ofiarami sceptycyzmu naszych sceptycznych czasów. Wierzą tylko w rzeczy, które widzą. A jednak, Virginio, Święty Mikołaj istnieje. Istnieje w taki sam sposób, w jaki istnieją miłość, hojność, oddanie. Ty wiesz, że te rzeczy istnieją w wielkiej obfitości i dają twojemu życiu piękno i radość. Rzeczy najbardziej realne to te, których ani dzieci, ani dorośli nie są w stanie zobaczyć”.

Jedną z przyjemności podróżowania z Leopoldem jest to spojrzenie na świat w cztery oczy, uprzytomnienie sobie, w jakim jest stanie, i wyżywanie się w przetwarzaniu go na naszą modłę. W

tych dniach głowi się on nad ideą, że to, co człowiek produkuje, powinno pozostawać na jego terytorium, ponieważ przenoszenie produktów, zmiana miejsca ich pobytu, odbiera im ich rzeczywistą wartość, zostawiając im walor wyłącznie handlowy. Tak właśnie dzieje się c Buddą zabranym z birmańskiej świątyni, żeby ozdobić zachodni salon. Według Leopolda globalizacja, rozprowadzane wszędzie wszelkie przedmioty, stwarza wielki chaos, zwiastujący katastrofę. Z kolei według mnie dokłada się do tego masowa turystyka, dzięki której wszyscy wszędzie mogą dotrzeć.

..Posiedzenie gabinetowe" kończy się postanowieniem całkowitego zniesienia paszportów. Od tej pory podróżować się będzie wyłącznie z listem polecającym, jak to miało miejsce jeszcze na początku ubiegłego stulecia.

Okolo południa z mojego balkoniku dostrzegam siedzącego nieruchomo na plaży, tyłem do mnie, w pozycji lotosu, przystojnego młodzieńca z Zachodu, z długimi kosmykami posplatanych włosów, które opadają mu na plecy. Wzrok utkwiał przed siebie. Pograżony w medytacji? Ależ skąd! Patrzy na ekran komputera, na którym, przy użyciu telefonu komórkowego, sprawdza pocztę elektroniczną. Jest nowym poszczącym, który przyjechał z młodą, elegancką blondynką, typową dziewczyną z dobrego domu ze Wschodniego Wybrzeża Stanów. Wzbudzają moją ciekawość. Po południu idę z nimi porozmawiać. Przez jakiś czas był sadhu w Indiach. Pięć lat temu spotkali się na kursie „medytacji joga". Od tamtej pory są razem i założyli przedsiębiorstwo, produkujące w Chinach ubrania, wykonane wyłącznie z konopi. Ich kolekcja robi furorę. On projektuje, ona zajmuje się sprawami handlowymi. Mówią, że osiągnęli sukces, ponieważ zanim zajęli się interesami, rozwinęli w sobie - dzięki medytacji - „konieczny dystans wobec wszystkiego, co materialne". Dlaczego płukanie jelita? Słyszał o tym w Pekinie od innych obiężyświatów. Idąc na pierwszą lewatywę, dają mi elegancką wizytówkę ze swoim adresem www.

Leopold jest już przekonany, że moje podejrzenia są uzasadnione. Odkąd nie wypija dwóch codziennych napojów ani nie bierze żadnych suplementów, jego jelito jest puste.

Teraz chce tylko zrozumieć, czy Sam jest świadomy pułapki i cynicznie sprzedaje za dużą cenę mit „programu", który obmywa z trucizn świata. Oczywiście, że wie! Według mnie Sam to znakomity biznesmen. Ma najgorsze miejsce na plaży, z morzem o dnie najeżonym ostrymi kamieniami, a zdołał zamienić je w kopalnię złota, gdzie płaci się za to, żeby nie jeść. Tymczasem dla niego kuchnia przyrządza niezwykle apetyczne, bogate potrawy tajskie. Wieczorem, kiedy rozkłada się na wielkim, miękkim, okrągłym fotelu i ogląda filmy na ogromnym ekranie, dziewczęta przynoszą mu - z całym szacunkiem należnym właścicielowi - jedną butelkę piwa za drugą. A co z odtruwaniem, Sam?

Wydaje mi się, że po południu miałem pierwsze halucynacje wywołane głodówką. Siedzę przy tym samym co zwykle stole i patrzę na morze, kiedy widzę, jak zbliża się do mnie jakiś mały człowieczek. Wyciąga do mnie rękę, również malutką. To Bill, Australijczyk, odpowiedzialny za duchową część" Spa. Na słowo „duchowa" wstaję i czuję się bardzo duży, z głową wysoko, wysoko w niebie, jak w ćwiczeniu qigong, którego nauczył mnie Master Hu. Bill staje się jeszcze mniejszy. Słyszę, jak mówi, że jeśli jestem zainteresowany, prowadzi on kursy jogi i reiki. Jest także ekspertem drogi do zdrowia atzuki. Nie. Nie jestem zainteresowany. Ale kiedy na powrót siadam, zadaję pytanie:

Bill, pracujesz tu, powiedz mi, co to za substancja, którą wsypują do napoju odtruwającego?

Glinka megalityczna.

Co takiego?

Glinka, która po znalezieniu się w jelicie, pracuje na megakosmicznym poziomie organizmu...

Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej na temat tego poziomu, ale Bill musi uciekać. Ma udzielić lekcji atzuki australijskiej dziewczynie, która była chora, ale pozostaje w Spa, ponieważ tutaj - jak mówi - czuje się wśród przyjaciół.

W gablocie obok lady recepcji wystawiona jest mała kolekcja książek, niektóre dotyczą płukania jelita grubego i jego zalet. Wyłożył je tam Sam, żeby dodać „naukowego” blichtru działalności Spa. Inne pozostawili prawdopodobnie wcześniejsi kuracjusze, aby przyczynić się do postępu duchowego przyszłych poszczących. Uderza mnie jeden tytuł: Klucz do natychmiastowego oświecenia. Książkę napisała Wietnamka, która wyemigrowała do Niemiec. Kobieta, która pracowała dla Czerwonego Krzyża i wyszła za mąż za chrześcijańskiego lekarza, zrozumiała, że aby ulżyć cierpieniom ludzkości, trzeba przede wszystkim doprowadzić do całkowitego spełnienia samego siebie. I tak „po latach udruk, dzięki stosowaniu metody Quang Yin” (diabli wiedzą, co to jest) i pomocy „wielkiego mistrza z Himalajów” zawsze się taki znajdzie!), osiągnęła Wielkie Przebudzenie, sama stała się „Największym Mistrzem” i teraz jeździ po świecie, odziana w biel i złotą żółć, aby nauczać, jak doznać oświecenia.

Mój Boże, cóż za potpourri: Wietnam, Niemcy, Czerwony Krzyż, buddyzm, chrześcijaństwo, Himalaje... zbyt wiele! To niestrawne! Wiadomo, że istnieje coraz większa potrzeba „oczyszczenia się”. Odkryłem, że nasze lewatywy mają osiemnaście litrów każda. Niezła kąpiel!

Myślę, że to prawda, iż czwartego dnia głodówki organizm się przyzwyczaja. Już prawie nie odczuwam braku jedzenia. Brakuje mi raczej smaków. Dziś wieczorem zauważyłem z dużą przyjemnością, że lura na „kolację” - poza ledwo wyczuwalnym smakiem marchewki i selera - miała też dużo wyraźniejszy posmak trawy cytrynowej.

Dwie sauny odebrały mi dużo energii. Dopiero ósma, a już zamierzam udać się do łóżka. Ja też mam wielki zamęt w głowie. Czy też jestem częścią potpourri? Co tu robię, z tymi wszystkimi ludźmi krążącymi po świecie? Biedni Europejczycy ze Wschodu, wepchnięci do młyna konsumpcji; japońska dziewczyna, córka sprzedawcy owoców z Osaki, która podróżuje, nie wiedząc nawet dobrze, gdzie jest; Belgijka, towarzysza holenderskiego przystojniaka, która mówi, że nie wie, dokąd zmierza, ale utrzymuje się na powierzchni i poddaje nurtowi.

Nikt z nich nie wydaje mi się rozpalony prawdziwą namiętnością, wielką miłością - ani też wielkim gniewem. Najzdrowsza wydaje mi się para Amerykanów, produkujących w Chinach ubrania z konopi. Przynajmniej mają jakiś cel w życiu: obudzić świadomość ludzi na produkty przyrody. Ubrania, które mają na sobie, proste i wygodne, są na pewno dużo przyjemniejsze od tych celowo poszarpanych i umartwiających, jakie noszą inni młodzi ludzie na plaży.

Piąty dzień postu

Lewatywa: mam lekkie mdłości i nic nie wychodzi z moich kiszek. W saunie czuję się słaby, ale przyjemnie zrelaksowany. Ważę się: straciłem pięć kilogramów, jeden dziennie.

W jednej z książek z biblioteczki Spa, dotyczącej płukania jelita grubego, znajduję typową teorię, mówiącą o tym, że choroba spowodowana jest naszym nienaturalnym trybem życia - i do tego miejsca mogę się zgodzić. Ale potem autor, Amerykanin, pisze: „Tak jak nigdy nie zobaczysz much w czystych odpadkach, tak samo nigdy nie ujrzysz choroby u całkowicie czystego człowieka”.

Głupiec. Idea ta, częściowo religijna, że choroba jest karą boską, nałożoną z powodu jakiegoś grzechu, jest stara, ale także niebezpieczna, ponieważ obwinia chorych i odbiera im chęć do życia. A teraz połączona została jeszcze z lewatywami!

A poza tym czy również „święci” nie umierają na jakieś choroby? Na przykład w Indiach umarli na raka Ramakryszna, Ramana Maharysi i Nisargadatta Maharaj.

Chciałbym zrozumieć, jak daleko może sięgnąć szaleństwo. Zapisuję się na kurs Billa drogą do zdrowia atzuki: 1500 bath, 30 euro za pierwszą godzinę. Docieram do sedna. Najpierw nakłaniam Billa, żeby opowiedział o sobie.

Bili Sandenberg, pięćdziesiąt lat, jest w Azji od 1976 roku. Przyciągnięty sławą aśramu Oso Rajniśa w Punie, przybył tam z Londynu wraz z grupą przyjaciół. Spędził w aśramie kilka lat, nauczył się trochę grać, po czym rozpoczął włóczęgę, nigdy nie zatrzymując się dłużej w jednym miejscu. Również na Ko Samui jest tymczasowo. Jego marzeniem byłoby grać muzykę brazylijską. Właśnie złożył mu propozycję zespół Filipińczyków, grający w Phuket. Kolejny potpourri! Rozmawiamy o tym i radzę mu, żeby się zgodził. Potem uświadamiam sobie, że to ja płacę mu za konsultację, i wracam do właściwego podziału ról: on jest doradcą, ja szukam porad i wyjaśnień.

- Co to znaczy atzuki? - pytam.

- Atzuki znaczy: jak się mają rzeczy, jaki jest świat. Akceptacja życia.

Chodząc od jednego guru do drugiego, Bill słyszał o „różnych terapiach duszy”, ale żadna tak naprawdę mu się nie podobała. Tak więc wymyślił własną, całkowicie swoją, dzięki której teraz egzystuje. Z walizeczki lekarskiej wyciąga broszurę: The Atzuki Way to Health: Spiritual Body Psychology for the Next Millennium. Pytam, czy ta jego droga do zdrowia na przyszłe tysiąclecie oznacza psychologię ciała duchowego, czy też duchową psychologię ciała. Całkiem serio odpowiada, że chodzi o psychologię ducha i ciała. Dobra, przynajmniej się zrozumieliśmy!

Widzisz - tłumaczy mi z wystudiowaną impulsywnością - wszyscy pragniemy czegoś doznać, coś poczuć. Również spokój ducha, którego szukasz, jest uczuciem. To tak, jakbyś powiedział, że chcesz być bogaty. To, czego szukasz, to uczucie bycia bogatym, a nie bogactwo samo w sobie.

Bill ujmuje moje nadgarstki, żeby usłyszeć bicie nerki, wątroby oraz pięciu pozycji yin i yang (czymkolwiek to jest!). Zamyka oczy, koncentruje się.

Znakomicie. Doskonała równowaga. Jesteś w wyśmienitym zdrowiu - mówi. Wszystko rozumiał! Po czym dodaje: - Tylko bicie nerki jest trochę ciasne, ale wiesz, są to uderzenia związane z uczuciami spokoju i pogody ducha. Jako terapię zalecam ci akupunkturę, lecz nie tę chińską. Raczej typu japońskiego, ale z podejściem homeopatycznym.

To kompletny szaleniec, ale wciąż go słucham.

Proponuje mi jeszcze coś, co jego zdaniem bardzo by mi pomogło:

Rebirthing.

Co takiego?

Przedstawimy we dwóch twoje powtórne narodziny. Jest to technika służąca rozładowaniu emocji. Ale robi się to w odosobnieniu, bez osób postronnych, bo być może będziesz chciał uwolnić wszystkie swoje uczucia. A to może być dramatyczne.

Doradza mi poza tym wiele masaży - wykonywanych oczywiście przez szefową masaży stek, która jest jego kochanką - oraz kontynuowanie kąpeli parowych w saunie.

Wilgoć jest znakomita na nerki - stwierdza.

Jeśli chodzi o dietę, powinienem zażywać dużo żeńszenia; może mi dostarczyć produkt znakomitej jakości. Muszę też zarzucić wegetarianizm; ma specjalny chiński bulion z kurczaka, który może mi sprzedać. W każdym razie, aby uniknąć możliwego niedoboru protein, powinienem jeść dużo orzechów i bobu.

Bób ma kształt nerek i dlatego, zgodnie z zasadami yin i yang, dobrze na nie robi.

Radzi mi także, abym pił dużo wody.

On do tej pory zawsze leczył się sam dzięki „połączeniu medytacji, czyli yin, i muzyki brazylijskiej, czyli yang”. Bill wkłada to yin i yang, gdzie się da, a kiedy mówi o jedzeniu yin i yang, udaję głupka i pytam:

Jedzenie yin i yang?

Weź marchewkę. Można ją pokroić pionowo albo poziomo. Wszystko w życiu można pojmować pionowo lub poziomo, jako yin albo jako yang.

Godzina minęła. Bill ma wielką nadzieję, że jeszcze do niego przyjdę. Może mi pomóc. Patrząc mi znów głęboko w oczy, wyjaśnia:

W tym wieku trzeba ćwiczyć przebywanie z Bogiem, bo zbliżamy się do chwili, kiedy będziemy musieli pozostać z Nim na zawsze.

Właśnie wróciłem do mojej chaty, żeby zapisać te uwagi. Potem pójdę do Leopolda, aby opowiedzieć mu o tym spotkaniu. Nieźle się uśmiejemy. Jak inaczej zareagować na to szaleństwo?

Ameryka zatruwa nas swoją globalną kulturą supermaterializmu. Również Ameryka proponuje nam jako antidotum swoją duchową kontr kulturę New Age. My mamy konsumować: albo jedno, albo drugie. Jeszcze lepiej: jedno i drugie. Irracjonalność jako środek na wszechwładzę rozumu eliminuje ostatnie ślady zdrowego rozsądku. Natomiast koniec zdrowego rozsądku to koniec wolności.

Być może całe tutejsze gadanie o „oczyszczeniu się” wyraża nieuświadomione pragnienie „czystości”, która niekoniecznie dotyczy trzewi.

Szósty dzień postu

Budzę się o pół do drugiej w nocy, bo deszcz uderza mocno w dach mojej chaty. Nadsięgnę tajfun. Śniło mi się, że mam raka jelit i w szpitalu we Florencji powierzony zostałem opiece małej lekarki, której nie ufam i przed którą uciekam. Najwyraźniej przetworzyłem spotkanie z „małym” Billem i wszystkie spostrzeżenia dotyczące jego „terapii”.

Przez cały ranek niebo przesłaniają wielkie, czarne chmury, wypełnione deszczem. Temperatura jest idealna, żeby zostać w chacie i drzemać albo czytać w oknie, przypominającym okno małego więzienia. Wśród wierszy Rumięgo, które zabrałem ze sobą jako milczącego towarzysza podróży, znajduję jeden doskonale pasujący do spędzanych tu dni:

Piękny posiłek

Wydaje się pociągający

Potem w nocy

Przechodzi przez ciało

I staje się odrażający.

Żywny się miłością!

(Rumi, tłumaczył Marek Osiewicz)

Jestem osłabiony, nie mam halucynacji, ale także sił, aby pójść na długi spacer. Nie biorę już integratorów, a dziś rano poprosiłem, żeby do mojego wiadra nalano tylko letniej wody.

- Bez kawy, proszę.

W sitku nic nie ma - u Leopolda już od dwóch dni. Jest jeszcze słabszy ode mnie, ponieważ odkąd podzieliłem się z nim moimi podejrzeniami, nic więcej nie włożył do ust, poza wodą i wieczornym „bulionem”. Nie ulega dla nas wątpliwości, że moje przypuszczenie jest słuszne: do sitka trafiają resztki trzydziestu plastikowych kapsułek oraz isabgolę, które podają nam każdego dnia, a nie jakies „trucizny i toksyny”.

Kolejna postać wzbogaca panoramę Spa: Ute, Niemka z Berlina, około trzydziestu pięciu lat, z żółtymi i różowymi kłakami na głowie. Parę lat temu przyjechała tu na wakacje, a po powrocie do Niemiec nie zdołała się już na powrót zaadaptować. Zrobiła pierwszy stopień reiki. Została - jak mówi - „wtajemniczona” i teraz jeździ po świecie, praktykując tę „starą, japońską sztukę terapeutyczną”. Jej pierwszą ofiarą - rzecz jasna, za opłatą - jest australijska dziewczyna, która wciąż tu przebywa, mimo zakończonego postu. Ute oddziałuje na nią „energiją wszechświata”. Gdyby słowo „energia” zniknęło ze słownika, cała masa osób pozostałaby bez pracy!

Leopold i ja jesteśmy bez sił. Siedzimy więc spokojnie przy jednym ze stolików naprzeciwko recepcji. Obserwujemy pary z plecakami na ramionach, które - zwabione afiszem wywieszonym przy drodze: „Relaksacja - Medytacja - Ośrodek Zdrowia”, wchodzą zaczerpnąć więcej informacji. To zawsze ona idzie przodem, ogląda menu i pyta o ceny „programu”. On, zawsze trochę onieśmielony, stoi z boku. Sam pozwala, żeby na pierwsze pytania odpowiedział ktoś z personelu. Potem podchodzi, pokazuje

Złotą księgę, zwraca uwagę na fotografie z tajemniczymi toksynami, które zostały wyeliminowane... Para patrzy na siebie. Ona podejmuje decyzję. Program sprzedany.

Gdyby paszporty zostały już zniesione, ocalilibyśmy tych dwoje!

Siódmy dzień postu

Ostatnie wiadro. Po nim biała ciecz, która „przywróci florę jelitową”. Holenderski przystojniak przychodzi mi powiedzieć, że podziela nasze wątpliwości. Moja teoria zaczyna krążyć wśród społeczności poszczących. Gdyby dotarła do Sama, ten mógłby mnie otruć lewatywą.

Bill, „fałszywy prorok”, urabia dwie młode ofiary.

Dzisiejsze „posiedzenie gabinetowe” z Leopoldem dotyczy w całości ekonomii. Mój przyjaciel twierdzi, że tak jak początek ubiegłego wieku zdominowała psychoanaliza, przedstawiając się jako system pozwalający zinterpretować całe życie, podobnie czyni dziś ekonomia. Ze swoją rzekomą naukowością pożera naszą cywilizację, tworząc wokół nas pustynię, z której nikt nie potrafi wyjść. A najmniej sami ekonomiści.

Mówię, że jest na to pewien sposób. I aby pozostać przy temacie ostatnich dni, powracam do mojej starej myśli: po upadku wszystkich rewolucji jedynym sposobem na uniknięcie pochłonięcia przez konsumpcję jest poszczenie, powstrzymywanie się od wszystkiego, co nie jest absolutnie potrzebne, niekupowanie tego, co zbędne. Gdyby mnie posłuchano, byłby to koniec ekonomii. Ale jeśli będzie ona dalej tak szaleć, nastąpi koniec świata. Wystarczy spojrzeć na tę małą wyspę, gdzie w ostatnich latach wykarczowano lasy i zalano cementem plaże w imię postępu i rozwoju gospodarczego!

Dla ekonomii to „dobra wiadomość”, że ludzie więcej kupują, więcej budują, więcej konsumują. Ale pogląd ekonomistów, że tylko poprzez konsumpcję dokonuje się postęp, to czyste szaleństwo. W ten sposób niszczy się świat, ponieważ koniec końców konsumowanie jest równoznaczne z wyczerpywaniem zasobów Ziemi. Już dziś zużywamy sto dwadzieścia procent tego, co nasz glob produkuje. Pożeramy kapitał. Co zostanie dla naszych wnuków?

Gandhi, żyjący w swoim prostym, ale precyzyjnym i moralnym świecie, rozumiał to. Mówił: „Ziemia ma wystarczająco dużo, żeby zaspokoić potrzeby wszystkich, ale nie ich zachłanność”.

Wielkim ekonomistą byłby dziś ten, który przemyślałby na nowo cały system, biorąc pod uwagę to, czego ludzkość naprawdę potrzebuje - i to nie tylko z materialnego punktu widzenia.

Ponieważ system nie zmieni się sam z siebie, każdy może przyczynić się do jego zmiany... poszcząc. Wystarczy zrezygnować z jednej rzeczy dzisiaj, z innej jutro. Wystarczy zredukować tak zwane potrzeby, o których szybko się przekonamy, że wcale nie były potrzebami. To sposób na ocalenie. To prawdziwa wolność: nie wyboru, ale bycia. Dobrze znał ją Diogenes, który krążył po targu w Atenach, mamrocąc: „Popatrz, popatrz, ile tu rzeczy, których nie potrzebuję!”.

Dzisiaj wszyscy potrzebujemy wyobraźni, aby na nowo przemyśleć nasze życie, wyjść ze schematów i nie powtarzać tego, co jest błędne.

Dlaczego wciąż szukać rozwiązań społecznych i politycznych w formułach, które okazały się fatalne? Dlaczego szkoły mają być takie, jakie są? Dlaczego chorzy mają być leczeni wyłącznie w miejscach zwanych szpitalami? Dlaczego problem osób w podeszłym wieku ma być rozwiązywany poprzez domy starców? Już sam fakt, że kwestia ludzi starszych postrzegana jest jako „problem”, stanowi prawdziwy problem.

A więzienia? Jak to możliwe, że we wszystkich zakątkach świata, od Azji po Europę, od Ziemi Ognistej po Laponię, rozwiązaniem dla kryminalistów jest zamykanie ich na określoną liczbę lat w bardziej lub mniej wygodnych klatkach? Czy to możliwe, że nikt nie ma śmiałości wymyślić czegoś nowego, co nie byłoby wstawieniem telewizora do celi albo dodaniem odwiedzin żony raz w miesiącu?

„Posiedzenie gabinetowe” zakończone zostało moją propozycją, aby ogłosić światowy konkurs dla dzieci poniżej dziesięciu lat, w którym zapytano by, co robić ze złodziejami i mordercami.

W Indiach, w pięćdziesiątą rocznicę śmierci Gandhiego, wymyślono coś w tym stylu. Dzieciom ze szkół podstawowych zadano pytanie: „Co byś zrobił, gdybyś miał absolutną władzę w kraju?”. Najczęstsze odpowiedzi brzmiały: Dałbym dom biednym, kazałbym posprzątać ulice, wyrzuciłbym skorumpowanych polityków, zasadziłbym więcej drzew, zmniejszyłbym liczbę ludności.

A zatem - władza dla dzieci!

Ósmy dzień postu

Dramat w Spa. W środku nocy budzą mnie rozpaczliwe krzyki kobiety. Słyszę odgłosy szarpaniny, potem jakieś szybko oddalające się kroki. Wstaję. Leje jak z cebra. Nie można zapalić światła. Całe miasteczko pogrążone jest w ciemności. W blasku błyskawic dostrzegam Leopolda i kogoś jeszcze.

- Chodź tutaj, weź latarkę! - krzyczy.

Amerykańska dziewczyna, uwieszona u jego szyi, drży jak liść i szlocha. Leopold próbuje ją uspokoić. Jakiś mężczyzna z pistoletem wszedł do jej chaty, chciał ją okraść i zgwałcić. Leopold usłyszał, wyszedł, a napastnik uciekł przez plażę. Dziewczyna jest przerażona, nie chce zostać sama. Leopold zostaje na straży i śpi na podłodze na jej werandzie.

Nadchodzi szary świt. Niebo wciąż jest ciężkie od czarnych chmur monsunowych, które od czasu do czasu eksplodują ulewami. Mój „program” dobiegł końca. Dzisiaj mam prawo do jedzenia. Czuję się jednak tak, jakbym miał stracić dziewictwo, i nie wydaje mi się, żeby było warto. Myślę, że na tym etapie mógłbym kontynuować post przez kolejne dni. I chciałbym to robić. Jednym z rezultatów głodówki jest to, że człowiek nie ma ochoty się opychać, a już na pewno jeść sztucznego pożywienia. W żołądku czuję przyjemną lekkość i nie chciałbym jej stracić.

Czuję się znakomicie, głowę mam jasną i dziwnie odzyskałem siły. W jaki sposób, nie wiem. Mam ochotę nawet przebiec się po deszczu. Siadam jednak w załomie skalnym i z zamkniętymi oczami próbuję skoncentrować umysł na orzechu kokosowym, który potoczył się pod moje nogi, i na wspaniałej tajemnicy życia. Orzech kokosowy, który spadł nie wiadomo gdzie, zagarnięty przez morze, kołyszany, być może całymi miesiącami, przez fale, przybił teraz tutaj do brzegu i - wyrzucony

na plażę - będzie rósł, aż się stanie drzewem! Zawsze ta sama siła, ta energia wewnątrz materii! To jest prawdziwa magia świata.

Całe Spa roztrząsa i komentuje nocne wydarzenia. Zdaje się, że coś podobnego wydarza się nie po raz pierwszy. Próbuję nie dać się w to wciągnąć. Spaceruję, wałęsam się, czytam i odkładam na później czekające na mnie śniadanie: kawałki papai, jogurt z koziego mleka, miód i pyłek pszczeli.

O dziesiątej postanawiam wreszcie zjeść. Siedzę samotnie przy stoliku, mając przed sobą morze, jakby chodziło o akt religijny, do którego się przygotowałem, biorąc prysznic i wkładając czystą kurta pijama. Pierwszy smak w ustach, coś pięknego!

Nazajutrz

Ostatni spacer, walizki, pożegnania. W pełnej pary saunie, przypominającej konfesjonał, tybetańska buddystka proponuje mi w zamkniętej hermetycznie plastikowej torebeczce dwanaście pastylek LSD. Teraz, kiedy wraca do Ameryki, a w dodatku kazała sobie zrobić fryzurę z warkoczyków poprzetykanych kolorowymi koralikami, na pewno zatrzymają ją, jak mówi, na cle, więc nie chce ryzykować. Sugeruję, żeby zaproponowała je holenderskiemu przystojniakowi.

Machiko-san, japońska dziewczynka, daje mnie i Leopoldowi w podarunku monetę o wartości pięciu jenów. Go hen znaczy pięć jenów, ale także powodzenia. Ma ich cały zapas, żeby dziękować po drodze wszystkim, którzy jej pomagają

Drogi na Ko Samui są całkowicie zalane, ponieważ zbudowano je bez odpływów kanalizacyjnych. Lotnisko jest zatłoczone. Samoloty są spóźnione, ale mimo niskich i groźnych chmur monsunowych przywożą i odwożą pasażerów. W turystyce panuje rytm taśmy montażowej i nie może być przestojów. Wśród oczekujących dostrzegam mężczyznę w moim wieku, z białą bródką, który uporczywie ponawia próby, aby przydzielono mu miejsce, którego nie zarezerwował. W końcu widzę, jak wsiada do naszego samolotu. Ma wygląd profesora, może psychoanalityka.

Gdy w Bangkoku czekam, aż moja zielona torba - ta jeszcze z Chin - pojawi się na taśmie, nawiązuję z nim rozmowę. On też wraca z centrum zdrowia. Też zrobił sobie płukanie jelita grubego. W jego ośrodku - mówi - „są świetni specjaliści, ponieważ leczą przede wszystkim wewnętrzne dziecko”.

Wewnętrzne dziecko? - powtarzam, nie okazując większego zdziwienia.

Tak. Dziecko, które jest w każdym z nas - mówi, kładąc sobie rękę na sercu i patrząc na mnie z łagodnym, porozumiewawczym uśmiechem. - Stosują tam techniki medytacji odpowiednie do rozmów z tym dzieckiem - wyjaśnia. - A poza tym, to wszystko, co wyszło mi z brzucha. W sitku widziałem niewiarygodne rzeczy: toksyny, trucizny i bardzo długiego solitera. Niedługo tam wrócę. Jedź tam, zobaczysz. Kierownikiem jest Grek, ma żonę Taj-kę. Jest tam wielka energia. Wybierz się tam następnym razem. Do widzenia.

Do widzenia.

Do utraty tchu

Wschód i Zachód. Co my, Europejczycy, robimy tu, w Azji? Czego się tu nauczyliśmy? Czy nie czas stąd odejść? Od jakiegoś czasu Leopold podnosił te kwestie, a wieczory w Bangkoku, w jego starym, drewnianym domu pośród ostatnich drzew, jakie się ostały, były znakomitą okazją, by do nich powrócić. W głębi serca już postanowił wyjechać. Od ćwierć wieku mieszkał w Tajlandii i wszystko to, co skłoniło jego i wielu innych młodych ludzi z Zachodu do przyjazdu tutaj, uległo zmianie. Wschód stawał się coraz bardziej kopia naszego domu i ów skarb odmienności, który nas tu przyciągnął, szybko zniknął, tłumiony postępem.

Nie mogłem nie przyznać mu racji. Z Tajlandią skończyłem już dużo wcześniej. Gdybym nie zamieszkał w Indiach, gdzie siły ducha zdają się jeszcze sprzymierzać przeciwko siłom materii, też doszedłbym do wniosku, że w Azji nie ma już nic, czego można by się nauczyć, czym można by się żywić.

Bangkok zewnętrznie bardzo się zmienił i w rezultacie zmienił się też jego duch - gdzieś przepadł urok. Ze słonecznego miasta, poprzecinanego kanałami, stał się cementową aglomeracją, zacienioną przez masę wysoko wyniesionych ulic, zbudowanych nad drogami wodnymi.

Nowoczesność osłabiła tradycyjną pogodę ducha tutejszych ludzi i przyspieszyła ich - kiedyś senny - rytm życia.

Zaraz po powrocie z Ko Samui poszedłem odwiedzić starego tajskiego przyjaciela, buddyjskiego filozofa. Mieszkał wciąż w swoim małym i skromnym domu, ale nie miał tam już nawet promienia słońca, żeby mogły rosnąć kwiaty. Wszystko z powodu drapaczy chmur, które go otoczyły. Kiedy wspomniałem mu o swojej chorobie, powiedział mi o pewnym bonzie, który mógłby mi pomóc. To wielki uzdrowiciel - stwierdził. Przyjeżdżają do niego z całego świata. Moglibyśmy natychmiast do niego zadzwonić i się umówić. Ma komórkę. Nie, dziękuję.

Wschód i Zachód. Kiedyś - bardziej niż o różnej tożsamości geograficznej - można było mówić o dwóch różnych wizjach życia. Pierwsza opierała się na eksploracji świata wewnętrznego, z niewielką albo żadną dbałością o zewnętrzny, druga w całości nastawiła się na dominację świata na zewnątrz, całkowicie ignorując ten w środku. Od końca dziewiętnastego wieku nadzieją wielu ludzi Zachodu była możliwość uzupełnienia jednej wizji drugą, ocalając obie z nich i pozwalając tym samym całej rasie ludzkiej na poważny skok jakościowy. Złudna nadzieja. Materialna siła wizji zachodniej pokonała wizję wschodnią i Azja, której zawdzięczamy bogów i idee, straciła swój spokój, goniąc za takim samym typem szczęścia, które nas już unieszczęśliwiło.

Gdy któregoś dnia zadzwoniliśmy do Dana Reida, starego przyjaciela, znawcy Chin i taoizmu, usłyszeliśmy, że on też skończył ze Wschodem. Postanowił opuścić Cziang Maj i wyemigrować do Australii. Dla mnie był to dobry pretekst do odwiedzin. Po wymianie maili dotyczącej „morderców w białych fartuchach” - jak nazywał moich naprawiaczy z Nowego Jorku - i po jego radzie, żeby skończyć z chemioterapią i skonsultować się, choćby tylko telefonicznie, z kalifornijską jasnowiedzką, więcej się nie słyszeliśmy. Chciałem się z nim pojednać, a także dowiedzieć się czegoś więcej o qigong, którego był wielkim znawcą.

Wizyta u niego była przyjemnością: furka, ogród, przejście po kamieniach przez mały staw z pięknymi kwiatami lotosu i tradycyjna, niska budowla na wzniesieniu terenu, które nadawało mu

nazwę: Szczęśliwe Wzgórze. Dom nie był tak okazały, jak ten nad rzeką, w którym Dan i jego żona Yuki mieszkali wcześniej, ale panowała w nim taka sama atmosfera spokoju.

Nad drzwiami wejściowymi wisiał oprawiony w ramki sześciowiersz Kiplinga, jakby dla przypomnienia tym, którzy tamtędy przechodzili w czasach, kiedy Wschód był jeszcze tajemnicą, a walka o jego zdobycie zdawała się nierówna:

Zakończeniem każdej wojny

Jest biały kamień nagrobny

Z imieniem biednego zmarłego

I epitafium dla pokonanego:

Tu leży szaleniec z Zachodu

Co próbował dotknąć Wschodu.

Tak naprawdę przybyły z Zachodu szaleniec przeżył, a nawet wygrał. Biały kamień nagrobny spoczął raczej na tajemnicy Wschodu.

Początkowo Dan boczył się, trochę obrażony, bo nie poszedłem za jego radą. Szybko jednak udało mi się uzyskać „przebaczenie”, gdy zacząłem opowiadać o niedawnym płukaniu jelita, którego on od lat był wielkim piewą, i o tym, że właściwie codziennie poświęcam trochę czasu jego ukochanemu qigong. Nauczyłem się kilku ćwiczeń od Mastera Hu w Nowym Jorku i teraz chciałbym, żeby mi je pomógł udoskonalić. Zadziało.

O świcie, gdy już każdy wyciszył swój umysł, spotykaliśmy się w ogrodzie i Dan udzielał mi lekcji. Był znakomity. Już samo obserwowanie nauczyciela, jego szczupłego, umięśnionego ciała, kontrolowanego w każdym geście, było nauką. Poprawił niektóre moje pozycje i polecił, bym przed każdą sekwencją robił specjalne ćwiczenie, polegające na obracaniu tułowia na lekko ugiętych kolanach i z opuszczonymi ramionami, aby „otworzyć kanały” i „pozwolić krążyć energii”.

Uprawianie qigong z Danem utwierdziło mnie w przekonaniu, że niezależnie od wszystkich dyskusji na ten temat, jest coś niezmiernie zdrowego w tej starej chińskiej praktyce, polegającej na powolnym poruszaniu kończynami, przy jednoczesnym kontrolowaniu oddechu. Przy naszym trybie życia naprawdę zupełnie nie zwracamy uwagi na sposób, w jaki oddychamy - nie zdajemy sobie nawet sprawy, że to robimy! - więc jasne jest, że prędzej czy później za to zapłacimy.

Według Dana qigong to znakomity sposób zapobiegania bardzo wielu chorobom - szczególnie rakowi. Jego terapeutyczna moc ma polegać na dotlenieniu organizmu spowodowanym ćwiczeniami.

Już w 1931 roku - mówił - niemiecki lekarz Otto Warburg otrzymał Nagrodę Nobla za odkrycie, że we wszystkich formach raka chore komórki były jednocześnie poważnie niedotlenione, podczas gdy te, które otrzymywały dostatecznie dużo tlenu, nie zostały zaatakowane przez chorobę. Dan dostrzegał jakiś spisek w tym, że odkrycie Warburga zostało zignorowane przez naukę i od tamtej pory nikt do niego nie wracał. Rozwój wypadków bez wątpienia potwierdził - jego zdaniem - doniosłość tamtego odkrycia: zachorowalność na raka zwiększyła się równoległe ze spadkiem poziomu tlenu. Również dzisiaj choroba ta rozprzestrzeniła się dużo szybciej w uprzemysłowionych rejonach świata, gdzie

właśnie procentowa zawartość tego pierwiastka w powietrzu coraz bardziej się obniża z powodu zanieczyszczenia.

Nie wiem, na ile mój przyjaciel miał rację, ale podobał mi się myśl, że ćwiczenia, za pomocą których dostarczałem w jego ogrodzie czyste powietrze do różnych części organizmu, dobrze mi robią. Dan bardzo nalegał na harmonię, na powolność każdego gestu, na niewkładanie w to żadnego wysiłku i na uświadomienie sobie, że różne zewnętrzne ruchy ciała służą również masowaniu narządów wewnętrznych. Owa powolność - mówił - była też najlepszym sposobem kontrolowania emocji, które, według niego, były przyczyną wielu przewlekłych chorób.

To mnie przekonywało i mi wystarczało. Nie miałem już potrzeby wierzyć w jego opowieści o mistrzach qigong, zdolnych usunąć ogromne guzy wyłącznie poprzez przekazanie swojej energii, albo w twierdzenia - potencjalnie nawet niebezpieczne - według których chorzy na raka, leczący się jedynie za pomocą tej metody, żyją dłużej od tych, którzy poddają się chemioterapii i naświetlaniom. Po moim doświadczeniu z reiki miałem pewne uprzedzenie dotyczące możliwości „energii” i jej przekazywania. Chciało mi się śmiać, kiedy Dan na zakończenie naszych ćwiczeń nalegał, żebym strząsnął z siebie rękami od głowy po stopy „negatywną energię”, która została na powierzchni. Śmiałem się, ale wszystko pilnie wykonywałem.

Książka, którą Dan napisał na temat qigong, właśnie się ukazała. Poprzednie publikacje, dotyczące chińskich ziół i tao seksu, zdrowia i długowieczności, uczyniły go sławnym. Jego dom codziennie odwiedzali różni ludzie, którzy przychodzili pobierać lekcje, prosić o rady lub po prostu przebywać z nim. Dla wielu stał się guru New Age. Pośród wielu osób, wszystkich z Zachodu, które przewinęły się przez Szczęśliwe Wzgórze w ciągu spędzonych tam przeze mnie paru dni, znaleźli się: Afroamerykanin z Michigan, który uczył gry w golfa tajskich żołnierzy; Niemiec, były pracownik Bayera, który został mistrzem ceremonii herbacianej; dziewczyna wychowana na angielskim przedmieściu, która jedenaście lat temu złożyła śluby czystości i teraz uczyła jogi; kierownik z jakiejś agencji reklamowej z Hongkongu, który chciał się poświęcić naukom okultystycznym, oraz nieprawdopodobnie patetyczny, trzydziestopięcioletni Kalifornijczyk, syn nauczycieli akademickich, który przed dziewięcioma laty został mnichem buddyjskim. Choć przebywał w tropikach, nieustannie było mu zimno. Powiedział, że bardzo chciałby się skonsultować z lekarzem albo nawet z psychoanalitykiem, ale jego „mistrzowie” odradzali mu to. Twierdzili, że najlepszym lekarstwem jest medytacja.

Dan, siedząc na werandzie, przygotowywał dobrą chińską herbatę, częstował wszystkich dookoła i animował dziwne rozmowy, które czasem ciągnęły się godzinami. Z biegiem dni nasłuchiwałem się wszystkiego: związek przy- czynowo-skutkowy między HIV i AIDS nie został udowodniony, a cała historia jest wymysłem koncernów farmaceutycznych; środki nasenne są niezwykle groźne, bo żeby cię uśpić, paraliżują pewne części mózgu i w ten sposób uniemożliwiają komórkom regenerację, jak to się dzieje w czasie normalnego snu; niektóre nowe, nieuchronne choroby, jak ebola, są wywołane wirusami stworzonymi przez Amerykanów w trakcie eksperymentów nad bronią bakteriologiczną, które potem wymknęły się spod ich kontroli; hormony wzrostu podawane krowom, żeby wytwarzały więcej mleka, przechodzą na dzieci, które to mleko piją, co powoduje nieprzewidywalne konsekwencje dotyczące ich rozwoju fizycznego. I tak dalej.

Nie wszystkie z tych historii były bezpodstawne. Jedna z nich, o której, mieszkając w Indiach, wiedziałem, że jest autentyczna, odnosiła się do spółki Monsanto. Wkrótce po tym, jak eksplozja chemiczna, spowodowana przez inne wielkie zakłady amerykańskie, Union Carbide, spowodowała

oślepienie i śmierć tysięcy osób, przedstawiciele Monsanto pojechali do uratowanych z prezentem: nasionami soi. Dziękujemy. Dziękujemy. Dopiero po jakimś czasie biedni chłopci odkryli, że owe ziarna były genetycznie zmodyfikowane i że rośliny, które z nich wyrosły, nie rodziły już kolejnych nasion. Tak więc jedynym sposobem kontynuowania uprawy soi było udanie się do przedstawicieli Monsanto, żeby kupować co roku ich sterylne i drogie nasiona.

Amerykanie, którzy przewijali się przez werandę Dana, byli w większości obrażeni na swój kraj. Uważali go za niebezpieczny i wielu z nich nie chciało nigdy więcej tam wracać. Dań był tego samego zdania. Twierdził, że Stany Zjednoczone przygotowują własną zagładę za sprawą produkcji coraz bardziej skomplikowanej broni chemicznej i bakteriologicznej, która w końcu obróci się przeciwko nim samym. Dlatego się cieszy, że zamieszka bardzo daleko od Ameryki - w Australii.

Leopold nazywał tę kongregację psów spuszczonej z łańcucha Akademią Szaleńców. Ale mnie ci szaleńcy interesowali. Byli papierkiem lakmusowym niepokoju pełzającego w zachodnim społeczeństwie, rozpaczliwym wyrazem kryzysu, który wiele osób, szczególnie młodych, odczuwa i którego nie da się już ignorować.

Interesowała mnie na przykład ich podejrzliwość w stosunku do nauki. Szczerze mówiąc, ja też się jej nabawiłem - szczególnie po Nowym Jorku. Jak mogłem się sprzeciwić Danowi, kiedy twierdził, że choć nauka obiecywała nam większą niezależność od potrzeb, większy dobrobyt i szczęście, tak naprawdę zanieczyściła świat, czyniąc go coraz mniej nadającym się do życia? Czy mogłem nie przyznać mu też racji w kwestiach osobistych, kiedy - wracając do tematu „morderców w białych fartuchach” - mówił, że za pomocą swojej nauki usunęli być może objawy mojej choroby, ale na pewno nie chorobę samą w sobie? Tak było. Wiedziałem o tym.

Zgadzałem się z przesłankami wielu ich rozważań. To prawda, że badania naukowe są już całkowicie zdominowane przez interesy praktyczne, handlowe czy też wojskowe. To prawda, że cała nauka zorientowana jest na materię, że opisuje świat wyłącznie za pomocą terminów matematycznych i że nie jest w stanie zrozumieć ludzkiego życia i emocji. Natomiast zupełnie nie zgadzałem się z ich wnioskami. Nauka nie jest „zbędna” - jak mówili niektórzy z nich - a tym bardziej nie jest „wrogiem numer jeden ludzkości” - jak twierdzili inni.

Nauka jest ważnym narzędziem poznania. Za błędną należy natomiast uznać opinię, że jedynym. Gdyby Zachód był mniej opętany tym, co uważa za „obiektywne”, i bardziej zajął się światem zewnętrznym, tak jak Wschód zajął się światem wewnętrznym, jako punktem spotkania tego, co obiektywne, z tym, co subiektywne, być może wszyscy zrozumielibyśmy w końcu z tego wszystkiego trochę więcej.

Próba naukowego udowodnienia pewnych zjawisk - choćby pozazmysłowych - jest po prostu niemożliwa. Poprzez samo dążenie do „naukowości”, to znaczy obiektywizmu, odrzuca się bowiem aspekt emocjonalny i duchowy, będący główną przyczyną tych zjawisk. To nie przypadek, że głównym ograniczeniem wielkiego odkrycia Freuda było właśnie niewzięcie pod uwagę duchowego aspektu człowieka, jak gdyby naprawdę „potrzeba boga” była biochemiczną funkcją naszego mózgu. Teza ta podtrzymywana jest dzisiaj przez niektórych uczonych amerykańskich. Nie było też przypadkiem, że choć Jung czuł taką potrzebę, bardzo się niepokoił, że robi to wrażenie, jakby przeskoczył przez rów i opuścił już królestwo nauki, a tym samym nikt też nie traktuje go poważnie.

Sprawy mają się bowiem tak: uczeni myślą, że narzędzie, jakim się posługują, daje im autorytet, a może wręcz nawet moralność, których nikt nie zdoła zakwestionować. A przecież nauka sama w sobie nie jest ani jednym, ani drugim; nie jest ani negatywna, ani pozytywna. Wszystko zależy od tego, jaki się z niej robi użytek. Na Wschodzie Chińczycy jako pierwsi odkryli właściwości prochu strzelniczego, ale używali go do wytwarzania sztucznych ogni albo do rozświetlania ciemności nocy fantasmagorycznymi, kolorowo świecącymi kwiatami. Na Zachodzie poznaliśmy proch znacznie później niż Chińczycy, ale natychmiast uczyniliśmy z niego narzędzie wojny, sposób zabijania - na odległość i bez brudzenia sobie rąk - jak największej liczby ludzi.

„Nauka zachodnia to wiedza ignorancka” - napisał ponad sto lat temu pewien Tamil z Dżafny na Sri Lance. Być może rzeczywiście miał rację.

Na pewno zaś nie mają jej wyznawcy New Age, którzy myślą, że z tego powodu można zrezygnować z nauki i rozumu oraz bezkarnie uciec w okultyzm i irracjonalizm, bezkrytycznie przyjmując każde głupstwo albo szaleństwo. Taka reakcja jest groźna.

Odrzucenie rozumu i rezygnacja z myślenia oznaczają wystawienie się na formę intelektualnej anarchii, która zamiast uwolnić człowieka, uczyni go w końcu niewolnikiem jakiejś nowej tyranii.

Ale to również jest reakcja - rozpowszechniona w Akademii Szaleńców - którą należy zrozumieć, jeśli chce się ją ukierunkować w sensie pozytywnym. Wynika ona z niedosytu duchowego, jakim świat wewnętrzny dotknięty jest od co najmniej trzech pokoleń.

Ostatnich osiemdziesiąt lat zdominowanych zostało przez rywalizację dwóch ideologii: marksizmu i kapitalizmu. Mimo ich pozornej sprzeczności i śmiertelnej walki, w jaką się zaangażowały, obydwie opierały się na tej samej ufności w naukę i rozum. Obydwie były pochłonięte światem zewnętrznym, bez żadnej dbałości o wewnętrzne życie ludzi i bez żadnego odniesienia do porządku metafizycznego.

Zarówno marksizm, jak i kapitalizm opierają się na podstawowym pojęciu „naukowym”, że istnieje świat materialny, oddzielony od umysłu i świadomości. Ten świat może być zdobywany i wykorzystywany w celu poprawienia warunków życia człowieka. System zbudowany na marksizmie upadł. Ten drugi, choć zwycięski, wykazuje oznaki kryzysu.

Dla zilustrowania sytuacji Leopold posłużył się świetnym obrazem. Marksizm to Titanic. Zderzył się z górą lodową i bardzo szybko zatonął. Ci, którzy ocalili z katastrofy, w ciemności nocy dostrzegli w oddali połyskujące światła innego przepływającego transatlantyku. Popłynęli rozpaczliwie w jego kierunku, wdrapali się na pokład i przeżyli. Teraz wszyscy tańczą w sali balowej w rytm tej samej orkiestry. Ale również ten drugi transatlantyk, kapitalizm, to Titanic, który pływając po tym samym morzu, wkrótce zderzy się z górą lodową.

Zdaniem Leopolda było to nieuniknione. Ja miałem jeszcze nadzieję, że górę lodową można oplotnąć, rozbudzając może jakąś nową świadomość wśród rozbitek i pozostałych pasażerów, a także przywracając i łącząc ze sobą - szczególnie między Zachodem a Wschodem - resztki utraconej mądrości jednej i drugiej strony.

Czy tak trudno wyobrazić sobie świat, w którym nauka służyłaby człowiekowi? Która nie wykorzystywałaby natury, a pomagała nam żyć w harmonii z nią? Czyż naprawdę utopią jest cywilizacja, w której relacje międzyludzkie ważniejsze są od skuteczności i postępu materialnego?

Według mnie wielkim zagrożeniem jest w tej chwili odrzucenie nadziei, przekonanie, że karty zostały rozdane, że świat jest już w rękach „innych” i nic więcej nie da się zrobić. To jeszcze jeden z niepokojących aspektów New Age. jakie objawiały się w Akademii Szaleńców.

- Zobaczmy, co zrobili dzisiaj światu, gdy my spaliśmy? - pytał rano Dan, otwierając gazetę, którą ktoś wrzucił do ogrodu.

Choroba, na którą cierpi teraz duża część ludzkości, jest nieuchwytna, nieokreślona. Wszyscy czują się mniej lub bardziej wykorzystywani, smutni, przygnębieni, ale nie mają obiektu, na którym mogliby wyładować złość albo ku któremu zwrócić nadzieję. Kiedyś władza, która ludzi gnębiła, miała swoje siedziby i symbole. Bunt kierował się przeciwko nim. Strzelało się do króla, burzyło Bastylię, oblegało Pałac Zimowy. Ale dzisiaj? Gdzie znajduje się ośrodek władzy, który zubaża nasze życie?

Być może trzeba zaakceptować raz na zawsze, że ośrodek ten znajduje się w nas samych, i że tylko wielka wewnętrzna rewolucja może zmienić ten stan rzeczy, zważywszy że wszystkie rewolucje zewnętrzne zdziałały niewiele. Aby to osiągnąć, należy wykonać tytaniczną pracę, a nie zawsze jesteśmy gotowi podjąć ten wysiłek. Dlatego New Age cieszy się takim powodzeniem. Choć problem został na swój sposób rozpoznany, to ruch ten podsuwa dużo łatwiejsze, szybkie rozwiązania, wskazuje różne skróty i obiecuje ocalenie poprzez taką czy inną formułę, której można się nauczyć w jeden weekend.

Spotkałem się z tym również u Dana: poprzez jego żonę. Kiedy widziałem ją po raz ostatni, wciąż medytująca Yuki stała się „kanałem”. Tak New Age nazywa dziś tych, o których kiedyś mówiono medium. „Kanały” to osoby, które wchodząc w kontakt z duchami, przekazują ich wiadomości, opinie i rady, i same stają się w ten sposób „nauczycielami mądrości”.

Yuki była „kanałem” do Kuan Yin, chińskiej bogini współczucia. Odkryła tę swoją właściwość niedawno. Poczula, że dzieje się z nią coś niezwykłego, nie mogła jeść, a jej ciało było wciąż gorące. Nie wiedziała, co robić, ponieważ w gruncie rzeczy nie czuła się chora. Zwróciła się do Khuna Anusorna, mieszkającego nieopodal Tają. Cieszył się on sławą uzdrowiciela i też był „kanałem”, indyjskiego boga Siwy. W transie Khun Anusorn, czyli Siwa, powiedział Yuki, żeby przez czterdzieści osiem dni jadła tylko owoce i piła jedynie wodę. Tak zrobiła. Czterdziestego dziewiątego dnia wróciła i Siwa, czyli Khun Anusorn, powiedział:

Teraz jesteś czysta i Kuan Yin wybrała cię, byś przemawiała do świata.

Od tamtej pory w każdą środę po południu Yuki, odziana w białe woale, w pogrążonym w półmroku pokoju na Szczęśliwym Wzgórzu, przy przyjemnej woni kadzidła, wchodziła w trans. Posługując się klasyczną chińszczyzną, którą tłumaczył Dan, udzielała rad ludziom, wśród których znajdowało się również kilku członków Akademii.

Dan i Yuki nalegali, żebym i ja poszedł do Khuna Anusorna. Przybywam z Indii, Siwa jest bogiem indyjskim, więc może mógłby podpowiedzieć mi coś pożytecznego. Nie oparłem się ciekawości. Wyprawa była zabawna. Khun Anusorn mieszkał, jak nam wyjaśnił, w dopiero co zbudowanym sanktuarium „ekumenicznym”. Wszystkie budynki pomalowane były w jaskrawych odcieniach czerwieni, zieleni i błękitu. Natomiast sale dla wielu przychodzących tam ludzi były całe fioletowe. Ekumenizm polegał na tym, że w różnych świątyniach i świątynkach obok posągów Siwy stały też

różne posągi Buddy, ośmiu chińskich nieśmiertelnych, jedna figura Lao Zi na byku i liczne apsaury, niebiańskie tancerki Khmerów.

Khun Anusorn, niski i krępy, z czarnymi włosami i brodą, cały ubrany na czerwono, przyjmował w pokoju, którego ściany wytapetowane były jego zdjęciami w towarzystwie sławnych ludzi. Miał piękny głos, mocny i głęboki. Jego angielski był dobry, mogliśmy więc porozumiewać się bez pośredników. Zamiast opowiadać mu o sobie, udało mi się nakłonić go do osobistych zwierzeń. Biedaczysko - też miał swoje problemy. Jedną z jego córek cierpiała od lat na brzydką egzemę, której nikt nie potrafił usunąć.

To karma poprzednich wcieleń - powiedział. - Nie da się z tym nic zrobić.

Umieścić córkę w pokoju z klimatyzacją, z którego prawie nigdy nie wychodziła. Powiedział, że jej skóra strasznie bała się słońca, ale ja odniosłem wrażenie, że to on obawia się tego, co ludzie mogliby powiedzieć na temat zdolności tego wielkiego uzdrowiciela.

Wciąż pozostajesz dziennikarzem, gotowym zaglądać do cudzych szuflad - skomentował Dan po naszym wyjściu.

Mógł mi mówić, co chciał i -jako guru New Age- szaleć, ile chciał. I tak byłem do niego przywiązany, a także wdzięczny za zaangażowanie w nauczanie mnie qigong.

Rankiem w dniu mojego wyjazdu, po odbyciu ćwiczeń, usiedliśmy sami na werandzie przy jego świetnej herbacie. Wiedzieliśmy, że prawdopodobnie więcej się nie zobaczymy i Dań, mówiąc o qigong, które nas połączyło, pozostawił mi coś na kształt wiatyku:

- Proszę. Rób to codziennie. Rób to skrupulatnie. Rób to aż do ostatniego tchnienia.

Była to rada, którą chętnie przyjmowałem.

Potem rozmawialiśmy o naszej pierwszej miłości, która przed wieloma laty nas zetknęła: o Chinach. Z krajem tym mieliśmy całkowicie odmienne związki. Ja w nim żyłem, potem poróżniłem się z nim, rozczarowałem. On, choć spędził wiele lat na Tajwanie, od prawdziwych Chin trzymał się celowo z daleka.

- Tylko w taki sposób zdołałem przeżyć - wyjaśnił. -Dzisiejsze Chiny są przerażające. Koszmar Konfucjusza się sprawdził: u władzy są handlarze i nie ma już żadnego szacunku dla mędrców czy kapłanów. Ale Chiny to również wielka cywilizacja. Czerpie się stamtąd pełnymi garściami i przeszczepia w miejscu zamieszkania. Ja mieszkam w tych Chinach, z których wziętem, ile się dało: sztukę parzenia herbaty, qigong, medycynę, ziołarstwo, taoizm, a także żonę. W gruncie rzeczy zawsze tak było: Chiny, o których mówię, to kraj nielicznych wybrańców, podczas gdy chłopcy pracowali, karmili wszystkich, a odpłacano im życiem pełnym festynów, świątyń i legend.

Te wirtualne Chiny były jego schronieniem i teraz chciał je zabrać ze sobą do Australii - niczym ślimak, który nosi ze sobą ochronną muszlę.

Nie było to rozwiązanie dla mnie. Ja też szukałem schronienia, ale czułem, że nie znajdę go w księżkach, w kraju czy w fikcyjnym czasie. Musiało to być coś we mnie, coś, co nie było ani wschodnie, ani zachodnie, a należało do wszystkich.

Wieczność trzech miesięcy dobiegała końca. Minęła szybko i wkrótce znów miałem stawić się w Nowym Jorku na „procedury”, jak naprawiacze nazywali serię badań, mających potwierdzić stan dokonanych reperacji. Im chodziło o to, czy mogą mi przedłużyć, czy też nie, wizę pobytową w świecie normalnych, mnie o kolejny bilet na karuzelę.

Badania te wymagały dziwnej narkozy, z której budziłem się, nie pamiętając nic z tego, co się ze mną dzieje, przez co najmniej dwanaście godzin. Dlatego musiał mi ktoś towarzyszyć. Znów padło na Angelę.

Spotkaliśmy się w Bangkoku i postanowiliśmy stamtąd wyruszyć do Ameryki, wybierając kurs przez Pacyfik. Ona chciała odwiedzić kuzynkę, która mieszkała na wyspie naprzeciw Zachodniego Wybrzeża Stanów Zjednoczonych, a ja przed wyjazdem do Nowego Jorku mógłbym wziąć udział w seminarium dla chorych na raka w Kalifornii. I tak, niczym kurczaki na farmie, stłoczeni na małej przestrzeni, napychani bez przerwy plastikowym jedzeniem odgrzewanym w mikrofalówkach, znaleźliśmy się na trasie jednego z tych potwornie nudnych, transoceanicznych lotów, które zdają się nie mieć końca.

Lummi nie było zbyt piękną wyspą, ale grupa młodych ekologów zdołała ocalić jej wielkie, stuletnie lasy cedrowe i nie dopuścić, aby ziemia podzielona została na działki. Dzięki temu krajobraz mógł zachować swoją surową naturalność. Tym, czego nie udało się uratować, był pejzaż ludzki - i tu znowu Ameryka mnie uderzyła.

Pierwotni mieszkańcy wyspy, Indianie, już nie istnieli. Ci, którzy przybyli po nich, niemal w komplecie wyjechali. Dzisiejsza ludność była przygnębiającą kolekcją nowych imigrantów: samotne kobiety i mężczyźni, rozpoczynający drugie, trzecie albo czwarte życie; pary po raz kolejny szukające szczęścia; rozwiedzeni homoseksualiści; stare, kalifornijskie milionerki żyjące z młodszymi od siebie o dziesięciolecia rybakami; brodaci ekolodzy z Los Angeles, udający leśników, oraz różni „artyści”; każdy ze swoim pikapem tureckim, którym przywiózł pozostałości jakiegoś życia gdzie indziej i którym był też gotów wyjechać, wrzucając do środka to - niewiele - co pozostałoby po ich życiu tutaj.

Ta furgonetka z otwartym tylnym bagażnikiem, którą widywałem przed każdym domem, stała się dla mnie symbolem Ameryki, gdzie nikt nie mieszka w miejscu urodzenia ani nie umiera tam, gdzie mieszkał. Tam wszyscy są niezależni i nieznani pośród innych niezależnych i nieznanych, z którymi przez krótki czas udają wielką zażyłość. Ciągłe, niespokojne przemieszczanie się Amerykanów, ich poczucie nieograniczoności w ogromnym kraju stwarza oczywiście owo wrażenie wolności, stanowiące podstawę amerykańskiego mitu. Ale także, jak mi się zdawało, rodzi wiele nieszczęść.

Często przed jakimś domem dostrzegałem dwie furgonetki: jedną dla niego, drugą dla niej. Tłumaczyłem sobie, że obydwójce gotowi są w każdej chwili ruszyć w swoją stronę. Mąż, żona, kochanek przestają odpowiadać? Miejsce staje się zbyt ciasne? Wrzucamy wszystko do furgonetki: pozostałości po porażce, skrzynkę z narzędziami, trochę ubrań, i ruszamy w jakieś inne miejsce, na inną wyspę, do innego miasta, gdzie wszystko zaczynamy od początku - pracujemy, Kochamy się, mówimy, że mamy przyjaciół.

Furgonetkowe społeczeństwo niczego nie gwarantuje, poza możliwością ucieczki. Cóż za różnica w stosunku do świata mojego dzieciństwa, kiedy - choć biedni - wszyscy mieli jeszcze rodzinę, zajęcie, przyjaźnie, na które można było liczyć i w które warto się było angażować! Ludzie żyli i pracowali w

kontekście społecznym, mającym swoją historię. Florency rzemieślnicy czerpali dumę i pewność z faktu, że są zakorzenieni, często od pokoleń, w tym samym warsztacie, w tej samej dzielnicy. Również to się zmieniło podczas mojego życia. Dzisiaj, także we Włoszech, takie słowa, jak „mobilność” czy „elastyczność” używane są dla zamaskowania nowej sytuacji ekonomicznej, w której coraz mniej młodych ludzi ma stałą pracę albo możliwość wybrania sztuki lub zawodu, do jakiego czują się powołani.

Również u nas przedstawia się już niepewność jako formę wolności. Fałszywej wolności. Nie doszliśmy jeszcze do logiki furgonetki, ale się ku temu skłaniamy, ponieważ także i u nas poczucie niepewności wzrasta we wszystkich dziedzinach, a związki międzyludzkie - od zawodowych po uczuciowe - stają się coraz mniej trwałe i zobowiązujące. Jakie jest wyjście? Niektórzy oczekują, że spadnie z nieba.

Na Lummi wychodziliśmy codziennie z Angelą na długie, czasem wielogodzinne spacerunki. Któregoś ranka o świcie na jednej z tych pustych dróg, wijących się aż po horyzont, minęła nas furgonetka, która po chwili zatrzymała się na poboczu jakieś dziesięć metrów przed nami. Wysiedli z niej mężczyzna i kobieta. Ruszyli w naszą stronę.

Jesteś osobą uduchowioną, prawda? - spytała mnie kobieta.

Czyż wszyscy nie stajemy się trochę tacy w pewnym wieku? - odparłem.

O nie, przyjacielu. Mogę ci podać długą listę osób na tej wyspie, które wcale takie nie są - powiedziała.

Mój indyjski strój, kurta pijama i szal z Kaszmiru na ramionach obudził w nich nadzieję, że spotkali „mistrza”, którego ich zdaniem wyspa potrzebowała. Musiałem ich rozczarować.

Po kilku dniach przenieśliśmy się do Seattle, stolicy Microsoftu. Mimo widoku na morze i zacumowanych w porcie jachtów bogaczy, pierwsze wrażenie podpowiadało, że to kolejne smutne miejsce. Na każdym rogu ulicy spotykało się kogoś, kto się opalał albo żebrał. Widać było bardzo wielu brudnych i zarośniętych młodych ludzi, czasem ze zrozpaczonym albo szalonym wyrazem twarzy. Wyobrażałem sobie ich wszystkich jako odrzuty z taśmy montażowej Billa Gatesa. Byli to nieudacznicy, którzy nie zdołali ułożyć jakiegoś programu dla światowego komputera.

W nocy nie spałem i słuchałem głosów ludzi, których domem było kartonowe pudło w załomie między dwoma sklepami. Nie czułem dookoła żadnego spokoju, żadnego poczucia wspólnoty, solidarności, tylko ową amerykańską atmosferę konfliktu. Rano chciałem kupić znaczki, żeby wysłać list. Urząd pocztowy był zatłoczony, ale ludzie nie rozmawiali ze sobą. Aż nagle ta ciężka cisza została przerwana. Jakiś włóczęga podszedł do okienka i czegoś zażądał, a urzędniczka powiedziała, że nie może tego zrobić.

Mężczyzna się wściekł i chciał poznać jej nazwisko. Ta wezwała dyrektorkę urzędu, która próbowała uspokoić natręta. On jednak nie dawał za wygraną.

- Jestem agentem FBI - powiedział, biorąc z lady kartkę papieru i zapisując nazwiska, które obie kobiety mu tymczasem podały. - To jedzie prosto do Białego Domu! - wrzeszczał.

Z tyłu oczekującej i zniecierpliwionej już kolejki usłyszałem głos:

- Ej przyjacielu, daj mi tę kartkę. Jestem prezydentem Stanów Zjednoczonych. Oszczędzisz na znaczku.

Angela i ja wybuchnęliśmy śmiechem, ale nikt nam nie zawtórował. Pozostali w kolejce udawali, że nic się nie stało, i sprawa się zakończyła.

Po godzinie w oknie strasznie cuchnącej restauracji zobaczyliśmy „prezydenta Stanów Zjednoczonych” jedzącego samotnie ryż z czerwoną fasolą, podczas gdy nieopodal „agent FBI” powtarzał swoją scenę w sklepie papierniczym.

Angela została w Seattle u przyjaciółki. Mieliśmy się spotkać w Nowym Jorku. Ja poleciałem do San Francisco na moje seminarium. Znowu dzielnice pełne biedaków, żebraków i straceńców. Znowu obrazy niesprawiedliwości, nierówności i ludzkiej nędzy. Inna twarz Ameryki, przez którą wiodła droga mojego ocalenia; twarz, na którą coraz częściej patrzyłem z niepokojem.

STANY ZJEDNOCZONE

Terra incognita

Wszystko odbyło się przez telefon i za pośrednictwem maila, dlatego nie wiedziałem, czego się spodziewać. Umowa była taka, że niejaki Jerry przyjedzie o dziewiątej czerwonym jeepem pod mój hotel w San Francisco i zabierze mnie na miejsce. Już sam widok Jerry'ego - czterdzieści lat, długa broda i koński ogon - kazał mi nie oczekiwać zbyt wiele. Ledwie usiadłem obok niego, zaczął mi opowiadać o swoim życiu. Owszem, jeździ jako kierowca, ale tak naprawdę to nie jego zawód. Jest aktorem. Ale „ponieważ w Hollywood robi się już wyłącznie filmy komercyjne i zatrudnia tylko wielkie gwiazdy”, on jest poza tym i grywa tylko od czasu do czasu z trupą teatralną złożoną z przyjaciół. Ostatni raz? Hm... jakiś czas temu.

Jerry ma trzecią żonę, która prowadzi sklep spożywczy niedaleko miejsca, gdzie jedziemy, ale to też nie jest jej prawdziwy zawód. Robi to, żeby się utrzymać. W rzeczywistości jest a visual artist. Nie zapytałem, co to znaczy być artystką wizyjną. Zdawało mi się, że już znam tę subtelną

niegroźną formę szaleństwa, jaką dotkniętych jest wielu Amerykanów: rozszczępienie osobowości. Nikt nigdy nie czuje się dobrze we własnej skórze, nikt nie jest zadowolony z tego, kim jest, ani usatysfakcjonowany tym, co robi. Nigdy nikt nie jest szczęśliwy, że jest tam, gdzie jest.

Jerry wciąż do mnie mówił, ale nie zwracałem na to uwagi. Dużo ciekawszy był krajobraz. Po przejechaniu Golden Gate Bridge ruszyliśmy drogą ciągnącą się wzdłuż coraz bardziej opustoszałego wybrzeża. Poranek był ciepły, przez opuszczone szyby wpadał przyjemny wiatr, daleka mgiełka rozmywała linię horyzontu, morze i niebo jawiły się jako jedna nieskończoność, ja byłem szczęśliwy, że jestem, kim jestem, tam, gdzie jestem.

Jerry wiozł mnie do Commonweal, ośrodka, gdzie miałem spędzić tydzień w specjalnym ustroniu dla chorych na raka. Wiedziałem, że Commonweal (Wspólne Dobro) to miejsce odizolowane i że najbliższą miejscowością jest Bolinas, ale nazwa ta nigdzie się nie pojawiała. Wzdłuż drogi nie było tablic ani drogowskazów.

- Jest to batalia, którą my, mieszkańcy, wygraliśmy - powiedział Jerry. - Sygnalizacja szpeci krajobraz. A poza tym - dodał - kto mieszka w tych stronach, wie, jak tam dojechać. Inni... niech nie przyjeżdżają.

Pejzaż stawał się coraz bardziej jałowy i dziki. Okolica była szczególnie piękna. Mimo sąsiedztwa tak wielkiego miasta jak San Francisco pozostała prawie nietknięta. Ocaliła ją katastrofa. W 1971 roku zepsuty tankowiec zrzucił do morza swój ładunek i śmiercionośna, czarna maź była już bliska zniszczenia wszelkiej formy życia wzdłuż wybrzeża. Towarzystwo żeglugowe odpowiedzialne za szkody zaoferowało pięćdziesiąt dolarów dziennie każdemu, kto pomoże w oczyszczaniu plaży i ratowaniu fauny, w szczególności wielu morskich ptaków, które mając skrzydła unurzane w ropie, nie były już w stanie latać. Setki hipisów i surferów odpowiedziało na apel, przyjeżdżając z całej Kalifornii. Wielu z nich, przywiązawszy się do miejsca, zostało tu. Żeby się utrzymać, niektórzy zaczęli hodować krowy i świny, inni zajęli się uprawami ekologicznymi. Świadomi tego, że wielka wartość tego terenu polega właśnie na jego dziewiczości, zdążyli go ochronić, wchodząc do władz lokalnej administracji. Byli hipisi stali się większością: wraz z ich przyjazdem ludność Bolinas wzrosła z sześciuset do dwóch tysięcy.

Droga wiała się pośród wielkich wydm porośniętych soczyście zieloną trawą, a jeep czasami próbował udawać lotnię. W pewnej chwili Jerry zwolnił, skręcił w prawo na ubitą drogę i po kilku minutach mieliśmy przed oczami imponujący cypel zawieszony nad oceanem. Wyglądało to tak, jakby przez miliardy lat fale wgrzyzały się w każdy możliwy kęs ziemi, pozostawiając tylko szkielet gór. Wysoko, odizolowane na grzbietach skał, w które na dole wciąż uderzało wściekle spienione morze, wyrastały dziwne, masywne, cementowe budynki, przypominające bunkry. Wokół były metalowe słupy i wielkie, zardzewiałe anteny. Z daleka miejsce wyglądało na opuszczone. Przypominało starą bazę, z której Marsjanie, po krótkim pobycie na Ziemi, postanowili powrócić na swoją planetę, zdegustowani tym, co zobaczyli.

- Kto wie! Mogliby nawet wrócić - powiedział Jerry, rozbawiony moją hipotezą.

Ale nie. Jerry mi opowiedział, że ten dziwny kompleks zawieszony nad oceanem nie należał do Marsjan, niemniej miał również ciekawą historię. Był siedzibą Marconi Corporation of America. Stamtąd na początku ubiegłego wieku wysłane zostały pierwsze sygnały radiowe przez Pacyfik i tam, podczas drugiej wojny światowej, przechwytywano transmisje nadawane z Japonii. Przy nowych metodach komunikacji ten historyczny kompleks zajmujący trzydzieści hektarów stał się zbędny i w 1975 roku został wystawiony na rynek. Jakiś młody człowiek, wówczas dwudziestodwuletni, wydzierżawił go na pięćdziesiąt lat.

- Trafiło mi się to we właściwym momencie. Właśnie się rozwiodłem, zdechł mi pies, a ojciec miał raka - powiedział mi kilka dni później Michael Lerner, Wraz z grupą przyjaciół, którzy zamieszkali wzdłuż wybrzeża, powoli doprowadził do porządku kilka budynków i urządził w nich ośrodek tudy - refleksji i spokoju. To było Commonweal, cel mojej podróży.

Słyszałem o nim od kilku pacjentów w MSKCC, przeczytałem też Choices in Healing, książkę, którą Michael napisał na temat różnych możliwości - również leczniczych - jakie ma do dyspozycji chory na raka. Już podczas chemioterapii skontaktowałem się z ośrodkiem, aby zapisać się na jeden z tutejszych warsztatów. Rozmawiając przez telefon, uśmiełem się z niejakim Wazem, odpowiedzialnym za program, i miałem szczęście zostać przyjętym na osiemdziesiąty trzeci cykl programu odosobnienia.

Przyjazd tam był jak wejście do zaczarowanego świata. Absurdalny, asyryjsko-babiloński budynek, który mieścił niegdyś generatory elektryczne, a teraz gościł biura i bibliotekę centrum, schowany był w lasku, złożonym ze starych drzew, powykrzywianych od nieustannie wiejącego od morza wiatru. Trochę dalej stały trzy małe wille z łazienkami, kuchnią, salami seminaryjnymi i pokojami dla gości.

Pierwsze wrażenie było bardzo przyjemne. Wszyscy pracujący w Commonweal przypominali chochliki, które wyszły prosto z bajki: mężczyźni w średnim wieku z sumiastymi wąsami i czułym spojrzeniem, kobiety bez śladu makijażu, z bardzo krótkimi włosami. Jedna z nich, ogolona na zero, była kucharką: mniszka buddyjska, która przygotowywała wyłącznie dania ściśle wegetariańskie, wegańskie, a zatem bez jajek i nabiału.

Waz - do tej pory znałem tylko jego ochrypy głos - był wysokim, szczupłym i niezdatnym Afroamerykaninem. o twarzy dobrego pirata, z blond bródką, dużymi, srebrnymi kolczykami i jasnozielonymi oczami, iskrzącymi się na oliwkowym obliczu. Przez całe lata uprawiał jogę i napisał setki wierszy. Niektóre z nich naprawdę piękne.

A ty skąd jesteś? - zapytałem pomocnicę kucharki o twarzy jak księżyc w pełni, której nie dało się nigdzie umiejscowić: może Koreanka, a może Indianka.

Ja? W tym życiu pochodzę z Ohio - odparła - ale w poprzednich z Indii.

Och. A skąd to wiesz?

- Teraz nie mogę ci tego wyjaśnić - powiedziała i uciekła do kuchni.

Nie wszyscy uczestnicy seminarium przybyli i obiad dał nam okazję, żeby poznać członków założycieli Commonweal. Niemal wszyscy mieli za sobą historię choroby, wyzdrowienia, oczekiwania. Niektórzy - nawrotu. Sam Michael, któremu zmarli na raka ojciec i siostra, doświadczył nieprzyjemnej dolegliwości mięśniowej, z której się powoli wyleczył. Dwie animatorki moich warsztatów miały bardzo dramatyczne doświadczenia z rakiem. Czyż nie takie jest pochodzenie szamana, uzdrowiciela, który stał się nim, bo sam został zraniony? Kto przeszedł próbę wielkiej traumy, poważnej choroby i przeżył, z pewnością łatwiej może pomóc innym w pokonaniu tej samej drogi. Blizny szamana są dowodem jego autentyczności. Tak samo było tutaj. Wszyscy byliśmy „zranieni”, i to bardzo ułatwiało rozmowę.

Członkowie zespołu zaczęli opowiadać o poprzednich warsztatach, o przyjaźniach, jakie się tam zrodziły, o pogrzebach, na których byli. Ktoś wyciągnął stare grupowe zdjęcia, pokazując, kto jeszcze żyje, a kto już nie. Uderzyła mnie naturalność, z jaką wszyscy odnosili się do śmierci.

Po południu Michael zaprezentował program kursu: „Proces mający na celu powolne wprowadzenie w ruch organizmu oraz pobudzenie głęboko ukrytych i zapomnianych aspektów osobowości”.

Wykorzystywane środki: dyskusje w grupie, masaże, medytacja, waza z piaskiem, gry obrazkowe, niektóre ćwiczenia jogi i oddychania. Cel: zredukowanie przygnębienia wywołanego chorobą, prezentacja różnych możliwości terapeutycznych oraz zapoznanie nas z tym wszystkim, co każdy będzie mógł potem robić samodzielnie, żeby poprawić swoją kondycję zarówno fizyczną, jak i psychiczną, a przede wszystkim, aby patrzeć na ten stan bezstronnie.

- Biada temu, kto uzna się za odpowiedzialnego za swojego raka - przestrzegł Michael. - Wszyscy pływamy w morzu produktów chemicznych, które sto lat temu nie istniały. Nie ma żadnej wątpliwości, że nasze zdrowie jest ściśle związane ze zdrowiem ziemi, na której żyjemy.

Był to temat, który szczególnie leżał mu na sercu. Opierał na nim znaczną część pracy Commonweal.

W odniesieniu do naszego pobytu w ośrodku Michael z naciskiem podkreślał różnicę między słowem „leczenie” a słowem „zdrowienie”. Pierwsze ma wiele wspólnego z lekarzami, z lekarstwami, z ich stosowaniem i ewentualnym powodzeniem w zwalczaniu choroby. Leczenie jest kwestią przede wszystkim fizyczną, pochodzi od czynników zewnętrznych. Natomiast zdrowienie stanowi proces, za pomocą którego przywraca się ogólną równowagę chorej osoby. Pochodzi przede wszystkim z zasobów wewnętrznych, z tych najbardziej osobistych pokładów, jakie każdy wnosi do spotkania z chorobą. Commonweal nie proponował żadnego „leczenia” raka, ale mógł pomóc w „zdrowieniu”. Takie było prawdziwe znaczenie tego programu.

Po kolacji - oczywiście ściśle wegetariańskiej - przyszła kolej na nas. Mieliśmy się przedstawić, opowiadając historie, które nas tam przywiodły. Było nas dziewięcioro - sześć kobiet i trzech mężczyzn. Wszyscy z żółtawymi twarzami, wystraszonymi oczami i włosami dopiero co kielkującymi po ostatnich chemioterapiach. Byłem jedynym cudzoziemcem. Z mojego punktu widzenia wszystko, co nastąpiło potem, stanowiło jeszcze jedno spojrzenie do wnętrza tej Ameryki, która w Nowym Jorku przyprowadziła mnie o nieznośne przygnębienie.

Niewiele ode mnie młodszego ortopeda żona opuściła zaraz po wykryciu u niego raka. Najbardziej ciążyło mu to, że na odchodnym opróżniła cały dom z mebli. Drobna, bardzo żywa, mniej więcej trzydziestopięcioletnia kobieta, projektantka mody, także wkrótce po diagnozie dostała od męża papiery rozwodowe. Najbardziej dręczył ją fakt, że w stanie, w jakim była po chemioterapii, nie mogła się opiekować maleńkim jeszcze synkiem i mąż zabierał go ze sobą.

Poza kobietą z San Francisco, która miała normalną rodzinę: męża i dwójkę dzieci, a zatem wielkie wsparcie uczuciowe, sytuacja pozostałych była niestabilna, naznaczona rozczarowaniami i konfliktami.

Wielu czuło się opuszczonych przez rodzinę i lepiej rozumianych przez przyjaciół albo kolegów z pracy. Adwokatka z Denver, także rozwiedziona, wzruszyła się, opowiadając, że źle się czuła z głową wyłysiała od chemioterapii, więc pewnego dnia, aby dodać szefowej otuchy, jej sekretarka i asystentka pojawiły się w biurze z głowami ogolonymi na zero.

Siedzieliśmy w kółku na ziemi, nasza dziewiątka oraz osoba odpowiedzialna za prowadzenie rozmowy. Osoba ta zarządzała też pudełkiem papierowych chusteczek, które były za każdym razem podsuwane osobie mającej mówić, aby mogła otrzeć łzy, które na pewno towarzyszyć będą każdej opowieści. Szybko dostrzegliśmy to dziwne, ale właściwe krążenie pudełka i wybuchliśmy wszyscy gromkim śmiechem. Śmiała się też młoda projektantka mody, która opowiedziała o pewnym badaniu,

przeprowadzonym przez jakiś uniwersytet. Wykazało ono, że łzy wywołane krojeniem cebuli mają skład chemiczny zupełnie różny od naszych łez: „łez smutku i gniewu” –jak je nazwała.

Smutek i gniew, jaki słyszałem w opowieściach moich towarzyszy, miały o wiele więcej wspólnego z trybem ich życia, z ich relacjami z innymi ludźmi niż z chorobą samą w sobie. Oto jakie są kryteria, które należy brać pod uwagę przy ocenie poziomu „rozwoju” społeczeństwa! Nie jakiś tam dochód narodowy brutto czy dochód na głowę mieszkańca! Jak mierzyć „bogactwo” posiadania w swoim życiu osoby, na którą można liczyć, z którą można patrzeć wstecz i przed siebie, dzielić radości i smutki danej chwili? Może czymś (kimś) najważniejszym w życiu jest osoba, którą spotkało się w młodości, z którą się wzrastało i z którą pięknie byłoby się zestarzeć. Jakie znaczenie w procesie zdrowienia chorego ma zwykłe istnienie właśnie kogoś takiego?

Według mnie - ogromne. To samo dotyczy oczywiście także dobrego, zbudowanego na zaufaniu kontaktu ze swoim lekarzem. Moi towarzysze się z tym zgadzali.

Adwokatka z Denver wybuchnęła płaczem: Zmieniła onkologa, który oświadczył, że już nic więcej nie może dla niej zrobić. Natomiast sędzina z Minnesoty powiedziała, że jej lekarz jest idealny. Nigdy nie mówił o wskaźnikach wyzdrowień, o latach czy miesiącach przewidywalnego przeżycia. Przekazywał jej tylko rzeczy pozytywne, a ona była zdeterminowana, żeby nie stać się częścią statystyki.

Wszyscy byli wściekli na towarzystwa ubezpieczeniowe, które uciekały się do wszelkich kruczków, byle tylko nie płacić rachunków za szpital. Ortopeda odkrył, że polisa na życie podpisana przed wieloma laty zawierała klauzulę, zgodnie z którą ubezpieczenie nie wypłaciłoby żadnego odszkodowania, gdyby popełnił samobójstwo. Sędzina potwierdziła, że tak właśnie by się stało.

Wielkim „obecnym” w Commonweal był ocean. Czuło się jego bezmiar, nawet nie widząc go. Słysząc było jego oddech, nawet nie wsłuchując się świadomie. Ponad wszystkie inne odgłosy przebijało się to głębokie tchnienie niesione wiatrem, który wiał nieustannie - dniem i nocą. nocą i dniem. Ocean istniał zawsze i być może to on był wielkim mistrzem w Commonweal. Lekarstwem, którego wszyscy przyjechaliśmy tu szukać.

Spałem znakomicie. Wstałem jak zwykle bardzo wcześnie. O pierwszym brzasku, przy świetle, które starczało ledwie do zorientowania się, gdzie stawiam stopy, wkroczyłem na wąską ścieżkę, prowadzącą najpierw przez las złożony z pokrzywionych drzew, a potem przez wydmy po rośnięte brzozienną od rosy trawą. W końcu dróżka opadała - czasem prawie niebezpiecznie - w dół, przez urwisko i skały, aż do niego: ogromnego, wspaniałego oceanu, który przetaczał się po plaży, obmywał głazy, bawił się starymi kawałkami drewna, zabierając je ze sobą, żeby potem znowu wyrzucić na brzeg. Tak samo jak od miliardów lat, w jednej chwili zmywał ślad, który coś albo ktoś zostawił na piasku: odbicie moich stóp, ślady małego krabika wychodzącego ze swojej miniaturowej jamy, znaki odcisnięte przez kawałki drewna.

Spacerowałem po plaży, podnosząc tu i tam małe, dziwne kamyki, które zwracały moją uwagę. Były różowe, płaskie i gładkie. Pośrodku miały czarne kólecčko, jakby skamieniałe oko jakiejś pradawnej istoty. Rozkoszowałem się starożytnością świata. Byłem sam i czułem się wstrząśnięty, poruszony wspaniałością przyrody.

Pieniące się wody utrzymywały w powietrzu wilgotną mgiełkę, która przesłaniała mi słońce, ale owa rozlana biel bez konturów jeszcze bardziej dała mi odczuć bezkres oceanu i kazała myśleć o wieczności nie jako o czasie bez końca, ale o chwili bez czasu. Jak właśnie owa chwila: chwila, w której również mnie wydało się, że jestem wieczny, ponieważ odniosłem wrażenie, że wielkość, jaką czułem się ogarnięty, wielkość będącą poza mną, mam również w sobie.

W drodze powrotnej zauważyłem, że tam, gdzie ścieżka była znowu płaska, biegnąc wysoko i spokojnie wzdłuż wybrzeża, pośród trawy schowana jest rozpadająca się chałupina, wykonana ze starych desek poszarzałych od niepogody. Metalowy haczyk przytrzymał drzwi. Otworzyłem je. Wnętrze było maleńkie, ale przepelnione. Na małym, niskim stoliku, niczym na ołtarzu, leżały suche kwiaty, muszle oraz pozostałości świeczki, pozostawionej przez innych odwiedzających. Dołożyłem tam kamyk ze starym okiem, który właśnie przyniosłem z plaży. Przysiadłem na małej, słomianej macie i pozostałem tam przez jakiś czas w ciszy, słuchając oddechu wszechświata i własnego.

Spotkanie z oceanem stało się moim codziennym rytuałem. Bardzo wczesnym rankiem, kiedy pozostali pogrążeni jeszcze byli we śnie, szedłem na spacer po plaży. Wieczorem, przed kolacją, siadałem w jakimś osłoniętym od wiatru miejscu na wielkiej łące rozciągającej się nad wybrzeżem i stamtąd patrzyłem, jak woda przybiera barwy zachodu słońca.

Pewnego wieczora, kiedy wiał bardzo silny wiatr, a fale w dole rozbijały się z wielkim impetem o plażę - rytmicznie, stale, jakby były oddechem jakiejś olbrzymiej istoty - zatrzymałem się, by spojrzeć na stary pień drzewa, który ocean zabierał i wyrzucał, raz unosząc go na falach, to znów tocząc po plaży. Porównałem siebie do tej karpki. Ów pień to było moje ciało, a ja z wysokości spokojnie patrzyłem, jak tańczy i gubi się w ramionach tego dobrotliwego giganta. Na niebie pojawiły się dwa przepiękne pelikany. Wielkie i milczące, z rozpostartymi skrzydłami, leciały wzdłuż brzegu, dając się nieść wiatrowi: moja dusza? Wspomnienie o mnie? Ogarnął mnie wielki spokój. Zastanawiałem się, jak wielu wcześniejszych uczestników tutejszych warsztatów pomyślało, żeby polecieć jak te pelikany, szybując w dół między tymi cudownymi urwiskami, w stronę morza. Byłoby pięknie dać się nieść przez wiatr. Poczułem się cudownie sam - bez zobowiązań, bez obciążeń, bez niczyich łez.

Wkrótce potem, przy kolacji, odkryłem, że jakoby urozmaicone i smaczne jedzenie wegetariańskie jest tak naprawdę niesłychanie monotonne. Zmieniały się barwy, ale wszystko pozostawało niesione i bez smaku. Było jednak bardzo zdrowe - mówiła mniszka-kucharka, rządząca kuchnią, z której nie wychodziła ani jedna filiżanka kawy czy herbaty. Tylko ziółka.

Poranki zaczynały się od medytacji i ćwiczeń relaksacyjnych, prowadzonych przez Waza. Był świetny w wytwarzaniu przyjemnej atmosfery i podwijaniu prześcieradeł, pod którymi każdy miał się wyciągnąć, żeby zapomnieć o głowie, rękach, nogach i odnaleźć w ciszy ową „wewnętrzną przestrzeń spokoju”, w której zawsze będziemy mogli się schronić. Waz mówił też o „świętym miejscu, gdzie spotykają się skończoność i nieskończoność”. Wszystkie te słowa mnie irytowały, ale ćwiczenia okazały się znakomite i na pewno warto je było wprowadzić do codziennej rutyny dla podtrzymania ciała... i być może trochę także całej reszty.

Po śniadaniu - również „bardzo zdrowym” - przychodziła kolej na różne zajęcia i dyskusje w grupie. Spodobała mi się imogery, zabawa z obrazami. Siedząc na podłodze i mając przed sobą duży arkusz

papieru oraz farby, mieliśmy przedstawić w jak najbardziej naturalny sposób nasze życie „dziś” i to, czego spodziewaliśmy się „potem”. Później każdy z nas pokazywał swoją wizję pozostałym i opisywał słowami to, co chciał przekazać poprzez swój rysunek. Uznałem za ciekawe, że wszyscy moi towarzysze wyrażali nadzieję, że „potem” będzie „lepiej”.

Podzieliłem kartkę na cztery równe części. Pośrodku umieściłem piękne, czerwone słońce, które wschodziło -a może zachodziło? - za środkową linię, będącą horyzontem morza o niebieskich falach. Przedstawiając sytuację „dziś”, na tle morza narysowałem wrak łodzi, a na jej bocznej burcie chiński ideogram „życia”. Ławice ryb pływały pośród alg, zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie kartki - tej przedstawiającej „dziś” i tej przedstawiającej „potem”.

Kiedy przyszła moja kolej, wyjaśniłem - trochę na poważnie, a trochę w celu rozbawienia pozostałych uczestników - że na skali wszechświata moja choroba specjalnie nie ciążyła. Jakiegokolwiek by miało być „potem” mojej historii, słońce będzie nadal wschodziło i zachodziło, a ryby wciąż będą pływać po dnie kosmicznej świadomości.

Najbardziej przygnębiający był rysunek mężczyzny z Waszyngtonu. Narysował samego siebie naprzeciw czegoś w rodzaju grafiku ze wszystkimi swoimi obowiązkami: biuro, dzieci z dwóch małżeństw, szpital, zielarz, akupunktura, masażystka. Wyjaśnił, że aby przenieść się z jednego spotkania na drugie, musiał czasem jechać nawet godzinę. Zastanawiał się wtedy, czy ta cała „medycyna alternatywna” jest naprawdę tego warta. „Potem” przedstawiało go naprzeciw drabiny prowadzącej w górę: bez żadnych zobowiązań.

Przez całe życie miałem zawsze problem z „my”, z tą naturalną próbą, jaką człowiek ma zwyczaj podejmować, żeby się poczuć częścią społeczności. Owo „my” zawsze sprawiało mi kłopot. Spośród najbardziej dokuczliwych momentów z pięciu lat, które - z głodu - przepracowałem w firmie Olivetti, pamiętam te, kiedy ktoś, szef albo kolega, idąc obok mnie korytarzem, kładł mi rękę na ramieniu i mówił:

- My z Olivetti...

Ani trochę się nie czułem częścią owego „my”. Przez trzydzieści lat byłem bardzo szczęśliwy, że jestem dziennikarzem, ale nigdy nie zdołałem utożsamić się z tym, jakże często używanym, określeniem: „my, dziennikarze”.

Na swój sposób odczuwałem to samo tutaj w stosunku do innych uczestników warsztatów. Nie wynikało to jednak z arogancji, ale niemal z czegoś wręcz przeciwnego. Nie byłem w stanie spojrzeć na siebie jak na innych, nie potrafiłem poczuć się częścią owej „wspólnoty ludzi naznaczonych cierpieniem”, jak nazywał ją Albert Schweitzer. Szczerze mówiąc: inni byli naznaczeni. Ja nie. Nie mogłem porównywać się z ortopedą, który został bez żony i mebli, a teraz żył z jakąś maszynką wbudowaną w brzuch, umożliwiającą funkcjonowanie wątroby - sam i opuszczony przez wszystkich. Nie mogłem porównywać się z kobietą z San Francisco, która jeszcze przed czterdziestką, mając dwoje maleńkich dzieci, musiała zdecydować: poddać się czy nie drugiej chemioterapii, choć i tak możliwość dłuższego przeżycia była niewielka. Takie cierpienie naznaczało, zostawiało ślad. Prawdopodobna śmierć tej kobiety była „niesprawiedliwa”. Moja nie.

Mogłem umrzeć tyle razy wcześniej: w Wietnamie czy w Kambodży, kiedy zostałem pojmany przez Czerwonych Khmerów, czy na Filipinach, gdy uparłem się przy wspinaczce na wulkan Pinatubo, który wypluwał duszące chmury popiołu. Mogłem także zginąć w jakiejś katastrofie lotniczej: tej przepowiedzianej mi przez jasnowidza albo w wypadku jednej z tych latających trumien, jakimi były antonowy Aeroflotu w ostatnich miesiącach istnienia Związku Radzieckiego. To szczęście, że jeszcze żyłem! A że teraz oszalałe komórki reprodukowały się w niewłaściwy sposób w moim organizmie? Nie było w tym nic straszliwie nienaturalnego, nic, czego nie można byłoby zaakceptować.

Z moimi towarzyszami łączyło mnie jednak coś głębszego. Podobnie jak oni wszyscy, ja też nie myślałem nigdy poważnie o swojej śmierci. Fakt, w czasie miesięcy spędzonych w Nowym Jorku czułem, że jest możliwa, bliska. Jednak tak naprawdę nigdy się z nią świadomie nie skonfrontowałem. Nie było w tym żadnej mojej winy. Człowiek zawsze tak się zachowywał.

W Mahabharacie jest epizod, który dobrze streszcza dziwny związek, jaki rasa ludzka ma ze śmiercią.

Pięciu braci Pandava, książąt wypędzonych ze swojego królestwa, żyje przez kilka lat w lesie. Pewnego dnia, w czasie polowania na jelenia, który się wymyka, cała piątka się zatrzymuje, wyczerpana i spragniona, na polanie. Najmłodszy wdrapuje się na drzewo, widzi w oddali staw i mówi do braci, że pójdzie zaczerpnąć wody. Czas upływa, ale młodzieniec nie wraca. Drugi brat idzie go szukać i też znika. To samo dzieje się z trzecim i czwartym. Piąty, który pozostał sam, idzie w stronę stawu i staje jak wryty: jego czterej bracia leżą martwi przy brzegu stawu wypełnionego chłodną, krystaliczną wodą. Nie ma żadnych śladów walki; poza odciskami ich stóp, nie widać nic więcej. Jest zrozpaczony, ale dręczony pragnieniem, wkłada rękę do wody, żeby się napić.

- Stój! - słyszy głos. - To mój staw. Będziesz mógł się napić tylko wtedy, jeśli odpowiesz na moje pytania. Jeżeli napijesz się, nie udzielisz odpowiedzi, umrzesz jak twoi bracia.

Słowa te wypowiada bocian, który powtarza swoje żądanie:

Odpowiedz na moje pytania, a będziesz mógł się napić.

Młody Pandava się zgadza. Pierwsze pytania są łatwe i nie ma trudności z odpowiedzią. Potem słyszy kluczową zagadkę:

Powiedz, jaki jest najbardziej zadziwiający aspekt życia? - pyta bocian.

To, że człowiek widzi, jak śmierć zbiera wokół swoje żniwo, ale nigdy nie myśli, że przyjdzie także po niego - odpowiada młodzieniec, dotykając zwłok braci.

Odpowiedź jest właściwa. Czary zostały zdjęte i czterej bracia, z których żaden nie pomyślał, że śmierć dotyczy

również jego, wracają do życia.

W takim sensie ja również byłem „naznaczony”, tak jak i moi towarzysze. Śmierć, do której każdy z nas się odnosił, nie była abstrakcyjna, teoretyczna; nie dotyczyła tylko innych. Była naszą śmiercią. Moją. Potrzeba uświadomienia sobie tego łączyła mnie z tymi ośmioma osobami, których nigdy wcześniej nie spotkałem i najprawdopodobniej nigdy więcej nie zobaczę, ale wraz z upływem dni

znalazłem się z nimi w niezwyklej zażyłości. Szybko spostrzegłem, że prawdziwym powodem mojego pobytu w ośrodku była właśnie ta rozmowa o śmierci.

No więc jak chcielibyśmy umrzeć? - zagaiła animatorka grupy. Był to temat kolejnego poranka. Swobodnie, bez obawy, że się kogoś obrazi albo że będzie to komuś ciężać, każdy wygłosił swoją opinię - czasem z towarzyszeniem pudełka chusteczek, które trzeba było komuś szybko podsunąć pod nos, a czasem przy wtórze śmiechu, jak wtedy, gdy głos zabrał ortopeda. Po dyskusji, która odbyła się pierwszego wieczora na temat problemu ubezpieczeń i faktu, że jego towarzystwo nie zamierzało wypłacić dzieciom odszkodowania, gdyby popełnił samobójstwo, długo zastanawiał się nad tą sprawą. Postanowił nie używać pistoletu, który wcześniej kupił, ale wykorzystać łódź. Udałby wypadek na morzu, w którego wyniku nigdy nie odnaleziono by ciała... a ubezpieczenie musiałoby zapłacić! Bardziej od pięknej śmierci interesowało go wyprowadzenie w pole ubezpieczyciela i już to - zdaniem animatorki - było pozytywnym znakiem jego „woli życia”.

Mnie zdziwiło, że samobójstwo - niezależnie od reperkusji ubezpieczeniowych - było hipotezą braną pod uwagę przez niemal wszystkich uczestników. Ci bez rodzin liczyli na to, że pójdą umrzeć do amerykańskiej instytucji, o której istnieniu nawet nie wiedziałem - hospicjów. Są to szpitale dla chorych terminalnie, gdzie, z tego co mówili moi towarzysze, można znaleźć pomoc przy samobójstwie.

- Chodzi o to, żeby zaczekać na dobrą falę i przeskoczyć ją - powiedziała animatorka, która przed spotkaniem z chorobą była prawdopodobnie surferką na kalifornijskim wybrzeżu.

Ja mówiłem o śmierci tak, jak widziałem ją w swoim dzieciństwie: nie jako o czymś niezwykłym, ale świętym i tajemniczym; czymś, co wzbudzało szacunek, wobec czego należało chodzić na palcach, mówić szeptem. Dobrze pamiętałem chorego w łóżku, krewnych szepczących między sobą w salonie, a potem czuwanie przy zmarłym. Trup leżał, a wszyscy patrzyli na niego ze zdziwieniem i akceptacją. Śmierć istniała.

Gdy w tamtych czasach ktoś trafiał do szpitala w nadziei na wyleczenie, a lekarze mówili, że nic już się nie da zrobić, zabierany był z powrotem przez rodzinę, żeby mógł umrzeć w domu. W ten sposób jego ostatnie doznania z tego świata były takie, do których przywykł: grubość materaca, zapach pościeli i czerwonego ugru, którym pokrywano ceglaną posadzkę, skrzypienie drzwi. Dzisiaj postępuje się dokładnie odwrotnie. Śmierć jest czymś wstydlivym, co trzeba ukryć. Nieuleczalnie chory odsyłany jest do szpitala, żeby umarł za zasłoną, unieruchomiony przez rurki

i inne urządzenia, w otoczeniu agresywnych dźwięków i zapachów oraz obcych twarzy: już tam, kiedy jest jeszcze tu. Gdybym mógł wybierać, uczyniłbym wszystko, żeby uniknąć szpitala i umrzeć tak, jak cała czwórka moich dziadków: we własnym łóżku.

Adwokatka z Denver kazała podsunąć sobie pudełko z chusteczkami i podziękowała. Moja opowieść przekonała ją, żeby nie iść do hospicjum.

Temat śmierci - owej terra incognita, o której żaden podróżnik nigdy nam nie opowiedział - był w centrum wielu innych dyskusji. Nie wiem dokładnie, co robiliśmy, rozmawiając o niej. Odpędzaliśmy ją? Jestem pewien, że psycholog potrafiłby to wyjaśnić, ale nie pomogłoby mi to tak. Jak owe nieustanne rozmowy z ludźmi, którzy z własnego doświadczenia wiedzieli, o czym mówimy.

A takie rozmowy były możliwe tylko tam. Dobrze to ujął ortopeda: Jednym z powodów jego rozwodu było to, że on chciał rozmawiać o swojej śmierci, gdy tymczasem żona unikała tego tematu, nieustannie cytując wskaźniki przeciętnego przeżycia wśród osób w jego wieku i z jego typem raka.

Chciała, żebym dzięki statystykom poczuł się lepiej - powiedział.

Kobieta z dwojgiem małych dzieci zauważyła, że jej choroba już sama w sobie była ogromnym ciężarem dla męża. więc nie chciała obciążać go dodatkowo potrzebą - mimo że silnie ją odczuwała - rozmawiania o swojej śmierci. Miałem taki sam problem z Angelą, dlatego z przyjemnością przebywałem tam, z innymi chorymi, których mogłem obarczyć tym ciężarem.

Zgoda: akceptuję fakt, że muszę umrzeć, być może wkrótce. Ale czy jest to sprzeczne z walką o życie?
- zapytała adwokatka z Denver.

Byłem świeżo po lekturach zen i uznałem, że mogę wnieść coś do dyskusji opowieścią, która udzielała odpowiedzi. Stary mnich jest u progu śmierci. Kładzie się do łóżka i zapowiada, że przed wieczorem odejdzie. Wszyscy uczniowie zbierają się u jego wezgłowia. Tylko jeden, najbardziej oddany, zamiast iść do mistrza, biegnie na targ. Szuka ciastka, które mnich bardzo lubi. Ciastka nie ma, więc nowicjusz poświęca cały dzień na to, żeby je zrobiono. Mając nadzieję, że zdąży, biegiem wraca do celi mistrza. Kiedy tylko staje w drzwiach, ten otwiera oczy i mówi:

- Wreszcie! A gdzie ciastko? - Odrywa kawałeczek i zaczyna jeść z wielkim smakiem.

Uczniowie są zaszokowani. Jeden z nich pyta:

- Mistrzu, jaka jest twoja ostatnia nauka? Powiedz coś, dzięki czemu będziemy mogli cię zapamiętać.

Mistrz się uśmiecha.

- To ciastko jest pyszne - mówi powoli, ważąc słowa. Jego ostatnia lekcja jest prosta: życie teraz, życie chwilą. Przyszłość nie istnieje. Bądźcie tego świadomi. Teraz, w tej chwili, to ciastko jest wyborne. Nawet śmierć się nie liczy... jeszcze.

Gdy opowiadałem tę historię, zdawało mi się, że pretenduję w tej chwili do roli filozofa. W gruncie rzeczy mówiła to samo, co powiedział też jubiler z Delhi i co wtedy uznałem za takie mądre. Jednak sympatyczna matka dwojga dzieci zgłosiła wątpliwość:

- Nie wydaje się wam, że te wszystkie historie, masaże, alternatywne lekarstwa, joga, rysunek i całe to gadanie o „zdrowieniu” zamiast o „leczeniu” to wszystko bzdury?

Zaśmialiśmy się, ale ona wybuchnęła płaczem:

- Ja chciałabym tylko znaleźć lekarstwo, które zwalczyłoby mojego raka. Pragnę wyzdrowieć i zobaczyć, jak rosną moje dzieci.

Powiedziała, że jej ojciec jest strasznym cholerykiem. Kiedy była mała, często ją bił. Teraz w jednym ze swoich synów dostrzegała taką samą gwałtowność i chciałyby dalej żyć, żeby mu pomóc w uniknięciu autodestrukcji. Do tej pory wydawało mi się, że jako jedyna ma „normalne” życie rodzinne. Ale ona też nie. Ameryka!

Animatorka zakończyła nasze spotkanie, prosząc, byśmy dalej siedzieli w kręgu na podłodze, ale z zamkniętymi oczami i trzymając się za ręce. W ten sposób „przekazemy sobie energię”. Uznałem to wszystko za trochę śmieszne, kalifornijskie, ale poczułem, że to puszy się jak zwykle moje europejskie i wywyższające się „ja”. Czy miało coś lepszego do zaproponowania?

Tamtego wieczora, podczas spotkania po kolacji, jak zawsze wykwintnej, ale wciąż bez smaku, Michael powiedział, że porozmawiamy o doświadczeniach „prawie śmierci” i o tym, czego należy się spodziewać po umieraniu według tych, którzy twierdzą, że znaleźli się na progu tamtego świata i stamtąd wrócili.

Nie był to temat, który mógłbym brać zbyt serio. Podczas miesięcy spędzonych w Nowym Jorku interesowałem się tymi historiami, ponieważ - podobnie jak opowieści

UFO, latających talerzach i innych dziwach - zdawały mi się częścią amerykańskiej kultury. Zwraca się na to małą uwagę, ale według mnie odgrywają ważną rolę w psychice narodu. Kolejne tomy zapisywane są na temat tych cudów niewidów. Na dziesiątkach konferencji gromadzą się każdego roku tysiące osób, które opowiadają sobie o swoich niecodziennych doświadczeniach, żeby powtarzać w końcu te same rzeczy z takimi samymi szczegółami. Jednolitość tych opowieści wykorzystywana jest potem jako dowód na ich wiarygodność. Przeczytałem wiele książek na ten temat i - „dziwnie” - przywiozłem do Commonweal jedną z nich, której jeszcze nie skończyłem. Nosiła tytuł: Why People Believe Weird Things (Dlaczego ludzie wierzą w dziwaczne rzeczy).

Kiedy Michael opowiedział o literaturze dotyczącej zjawisk „niemal śmierci” i przytoczył świadectwo pewnego pana, który odbył podróż tam i z powrotem w zaświaty, jakby to była najoczywistsza rzecz na świecie, nie wytrzymałem.

- ...miał straszny wypadek samochodowy. Praktycznie był martwy - mówił Michael. - Znalazł się w ciemnym tunelu, po czym zobaczył światło, które stawało się coraz większe, przyciągało go do siebie. Usłyszał głos, który mówił do niego...

- ...po angielsku, jak myślę - wybuchnąłem. Wszyscy parsknęli śmiechem. Nawet Michael.

Młoda projektantka, z pochodzenia Niemka, powiedziała, że również Goethe miał przy śmierci podobne doświadczenie. Dlatego sławne się stały jego ostatnie słowa: Mehr Licht! (Więcej światła!).

- Ależ gdzie tam - powiedziałem. - Chciał tylko, żeby szerzej otworzono okno. Nie chciał umierać w ciemnym pokoju.

Wieczór kontynuowaliśmy w lekkim tonie. Mówiliśmy o dużo bardziej realnych doświadczeniach osób, które były bardzo bliskie śmierci, ale się uratowały. Michael przywołał badania żydowskiego psychoanalityka, który przeżywszy Auschwitz, zastanawiał się, jak mu się to udało. Jaki typ reprezentowali ci, którzy, tak jak on, wyszli żywi z obozów zagłady? Czy byli silniejsi fizycznie? Nic podobnego. Mieli bardziej wyraźne poczucie własnego życia i śmierci. To mnie interesowało.

Na koniec Michael znów mówił o „wewnętrznej przestrzeni spokoju”, którą każdy z nas posiada i zawsze może się tam skryć. Żeby ją odnaleźć, wypowiedział trzy „OM”, przeprowadzając potem rytuał „przekazywania współczucia”. On mówił „OM”, ten kto siedział po jego lewej stronie wypowiadał

swoje imię i przygotowywał się do otrzymania metty (współczucia, dobrych myśli), które wszyscy pozostali do niego kierowali; kolejne „OM” i następny z lewej strony mówił swoje imię, dostawał współczucie... i tak dalej.

Na koniec wszyscy byli zadowoleni, mówili, że poczuli ciepło, światło, energię. Ja poczułem tylko, jak wzbiera we mnie gniew. Byłem zmęczony rozsądkiem, ale też jego przeciwieństwo przyprawiało mnie o gęsią skórę. Na tym polegał mój dylemat: to, co sam odkryłem, co, jak mi się zdawało, zdobyłem dla siebie, wzbudzało moje zainteresowanie i miało wartość, natomiast to, co znajdowałem na półkach w supermarkecie, mnie odrzucało. Powiedział mi wróżbita było książką kogoś, kto „wierzy” w ponowne odkrycie magicznych aspektów życia, ale teraz, kiedy znalazłem się wśród „wierzących”, znów stawałem się zapamiętałym sceptykiem.

Gdy pewnego popołudnia szwendałem się po starym budynku, dotarłem po drewnianych schodkach do dużego, pustego pokoju. Podłoga pokryta była płótnem, na którym namalowany był biało-fioletowy labirynt. Wykonano go wyraźnie po to, żeby po nim chodzić. Zdjąłem sandały i bosy, krok po kroku, myśląc się, cofając i znów ruszając naprzód, zdołałem powoli dotrzeć do środka. Byłem sam. Panowała cisza i poczułem coś bardzo przyjemnego. Wracałem tam parę razy. Podobało mi się. Było coś magicznego w tym błędzeniu i odnajdywaniu się, gdy zawsze cel stanowił środek.

Jedna ze współpracownic Commonweal, której wcześniej nie spotkałem, zauważyła mnie podczas takiego spaceru w pustym pokoju i przyszła porozmawiać. Labirynt interesował ją jako środek rozbudzający duchowość. To ona go wykonała, żeby wykorzystać podczas jednego z najbliższych seminariów.

Labirynt - wyjaśniła - symbolizuje świętą drogę, jaką człowiek musi przemierzyć, aby zbliżyć się do własnego środka. Mogła tam pomóc uczestnikom w odnalezieniu w sobie czegoś, co zostało odsunięte na bok, co pozostawało w ukryciu, ale próbowało znaleźć swój wyraz: coś, co pomogłoby nam znaleźć sens w tym, co się nam przytrafiało.

Mnie - na przykład - na kalifornijskim cyplu, w miejscu odosobnienia dla chorych na raka, zdarzyło się odkryć labirynt! Czyż życie nie jest nadzwyczajne? W książce o historii labiryntów, którą owa kobieta z Commonweal mi poleciła, znalazłem informację, że pierwsze z nich powstały ponad cztery i pół tysiąca lat temu; że labirynt z 2500 roku przed Chrystusem, wykuty w skale, znajduje się... na Sardynii; że jeden z pierwszych labiryntów ściennych jest w... Lukce, na fasadzie katedry! Znalazł się tam, żeby wierni przed przekroczeniem progu kościoła przemierzali palcem ową trasę wykutą w ścianie obok drzwi wejściowych, uspokajając w ten sposób swoje umysły, zostawiając za sobą troski codzienności i przygotowując się do wkroczenia do świętego miejsca, gdzie miało się odbyć ich spotkanie z Bogiem,

Przez wieki marzeniem wielu chrześcijan było wyruszenie w pielgrzymkę do Jerozolimy, ale począwszy od końca XI wieku, wraz z wyprawami krzyżowymi, podróż do Ziemi Świętej stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Niektóre nowe katedry, pomyślane tak, jakby były Jerozolimą, stały się w ten sposób celem zastępczej pielgrzymki. Przejście przez labirynt intarsjowany w posadzce tych katedr było dla wiernego zwieńczeniem symbolicznej drogi, której nie mógł przemierzyć w rzeczywistości. W centrum tych labiryntów często umieszczona była róża, zachodni odpowiednik

kwiatu lotosu, symbol ducha, oświecenia. Najbardziej znany i najpiękniejszy z tych labiryntów znajduje się w katedrze w Chartres.

Inny wieczór po kolacji, wciąż pod kierunkiem Michaela, poświęcony był układaniu wierszy. Każdy z nas miał napisać wersy, które odzwierciedlałyby jego stan ducha w danym momencie. Następnego ranka dostałby kserokopie wierszy pozostałych uczestników i wszystkie byłyby tematem dyskusji w grupie. Michael zachęcał nas, żebyśmy się czuli całkowicie swobodnie, wyrzucając z siebie słowa tak, jak przychodziły nam do głowy. Na koniec jednak przestrzegł:

Nic nie zdarza się przypadkiem

- Nie zadawajcie sobie trudu: nie ma żadnego słowa, które rymuje się z rakiem.

Kiedy byłem dzieckiem, malowałem. Mając szesnaście lat, spróbowałem napisać powieść, raz usiłowałem nawet wyrzeźbić coś z kawałka drewna, ale wiersz - jeśli tak można to nazwać - który położyłem na stole Commonweal, był, jak sądzę, pierwszy w moim życiu:

Nobody ever told me

I could fly.

Nobody ever promised

I won't die.

Yet without wings

I flew

And now without regret

For promises unkept

For things undone

Now without much pain

I feel like flying yet... again.

Nikt mi nigdy nie powiedział

„Polecisz”.

Nikt nie obiecał

„Nie umrzesz”.

A przecież bez skrzydeł

już tak wicie latałem

a teraz bez żadnego żalu

za niedotrzymane obietnice

za niedokończone sprawy

bez większego bólu

szukuję się do kolejnego lotu.

Michael był piękną postacią. Studiował psychologię dziecięcą. Potem - zakładając Commonweal - zainteresował się medycyną, chemią i ekologią, ale nie wiedziałem, czy w głębi duszy naprawdę jest uczonym. Podczas dyskusji grupowych zawsze okazywał wielki szacunek dla wszystkich opinii, więc trudno było określić jego stanowisko. Nie wiedziałem, po której stronie jest Michael. On jednak sądził, że wie, po której stronie ja się znajduję. Widział setki osób przewijających się przez te warsztaty, wypracował więc ogólną klasyfikację uczestników: mistycy i realisci.

- Na pewno nie należysz do tych pierwszych - powiedział któregoś dnia, kiedy usiadłem obok niego przy obiedzie. - Nie jest tak, że perspektywa mistyczna przewyższa realistyczną... - Zrobił krótką pauzę i dodał: - Poza tym to wszystko tylko słowa. - Dał przykład swojej nowej żony, która nigdy nie mówiła o duchowości, ale kiedy tylko zaczynało padać, wychodziła na ulicę zbierać ślimaki, żeby nie rozjechały ich samochody. - Ona nie musi szukać duchowości. Natomiast ja muszę nad tym sporo pracować.

A ja? Czy naprawdę byłem tylko realistą i tyle? A może stałem w rozkroku: z jednej strony przekonany, że realizm rozumu już mi nie wystarcza, z drugiej w obawie, że to, co Michael nazywał mistycyzmem i duchowością, to niejasne pojęcia, pozbawione kryteriów odpowiednich dla wszystkich wspólnych odniesień, stąd subiektywne i stronnicze. Wydawało mi się, że spaceruję po grząskim gruncie. Czasem na sam dźwięk takich słów, jak „energia” czy „wibracje”, dostawałem skrętu kiszek.

A przecież ja też zaczynałem czuć, że coś jeszcze jest, że wystarczy spojrzeć na sprawy z innego punktu widzenia i wszystko się zgadza: ta choroba przyszła, żeby mnie czegoś nauczyć, ja sam potrzebowałem przejść przez labirynt, żeby się zbliżyć do swojego środka, poświęcić rzeczom, które nigdy wcześniej nie przysłyby mi do głowy. Czy w gruncie rzeczy nie wyczuwałem instynktownie, że właśnie to powinienem zrobić, żeby się zmierzyć, współistnieć ze swoją chorobą?

Przed wszystkim musiałem przewyciężyć swoją arogancję, swoje opory intelektualne, owo poczucie, że „to nie dla mnie”. Musiałem spojrzeć na świat przez inne okulary. Te, których używałem do tej pory, niekoniecznie były najlepsze ani najmniej deformujące.

Jeśli chodzi o różne terapie, Commonweal zasadniczo sprzyjało medycynie klasycznej, alopacyjnej, pozostawiało jednak miejsce na całą resztę, niczego nie wykluczając. Michael kładł wielki nacisk na możliwość wyboru, na znaczenie jakości życia, szczególnie kiedy chodziło o uniknięcie terapeutycznej uporczywości, na jaką lekarze - a często także rodzina - wystawiają pacjentów, a często wręcz ich do niej zmuszają. Choć dostrzegał pozytywne aspekty również pewnych praktyk uzupełniających, był bardzo sceptyczny w stosunku do różnych klinik, powstałych na pograniczu ze Stanami Zjednoczonymi, szczególnie w Meksyku, które obiecywały „kuracje” dla zdesperowanych.

Michael twierdził, że zaangażowanie - również psychologiczne - chorego w proces „zdrowienia” jest niezwykle ważne. Odrzucał jednak ideę New Age oraz medycyny alternatywnej, według której chory jest odpowiedzialny za swoją chorobę lub -'co gorsza - winny.

Takie myślenie trzeba uznać za absurdalne i groźne - mówił. - Rak to choroba głównie epidemiczna i ogromna większość przyczyn jej powstawania nie jest w nas, ale poza nami.

Michael i jego ludzie bardzo interesowali się związkiem między rakiem a środowiskiem. Wychodząc od oczywistych współzależności, doszli do pewnych niepokojących wniosków. Ich ostatnie badania wykazują, że mleko, którym matka karmi noworodka, stało się dziś jednym z najbardziej toksycznych pokarmów. Jako ostatnie ogniwo łańcucha pokarmowego ludzie są miejscem spotkania wszystkich czynników zanieczyszczających, które przy każdym przejściu „biokumulują się”, zwiększając od dwudziestu do stu razy, w zależności od pożywienia, ich trujący balast. Ponieważ matczyne mleko stanowi kolejne złącze w łańcuchu, oseski są ostatnimi odbiorcami toksyn, które matki zgromadziły w ciągu życia.

Karmienie piersią, jedna z najbardziej naturalnych funkcji każdego ssaka, zamienia się zatem coraz bardziej w subtelny formę pośredniego zatrucia.

Od dwudziestu pięciu lat - mówił Michael - dziesiątki milionów Amerykanów w setkach ośrodków miejskich piją z kranów wodę, która w różnym stopniu zanieczyszczona jest insektycydami oraz sztucznymi nawozami. Nie tylko ją piją; myją się nią, kąpią się w niej, wdychając i wchłaniając, również poprzez pory skóry, całą ilość składników chemicznych, przeznaczonych pierwotnie dla pól uprawnych.

Według badań Commonweal karmienie piersią pozostaje nadal najlepszym wyjściem. Matki pozbywają się w ten sposób dużej części swojego chemicznego balastu, a dzieci, choć go przyjmują, zdają się mimo wszystko rosnać lepiej niż niemowlęta karmione butelką.

Związek między zdrowiem Ziemi a stanem ludzi (i zwierząt) był jednym z tematów znajdujących się w centrum innych działań Commonweal. Stąd ich zaangażowanie w różne projekty - od bioróżnorodności po ochronę morza wzdłuż wybrzeży Kalifornii. Owa grupa hipisów, która przyjechała ratować mewy i pelikany, cudownie się odtworzyła: jeden z pozytywnych aspektów Ameryki.

Michael kontynuuje swoją pracę, ale jego ostatnie listy wskazują na rosnące zaniepokojenie stanem Ziemi. Doświadczenie z chorymi na raka pokazało mu, że stan psychiczny, świadomość choroby, która wystawia na niebezpieczeństwo dalsze życie, może doprowadzić również do zmiany w sensie pozytywnym. Zastanawia się, czy taka przemiana nie może się też dokonać w całym społeczeństwie lub w całej ludzkości.

- My, ludzie - mówi Michael - przypuściliśmy straszliwy atak przeciwko wszelkiej formie życia na Ziemi i masakra ta zagraża teraz nam samym. Nadszedł moment, aby to przyznać i sięgnąć po środki zaradcze.

Nie mógłbym bardziej się z nim zgadzać. Człowiek musi rozwinąć w sobie nową świadomość dotyczącą swojego przebywania na świecie, stosunków z innymi ludźmi i pozostałymi istotami żyjącymi. Ta nowa świadomość musi odnaleźć element duchowy, aby zrównoważyć obsesyjny

materializm naszych czasów. Tylko wtedy będzie można mieć nadzieję na nową i znośną globalną cywilizację. Obecna jest już w fazie zdziczenia i wpędziła nas w ślepy zaufek. Musimy się z niego wydostać.

Michael sugeruje zatem, aby od leczenia jednostek przejść do leczenia planety. Ziemia - mówi - jest już dotknięta chorobą, która zagraża jej istnieniu, podobnie jak rak zagraża życiu uczestników warsztatów Commonweal. Musimy stworzyć ruch, który wszelkimi możliwymi sposobami podniesie poziom ludzkiej świadomości w kierunku tego, co Michael nazywa interbeing consciousness (świadomość współzależności wszystkich żywych istot).

Któregoś ranka „godzina wyobraźni” wykorzystana zostaje w nieoczekiwany sposób. Całą grupą ruszyliśmy przez zielone łąki w kierunku największego baraku, wychodzącego na morze. Nie został wyremontowany i miał widmowy wygląd. Przez dach przeświecały promienie słońca, a wielkie wewnątrz pełne jeszcze było rzeczy sprzed pięćdziesięciu lat: szkieletowych pozostałości generatorów, anten, przewodów elektrycznych, urządzeń radiowych. W rogu, jeszcze nieruszony, stał stary, czerwony wóz strażacki. Miejsce wydawało się odpowiednie do nakręcenia filmu wojennego, wyglądało jak plan przygotowany do egzekucji. Tak też było. Na jednej z ogromnych ścian, pozieleniałych od wilgoci, wisiał wielki, biały karton ze słowem „rak” pośrodku. Przed nim stał stolik z flamastrami; na ziemi leżały stosy starych, szklanych butelek. Wszystko to służyło do strzelania do tarczy. Celem była nasza choroba, ale każdy mógł dodać jakiegokolwiek inne słowo, na którym wyładowałby swoją złość, rzucając w nie butelkami.

Ktoś napisał: „ból”, ktoś inny: „biurokracja”, „niewrażliwi lekarze”. Ortopeda napisał: „ubezpieczenie”. Huk rozbijających się o ścianę butelek był wyzwalający. Wszyscy się śmiali, gratulowali sobie wzajemnie celnych trafień i ciskali z impetem kolejne butelki. Wszystkich ogarnęła wielka radość. Ja nie czułem w sobie żadnej agresji, podarowałem więc mój przydział butelek adwokatce z Denver. Potem, wychodząc, wziąłem czarny flamaster i w środku tarczy, tam gdzie słowo „rak” było już niemal nieczytelne, narysowałem wąsy, oczy i śmiejące się usta. W drodze powrotnej wszyscy byli szczęśliwi, rozbawieni. Zabawa się spodobała. Ktoś powiedział, że była to najpiękniejsza rzecz, jaką do tej pory zrobiliśmy. Nie ma wątpliwości, że ta kontrolowana agresja, wyładowywana poprzez roztrzaskiwanie butelek, rozbiła wiele gruzłów gniewu, jakie każdy w sobie nosił.

Podczas popołudniowej dyskusji adwokatka z Denver opowiedziała kolejny fragment swojej historii. Była mężatką, ale mąż odszedł, kiedy ich syn miał zaledwie cztery lata. Toczyły się straszne kłótnie o to, kto, gdzie i z kim będzie mieszkał, aż wreszcie chłopczyk wrzasnął:

- Idźcie sobie oboje! Ja tu zostanę sam!

Poszedł sobie mąż. W wieku jedenastu lat syn zaczął sprawiać kłopoty, stał się bardzo agresywny. W szkole bil kolegów i ubliżał nauczycielom. Był nieznośny i często wykrzykiwał straszne rzeczy pod adresem matki. Psycholog poradził kobiecie, żeby kupiła worek z piaskiem, taki, jakiego bokserzy używają do treningu. Zawiesiła go na haku w pokoju chłopca i powiedziała, że może robić z nim, co zechce. Za każdym razem, kiedy chłopak miał z kimś na pieńku, pisał imię tej osoby na worku i okładał go z całej siły kijem baseballowym. Na worku pojawiły się imiona kolegów ze szkoły, nauczycieli, ojca, a także jej.

- Ten worek ocalił nam obojgu życie - zakończyła kobieta.

Kiedy syn miał już dwadzieścia trzy lata, musieli się przeprowadzić. Zdejmowanie worka było prawdziwą ceremonią. Na koniec pochowali go w ogrodzie, jakby chodziło o krewnego.

Kiedy już zaakceptuje się myśl, iż śmierć jest częścią naszego życia, czujemy się silniejsi, mamy wrażenie, że nikt nie może mieć nad nami władzy. Taki jest sens starej japońskiej historii.

Młody strażnik przyboczny cesarza chce nauczyć się walczyć kataną, mieczem samurajów. Idzie do wielkiego mistrza tej sztuki i prosi, aby przyjął go na ucznia. Ten chce wiedzieć, co młodzieniec już umie, wymieniają więc kilka uderzeń.

W jakiej szkole byłeś? - pyta zachwycony mistrz.

W żadnej - odpowiada młodzieniec.

To niemożliwe. Już się u kogoś uczyłeś. Na pewno byłeś w jakiejś szkole.

Nie, nie - upiera się młodzieniec. - Sam się nauczyłem. Od kiedy jestem na służbie u cesarza, sam ćwiczyłem, żeby nie bać się śmierci.

Ach, to właśnie była twoja szkoła! - woła stary mistrz.

Przewyciężenie strachu przed śmiercią jest dla człowieka wielkim krokiem ku wolności. Pomaga mu lepiej żyć. tak samo jak pomaga stać się dobrym szermierzem.

Dziwna rzecz, że współczesny człowiek studiuje, uczy się, wprawia się w różnych rzeczach, ale nie dowiaduje się nic na temat umierania. A wręcz unika na wszelkie sposoby rozmowy o tym (uznawane jest to za niestosowne, jak kiedyś rozmowy o seksie). Unika też myślenia o śmierci i kiedy ten przewidywalny, najzwyklej naturalny moment nadchodzi, jest nieprzygotowany, straszliwie cierpi, czepia się życia, a czyniąc tak, cierpi jeszcze bardziej.

Ekknath Easwaran, indyjski mistyk zmarły w 1999 roku. który przez czterdzieści lat wykładał literaturę angielską, a potem uczył medytacji na Uniwersytecie w Berkeley, opowiadał o swojej babce, która była też jego przewodniczką duchową. Pewnego razu dała mu prostą, ale ważną lekcję. Kiedy jeszcze w dzieciństwie przeżywał śmierć członka rodziny, babcia posadziła go na dużym, drewnianym krześle i powiedziała, żeby trzymał się go ze wszystkich sił. Uchwycił się poręczy, ale ona i tak zdołała go oderwać. Stawiając opór, poczuł ból. Potem babcia poprosiła, by

znow usiadł, ale żeby tym razem się nie opierał. Zdjęła go wtedy z krzesła delikatnie, biorąc na ręce.

- Tak samo dzieje się ze śmiercią. Od ciebie zależy, jak odejdziesz. Pamiętaj o tym.

Takie babcie są coraz większą rzadkością. A już na pewno w Ameryce, gdzie dobrobyt, dążenie do wydłużenia życia i mit wiecznej młodości zaburzają wszystkie tradycyjne role. Wkrótce to samo dotrze do Europy. Babcie coraz częściej będą miały „swoje życie”, będą jeździły na wakacje i chętniej zajmowały swoimi „narzeczonymi” niż wnukami. Taka jest tendencja, do tego została sprowadzona nasza cywilizacja! Dorastamy, coraz bardziej napchani wiedzą praktyczną, pojęciami, które służą, żeby

przeżyć, odnieść sukces, ale nie możemy już liczyć na ów system przekazywania mądrości, doświadczenia życia i śmierci, reprezentowany kiedyś przez rodzinę i starszych. Dziadków. Naprawdę, dziwny jest ten nasz świat: mamy akuszerki, które pomagają się nam urodzić, ale nie mamy już nikogo, kto by nam pomógł, nauczył, jak umierać!

Nie zawsze tak było. Prawie wszystkie starożytne cywilizacje widziały w śmierci podstawowy aspekt życia i dlatego rozwinęły kulturę śmierci, własny sposób zmierzenia się z tą tajemnicą.

Na przykład Tybetańczycy przez ponad tysiąc lat korzystali ze swojej świętej księgi Bardo Thodol, napisanej - jak się mówi - przez Padmasambhawę, żeby zmierzyć się z momentem przejścia na drugą stronę. (Dosłownie „Wyzwolenie poprzez słuchanie”, przetłumaczona została jako Tybetańska księga zmarłych. W istocie jest to traktat o sztuce umierania). Kiedy w domu ktoś zbliża się do kresu swej ziemskiej drogi, lama, który przychodzi, żeby mu towarzyszyć, wyrzuca wszystkich płaczących. Potem, zwracając się do umierającego, prosi go, by się nie opierał, żeby się uspokoił i odłączył od spraw tego świata, od osób, z którymi był związany. Każdy związek

przecież się skończy, wszystko stanie się „puste jak bezchmurne niebo”. Po co się więc opierać?

Uspokój się, o szlachetnie urodzony - mówi lama. - Pierwotne światło wychodzi ci naprzeciw, zjednocz się z nim. Idź. Podążaj swoją drogą, szlachetnie urodzony, nie opieraj się.

To są słowa, które lama wciąż szepce na ucho umierającemu.

Coraz bardziej zdawałem sobie sprawę z tego, że odosobnienie miało tym właśnie być: treningiem oswajającym ze stanem człowieka chorego. Powiedział to pewnego wieczora Michael: wielu będzie musiało zmierzyć się z nowotworem, ale nikt nie jest na to przygotowany. Kiedy mówią ci, że masz raka, to tak, jakby zrzucali cię z helikoptera nad dżunglą, a ty nie masz najmniejszego pojęcia, jak tam przeżyć. Gdybyś był wyćwiczony, poradziłbyś sobie lepiej.

Michael kładł też nacisk na znaczenie grup wsparcia. Pewien lekarz z Uniwersytetu Stanforda, który zajmował się dużą liczbą kobiet z przerzutowym rakiem piersi, dokonał zaskakującego odkrycia: te, które poza normalną terapią uczestniczyły regularnie w spotkaniach z innymi chorymi kobietami, żyły dużo dłużej od tych, które nie brały w nich udziału. Podobne badanie, przeprowadzone w Los Angeles na innej grupie pacjentów chorych na raka, doprowadziło do takich samych wniosków.

Wiadomości te - mówił Michael - nie znalazły się jednak na pierwszych stronach gazet, jak to się dzieje z informacjami o nowym lekarstwie na raka. To kwestia pieniędzy; w grupach wsparcia ich nie ma. Być może minie kolejnych dwadzieścia lat, ale pewnego dnia stanie się jasne dla wszystkich, że wsparcie psychiczne jest niezwykle

ważnym elementem każdej terapii przeciwrakowej.

A system działał. Wraz z upływem dni, całkowicie odcięta od świata, bez gazet, radia i telewizji, grupa stawała się bardziej zwarta; dyskusje były coraz swobodniejsze. Mogłem uważać za banalne mówienie o „wewnętrznej przestrzeni spokoju” czy o „świętym miejscu”, a jednak tydzień spędzony w tym odosobnieniu nad morzem, z dala od obowiązków dnia codziennego i od rodzin lub - dla wielu - od tych szczytków, jakie z nich pozostały, był dobroczynny, przywrócił być może równowagę.

Zdawało mi się, że każdy na tym skorzystał i że świadomość naszej sytuacji na swój sposób... podniosła się o jeden stopień. Poza tym było to „święte miejsce”, tak samo jak była nim chata na urwisku (która nazywała się, jak odkryłem, kapliczką Jenipher). Uczestnicy zaczęli myśleć, że „wewnętrzna przestrzeń spokoju”, w której można się skryć, istnieje naprawdę. Strach przed śmiercią nie został na pewno przewyciężony, ale stał się normalnym tematem naszych rozmów. Przestał być tabu.

Jednego wieczora zasiedzieliśmy się po kolacji we wspólnej sali, rozmawiając o pogrzebach, o ostatnich słowach, które chciałoby się powiedzieć, o rzeczach, które chciałoby się po sobie zostawić. W tej kwestii ortopeda znów był najbardziej precyzyjny. Stworzył już stronę internetową i kompletował multimedialne CD, na którym gromadził zdjęcia i fragmenty taśm wideo ze swojego życia, historie tego, czego dokonał. Jego dzieci nie miały pojęcia, kim był, ale kiedy umrze, będą mogły ściągnąć bez problemu z komputera wspomnienie o ojcu.

Rozmowa przeniosła się potem na słowa wypowiedane w chwili śmierci. Przypomniałem sobie Giuseppe Verdiego, który majstrując przy źle zapiętej marynarce, powiedział:

- Guzik więcej, guzik mniej...

Kiedy przyszła kolej na mnie, żebym napisał, co chciałbym powiedzieć, przyszło mi do głowy tylko jedno:

- Dziękuję wszystkim, którzy podali mi rękę. I Angeli, która podała mi dwie.

Jeśli poza ciałem jesteśmy czymś jeszcze, to coś nie jest dobrze odżywiane, nie jest podlewane. Podczas gdy nasze zmysły są nieustannie napychane wszystkim, czego tylko mogą zapragnąć - dźwiękami, zapachami, widokami - dusza, jeśli istnieje, pozostaje głodna i spragniona.

A przecież - każdy z nas to wie z własnego doświadczenia - są takie chwile, jakaś niezwykle piękna scena, słowo, symbol, w którym słyszymy echo czegoś, co jest nam znajome, ale czego nie pamiętamy. Dochodzi nas jakiś szept, którego chcielibyśmy wysłuchać, ale szybko coś odwraca naszą uwagę. Prawda? Ociera się o nas, ale wolimy nie zwracać na niego uwagi.

W cytowanej już Mahabharacie jest piękny obraz tych spotkań. Mężczyzna idzie przez las i czuje muśnięcie pajęczyny na twarzy. Ma do wyboru dwie możliwości: może wykonać ręką prosty ruch, odgarnąć ją i iść dalej, lub też się zatrzymać i spojrzeć w środek tej pajęczyny, w centrum prawdy.

Wiele razy w życiu przytrafiają się nam takie przypadki: wyczuwamy aluzję do czegoś, co jest ukryte za pozorami, ale w pośpiechu wolimy wykonać nieuważnie jakiś gest i iść dalej.

A ja, miałbym teraz iść dalej? Dalej, ale dokąd? Lepiej, żebym się zatrzymał i popatrzył. Taka była zasadniczo moja postawa. Ale nigdy nie jawiła mi się tak jasno i wyraźnie. Najtrudniejsze jest wyzbycie się starych przyzwyczajzeń, typowych sposobów reagowania. Niełatwo uwolnić się od tego, co znamy, od tego, kim jesteśmy... lub przynajmniej sądzimy, że jesteśmy. Wciąż nie wyzbyłem się swoich zwykłych, instynktownych reakcji, tej źle ulokowanej pychy, czasami wręcz hardości, tego zarozumiałego przekonania, że mam pewność, co do której naprawdę nigdy nie jest się pewnym.

Bez wątpienia Stany Zjednoczone mają witalność, różnorodność, a także piękną naiwność, świeżość, spontaniczność, którą ja, stary Europejczyk, utraciłem. Tak przynajmniej czułem. Ów ocean przywracał mnie jednak powoli temu, co proste i pierwotne.

Dobrze to widziałem. Choć uczestniczyłem, szczególnie w pierwszych dniach, w dyskusjach, choć korzystałem z nich, jak z tej dotyczącej śmierci, wciąż zachowywałem rezerwę. Pozostawał gdzieś we mnie osad intelektualnej i europejskiej wyniosłości wobec czegoś, co wydawało mi się mało subtelne i co -jak myślałem - mogło być dobre dla Amerykanów, ale nie dla mnie. Miałem wrażenie, że w wielu przypadkach to, co odkrywali Amerykanie, było już od dawna dobrze znane. Toczyłem wewnętrzną walkę: opierałem się, próbowałem nie opuszczać swoich pozycji.

Typowa była moja reakcja na sand tray, miskę z piaskiem. „To znakomity sposób, aby pomóc człowiekowi uzewnętrznić jakiś aspekt jego wewnętrznego świata” - widniało na rozdanych nam kartkach. „Kaźde dziecko umie bawić się piaskiem. Wy też to zróbcie. Nie czyńcie tego z zamiarem otrzymania albo udowodnienia czegoś. Po prostu się bawcie, pozwalając prowadzić się waszej podświadomości”.

Zobaczyłem dwie kobiety z mojej grupy rozentuzjzmowane po tym doświadczeniu i już to wystarczyło, bym pomyślał, że ta zabawa nie jest dla mnie. Myśl, że pójdę bawić się w piachu pod okiem kobiety w moim wieku, która miała mi pomóc wejrzeć w duszę, szczerze mnie odrzucała. Tak naprawdę nie byłem w stanie wyzbyć się uprzedzeń intelektu, który osądza, interpretuje, wie, że przekartkował kilka książek. Wciąż ta autokontrola! Wydawało mi się absurdem przyjechać aż tam, aby poddać się czemuś, czego przez całe życie nie brałem na poważnie.

Kiedy przestąpiłem próg pokoju, w którym miałem „znów stać się dzieckiem i pozwolić prowadzić się podświadomości”, naprawdę się zirytowałem.

Pokój był kwadratowy i mały. Pośrodku stał stół z dużą drewnianą misą - niebieską wewnątrz, białą na zewnątrz. Jej dno wypełnione było warstwą drobnego piasku. Ściany pokoju całkowicie przestłonięto półkami, na których zgromadzono bezładnie najróżniejsze i najdziwniejsze rzeczy: plastikowe figurki, kryształki, ptasie pióra, kawałki metalu, druty, pozostałości meblowych nadstawek, kolorowe tasiemki, zasuszone kwiaty, kamienie, maski, papierowe wycinki, karty do gry, stare, dziecięce buciki i masę innych przedmiotów. Z sufitu zwisała wielka lampa oświetlająca misę z piaskiem, jakby to była scena, na której zaraz się miało coś rozegrać.

Trudno mi sobie wyobrazić, co mogę tutaj zrobić - powiedziałem prowokacyjnie do bardzo uprzejmej pani, która na mnie czekała. - Gdy tu przyszedłem, pomyślałem, że najlepszą rzeczą będzie zostawić wszystko, jak jest... To też coś znaczy, nie wydaje się pani?

Jeśli czuje pan, że tak powinien zrobić, w porządku. Pan już skończył - odpowiedziała z uśmiechem: nieobrażona, niezirytowana. ZaciekaWiła mnie. Na pewno miała już do czynienia z takimi kogucikami jak ja i nie musiała się puszyć, żeby się ze mną zmierzyć, nadmuchiwać swojego ego, aby się oprzeć mojemu, które tak śmiesznie wystawiłem na pokaz. To nie sytuacja była żałosna. Żałosny byłem ja.

Usiadłem i pozwoliłem sobie wyjaśnić, co mam robić. Kobieta potrafiła znakomicie się zachować. Choć do mnie mówiła, sprawiała wrażenie, jakby się wycofała. Podziwiałem ją. Potrafiła zniknąć. Była, ale jej obecność mi nie ciążyła. Tak więc, jakbym naprawdę sam pozostał na plaży, poszedłem za jej wskazówkami. Medytowałem z zamkniętymi oczami i pozwalałem, żeby moje ręce same decydowały,

co robić. „Poczułem” piasek, a potem z otwartymi oczami, ale wciąż „pozostawiony swojemu sercu dziecka”, zacząłem wybierać z półek rzeczy, które chciałem włożyć do koszyka: anioła z czerwonymi skrzydłami, kawałek błękitnego marmuru, piramidę z kwarcu, starą szyszkę, bukietik fioletowych kwiatków, małą pagodę, tęczę, kilka kartoników ze znakami runicznymi. Spojrzałem na specjalną talię kart do tarota i pociągnął mnie Strażnik Pochodni. Już miałem dołączyć go do innych rzeczy w koszyku, kiedy kobieta powiedziała:

- W tym przypadku lepiej by było, żeby ręka wybrała po ciemku.

Poprosiła, żebym potasował talię. Z zamkniętymi oczami wyciągnąłem kartę. Był to Strażnik Pochodni!

Kompozycja, jaką w końcu ułożyłem, wykorzystując mniej niż połowę przedmiotów, które miałem w koszyku, była dosyć prosta. Z piasku wykonałem górzysty pejzaż z dwoma jeziorami: jedno z nich miało na dnie oko, drugie zrobiłem z kawałka marmuru. Z jednej strony misy wyprowadziłem tęczę, z drugiej fioletowe kwiatki. W krajobrazie wytyczyłem „ścieżkę”: najpierw jednym palcem (ja), potem dwoma (ja i Angela). Na szczycie jednej z gór ustawiłem piramidę z kwarcu; na grzbiecie górskim, oddzielającym dwa jeziora, wetknąłem trzy runy ozdobione znakami, których nie znałem. Z boku misy umieściłem - wyprostowanego tak, aby górował nad całą kompozycją - Strażnika Pochodni. W trzecim rogu misy wstawiłem świeczkę i oparłem o drewnianą ściankę półotwarte pudełko zapalek, z których jedna wystawała.

Kobieta zapytała mnie kilka razy, czy nie chcę zapalić świeczki. Za każdym razem odpowiadałem, że nie.

- Kiedy ogień się zapala, musi również zgasnąć. A tak pozostanie to czynnością do wykonania i w ten sposób wymknie się czasowi - wyjaśniłem.

- A jaki nada pan temu tytuł?

- Wieczność. - Odpowiedź sama mi się nasunęła.

- A te trzy runy na wzgórzu to totemy? - zapytała.

- Nie. Kamienie nagrobne.

- Proszę wskazać ten, który pan preferuje.

- Ten w środku.

Kobieta przygotowała dwie kawy. Siedzieliśmy naprzeciw siebie, rozdzieleni misą z piaskiem. Poprosiła, żebym jeszcze coś powiedział, wyjaśnił to czy tamto, przeczytała mi z kilku książek znaczenie Strażnika Pochodni, a także znaków runicznych, które wybrałem. Potem przez jakieś dziesięć minut mówiła o moim stosunku do raka, o moim stosunku do raka, o moim pragnieniu duchowości. Mogłem to wszystko uznać za oczywiste, banalne i kalifornijskie. Ale jej słowa dotknęły jakiejś struny, o której istnieniu nie miałem pojęcia, i ona wydała dźwięk. Jeśli chodzi o „lekturę” znaków, jakie pozostawiłem na piasku, poczułem, że ścisną mi się gardło. Wstałem, podziękowałem i poszedłem na długi spacer po skałach.

Po powrocie do pokoju znalazłem kserokopie kartek wyjaśniających znaczenie Strażnika Pochodni i znaków runicznych. Kobieta przysłała mi je, uzupełniając bardzo serdecznym dopiskiem: „Jeśli wyciągnąłeś Strażnika, jesteś błogosławiony boską obecnością wyzdrowienia. Rozpoznaj moc, jaką masz w rękach, aby podsyć siłę w twojej rodzinie i wśród przyjaciół...” - mówiła jedna ze stronic książki tarota. Natomiast ta o znakach runicznych podawała: „Wybrałeś znak końca i nowego początku w cyklu twojej przemiany. Wybór ten oznacza, że życie, jakie wiodłeś do tej pory, jest na wyczerpaniu. Pozwól mu umrzeć, tak aby jego energia witalna mogła się uwolnić i przejść do nowych narodzin... Przygotuj się na dobrą okazję, która pojawi się pod pozorem utraty... Kiedy jesteś w głębokiej wodzie, stań się pływakiem”.

Wszystko zdawało się pasować. Znałem już jednak ten rodzaj komunikatów, które każdy interpretuje, jak chce. Jestem pewny, że mógłbym odczytać według własnego klucza również te strony i znaki, których nie wybrałem. A jednak pewnej części mojej osoby kobieta, misa z piaskiem i całe to gadanie się spodobało. Czy się czegoś nauczyłem? Przynajmniej tego, żeby być mniej aroganckim i - być może - słuchać owego głosu, dotykać tej struny, uwolnić się. zamiast pozostawać w tych absurdalnych granicach, które nieświadomie sobie narzuciliśmy, a które są prawdopodobnie u podstaw wielu naszych cierpień. Otoczyliśmy nasze życie kręgiem, wmówiliśmy sobie, że jest zaklęty, i robimy wszystko, aby go nie opuścić. Ale w środku tego kręgu czujemy się ograniczeni i cierpimy.

Dlaczego nie stać się na powrót dziećmi? Bez ograniczeń. bez strachu, z ciekawością wszystkiego; wolnymi, nic jeszcze niewiedzącymi, pozbawionymi pewników.

Ostatniego wieczora, owinięci w wielkie, białe koce, poszliśmy wszyscy na piękną łąkę, wysoko nad oceanem, żeby oglądać zachód słońca. Wiał bardzo silny wiatr, więc usiedliśmy ściśnięci jedno obok drugiego. Tak wyglądamy na grupowym zdjęciu, które będzie zapewne krążyło wśród uczestników kolejnych warsztatów.

Kiedy Jerry, kierowca-aktor, przyjechał, żeby zabrać mnie z powrotem do świata, miałem ze sobą też pluszowe, fioletowe serduszko, za pomocą którego mogłem „łączyć się”, gdybym miał ochotę, z tym miejscem i spotkaniami tam ludźmi. I pomyśleć, że niewiele brakowało, a bym je tam zostawił! Wciąż je mam i raz na jakiś czas, widząc je na półce wśród książek, uśmiecham się.

Koncert dla komórek

„Odpowiedni dla Ciebie nauczyciel jogi mieszka w San Francisco” - napisała mi Amrit Stein, niemiecka przyjaciółka Angeli, często bywająca w Indiach, tancerka kataku.

Nie mogłem już biegać, a joga, poza wszelkimi innymi korzyściami, wydawała się dobrą namiastką ćwiczeń fizycznych. Adres mailowy, wymiana postów, spotkanie umówione pod koniec mojego pobytu w Commonweal i kolejny wątek złożony z ludzi, miejsc i przede wszystkim doświadczeń. Zaprowadziły mnie one raczej daleko od początkowego celu, czyli jogi, które bez poszukiwania nauczyciela na pewno by mi się nie przytrafiły.

Wystarczy zrobić pierwszy krok we właściwym kierunku, a reszta przyjdzie sama. Albo prawie. Joga nie stała się częścią mojego życia, ale - mój Boże - ileż to rzeczy nastąpiło po tym, jak pewnego ranka, o dziesiątej trzydzieści, pojawiłem się w Avenues. To schludna dzielnica San Francisco, z której - jak się zdawało - ludzie zostali wyszani, a stojące tam domy, pomalowane na biało lub niebiesko, wzbudzały niepokój na samą myśl, że ktoś mógłby zostać skazany, by tam mieszkać.

Zadzwoiłem. Drzwi się otworzyły.

- Tiziano - powiedział łysy mężczyzna, około sześćdziesiątki, z siwą bródką i w krótkich, czarnych spodenkach. Spodobał mi się, choć natychmiast, mimo jego uśmiechu, wyczułem w nim wielki smutek. Miał piękną, czystą twarz, szczupłe ciało i szerokie ramiona. Tylko nogi wydały mi się zbyt chude i niestabilne, więc pomyślałem: „Mocny dom, słabe fundamenty”. Weszliśmy po wąskich schodach. Dom był czymś w rodzaju „komuny”. Na pierwszym i na drugim piętrze mieszkało kilkoro jego uczniów. On zajmował trzecie.

Usiedliśmy na podłodze. Wszystko było uporządkowane i uspokajające... poza małą fotografią Sai Baby, wsuniętą za ramę lustra. Święci, szczególnie jeśli są multimilionerami, wzbudzają moje podejrzania; ich adepci w większości zasmucają mnie z uwagi na to ich zaślepienie, którego nie jestem w stanie podzielać.

Nie chciałem wprowadzać gospodarza w zakłopotanie, pytając - jakbym chciał wystawić na próbę jego wiarygodność - czy jest wyznawcą świętego z Puttaparthi, któremu przypisuje się różnego rodzaju cuda, łącznie z umiejętnością materializowania z niczego złotych roleksów. Poprosiłem, żeby opowiedział o sobie, a to większość moich rozmówców robi bardzo chętnie.

Ramananda był Hindusem, ale urodził się w Dar es-Salaam, w Afryce, gdzie jego ojciec, emigrant, pracował jako nauczyciel. On też udzielał mu pierwszych lekcji jogi i od wczesnego dzieciństwa wpała synowi w domu owe idee i wartości, które od wieków z każdego Hindusa robią hindusa. Robił to bardzo zręcznie: recytował mu z pamięci Bhagawatgite, a Ramananda, z książką w ręku, musiał kontrolować, czy ojciec nie robi błędów. (Bhagawatgita jest jakby dodatkiem do wielkiego hinduskiego poematu epickiego Mahabharata. Opisuje sytuację bezpośrednio poprzedzającą bitwę pod Kuruksetrą. Bhagawatgita przypisywana jest między innymi mitycznemu Yyasie i lokuje się ją, przynajmniej w znanej nam wersji, około piątego wieku przed Chrystusem. Osiemnaście rozdziałów Bhagawatgity stanowi nieustanny dialog między Ardżuną, wojownikiem, i Kryszną, pozornie jego woźnicą, a naprawdę inkarnacją Boga). Żeby móc go poprawiać, Ramananda musiał być bardzo uważny i na koniec sam się nauczył każdej linijki Boskiej Pieśni.

W trakcie podróży z ojcem, który przenoszony był do różnych siedlisk hinduskich w Afryce, Ramananda dorastał w świecie opisanym przez Vidiadhara Surajprasada Naipaula w Zakręcie rzeki. Potem wyjechał do Anglii studiować inżynierię. Pewnego dnia na jego uniwersytecie pojawił się B. K. S. Iyengar, sławny jogin, i Ramananda został jego uczniem. Podziwiał swego mistrza, wyrażał się o nim jak o geniuszu. Kiedy jednak zapytałem, czy - zważywszy, że mam dom w Indiach, a Iyengar mieszka na południu kraju - nie radzi mi, bym pojechał do niego, spotkałem się z ciętą odpowiedzią:

Jeśli chcesz przyswoić sobie tajniki jogi, ucz się od kogoś, kto się uśmiecha - powiedział.

Rozmawialiśmy o trudnym związku między mistrzem a uczniem. W dodatku stosunek ten jest w Indiach skomplikowany przez fakt, że adept musi „podać się”, całkowicie „podporządkować” guru.

Wydawało mi się to niebezpieczne, ponieważ czasami mistrzowie - myślałem tu o Sai Babie - połączani całkowitym oddaniem uczniów, zaczynają uważać się za boskich, natomiast adepci stają się ich poddanymi.

Zgadzał się z tym. Powiedział, że na początku guru powinien wspierać ucznia, żeby wzbudzić w nim ufność i pomóc stawiać pierwsze kroki, ale potem musi pozwolić, by poszedł własną drogą.

Koniec końców liczy się metoda, nie guru - powiedział.

Uważał metodę Iyengara za najlepszą. Jego związek z mistrzem nie był jednak idealny i teraz, kiedy sam został nauczycielem, przyjęta rola go niepokoiła. Odkąd zaczął uczyć szczególnie w Ameryce, zauważył, że adepci przybywali do niego, pełni oddania i poświęcenia, ale potem, w przeciąg- kilku miesięcy - zazwyczaj sześciu - rodziły się konflikty; i napięcia: każdy chciał zostać ulubionym uczniem.

- Joga - dodał, jakby chciał pozbawić mnie wszelkich złudzeń - nie czyni ludzi lepszymi. Uwypukla tylko charakter każdego z nich. Jeśli jesteś złodziejem, joga doskonali twoje zdolności złodziejskie; jeśli z natury jesteś zawistny, joga jeszcze wyolbrzymia tę cechę.

Niczego nie mitologizował. W tym momencie łatwiej mi było pokazać obrazek Sai Baby i zapytać, czy jest jego wyznawcą. Nic z tych rzeczy - zapewnił rennie. Zdjęcie przywiózł mu student, który ostatnio był w Puttaparthi, Jeśli miał już jakiegoś guru, to był nim raczej Swami Dayananda Saraswati, nauczyciel wedanty, starej, religijnej filozofii Indii. Miał swój aśram również w Stanach Zjednoczonych i Ramananda jeździł tam co roku prowadzić kursy jogi.

Mój nauczyciel mi się podobał. Nie próbował wmówić, że joga leczy choroby, że otwiera drzwi do magicznych mocy, takich jak umiejętność lewitowania czy stawania się niewidzialnym. Jeszcze w latach pięćdziesiątych niektóre osoby praktykujące hatha-jogę uważały to za możliwe. Ramananda wierzył w wytrwałość i siłę woli, a to mi odpowiadało. Wyjawiłem mu, co mnie tutaj przywiodło.

- Rak. Boisz się? Powiedziałem, że nie.

- Wszyscy umieramy. Chodzi o to, żebyśmy zdołali cieszyć się podróżą - skomentował. - Joga może być bardzo pomocna w utrzymaniu w formie zarówno ciała, jak i duszy podczas tej drogi.

Potem, jakby chciał złagodzić ton rozmowy, opowiedział mi historię, którą chętnie rozpoczynał swoje kursy dla początkujących.

Pewien człowiek idzie do dentysty. Ten uznaje jego zęby za wspaniałe, ale widzi, że pacjent je czekoladę.

- Jeśli chce pan mieć piękne zęby przez następnych sto lat, musi pan skończyć z czekoladą.

- Kończę natychmiast - mówi mężczyzna. Wyjmuje z kieszeni kawałek czekolady i wyrzuca.

Brawo. Przez następnych sto lat będzie pan miał doskonałe zęby - mówi dentysta.

Mężczyzna wychodzi, ale zaraz za rogiem potrąca go ciężarówka. W ostatniej chwili życia ma do wyboru dwie postawy. Może powiedzieć sobie: „Niech diabli porwą tego dentystę, który nie pozwolił mi cieszyć się ostatnim kawałkiem czekolady w życiu!”. Albo: „Całe szczęście, że przed śmiercią zdołałem zrobić to, co zawsze chciałem - przestać jeść czekoladę”.

Potem Ramananda dodał:

W życiu wiele rzeczy może pójść nie po naszej myśli, i zazwyczaj tak się dzieje.

Miałem wrażenie, że mówi o sobie.

Postanowiliśmy rozpocząć lekcje następnego dnia. Tymczasem Ramananda zaprosił mnie na obiad, potem na herbatę, i w ten sposób poznałem innych członków komuny, a wśród nich starego Hindusa, jego pacjenta. Został na pół sparaliżowany na skutek wypadku samochodowego, a Ramananda zobowiązał się, że przywróci mu zdolność chodzenia.

Czy to możliwe? - zapytałem, widząc, jak ten biedak ledwo powłóczy lewą nogą, podczas gdy lewa ręka zwisała mu bezwładnie.

Oczywiście. Wszystko polega na tym, aby przekonać umysł, że to możliwe - powiedział mój nauczyciel i zaprosił mnie, bym się przyjrzał ćwiczeniom, jakie zaaplikował nieszczęśnikowi.

Ramananda był bardzo rygorystyczny, niemal okrutny. Bezlitośnie zmuszał tego cierpiącego człowieka do wykonywania małych kroczków i nieustannego równoważenia swojego ciała poprzez wysuwanie naprzód prawej ręki jednocześnie z lewą stopą, i na odwrót.

Na koniec opowiedział mi, jak Iyengar zdołał przywrócić zdolność chodzenia dwudziestodwuletniemu graczowi w krykieta, synowi przyjaciela, który w chwili śmierci kazał sobie obiecać, że postawi chłopaka na nogi. On też był ofiarą wypadku, który przykuł go do wózka inwalidzkiego, Iyengar, korzystając z pomocy Ramanandy, który pacjenta podtrzymywał, zmusił chłopca do stanięcia na nogi. Potem ustawił się za nim, przyłożył mu lufę pistoletu do pleców i zaczął go znieważać. Wrzeszczał i groził tak zapamiętałe, że zarówno Ramananda, jak i inni uczniowie myśleli, że zwariował. Tak długo krzyczał i popychał swą ofiarę, że ta małymi kroczkami w końcu przeszła przez cały pokój.

- Dotrzymałem obietnicy - powiedział wielki mistrz i opuścił domostwo przyjaciela.

- Wszystko polega na oswobodzeniu umysłu z niewoli prawd naukowych, które go warunkują - wyjaśnił Ramananda. On sam liczył, że w ciągu dwóch miesięcy przywróci starszemu panu przyjemność spacerowania bez laski.

Spędzony wspólnie dzień okazał się bardzo pożyteczny. Ja wyrobiłem sobie zdanie o Ramanandzie - podobał mi się, choć ciążył mi jego smutek - a on o mnie. Wydawało mi się, że moja opinia o nim jest trafna, bo kiedy następnego dnia stawiłem się na pierwszą lekcję, rozpoczął od stwierdzenia, że jestem bardzo spięty, że za bardzo wszystko analizuję i mam nieustanny furkot w głowie. To najgorsze podejście do poświęcenia się jodze.

Brawo. Ale co z tym począć?

Przede wszystkim musiałem nauczyć się ćwiczenia relaksacyjnego na początek każdej sesji. Kazał mi się położyć na plecach z zamkniętymi oczami i z otwartymi dłońmi odwróconymi ku górze.

- Bóg zrzuca czasem z nieba małe grudki złota, więc nie chciałbym, żeby ci uciekły - powiedział, i teraz myślę o owych złotych grudkach za każdym razem, kiedy kładę się na ziemi, żeby wykonać to ćwiczenie albo po prostu popatrzeć na chmury.

To, czego Ramananda nauczył mnie o relaksacji, miało wielki wpływ na moje dobre samopoczucie.

- Wyciągnij się, opróżnij głowę z tego wszystkiego, co ją zajmuje, rozluźnij mięśnie, rozwiąż wszystkie węzły. Głęboko oddychaj. Poczuj swój oddech, podążaj za nim, wewnątrz twoich rąk, dłoni, nóg. Poczuj, jak oczyszcza, zabiera, leczy. Wyobraź sobie twój oddech, który wymiata wszystkie nieczystości. Pozwól, żeby każda część twojego ciała zagłębiła się w podłogę, uwolnij wszystkie narządy, wyobraź sobie, że nerki układają się na podłodze. Zrób tak, żeby skóra z bioder oderwała się od kości, i pozwól, by w wewnętrznym kącie oka zrodziła się głęboka radość. Rozluźnij się. Leżysz na kolanach Matki Ziemi. Pozostań tam, w przestrzeni świata, nic nie robiąc, o niczym nie myśląc. Rozwiąż ten węzeł, który masz w gardle z powodu czegoś, czego nie zdołałeś zrobić. Precz, precz, niech zniknie. Jesteś szczęśliwy, nawet jeśli nikt cię nie rozumie. To ty całą swoją energią wyrzucasz to wszystko, co zajęło miejsce w twoim ciele, a co do niego nie należy. Precz, precz...

Po kwadransie tego spokojnego rozluźniania się, gdy część mojego umysłu nie rezygnowała mimo wszystko z myślenia i osądzania, Ramananda zaczął uczyć mnie niektórych asan, pozycji jogi, które mogły mi jakoby pomóc, przede wszystkim na przepuklinę. Najpierw zawisłem w powietrzu z głową do dołu na umocowanej do sufitu szelce, potem robiłem świecę przy ścianie, w końcu siedziałem zgięty wpół na krześle.

Natychmiast się zorientowałem, że metoda Iyengara, która tak się podobała Ramanandzie, nie była dla mnie. Wielkim wynalazkiem jego mistrza - wyjaśnił mi nauczyciel - było wprowadzenie do ćwiczeń jogi przyrządów. Oznaczało to, że każda asana wymagała użycia pasków, szelek, poduszek, krzeseł albo drewnianych pieńków, na których można się było podeprzeć. Całkowite przeciwieństwo tego, czego pragnąłem. Wyobrażałem sobie, że uprawianie jogi zakłada wyłącznie potrzebę własnego ciała i kawałka płaskiego terenu. Wszystkie te przyrządy mnie odpychały!

Przez ponad trzydzieści lat codziennie rano przebiegałem kilka kilometrów, i to była moja forma medytacji. Gdy wyruszałem w podróż, wrzucałem do torby parę butów, koszulkę, spodenki i mogłem biegać wszędzie, gdzie byłem. Czasem nawet ryzykowałem, jak w Phenianie, w Korei Północnej, gdzie śledzący mnie agenci musieli jeździć za mną po alejkach parku.

Z tymi wszystkimi przyrządami nie mógłbym uprawiać jogi wszędzie tam, gdzie miałbym na to ochotę. A zatem nie było to dla mnie. Zobowiązałem się jednak, że będę pobierał lekcje przez tydzień, więc zostałem. Całe szczęście! Gdybym postanowił przerwać po pierwszej godzinie, straciłbym to wszystko, co spotkało mnie potem, a dalszy ciąg tej książki też byłby zupełnie inny.

Podczas owego tygodnia zauważyłem znaczną poprawę u na poły sparaliżowanego starszego mężczyzny. To umocniło mnie w przekonaniu, że umysł - dla mnie źródło wielkiego niepokoju - stanowi także skarbnicę nadzwyczajnej siły, w którą coraz bardziej wierzyłem: siły oddziaływania na materię.

Ramananda powiedział mi również o seminarium dotyczącym jogi i dźwięku, które miał poprowadzić wraz z muzykiem z Kalkuty w aśramie swojego guru w Pensylwanii. Jak wyjaśnił mi Ramananda, chcieli zbadać możliwe efekty terapeutyczne połączenia asany z klasyczną muzyką indyjską. Ciekawiło

mnie to tak samo jak spotkanie ze Swamim Dayanandą, ekspertem od wedanty i tego wszystkiego, co przez lata pobytu w Delhi mi umknęło - indyjskiej myśli.

Seminarium miało się odbyć za kilka tygodni. Nie zastanawiając się długo, poprosiłem Ramanandę, żeby mnie na nie zapisał.

Z San Francisco pojechałem do Nowego Jorku na spotkanie z naprawiaczami. Wyniki różnych badań przysły po tygodniu: przedłużenie wieczności. Miałem się znów pokazać za trzy miesiące, mniej więcej po zakończeniu seminarium Ramanandy w Pensylwanii. Daty się zgadzały.

Wykorzystałem ten czas, żeby się zatrzymać, pobyc w spokoju i poczytać trochę na temat jogi, a przede wszystkim muzykoterapii. Jest to stara praktyka, która została niedawno na nowo odkryta i stała się modna - podobnie jak wiele innych - w ramach medycyny alternatywnej. W Stanach Zjednoczonych istnieje już około pięćdziesięciu szkół, które jej uczą, a także setki ośrodków utrzymujących, że leczą za pomocą muzyki wiele zaburzeń, od migreny po otyłość i obstrukcję.

Idea, że dźwięk ma w sobie ogromną i tajemniczą moc, jest stara jak człowiek. To nie przypadek, że w różnych mitach dotyczących stworzenia, poczynając od Biblii, właśnie dźwięk wskazywany jest jako źródło wszystkiego. „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo” - tak rozpoczyna się Ewangelia według świętego Jana.

Dla Hindusów owym dźwiękiem było magiczne OM. pierwszy ze wszystkich dźwięków, skupiający w sobie wszystkie inne; dźwięk, poprzez który Brahman, stwórca, objawia się, zanim się jeszcze ukaże w swej postaci. Również według współczesnej nauki wszechświat zaczął się od dźwięku: Wielkiego Wybuchu. (OM dla Hindusów składa się z A (pierwszy dźwięk wydawany przez kogoś, kto otwiera usta), U (dźwięk, kiedy usta się zamykają), M (odgłos zamkniętych ust). Od tego A+U+M=OM miałyby pochodzić amen z modlitw chrześcijańskich).

Domniemana boska natura dźwięku sprawiła, że w wielu cywilizacjach człowiek dostrzegał w nim związek z bogami, a dzwony, dzwonki i talerze, bębny i gongi są wciąż obecne w ceremoniach różnych religii, natomiast szaman: na wszystkich kontynentach nadal używają muszli i rogów, aby wejść w kontakt z duchami.

W kulturach różnych ludów istnieją legendy - bardzo do siebie podobne - według których dźwięk stosowany przez kogoś, kto potrafi kontrolować jego moc, może zabić albo wskrzesić człowieka, może wywołać deszcz lub burzę ognia, może wytworzyć obrazy z niczego lub też zniszczyć materię - tak jak się stało z murami Jerycha.

W starożytnych Chinach przypisywano muzyce moc czynienia ziemi urodzajną oraz zmieniania charakteru człowieka. W starożytnym Egipcie stosowano muzykę dla złagodzenia bólu rodzących. W Indiach istnieją stare teksty sanskryckie, opisujące terapeutyczne walory muzyki. Podobne traktaty zapisano także po arabsku. Jak wiadomo, sam Hipokrates uciekał się czasem do muzyki w trakcie leczenia swoich pacjentów na wyspie Kos.

Teoria terapeutycznego efektu dźwięku była początkowo owocem intuicji mistycznych, które nauka zdaje się dziś na swój sposób potwierdzać. Według tych hipotez każda żyjąca istota i każdy przedmiot, będąc zbiorem części pozostających w nieustannym ruchu („w nieustannym tańcu” - jak mawiali starożytni), wydaje dźwięk, który odzwierciedla naturę tego stworzenia lub tej rzeczy. Każde zakłócenie, każda dysharmonia w tym dźwięku staje się powodem choroby. Chory może zostać wyleczony, jeśli przywróci się pierwotną harmonię człowieka poprzez interwencję „właściwego” dźwięku, który wytworzy konieczne współbrzmienie.

Szaleństwo? Może jednak nie. Jeśli pomyśleć, jaki wpływ może mieć muzyka na nasz stan ducha, jak marsze wojskowe pobudzają żołnierzy na polu bitwy lub jak rozczulają nas melodie miłosne, nietrudno sobie wyobrazić efekt wywołany przez muzykę, której dźwięk wychodzi poza poziom emocjonalny i naprawdę przenika do naszego ciała, powodując, że komórki zaczynają wibrować we właściwym rytmie.

Posiłkując się tymi teoriami, niektórzy współcześni muzycy indyjscy próbują rozpoznać, które ragi, klasyczne struktury muzyczne, mają właściwy rytm dla leczenia których chorób. Długa seria zależności została już ustalona dla różnych patologii, poczynając od anoreksji po gorączki reumatyczne. Ragę odpowiednią dla bezsenności znał już Omkarnath Thakur, o którym mówi się, że podczas wizyty w Rzymie wywarł wielkie wrażenie na Mussolinim, ponieważ zdołał za pomocą swojej muzyki uspić cierpiącego zazwyczaj na bezsenność duce.

Od samego początku swego istnienia, w czasach ryszich, joga uznawała wielkie znaczenie dźwięku, a jedną z dyscyplin pozwalających na wyjście poza ciało i spowodowanie, że jednostka staje się jednością z absolutem, jest właśnie nada- -joga, joga dźwięku. Docierając świadomością aż do chwili, kiedy myśl boska staje się słowem - to znaczy dźwiękiem i stworzeniem - jogin jest w stanie usłyszeć, nie za pomocą fizycznego narządu słuchu, ale wewnętrznymi uszami duszy, boski dźwięk i połączyć się z ową rzeczywistością transcendentną, która jest ostatecznym celem jego praktyki.

Filozofia jogi była na pewno bardziej interesująca od wyginania się, którego usiłował mnie nauczyć Ramananda. Byłem ciekaw, jak seminarium w Pensylwanii połączy to wszystko ze sobą i na ile ja z tego skorzystam.

Miejsce od razu przywiodło mi na myśl Leopolda i nasze pogawędki na temat oderwania od właściwego terytorium. W jodłowym lesie, na przecięciu dwóch autostrad, pośród bardzo amerykańskiej równiny Pensylwanii wyrastała biała i czysta hinduska świątynia. Dookoła stały rzędy bungalowów z prefabrykatów po jakimś upadłym motelu, który został przerobiony na aśram. Tam właśnie, na ogrodzonym terenie, obok którego biwakowali wędrowni handlarze przyjeżdżający na cotygodniowy pchli targ, zaczynały się warsztaty jogi!

Joga: jedna z najstarszych i niezgłębionych ezoterycznych doktryn Indii, jedna z wielkich tajemnic, przekazywanych po odbyciu żmudnych prób i różnorodnych rytuałów inicjacyjnych tylko temu, kto naprawdę na to zasługiwał. Jeszcze w latach trzydziestych europejski podróżnik, który pojechał do wielkiego jogina do Benaresu, żeby przekonać go do udzielenia mu kilku lekcji, słyszał w odpowiedzi:

- Nauczyć jogi was, ludzi z Zachodu? Nigdy! Zaraz zrobilibyście z tego interes.

W warsztatach uczestniczyło około pięćdziesięciu osób, w zdecydowanej większości kobiet. Wszyscy się znali. Byłem jedynym obcym. Pozostali przed laty brali już udział w zajęciach organizowanych przez Ramanandę. Teraz każdy z nich został już nauczycielem i miał gdzieś w Ameryce swój „interes”; szkołę jogi. Wszyscy byli znakomici w asanach i świetni w wykorzystywaniu różnych przyrządów typowych dla metody Iyengara. Nigdy nie zdarzyło mi się znaleźć wśród tak wielu i jednocześnie tak bardzo doświadczonych osób praktykujących jogę. Jednak to tylko mnie utwierdziło w moich uprzedzeniach. Rozglądałem się dookoła i nie widziałem ani jednej pogodnej twarzy, ani jednej uśmiechniętej osoby, kogoś, od kogo emanowałoby uczucie spokoju. Każdy z osobna bardzo się angażował w wykonywanie ćwiczeń i doskonalenie swoich pozycji, a ich rezultatem było osamotnienie i smutek malujące się na twarzach. Dostrzegałem wiele chudych i bladych kobiet z podkrążonymi oczami. Coś się nie zgadzało, choć nie rozumiałem dobrze, co.

Oczywiście, istnieje zasadnicza sprzeczność między kulturą indyjską, gdzie joga narodziła się przed kilkoma tysiącami lat, a naszym współczesnym społeczeństwem, do którego została niedawno przeszczepiona. W pierwszym przypadku głównym celem było uzyskanie kontroli nad tym, co w człowieku najbardziej niematerialne: umysłem. Natomiast nas interesuje dokładnie coś odwrotnego: kontrolowanie materii poprzez naukę i technologię. Joga, co dosłownie znaczy jedność, miała uwolnić człowieka od iluzji, że jest indywidualnym bytem, oddzielonym od reszty świata, i połączyć go właśnie z bogiem. Ale w jaki sposób można dążyć do takiego celu w naszym społeczeństwie, całkowicie zdominowanym przez zasadę indywidualności i odosobnienia? Być może już same próby osiągnięcia tego stanu wywołują konflikty, schizofrenię i ów smutek, który wyczuwałem wokół siebie.

Ale nic nie jest nigdy całkowicie negatywne. Radość przyszła wieczorem, kiedy Ramananda wskazał grupie zebranej w sali konferencyjnej małego i chudego Hindusa w białej kurcie i pijamach. To był jego partner, muzyk Mukesh Desai. Siedział na podwyższeniu przed płaską harmonią. Po prawej stronie miał młodego człowieka, który towarzyszył mu na tablach, dwóch małych bębenkach. Przedstawił się i powiedział, że dla nas słuchanie muzyki powinno być jak picie z rzeki: możemy brać, co chcemy, i zostawić, kiedy będziemy mieli dosyć.

- Ja sprzedaję wodę nad brzegiem rzeki - dodał ze śmiechem, gdy dostrajał harmonię do tabli. A może już grał, ponieważ muzyka ta, która trwała nieprzerwanie przez ponad dwie godziny, zdawała się nie mieć ani początku, ani końca: po prostu płynęła jak woda, jak życie. Słowa, które wyśpiewywał Mukesh Desai, nie miały sensu, często były tylko odpowiednikami naszego do, re, mi, fa, sol, ale jego głos o tysiącu modulacji i tysiącu barw wypełniał życie całą salą i wnikał do piersi każdego z nas. On, Mukesh Desai, był narzędziem, a z jego ust wydobywały się magiczne dźwięki, które mieliśmy połączyć z asanami. Wieczór te na swój sposób wszystkich nas uwznioślił.

W kolejnych dniach Mukesh Desai przychodził każdego popołudnia do sali ćwiczeń. Kiedy Ramananda był zadowolony z pozycji, jaką każdy przyjął - ja byłem zwolniony z obowiązku precyzji - on intonował swoje ragi. Ja zaś się przekonywałem, że dźwięki wnikały do mojego ciała, docierają do komórek i wprowadzają je w takie wibracje, żeby nie reprodukowały się w swój szalony sposób. Moc dźwięku - czy też moc umysłu?

Ramananda był dobry w tym, co robił. Nawet nie próbował zracjonalizować tego związku między asanami a muzyką albo wyjaśnić według klucza mistycznego, jak opisywano go w niektórych książkach. Traktował wszystko bardziej intuicyjnie. Doświadczenie pozwalało mu „wyczuwać” nasze ciała, dzięki czemu wiedział, że muzyka ma na nas jakiś wpływ. Znał różne doświadczenia z przeszłości

i te, które stały się teraz modne, ale przeprowadzał swój własny eksperyment z grupą pięćdziesięciu wykwalifikowanych uczniów.

W moim przypadku zadziało: w jednym z ostatnich dni pobytu, podczas sesji pranajamy - ćwiczenia mającego na celu kontrolowanie oddechu, gdzie nie trzeba się wyginać ani stosować przyrządów, tylko leżeć nieruchomo - poczułem, jak sugestywne modulacje głosu Mukesha Desai przenikają do wszystkich moich porów. Całe ciało ogarnęła wielka radość, jakiej nie doznałem nigdy wcześniej podczas żadnego koncertu.

Czy muzyka, która - jak mi się zdawało - rozbudzała drzemiącą we mnie siłę, mogła być naprawdę terapeutyczna? A może to umysł kojarzył z tymi dźwiękami moc, która się aktywizowała, dając mi wrażenie oddziaływania na materię? Było to bez różnicy. Już sam fakt uważałem za zdumiewający i żadne wytłumaczenie nic by nie zmieniło.

Drugą niespodzianką był Swami. Około siedemdziesiątki, wysoki, szczupły, lekko zgarbiony, odziany w pomarańczową tunikę, przybył w połowie tygodnia, ale już swoją pierwszą „mową o zachodzie słońca” nadał całemu seminarium nowy wymiar. Człowiek ten był wykształcony, inteligentny, bardzo bystry, ale czuło się, że nie ma żadnej potrzeby tego okazywać. Emanował pogodą ducha.

- Poszukiwanie duchowe jest poszukiwaniem poznania, a jedynym poznaniem, za jakim warto podążać, jest poznanie samego siebie - zagań. - Sądzimy, że wiemy, ale wiemy tylko to, co widzimy, co słyszymy, czego doznajemy zmysłami. Tak naprawdę to wszystko, co jawi się nam jako rzeczywistość, nie jest rzeczywiste. Materia nie istnieje, tylko jawi się nam, jakby istniała...

Dobrze wiedział, do kogo się zwraca, i szybko zmierzył się, ze sporą dozą ironii, z tematem, który nas tam sprowadził.

- Joga? Oczywiście, jest zdrowa dla ciała - powiedział -i przyjemnie jest móc się schylić, by podnieść kartkę, nie musząc nikogo prosić o pomoc. Jednak celem jogi nie jest ciało. Oznacza ona kontrolowanie umysłu, jedność między ciałem a umysłem; nie po to, żeby zostać atletą, ale by utrzymać ciało w zdrowiu. Ciało to środek transportu, podobnie jak samochód. Powinno być dobrze utrzymywane, żeby dotrzeć do miejsca przeznaczenia. Nie należy jednak mylić celu ze środkiem.

Było oczywiste, że nie ma wiele respektu dla tego, czym się stała joga, ani dla tych, którzy ją dzisiaj praktykują. Wyraził to jasno, mówiąc o zachodniej obsesji pojęcia własności, owej potrzeby określania wszystkiego w kategoriach „ja” i „moje”. Miał zabawny sposób wyjaśniania różnych spraw.

- Wy mówicie: „To mieszkanie jest moje”. Ale jeśli się dobrze przyjrzyście, jego podłoga to sufit mieszkania piętro niżej, a ścianę dzielicie z sąsiadem. Nic nie jest naprawdę wasze. Absolutnie nic... jeszcze mniej wasze ciało. Wiele osób może się upominać o jego własność: wasza matka, wasz ojciec, wasz współmałżonek w oparciu o sakrament małżeństwa, państwo, wobec którego wasze ciało ma obowiązki obywatelskie, sama ziemia, ogień, który utrzymuje was we właściwej temperaturze, woda i warzywa, które jecie. Wszyscy oni mogą powiedzieć: „To ciało jest moje”... Wy sami nic nie posiadacie. Nie jest wasze nawet to, co wiecie. Dostaliście to z książek albo od nauczyciela. A jednak wciąż powtarzacie: „To jest moje ciało”. Wydaje się wam ono tak bardzo wasze, że się z nim

identyfikujecie. Mówicie: „ja” i myślicie o waszym ciele. Ale jeśli „ja” to ten, kto identyfikuje ciało, nie może więc być ciałem. Podmiot, który obserwuje przedmiot-ciało, nie może być ciałem.

Mówił też:

- Joga oznacza być świadomym samego siebie w każdym momencie, być świadomym każdego gestu, każdej myśli.

A kto nie zważa na każdą chwilę swojego życia, ryzykuje, że skończy jak człowiek z historyjki, którą opowiedział z cudowną mimiką.

Pewien człowiek wie, że na świecie istnieje kamień zdolny przemienić przez samo dotknięcie żelazo w złoto. Postanawia go odnaleźć. Przepasuje się w pasie łańcuchem i wyrusza w drogę. Podnosi każdy napotkany kamień i uderza nim w łańcuch. Żelazo pozostaje żelazem, a on wyrzuca kamień. Podnosi następny, uderza i wyrzuca. I tak przez kolejne tygodnie, miesiące - coraz mniej uważnie. Aż któregoś dnia zatrzymuje go jakieś dziecko.

- Ej stary, gdzie znalazłeś ten piękny, złoty łańcuch? Mężczyzna patrzy na łańcuch. Naprawdę stał się złoty!

Ale który z tysięcy podniesionych i odrzuconych kamieni okazał się tym właściwym?

Swami był bardzo krytyczny w stosunku do zachodnich wartości, szczególnie amerykańskich. Mówił, że na Zachodzie wszystko musi być użyteczne, w przeciwnym wypadku nie ma żadnej wartości.

- To jest mentalność sępa, który lata wysoko, ale oczy ma zawsze skierowane w dół, w poszukiwaniu czegoś, co może złapać w szpony.

W gruncie rzeczy cały czas mówił o jodze i chciał, byśmy zrozumieli, że praktyka ta kryje w sobie dużo więcej niż tylko asany i pranajamę. Były to tylko dwa z ośmiu aspektów dyscypliny jogina. Jakby rzucając wyzwanie powadze uczestników, zaczął mówić o pozostałych sześciu: rezygnacji z przemocy, oderwaniu się od spraw materialnych, rezygnacji z fałszu, wyzwoleniu się z oków zmysłów, a także o koncentracji i medytacji. Tylko połączenie tych wszystkich elementów było jogą.

- Joga jest środkiem, drogą, poprzez którą człowiek łączy swoje ograniczone „Ja” z nieskończonym Bytem. To wewnętrzna podróż. Celem jest osiągnięcie doskonałości, jednak nie ma to nic wspólnego ze stanem fizycznym. Joga nie ma leczyć takiej czy innej patologii, takiej czy innej choroby, ale dzięki niej powinniśmy wyzwolić się od wszelkich cierpień świata materialnego, które rodzą się za każdym razem, kiedy odrywamy ją od siebie, aby skupić się na zmysłach i na przedmiotach zmysłów. Dlatego joga dąży do jedności „Ja” z absolutem jako lekarstwem na wszystko, jako wyzwoleniem od wszystkiego.

Praktykujący jogę, którzy przybyli na seminarium, nie wyglądali na specjalnie zainteresowanych taką wizją tego, co jest dla nich przede wszystkim zawodem. Byli tam, żeby nauczyć się czegoś nowego, czym mogliby zareklamować nowy kurs i przyciągnąć nowych uczniów. Taki jest świat, w którym żyjemy. Seminarium traktowali jak inwestycję.

W moim przypadku wyglądało to inaczej. Szukałem czegoś - sam dobrze nie wiedziałem, czego - i byłem bardzo ciekaw tego człowieka, który przybywał wyraźnie z inne; planety. Pewnego dnia,

podczas swojej pogadanki, opowiedział, jak w dzieciństwie matka wysyłała go na pola, żeby rozmawiał z ryżem, który dzięki temu miał lepiej rosnąć. Przypominał sobie przyjemność, jaką odczuwał na widok roślin, które odpowiadały mu, pochylając się lekko na wietrze. Swami miał spójną wizję przyrody i świata.

Interesował mnie jego sposób myślenia i chciałem się dowiedzieć o nim więcej. Poprosiłem o spotkanie. Odpowiedź przyszła na zapisanym odręcznie bileciku: Mam do niego przyjść w sobotę rano po śniadaniu.

Bungalow Swamiego był jak wszystkie inne zbudowany z prefabrykatów, ale jedyny piętrowy. Kiedy przyszedłem, zobaczyłem u podnóża schodów stertę butów, sandałów i pantofli osób, które już weszły na górę. W większości byli to mieszkający w Ameryce Hindusi, którzy przybyli z prośbą o radę, polecenie, błogosławieństwo albo po prostu po to, żeby popatrzeć na niego w uniesieniu. On zasiadł w fotelu. Wśród siedzących na pokrytej wykładziną podłodze osób dostrzegłem też kilku przedstawicieli świata Zachodu.

Usiadłem z boku, obserwując ten nieustanny przepływ ludzi, którzy podchodzili do Swamiego z pobożnością, dotykali go, po czym podnosili do czoła albo do piersi dłoń naładowaną „świętością” guru. Kiedy przed nim stawali, wielu się odzywało. On uważnie słuchał, odpowiadał, uśmiechał się i z koszyka, który miał obok siebie, dawał każdemu coś do zabrania: winogrono, cukierka, mandarynkę.

W pewnej chwili wstał i dał mi znak, abym za nim poszedł, a innym, żeby poczekali. Weszliśmy do małego, prawie pustego pokoju, w którym stały tylko fotel i krzesło. Nie miałem wątpliwości, które miejsce przeznaczone jest dla mnie, ale i tak pocieszające było, że nie muszę siadać u jego stóp.

Pomyślałem, że nie ma dużo czasu, powiedziałem więc w kilku słowach, kim jestem. Wyjawiłem, że zamieszkałem w Indiach w nadziei, iż istnieje tam jeszcze cywilizacja zdolna się oprzeć zachodniemu materializmowi, ale naszyły mnie pewne wątpliwości. Chciałem zrozumieć, czy jego kraj jest naprawdę skarbnicą starożytnej mądrości - jak wielu wierzyło - i czy na dłuższą metę zdoła zachować swą odmienność.

Był tym niezwykle zainteresowany. Rozmawialiśmy o micie Indii jako guru różnych narodów, propagowanym na Zachodzie przed ponad wiekiem przez tak wybitną postać jak mistyk Vivekananda. Mówiliśmy też o niedawnej próbie Delhi z bombą atomową. Powiedziałem mu, że po latach zajmowania się polityką miałem już jej serdecznie dosyć. Teraz chciałem poświęcić się poszukiwaniu tego, co jeszcze może istnieć w Indiach, a z czego reszta świata mogłaby skorzystać.

Powiedział, że postawił przed sobą dokładnie takie samo zadanie. Dlatego też nauczał wedanty, źródła wszelkiej mądrości, której ja szukałem. Dodał, że duchowość indyjska nie jest związana z żadnym narodem ani krajem. Miała wartość dla wszystkich, ponieważ zachowała swoją oryginalność, a także - w przeciwieństwie do religii, takich jak chrześcijaństwo czy islam - nie pozwoliła się zdusić teologii.

Był zaskoczony i rozbawiony moją obecnością w tym miejscu. Zapytał, jak się tu znalazłem. Wymieniłem od końca poszczególne etapy: Ramananda, joga, przepuklina, rak.

Przy tym słowie mnie zatrzymał. Chciał się dowiedzieć więcej, ze szczegółami: gdzie, kiedy, jakie leczenie? Zauważyłem, że w myślach coś oblicza. Potem powiedział, że co roku na wiosnę w swoim aśramie na wzgórzach Anaikatti, w pobliżu Kojambaturu na południu Indii, prowadzi przez trzy miesiące kurs wedanty. Jeśli chcę, mogę przyjechać uczyć się od niego.

W twoim wieku, z twoim życiowym doświadczeniem, mógłbyś na tym skorzystać - powiedział. - Potem skontaktuję cię z lekarzem specjalizującym się w ajurwedzie, który mógłby ci pomóc. - Przerwał, jakby coś przyszło mu do głowy. Wziął kartkę papieru i pióro: - Podaj mi twoją datę urodzenia, miejsce i dokładną godzinę.

Zorientował się natychmiast, że to pytanie mnie zaskoczyło, więc dodał:

Nie jestem prawdziwym astrologiem, ale interesuje mnie astrologia duchowa.

A co to takiego? - zapytałem.

Nie byłem zadowolony. Po podróży opisanej w książce Powiedział mi wróżbita skończyłem z tym światem. Niczym zarazy unikałem wszelkiego rodzaju jasnovidzów oraz astrologów i nie miałem najmniejszego zamiaru zaczynać od początku.

To sposób na zrozumienie duchowej predyspozycji człowieka - odparł Swami. - Wiesz, dobre intencje nie wystarczają. A zważywszy, że wszedłeś na drogę poszukiwań, będzie dobrze, jeśli zerkną na twój duchowy horoskop.

Był to wyraźnie rodzaj egzaminu. Przypomniałem sobie, że również Ramakryszna bardzo starannie dobierał swoich uczniów i sam Vivekananda musiał przejść różne próby, zanim został przyjęty. Taka była tradycja: ewentualny uczeń powinien zostać dobrze sprawdzony. Trzeba było się przyjrzeć jego sposobowi chodzenia, jedzenia, a nawet trawienia. Należało zbadać ciało adepta, żeby zobaczyć, czy ma boskie znaki duchowej predyspozycji.

Swami uciekał się do horoskopu, ale cel był ten sam: zorientować się, czy warto zainwestować we mnie swoją energię. Myśl, że zostałem wzięty pod uwagę jako uczeń, była zabawna. Jakąż to drogę kształcenia przeszedłem! Od Kolegium Prawniczego w Scuola Normale w Pizie, przez Uniwersytet w Leeds w Anglii, po Uniwersytet Columbia w Nowym Jorku. A teraz byłem kandydatem do aśramu - tym razem poddany astrologicznemu egzaminowi wstępnemu!

Swami wezwał asystenta i dał mu kartkę ze wszystkimi szczegółami dotyczącymi moich urodzin. Kiedy drzwi pokoju się otworzyły, usłyszałem szmer ludzi, którzy czekali na niego, siedząc na podłodze. Podniosłem się, żeby odejść. Nie, on nadal miał ochotę rozmawiać o Indiach, o polityce, chciał wiedzieć, co myślę o Chinach, o Pakistanie, o konflikcie w Kaszmirze. Aleja czułem się nieswojo. Byłem pod presją jego rozczarowanych wyznawców. Zapytałem, jak to robi, że jest zawsze taki cierpliwy i otwarty na wszystkich. Przyglądałem się, jak całymi godzinami przyjmował ich i słuchał. Każdy domagał się jego uwagi, czasu.

Swami odpowiedział zdaniem, które było dla mnie decydujące:

- Ja już nie potrzebuję czasu - odparł. - Zrobiłem już wszystko, co chciałem zrobić. Czas, który mi pozostał, jest czasem publicznym. Również ty zbliżasz się do wieku, kiedy możesz poświęcić czas, który ci pozostał, innym.

Mój Boże, jak bardzo by mi się to podobało! Ale byłem od tego tak daleki...

Powiedział jeszcze:

Zobaczysz, z tobą też tak będzie. To kwestia matematyczna. Kiedy odkryjesz, że jesteś całością, nic już nie będzie mogło ci zostać odebrane.

Czy mógł mnie tego nauczyć? A więc naprawdę znalazłem „swojego mistrza”!

Dodał jeszcze coś na temat spokoju, którego należy szukać w nas samych, a nie na zewnątrz, i zakończył:

Dziś wieczorem. Zobaczymy się znów dziś wieczorem po lekcji muzyki.

Kiedy wychodziłem, sala przyjęć wypełniona była po brzegi. Jak zwykle w weekend wiele hinduskich rodzin przyjechało z daleka, pokonując setki kilometrów autostrad. Wszyscy odetchnęli z ulgą, że sobie idę, ale byli też ciekawi, kim jest ten obcy, któremu udało się tak długo przebywać ze Swamim.

Wieczorem poczekałem, aż wszyscy koledzy z kursu jogi wrócą do swoich bungalowów, żeby wyslizgnąć się i ruszyć do siedziby Swamiego. Jodłowy las rozbrzmiewał rechotem żab i śpiewem świerszczy. Chciało mi się śmiać na myśl, że w gruncie rzeczy idę tam, by się dowiedzieć, czy zostałem oblany, czy przepuszczony.

U podnóża drewnianych schodów, gdzie zostawiłem buty, nie było nikogo innego. Swami siedział w swoim fotelu. Czytał z pliku kartek, które trzymał w ręku.

Znakomicie. Znakomicie. To piękny horoskop - powiedział na mój widok, wskazując na wydruk z komputera, gdzie rok po roku zestawione było moje życie w relacji do różnych planet. Uśmiechał się. Był zadowolony, że może mi przekazać „dobrą wiadomość”: - Urodziłeś się bez cieni, bez żadnego ciężaru poprzednich egzystencji. Dzięki temu nadajesz się bardzo do życia duchowego. Możesz nawet zostać przewodnikiem duchowym. Wszystko się zgadza. Nie zrobisz nigdy nic w celach materialnych i w ten sposób możesz teraz przejść ostateczne wyzwolenie.

Był podekscytowany. Przerzucał te kartki w tę i z powrotem, przywołując historię moich decyzji, przełomów, jakie następowały w moim życiu, choroby. Ale ja nie chciałem przywiązywać do tego wagi, nie robiłem notatek. Powiedział, że do końca marca 2006 roku będę czuł się dobrze i że również wtedy nie będzie być może chodziło o moją śmierć. Odrzuciłem nawet myśl, żeby wziąć pod uwagę tę datę. Wolałem skupić się na spotkaniu, które czekało mnie za kilka miesięcy w Indiach. Miałem wówczas rozpocząć kurs wedanty w jego aśramie.

Kiedy wyszedłem z bungalowu Swamiego, noc była jasna i rześka, więc przed snem udałem się jeszcze na długi spacer w lesie między dwiema autostradami.

HONGKONG

W królestwie grzybów

Historia, przynajmniej z daleka, wyglądała na taką, której nie mogłem przepuścić- Stary chiński milioner z Hongkongu zobowiązał się wykorzystać swoje bogactwo, żeby przed śmiercią obdarzyć ludzkość nadzwyczajnym prezentem: lekiem na raka.

Po latach badań i eksperymentów lekarstwo było gotowe. Chodziło o wyciąg z grzyba, który Chińczycy zawsze uważali za cudotwórczy. Od czasów starożytnych pojawiał się w chińskiej sztuce i teatrze wraz z postaciami niektórych bogów, szczególnie „ośmiu nieśmiertelnych”.

W liście zapytałem Mangiafuoco, co myśli o grzybach. Jego odpowiedź była pozytywna.

- Zajmij się tym. To fascynujący temat - odpisał. - Bardzo wielu z nas uważa grzyby za osobne królestwo, w tym sensie, że nie są prawdziwymi roślinami ani też oczywiście zwierzętami. Są właśnie „grzybami”, odrębnym światem, o znanej od wieków, wielkiej mocy leczniczej. W dodatku każdy grzyb ma swoje odrębne cechy i właściwości. Nie zapominaj, że pierwsza penicylina została pozyskana właśnie z nich.

Hongkong był dla mnie drugą ojczyzną. Mieszkałem tam przez osiem lat. Znam wiele osób, mam masę przyjaciół, ale po przyjeździe postanowiłem skupić się na grzybie i unikać całej reszty. Do nikogo nie zadzwoniłem, nie pokazałem się też w FCC - Klubie Korespondentów Zagranicznych. Zatrzymałem się w pokoiku dla uczonych będących przejazdem na Hongkong University. Jest to część miasta, która w porównaniu z resztą najmniej się zmieniła i zachowuje jeszcze trochę romantycznej atmosfery starego Hongkongu, atmosfery z powieści i filmu *Love is a Man-Splendored Thing*.

Tuż przed świtem uliczki dzielnicy wspinające się w stronę Peak zapełniały się cudownymi starymi Chińczykami, mężczyznami i kobietami, którzy zdawali się znaleźć w różnych formach taijiquan - walki z cieniami - znakomitą gimnastykę dla ciała i duszy. Była to największa chwila spokoju w ciągu dnia.

Bez problemu spotkałem się z milionerem. Kazał mi przyjść do swojego biura w Central, handlowym sercu wyspy, skąd kierował swoimi interesami. Miejsce było ascetyczne niemal jak cela zakonna, bez żadnej oznaki bezguścia, któremu milionerzy z reguły nie potrafią się oprzeć. On, osiemdziesięcioletni mężczyzna, był wysoki i szczupły, o pospolitej twarzy, jednak z pewną dozą szczerości.

- Nie chcemy zarabiać, tylko leczyć ludzi - powiedział, jakby chciał odeprzeć zarzut, którego wcale nie wysunąłem. - Życie to nieustanne dawanie i branie. Ja od społeczeństwa wzięłem bardzo dużo. Teraz moja kolej, żeby to zwrócić, zanim odejdę.

Poprosiłem, żeby opowiedział mi o sobie. Szczegóły dotyczące tego, co wzięł od społeczeństwa i w jaki sposób to się stało, sprawiły, że historia jego grzyba jeszcze wypiękniała w moich oczach. Milioner urodził się jako biedak w delcie Jangcy w czasach, kiedy Chiny wstrząsane były walkami wewnętrznymi i wykrwawiane przez panów prowadzących wojny. Dorastał w Szanghaju w okresie okupacji japońskiej. Tam pracował w czasie drugiej wojny światowej, a potem w czasie wojny domowej. Całe jego życie - podobnie jak milionów innych Chińczyków - było nieustanną walką o przetrwanie.

Miał szczęście. Pierwsze pieniądze zarobił, importując z Niemiec igły do maszyn do szycia dla przemysłu włókienniczego, a potem same maszyny. W 1949 roku, w obliczu sukcesów komunistycznych oddziałów Mao, uciekł prawie bez niczego do Hongkongu i postawił wszystko na dwa produkty, które zdawały mu się mieć wielką przyszłość: detergenty i gotowy makaron. Zbił

fortunę przede wszystkim dzięki temu drugiemu, o którym mówił, jakby miał przed sobą wypełnioną nim, dymiącą miskę.

Stary milioner był kupcem, ale nie oszustem. Zaczęliśmy rozmawiać o grzybie. Zapytałem, jak to możliwe, że przy tylu typach raka, z których każdy poddaje się innemu leczeniu, jego wyciąg miałby być lekarstwem na wszystkie. Jego odpowiedź była jasna. Preparat ten nie jest prawdziwym lekarstwem, tylko środkiem wspomagającym, czymś, co wzmacnia system odpornościowy, niezwykle pożytecznym podczas radioterapii albo chemioterapii.

Słowem, rozdmuchana historia cudownego leku, kiedy tylko spojrzano na nią z bliska, od razu oklapła. Pozwoliłem jednak, żeby starzec opowiedział mi ją od nowa. W końcu wcale nie okazała się mało interesująca, tym bardziej że milioner miał do swojego grzybowego ekstraktu taki sam pełen pasji entuzjazm jak do makaronu. W gruncie rzeczy były to dwa produkty, które sprzyjały dobremu samopoczuciu ludzkości.

Wyciąg był rezultatem dwóch równoległych wydarzeń, które w pewnym momencie przypadkowo zbiegły się ze sobą. Jedno z nich dotyczyło go osobiście.

W połowie lat osiemdziesiątych córka jego serdecznego przyjaciela, jednego z wielkich tycoonów Hongkongu, zachorowała. Wożą ją do różnych szpitali na całym świecie, ale diagnoza pozostaje taka sama: nieuleczalna białaczka. Nasz milioner nie może się z tym pogodzić i przyrzeka przyjacielowi, że uczyni wszystko, by mu pomóc. Jest przekonany, że w olbrzymiej farmakopei tysiącletniej tradycji chińskiej musi być - być może zapomniane, zastąpione przez zachodnie lekarstwa - jakieś zioło, będące w stanie wyleczyć takie choroby jak białaczka. Wysyła do Chin kilku swoich emisariuszy; on sam jeździ tam kilkakrotnie w poszukiwaniu cudownego leku, ale nic nie znajduje.

Mniej więcej w tym samym czasie rozgrywa się w Szanghaju inna historia. Stary biolog, profesor jakiegoś drugorzędowego uniwersytetu, z powodu kamieni nerkowych zostaje przyjęty do szpitala zarezerwowanego dla kadr partyjnych. Pokoje są dwuosobowe, umieszczają go więc razem z bardzo ważnym komunistycznym dostojnikiem, operowanym na raka. Ten mówi mu, że jedynie Japończycy mają lekarstwo na jego chorobę. Przy użyciu szczególnego grzyba, który pierwotnie rósł w Chinach, przygotowali już oni skuteczny środek, jednak wyprodukowano go jeszcze niewiele, a formuła pozostaje tajemnicą.

Chiński grzyb? Jaki?

Po opuszczeniu szpitala biolog zabiera się do pracy, próbując go zidentyfikować. W Chinach jest ponad tysiąc trzysta gatunków grzybów. Żeby dotrzeć do tego właściwego, potrzeba lat badań i wielkich nakładów. Biolog pisze do swojego uniwersytetu, do władz Szanghaju, do centralnego rządu w Pekinie, ale nikt go nie słucha, a tym bardziej nie daje pieniędzy... aż do chwili, gdy o jego projekcie dowiaduje się milioner z Hongkongu, spotyka się z nim i oddaje mu do dyspozycji swoje bogactwo.

Efekty nie dają na siebie długo czekać. Grzyb o największej zawartości substancji uznawanej za przeciwrakową zostaje zidentyfikowany. Jest to yun zhi (Grzyb Chmur). Milioner, przekonany, że znalazł cudowny lek, ponagla biologa do wykonania pierwszego wyciągu. Daje go córce przyjaciela, dla której nie ma już żadnej innej nadziei, a ona cudownie wraca do zdrowia.

Milioner i biolog angażują się wtedy w długoterminowy projekt, który dałby ekstraktowi wiarygodność naukową, tak aby można go było produkować na szeroką skalę i oddać do dyspozycji ludzkości.

W swojej opowieści milioner kładł duży nacisk na filantropijny cel całego przedsięwzięcia, które było już realizowane od prawie piętnastu lat. Nie ulegało jednak dla mnie wątpliwości, że w projekcie Grzyb Chmur ważną rolę odgrywał też element nacjonalistyczny. Zarówno milioner, jak i biolog wiedzieli, że tysiącletnia chińska tradycja lecznicza bardzo ucierpiała z powodu wpływów zachodnich, a oni, za pośrednictwem swojego wyciągu, mieli nadzieję przywrócić jej chwałę i siłę.

Pod koniec dziewiętnastego wieku przybyło do Chin wielu zagranicznych misjonarzy. Wielkie amerykańskie fundacje, na przykład Rockefellera, zbudowały zarówno w Pekinie, jak i w innych miastach własne, administrowane przez siebie szpitale, bardzo szybko spychając na margines miejscowe lecznice, w których praktykowano tradycyjną medycynę. Chińska elita coraz bardziej uzależniała się od zachodnich lekarzy, a sam rząd Chiang Kaisheka praktycznie wyeliminował lokalną medycynę, uznawaną za zbyt prymitywną. Odkryli ją na nowo komuniści, a sam Mao, używając jednego ze swoich pamiętnych, prostych określeń, powiedział, że również w tej dziedzinie Chiny muszą iść „na dwóch nogach”,

W Hongkongu, który pozostawał przez ponad pięćdziesiąt lat kolonią, oficjalna medycyna od początku była w rękach lekarzy wywodzących się z angielskich uniwersytetów, a projekt Grzyb Chmur krył w sobie oczywiście także pragnienie przywrócenia prestiżu badaniom i pracy „nie-skolonizowanych”. Stary milioner silnie odczuwał tę potrzebę i nieprzypadkowo opowiedział mi o innym swoim skromnym, ale znaczącym projekcie: opatrzeniem muzyką niektórych wierszy dynastii Tang, tak żeby młodzi mieli coś bardziej wartościowego i chińskiego na swoje wieczory karaoke.

Było jasne, że starcowi nie podobał się kierunek, w jakim podążają zarówno Hongkong, jak i Chiny. Również bliski mu świat biznesu wyzbył się -jak powiedział - skrupułów. Aby chronić swój wyciąg z grzyba, musiał utworzyć Stowarzyszenie Zdrowia, któremu przekazał formalnie monopol na produkt. Obawiał się przy tym, że spekulanci mogą zakupić preparat, żeby go rozcieńczyć, zwiększyć jego ilość, a potem sprzedawać po wygórowanych cenach. Na razie jedynym sposobem, aby go zdobyć, było członkostwo w Stowarzyszeniu - uczyniło to już dwadzieścia tysięcy osób.

Stowarzyszenie otworzyło także trzy ośrodki konsultacyjne dla przypadków, które medycyna zachodnia uważała za trudne lub nieuleczalne. Dla mniej zamożnych porady były bezpłatne. Milioner szukał w Pekinie dobrego, tradycyjnego lekarza, który pokierowałby tymi ośrodkami, ale znalezienie odpowiedniej osoby nastęrczało sporo trudności. Powiedział, że również w Chinach, przy ogólnym pędzie do pieniądza bez liczenia się z czymkolwiek innym, nie można było ufać nikomu ani niczemu. Były osoby zajmujące się akupunkturą zaledwie po dwóch latach studiów, zamiast - jak to się działo niegdyś - po przynajmniej dziesięciu latach praktykowania u wielkiego mistrza. Jeśli chodzi

lekarzy, wielu z nich miało wątpliwe kwalifikacje, natomiast tylko nieliczni poświęcali się długiemu studiowaniu tekstów klasycznych, przyjąwszy jedyną możliwą w tym przypadku postawę - mnicha. W końcu jednak mu się poszczęściło. Znalazł kobietę, która wykształciła się w Pekinie w dawnym stylu, i sprowadził ją do Hongkongu na dwa lata. To ona przyjmowała pacjentów i decydowała o dawkach grzyba potrzebnych w każdym pojedynczym przypadku.

Powiedziałem, że chętnie bym się z nią spotkał, gdyż moje zainteresowanie grzybem ma również charakter bardzo osobisty. Stary milioner zrozumiał. Powiedział, że sam przyjmował codzienną dawkę. Miał mnie umówić na spotkanie z panią doktor na następny dzień.

Zanim się ze mną pożegnał, wezwał swojego sekretarza

uczynił mnie dożywotnim członkiem Stowarzyszenia. Z tą legitymacją będę miał w każdej chwili pierwszeństwo przy zakupie wyciągu i specjalną, dziesięcioprocentową zniżkę.

Sekretarz mi powiedział, że główna siedziba Stowarzyszenia Zdrowia mieści się kilka kroków od stacji metra Tsimshatsui. Musiałem zatem uciec się do tego nowoczesnego i dla mnie mało inspirującego środka transportu, który w kilka minut przemierza pod wodą cieśninę między wyspą Hongkong i lądem, rezygnując z odświeżającego rejsu promem Star Ferry.

Dla ludzi z mojego pokolenia - Chińczyków i obcokrajowców - Star Ferry ze swoimi zielono-czarnymi łodziami, marynarzami w dawnym stylu w granatowych mundurach z białymi kołnierzykami, drewnianymi ławkami o oparciach regulowanych w zależności od kierunku kursu, zapachem oceanu, widokiem na zatokę i na dżonki z żaglami z ceraty, pozostaną symbolem utraconego uroku starej, angielskiej kolonii. Metro, które zastąpiło prom, jest dużo szybsze i wydajniejsze, ale to wciąż tylko metro: duszne, pozbawione zapachu i widoku przyrody, jeden z tysięcy przykładów, jak człowiek zubaża swoje życie, myśląc, że je poprawia.

Metro w Hongkongu jest tak doskonałe, że nawet na odcinku, który pociąg przemierza głęboko pod dnem morza, telefony komórkowe nie tracą zasięgu. Bardzo mnie śmieszyło, kiedy wszędzie wokół mnie w zatłoczonym wagonie nieustannie rozlegały się dzwonki. Miałem wrażenie, że zamiast w metrze o drugiej po południu, znalazłem się raczej w gnieździe świerszczy w środku nocy.

Sekretarz powiedział mi, żebym wjechał schodami przy wyjściu B2, a znajdę się naprzeciw budynku kliniki. Poszedłem za jego wskazówkami, ale pierwszą rzeczą, jaką przy wyjściu na powierzchnię zobaczyłem przed sobą, były trzy wielkie żółwie, które ze związanymi łapami dyndały żywe nad dymiącym kotłem sklepu z chińskimi lekarstwami.

Kiedyś przeszedłbym obojętnie, co najwyżej uznałbym taki widok za egzotyczny. Żyjąc wśród Chińczyków, nauczyłem się, że można jeść wszystko, co się rusza. Próbując ich naśladować, przed niczym się nie wzdragałem: czy to było mięso psa, węża, a raz, podczas podróży do prowincji Yun-nan, nawet pięknego pangolina, którego obdarto ze skóry na moich oczach. Jak się jednak można w życiu zmienić!

Po latach spędzonych w Indiach, gdzie choćby przez osmozę zostałem wegetarianinem, teraz uważałem za nieprzyzwoite, żeby te biedne stworzenia cierpiały tylko po to, żeby reklamować czarny bulion z już ugotowanych, którym napełniano szklanki stojące na ladzie sklepu. Ludzie podchodzili, wypijali, płacili i oddalali się. Szklanka za równowartość jednego euro. Niezbyt wiele za rzadki preparat wzmacniający, cudowny środek przeciw hemoroidom, a zapewne też - jak każda inna chińska mikstura - afrodyzjak.

Budynek, w którym mieściła się klinika Stowarzyszenia, stał po drugiej stronie ulicy. Małeńka winda zawiozła mnie na piąte piętro. Sekretarz milionera już czekał, żeby przedstawić mnie doktor Li Ping.

Kobieta była produktem starych, socjalistycznych Chin. Jednym z ostatnich. Skromna, bez makijażu, o krągłej głowie, z lekko posiwiałymi włosami ostrzyżonymi na chłopaka, miała na sobie sweter i czarne spodnie pod nieskazitelnie białym i wykrochmalonym fartuchem. Jako studentka na pewno nosiła granatowy mundurek Mao i warkoczyk: Daty i liczby mniej więcej się zgadzały. Miała około pięćdziesiątki, a zatem musiała być „czerwonym diabełkiem podczas „rewolucji kulturalnej”, a wstąpiła do prestiżowego Instytutu Tradycyjnej Medycyny Chińskiej w Pekinie, kiedy Wielki Sternik jeszcze żył. Do szkoły tej przyjmowano wyłącznie dzielną, wierną komunistycznym ideom młodzież. Coś z tamtego świata zostało w jej postawie i skromności wyglądu. Na palcu serdecznym miała złotą obrączkę na przegubie zegarek, ale nie jako biżuterię, a tylko przyrząd do kontrolowania czasu.

Przyjęła mnie w małym ambulatorium. Powietrze było przyjemnie ciężkie od balsamicznego zapachu ziół i kory.

które trzech młodzi ludzie w aptece oddzielonej szklaną ścianą siekali i ucierali w moździerzach.

Usiedliśmy na dwóch stoikach, jedno naprzeciw drugiego. Bardzo blisko, jakby nasze ciała miały się komunikować. Kobieta zapytała, co jest nie w porządku, jak się czuję. Notowała wszystko, co mówiłem. Bardzo ją interesowało, jak zareagowałem na chemię i radioterapię. Czy miałem gorączkę, swędzenie, torsje? Czy na skórze wystąpiły plamy? Następnie ujęła moją prawą rękę, oparła ją zwróconą ku górze na swoich kolanach i za pomocą szkła powiększającego zaczęła bardzo starannie obserwować każdy szczegół.

- Nie. Nie czytam pańskiego przeznaczenia - uspokoiła mnie. - Patrzę na stan pańskiego zdrowia. Każda zmiana w organizmie wywołuje zmianę na rękach.

Na rękach?

- Tak. Proszę spojrzeć tutaj - powiedziała, wskazując spinaczem do kartek wzniesienie między linią życia a kciukiem. - Są tu kształty przypominające małeńkie kostki to-fu. To oznacza, że pański żołądek jest słaby.

Szukała dalej i zwróciła mi uwagę, że linia życia kończy się trójkątem,

- Proszę, to znaczy, że miał pan problem z nerkami - powiedziała.

- Gdzie? Po prawej czy po lewej stronie? - zapytałem, zaskoczony tym szczegółem, o którym jej nie wspomniałem.

- Tego nie mogę powiedzieć. Widzę tylko, że jest problem z nerkami - odparła.

- Ale jak to możliwe? To są linie, z którymi się urodziłem, a problem z nerkami miałem dopiero niedawno - nalegałem.

- W liniach dłoni następują zmiany, które pojawiają się w ciągu siedmiu dni; inne, wolniejsze, ujawniają się w ciągu siedmiu miesięcy.

które trzech młodzi ludzie w aptece oddzielonej szklaną ścianą siekali i ucierali w moździerzach.

Potem, wciąż patrząc przez szkło i wymierzając w moją dłoń spinacz, powiedziała:

- Gdyby linia życia kończyła się w tym punkcie, oznaczałoby to, że dobiegło już końca. Tymczasem linia się ciągnie, a zatem ma pan jeszcze dużo do przeżycia. Tak, jeszcze dużo.

Odwróciła moją dłoń i patrząc na jej grzbiet, powiedziała, że zaczynam mieć problemy z tętnicami wieńcowymi.

- Chwilowo to nic poważnego. Badania typu zachodniego by tego nie wykazały, ale należy się na to przygotować. Pana tętnice zaczynają twardnieć.

Na palcu wskazującym dostrzegła mały por, którego ja nigdy nie widziałem.

- Za każdym razem, kiedy są problemy z zębami, nawet z jednym, pojawiają się takie znaki.

Ujęła moje nadgarstki i długo się koncentrowała. Powiedziała, że mój puls jest lekki, a moje qi słabe. Obejrzała język i powiedziała, że pod białym nalotem są dwie rysy, jeszcze jedna oznaka „braku równowagi w żołądku”. Długo oglądała moje uszy i tam też - nie wiem gdzie i w jaki sposób - dostrzegła „zatrzymanie krwi w żołądku”.

Zbadała moją szyję, przejechała po linii węzłów chłonnych, jak uczyniłby to lekarz zachodni, i doszła do diagnozy: mój ogólny stan był dobry, ale miałem słabość w qi oraz zaburzenie równowagi, któremu należało zaradzić.

Według niej to, co lekarze zachodni zrobili ze mną do tej pory, było właściwe. Należało teraz uzupełnić ich terapię chińskimi lekami. Powiedziała, że wyciąg z grzyba jest idealny, żeby podnieść moje qi. Mogę brać trzy pastylki dziennie i kontynuować ewentualnie tę kurację całymi latami, ponieważ nie istnieje żadne niebezpieczeństwo skutków ubocznych.

Piękną, chińską kaligrafią wypisała receptę i przekazała ją do apteki. Cała wizyta trwała pół godziny. Za nią i za pierwszą partię lekarstwa, wystarczającą na miesiąc, zapłaciłem równowartość stu dwudziestu euro.

Z milionerem zobaczyłem się jeszcze parę razy, a on przedstawił mi dwóch uczonych, którzy współpracowali z nim przy projekcie. Jak zwykle od każdego z nich czegoś się dowiedziałem, ale nic nie zmieniło mojego pierwszego wrażenia, że historia grzyba jest bardzo piękna - szczególnie, jeśli patrzeć na nią z daleka. Milioner poznał mnie też z młodym synem biologa z Szanghaju, a on opowiedział mi na temat grzyba rzeczywiście coś istotnego: starą, ludową legendę.

Kiedyś, dawno temu, żył sobie biały wąż, który chciał się stać piękną kobietą. Żeby to osiągnąć, powinien być spełniony jeden warunek. Ktoś musiał się w nim zakochać, a to nie było łatwe. Jednak któregoś dnia jakiś młodzieniec zobaczył węża, wziął go ze sobą i powiedział, że go kocha. Gad natychmiast zamienił się w piękną kobietę, młodzi wzięli ślub i żyli razem szczęśliwie. Ale pewien buddyjski mnich, zazdrosny o ten związek, postanowił rozdzielić parę i zaczął rozpowiadać, że kobieta-wąż tak naprawdę jest diabłem.

Kiedy młody małżonek został poważnie ranny w wypadku, mnich stwierdził, że to ona chciała go zabić. Kobieta była zrozpaczona, ale tylko ona mogła go ocalić. Wiedziała, że w niebie rośnie

cudotwórczy grzyb, zwany właśnie Grzybem Chmur, zdolny wyleczyć każdą chorobę. Jako kobieta nie mogła jednak iść do nieba. Z miłości powróciła zatem do pierwotnego kształtu i jako błyskawica, wąż nieba, prześlizgując się między chmurami, zdołała zdobyć jeden z tych cudownych grzybów, które rosły tylko tam, w górze, i sprowadzić go na ziemię. Młody małżonek natychmiast wyzdrowiał, a grzyb, dzięki kobiecie-wężowi, rozmnożył się, pozostając do dyspozycji ludzi.

Mnich, bardziej zazdrosny niż kiedykolwiek, zastawił na kobietę pułapkę. Uwięził ją, zamknął w skrzynce na datki i zakopał w mieście Hangzhou. Żeby nikt nigdy nie mógł jej uwolnić, nad skrzynką wybudował pagodę, która stała się potem sławna jako Pagoda Lei Feng.

Kiedy cesarz dowiedział się o perfidii mnicha i o tym, że zajmował się on sprawami, które go nie dotyczą, rozkazał go aresztować. Wtedy mnich ukrył się tam, gdzie nikt by go nigdy nie znalazł: w brzuchu kraba żyjącego na polach ryżowych. I tam pozostał, znieawidzony przez wszystkich Chińczyków. Jeszcze dziś, kiedy jedzą jednego z tych skorupiaków, zagląдают do skorupki i pod błonę, która zostaje po wyjęciu mięsa, widzą go na małej wypukłości, wyglądającej rzeczywiście jak obraz starego, wystraszonego mnicha.

W czasach, kiedy zajmowałem się wróżbitami i jasnowidzami, spotkałem w Hongkongu Chińczyka, agenta giełdowego, który wyjaśnił mi, jak odczytywać przeznaczenie ludzi na podstawie rysów ich twarzy. Mój komputer pamięta: numer jego telefonu, więc spróbowałem się z nim skontaktować. Zdziwiło mnie, że go zastałem, a jeszcze bardziej, że podobnie jak ja nie zajmuje się już fizjonomią, ale tym, jak się wyleczyć z raka.

A grzyb milionera? - zapytałem.

Tak, słyszał o nim.

Jeden z wielu - dodał.

Zaproponował, byśmy się spotkali i przeszli razem poi targu z ziołami i kwiatami w dzielnicy Mongkok. Było to pouczające doświadczenie. Na każdym kroku ktoś miał do zaoferowania coś specjalnego, co zostało przywiezione z Chin i było w stanie wyleczyć tę czy inną chorobę. Jeder. taki, który sprzedawał przede wszystkim różę, wśród wielu roślin w plastikowych doniczkach miał też bardzo dziwną obwieszoną jakby małymi kolbami kukurydzy, z których wyrastały bardzo zielone włókna. Z tego, co mówił, była znakomita na cukrzycę. Inny proponował czarne i błyszczące nasiona, przypominające małe łby byka zwieńczone rogami, znakomite na raka płuc. Jeszcze inny miał roślinkę o okrągłych korzeniach w kształcie ula, znakomitych -jak mówił - na raka piersi. Mężczyzna powiedział, że rośnie ona wyłącznie w pobliżu wodospadów.

Ale najdziwniejszą rzeczą, jaką pokazał mi przyjaciel, był pół robak, pół grzyb, którego nazwa oznacza po chińsku „zimną insekt, latem trawa". Na górzystych terenach Chin żyje robak, który podczas zimnych miesięcy hibernuje pod ziemią. Obok niego rodzi się grzyb, który wchodzi w insekta, żywi się jego mięsem, a na wiosnę kiełkuje zielonymi liśćmi, wpadającymi w czerń. Tę pasożytniczą kombinację -powiedział mój przyjaciel - uważano za magiczną, natomiast liście były, według niego, znakomitym lekarstwem na raka nerek. Jego właśnie na to operowano; potem zaczął studiować stare teksty chińskiej medycyny i odkrył, że przed wiekami ową roślinę uznawano za cudotwórczy środek

na wszystkie choroby nerek. Problemem - powiedział - był jej koszt: kilogram tych liści kosztował ponad tysiąc euro, należało zaś je stosować w dużych ilościach. On doszedł do pięćdziesięciu gramów dziennie, które otrzymywało się z około trzydziestu roślinek, długo gotowanych na parze w zamkniętym glinianym naczyniu. Trzeba było następnie wypić odwar i zjeść to, co zostało. Powiedział, że początkowo mikstura wywoływała u niego silny kaszel, ale tylko dlatego, że „oczyszczała płuca”.

Miał już krąg przyjaciół, którzy stosowali tę roślinę i pomagali sobie wzajemnie w regularnym sprowadzaniu jej z Chin. Słyszał, że roślinę tę można też znaleźć w królestwie Bhutanu i że stosuje ją sama rodzina królewska. Ktoś planuje nawet, żeby zacząć ją uprawiać na skalę przemysłową.

Pewnego wieczora stary milioner chciał, żebym zjadł z nim i jego rodziną kolację. Zaprosił mnie do jednej ze słynnych restauracji przy Wellington Street, które zawieszają przy wejściu ociekające tłuszczem pieczone prosięta, natomiast na ulicę wystawiają, jakby to były akwaria, szklane wanny, w których pływają najlepsze ryby, homary i langusty, w oczekiwaniu, aż przechodzący klient powie: „To!”, i zwierzę zostanie wyłowione oraz przyrządzone zgodnie z zamówieniem.

Nieprawdą jest, jak twierdzą niektórzy, że to Biblia poprzez swoją boską zachętę, żeby człowiek się rozmnażał w świecie, nad którym on, tylko on, ma „władzę”, stworzyła przemoc ludzkiej rasy wobec innych stworzeń. Chińczycy doszli do tego samego bez Biblii. Przez tysiąclecia gotowanie każdego zwierzęcia z zastosowaniem wyrafinowanych tortur było częścią ich kultury, której zresztą żadna władza ani ideologia nie odważyła się nigdy przeciwstawić.

Patrzyłem na te piękne ryby w wodzie, na prosięta zawieszane na hakach i myślałem o tym, jak to człowiek, i to nawet niecierpiący nędzy i głodu, zawsze znajdował dziwne usprawiedliwienia dla swojej przemocy w stosunku do innych żyjących istot. Dziś jeszcze dla uzasadnienia corocznej masakry setek milionów kurczaków, jagniąt, świń i krów wysuwa się na Zachodzie argument, że do życia potrzebne są proteiny. A słonie? Skąd one biorą proteiny?

Tego samego rodzaju był argument, za pomocą którego jeden z przyjaciół próbował przekonać Gandhiego, aby porzucił ortodoksyjnie wegetariańską tradycję swojej rodziny. Powiedział mu, że niewielu Anglików było w stanie zdominować miliony Hindusów właśnie dlatego, że jedli mięso. To czyniło ich silnymi. Jedynym sposobem, aby ich pokonać, było zostać jak oni mięsożercami. Tak więc pewnej nocy dwaj przyjaciele idą nad brzeg rzeki i po raz pierwszy Gandhi zjada kęs koziego mięsa, zdradzając w ten sposób wiarę swoich rodziców i całej swojej kasty. Ale czuje się bardzo źle. Nie trawi i za każdym razem, kiedy próbuje zasnąć, wydaje mu się, że słyszy w żołądku beczenie zjedzonej kozy. Opowiada o tym w swojej autobiografii.

Przez całe dalsze życie Gandhi nie tknął więcej kawałka mięsa, nawet w latach swoich studiów w Anglii, gdzie wszyscy mówili mu, że bez tego nie będzie w stanie znieść zimna.

Ja - przez moje wychowanie - nigdy się nie zastanawiałem, czy jestem wegetarianinem, czy też nie. Kiedy byłem dzieckiem, w moim domu jedzenie mięsa było czymś normalnym, jeśli mogliśmy sobie na to pozwolić. Zdarzało się to zwykle w niedzielę. Kiedy Angela i ja przyjechaliśmy w 1994 roku do Indii, obydwójce byliśmy mięsożerni i trwało to jeszcze przez jakiś czas.

Raz w tygodniu pojawiał się w drzwiach naszego domu muzułmanin z nieskazitelną walizką, z której wyciągał zakrwawione paczki z wołowymi polędwicami i befsztykami. Pewnego dnia Dieter, nasz

niemiecki przyjaciel, fotograf, pokazał mi na ulicy stado krów otaczających śmietnik z zamiarem zjedzenia plastikowych toreb, kartonowych pudełek oraz gazet, i powiedział:

- Oto, co jesz wraz z pięknym mięsem, dostarczonym przez twojego muzułmanina. I pomyśl o ołowiu z całego tego zadrukowanego papieru!

Miał absolutną rację. Choć nasz muzułmanin pozwalał sobie na ubój krów, które wyznawcy hinduizmu uznają za święte, na pewno nie miał specjalnego pastwiska ze świeżą trawą, na które mógłby posyłać swoje ofiary. To, co nam przynosił, było kawałkami słabowitych krów z ulicy, odżywiających się odpadkami.

To był bodziec, żeby przestać jeść mięso. Potem, z upływem czasu, zdałem sobie sprawę, że nie traktując już zwierząt jak pożywienie, zacząłem inaczej na nie patrzeć i postrzegać je coraz bardziej jako inne żyjące istoty, jako na swój sposób część tego samego życia zaludniającego i budującego świat. W tej chwili odrzuciłem już sam widok befsztyka, zapach przyrządzanego mięsa wywołuje mdłości, natomiast myśl, że ktoś może hodować zwierzęta tylko po to, żeby je zabijać i zjadać, sprawia mi ból.

Doskonale „racjonalny” sposób, w jaki my, ludzie, hodujemy zwierzęta po to, by je zabijać - obcinając ogony świniom, tak żeby te idące z tyłu nie odgryzały ich tym z przodu, natomiast dzioby kurczakom, aby, oszalałe z niemożności poruszenia się, nie atakowały innych - stanowi znakomity przykład barbarzyństwa rozumu.

Ale przecież również warzywa to życie! - słyszę od zagorzałych mięsożerców, głuchych na wszelkie argumenty, jakby przy zrywaniu pomidora sprawiało się roślinie taki sam ból, jak przy duszeniu kurczaka, albo jakby można było posadzić z powrotem udziec jagnięcy tak, jak sadi się kapustę lub sałatę. Warzywa są po to, żeby je jeść. Zwierzęta nie! Najbardziej naturalnym pożywieniem dla człowieka jest to wyprodukowane przez ziemię i słońce.

Milioner nie nadchodził. Patrzyłem na prosięta i pytałem w duchu tych, którzy mieli je zjeść: „Czy słyszeliście kiedykolwiek krzyki dochodzące z rzeźni?”. Trzeba, żeby wszyscy je usłyszeli, zanim wbiją widelec w befsztyk. W każdej komórce tego mięsa jest potworność tej przemocy, trucizna tego nagłego, ostatniego strachu umierającego zwierzęcia. Moja babcia była, jak wszyscy, mięsożerna, ale pamiętam, że mówiła, aby nigdy nie jeść dopiero co ubitego mięsa. Trzeba było poczekać. Dlaczego? Być może starzy ludzie wiedzieli, jaki to ból wkładać sobie do brzucha czyjąś agonię. Przecież to, co eufemistycznie nazywamy mięsem, to tak naprawdę są kawałki zwłok, części nieżyjących, zamordowanych zwierząt. Dlaczego robić z własnego żołądka cmentarz?

Jeśli nadarzy się okazja, Angela wciąż jada mięso. Dla mnie to niemożliwe. Ale nie jest to już kwestia zdrowia, pochłaniania ołowiu z gazet przeżuwanymi przez krowy na ulicy. To problem moralny. Oto mały, piękny sposób zrobienia czegoś przeciw przemocy: postanowić nie jeść więcej innych żyjących istot.

W końcu pojawił się milioner ze swoimi dwiema córkami i innymi zaproszonymi osobami, przerywając moją samotną i bezskuteczną obronę tych biednych ryb, które jeszcze przez chwilę miały pływać w chłodnej wodzie.

Kierownik restauracji wyszedł nam naprzeciw, prowadząc nas do prywatnej salki, w której przygotowano duży, okrągły stół. Szepnąłem mu na ucho, że jestem wegetarianinem. Znał ten przypadek: mam się nie martwić.

Kiedy siadaliśmy, młodsza córka milionera, którą posadzono obok mnie, zdawała się niezadowolona z przygotowanej zastawy, bo obok pałeczek z kości słoniowej i porcelanowej łyżki natychmiast położyła dwa włączone telefony komórkowe, które od czasu do czasu uczestniczyły w naszej rozmowie. Zauważyłem, że starzec, podobnie jak ja, nie jest z tego zbyt zadowolony, ale nawet on, mimo całego swojego bogactwa, nie mógł zatrzymać niszczycielskiej fali nowości.

Zawiadomił mnie, że następnego dnia w jednym z centrów handlowych komunistycznych Chin w Hongkongu rozpoczynają się wielkie targi medycyny tradycyjnej. Zasugerował, żebym poszedł rzucić tam okiem, przestrzegając mnie jednocześnie przed produktami nie zawsze naturalnymi czy też przebadanymi, które mogą znaleźć się tam w sprzedaży.

Poszedłem. W ogromnej, jasno oświetlonej sali stały ustawione w wielu rzędach dziesiątki małych kiosków, w których przedstawiciele starych kadr partyjnych przeistoczyli się - niektórzy dosyć niezdarnie - w biznesmenów. Byli tam również młodzi yuppies z Szanghaju oraz oficerowie na służbie, którzy także prezentowali jakieś nowe produkty farmaceutyczne sił zbrojnych oraz ich najróżniejszych przedsiębiorstw handlowych. Cała sala była znakomitym przykładem tego wszystkiego, czym stały się Chiny: interesowne, rutyniarские i - jak podpowiedział stary milioner - niezbyt godne zaufania.

W ciągu godziny kieszenie wypełniłem wizytówkami oraz próbkami całej masy różnych lekarstw, wszystkich nastawionych jednak mniej więcej na rozwiązywanie dwóch problemów: leczenia raka i podnoszenia męskiej potencji.

Myślałem, że jestem na sali jedynym cudzoziemcem, kiedy dostrzegłem innego mężczyznę, zbierającego wszystkie możliwe materiały. Powiedział, że jest ekspertem medycyny chińskiej i że uczy na jednym z angielskich uniwersytetów. Według mnie szpiegował tam na rzecz jakiejś wielkiej, zachodniej spółki farmaceutycznej, która nie chciała przegapić możliwości położenia łapy na ewentualnym prawdziwym odkryciu.

Rozmawialiśmy przez chwilę i na koniec zapytałem go, czy Chińczycy wymyślili coś lepszego do wyleczenia raka od tego, co ma do dyspozycji medycyna zachodnia.

Nie - odparł. - Nie ma nic. Ale są znakomite integratory. Gdy opuszczałem targi, zobaczyłem, jak z pobliskiego budynku wyległa grupa Chińczyków całkowicie różnych od tych, których dopiero co opuściłem. Ci byli bladzi, chudzi i na swój sposób opętani.

Kim jesteście? - wyrwało mi się spontaniczne pytanie.

Falun Gong. Falun Gong - odpowiedzieli chórem.

Zakończyli właśnie dwudniowy międzynarodowy zjazd, mający na celu „wymianę doświadczeń”.

Czytałem o Falun Gong, mistycznym ruchu, założonym w północno-wschodnich Chinach przez Li Hongzhięgo, dawnego komunistycznego urzędnika, zaledwie w 1992 roku, ale mającym już kilka milionów wyznawców w całym kraju. Wiedziałem, że rząd w Pekinie wziął ich na cel i poddał ostrym represjom, że komunistyczne służby bezpieczeństwa oskarżały adeptów o przynależność najpierw do

„nielegalnej organizacji", a potem do „diabolicznego kultu dotarło do mnie, że dziesiątki tysięcy z nich zostało aresztowanych, że wielu poddano torturom, niektórych zamordowano, a innych umieszczono w więziennych zakładach dla obłąkanych, ale nigdy nie miałem z nimi bezpośredniego kontaktu. Poprosiłem, aby ktoś ze mną porozmawiał i wy a śnił mi ich koncepcje.

Odpowiedzieli, żebym nazajutrz rano przyszedł do ogrodu publicznego Kowloon „poćwiczyć" z nimi.

Opuściłem mój uniwersytecki pokój o piątej trzydzieści rano. Panowały kompletne ciemności, ale w ciszy dobiegały już głosy i od czasu do czasu śmiech tych, którzy wspinali się na wzgórze, żeby odbyć swoje ćwiczenia: piękni ludzie brzasku, którzy potem mieli się rozpuścić w anonimowym tłumie rozpoczynającego się dnia.

Taksówka zawiozła mnie na stację metra, które przemykając pod ziemią i pod wodą zatoki, w ciągu piętnastu minut wysadziło mnie przed wejściem do parku Kowloon. Wyznawcy Falun Gong spotykali się na cementowym placu wokół wielkich donic z kwiatami. Stałem z boku, żeby ich obserwować. Przychodzili, zdejmowali buty, rozkładali na ziemi kawałek plastiku albo gazety, siadali na nim w pozycji lotosu i koncentrowali się z zamkniętymi oczami.

Jedna z kobiet, najwyraźniej wyznaczona przez grupę, ustawiła na jednej z donic magnetofon i włączyła kasetę z chińską muzyką oraz głosem, który powoli i sugestywnie kierował ruchami ćwiczących. Kobieta dostrzegła mnie, wprowadziła do grupy i zaczęła uczyć różnych ćwiczeń, które miałem wykonywać najpierw stojąc, a potem siedząc. Były bardzo podobne do ćwiczeń qigong: ręce nad głową, potem na wysokości oczu, następnie przed brzuchem, aby podtrzymywać wyobrażoną kulę ziemską.

Ćwiczenia trwały ponad pół godziny, po czym około dwustu uczestników, wśród nich wiele kobiet i kilku cudzoziemców, podzieliło się na grupy, żeby czytać dzieła Mistrza Li. Każda grupa w innym języku: mandaryńskim, kantońskim, angielskim. Mała grupka czytała po szwedzku. Było to dwunastu delegatów przybyłych ze Sztokholmu, żeby „podzielić się doświadczeniami". Na ich czele stał mechanik z elektrowni jądrowej. Pierwszy raz usłyszał o Falun Gong od kobiety zajmującej się akupunkturą; stał się wyznawcą i dał do tłumaczenia wszystkie pisma Mistrza Li. Powiedział, że w Szwecji jest już kilkuset jego wyznawców.

Gdy poszczególne grupy dyskutowały o tym, co przeczytały, kobieta, którą najwyraźniej zobowiązano, żeby pomogła mi zrozumieć Falun Gong, przysiadła się do mnie. Była - jak wszyscy pozostali - prostolinijna, skromna, nierzucająca się w oczy. Pani Hui miała około czterdziestu lat, jej mąż był inżynierem zatrudnionym przez rząd Hongkongu. Zaczęła od podarowania mi dwóch książek mistrza. Chciałem za nie zapłacić, ale okazało się to niemożliwe.

Między nami nie może być wymiany pieniędzy - powiedziała.

Pani Hui praktykowała dopiero od dwóch lat. Usłyszała o Falun Gong od przyjaciółki. Zdobyła książkę, przeczytała i jej życie uległo zmianie. Nagle stała się bardziej witalna, uduchowiona. Wcześniej była chrześcijanką, ale nigdy nie zdołała żyć zgodnie z nakazami religii. Kochaj bliźniego swego jak siebie samego. To niewykonalne, jeśli jest się chrześcijaninem. Teraz, gdy przystąpiła do Falun Gong, było to dla niej łatwe.

Dlaczego?

Ponieważ praktykowanie Falun Gong to przede wszystkim przyswojenie cech świata, aby wejść z nim w harmonię - odparła. - Harmonia to prawo wszechświata. Najprostsza rzecz jest największa. - Mówiąc to, złożyła dłonie w kształt piramidy i wskazała na szczyt jako punkt docelowy, w którym wszystko się skupia. - Naszą siłą jest prostota. Dlatego możemy rozwijać się dużo szybciej niż ci, którzy kroczą innymi drogami. Nie mamy organizacji ani listy członków. Nie mamy biur, urzędników ani kapłanów. Informacje przekazujemy sobie ustnie; co najwyżej przez telefon komórkowy. Każdy jest wolny. Wszystko robimy dobrowolnie. Rząd chiński twierdzi, że jest nas już sto tysięcy. Nie wiem, czy to prawda, ale to też się dla nas nie liczy. Nie jesteśmy do niczego przywiązani.

Zapytałem, dlaczego są represjonowani przez reżim w Pekinie.

- Komuniści nas prześladowają, ponieważ zrozumieli, że nie zajmujemy się wyłącznie ćwiczeniami fizycznymi. Pojęli, że interesuje nas tajemnica wszechświata, że chcemy wyjść poza czas i przestrzeń. Komuniści wierzą tylko w to, co widzą, a nienawidzą nas, bo zrozumieli, że my dostrzegamy nie tylko rzeczy, że żyjemy w innych wymiarach.

Pani Hui wyjaśniła mi, że podczas wszystkich swoich demonstracji, często spontanicznych i milczących, które odbywają się również w centrum Pekinu, domagają się tylko swobody publicznego wykonywania swoich ćwiczeń oraz możliwości drukowania dzieł Mistrza Li. Już musieli przenieść swoje wydawnictwo do Singapuru z Hongkongu, gdy ta kolonia angielska znów się znalazła pod kontrolą komunistycznych Chin. Ale nawet to - jak powiedziała - ich nie zniechęciło. Nic - zapewniła mnie - nie mogło ich powstrzymać.

- Cywilizacja ludzka przechodzi wielki kryzys. Jedynym sposobem na wyjście z niego jest praktykowanie przez jak największą liczbę osób fa, prawa powszechnej harmonii. My, którzy już to robimy, zamierzamy osiągnąć oświecenie w tym życiu, aby nie musieć się rodzić na nowo. Nie mówimy o tym publicznie, bo ludzie wzięliby nas za wariatów. Jednak nie ulega dla nas wątpliwości, że jeśli jesteśmy tu dzisiaj, to dlatego, że w różnych poprzednich życiach próbowaliśmy, staraliśmy się i w końcu stanęliśmy u celu. Nasz Mistrz Li bardzo nam w tym pomaga. To on dał nam narzędzia i wskazał rozwiązanie.

Zwróciłem pani Hui uwagę, że Mistrz Li to byty urzędnik komunistyczny niskiej rangi, który - być może zaniepokojony tym, co rozpętał w Chinach - w 1996 roku uciekł do Ameryki. Żył tam teraz spokojnie z żoną i córką z wpływów ze swoich książek, które były zbieraniną dawnych myśli taoistycznych, starych praktyk ezoterycznych, buddyzmu i wielkiej ignorancji. Nie pokazywał się, nie udzielał wywiadów, nie wysyłał wskazówek swoim wyznawcom. Wyglądało to tak, jakby sam skończył z Falun Gong.

- Pan Li interesuje nas nie jako człowiek, lecz jako nauczyciel - odparła, zupełnie nieobrażona. - Jeśli chodzi

książki, są punktem wyjścia. Liczy się regularna, codzienna praktyka. Celem jest oczyszczenie się ze wszystkiego, co negatywne. - Mówiąc to, zrobiła gest, jakby coś brudnego wychodziło z jej skóry i ulatywało do nieba. - Dążymy do podniesienia poziomu moralnego ludzkości.

Było coś patetycznego, ale jednocześnie wzruszającego w tej kobiecie. Pani Hui odzwierciedlała niepokój, który już znałem, niepokój tych wszystkich, którzy - jak anestezjolog z Nowego Jorku, który został sufim z Kaszmiru - pragną dodać coś wielkiego do swojej małej egzystencji, coś, czego nie można kupić, a tylko zdobyć, coś, co nie należy do świata materii, tylko ducha.

W dodatku w dzisiejszych nowoczesnych społeczeństwach, w których każdy żyje coraz bardziej odseparowany

oddzielony od bliźniego, pociągająca staję się przynależność do czegoś, zaangażowanie wraz z innymi w jakiś projekt o rozmiarach globalnych. W zjawisku Falun Gong należy też brać pod uwagę to, co moim zdaniem jest jedną z największych tragedii naszych czasów: upadek chińskiej cywilizacji - najpierw śmiertelnie zranionej przez marksistowski materializm, a potem zmiecionej przez jeszcze bardziej niszczyielski rabunkowy kapitalizm.

Stare Chiny były złożonym społeczeństwem, utrzymującym spójność dzięki konfucjańskim wartościom porządku i hierarchii, od których człowiek mógł jednak zawsze uciec, wkraczając na mistyczne ścieżki taoizmu i buddyzmu. Nowe, obecne Chiny charakteryzuje pogoń za pieniądzem i egoizmem. Nawet owe nieliczne wartości socjalistyczne, które usiłował zasiać maoizm, uschły. Falun Gong jest także reakcją na tę sytuację. To nie przypadek, że pani Hui, chcąc dać przykład, jak ona sama stała się lepsza dzięki praktykowaniu Falun Gong, opowiedziała o czymś, z czego Chiny nie zrezygnowały przez tysiąclecia z miłości synowskiej.

- W społeczeństwie chińskim - powiedziała - starcy zawsze mieszkali z młodymi. Aleja przyjąłem wzorce zachodnie i chciałam mieć swobodę. Nie życzyłam sobie, żeby moja matka, gdy owdowiała, zamieszkała ze mną. Myślałam, że moje życie prywatne jest skarbem, którego należy bronić. Jednak pewnego dnia, kiedy zaczęłam praktykować Falun Gong, zdałam sobie sprawę, że ten skarb jest bez wartości, że nie powinnam się do niego przywiązywać, i postanowiłam zabrać matkę do siebie. To mnie zmusza do analizowania każdego swojego postępowania.

Wśród wielu innych spraw interesował mnie stosunek praktykujących Falun Gong do swojego ciała i choroby, ponieważ pierwotnie również oni od tego wyszli.

Li Hongzhi został Mistrzem, prowadząc kursy qigong, żeby utrzymać się w zdrowiu. Podczas pierwszych lekcji w 1992 roku „dotknął” wiele osób i „uzdrowił” je z różnych chorób. Potem jednak oznajmił, że nie będzie tego więcej robił. Chęć wyzdrowienia - powiedział - była błędnym sposobem zbliżenia się do Falun Gong. Uważał ją za formę „przywiązania”, którą należało przezwyciężyć.

- Tak. Mistrz uczy nas, abyśmy nie przywiązywali wagi do chorób - wyjaśniła pani Hui. - Nawet jeśli mamy objawy, powinniśmy je lekceważyć. U wszystkich chorych są one takie same. To nasza postawa w stosunku do tych objawów jest odmienna. I to właśnie się liczy.

Mistyczne sekty, takie jak Falun Gong, były zawsze obecne w chińskim życiu, szczególnie w czasach przemian i kryzysu wartości. Sekty te, zazwyczaj ezoteryczne i tajemne, odgrywały często ważną rolę polityczną, dawały początek wielkim buntom, jak powstanie tajpingów w dziewiętnastym wieku. I to właśnie z powodu tej siły, która nie zna rozsądku, rządzący zawsze się ich obawiali. Na przykład Sekta Złotego Kwiatu stała się tak bardzo wpływowa, że rząd cesarski w Pekinie w 1891 roku dokonał masakry piętnastu tysięcy jej adeptów. Było to ostrzeżenie dla innych, by nie mieszcili się w sprawy państwa.

Święty tekst owej sekty, który bardzo zainteresował psychologa Carla Junga i z którego bez wątplenia czerpał Mistrz Li, formułując pewne swoje teorie, miał zostać pierwotnie przywieziony do Chin przez

pierwszych chrześcijan nestoriańskich. Następnie został wzbogacony o elementy konfucjańskie, buddyjskie i przede wszystkim taoistyczne.

- Wszystko jest przejściowe - uczone adeptów - poza Złotym Kwiatem, który rośnie na wewnętrznym gruncie oderwania od spraw świata.

W każdym okresie wielkiego kryzysu Chińczycy pozwalali, żeby rozkwitło wśród nich coś, co ożywi wiarę w wartość ducha. Falun Gong zdawało mi się mieć taki właśnie sens w aktualnej, pełnej chaosu sytuacji kraju.

Patrzyłem na osoby w parku Kowloon, jak składają swoje plastikowe maty i chowają porządkie do plecaczków; obserwowałem, jak włączają komórki i wkraczają w inny, normalny dzień życia dzisiejszego Hongkongu. Byli zwyczajni, może trochę zagubieni, ale zdeterminowani, gotowi nawet na męczeństwo i dlatego tak bardzo obawiali się ich komuniści, którzy wierzą tylko w siłę materii.

Pod koniec mojej wizyty w Hongkongu najbardziej utkwiło w mojej świadomości to, czego nie szukałem: ludzie z Falun Gong. Poruszyła mnie ich determinacja granicząca z szaleństwem. W sprawie grzyba indagowałem zbyt wiele, zadałem za dużo pytań i otrzymałem za dużo odpowiedzi. Za bardzo zbliżyłem się do milionera i jego ludzi. Z bliska cudotwórczy ekstrakt wydał mi się jedną z wielu - czasem znakomitych - chińskich rzeczy, które mogą działać dobrze na wszystko i na nic.

Jednak nie straciłem czasu. Również wyciąg z Grzyba Chmur nie był bezużyteczny. Po powrocie do domu przekazałem trzymiesięczny zapas, który zakupiłem ze zniżką dla członka Stowarzyszenia Zdrowia, przyjacielowi właśnie w owej chwili potrzebującemu nadziei.

W królestwie grzybów

Opowiedziałem mu tę historię, tak jak wyglądała ona z daleka. Dodałem do tego legendę o kobiecie-wężu i jej miłości. Jestem pewny, że czerwone kapsułki zamknięte w dobrze opieczętowanych fiolkach opatrzonych chińskimi napisami bardzo mu pomogły.

Jeśli o mnie chodzi, miałem teraz naprawdę dość szukania nowych lekarstw. Byłem zadowolony, że muszę pozostać przez trzy miesiące w miejscu oddalonym od wszystkiego.

Czekało mnie teraz spotkanie ze Swamim w jego aśramie w Kojambaturze.

INDIE

Bezimienny

Wiedziałem, że kiedy przyjdzie kolej na mnie, bym mówił, będzie to okazja do zrzucenia z siebie wielkiego ciężaru.

Nie miałem nic strasznego do wyznania. Powinienem się tylko przedstawić, ale postanowiłem uczynić to, nie odwołując się w żaden sposób do „ja”, którym byłem kiedyś, i to wydało mi się wyzwoleniem.

Odnosiłem wrażenie, że moje nazwisko, moja praca, narodowość - te wszystkie informacje, które wykorzystałbym kiedyś przy przedstawianiu się - nie odnosiły się już do „mnie”. Nie rozpoznawałem się w tych strzępach tożsamości. Czułem się w nich usidlony. Oczywiście, były częścią mojego życia, którym się cieszyłem, ale stanowiły również fragmenty życia, które doprowadziło mnie najpierw do depresji, a potem do całej reszty. Pozostawienie tego wszystkiego za sobą, żeby ruszyć w stronę czegoś całkowicie nowego, było więc ulgą.

„Nowe” już się zaczęło i - niech to licho! - jak się różniło od tego wszystkiego, co było „moje” do tej pory!

Byłem śiśja (kimś, kto zasługuje, by studiować) w aśramie (pustelni) na południu Indii. Mieszkałem w spartańskim pokoiku z pryczą, stolikiem i metalowym stołkiem. Siedząc na ziemi w wielkiej sali, jadłem rękami z talerza ze stali nierdzewnej, na który nakładano mi z wielkich kotłów dwie chochle jakiejś ściśle wegetariańskiej papki. Studiowałem święte indyjskie teksty. Pobierałem lekcje sanskrytu, oryginalnego języka, w którym od kilku tysięcy teksty te przekazywano. Choć byłem pozbawiony słuchu, próbowałem się także nauczyć śpiewać hymny wedyjskie i mantry - magiczne formuły, za pomocą których wzywa się pomoc boską, żeby pokonać przeszkody na drodze Poznania.

Teraz chodziło o to, aby wyjaśnić moim kolegom śiśja, jak się tam znalazłem. Miałem ich przed sobą około setki: mężczyzn i kobiet w różnym wieku, z których większość ubrana była całkowicie na biało, znieruchomiałych w pozycji lotosu. Siedzieli na swoich matach w wielu równoległych rzędach i patrzyli na mnie. Obok siebie miałem bardzo chudego starca, całkowicie owiniętego w pomarańczową tunikę, która okrywała mu również głowę, obramowując jego ciemną twarz i długą, białą brodę. Był to Swami, mistrz, którego spotkałem kilka miesięcy wcześniej na kursie jogi i dźwięku w Pensylwanii. Siedział skulony na fotelu i - zwrócony do zebranych - uśmiechał się, gładząc sobie stopy. Przez okna i otwarte na oścież drzwi tej wielkiej sali-auditorium, w której my, śiśja, spędzaliśmy większą część dnia, wpadał jak zwykle przyjemny, ciepły, wieczorny wiatr. Aby niemal metalowy szum palm nie zagłuszał słów osoby, którą Swami prosił o przedstawienie się, do dyspozycji mówiących był mikrofon.

Zastanawiałem się, co powiedzieć. Byłem świadomy faktu, że nie da się zidentyfikować dokładnie powodów tego, co się nam zdarza - i tego, co robimy - ponieważ istnieją tysiące nieodczynnych, niedających się wytropić zbiegów i okoliczności, prowadzących do danego wydarzenia. Oczywiście, wśród bezpośrednich przyczyn mojego przyjazdu do aśramu była choroba, pragnienie lepszego zrozumienia Indii, a także chęć poddania się próbie; ale przede wszystkim przekonanie, że nasze życie jest nieustannym przymusem, że poruszamy się wciąż w ścisłych granicach tego, co jest oczywiste, dozwolone, przyzwoite; i że w gruncie rzeczona scenie społeczeństwa odgrywamy tylko role, wierząc w dodatku, iż jesteśmy postaciami komedii, a nie aktorami. Chciałem doświadczyć czegoś odmiennego.

Również ja, choć moja egzystencja była bardziej nietypowa i burzliwa niż przeciętnego człowieka, żyłem - jak wszyscy - w narzuconych sobie samemu granicach tego, co przewidywalne. Przez trzydzieści lat wcielałem się posłusznie w rolę syna, męża, ojca, przyjaciela, dziennikarza, podróżnika i kogo tam jeszcze. Były to role, maski, które zresztą sprawiały mi też radość. Aleja? I właściwie który ja? Tamten młody, nieśmiały, który się czerwienił i walczył ze łzami i wzruszeniem? Czy ten późniejszy, dojrzały „międzynarodowy dziennikarz”, zawsze trochę zdumiony tym, że świat wielkich, do którego nigdy tak naprawdę nie przynależał, bierze go na poważnie? Tak wielu „ja”, z których

zresztą wszyscy byli bardzo zmienni, nietrwali. I żadnego Ja". Już na pewno ani jednego, z którym czułbym się dobrze.

Teraz chciałem wyjść z tych wszystkich ról, chciałem wyskoczyć z zaczarowanego kręgu tego, co znane, zejść z piedestału tradycyjnych pewników. Pragnąłem oddychać bez maski. To, co kiedyś zdawało mi się ważne, teraz już takie nie było. a uganiecie się za tym z taką determinacją wzbudzało we mnie tylko uśmiech.

Jako „aktor” odniosłem sukces, ale instynktownie czułem, że nie mogę na tym poprzestać. Musiałem iść do przodu, dalej... poszukiwać, jak to się mówi, choć nie wiadomo dokładnie, czego. Ale może właśnie o to chodzi, bo gdyby było wiadomo, czego szukać, pozostawałoby się zawsze w kręgu znanego i nigdy nie odkryłoby się niczego nowego.

W owym czasie miałem tylko niejasną tego świadomość, ale najgłębszą przyczyną, która przywiodła mnie do aśramu, było dążenie do odbycia nowego typu podróży: do środka, nie na zewnątrz. Jej celem nie był jakiś fizyczny punkt na mapie, ale miejsce w umyśle, stan ducha, odnalezienie spokoju wewnętrznego i w stosunkach ze światem, którego pragnąłem bardziej niż cegokolwiek innego. W tym właśnie, w owym spokoju - czułem to instynktownie - kryło się również prawdziwe lekarstwo na trapiącą mnie chorobę, a być może również na różne dolegliwości - nie tylko fizyczne - dotykające dzisiaj tak wiele innych osób.

Wziąłem do ręki mikrofon i w ciągu kilku minut zdołałem wyjaśnić, o co mi chodzi. Powiedziałem, że jeśli rzeka, do której wchodzi się jedną nogą, nie jest już tą samą, do której, wkłada się drugą - ponieważ woda wciąż płynie - również siedzący przed nimi człowiek nie może już być tym samym który przed kilkoma dniami przybył do aśramu, a tym bar dziej osobą sprzed kilku miesięcy czy lat. Tamten człowiek już nie istnieje. Nie ma co zatem próbować o nim mówić.

Powiedziałem, że nie chcę już odwoływać się do tego, kim byłem, jak do wymiennej waluty, do tego, co zrobiłem albo czego nie zrobiłem, jak do miary wielkości czy też zwykłej przyzwoitości. Nie chcę już mówić o sobie w czasie przeszłym, a tylko w teraźniejszym. Całe życie strawiłem na usiłowaniu wyrobienia sobie nazwiska. Teraz chcę pożyć bez niego. Próbuję się nie powtarzać, stać się kimś innym. Zdaję sobie sprawę, że nie jest to prosta sprawa i że będę musiał ciężko nad sobą pracować. Na początek zobowiązywałem się zachować milczenie: przez tydzień nie będę mówił. Liczę na ich pomoc. Niech nazywają mnie Ānam - Bezimienny.

Kiedy oddawałem mikrofon Swamiemu, chciało mi się śmiać. On też się śmiał. Poczulem, jak ze strony widowni śiśjich dociera do mnie fala sympatii. To tylko wzmogło uczucie lekkości, z jaką opuszczałem scenę. Miałem wrażenie, że zrzuciłem z pleców worek, który dźwigałem przez lata, i dopiero teraz odkryłem, że wypełniony był brukowcem, a nie drogimi kamieniami. „Ja”, cóż za bezużyteczny ciężar! Naprawdę się sobą zmęczyłem - tą postacią, którą musiałem bez przerwy za sobą ciągnąć i prezentować publicznie. Ileż to razy w samolocie, w pociągu, na kolacji w domu jakiegoś dyplomaty albo na przyjęciu u jakiegoś ministra z poczucia przymusu, od którego nie potrafiłem się uchylić, musiałem opowiadać po raz enty te same zabawne anegdoty z mojego życia, wyjaśniać, dlaczego jako Włoch piszę dla niemieckiego tygodnika „Der Spiegel”, dlaczego aresztowano mnie w Chinach albo co myślę o kraju, w którym właśnie mieszkam! A wszystko po to, żeby kogoś zabawić, żeby być sympatycznym.

Tak bardzo się śmiałem z Japończyków, z ich Ja" połączonego z tym, co napisane jest na meshi, ich wizytówkach, gdzie pod nazwiskiem - i jako od niego ważniejsze - wymienione są tytuł i pozycja, jaką zajmują w swoim przedsiębiorstwie. A przecież sam zachowywałem się identycznie. Aby mnie poważano, aby nie odsunięto mnie na bok, ja także przedstawiałem swoją wizytówkę - tyle że odegraną, a nie drukowaną: moją tożsamość, od której zdawałem się tak bardzo zależeć.

A tożsamość, jakby to był delikatny przyrząd, wymagała utrzymania, musiała być polerowana, trzeba jej było zmieniać olej. Należało dbać o każdy jej aspekt: uczesanie, ubranie, sposób przedstawiania się, telefonowania, podtrzymywania kontaktów, odpowiadania na zaproszenia. W moim przypadku... również o sposób rozpoczynania artykułu!

- Jesteś wart tyle, ile twój ostatni kawałek - powiedział mi jeszcze w czasach Wietnamu mój przyjaciel Martin Woollacott, dziennikarz „Guardiana”. Owa konieczność przynajmniej dorównania poziomowi poprzedniego artykułu stawała się coraz większą obsesją. Wszystko po to, żeby zachować nazwisko. Nazwisko, wciąż nazwisko. Ile rzeczy zależy w życiu od nazwiska! Nazwisko na liście przyjętych, promowanych, zwycięzców, pasażerów; nazwisko na pierwszej stronie. Zawsze to nazwisko, ta tożsamość. Co za mózół!

Precz! Precz z tym wszystkim! Kolejna porcja bezużytecznego balastu zrzuconego do morza, żeby lepiej stawić czoło ostatniemu kursowi do przepłynięcia. W Nowym Jorku pozbyłem się rękami chirurgów kilku kawałków mojego ciała, choć sam nie zniknąłem. Teraz sam odrzucałem kolejne kawałki: tym razem mniej fizyczne. A co pozostawało? Co pozostawało ze mnie bez mojego nazwiska, historii, bez tego, na co przez całe życie tak pilnie pracowałem?

To było podstawowe pytanie, z którego powodu wszyscy się tu znaleźliśmy. A Swami już od pierwszej lekcji powtarzał, że odpowiedź istnieje i że znajdziemy ją w wedancie w końcowej części Wed, poświęconej „Ja”, które nie rodzi się i nie umiera, „Ja”, które pozostaje niezmiennie, kiedy wszystko się zmienia, „Ja”, którego istnienie nie zależy od istnienia niczego innego.

Kiedy wróciłem na swoje miejsce, mężczyzna, który siedział po mojej lewej stronie podniósł się, otworzył ramiona i przytulił mnie z wielką siłą, nazywając:

Anam-ji... Anam-ji. (W języku hindi dodanie „ji” do imienia jest oznaką szacunku. Kiedy w Indiach ktoś odnosi się - na przykład - do Mahatmy, mówi zazwyczaj „Gandhi-ji”, natomiast w aśramie zwracano się do Swamiego albo mówiono o nim per „Swami-ji”).

Był to przemiły typ. Około pięćdziesiątki, niski, krępy miał dużą, całkowicie ogoloną głowę, bardzo czarne oczy i długą, siwą, spiczastą brodę, która opadała mu na piersi. Podobnie jak wielu innych brahmacharia - tych, którzy złożyli pierwsze śluby - ubrany był na biało: w długą, białą koszulę i dhoti. Tak jak ja na ramionach nosił prześcieradło, również białe, którego używało się jako szal, poduszkę, ręcznik albo coś jeszcze innego. Na pierwszej lekcji, każde z nas miało wybrać drewniany, rozkładany stolik, za który miało być odpowiedzialne, oraz miejsce, które miało być mu przypisane przez trzy miesiące trwania kursu. Ja ominąłem rzędy pośrodku audytorium, gdzie nie miałbym oparcia dla

pleców, i usiadłem pod ścianą. On poszedł za mną i rozłożył się obok. Ale był niespokojny i zaraz uprzejmie zapytał, czy nie mógłbym przesunąć się o metr.

Widzisz - powiedział ze wzrokiem zwróconym ku górze, w stronę jednej z betonowych podpór podtrzymujących sufit auli, przechodzących dokładnie nad jego głową – wszystkie negatywne energie kosmiczne tam uderzają i spadają na mnie... Nie mogę się tu skoncentrować, nie mogę medytować.

Szaleniec? Chyba nie. Żeby lepiej wyjaśnić ten problem, zwrócił mi uwagę, że Swami zawsze wchodził do auli przez północne drzwi („od strony pozytywnych energii!"); że my, śiśja, używaliśmy drzwi zachodnich („strona neutralnych energii"), i że nie było żadnych otworów na ścianie wschodniej, pod którą obaj usiedliśmy.

Oczywiście przesunąłem się i... dzięki tej historii z energią Sundarajan został moim „kolegą z ławki". Pomagaliśmy sobie w przekładach z sanskrytu, a czasami, opuszczając jakieś grupowe zajęcia, chodziliśmy razem na szczyt stromego pagórka, położonego w środku aśramu, żeby podziwiać rozciągający się stamtąd widok.

Historia Sundarajana była raczej nietypowa. Urodził się w Malezji w rodzinie Hindusów z południa, którzy pod koniec dziewiętnastego wieku wyemigrowali, żeby budować kolonialną kolej angielską. Był jeszcze bardzo młody, gdy zakochał się w posągu bogini w indyjskiej świątyni w jego dzielnicy Kuala Lumpur. To była jego pierwsza i ostatnia miłość, której pozostał na zawsze wierny. Już jako chłopiec złożył ślub czystości. Chciał zostać mnichem, ale obowiązki wobec rodziny mu to uniemożliwiły. Musiał studiować inżynierię, a potem przez ponad dwadzieścia lat pracować w przedsiębiorstwie specjalizującym się w instalowaniu urządzeń elektrycznych. Zakładał je nawet w najwyższym budynku świata, Petronas Twin Towers. Teraz jednak - jak mówił - postanowił „poświęcić się innemu rodzajowi światła". Przez rok przebywał w ośrodku jogi w stanie Bihar, a teraz zamierzał przyjąć od Swamiego sannjasę - śluby całkowitej rezygnacji ze świata.

Indie, do których przyjechał, nie były krajem przodków, tylko Indiami jego bogini. Nie chciał szukać swoich korzeni, tylko połączyć się z nią duchowo i studiować wedantę, żeby wrócić potem do Malezji i nauczać jej innych.

Ja również, chcąc wstąpić do aśramu, przyjechałem do szczególnych Indii: nie tych, które fotografują turyści, czy tych opisywanych przez dziennikarzy, ale do Indii ludzi „poszukujących", kraju wielkich mitów, który dał ludzkości ideę boga oraz ideę zera i bardzo wiele z tego, co znajduje się między tymi dwiema skrajnościami. Mieszkałem wiele lat w Delhi, ale obracając się w świecie polityki i co najwyżej kultury, zawsze miałem wrażenie, że czegoś mi brakuje. A to dlatego, że nigdy nie zainteresowałem się poważnie sednem tego, co jest indyjskie: duchowością. Byłem jak Marsjanin, który przybył do Florencji Dantego i usiłował ją zrozumieć, odwiedzając od czasu do czasu jakiś kościół, ale nie znając Ewangelii. Natomiast teraz zbliżałem się do samej esencji Indii: nie studiując samodzielnie książek, nie czytając definicji zachodnich uczonych, ale w sposób typowo indyjski - żyjąc u boku guru.

Guru to piękne słowo. (Guru nie jest tytułem ani przydomkiem, lecz wskazuje na zależność. Dlatego dana osoba jest guru dla swoich uczniów, nie dla wszystkich. Tylko uczniowie zwracają się do niej „guru-ji", tak samo jak tylko mąż nazywa „żoną" swoją żonę, a nie kogoś innego). Niestety, zostało upodlone przez bezsensowne używanie go na Zachodzie, gdzie mówi się już o guru mody, zdrowia czy seksu. Gu oznacza w sanskry- cie „ciemności", ru - „odganiać, rozpraszać". A zatem guru to ten, który

odpędza ciemności i do mroku niewiedzy wprowadza światło. Pomarańczowy kolor jego stroju przypomina właśnie barwę płomienia, który rozpala się w ciemności; siłę ognia, który pochłania materię.

Indie? Teraz byłem w ich środku. Mój guru nazywał się Dayananda Saraswati, a ja byłem członkiem Arsha Vidya Gurukulam, dosłownie „rodziny guru prawdziwego poznania” - poznania pochodzącego od ryszich, tych, którzy widzą.

Miejsce było piękne, położone około trzydziestu kilometrów od Kojambaturu, stolicy przemysłu tekstylnego w stanie Tamilnadu. Z lotniska dojechałem tam taksówką. Dzień był wspaniały i wszystko dobrze wróżyło. Po drodze do aśramu przejechałem przez centrum Kojambaturu, żeby kupić pióra, zeszyty i parę kurta pijama z białego khadi, bawełny tkanej jeszcze dziś ręcznie przez ostatnich zwolenników Gandhiego. Na chodniku zauważyłem mężczyznę przycupniętego przed dwiema bambusowymi klatkami z wróbelkami. Czekał, aż ktoś je kupi, żeby uwolnić ptaszki i zaskarbić sobie w ten sposób dobrą karmę. Wziąłem wszystkie, które mu zostały, i wypuściłem na wolność, ciesząc się ich ćwierkaniem i komentarzami otaczających nas ludzi.

Podróż do aśramu, w trakcie której rozmawiałem z kierowcą, absolwentem matematyki, była typowo indyjskim połączeniem radości i rozpacz, piękna i nędzy. Przez kilka kilometrów droga przecinała równinę ponaznaczaną duszącymi wysypiskami śmieci i fabrykami cegieł, wokół których wyrosły ohydne barakowiska. Krążyła tam masa wychudzonych i brudnych ludzi. Ziemia była wypalona i pokryta stertami plastikowych toreb. Nawet chwasty nie mogły tam przeżyć.

W oddali rysowały się czyste, błękitne, wspaniałe wzgórza Anaikatti. Kiedyś cały ten obszar porośnięty był gęstym lasem. Taksówkarz mi powiedział, że na małym jego skrawku, który pozostał, wciąż jeszcze mieszka prymitywny lud, który przyodziewa się tylko w liście, a na jego czele stoi król. Plemię utrzymuje się ze zbierania w lesie dzikich ziół dla aptekarzy zajmujących się ajurwedą. Jedynie król ma prawo rozmawiać z ludźmi z zewnątrz, a jeśli ktoś wkracza na ich teren bez pozwolenia, jest wyrzucany. Obszary te - mówił taksówkarz - pełne są jeszcze dzikich zwierząt, w tym słoni. Również zwierzęta domowe wyglądały tu imponująco: wzdłuż drogi, która wspinała się i opadała na wzgórzach, spotkaliśmy stada przepięknych byków o wysokich rogach.

W jednej z dolin taksówkarz pokazał mi zupełnie opustoszałą posiadłość. Jeszcze do niedawna był tam piękny las. Fundacja imienia wielkiego indyjskiego ornitologa, Salima Alego, kupiła go, żeby stworzyć tam rezerwat ptaków. Ale właściciel, kiedy tylko zainkasował pieniądze, ściął i sprzedał wszystkie drzewa. Cóż, Indie!

Minęliśmy szkołę medycyny ajurwedyckiej oraz instytut inżynieryjny. Potem w pięknej, zielonej dolinie, otoczonej przez kamieniste góry i kilka szczytów, wyłonił się aśram: kompleks białych domków rozrzuconych wśród drzew eukaliptusa, audytorium, stołówka oraz świątynia na obrzeżach wielkiej łąki. Nad wszystkim górowało wzniesienie, na którego szczycie rysowała się sylwetka innej małej świątyni.

Uwolnienie wróbelków szybko zostało mi wynagrodzone. Przydzielono mi pojedynczy pokój, w dodatku najbardziej oddalony od centrum aśramu. Położony był na skraju lasu, z widokiem na góry i cegielnię. Dokładnie naprzeciwko, między dwoma drzewami, rozciągnięto sznurek, na którym mogłem suszyć ubrania.

Bez problemu przywykłem do życia w aśramie - i do bycia Anamem. Zobowiązanie do zachowania milczenia bardzo mi pomogło. Nie miałem okazji wpaść w pułapkę przypadkowych rozmów, nie musiałem nic mówić - ot tak, żeby coś powiedzieć. Mogłem się skupiać na słuchaniu i obserwowaniu wszystkiego i wszystkich, pozwalając, żeby myśli pozostawały myślami, bez konieczności tłumaczenia ich na dźwięki i słowa. Wystarczało mi kilka zdań zapisanych w dzienniku przed snem.

Tydzień milczenia minął błyskawicznie. Wszystkie dni były identyczne, odmierzane precyzyjnym rytmem, który poprzez swoją regularność nie pozostawiał miejsca na niepokój związany z dokonywaniem wyborów. Wszystko zostało przewidziane i zorganizowane.

Pobudka była o czwartej piętnaście. Uderzenie kija w żelazny trójkąt zawieszony na drzewie przerywało ciszę głębokiej jeszcze nocy. Pół godziny później w patio przed stołówką ustawiano dwie bańki pełne herbaty i gorącego mleka.

O piątej w świątyni rozpoczynała się wielka pudża, ceremonia rytualnego mycia posągów z towarzyszeniem śpiewanych mantr. O szóstej trzydzieści w audytorium w centrum aśramu Swami prowadził półgodzinną medytację. O siódmej piętnaście było śniadanie, składające się zazwyczaj z gotowanej ciecierzycy. O ósmej rozpoczynały się lekcje wedanty, sanskrytu, pieśni wedyjskich i Bhagawatgity. W trakcie godzinnej przerwy spożywaliśmy obiad - znów gotowaną ciecierzycę i ryż. Były też dwie pauzy na herbatę. O szóstej trzydzieści wieczorem, kiedy wielkie słońce chowało się za góry, w świątyni odbywało się arati - ceremonia ognia. (W trakcie ceremonii ofiarowuje się bogom symbolicznie pięć żywiołów, z których zbudowany jest cały wszechświat: ogień, wodę, ziemię, powietrze i eter). O siódmej trzydzieści kolacja, z tą samą gotowaną ciecierzycą i ryżem albo grysikiem, czasem z dodatkiem jogurtu.

O ósmej, znów w audytorium, odbywał się satsang - dosłownie „przebywanie z prawdą” - zebranie, na którym każdy mógł swobodnie zaproponować temat do dyskusji. Jedynie wtedy Swami nie był „za katedrą”, to znaczy nie siedział na piętach na małym podium, tylko na fotelu ustawionym wśród uczniów.

O dziesiątej żelazny trójkąt znów rozbrzmiewał. Wszystkie światła gasły i cały aśram pogrążał się w mroku, ciszy i - dla większości - w śnie. Była to pora, kiedy leżąc między dwoma otwartymi oknami swojej celi, upajałem się szmerami i zapachami, niesionymi przez letni powiew indyjskiej nocy.

Prezentacje poszczególnych śiśjich - było nas w sumie sto dziesięć osób - trwały około dziesięciu dni i zajmowały większą część spotkań po kolacji. Dzięki temu mogłem się zorientować, kim są moi towarzysze i jakie powody sprowadziły ich do tego miejsca zagubionego pośród wzgórz Anaikatti.

Byli wśród nich młodzi ludzie między trzydziestym a czterdziestym rokiem życia, z dobrych rodzin i o solidnym, akademickim wykształceniu; byli inżynierowie, fizyk nuklearny i pilot indyjskich linii lotniczych; byli asystenci uniwersyteccy, którzy będąc już brahmacharia, to znaczy złożywszy ślub celibatu i uwolniwszy się tym samym od wszelkiego posiadania i materialnego pragnienia, dążyli teraz do przywdziania pomarańczowego stroju sannjasina, „porzucającego” duchowego żebraka. Po kolejnych latach życia i nauki w gurukulam sami mogliby zostać swami -nauczycielami.

Niewiele było osób starszych, mających za sobą normalne życie zawodowe, które przyjechały do aśramu, żeby oswoić się z ideą śmierci; przekonanych, że po tym życiu powrócą, by przeżyć następną,

niekoniecznie ludzkie. Każda z nich przybyła z własnym bagażem zasług i przewinień -karmą - z którym należało się policzyć.

Inni, szczególnie kobiety, chcieli nadać większy sens własnej egzystencji. W Indiach jeszcze bardziej niż gdzie indziej wplątana ona była w sieć rytuałów oraz obowiązków rodzinnych i społecznych. Niektórym z nich specyfika wykonywanego zawodu - na przykład lekarza - pozostawiała mało miejsca na inne zajęcia, szczególnie na poszukiwania duchowe. Zauważyłem, że właśnie lekarze byli licznie reprezentowani, jakby fakt zajmowania się sprawami ciała uczynił jeszcze silniejszym pragnienie, aby zajrzeć za tę osłonę. Coś podobnego stało się ze mną jako dziennikarzem i sprawami świata, którymi się zajmowałem.

Niektórzy śiśja znaleźli się tam zamiast na kozetce psychoanalityka (w Indiach są rzadkością); inni przybyli do aśramu, bo wycofanie się z życia jest częścią tradycji i mieli nadzieję, że z pomocą Swamiego wykonają skok, który pozwoli im uwolnić się od wiecznego koła narodzin i śmierci.

Dobrze wytłumaczyli to w trakcie prezentacji trzej śiśja: dyrektor poczty, kardiochirurg, a także elegancki, niewysoki, smętny pan, który przyjechał do aśramu z żoną i mówił również w jej imieniu. On był ordynatorem na oddziale pediatrii w jednym z miast w stanie Andhra Pradeś, ona dyrektorką szkoły dla pielęgniarek. Obydwoje przekroczyli sześćdziesiąt lat i po życiu, które poświęcili pracy oraz rodzinie, postanowili zwrócić spojrzenie na siebie samych i „pójść do lasu” razem - jak jest napisane w świętych pismach.

Wciąż ten „las"! Las jako skarbnica ziół, lekarstw dla ciała; las jako miejsce dla leczenia duszy. „Pójść do lasu” - to idea stara jak Indie, która wciąż czyni z nich odrębny kraj... dopóki również tutaj nie wytną wszystkich drzew.

Według tradycyjnej indyjskiej wizji życie człowieka jest podzielone na cztery ścisłe i odrębne etapy, z których każdy ma swoje prawa i obowiązki, i wydaje swoje owoce.

Pierwszy etap to dzieciństwo i dorastanie, czas nauki, kiedy człowiek uczy się tego, co przyda mu się później. Drugi etap to dojrzałość, kiedy człowiek staje się mężem, ojcem, podejmuje swoje obowiązki w rodzinie i w ten sposób przyczynia się do utrzymania oraz rozwoju społeczeństwa. Jest to okres, kiedy właściwe i dozwolone jest zaspokajanie takich pragnień, jak bogactwo, przyjemność, sława oraz poznanie świata. Następnie, kiedy z kolei synowie stają się mężami i ojcami, nadchodzi pora oderwania się, „pójścia do lasu”. Poprzez to wycofanie się człowiek pozostawia za sobą radości, niepokoje, sukcesy, rozczarowania -wszystko to, co jest w życiu przejściowe i złudne - żeby poświęcić się czemuś bardziej realnemu i trwałemu.

Ostatni etap - jeśli się tak wybierze - nadchodzi wtedy, kiedy człowiek zrywa wszystkie ziemskie więzy i staje się prostym żebrakiem, sannjasinem. Odziany w kolor ognia, w którym spalił symbolicznie wszystko, co należało do „Ja” doczesnego, łącznie z pragnieniami, szuka już wyłącznie mokszy, ostatecznego wyzwolenia od sansary, świata zmian, oceanu życia i śmierci.

Moksza jest ostatecznym celem podróży sannjasina. Nic już nie odwodzi go od tego celu. Na pewno nic z jego przeszłości, która zostaje symbolicznie wrzucona do płomieni podczas „pogrzebu”, kiedy on sam podpala stos, żeby przeskoczyć nad nim i wyjść odnowionym. Teraz nie jest już z niczym związany, absolutnie z niczym: ani ze swoją kastą, ani z rodziną, ani z imieniem. Nawet z religią i jej rytuałami. Pomarańczowa tunika, którą wdziewa po „pogrzebie”, nieprzypadkowo wykonana jest z

jednego kawałka materiału, bez szwów i wiązań. Kiedy umrze, jego ciało wrzucone zostanie do rzeki, nie zaś poddane kremacji jak wszystkie inne, ponieważ on, sannjasin, przeszedł już przez płomienie.

Każde przejście z jednego etapu życia do drugiego zaznaczone jest formalnie poprzez rytuał, w czasie którego - jak w przypadku każdej inicjacji - z symbolicznej śmierci rodzi się życie, ze starego nowe.

Na swój sposób również współczesne społeczeństwo zachodnie dla osiągnięcia swoich celów - wyłącznie materialnych - zinstytucjonalizowało to przejście do ostatniej pory życia: wprowadzając emeryturę. Gdy człowiek ukończy sześćdziesiąt albo sześćdziesiąt pięć lat, przestaje pracować i płaci mu się, żeby chodził na ryby, malował albo - znacznie częściej - żeby się nudził, żałując, iż nie jest już tym. kim był: dyrektorem, szefem oddziału, adwokatem, kasjerem. Wielu dostaje zawału serca albo definitywnie przestaje być kimkolwiek.

Ja też przestałem pracować - dziennikarstwo nic już dla mnie nie znaczyło - ale zamiast „cieszyć się emeryturą zacząłem szukać czegoś, co nie różniło się bardzo od tego. czego szukali moi towarzysze: jakiegoś spokoju. Wewnętrznego. Rak mi w tym pomógł. Była to dobra sposobność Wreszcie mogłem być mną bez wizytówki. Mogłem bez ograniczeń oddać się swojej prawdziwej naturze i cieszyć się tym Co do tego nie ma wątpliwości: im bardziej zbliżamy się do tego, kim naprawdę jesteśmy, tym stajemy się szczęśliwsi W każdym wieku. Należy jednak wiedzieć, kim jesteśmy.

Niestety, nasza kultura - lub raczej przemysł, przez który jest już zdeterminowana - mitologizuje młodość. Przemieniła ona podeszły wiek w rodzaj choroby i zmusza ludzi szarych - biedaków - żeby byli inni, niż są, i udawali młodych. A przecież starość niekoniecznie jest złem, a tym bardziej czasem żalu. Przeciwnie.

Dla wielu uśpienie popędu seksualnego jest bardzo bolesną stratą, przeżywaną jako upokorzenie. Dla mnie stanowiło część uzyskiwania większej lekkości. Ileż czasu straciłem na roztrząsaniu, łudzeniu się, odróżnianiu, fantazjowaniu, opanowywaniu tego, co dawało się opanować, i w końcu na idealizowaniu wszystkiego... w gruncie rzeczy nie ze względów moralnych, ale ze strachu przed banalnością tego, co będzie „potem”. Wszystko to jest już za mną, nie stanowi problemu. Jaka cudowna jest starość! Okazja, żeby się zastanowić, zrobić to, czego nie można było zrobić wcześniej, łącznie z refleksją nad życiem. Podupadanie fizyczne, spowolnienie naszego ciała, choroby, sama śmierć mogą być widziane innymi oczami, mogą być użyte, aby zrozumieć nowe rzeczy, otworzyć inne drzwi, odkrywać, eksperymentować.

Świat wciąż nas nakłania do standardowych zachowań. Nie śpisz? Weź środek nasenny! Ale dlaczego? Może to piękna rzecz, może wręcz konieczna, nie spać czasem w nocy i mieć doświadczenia, których nie ma ten, kto śpi. Noc jest porą koszmarów, ale także wizji. Noc jest tajemnicza, ale właśnie dlatego warto ją poznać, jak chciało uczynić nawet Słońce w starej indyjskiej historii.

Pewien człowiek z Ziemi idzie odwiedzić Słońce.

Jak mają się sprawy tam, na dole? - pyta go wielka gwiazda.

Dobrze, mój Panie, wszyscy cię wielbią.

Wszyscy? Naprawdę?

Cóż, Panie... jest jedna kobieta, tylko jedna, przepiękna. która nigdy nie oddaje Ci czci.

A kto to taki?

Nazywa się Noc.

Słońce jest zaintrygowane.

A gdzie jest ta kobieta?

- W Indiach, mój Panie - mówi człowiek.

Słońce pędzi więc do Indii. Ale kobieta, wiedząc o jego przybyciu, ucieka do innej części świata. Słońce ją goni, ale ona wróciła już do Indii. Słońce zmierza więc do Indii, ale ona... Słońce jeszcze dziś wciąż ściga tę piękną kobietę, nie mogąc jej nigdy dosięgnąć.

Czy byłem szalony? Nie, tylko stary, już bez obowiązków, i chciałem zostać tym, kim zawsze pragnąłem być: odkrywcą. Już nie świata zewnętrznego - ten mniej więcej poznałem - ale tego, o którym mędrcy wszystkich kultur od zawsze mówią, że jest w nas.

Współczesny człowiek coraz mniej myśli o tym świecie. Nie ma na to czasu, a często i okazji. Życie, szczególnie w miastach, nie pozwala nam już myśleć globalnie, ponieważ wciąż uganiamy się za jakimiś szczegółami, drobiazgami, przez co gubimy sens całości. Zorientowałem się w końcu, że dotyczy to też mojego zawodu. Miałem opowiadać o wojnach, ale nie zastanawiać się, dlaczego - przy całym postępie, którym człowiek się chlubi - wciąż stanowią tak ważną część jego egzystencji. Dlaczego w miarę rozwoju cywilizacyjnego i gospodarczego kraje coraz więcej inwestują w badanie nowych, doskonalszych i bardziej śmiercionośnych broni?

Poza tym jeszcze jakiś czas temu mówienie o wojnie mogło czemuś służyć. Ludzie się buntowali; masakra potrafiła jeszcze kimś wstrząsnąć. Dzisiaj nawet to mówienie na nic się nie zda. Codziennie pojawiają się nowe historie o masakrach, krzywdach, torturach, ale ledwie zwraca się na to uwagę. To nas przerasta. Myślimy, że nie da się nic zrobić, i w ten sposób stajemy się coraz bardziej współnikami najprostszej ze zbrodni: obojętności.

Nikt nie udziela już liczących się odpowiedzi, ponieważ nikt nie zadaje właściwych pytań. A już najmniej nauka, która na Zachodzie podporządkowana została wielkim interesom ekonomicznym i postawiona na ołtarzu w miejsce religii. W ten sposób sama stała się „opium dla mas”, z tym zdoła rozwiązać wszystkie problemy. Nauka potrafi już klonować życie, ale nie jest w stanie powiedzieć, czym ono jest. Medycyna zdołała odsunąć śmierć, ale nie umie nam powiedzieć, co się dzieje po śmierci. A czy może naprawdę wierny, co pozwala naszym oczom widzieć, a naszemu umysłowi myśleć?

A przecież dzięki wielkiemu zaufaniu, jakim darzymy naukę, przyjmujemy wszystko jako pewnik. Sądzimy, że wiemy, a wcale nie wiemy. Zadowolamy się zatem tą niewiedzą w przekonaniu, że wkrótce się dowiemy. Ktoś na pewno się tym zajmuje! Wzrasta populacja, wyczerpując zasoby Ziemi, przede wszystkim wodę? Nauka na pewno rozwiąże również ten problem. Miliony ludzi na świecie cierpią głód? Zabierzmy się do genetycznej modyfikacji pewnych nasion, które wkrótce wydadzą cudowne zbiory, a być może także wygenerują... nowe typy raka.

Żyjemy tak, jakby to był jedyny z możliwych światów, obiecujący zawsze jakieś szczęście. Zbliżymy się do niego poprzez postęp oparty głównie na lepszym wykształceniu (jakim?!), większym dobrobycie i -

oczywiście - na nauce. Koniec końców wszystko zdaje się sprowadzać do problemu organizacji i skuteczności. Cóż za iluzja! Właśnie w ten sposób podcięliśmy skrzydła wyobraźni, założyliśmy knebel na serce, sprowadziliśmy wszystko wyłącznie do świata zmysłów, odmawiając sobie tym samym drugiej połowy.

Dla mędrców, szczególnie indyjskich, świat widzialny nie był nigdy całą rzeczywistością, a tylko jej częścią. I to nawet nie najważniejszą, gdyż jest zmienny i zawsze poddany niszczycielskiemu upływowi czasu.

A przecież czasem wystarczy niewiele, żeby zdać sobie sprawę z całej reszty. Tagore, wielki poeta bengalski, wyraża to poprzez proste podobieństwo. Pewnego wieczora, w domu unoszącym się na wodach Gangesu, przy świetle świecy czyta esej Benedetta Croce. Powiew wiatru gasi płomień i nagle pokój zalewa światło księżyca. Tagore pisze:

Całe piękno było wokół mnie,

Ale odgradzał mnie od niego płomyk świecy.

Owo małe światełko nie pozwalało

Dotrzeć do mnie pięknemu, wielkiemu światłu księżyca.

Codziennie życie pełne jest małych światełek, które nie pozwalają nam dostrzec wielkiego światła. Zasięg naszego umysłu skurczył się do niewiarygodnych rozmiarów - tak samo jak nasza wolność. Najczęściej kierujemy się reakcjami. Reagujemy na to, co się nam przytrafia, reagujemy na to, co czytamy, co widzimy w telewizji, co ktoś nam powie. Reagujemy zgodnie z ustalonymi modelami kulturowym: i społecznymi. I coraz częściej reagujemy automatycznie. Nie mamy czasu, żeby postępować inaczej. Istnieje już jakaś wyznaczona droga. Ruszamy tym szlakiem.

W aśramie było inaczej. Mieliśmy czas na uważne przeżycie każdej chwili. Ćwiczyliśmy działanie, nie reagowanie, tak żeby umysł był w ciągłym pogotowiu, aby mieć świadomość każdego gestu. Komary bzycały mi koło uszu? Łatwo zareagować w sposób roztargniony, bezmyślnie, uderzeniem ręką. Ja natomiast zmuszałem się, żeby ich nie zabijać. I sprawiało mi to przyjemność.

Tak, aśram był z wielu powodów dziwnym miejscem - w każdym razie na pewno dla mnie. Przywykłem od zawsze do życia wśród ludzi i do uganiania się po świecie, aby opowiadać o jego sprawach i tysiącach problemów. Teraz nagle znalazłem się w odosobnieniu, odcięty od wszystkiego - bez radia, bez telewizji, bez gazet - z jedynym problemem nad którym miałem się zastanawiać godzina po godzinie dzień po dniu, tydzień po tygodniu: - Kim jestem?

Kamienie ani rośliny nie zadają sobie takiego pytania - Nawet zwierzęta, które pod wieloma względami są w świecie stworzenia istotami nam najbliższymi, nie wydają się pytać:

- Kim jestem?

Krowa nie próbuje wyrobić sobie opinii na własny temat, gawron nie łamie sobie głowy nad tym, co go różni od żaby. A człowiek? Człowiek - powiedział Swami, prezentując wedantę - zawsze się zastanawiał nad naturą swojego istnienia. I zawsze dręczy go niepewność odpowiedzi.

Pytanie rodzi się z doświadczenia. Człowiek rozgląda się dookoła, widzi świat i czyni pewne spostrzeżenia. Pierwsze jest takie, że wszystko, co widzi, istnieje poza nim. Świat jawi mu się jako coś odrębnego, coś, od czego czuje się odseparowany. Ponieważ wszystko, co widzi, jest nieskończenie od niego większe, człowiek czuje się nędzny, odizolowany, kruchy niczym mała fala, która onieśmielona ogromem oceanu, marzy tylko o tym, żeby być większym grzywaczem, potężniejszym, tak by inne fale go nie zdusiły. W tym postrzeganiu dwóch odrębnych bytów - tego, który widzi, i tego, który jest widziany, tego, który poznaje i tego, który jest poznawany - ma swoje korzenie nieustanne jego niezadowolenie. I smutek.

Drugim spostrzeżeniem poczynionym przez człowieka jest to, że świat już istnieje, kiedy on go widzi. Poza tym jest on poukładany tak inteligentnie, że człowiek nie mógł być jego twórcą. Nie mógł nim być też ani jego ojciec, ani dziadek. A zatem kto? Wtedy to człowiek zaczyna szukać Stwórcy, boga, jego również koniecznie poza sobą, który był zdolny stworzyć cały wszechświat, łącznie z samym rodzajem ludzkim.

- W taki oto sposób rodzą się religie - powiedział Swami.

Będąc sannjasinem od ponad pół wieku, Swami zerwał więzy ze światem, a zatem także z religią. Sam hinduizm -termin, jak powiedział, wymyślony arbitralnie przez Anglików - nie był, według niego, prawdziwą religią, ale raczej filozofią życia, w dodatku niemającą swego twórcy ani szczególnej świętej księgi; mądrością utrwaloną przez tysiąclecia. Tym bardziej uważał, że wedanta nie jest religią, a tylko narzędziem poznania - Rzeczywistości.

Według Swamiego w obrębie religii człowiek zawsze ma ograniczoną wizję siebie właśnie dlatego, że wszystko to, co „Ja” postrzega, znajduje się poza „Ja (duszą)”, i człowiek bierze za bezdyskusyjną rzeczywistość owo rozróżnienie między sobą a tym, co postrzega i poznaje. Dokładnie tak jak fala, która uznaje ocean jako coś od siebie różnego. A przecież kiedy tylko zdaje sobie sprawę, że jest z wody, że inne fale też są z wody i że cały ocean jest tylko wodą, jej poczucie niedostosowania i odrębności znika.

Tak samo jest z człowiekiem - mówił Swami. Kiedy tylko człowiek odkryje, że on sam jest całością, że nie ma dwoistości między twórcą a stworzeniem, między tym, kto widzi, i tym, co jest widziane, między nim samym a bogiem, spostrzega też, że to, co jawi mu się jako odrębne istnienie, w rzeczywistości takie nie jest, ponieważ nic nie istnieje niezależnie od całości.

Problemem jestem ja - i ja też jestem rozwiązaniem. Zrozumienie tego to prawdziwe wyzwolenie: wyzwolenie od złudzenia, że jest się indywidualnym, niezależnym istnieniem, i uświadomienie sobie swojej doskonałej jedności ze wszystkim. Indywidualność oznacza wyłącznie ograniczenie.

Ważne jest to - mówił Swami - że fala nie potrzebuje stać się oceanem, musi sobie tylko zdać sprawę, że nim jest. Jest się tym, czym się jest. Nic nie trzeba zmieniać, należy tylko to zrozumieć.

Ale jak człowiek może dokonać tego skoku świadomości? Jak może istota człowieka, „Ja”, rozpoznać się w Całości? Potrzebuje kogoś, kto mu pomoże, kto wskaże mu drogę. „Ja” nie może poznać się

samo. Dlatego potrzeba guru, kogoś, kto rozproszy mrok niewiedzy. Klasyczna historia, za pomocą której od wieków wyjaśnia się w Indiach tę konieczność, jest następująca:

W pewnym gurukulam jest dziesięciu studentów. Któregoś dnia postanawiają udać się na pielgrzymkę i jeden z nich zostaje odpowiedzialny za całą grupę. Dziesiątka wyrusza w drogę. W pewnym momencie muszą przepłynąć przez rzekę. Kierujący grupą pyta, czy potrafią pływać. Tak, wszyscy. Kiedy docierają na drugi brzeg, liczy podopiecznych i z przerażeniem odkrywa, że jest ich tylko dziewięciu. Liczy drugi raz, ale wynik pozostaje bez zmian. Zrozpaczeni studenci zaczynają nawoływać, wpatrując się w wodę. Gdzie jest dziesiąty? Nie ma po nim śladu: ani ciała, ani ubrania; nie słychać krzyku, nic. Płaczą, nie wiedzą, co robić, kiedy jakiś starzec, który z oddali przyglądał się scenie, podchodzi do grupy i mówi:

- Nie ma powodu do smutku. Dziesiąty człowiek nie zginął. Jest tu.

- Gdzie? Jak to? - pytają śiśja.

- Dziesiąty jest tutaj, teraz, między wami. Studenci nie dowierzają.

Kierujący grupą próbuje jeszcze raz. Przystawiając palec do piersi każdego ze swoich towarzyszy, liczy powoli:

- Jeden, dwa, trzy... osiem, dziewięć. Starzec przykładając palec do jego piersi:

- ...i dziesięć! Ty jesteś dziesiąty! - mówi. Chłopcy pojęli i ruszyli w dalszą drogę.

Starzec wskazał oczywistość: ten, który szuka, jest poszukiwanym. On stanowi problem i rozwiązanie. A rozwiązanie polega po prostu na odkryciu samych siebie. Podobnie jak w przypadku fali, przywódca grupy nie musi stać się dziesiątym studentem, tylko zrozumieć, że nim jest.

Kiedy się rodzimy, nic nie wiemy o naszym „Ja”. W trakcie życia gromadzimy wiedzę, ale ona nie pomaga nam zrozumieć, kim jesteśmy, ponieważ pochodzi ona od zmysłów i wniosków poczynionych na podstawie zmysłowego postrzegania. Cała erudycja jest właśnie taka, bierze się ze zmysłów. Która nauka zastanawiała się kiedykolwiek nad tym, kim jest człowiek? Jaki mikroskop czy teleskop zajrzał kiedykolwiek w zakamarki umysłu? Wiedza o „Ja” wymyka się nam, ponieważ nie może wywodzić się ze zmysłów, a przez to stać się przedmiotem żadnej nauki.

Starzec z historii jest guru, który wskazuje, jak „Ja” może się rozpoznać.

Ale guru to za mało. Już na pierwszej lekcji Swami wyjaśnił, że w centrum całej wedanty nie stoi kwestia religijna. Nie chodzi o znalezienie rozwiązania poprzez wiarę ani tym bardziej przez intelekt.

Chodzi o zrozumienie, że podobnie jak oczy, które nie są w stanie ujrzeć samych siebie i żeby się zobaczyć, potrzebują lustro, tak samo „Ja” nie może się poznać bez odpowiedniego narzędzia badawczego. Nie może nim być żaden z naszych zmysłów, ponieważ są one zdolne tylko widzieć, słyszeć, dotykać, wąchać świat materialny, właśnie świat zmysłów, a nie samo „Ja”.

Narzędziem poznania, lustrem, w którym „Ja” ma możliwość się przejrzeć, są Wedy - lub raczej ich część końcowa, wedanta, składająca się z upanisad i z Bhagawatgity, Pieśni Boga, która w formie

dialogu reasumuje całą kwestię. (Wedy składają się z: najstarszej Rygwedy, Samawedy, Jadźurwedy i Atharwawedy. Są to zasadniczo zbiory hymnów i formuł magicznych, mantr. Tradycja przypisuje autorstwo Wed rysim, „tym, którzy widzą”. Datowanie jest niepewne, ale pochodzą przynajmniej z drugiego tysiąclecia p.n.e. Przez ponad tysiąc lat przekazywane były ustnie; następnie spisywane. Według niektórych Rygweda miałyby być pierwszą w historii księgą, która dotarła do nas w kompletnym kształcie. Na pewno jest to najstarsza księga we wszystkich językach indoeuropejskich). (Upaniszady. Samo słowo oznacza „siedzieć blisko” i odnosi się do śiśjich, którzy siadywali zasłuchani u stóp guru. Istnieje około setki upanisad, w tym dziesięć głównych. Większość z nich napisana jest wierszem, inne prozą. Wiele ma formę dialogu: na przykład między mędrcem a jego żoną, między królem a ascetą lub - w przypadku jednej z najśłynniejszych, Katha-upanisad, między młodym Naciketasem a Śmiercią, która wybrał sobie za guru).

Poprzez rozważania, zrodzone z doświadczenia samych siebie i świata, śastry, pisma, czytane z pomocą guru, wykazują - podobnie, jak oczy widzą, a uszy słyszą - że nie ma dualizmu między poznającym a poznawanym, że nie ma różnych bytów - Ja, świat, Bóg. Wszystko jest jedyną

egzystencją, a ta Całość jest niczym innym jak świadomością: bez ograniczeń, poza czasem i przestrzenią, świadomością, która ogarnia wszystko, wszystko wspiera i objawia się w każdej formie. Ta czysta Świadomość, świadek wszystkiego, jest Rzeczywistością stojącą za zwykłą świadomością. To Atman, to Brahma, to Iśwara, to Bhagawan, to Bóg, to Całość, to Satchitananda, niezależnie, jak zechcemy to nazwać, bo, jak mówi jeden z najczęściej cytowanych starych wersów wedyjskich: „Jedna jest Prawda, nawet jeśli mędrcy nazywają ją tysiącem imion”.

A zatem odpowiedzią na pytanie: „Kim ja jestem?”, jest owo magiczne zdanie, przenikające upanisady: Tat twam asi (ty jesteś tym wszystkim). Ty jesteś Bogiem, ty jesteś Stwórcą całego wszechświata, gdzie tuom, owego ty, nie należy oczywiście rozumieć jako „osobowość”, jako „ja”, do którego jesteśmy tak bardzo przywiązani, „ja” narodzonego pewnego dnia, wyrosłego w danym miejscu, owego „ja”, które zrobiło tak wiele rzeczy, miało tak wiele doświadczeń, ale jako owo niezmiennie „Ja”, które wedanta czyni samodzielnym i oczywistym: „Ja”, czysta świadomość, „Ja”, które jako że nigdy się nie narodziło, nie może też umrzeć.

Stąd idea, pochodząca całkowicie z wedanty i dlatego stanowiąca już część powszechnego indyjskiego odczuwania, że bóg jest w każdej formie, w każdej żyjącej istocie, w każdej rzeczy, nawet najmniejszej. Ponieważ nie ma różnych bogów, nie ma też jedynego boga, ale wszystko jest bogiem.

„Ja”, którym jest każdy z nas, ma skłonność mieszać się z tym wszystkim, ponieważ człowiek dąży do wyzwolenia się ze swoich ograniczeń, z tego swojego poczucia izolacji, oddzielenia od świata. Podobnie jak rzeka, która ma przecież źródło, koryto i nazwę, podąża nieuchronnie w stronę oceanu, aby się z nim mieszać i stać Jednym, tracąc w ten sposób swoją tożsamość, swój kształt, swoją nazwę rzeki, tak samo „Ja” dąży do mieszania się z Całością. Taka jest jego natura. Rozpoznanie owego „Ja” i jego „boskiej” natury jest prawdziwym celem ludzkiego życia.

Swami wiedział, że nie zawsze było łatwo śledzić te jego rozważania („Wąska - mówią upanisady - jak ostrze brzytwy i trudna do przejścia jest ścieżka prowadząca do Rzeczywistości”). Jakby więc chcąc podać je w lżejszym tonie, uczynić trochę przystępniejszymi i dostarczyć nam klucz, za pomocą którego byśmy je zapamiętali, opowiadał klasyczne, tradycyjne historie.

Na przykład na temat znaczenia poznania „Ja”.

Na łodzi przepływającej przez rzekę jest pandit, bramin, znawca świętych pism. Pandit pyta starego przewoźnika:

Znasz sanskryt?

Nie.

Bez sanskrytu jedna czwarta twojego życia jest stracona - mówi pandit. - Znasz przynajmniej klasyczną literaturę?

Nie.

Kolejna ćwiartka twojego życia jest stracona, ponieważ istnieją przepiękne książki, a ich przeczytanie daje wielką radość. Umiesz chociaż czytać i pisać?

Nie - odpowiada przewoźnik.

Kolejna ćwiartka twojego życia została stracona.

W owej chwili pandit spostrzega, że łódź nabiera wody i że jego nogi są już zmoczone. Przewoźnik próbuje zatkać dziurę, ale nic już nie da się zrobić. Woda się podnosi, a łódź zaczyna opadać na dno.

Umiesz pływać? - pyta przewoźnik bramina.

Nie - odpowiada ten, przestraszony.

A więc całe twoje życie jest stracone - konkluduje przewoźnik.

Morał: Bezużyteczna jest umiejętność czytania i pisania, znajomość sanskrytu i całej literatury, jeśli nie zna się samego siebie.

Lekcje rozpoczynały się dokładnie dziesięć minut po wybiciu godziny ósmej, ale my, śiśja, zajmowaliśmy wcześniej nasze miejsca w wielkim audytorium.

Czekając na Swamiego, intonowaliśmy najpierw hymn do guru: „Om... O Panie, pozdrawiam z uszanowaniem mojego guru i wszystkich jego poprzedników. Doprośzam się jego laski, aby zdjął zasłonę mojej ignorancji, i korzę się przed nim. O Panie, ochraniaj nas, daj nam pożywienie, pomóż nam w nauce i zrozumieniu pism. Uczyni, byśmy nie zajmowali się drobiazgami. Om... Spokój, spokój, spokój”. (Wszystkie upaniszady rozpoczynają się od Om, dźwięku nad dźwiękami, i wszystkie kończą się „Om śanti” - śanti to spokój - wezwaniem do tego stanu pogody ducha, w jaki znajomość „Ja” wprowadza człowieka: stan spokoju, który wyrasta ponad wszelkie zrozumienie. W taki sam sposób rozpoczynają się i kończą niemal wszystkie hymny wedyjskie). Przewodziły nam dwie starsze kobiety, ubrane całkowicie na białą, być może wdowy, które były też nauczycielkami śpiewu. Ochrciłem je mianem zakrystianek, ponieważ czuwały nad każdym szczegółem liturgii aśramu.

Następnie, używając takiej samej od tysiącleci intonacji, wymowy i rytmu, recytowaliśmy niektóre z najpiękniejszych i najśłynniejszych mantr z upaniszad. Jedną z nich, którą szczególnie lubiłem śpiewać

na całe gardło, ściągając na siebie fałszowaniem surowe spojrzenia „zakrystianek” i rozbawione uśmiechy mojego kolegi z ławki, Sundarajana, była mantra z Brihadaranjaka-upaniszady:

Asato ma sadgamaya

(z nierzeczywistości poprowadź mnie ku Rzeczywistości)

Tamaso ma jyotirgamaya

(z ciemności poprowadź mnie ku Światłu)

Mrityorma amritam gamaya

(od śmierci poprowadź mnie ku Nieśmiertelności).

Wymawiając słowo „nieśmiertelność”, złożone z zaprzeczającego a i ze słowa mrityo (śmierć), czułem piękno san-skrytu, który - zdawałem sobie z tego sprawę - dał nam na tej zasadzie słowo „amore”: to, co nie umiera.

Swami wkraczał przez swoje północne drzwi w towarzystwie młodego brahmacharii, który szedł u jego boku, trzymając mu nad głową otwarty parasol od słońca. Zdejmował kapcie, wchodził na drewniany podest, pokonywał trzy stopnie swojego małego podium, poprawiał na głowie brzeg pomarańczowej tuniki i siadał ze skrzyżowanymi nogami za stolikiem przykrytym kolorową tkaniną, zazwyczaj błękitną. Spod tej serwety Swami wyciągał w trakcie lekcji najróżniejsze przedmioty, za pomocą których - podobnie jak czynili to przez wieki wszyscy guru nauczający wedanty - ilustrował swoje rozumowanie. Pokazując glinianą miskę, wyjaśniał, jak istnienie tej miski zależy od istnienia gliny. Bez gliny nie istniałaby miska (tak samo, jak nie byłoby stworzenia bez Świadomości). Za pomocą kryształowej kuli i róży wykazywał złudny pozór koloru róży w środku kryształu (taki sam zamęt wytworzony przez „Ja”, które czyni rozróżnienie między sobą a tym, co postrzega). Przy użyciu liny dokonywał klasycznego w wedancie porównania między tą właśnie liną a węzłem: wziąć linę za węźla to dokładnie to samo, co przyjąć za prawdziwy świat zmysłów. Pomylenie liny z węzłem to nasz wymysł. A poza tym czy można byłoby wziąć linę za węźla, gdyby te ostatnie nie istniały?

Natomiast zupełnie niepotrzebne były Swamiemu egzemplarze upaniszad czy Gity. Znał je na pamięć i już wiele lat temu rozdał całą swoją bardzo bogatą bibliotekę. Mówił, że już jej nie potrzebuje, że nie jest już uzależniony od niczego, co zostało zapisane. Tak chce od zawsze indyjska tradycja, szczególnie wtedy, kiedy teksty uznawane były jeszcze za „tajemnicę”, która mogła być przekazywana tylko ustami guru do ucha ucznia.

Swami mówił, że nawet gdyby z wiekiem (a miał już ponad siedemdziesiąt lat) stracił pamięć, wciąż mógłby nauczać, przypominając sobie tylko parę wersów.

I opowiedział kolejną historię.

Pod koniec dziewiętnastego wieku pewien angielski profesor przybył do Kalkuty, wówczas indyjskiej stolicy Imperium Brytyjskiego. Powiedział, że chciałby zrozumieć Indie oraz ich filozofię, i poprosił o spotkanie ze sławnym panditem, wielkim znawcą sanskrytu, doskonale też władającym angielskim. Chciał, żeby ten udzielił mu kilku lekcji wedanty. Pandit zaczął, intonując pierwsze linijki pierwszej upaniszady, Ishavasya:

Om purnamadah purnamidam purnat purnamudacyate

Pumasya purnamadaya purnamevavasishiate

Om shanti, shanti, shanti-hiii

I przetłumaczył:

Tamto jest Całością, to jest Całością

Od tamtej Całości przyszła ta Całość

Odłącz tę Całość od tamtej Całości

To, co zostaje, to Całość

Om shanti, shanti, shanti-hiii

Anglik zamknął księgę, wstał i lekcje na tym się skończyły. W swoim dzienniku zapisał: „Upaniszady to bełkot dziecinnego umysłu”. Natomiast według Swamiego wersy te streszczają całą wizję wedanty i gdyby nawet wszystkie upaniszady poszły z dymem albo zostały zapomniane, ta jedna mantra wystarczyłaby, aby podtrzymać tradycję i skłonić do rozważań tego, kto chce zrozumieć.

My musieliśmy robić to całymi tygodniami.

- W wersach tych jest podmiot, przedmiot, przyczyna, skutek, doświadczenie i całość. Słowem, prawda nas samych - tłumaczył Swami. - Ja jestem purnam, kompletność, nabrzmiały ocean, którego nic nie może zmącić. Nic mnie nie ogranicza. Fale i grzywy tańczą na mojej powierzchni, ale są tylko moimi kształtami, ujawniającymi się na krótko. Wydają się liczne i różne, ale znam je tylko jako pozór. Nie ograniczają mnie; ich wzburzenie jest tylko moją pełnią, która tak się objawia. Fale są moją chwałą, która rozplywa się we mnie. We mnie, nabrzmiałym oceanie, wszystko się rozplywa. Pozostają tylko ja, purnam, kompletność.

Nie zawsze można było za nim nadążyć i czasem, choć miałem wrażenie, że rozumiałem, zdawałem sobie potem sprawę, iż pojąłem tylko słowa w mojej głowie, ale ich nie „przeżyłem”. Kwestia, co Swami powtarzał, nie dotyczyła ani intelektu, ani wiary.

Nie chodziło o to, żeby dojść do logicznych wniosków, ale aby pokonać „krok po kroku”, jak opisują to upaniszady, trasę „realizacji”. Trzeba było poddać własną świadomość czemuś w rodzaju alchemicznej transformacji poprzez słowa świętych pism. Ale również owe pisma, kiedy już posłużą za lustro dla „Ja”, mogły zostać odłożone, tak jak porzuca się jako już bezużyteczną łódź, którą przepłynęło się rzekę.

Swami urodził się w tradycyjnej rodzinie bramińskich chłopów w Tamilnadu. Był zdolnym studentem, zaczął pracować jako dziennikarz w Madrasie, ale szybko zrozumiał, że nie jest to jego powołaniem. Wyrzekł się świata, przyjął sannjasę i był uczniem różnych guru. W końcu jeden z nich, który mieszkał w lesie odziany tylko w popiół, spowodował, że dokonał on tego skoku w poznaniu, dzięki któremu

zyskał pewność, iż może zmierzyć się z wielkim zadaniem: przywrócenia klasycznej, słownej tradycji nauczania wedanty i oddania tej wizji świata do dyspozycji wszystkim - nie tylko w Indiach.

Tradycja została ustanowiona w ósmym wieku po Chrystusie przez wielkiego komentatora Wed Sankarę, ale szybko osłabła. Wieki dominacji muzułmańskiej, wraz z przechodzeniem na islam całych narodów, coraz bardziej spychały nauczanie Wed do podziemia. Z kolei trwająca dwa wieki kolonizacja angielska była jeszcze bardziej destrukcyjna ze względu na wprowadzenie - szczególnie do klas wyższych - nowych wartości społecznych, a przede wszystkim systemu szkolnego, mającego produkować niższych urzędników dla potrzeb imperium oraz rozpowszechnić wiedzę dotyczącą tego, co „przydatne”, na pewno zaś nie znajomość „Ja”.

Na szczęście dla Hindusów ich wizji świata, zakorzenionej w Wedach, nie powierzono żadnemu kościołowi. Jej przekazywanie nie zostało scentralizowane - jak to miało miejsce w przypadku buddyzmu - i dzięki temu przetrwała. Hinduizm nie miał klasztorów, które można było zrównać z ziemią, jak ten w Nalandzie; nie miał stolicy religijnej, którą można było wziąć szturmem. Guru w jakiejś pustelni ukrytej w lesie przekazywał ustnie swoją wiedzę pięciu czy sześciu śiśjim. A takich guru było bardzo wielu, rozproszonych po całych Indiach. Tradycja chciała jednak, żeby kształcić tylko młodzieńców z najwyższej kasty, braminów.

Swami postanowił przełamać ten monopol i nauczać wedanty każdego, kto byłby tym zainteresowany, niezależnie od tego, czy jest braminem albo Hindusem, czy też nie.

- Pragnienie bycia kompletnym jest wspólne wszystkim ludziom na wszystkich kontynentach i we wszystkich epokach. Problem jest uniwersalny, rozwiązanie także - mówił.

Pod koniec dziewiętnastego wieku, szczególnie pod wpływem Vivekanandy, wiele osób, również na Zachodzie, pomyślało, że wedanta może stać się „uniwersalną Ewangelią” - jak to określił Romain Rolland. W najstarszej wizji wedanty było coś głęboko nowoczesnego, co zdawało się odpowiadać na pustkę duchową spowodowaną nowym dążeniem człowieka w kierunku indywidualizmu i materializmu.

W przeciwieństwie do religii proponujących cele metafizyczne, odkładane zazwyczaj na przyszłe życie, choćby w raju, wedanta ma tylko jeden cel duchowy: rozpoznać własną kompletność. W tym życiu. Teraz.

Swami myślał, że dziś bardziej niż kiedykolwiek powinno to być podstawowym dążeniem całej ludzkości, i robi wszystko, co mógł, aby wiedza dotycząca wedanty zataczała jak najszersze kręgi. Wykształcił już około setki swamich którzy z kolei kształcili następnych, zarówno w Indiach, jak i poza nimi. Tytaniczne zadanie, ponieważ - zgodnie z tradycją - guru powinien osobiście zajmować się każdym swoim uczniem.

Nie istnieje masowe wyzwolenie, tak samo jak nie istnieje masowa edukacja - mówił. I nie przestawał każdego dnia, „krok po kroku”, przemierzać trasy wytyczonej przez tradycję.

Moja karma to nauczać was; wasza karma to być moimi śiśja. Potrzebujemy siebie nawzajem - stwierdził pewnego razu, aby swoim zwyczajem poprzez jakąś sentencję albo historyjkę wprowadzić lżejszy ton po długim wywodzie filozoficznym.

Na początku kursu wyjaśnił na przykład, że jego aśrarr nie jest jednym z tych, które gwarantują oświecenie". Po czym dodał:

...ani tym bardziej złotego rolexa - rozśmieszając wszystkich tą aluzją do Sai Baby, zdolnego - jak się mówi - zmaterializować z niczego zegarki i szklanki pełne wody albo sypać ze swoich palców yibhuti, święty popiół, do wyciągniętych rąk adeptów. (Yibhuti to zarówno popiół, który nakłada się na czoło (popiół z ognia, w którym paliły się placki krowiego łajna), jak i chwała... bowiem wszelka chwała zamienia się w popiół. Yibhuti stosowane jest w pudżach i używane do uczynienia znaku Siwy na czole prze?, kogoś, kto nie ma albo nie chce używać popiołu ze stosu, na którym spalone zostały zwłoki).

Oczywiście ja też potrafię czynić cuda i jeśli będziecie nalegać, któregoś razu w końcu coś zrobię - zakończył a my wszyscy wstrzymaliśmy oddech. Rzecz jasna, żartował, ale „cuda” się podobają i co jakiś czas ktoś przypominał mu o jego obietnicy.

Swami był znakomitym gawędziarzem i używał różnych sztuczek retorycznych, wszelkich forteli, żeby rozbawić słuchaczy i przykuć ich uwagę. Pewnego razu wszedł na swoje małe podium z listem w rękę. Dostał go właśnie od młodzieńca, który chciał zostać jego uczniem. Tyle tylko, że angielszczyzna piszącego nie była zbyt dobra i list kończył się tym, że oferował on Swamiemu zamiast prostrate - prostatę. (Prostrate (ang.) - leżący plackiem na ziemi, czołobitny (stąd „prostracja”); prostatę - prostata)

Innym razem przyszedł na pierwszą poranną lekcję wolniej niż zazwyczaj i wspinając się z trudem po stopniach na swoje podium, stwierdził:

- Ktoś z was musiał mi spłatać figła. Bolał mnie wszystkie kości - i opowiedział starą historię.

Pewien guru daje wskazówki jednemu ze swoich uczniów:

- Dziś wieczorem medytuj, wyobrażając sobie, że siedzę na twojej głowie.

Uczeń odchodzi. Nazajutrz znajduje obolałego guru, który ledwie trzyma się na nogach.

- No więc, jak poszło? - pyta guru ucznia.

- Dobrze, guru-ji. Medytowałem, jak mi podpowiedziałeś, wyobrażając sobie, że siedzisz na mojej głowie. Ale po jakimś czasie zmęczyłem się i medytowałem, myśląc, że to ja siedzę na twojej.

Pewnego wieczora, podczas lekcji satsangu, pilot indyjskich linii lotniczych, który wziął trzy miesiące urlopu bezpłatnego, żeby zdecydować, czy naprawdę chce zostać sannjasinem, skrytykował ten zwyczaj Swamiego opowiadania historyjek. Zapytał go, dlaczego to robi.

- Nie zauważyliście? - odparł Swami - Kiedy się śmiejecie, otwieracie usta. I to jest moment, kiedy mogę tam wrzucić coś ważnego. - Po czym, sam śmiejąc się z otwartymi ustami, dodał: - Kiedy ktoś się śmieje, wyraża kompletność, która w inny sposób się nie ujawnia... Zdarza się tak. choć ten, kto się śmieje, to opóźniony umysłowo, ignorant albo swami.

Lekcja satsangu, wieczorem po kolacji, była jedną z najciekawszych, ponieważ każdy mógł zadawać najróżniejsze pytania. Dylematy młodych brahmacharia miały charakter teologiczny, dotyczyły egzegezy tekstów, subtelności filozoficznych. Pytania zadawane przez „brygadę emerytów”, jak nazywałem grupę starców pod wodzą byłego dyrektora banku z Gudźaratu, dotyczyły śmierci: jak ją

postrzegać i jak się na nią przygotować. Sposób odpowiedzi Swamiego się zmieniał. Pewnego razu zacytował po prostu wersy jednej z upanisad:

Tak jak gąsienica dotarłszy na szczyt źdźbła trawy

Zwija się wokół siebie, żeby przejść na następne,

Tak samo Ja, dotarłszy do kresu życia,

Zwija się i przechodzi ze starego ciała do nowego.

Innym razem powiedział:

Kiedy ktoś umiera w Madrasie, ludzie mówią: „odszedł”. Kiedy ktoś rodzi się w Kojambaturze, ludzie mówią „przyszedł”. Podróżnik jest zawsze ten sam. To Atman, Ja, świadomość bez ograniczeń, niepoddawana stawianiu się, która nigdy nie odchodząc ani nie przychodząc, jest zawsze obecna.

Komuś, kto go zapytał, czy można dojść do życia pozbawionego problemów, odpowiedział, że takiego nie ma: na tym polega ta gra. Kto chce życia bez problemów, jest jak ten wieśniak, który idzie pierwszy raz w życiu na mecz piłkarski i wścieka się na sędziego, że dał dwudziestu dwu graczom tylko jedną piłkę, a oni muszą ciągle za nią gonić.

Ale takie są reguły gry. Takie jest życie. Bez problemów nie byłoby radości. Problemy są sprężyną poszukiwań duchowych - dodał. - Gdybyśmy nie czuli się nędzni i ograniczeni, nie zastanawialibyśmy się, co robić. Człowiek staje się dorosły i dojrzewa w konfliktach. Krowa nie: ona dorasta, ale nie dojrzewa.

Obserwowałem go: był cierpliwy, niestrudzony, opanowany. Nigdy nikogo nie osądzał. Wypełniał swój obowiązek nauczania, niczego nie oczekując - nawet tego, że wszystko zrozumiemy. Był przekonany, że należy do wielkiej tradycji, że ma do zakomunikowania wielką Prawdę i że Prawda ta, prędzej czy później, stanie się dla wszystkich oczywista.

- Prawda nie jest opinią większości. Większość może głosować na rząd, ale nie może zdecydować, co jest Prawdą.

Był znakomity w wyjaśnianiu skomplikowanych pojęć, takich jak dziwa (jednostka, która jest w każdej żywej istocie i przechodzi z życia do życia, czasem ludzkiego, czasem nie); dźgat (świat, przejaw brahmana, ale nieoddzielony od niego, podobnie jak pajęczyna nie jest oddzielona od pająka, który ją wytwarza); sansara (świat nadchodzący, świat pragnień). O dharmie powiedział, że to pojęcie zrozumiałe dla wszystkich: kto z nas chce być zraniony, ograbiony, obrażony, zdradzony przez kogoś innego? A zatem: to, czego oczekuję od innych, jest tym samym, co jestem im winny. To jest dharm, właściwa droga.

Kiedy za pierwszym razem wyjaśniał nam karmę, uczynił to w ten sposób: każde działanie ma swoje skutki; jedne są widzialne, inne nie. Niewidzialne skutki naszych świadomych działań stanowią naszą karmę. Skutki pozytywnego działania, takiego jak bezinteresowna pomoc innej osobie, uratowanie zwierzęcia czy nawet podlanie rośliny - zasługi - wytwarzają punję, kredyt; efekty działań negatywnych - występki - tworzą papę, dług. Kiedy dziwa pozostaje w dharmie, zbiera punję; kiedy pozostaje na zewnątrz, zbiera papę, dług, z którego będzie się musiał rozliczyć w następnym życiu.

- Nawet człowiek pierwotny - powiedział Swami - wiedział o istnieniu karmy. Wychodził ze swojej jaskini na polowanie, a wieczorem wracał, schwytawszy jedynie mizerną wiewiórkę. Ahhafst annllsgahsna? - wrzeszczała żona (Kretynie, to wszystko, co zdołałeś złapać?). Na co on, żeby się usprawiedliwić, odpowiadał: Nggafsrggg snsgshh (Nie miałem szczęścia). Innego dnia wracał z ogromnym zwierzęciem, które mogło wykarmić całą rodzinę. Naggafsargg sgrggris (miałem szczęście) - mówił. A czym są szczęście i nieszczęście, jeśli nie karmą? Wszyscy rozumiemy, że coś w takim czy innym sensie determinuje nasze życie. Tyle tylko, iż niektórzy - jak człowiek pierwotny - wierzą, że to coś związane jest z przypadkiem albo - co gorsza - z jakimś złym duchem. Inni natomiast są przekonani, że my, tylko my, jesteśmy odpowiedzialni za to, co się nam zdarza, ponieważ „szczęście” i „nieszczęście” są owocem naszych działań w tym życiu albo w poprzednich. To jest karma.

Niektóre religie - kontynuował Swami - przypisują każdą rzecz Bogu. Dziecko umiera, a ludzie mówią matce: „Bóg dał, Bóg zabrał”. Ale Bóg nie ma tu nic do rzeczy. Bóg nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. To po prostu kwestia karmy. Natomiast karma to ogromna sieć, w którą wszyscy jesteśmy zaplątani, każdy ze swoją wolnością wyboru, a zatem z własną odpowiedzialnością.

Szczególnie ironiczny był wobec słowa „ja”. Mówił, że bez przerwy go używamy, że na jego podstawie oceniamy cały wszechświat, a przecież nasz umysł nie jest w stanie go zobiektywizować. Jest to słowo, które nie wywołuje w nas żadnego konkretnego obrazu.

Jeśli mówimy, na przykład, „miska”, w naszym umyśle wytwarza się obraz. Mniej więcej taki jak ten... - i wyciągał spod stolika swoją glinianą miskę. - Ale „ja”? Mówimy: „ja jestem wysoki” i myślimy o ciele; „ja jestem przygnębiony”, i zapewne chodzi nam o umysł. Mówimy: „ja jestem ojcem, kuzynem, mężem, żoną”, ale również wtedy nie wyrażamy wszystkiego, bo ten, kto jest ojcem, jest też synem. A zatem kim jest ten „ja” obecny w tak wielu rolach? Wspólnym mianownikiem tych różnych „ja” jest ja - świadomość wszystkich innych „ja”. Od tej świadomości wszystko zależy, ale ta świadomość nie zależy od niczego. Znowu wyjmował spod stolika miskę i mówił:

- Teraz mamy wszyscy świadomość tej miski. - Odkładał ją pod stolik i pokazywał pustą rękę. - A co teraz mamy? Świadomość nieobecności miski! Dobrze: czy miska jest, czy jej nie ma, świadomość istnieje zawsze.

I tak całymi godzinami. To była droga. Miał taki zamiar, że w pewnym momencie wszystko stanie się jasne, oczywiste... jak w pięknej historii, którą lubił też opowiadać wielki Ramakryszna.

Pewna lwica umiera przy porodzie, a osierocone lwiątko zostaje zaadoptowane przez stado owiec. Rośnie z nimi, skubie trawę, uczy się przy nich beczeć i być towarzyskim jak owca. Aż pewnego dnia stary lew, który obserwował je z daleka, atakuje stado z głośnym rykiem. Lwiątko, wystraszone jak pozostałe owce, ucieka, ale stary lew dogania je, chwyta za kark, zanoszą nad staw i zmusza, żeby przejrzało się w tafli wody.

- A więc, kim jesteś? Owcą? - pyta lew.

I po raz pierwszy lwiątko wydaje z siebie ryk.

To małe lwiątko to my, którzy nie wiemy, kim jesteśmy. Stary lew to guru. Lustro wody to wedanta.

Bez guru nie ma poznania. Stąd jego wielkie znaczenie. „Po co chodzisz z miasta do miasta, od świątyni do świątyni w poszukiwaniu boga? Bóg przebywa w tobie, ty jesteś bogiem. A zatem nie szukaj boga. Poszukaj za to guru, który poprowadzi cię ku odkryciu siebie samego” - napisał Śankara przed dwunastoma wiekami. Stąd związek - dla nas, ludzi Zachodu, prawie niezrozumiały - całkowitej zależności ucznia od guru.

W aśramie byłem skonsternowany pochlebstwami w stosunku do Swamiego.

- Każdy związek międzyludzki ma swoje ograniczenia - powiedziała na ten temat pewna kobieta podczas jednego z satsangów. - Między braćmi brakuje związku z ojcem: między ojcem a synem brakuje związku z matką. Tylko w związku z guru niczego nie brakuje: on jest ojcem, matką, bratem, nauczycielem, sąsiadem, lekarzem. Nie ma takiego problemu śisja, którego guru nie uczyniłby swoim, ponieważ on, guru, jest pozbawiony problemów. Oto powód mojego oddania dla niego.

Inna powiedziała:

- Kiedy go spotkałam, jakbym się na nowo narodziła. Moi rodzice dali mi ciało, ale Swami-ji - duszę.

Byłem zaszokowany. Rozumiałem, kiedy się mówiło, że „guru nie jest istotą ludzką”, i że szanuje się w nim poznanie, nie osobę. Jednak owo ślepe oddanie, owo ostentacyjne i dosłowne rzucanie się do jego stóp przy każdej okazji mnie odpychało.

Po każdej lekcji najbardziej oddani uczniowie - a było ich kilkudziesięciu - biegli za Swamim do jego rezydencji, kutii. Guru zasiadał tam w pięknym fotelu, a oni defilowali przed nim, żeby dotknąć jego palców u stóp, a potem po prostu mu się przyglądali.

Od samego początku postanowiłem nic takiego nie robić i zamiast iść za Swamim, wracałem do swojego pokoju. Pewnego dnia Sundarajan zwrócił mi uwagę, że ci, którzy szli do domu Swamiego, wracali z prezentem: zazwyczaj był to banan. Już od pewnego czasu nie miałem w ustach owoców, więc się skusiłem. Ale kiedy tylko minąłem próg, zdałem sobie sprawę, że gdybym padł do jego stóp, poczułbym zakłopotanie, a gdybym tego nie zrobił, wprowadziłbym w zażenowanie innych. Dlatego zrobiłem krok do tyłu na oczach skonsternowanej kobiety, która w rzędzie za mną czekała na swoją kolej.

Poza tym życie mnicha było bardzo przyjemne: całkowity spokój, żadnej odpowiedzialności, każdy dzień regulowany rytuałami i ustalonym rytmem, a umysł zaprzątnięty niecodziennymi tematami. Czasem nadzwyczajnymi. Co za radość obudzić się i myśleć o bhagawanie, nie musząc zajmować się codziennymi drobiazgami! Aśram był wyspą poza światem, osłoniętą przed jego hałasami, przed falami jego pragnień. I to stanowiło część uroku tego miejsca.

Rozumiałem wielkie tradycje - również nasze - reguł zakonnych. Pojmowałem jednocześnie, jak komuniści chińscy mogli zbudować w Lhasie muzeum, żeby unaocznić takim jak ja zwiedzającym „potworności tybetańskiego lamaizmu”. Mnisi pokazywani tam byli jako waikonie, uchylający się od trudów życia, od odpowiedzialności za rodzinę, od ciężkiej pracy na roli, żeby śpiewać hymny w klasztorach, pozostając „na utrzymaniu tych, którzy wlewali pot na zewnątrz”.

Czasami ja sam miałem wrażenie, że jestem taki sam jak oni, bo pozwoliłem, żeby inni zajmowali się moimi problemami. Myślałem o Angeli, o przyjaciółach, którzy pracując, popychali świat naprzód

również dla mnie. Widziałem ich, jak idą do biura, telefonują, wpatrują się w ekran komputera, odpowiadają na maile, podpisują czeki... A ja - nic z tych rzeczy. Od rana do wieczora... rozmyślałem o bhagawanie.

- Zostawcie poza sobą to wszystko, co jest zewnętrzne: ludzi, rzeczy. Okoliczności są takie, jakie są. To, co was niepokoi, jest poza „Ja”, a „Ja” nie musi niczego pragnąć, nie musi osądzać. „Ja” ma być tylko obiektywnym mediatorem i zostawić każdemu wolność własnego przeznaczenia - mówił Swami podczas medytacji o świecie. - Wycofajcie się z waszych zmysłów, bądźcie jak żółw, który wciąga łapy i głowę do swojej skorupy... Spójrzcie na swoje ciało z zewnątrz, spójrzcie na siebie jak na oddychający posąg. Nasłuchujcie, dostrzegajcie to, co się dzieje, i uświadamiajcie to sobie...

Siedząc wyżej, na swoim małym podium, w audytorium pogrążonym w całkowitej ciemności, Swami prowadził medytację po cichu i niewiele mówiąc. Jednym z powracających tematów był obiektywizm.

Medytowanie o świecie przypominało robienie planów na cały dzień. Fakt, że tyle osób równocześnie zajętych było w ciszy uspokajaniem swoich umysłów, wytwarzało intensywność, koncentrację, niemal poczucie siły.

Medytowanie oznacza w gruncie rzeczy uzyskiwanie świadomości samego siebie. To niełatwe, ponieważ umysł jest ze swej natury niespokojny, czasem gwałtowny, rozprasza się, więc podejmowanie prób, żeby nie myślał, to tak, jakby chciał schwytać wiatr w ręce i pokierować go tam, gdzie się chce" - mówią upanisządy.

A jednak zdolność koncentracji, przywrócenia umysłu samemu sobie zdawała mi się kwestią woli, siły charakteru, czymś, w co warto było zaangażować wysiłek, ponieważ kontrolowanie własnego umysłu oznacza w ostatecznym rozrachunku kontrolowanie swojego życia.

Umysł jest zaczątkiem wszystkich problemów człowieka, ale także miejscem, gdzie się je rozwiązuje. Umysł to ukryty skarb, po którym przechadzamy się codziennie, nie zdając sobie sprawy z jego wartości. Chodzi tylko o to, żeby wejść w jego posiadanie, żeby nad nim zapanować i uczyć się, aby robić wszystko świadomie, a nie coraz bardziej nieuważnie.

Pewnego wieczora, podczas godziny satsangu, dobrze to ujął Swami. Jeden z emerytów zapytał:

- Czym jest życie? - a on odpowiedział po prostu:

- Życie? To seria małych kroków. Tylko stawiając je świadomie jeden po drugim, można mieć nadzieję, że utrzyma się kontrolę.

Zgadzałem się z tym: wiele małych kroków - czasem nawet nierozważnych! - ale nie stawianych przypadkiem.

Aśram był znakomitą okazją, żeby wszystko przemyśleć, przeanalizować sądy z przeszłości, docenić wartość starych rzeczy i dodać nowe do wizji świata, który tam każdego dnia zdawał mi się coraz bardziej bez granic i bez tabu.

Kiedy byłem dzieckiem, matka zmusiła mnie - ponieważ tak się robiło - żebym został ministrantem i służył do mszy w kościele w pobliżu naszego domu. Nie nadawałem się specjalnie do tej roli i odrzucenie jej po jakimś czasie było moim pierwszym „buntem". Od tamtej pory, jak sądzę, nigdy nie

wziętem udziału w żadnej ceremonii religijnej. W aśramie znów spróbowałem: trochę z ciekawości, poza tym także z pewną przyjemnością.

Tuż przed piątą opuszczałem mój pokój i oddychając pełną piersią, uśmiechając się do mojego żołądka, gdzie -jak sobie wyobrażałem - docierało świeże i czyste powietrze, ruszałem w drogę. Przyroda dookoła była spokojna i pogodna. Dym z cegielni mieszał się z mgłą, tworząc welon tajemnicy między mną a wilgotnymi jeszcze od nocy górami. Ciszę przerywało najpierw dalekie pianie kogutów, potem uporczywy krzyk jakiegoś dziwnego ptaka, który zdawał się wrzeszczeć: „Pomocy... pomocy”, bezczelne krakanie wron, a następnie przerywane ujadanie pozostających z konieczności na wegetariańskiej diecie psów z aśramu, które - razem z śiśja - zaczynały zmierzać w stronę refektarza. Wielkie uczucie spokoju emanowało z tej powolnej procesji moich towarzyszy, którzy w niepewnym jeszcze świetle dnia defilowali - białe, samotne i milczące sylwetki - u stóp palm, bananowców, wielkich drzew deszczowych, a także tych o pomarańczowych koronach - płomieni lasu.

Szklanka herbaty wypijana bez słowa, potem do świątyni. Budowla była prosta, wychodząca prosto z ziemi i wystawiona na wszystkie kaprysy pogody: schody, platforma z cementu i dach, podtrzymywany przez dziesięć kolumn. W centrum całej uwagi - i oddania - było wielkie tabernakulum z intarsjowanego kamienia, w którym stał posąg bogini Dakśinamutri, inkarnacji Siwy, protektorki Wed. W mniejszym, bocznym tabernakulum, stał z kolei Ganeśa, bóg z głową słonia, który pomaga pokonywać przeszkody. Ci, którzy przybywali jako pierwsi, siadali w rzędach przed tabernakulum, następni coraz dalej, z tyłu. Poranna ceremonia polegała na obmywaniu posągu bogini i przygotowywaniu jej do dnia. Trzej kapłani, pudźari, krzątali się wokół i w środku sancta sanctorum. Najstarszy zaczynał od zdejmowania z bogini stroju i kwiatów z poprzedniego dnia; dwaj pozostali przynosili i odnosili miski i wiadra. Dwie wdowy-zakrystianki intonowały hymny, które towarzyszyły całej ceremonii, i rzucały władcze spojrzenia, pilnując, żeby kadzidło, kwiaty i lampki olejne znalazły się na swoim miejscu, a także aby dzwonek - czasem powierzany również mnie - zabrzmiał w odpowiednim momencie.

Posąg, cały z czarnego kamienia, naturalnej wielkości, był najpierw obmywany wodą, następnie olejem kokosowym, potem znowu wodą, dalej mlekiem, jogurtem, papką bananową, jeszcze raz wodą i w końcu, po osuszeniu oraz wypolerowaniu, oprószano go perfumowanym pudrem z drzewa sandałowego. Siedzenie tej precyzyjnej sekwencji gestów i dźwięków, odbywającej się w rytm wezwań zakrystianek i pudźarich, którym odpowiadał chór wiernych, było zachwycającym przeżyciem. Po półgodzinie mrówczej pracy główny pudźari zaciągał zasłonę przy wejściu do tabernakulum i przez kilka minut pozostawał sam z posągiem. Chór kontynuował swój śpiew, zasłona się podnosiła - tutaj trzeba było zadzwonić - i posąg, teraz odziany w barwne tkaniny oraz udekorowany kwiatami, pojawiał się w całym swoim blasku.

Wtedy zaczynała się druga część ceremonii. Przed tabernakulum wnoszono wielki wiklinowy kosz, wypełniony płatkami kwiatów. Główny pudźari, wymawiając kolejno sto osiem imion bogini, rzucał je z wdziękiem do jej stóp sto osiem imion, wszystkie powtarzane przez chór, sto osiem garści płatków. (Sto osiem to w Indiach święta liczba: miałyby być sto osiem klasycznych upaniszad, istnieje sto osiem głównych religijnych modlitw, jest sto osiem paciorków mali, indyjskiego różańca). Zasłona znów się zasuwała, kolejne dzwonki i ceremonia osiągała punkt kulminacyjny. Po odsunięciu zasłony,

w świątyni pogrążonej w całkowitej ciemności, posąg - w drżącym świetle jedynej lampki oliwnej zwisającej z sufitu, aby oświetlała twarz bogini - zdawał się teraz żyć własnym życiem.

Była to chwila darśany. To sanskryckie słowo oznacza: patrzeć, ale też: być oglądanym. Każdy wstawał z miejsca, zbliżał się powoli do progu sancta sanctorum, zwracał się z uszanowaniem ku wejściu, po czym, zatrzymując się przez chwilę z dłońmi złożonymi na piersi, patrzył na bóstwo i czuł, że ono patrzy na niego.

Widziałem w oczach wielu moich towarzyszy radość, jakiej nie znałem i której im zazdrościłem. Uderzała mnie emocja, z jaką osoby te, w różnym wieku i o różnej pozycji społecznej, zbliżały się, skupione i nienasycone, do rzeźby z kamienia, w której wyczuwały boską obecność. Ich twarze miały taki sam zagubiony, ekstatyczny wyraz jak pysk małego kamiennego byka, klęczącego przed tabernakulum i - podobnie jak oni - adorującego bóstwo. Jeden pudźari afektowanym ruchem ręki podawał mu łyżki mleka, które lądowały na posadzce.

Mosiężny talerz, w którym płonęła jeszcze kamfora, oświetlająca posąg w trakcie przystrajania, krążył teraz między wiernymi. Każdy z nich brał w obydwie ręce unoszące się wokół tego płomienia powietrze, aby owionąć nim twarz i głowę. Gdy wychodziliśmy ze świątyni jeden pudźari błogosławił nas, opryskując z konchy dużą ilością wody (idea święconej wody na pewno pochodzi stąd), podczas gdy drugi wkładał do prawej dłoni mijających go osób łyżkę bananowej papki, którą posmarowano ciało bogini, a potem zebrano do wazy u jej stóp. Był to prasad, pożywienie ofiarowane bogom, które teraz - pobłogosławione - mogliśmy zjeść. Żeby nikogo nie obrazić, wkładałem je sobie do ust jak inni, żeby potem, w ukryciu, wypluć.

Być może właśnie dlatego, że matka zmuszała mnie do tego w dzieciństwie, zawsze czułem instynktowną odrazę do klękania, znaków krzyża, padania przed obrazami, a jeszcze bardziej przed ludźmi. A przecież czułem, że podczas owej godziny niepotrzebnego krzątania się, żeby rozebrać i na powrót ubrać kamień, w tym podchodzeniu potem do niego z uszanowaniem, o którym zapomniałem, nie było słabości. Przeciwnie. Z tego rytuału moi towarzysze zdawali się czerpać siłę, która ich wzmacniała. Ja sam byłem pod urokiem. Dostrzegałem, że w tej niewiarygodnej sekwencji gestów jest coś głęboko uspokajającego.

Rytuały. Ile potworności, rozpacz i pustki pozostawiły wszystkie próby zanegowania ich mocy. Chiny utraciły dużą część swojej pięknej, starej duszy wskutek podejmowanych przez komunistów prób stłumienia i wymazania dawnych rytuałów. Rosja, po sześćdziesięciu latach sowieckiego reżimu, który zlikwidował ten aspekt życia kraju, stała się teraz łatwym rynkiem dla polujących na dusze protestanckich sekt amerykańskich i dla ich rytuałów.

A Zachód, mój świat? Pobudzani laicką i obrazoburczą, całkowicie materialną ideą wolności indywidualnej, zwalczyliśmy długą tradycję, ośmieszyliśmy wszelką wiarę, wy eliminowaliśmy wszystkie rytuały, odbierając w ten sposób naszej egzystencji tajemnicę, a tym samym poezję.

Rodzimy się, żyjemy i umieramy, i żadna ceremonia, żaden rytuał nie wyznacza już etapów naszego przebywania a na świecie. Narodziny dziecka nie skłaniają do żadnego refleksyjnego zachowania, poza zgłoszeniem do urzędu stanu cywilnego. Młode pary żyją w większości w związkach partnerskich, nie biorą ślubu, a jedynym rytuałem, w jakim uczestniczą, jest przeprowadzka. Nie zaznaczają tego początku nowego życia nawet poprzez zmianę koszuli. A przy braku ceremonii inicjacyjnej brakuje też

uświadomienia sobie przejścia do kolejnego etapu; przy braku symbolicznego kontaktu ze świętością brakuje zaangażowania. Często związek, który się w ten sposób rodzi, łączy tylko seks i rachunek telefoniczny. Sama śmierć przeżywana jest już bez świadomości i rytualnego pocieszenia. Przy ciele zmarłego już się nie czuwa, a pożegnanie, jeśli następuje, nie jest już prowadzone przez kapłanów czy czarowników, a przez specjalistów od public relations.

Porzucenie rytuałów obserwowałem w trakcie mojego życia i teraz, kiedy spoglądam wstecz, ciąży mi fakt, że przyczyniłem się - wtedy pełen entuzjazmu - do tej wielkiej straty. Kiedy byłem dzieckiem, noworodki - nawet te z rodzin komunistycznych, jak ja -jeszcze chrzczono, przy zmarłych się czuwało i urządzało im prawdziwy pogrzeb, natomiast małżeństwo było świętem chóralnym, celebrowanym nie tylko w obliczu Boga, ale również w obecności dziesiątków krewnych i przyjaciół, którzy stawali się w ten sposób milczącymi gwarantami tego związku.

Ale ja byłem zbuntowany. Nie chciałem się żenić, a kiedy to zrobiłem - przede wszystkim ze względu na ubezpieczenie chorobowe - wszystko odbyło się w pośpiechu, niemal potajemnie. Obecni byli tylko niezbędni świadkowie i burmistrz, którego - nie chcąc, by wywodził się z Chrześcijańskiej Demokracji - musiałem szukać z dala od Florencji, w gminie Vinci. Największą jej zaletą był fakt, że urodził się tam Leonardo. Dzieci nie ochrzciłem i nie byłem obecny ani przy śmierci mojego ojca, ani matki.

A przecież w dzieciństwie lubiłem rytuały i jeszcze dziś pamiętam, jako jedną z wielkich radości mojego życia, prawdziwą ceremonię, jaką stało się, gdy skończyłem czternaście lat, przekazanie mi przez rodziców, dla zaznaczenia mojego „wejścia w wiek męski”, pierwszej pary długich spodni. Ponieważ byli biedni, musieli je kupić na raty. Ale wiatr historii wiał w innym kierunku i po prostu dałem mu się porwać, pomagając tym samym zniszczyć coś, czego nie zastąpiono niczym innym, i pozostawiono nędną pustkę.

W Indiach ten wiatr przemian dopiero zaczął wiać i -szczególnie na wsi, gdzie żyje większość ludności - rytuały stanowią jeszcze bardzo ważną część życia. Wieśniak nie wyjdzie rano z domu, nie pochyliwszy się, żeby dotknąć progu drzwi, kobieta nie rozpocznie dnia, nie ofiarowując słońcu kilku kropli wody.

Dla Hindusa całe życie jest rytuałem. Pierwszy z nich jest celebrowany, zanim jeszcze człowiek zostanie poczęty. Następne - przy każdym „przejściu”. Istnieje rytuał kończący okres karmienia piersią, inny, kiedy dziecko zostaje wyniesione na dwór w nocy, żeby po raz pierwszy zobaczyło gwiazdy, jeszcze inny przy okazji pierwszego strzyżenia włosów. Kiedy dziecko zostaje brahmacharia, najpierw je posiłek z matką, następnie wychodzi z domu, po czym wraca, by poprosić ją o pierwszą biksę, swoją pierwszą jałmużnę. (Biksą to propozycja posiłku złożona z szacunkiem komuś, kto oddaje się mokszy, wyzwoleniu. Nie można jej porównać z tym, co my nazywamy jałmużną, która dawana jest zazwyczaj bez żadnego respektu dla osoby, która o nią prosi. Pewnego razu Swami opowiedział, jak to ortodoksyjna rodzina jego znajomych odmówiła wydania córki za małż za jednego z mieszkańców wioski, który się wzbogacił i został właścicielem hotelu w mieście. Jego występki polegały na tym, że „sprzedawał jedzenie”, a jest ono święte; daje się je, a nie sprzedaje). I tak dalej, aż do śmierci, kiedy zwłoki człowieka oddawane są płomieniom na stosie. Podpala go pierwszy męski potomek za pomocą tego samego ognia, którym zmarły został wtajemniczony w Wedy i z którego przygotowano pudzę na jego ślub. Nawet śmierć nie uwalnia go od rytuałów. Dwanaście dni po jego odejściu odprawia się jeszcze rytuał, podczas którego prosi się zmarłego, żeby nie krążył już więcej po

domu, przeciął wszystkie więzy i zajął swoje miejsce obok ojca i dziadka, (Wraz z jego przyjściem swoje miejsce traci pradziadek) wśród przodków, którzy muszą być wspominani i szanowani. Mantra recytowana przy tej okazji jest bardzo piękna i już niesmutna. Kto chciał płakać, wyplakał się już przez dwanaście poprzednich dni.

Rytuały, rytuały, rytuały. Są wielkim tematem Wed. Opisują one, jakie gesty, rytm i słowa należy zastosować podczas poszczególnych ceremonii, a także wymieniają, jakich rezultatów można oczekiwać, jeśli zostaną one wykonane zgodnie z regułami. Przewidziany jest każdy najdrobniejszy szczegół: od czasu trwania mantry po ofiarę, jaką należy dać pudżariemu, który ją recytował, od liczby dni, jakie należy poświęcić na daną pielgrzymkę, po sposób sprzątnięcia domu. Rytuał jest działaniem, po którym należy spodziewać się efektu. Dlatego też Wedy należą do sansary, do świata pragnień, i są pomyślane właśnie dla tych, którzy szukają na tym świecie rezultatów. Kobieta pragnie męskiego potomka? Wedy mówią jej, co ma zrobić i jak. Jakiś człowiek chce być bogaty i pójść do raju? Wedy mówią mu dokładnie, jak postępować. Przyczyna i skutek stanowią logikę tych pism. Pozostaje ona cały czas logiką stawania się i zmiany, logiką związaną z czasem i przestrzenią, logiką „Ja”.

Ale jeśli ktoś szuka czegoś innego? Jeśli pragnie wyjść poza stawanie się, uwolnić się od tego wszystkiego?

W tym tkwi wielkie odkrycie myśli indyjskiej. Na koniec Wedy ujawniają, że ich prawdziwym celem jest przewyciężenie samych Wed. Przewyciężeniem tym jest wedanta, końcowa część Wed. Wraz z wedanta człowiek wychodzi z rytuałów, z ich reguł, z niewoli narzuconej przez Wedy.

Wedy są „religią”, wedanta - wyzwoleniem od wszystkiego, również od religii. Wedanta nie występuje już w sferze stawania się, ale bycia. Nie ma nic wspólnego z posiadaniem dzieci czy wiernej żony, ze stawaniem się bogatym czy pójściem do raju. Cała wedanta skupiona jest na „Ja”, nie nieograniczonej świadomości - poza czasem i przestrzenią. Chcecie podążać za normalnymi pragnieniami świata? Nic w tym złego. Pozostańcie w Wedach. Ale wiedźcie - wyjaśnia wedanta - że również raj z Wed, jakkolwiek by był wspaniały, jest tylko Jeszcze jednym miejscem”, i jako taki pozostaje w przestrzeni i czasie - nie może trwać wiecznie. Można tam dotrzeć w oparciu o swoje punja, własne zasługi, ale kiedy ten kapitał się wyczerpie, trzeba się cofnąć i zacząć wszystko od początku.

- Nie można dostać pozwolenia na pobyt w raju na czas nieokreślony - mówił Swami.

On sam mógł się przyglądać rytuałom, ale nie był już ani ich podmiotem, ani przedmiotem. Obserwowałem, jak pozwalał, żeby ludzie padali do jego stóp. ale on sam nie czynił żadnego gestu pobożności przed posągami różnych bóstw. Nie było już nic, o co mógłby je prosić: opuścić świat pragnień.

Zdawało mi się, że jest w tej myśli jakaś ujmująca wielkość.

Czyżbym stawał się religijny? Na pewno nie w rozumieniu Wed!

Przez parę tygodni nie opuściłem ani jednej porannej pudży. Potem, kiedy wszystko zaczęło się powtarzać i zdało mi się, że zrozumiałem to, co chciałem zrozumieć, wolałem iść na szczyt wzniesienia, które nazywałem „moim”, i cieszyć się wschodem słońca zamiast ubieraniem bogini.

Nawet proste jedzenie w aśramie było ceremonią. O pół do pierwszej cała społeczność, łącznie z kilkoma wydzierającymi się kotami i tą samą co zwykle zgrają psów-wegetarian, zmierzała w kierunku jadalni, tworząc długą kolejkę, która z wielkiej łaki wiła się aż do wejścia i powoli przesuwiała do przodu. Po dotarciu do podnóża schodów zdejmowało się obuwie, brało się talerz i szklankę ze stosów ustawionych na stojących na zewnątrz stołach i wchodziło do wielkiej sali, w której z rzędu dymiących kotłów pięciu lub sześciu śiśjich nakładało nam na talerze... śpiewając. A każdy z nas, podsuwając dwoma rękami talerz i dziękując, dołączał się do chóru intonującego fragment Gity, w którym Kryszna mówi o sobie:

Ja jestem ogniem w ciele tego który żyje

Reguluję oddechy i trawię pożywienie

Przebywam w sercach wszystkich stworzeń

Wszystko pochodzi ode mnie: pamięć, poznanie i błąd.

Ja jestem tym którego poznaje się w Wedach

Ja jestem tym który je poznaje

Ja jestem źródłem wedanty.

Wciąż śpiewając, szukało się wolnego miejsca na jednej z długich, słomianych mat rozłożonych na podłodze jadalni, a owe wersy z piętnastego rozdziału rozbrzmiewały w całej sali, dopóki wszyscy nie zostali obsłużeni. Piękne było brzmienie sanskrytu. Piękna kadencja hymnu, w którym Kryszna, inkarnacja Całości, przedstawia Ardżunie niektóre ze swoich form. Każdy z nas wkładał trzy palce prawej ręki do wypełnionej wodą szklanki i okrężnym ruchem rozpryskiwał kilka kropli na jedzeniu, które miał przed sobą. W ten sposób pokarm stawał się ofiarą dla agni, ognia, bóstwa w żołądku, aktem oddania i podziękowania.

Podobało mi się to. Kiedy byłem dzieckiem, w moim domu robiło się znak krzyża, ale również ten zwyczaj, jak inne, zagubił się w pośpiechu życia. Uważamy wszystko za pewnik. Wydaje się nam, że mamy - ciekawe, skąd się to bierze i dlaczego - jakieś prawo do wszystkiego. Wszystko wydaje się nam należne i nie dziwimy się już, że znajdujemy przed sobą coś przyjemnego, coś potrzebnego, jak jedzenie: choć czasami nawet na to nie zasłużyliśmy.

Jedzenie na stole stało się czymś oczywistym, przynajmniej na Zachodzie. Nie jest to niespodzianka, za którą należałoby komuś podziękować. I tak jemy, jemy, napycha-my się jak automaty, oglądając przy tym telewizję albo czytając opartą o szklankę gazetę.

W aśramie śiśja dostawali wszystko za darmo. Swami uczył nieopłacany przez nikogo, ponieważ to była jego karma, natomiast nasze utrzymanie pokrywane było z ofiar, bikśi, jakiegoś bogatego Hindusa, który tym „dobrym uczynkiem” zbierał zasługi dla własnej karmy.

Czasami ten czy inny przemysłowiec z Kojambaturu albo Madrasu, aby uczcić jakieś wydarzenie lub rocznicę, ofiarowywał coś specjalnego: owoce albo ciasto, i wtedy jego imię zapisywane było kredą pośród innych, którym należało podziękować na zakończenie hymnu. Pewnego razu na tablicy

pojawiło się zawiadomienie o biksi, złożonej przez Anama dla uczczenia urodzin jego żony. Wtedy, przed włożeniem palców do papki z ryżu i ciecierzycy, cały refektarz odpowiedział kilkoma wersami wedyjskimi na wezwanie brahmacharii, aby życzyć Angeli wszystkiego dobrego w tym i we wszystkich innych życiach.

Mój Boże, jakże ona zasłużyła na te życzenia! Pozwalała mi przebywać tam, nic mi nie wypominając, niczym mnie nie obciążając, nie wzbudzając we mnie poczucia winy. Na pewno była jednym z moich najlepszych lekarstw! I to nie tylko od chwili, kiedy dopadła mnie choroba. Od samego początku był to związek życia, instynktowna zgoda na to, jak patrzeć na świat i w jakim kierunku dążyć. A zatem co mogło być lepszego niż zestarzyć się razem? Każde na swój sposób, również w oddaleniu, ale zawsze „we dwoje”.

Życzenia te nie wystarczały jednak do spłacenia długu. Pewnego dnia Swami wyjaśnił, że według Wed mąż, który zostawia żonę samą na długi czas, zbiera papę, złe uczynki, na koncie swojej karmy. Jakże mądrzy byli starożytni Hindusi! Małżeństwo postrzegali jako środek do duchowego dojrzewania. Nie można było z niego wyjść - nawet na trochę i z dobrymi intencjami - nie płacąc za to ceny.

Początkowo odrzucała mnie trochę konieczność jedzenia palcami - które potem trzeba było oblizać - ale i do tego szybko przywykłem. Pomogło mi w tym wspomnienie pewnej pani z dobrego hinduskiego towarzystwa, która powiedziała kiedyś:

- Jeść za pomocą sztućców to tak, jakby brać prysznic w płaszczu nieprzemakalnym.

Jedzenie, które dostawaliśmy w aśramie, nie było specjalnie wykwintne. Bez jajek - bo są „życiem”, bez czosnku i cebuli - bo według tradycji pobudzają popęd seksualny, i bez wielu przypraw - również jakoby mających powodować niepotrzebne rozkojarzenie. Papki z ciecierzycy, fasoli, kalafiora i ryżu były bardzo mdłe, ale dla niektórych moich towarzyszy i tak stanowiły nadmierne ustępstwo.

Pewnego dnia zauważyłem, że jeden siedzący obok mnie brahmacharia w ogóle nie używał talerza. Kazał sobie wrzucać trzy albo cztery różne potrawy do kubeczka, w którym mieszał je ręką, „tak żeby nie odróżniać już smaków”. Jak mi wyjaśnił, był to sposób na kontrolowanie swojego pragnienia. Jedzenie było koniecznością, ale nie należało robić z tego przyjemności, która potem by nas zniewoliła.

- Kiedy wszystkie pragnienia, które przebywają w sercu, zostaną porzucone, śmiertelnik staje się nieśmiertelny i osiąga brahmanę, tu i teraz - oznajmił, cytując upaniszady. Według niego bardzo ważne było przewyciężenie naszego nieustannego rozróżniania między tym, co lubimy, a czego nie.

Z tego wszystkiego najbardziej „polubiłem” ideę poddawania się próbie również w najmniejszych rzeczach. Postanowiłem urzeczywistnić to poprzez czynność, której naprawdę nie lubiłem: zmywanie naczyń.

Kiedy było to konieczne, w domu robiłem to, co na mnie wypadło, ale zawsze unikałem zmywania. Nienawidziłem tego. Tam, w aśramie, gdzie zaraz po zjedzeniu trzeba było umyć to, czego się używało, narzuciłem sobie, żeby czynić to... z miłością. Zmusiłem się zatem do zmywania „świadomego”, do zmywania dla zmywania, a nie do zmywania, myśląc o czymś innym. Kierowałem się przy tym sugestiami Thich Nhat Hanhat wietnamskiego mnicha zeń, skierowanymi do osób, które chcą się nauczyć koncentracji.

Zadziałało. Nawet zniechęcone zmywanie wydało mi się po jakimś czasie przyjemnym rytuałem. Stojąc w rzędzie wraz z innymi, naprzeciw czegoś w rodzaju poidła z wieloma wodotryskami, czyściłem dokładnie popiołem i mydłem thali, metalowy talerz z wysokim brzegiem, i szklankę, których używałem. Potem płukałem je bardzo dokładnie w nadziei, że pozostali postępują tak samo, zważywszy że przy następnym posiłku to, co ja wyszorowałem, trafi do kogoś innego, a ja dostanę naczynia umyte przez nie wiadomo kogo.

*

Wiem, że mój śpiew nie podobał się innym, ale ja byłem nim zachwycony. A śpiewało się często: śpiewało się podczas porannej pudzi, śpiewało się na początku każdej lekcji, śpiewało się przed jedzeniem, śpiewało się przez całą godzinę podczas kursu hymnów wedyjskich i śpiewało się wieczorem na zakończenie satsangu, przed pójściem do łóżka

Śpiew stanowił część naszych dni i zdałem sobie sprawę, że wpływa na mój stan ducha; być może podnosił poziom mojej świadomości. Zdarzało się to szczególnie przy śpiewaniu mantr. Czy to możliwe? Dla Swamiego było to oczywiste:

- Sanskryt hymnów wedyjskich i mantr działa na umysł - mówił. A ja nie miałem powodów, żeby z nim polemizować. Przeciwnie.

Może to z powodu ich rytmu, może ze względu na wymuszane przez nie regularne oddychanie, powtarzanie mantr, intonowanych przez dwie wdowy-zakrystianki, dawało mi poczucie lekkości, ocierające się o radość. Gdy śpiewałem zdawało mi się, że moje „Ja” staje się coraz mniejsze i odleglejsze, a jego los coraz mniej istotny.

Uzdrowienie przychodzi...

Od osoby prawej i świętej

I od mantr, które śpiewasz.

Czy to Swami był „osobą prawą i świętą”, która miała mnie uzdrowić? Czy to o śpiewanych przeze mnie mantrach mówił Zaratusztra we fragmencie, który przypadkiem nosiłem przez lata przy sobie, kiedy jeszcze nie miałem pojęcia, co oznacza słowo „mantra”?

Kimś, kto ślepo wierzył w „moc” manddrram, jak je nazywał ze swoim tamilsko-malezyjskim akcentem, był Sundarajan. Znał kilka ich tajemnic, które powierzył mu w dzieciństwie pewien stary sadhu, i od których, jak mówił, zależało jego przetrwanie. Recytował je na głos zaraz po przebudzeniu, recytował w milczeniu podczas spaceru i na tych mantrach koncentrował swoją uwagę w czasie medytacji. Według Sundarajana mantry były formułami magicznymi, które -jak „abrakadabra” - miały moc wpływania na ducha i materię. Według niego same słowa wytwarzały wibrację, która, wchodząc w zgodność z wibracją charakterystyczną dla każdego przedmiotu i ciała, działała leczniczo lub destrukcyjnie na dany przedmiot lub ciało. W skrócie - mniej więcej tak, jak muzyka zadziałałaby na komórki.

On zaklinał się na to wszystko, zapominając - na co zwróciłem mu uwagę - o swoich studiach inżynierskich!

Ja, na początek, zadawałem się wyjaśnieniem dotyczącym oddechu. Pomiedzy światem, w którym oddychamy, a naszym umysłem istnieje oczywiście ścisły związek: jedno wpływa na drugie. Łatwo to zauważyć. Kiedy nasz oddech jest nieregularny, umysł staje się niespokojny. Kiedy się denerwujemy, dostajemy zadyszki. Kiedy nasz umysł pogrążony jest w pięknych myślach, oddech staje się coraz bardziej regularny i głębszy. Zdarza się tak nawet we śnie.

Przy recytowaniu wciąż tej samej mantry oraz łączeniu ostatniej sylaby z pierwszą i tak dalej (w sanskrycie to obsesyjne powtarzanie nazywa się dżapa), oddech zyskuje szczególny rytm i powoduje zmianę w umyśle (czy też świadomości), o której mówił Swami. Oczywiście innym aspektem mantry jest to, że skupiając się nieustannie na sekwencji słów, umysł nie może się rozprasać. Następna myśl nie jest niepewna i to wytwarza dystans między „Ja” a umysłem, który pozwala „Ja”, by go obserwował, by miał umysł pod kontrolą. Przynajmniej tak się mówiło.

Bez wątplenia było coś szczególnego w tych dźwiękach przekazywanych przez tysiąclecia, z pokolenia na pokolenie, z identyczną wymową, identycznym rytmem, identycznymi cezurami. Gdyby mantry okazały się nieprzydatne, zostałyby zapomniane, odłożone na bok. Tymczasem tradycja trwa. Guru, który ma całkowite zaufanie do swojego ucznia, ofiarowuje mu, jakby to był cenny dar. mantrę, która połączy tych dwóch na zawsze. A wśród rytuałów jest też polegający na tym, że ośmioletniemu dziecku daje się mantrę, którą będzie mogło się posługiwać do końca życia.

Według mnie tym, co czyniło te dźwięki szczególnymi, było to samo, co czyniło szczególnymi lekarstwa: siła umysłu. Myśl, że formuły te są magiczne, że coś wywołują - wyleczenie albo coś innego - skłaniało umysł, by do tego czegoś się przyczynił. Byłem przekonany, że czerwony płyn stosowany w chemioterapii jest skuteczny, i on w końcu taki się stawał, tak samo, jak Sundarajan uważał, że to mandddrram utrzymuje go przy życiu.

Skuteczność nie leży w samej rzeczy, ale w sile rozumu, który wierzy w skuteczność tej rzeczy. Tybetańczycy wyjaśniają to poprzez następującą historię:

Pewien mnich po latach nieobecności postanawia odwiedzić matkę, o której wie, że jest bardzo biedna, i wyobraża sobie, iż jest bliska śmierci z głodu. Ale w wiosce spotyka go niespodzianka: matka czuje się znakomicie. Stary sadhu dał jej mantrę, dzięki której ona wkłada do garnka kamienie, a te, przy monotonicznie powtarzanych dźwiękach, zamieniają się w ziemniaki. Kiedy matka zaczyna w ten sposób przygotowywać kolację, mnich, wielki znawca świętych spraw, zauważa, że kobieta źle wymawia sanskryckie słowa mantry, i ją poprawia. Kobieta, dumna z wiedzy syna, intonuje natychmiast nową wersję, ale efekt jest rozczarowujący. Kamienie w garnku pozostają kamieniami, a oni pozostają bez jedzenia. Mnich rozumie, prosi matkę, by wróciła do starej wersji mantry i - jak za sprawą cudu - w garnku pojawiają się dwa dymiące ziemniaki.

Ani moja matka, ani babka, która mieszkała z nami, kiedy byłem dzieckiem, nie znały mantr, ale one też odmawiały modlitwy i śpiewały hymny, które choć nie zamieniały kamieni w ziemniaki - a przydałoby się! - wyznaczały rytm ich dni. Tak było w czasach mojego dzieciństwa: chłopcy śpiewali na polach, rzemieślnicy przy pracy w warsztatach, a my śpiewaliśmy w szkole. Kiedy pomyślę o dźwiękach, które towarzyszyły mojemu dzieciństwu - na przykład o dzwonach - i o tych, którymi otoczony jest dziś mój wnuk, wpadam w rozpacz.

Przestaliśmy śpiewać, żeby co najwyżej słuchać w systemie hi-fi innych. I to nie jest zdrowe. Spostrzegli to wiatach sześćdziesiątych benedyktyni w pewnym francuskim klasztorze, kiedy niespodziewanie wszyscy zapadli na dziwną chorobę. Nagle zaczęli czuć się zmęczeni, przygnębieni i rozkojarzeni. Zebrali się i postanowili więcej spać. Ale to jeszcze pogorszyło sytuację: byli bardziej zmęczeni i przygnębieni niż kiedykolwiek. Zwrócili się zatem do lekarzy. Jeden z nich zasugerował, żeby zaczęli jeść mięso, czego nie robili od dwustu lat. Żadnej poprawy. W końcu bystry lekarz z Paryża odkrył, że w wyniku nowych zasad wprowadzonych przez Drugi Sobór Watykański przedsiębiorczy opat znacznie zredukował godziny śpiewu, aby zwiększyć czas przeznaczony na działalność wytwórczą. Zmieniło to rutynę klasztoru - powiedział lekarz i jako terapię zasugerował po prostu powrót do dawnych zwyczajów.

Po kilku miesiącach mnisi byli znów w znakomitym zdrowiu i dobrym humorze. Śpiew regulował ich oddech, a owo zestrojenie powodowało wzrost energii i witalności. Wysokie częstotliwości wywołane przez śpiew ładowały korę mózgową, wytwarzając stan euforii, który pozwalał mnichom czuć szczęśliwość w dzień i w nocy.

Coś podobnego działo się z nami w aśramie. Nawet w moim przypadku - choć fałszowałem.

Któregoś wieczora Swami zaprosił mnie na kolację. Jak bardzo wielu Hindusów w jego wieku cierpiał na cukrzycę, dlatego jego dieta była jeszcze prostsza od tej w refe rzu. Zjedliśmy w kuchni, obsługiwani przez dwie „zakrystianki”.

Nie zapomniał o swojej obietnicy skontaktowania mnie z lekarzem od ajurwedy, do którego miał zaufanie i który mógłby mi pomóc. Właśnie rozmawiał z nim przez telefon i ustalił, że zostaną przyjęty do jego szpitala. Czekają tam na mnie.

Teatr leczy

Gdy przyjechałem do szpitala, najbardziej zaskoczył mnie słoń. Z daleka myślałem, że to po prostu malowidło na białym murze ogrodu. Potem zobaczyłem, jak macha uszami, potrząsa wielką głową, i zdałem sobie sprawę, że nie tylko jest żywy, ale na tym dziedzińcu, na który wychodziły pokoje chorych, o wiele bardziej zadomowiony niż ja. Na niego nikt nie zwracał uwagi. Na sobie czułem zaciekawione spojrzenie wielu osób: przybywałem z daleka, byłem cudzoziemcem, ale nie przejezdnym turystą, tylko także pacjentem.

Miejsce docelowe podróży, którą odbywa się po raz pierwszy, jest zawsze niespodzianką, a ta była dla mnie bardzo duża. Przybyłem do Kottakalu. małego miasteczka w stanie Kerala, kierując się do Arya Vaidya Sala - Instytutu Medycyny Ariów - najstarszego i najbardziej renomowanego ośrodka ajurwedy w Indiach. Ale zamiast w spokojnej lecznicy, gdzie liczyłem, że - zapowiedziany telefonem Swamiego - spędzę kilka dni w ciszy, znalazłem się w czymś w rodzaju właśnie rozbijanego bardzo głośnego cyrku. Wokół słońca dziesiątki ludzi rozstawiały wielki namiot z plecionej słomy. Grupki muzykantów z nagimi torsami stroiły swoje dziwne, skrzypiące instrumenty. Tancerze w wielobarwnych kostiumach i aktorzy z głowami przystrojonymi wielkimi diademami i twarzami pomalowanymi w groteskowe maski kręcili się dookoła drewnianej sceny, którą inni kończyli montować, wykorzystując bambusowe

pale i grube liny Wszędzie panował wielki rozgardiasz. Słoń - dostrzegłem to, gdy się zbliżyłem - miał prawą nogę przymocowaną łańcuchem do palika wbitego w ziemię, a na czole namalowaną piękną arabską z kwiatów.

Szpital? Jeden z mężczyzn, który patrzył na mnie, jakbym był zjawą, wskazał mi drzwi do „izby przyjęć”. Czekali tam na mnie. Nie zażądali dokumentów, nie sprawdzili, czy to naprawdę ja jestem Anamem rekomendowanym przez Swamiego, nie poprosili, jak to czynili z chłodnym uśmiechem urzędnicy w MSKCC, żebym zapłacił zaliczkę za badania i zabiegi, którym zostanę poddany. Pieniądze nie były najważniejsze w Arya Vaidya Sala. Za ladą izby przyjęć wisi ogłoszenie, w którym zawiadamiano, że codziennie od dziewiątej do dwunastej odbywają się „konsultacje gratis” dla każdego, kto się pojawi. Inne ogłoszenia zachęcały uprzejmię, żeby dla dobra wszystkich nie palić. Na drewnianej tablicy wisi lista lekarzy pracujących w poszczególnych sekcjach. Nazwisko było niemal zawsze to samo: Varrier.

Zarezerwowano dla mnie pokój pięćset dwa na najwyższym piętrze nowego skrzydła szpitala, z widokiem na dziedziniec i jego cyrk. Z tyłu chwiały się wybujałe wierzchołki palm kokosowych niczym ognie sztuczne nad dachami z blachy falistej. Wszystko było skromne, ale racjonalne i dobrze wykonane. Mimo tropikalnego klimatu nie zamontowano klimatyzatorów, tylko wentylatory pod sufitami. Dla chorych, którzy nie mogli chodzić po schodach, przeznaczono zewnętrzny korytarz o lekkim spadku, łączący różne piętra.

Mój pokój był czysty i spartański: łóżko i drewniana komódka, cienki materac z kapoka, poduszka i dwa białe, bawełniane prześcieradła. Na ścianie zdjęcie założyciela: pan o bardzo poważnym wyglądzie, w okularach w metalowych oprawkach, czarnej marynarce, krawacie, w tozde na ramionach i żółtym berecie na głowie. Obrazek w dawnym stylu, jak te, które przedstawiały kiedyś w Europie wynalazców maści na odciski albo jeszcze dziś w Azji umieszczane są na słóczkach z maścią tygrysią. Podpis głosił: „Yaidyaratnam P.S. Varrier 1869-1944”. Szybko obliczyłem: zmarł w wieku siedemdziesięciu pięciu lat. Nieźle jak na reklamę jego lekarstw! Pod tą fotografią wisiła inna, mniejsza, przedstawiająca jego następcę, również YARRIERA. Instytut Medycyny Ariów w Kottakalu, założony w 1902 roku, powstał najwyraźniej jako przedsiębiorstwo rodzinne i taki pozostał.

Młody sikh, widząc, jak nadchodzę, stanął w drzwiach, żeby pokazać mi pokój naprzeciwko, w którym był jego ojciec. Przywieźli go aż tutaj z północnych Indii w nadziei na wyleczenie. Stolik starszego pana zastawiony był większymi i mniejszymi fiolkami. Syn się zaoferował: jeśli będę czegokolwiek potrzebował, mam się zwrócić do niego.

Ledwie zdążyłem odłożyć mój worek i podejść do okna, kiedy do pokoju wszedł starszy pan - wysoki i dystyngowany. Był dyrektorem administracyjnym szpitala i przyszedł mnie przywitać.

- Ma pan szczęście - powiedział. - Właśnie dziś zaczyna się tydzień świątecznych obchodów na cześć boga Visvam-bhary. - Myślał, że rozumiem, i kontynuował: - Ofiarujemy naszemu Panu muzykę, tańce i przedstawienia w obecności słońca. Pan wiet słoń odgrywa ważną rolę w naszej mitologii. Jest to bóg Ganeśa, który pomaga nam przezwyciężyć wszystkie przeszkody. Zobacz pan... również pańskiego raka.

Nie chciałem wprawiać go w zakłopotanie, okazując zdziwienie niezwykłą kombinacją medycyny, słonia i teatru. Wybąkałem, że ja też mam w domu Ganeśę: cementową kopię tego słynnego z Angkor.

- Bardzo pan skorzysta w nadchodzących dniach - dodał dyrektor. - Festiwal jest dla nas wszystkich, lekarzy i pacjentów, sposobem zbliżenia się do głębokiej rzeczywistości, do rzeczywistości ostatecznej, do brahmana.

Nie był to dokładnie taki szpital, jaki sobie wyobrażałem, ale na pewno miejsce to należało uznać za ciekawe.

To była długa podróż. Z aśramu jechałem taksówką ponad pięć godzin: najpierw przez wzgórza stanu Tamilnadu, brudnego i zaniedbanego, potem w dół, w stronę wybrzeża stanu Kerala, również biednego, ale jakimś bardziej godnym ubóstwem. Młodzieńca przy kierownicy przedstawiono mi jako mówiącego po angielsku, ale jedyną rzeczą, jaką umiał powiedzieć zaraz po tym, jak zasiadł za kółkiem, było:

- Urine... coming? - i nasze rozmowy nie wyszły daleko poza decyzję, kiedy zatrzymać się na siusiu.

Spędziłem więc czas w milczeniu na rozmyślaniu nad tym, co widzę za oknem, czyli typowymi wioskami z niską zabudową, które ciągnęły się wzdłuż drogi, oraz równie typowymi ludźmi i zwierzętami, grzebiącymi w ziemi. Ubogie domy, ubodzy ludzie, bogata przyroda. Na każdym targu pyszniły się okazałe góry owoców, lady ugięły się pod ciężarem warzyw i ogromnych kiści bananów, zwieszających się zygzakami ze swoich łodyg, pięknych niczym litery alfabetu sanskryckiego, którego próbowałem się nauczyć.

Tamilnadu to starożytna ziemia o starej kulturze, wielkiej literaturze i bardzo popularnej tradycji teatralnej. Cenę za to zapłaciła polityka: od uzyskania niepodległości stan Tamilnadu rządony był przede wszystkim przez sławnych aktorów. Jest to zjawisko bardzo indyjskie. Tutejsi ludzie nie odróżniają aktora od jego roli i jeśli raz ktoś zagra na scenie króla, bohatera albo mędrca, publiczność bierze go za takiego również w życiu codziennym, traktuje, jakby naprawdę był Kryszną, Siwą albo Ramą. Kiedy potem, w czasie wyborów, taki to a taki kandyduje na stanowisko premiera stanu, wszyscy na niego głosują. Poza tym kto, szczególnie dzisiaj, nie chciałby być rządony przez jakiegoś boga, bohatera lub mędrca?

Wszystko to tylko wzmagało moją rosnącą nieufność wobec tej tak zwanej demokracji, która redukuje udział obywateli w odbywających się co cztery lub pięć lat wyborach i wszędzie na świecie oddaje władzę w ręce przede wszystkim przeciętnych, skorumpowanych albo nieudolnych. Demokracja stała się systemem, który nagradza przede wszystkim banalność i reklamowe kłamstwa, a nie mądrość i moralne zaangażowanie. Absurdalność tego systemu czyni dziś na przykład z Soni Gandhi, inteligentnej pani z Piemontu, potencjalnego przyszłego premiera „największej demokracji świata”, jak same Indie się określają. Czy kraj o ponadmiliardowej ludności potrzebuje, aby rządziła nim Włoszka, która nie mówi nawet dobrze w ich języku narodowym? Tak, bowiem na wolnym rynku głosów jej „wartość” polega na tym, że jest wdową po Rajiwie Gandhim, który został premierem (i jako taki zginął zamordowany), ponieważ był synem Indiry Gandhi, która z kolei została premierem (i jako taka zginęła zamordowana), ponieważ była córką Nehru. On przynajmniej został

premierem, ponieważ poparł go Gandhi - Mahatma. Sonia Gandhi krewną Gandhiego? Oczywiście nie, ale w mitycznej pamięci ludzi jest nią, ponieważ noszą to samo nazwisko. Ale stało się tak, ponieważ Indira, z domu Nehru, przebiegle zamieniła na „Gandhi” nazwisko człowieka, którego poślubiła, a który, będąc parsem, nazywał się... „Gandy”.

Biedny Gandhi, właściwie całkowicie już zapomniany! Ubierał się jak wieśniak, żył powietrzem i marzył o wolnym i niepodległym kraju - ani kapitalistycznym, ani komunistycznym. Kraju, który reprezentowałby miliony wiosek, stanowiących, w jego mniemaniu, prawdziwą, wieczną duszę Indii. Był za tym, co małe, a nie wielkie. Był za człowiekiem, a nie maszyną, za tym, co naturalne, a nie sztuczne. - Kiedy traktor będzie mógł być wydojony, kiedy będzie można użyć jego łajna jako nawozu albo opału, wtedy będzie dla mnie ważniejszy od krowy - mówił. Przemierzył Indie wzdłuż i wszerz; dobrze znał swój kraj i jego mieszkańców. Tylko w Indiach dziura w murze może być „fabryką” papierosów; drewniany sześcian na czterech nogach w dzień może być kramem prasowacza, a w nocy jego sypialnią. Tylko w Indiach gamcha, kolorowa szmatka, którą przewoźnik albo rykszarz ocierają sobie pot, jest także przykryciem, kiedy jest zimno, i turbanem, kiedy praży słońce.

Gandhi był przekonany, że „małe jest piękne”, natomiast ekonomista Fritz Schumacher, jego wielki zwolennik, rozwinął tę ideę w teorię ekonomiczną, która zdawała się znakomicie pasować do Indii. Schumacher podnosił konieczność ochrony małych, lokalnych firm przed wielkimi przedsiębiorstwami i międzynarodowymi koncernami, które w innym przypadku pożarłyby je, tak jak rekiny pożerają drobne rybki. Zachodni ekonomista zgadzał się z Gandhim, że gospodarka musi się opierać na tym, „co się liczy dla człowieka”, nie zaś na niemoralnej zasadzie zysku. Gandhi i Schumacher: obydwaj zapomniani.

Odchodzenie od idei Gandhiego zapoczątkował w Indiach Nehru, którego sam Mahatma, popełniając być może jeden z największych błędów w życiu, wybrał na swojego następcę. Nehru stanowił przeciwieństwo Gandhiego. Był elegancki, wyrafinowany. Przeciwstawiał się temu, co „małe”, a popierał to, co „wielkie”: wielkie zakłady przemysłowe, wielkie tamy, wielkie fabryki. Nawet wielka miłość: do Edwiny, angielskiej żony bardzo angielskiego wicekróla Indii, lorda Mountbattena, nie zaś do prostej Hinduski.

Owo dążenie ku „wielkiemu” charakteryzowało politykę niemal wszystkich rządów w Delhi po uzyskaniu niepodległości. A im więcej mija czasu, tym bardziej Indie stają się pod wieloma względami takim samym krajem, jak wszystkie inne: z wielką armią, z wielkimi arsenałami (łącznie z bronią atomową) i marzeniem, że staną się wielką potęgą. Coraz mniej zakorzenione w wioskach, których czystość była ideałem Gandhiego, coraz bardziej wtapiają się w globalną wioskę, gdzie czysta jest tylko chciwość.

Różnica między stanami Tamilnadu i Keralą była ewidentna. Zorientowałem się, że minąłem granicę, kiedy wzdłuż drogi wszystko stało się trochę bardziej zadbane i czyste. Keralą nie jest zdominowana przez zabawiających się w politykę aktorów, ale przez dwie siły: komunistów i chrześcijan, które uczyniły z niego stan o najwyższym stopniu skolaryzacji w Indiach.

Patrzyłem przez okno na zielone pola ryżowe, na pomalowane na czerwono lepianki, na krowy, których rogi przystrojone były łańcuchami z kwiatów, na chudych mężczyzn odzianych w dhoti i wciąż powracało do mnie jedno słowo: zadowolony. Zadowolony to mniej niż szczęśliwy, ale oznacza satysfakcję kogoś, kto nie pożąda niczego więcej. Oto, jacy są Hindusi: zadowoleni. Zadowolony jest

ten, kto się zadowala. W języku niemieckim istnieje słowo zufrieden, które oznacza: dać sobie spokój. A żeby dać sobie spokój, trzeba ograniczyć własne pragnienia, jak podpowiadają upaniszady i Gita.

Indie są krajem biednym, ale ludzie mają tu także mniej potrzeb, mniej pragnień. Dlatego też jest to w gruncie rzeczy kraj dużo bardziej „zadowolony” od innych. Jednak nie na długo: globalizacja sprowadza również do Indii pragnienia reszty świata i tym samym kruszy ich „zadowolenie”, dawanie sobie spokoju.

Samochód, stary ambassador, miał popsute zawieszenie i od czasu do czasu tak podskakiwał na dziurach, że strasznie mną rzucało. Wyobrażałem sobie, że gdybym dostał udaru albo pękła mi przepuklina, młody taksówkarz odstawiłby mnie do jednego z wielu „szpitali” czy „lecznic”, które widziałem przy drodze. Wszystkie miały mało zachęcający wygląd. Nawet litery składające się na ich nazwy: „Shakti Nursing Home”, „Lord Krishna Hospital”, odpadały. A poza tym szczyciły się przede wszystkim leczeniem „hemoroidów i przetoki”!

Nic mi się nie stało, a doświadczenie, że naprawdę jestem Anam, Bezimienny, w jakimś przypadkowym miejscu, bez podpory mojej dawnej tożsamości, zostało mi oszczędzone i dotarliśmy bez wypadków do Kottakalu. Arya Yaidya Sala okazało się bardzo znanym miejscem.

Wszyscy potrafili nam je wskazać: był to jedyny szpital ze słoniem umieszczonym na dziedzińcu.

Nie byłem w stanie usiedzieć w pokoju. Za każdym razem, kiedy przybywam do nowego miejsca, muszę zobaczyć, gdzie się znalazłem, ustalić, co się znajduje wokół i dokonać niejako pomiarów. Może to instynkt zwierzęcia, które nigdy nigdzie nie wchodzi, zanim się wcześniej nie upewni, że może stamtąd wyjść.

Nie zapadł jeszcze zmrok, cyrk dopiero przygotowywano, postanowiłem więc przejść się pieszo do miasteczka, które widziałem tylko z samochodu. Nic szczególnego: z ciężarówek pełnych orzechów kokosowych wyładowywano towar na głównym placu obok dworca autobusowego i bazaru z takimi samymi jak wszędzie stoiskami pełnymi plastikowych butów i ciuchów, małymi, obitymi czerwonym pluszem sklepikami złotniczymi, straganami sprzedającymi garnki i miski oraz bardzo licznymi aptekami, małymi szpitalami i lecznicami. Kottakal żył najwyraźniej z przemysłu „leczniczego”.

W górze, na trzecim albo czwartym piętrze jednego z budynków, dostrzegłem napis „ICT computer” i pomyślałem, że będą mi tam mogli wskazać miejsce z dostępem do Internetu. Wcześniej musiałem jednak wykonać coś w rodzaju marszu z przeszkodami: przejść przez zwały gruzu, wspiąć się po ciemnych, zakurzonych schodach, a potem iść wzdłuż cementowej galerii, na którą wychodziły małe pokoje. Wewnątrz jednego z nich zobaczyłem profil mężczyzny z długą, czarną brodą i kobiety. Oboje siedzieli na podłodze przy zapalanej świecy. „ICT computer” mieściło się obok: pomalowane na białą biuro z klimatyzacją, jarzeniowym oświetleniem, gdzie za prawdziwym biurkiem, na obrotowym fotelu, siedział młody inżynier elektronik. x - Tutaj widać dwie indyjskie skrajności - powiedział i wyjaśnił, że jego sąsiad z brodą jest „miejscowym doktorem”, leczącym przede wszystkim przyjeżdżające z prowincji kobiety, którym zalecał jakieś środki związane z magią. Powiedziałem, że ja też przyjechałem do Kottakalu w związku z problemami zdrowotnymi.

- Do tangali? - zapytał młody inżynier.

- Nie, do Arya Vaidya Sala.

- Miejscowi nawet się tam nie zbliżają. To zbyt eleganckie i dużo kosztuje. Przyjeżdżają tam przede wszystkim pacjenci z zewnątrz. Tutaj chodzi się do czarowników, do tangali.

Tangali? Nigdy o nich nie słyszałem.

Młodzieńca, inteligentnego i niezwykle uprzejmego muzułmanina - pozwolił mi skorzystać ze swojego komputera, żebym mógł wysłać kilka maili - bawiło zaskakiwanie mnie. Tangali - wyjaśnił - to muzułmańscy uzdrowiciele, którzy działają między Keralą i Tamilnadu. Egzorcyzmują choroby, cierpienia i nieszczęścia, wchodząc w trans i przejmując na siebie wszystko to, co dolega innym. Zazwyczaj pracują w grupie: kilku gra, śpiewa, wzywa Allacha, podczas gdy jeden z nich wykonuje egzorcyzmy, wbijając sobie igły w policzki, w ramiona, raniąc się nożami i w końcu plamiąc całe ubranie krwią. Według niego w Kerali wszyscy korzystają z pomocy tangali: muzułmanie, chrześcijanie i hindusi.

- Nie ma w tym nic dziwnego - powiedział. - Również Jezus Chrystus pozwolił się przybić do krzyża, żeby wziąć na siebie cierpienia całego świata, czyż nie?

Tangali oczywiście kazali sobie płacić, ale przecież oni też musieli żyć!

Czy on sam wierzy w magię? Tak naprawdę, to nie. Jest inżynierem, pociąga go nowoczesność, używa komputera. Ale nie dziwi się, że wielu ludzi wierzy.

Zrobiło się ciemno i już zejście po schodach tego budynku z jego dwoma „skrajnościami” nastroczało sporo kłopotów. Jeszcze trudniej było odnaleźć drogę do szpitala. Nagle - jak to się zdarza nieustannie w tym kraju - zgasło światło i całe miasteczko Kottakal pograżyło się w mroku. Gdzieś zapaliły się lampy naftowe i oliwne, ale dróżka prowadząca do Arya Vaidya Sala, z otwartymi rynsztokami, z których wydobywały się opary typowego dla Indii odoru, była naprawdę ciemna i budząca lęk. Wzdłuż muru dostrzegłem ludzi skulonych przy świetle maleńkich płomyków. Byli to oczekujący na klientów chiromanci. Przeżyłem chwilę załamania. Zdawało mi się, że znalazłem się nagle na średniowiecznym jarmarku cudów, w nadziei, że zostanę cudownie uzdrowiony!

Pokrzepił mnie widok szpitala. Włączono tam generatory, cały kompleks na szczęście był więc oświetlony, Arya Vaidya Sala objawiła mi się jako nowoczesna i bezpieczna oaza.

Dziedziniec wypełniali ludzie. Lekarze wraz z rodzinami zajmowali miejsca jako ostatni, przytrzymując obiema rękami rogi swoich dhoti, jakby to były skrzydła, które nie powinny dotknąć ziemi. Słoń został przystrojony haftowaną narzutą, natomiast coś w rodzaju złotej maski opadało mu z głowy w dół, wzdłuż całej trąby. Na scenie poruszała się aktorzy i tancerze, podczas gdy muzycy kończyli stroić swoje instrumenty. Spektakl miał się właśnie zacząć, ale ja poszedłem prosto do łóżka.

Poczułem zmęczenie. Nie tylko podróżą, ale także tym, że znów znalazłem się w miejscu, którego dźwięki, ludzi i zwyczaje musiałem zrozumieć. Byłem zmęczony tym zarzucaniem sieci do morza nowości, żeby na powrót wyłowić coś, co w gruncie rzeczy już znałem. W 1993 roku krążyłem po świecie w poszukiwaniu jasnowidzów, teraz zaś lekarz: „i alternatywnych lekarstw. Powtarzałem się. Odkrywanie świata zewnętrznego już mnie nie interesowało. Być może popełniłem błąd, opuszczając aśram.

Przez otwarte okno docierał do mnie wielki zgiełk dźwięk bębenków, trąb, ryk słonia i krzyki. Nic nie rozumiałem, ale wiedziałem, że potrwa to bez przerwy aż do świtu.

Obudziła mnie cisza. Spałem całą noc przy nieustannej wrzawie, do której moje ucho już przywykło. Po czym nagle ta część, która czuwa, kiedy druga odpoczywa, zdała sobie sprawę, że dzieje się coś nowego, i to ją zaniepokoiło. Skończył się hałaśliwy, niezwykły spektakl zainscenizowany przez ludzi dla bogów, a zaczynał się ten spokojny i codzienny, oferowany przez bogów ludziom. Wspaniałe pomarańczowe słońce wylaniało się zza postrzępionej w oddali linii palm, wydobywając powoli z mroku domy, drogi, ścieżki i ludzi. Biały dym unosił się z dachów pobliskiej fabryki leków, przynosząc mi ich balsamiczną woń.

Scena na dziedzińcu pustoszała, grupy ludzi się rozchodziły, zabierając ze sobą krzesła, muzycy odkładali instrumenty. Pacjenci, podtrzymywani przez krewnych, wracali powoli do szpitala. Spędzili tam całą noc! Zobaczyłem, że niektórzy z nich podchodzą do słonia i - ze złożonymi rękami - kłaniają się lekko, pozdrawiając go tak, jak pozdrawia się pana domu po zakończonym przyjęciu. Stoń nie miał już na sobie złotych ozdób. Trzymał natomiast zwiniętą w trąbie dużą wiązkę gałązek i trawy: swoje śniadanie.

Ja poszedłem zjeść swoje do szpitalnej stołówki. Ogłoszenie uprzedzało, że jedzenie jest ściśle wegetariańskie. Wszystko było proste i czyste, ale również tu ktoś nie oparł się pokusie nowoczesności. Okropna, fosforyzująca lampa wydawała trzask za każdym razem, kiedy jakaś nieświadoma niebezpieczeństwa mucha, przyciągnięta jej błękitnym światłem, wpadała do środka, zamieniając się w popiół.

Punktualnie o dziewiątej przyszedł młody lekarz przysłany przez dyrektora, aby zabrać mnie do położonej nieopodal kliniki bezpłatnych konsultacji. Był to rząd niskich budynków z czerwonymi dachami, błękitnymi murami, cementowymi posadzkami i ściankami działowymi z pomalowanej na biało sklejki. Progi drzwi prowadzących do poszczególnych pomieszczeń poczerniały były od wieloletniego szurania nóg pacjentów i ich krewnych oczekujących na wyniki badań. Tropikalny wiatr przeciągał przez otwarte pokoje, unosząc żółte zasłony w oknach. Na placu z ubitej ziemi stały jak zwykle grupki milczących ludzi. Przyszły mi na myśl prowincjonalne szpitale w Kambodży, gdzie jeździłem liczyć ofiary różnych walk i amerykańskich bombardowań: taki sam upał, taka sama atmosfera, takie same ciemne twarze, wychudłe i przestraszone. Tylko moja rola się zmieniła. Zdałem sobie z tego sprawę, kiedy przy pierwszym badaniu młody lekarz kazał mi się położyć z nagim torssem na kozetce przykrytej kawałkiem czarnego plastiku, a prostokąt okna wypełnił się wytrzeszczonymi oczami, które przyglądały się temu widowisku.

Ostuchał moją klatkę piersiową, zmierzył ciśnienie, następnie zadał wiele pytań dotyczących przebytych przeze mnie chorób, szczególnie w dzieciństwie. Odpowiadałem, a on robił notatki. Na koniec zapytał:

- Jak pan zareagował, kiedy dowiedział się, że ma raka?
- Nie rozpacziałem.
- A jakie są według pana możliwości wyzdrowienia?

- Z raka wychodzi się źle - odparłem. - Ale mam nadzieję, że znajdę sposób, żeby żyć z nim przez jakiś czas. Dlatego tu jestem.

Uśmiechnął się, spojrzał na mnie, jakbym zdał egzamin, i zacytował - najpierw w sanskrycie, a potem po angielsku -maksymę ajurwedy, którą przetłumaczyłem w głowie na włoski:

Jak długo pacjent żyje

Leży w jego wewnętrznej sile

I w tym jak bardzo dba

O porządek każdego dnia.

Zapytałem go, co ajurweda może wiedzieć o raku. Przecież to stara nauka o tysiącletniej tradycji, a rak jest chorobą współczesności.

Nie zgodził się ze mną.

- Czas nie robi żadnej różnicy. Człowiek jest zawsze człowiekiem, a jego choroby są zawsze takie same - powie-dział. - Nie ma chorób starych i nowych. My rozróżniamy tylko choroby uleczalne i nieuleczalne, a rak nie należy do żadnej z tych kategorii. Teksty święte określają go jako adbhuta roga - wyjątkową chorobę.

Byłem zaniepokojony, ale nie chciał powiedzieć nic więcej. Nie uważał się za eksperta w tej dziedzinie. Powiedział, że jedynym ekspertem w tej materii jest „odynator”. Jego specjalnością były natomiast ukąszenia węża.

To również mnie interesowało, a on był bardzo szczęśliwy, że może mnie zaprowadzić na swój oddział i wyjaśnić mi nazwy oraz cechy charakterystyczne dziesiątek kobr, żmii i innych gadów włożonych do formaliny w wielu szklanych słoikach ustawionych w rzędzie na drewnianych półkach. Powiedział, że każdy z tych węży może zabić człowieka w bardzo krótkim czasie.

- Jak krótkim? - zapytałem.

- Pół godziny. Jeśli pacjent zostanie tu przywieziony w ciągu pół godziny od chwili ukąszenia, uratujemy go. Mamy preparaty ajurwedyczne oparte na ziołach do przykładania na ranę i do połykania, zdolne zneutralizować truciznę każdego węża.

Każdego roku mieli średnio tysiąc pięćset przypadków i zazwyczaj wszyscy pacjenci przeżywali.

- Wszyscy przybyli w ciągu pół godziny? Wszyscy byli leczeni tylko ajurweda? - zapytałem.

- Nie. Ale... tam, gdzie ajurweda nie starcza, jest zawsze medycyna alopacyjna - odpowiedział szczerze. Przyznał, że według niego te dwie medycyny się uzupełniają. Ajurweda jest prostsza, tańsza i pozostaje w większej harmonii ze środowiskiem. Ale on i jego koledzy odsyłają często do lekarzy alopacyjnych pacjentów, dla których nie widzą pomocy w ajurwedzie. Kierują ich tam zawsze w przypadkach, w których uznają za konieczną interwencję chirurgiczną.

Początkowo - wyjaśnił mi młody lekarz - chirurgia była częścią ajurwedy. Istnieją bardzo stare teksty, w których opisane są z wielką precyzją narzędzia chirurgiczne bardzo podobne do używanych dzisiaj.

Praktyka ta została jednak zarzucona - powiedział - prawdopodobnie z powodu braku w farmakopei ajurwedycznej prawdziwych środków znieczulających. Dlatego dzisiejsza ajurweda nie ma już swojej chirurgii.

Młody lekarz był skrupulatny i serdeczny. Powiedział, że między Włochami a Hindusami nie ma wielu różnic:

- Kryszna... Chrystus. (Po włosku „Cristo”, więc podobieństwo w brzmieniu jest jeszcze większe). Ta sama idea, to samo imię.

W końcu przyszedł ordynator, P. K. YARRIER, ponad siedemdziesięcioletni, z siwymi włosami i dużym nosem. Głuchy. Był uprzejmy, ale chłodny. Patrząc na moją kartę dopiero co wypełnioną przez młodego lekarza, powiedział, że według niego rak wywołany został zachwianiem równowagi żywieniowej i środowiskiem. Niewłaściwa dieta przygotowuje teren dla bardzo wielu chorób, w tym takich jak moja.

- Dla nas, specjalistów od ajurwedy, żywienie jest bardzo ważną sprawą - powiedział. - Złe trawienie może wywołać najróżniejsze komplikacje. Dlatego wszystkim zalecamy bardzo spartańską dietę. Im więcej jedzenie kosztuje, tym bardziej szkodzi. Kto choruje, musi zmienić styl życia, a przede wszystkim nauczyć się jeść mało i regularnie, jeśli chce wyzdrowieć. Na przykład kolacja powinna być spożyta wczesnym wieczorem, na długo przed położeniem się do łóżka.

Idea zmiany stylu życia w celu powrotu do zdrowia była moim pomysłem od samego początku. Spodobało mi się, że on także kładzie na to nacisk. Co do reszty doszedłem do wniosku, że przedstawia wszystko w sposób zbyt uproszczony, ale nie byłem tam po to, by dyskutować. * - Niczego panu nie obiecujemy. Zrobimy, co w naszej mocy. Na pewno możemy poprawić jakość pańskiego życia - zakończył.

Miał mi zapisać kurację będącą jeszcze w fazie eksperymentów. Przygotowywana była ad personam i miałem ją stosować przez trzy miesiące. Po tym czasie chciał mnie znów zobaczyć.

Zapytałem, jakie były pierwsze rezultaty jego eksperymentalnej kuracji. Powiedział, że dobre. Niektórzy pacjenci uznani za nieuleczalnie chorych przeżyli jeszcze parę lat, u innych zmniejszył się ból, a w kilku przypadkach rak zniknął. W przeciwieństwie do leków zachodnich środki te nie leczą tej czy innej choroby; próbują tylko przywrócić utraconą równowagę. Ale muszę to wiedzieć: nie ma żadnych gwarancji. To eksperyment.

Przywykłem już do eksperymentów i ten, w porównaniu z Pajęczycą, wydał mi się dosyć niewinny. On sam to przyznał: ich leki nie wywołują skutków ubocznych, ponieważ „nie dostają się do krwi” i są wchłaniane przez system trawienny.

Bardzo nalegał na dietę, w moim przypadku była to zasadnicza kwestia: miałem być całkowitym wegetarianinem i nie jeść ryb. Powiedział, że według ajurwedy wszystkie zwierzęta żyjące w wodzie powodują nasilenie stanów zapalnych. Powiniennem także unikać kawy, herbaty i wszystkich pikantnych potraw. Dobrze miało mi zrobić jedzenie dużej ilości owoców i warzyw, ale tu uwaga - nigdy smażonych. Znakomita jest kapusta - zarówno biała, jak i włoska. Na koniec stary YARRIER zwrócił się do młodego lekarza, który niczym kelner, z bloczkiem i piórem w ręku, czekał na przyjęcie zamówienia. Rozmawiali po tamilsku. Słowa, które do niego wypowiedział, wydały mi się nazwami

zioł. Potem, zwracając się do mnie, wyjaśnił, że kuracja składa się z dwóch lekarstw: galaretki, czegoś w rodzaju marmolady, która miała zwiększyć wilgotność w żołądku; i drugiego, bardziej specyficznego. Galaretka będzie nieprzyjemna w smaku. Powiniennem jej zażywać ćwierć łyżeczki, a potem dwie łyżeczki do kawy drugiego lekarstwa, rozpuszczonego w ośmiu łyżkach ciepłej wody.

Zapytałem, jakie są składniki leków, którą mi przepisuje.

- Zioła, zioła - odparł. Ale w jego odpowiedzi wyczułem jakieś niedomówienie.

Spotkanie trwało dwadzieścia minut.

Musiałem zaczekać dwa dni, aż lekarstwa będą gotowe. Wykorzystałem je, żeby zwiedzić różne oddziały szpitala i przeczytać kilka publikacji dotyczących tego miejsca. Była wśród nich biografia założyciela. Zaciekało mnie, że P. S. Varrier opisywany był nie tylko jako dobry lekarz, ale przede wszystkim jako „wielki patriota”. Fakt ten mnie zainteresował, ponieważ miało to wiele wspólnego z historią i aktualnym stanem ajurwedy.

Ajurweda wraz z medycyną chińską jest jednym z najstarszych systemów wiedzy medycznej, jakie są jeszcze praktykowane i na których temat istnieją ważne ślady dokumentalne. Jednak w przeciwieństwie do medycyny chińskiej ajurweda na przestrzeni wieków miała długie okresy upadku i wiele razy - zepchnięta na margines - znajdowała się wręcz na granicy obumarcia. Odrodzenie, jakim się dziś cieszy, jest owocem osobliwej operacji polityczno-chirurgicznej spod znaku antykolonialnego, która przyszyła do ciała tej starej indyjskiej wiedzy jedno z ramion już niemal kompletnie odciętych.

Jak wszystko w Indiach ajurweda ma swoje korzenie w micie. Brahma, bóg stworzenia, ustalił zasady, według których miałyby zostać zachowane życie. Wiedza ta, właśnie ajurweda, za pośrednictwem jego asystentów, półbogów, zaniesiona została na ziemię, gdzie zebrali ją rysi. W końcu, około siódmego wieku przed Chrystusem - i tutaj mit być może zaczyna stawać się historią - pewien człowiek imieniem Atreya zaczął ją praktykować i nauczać je; w całych Indiach. Podobno jeden z bezpośrednich uczniów Atrei jako pierwszy zapisał jej podstawowe zasady.

Większość z tych pism pochodzi z szóstego wieku przed Chrystusem, z uzupełnieniami i komentarzami, które sięgają czwartego wieku po Chrystusie. Według niektórych historyków już przybycie Aleksandra Wielkiego, w którego orszaku trafiła do Indii grupa lekarzy greckich, spowodowało pierwszy kryzys ajurwedy. Najazdy muzułmańskie przyczyniły się oczywiście do jej upadku, ale ostateczny cios zadała kolonizacja angielska.

Przybyli z Londynu imperialni zarządcy, z ich kompleksem wyższości i przekonaniem, że biorą udział w wielkiej misji cywilizacyjnej, nie mieli żadnego respektu dla „prymitywnych” praktyk „tubylców”. Wkrótce zresztą sami „tubylcy”, szczególnie ci z wyższych kast, poddawani stopniowej anglicyzacji - Hindusi, którzy stali się „Anglikami o ciemnej skórze” - porzucili wiele aspektów własnej tradycji, najwcześniej właśnie tej medycznej.

Reżim kolonialny był zdecydowany i bezwzględny w swojej polityce represji. W 1805 roku Anglicy zabronili w Indiach wszelkiego typu tradycyjnych szczepień przeciwko ospie. W 1835 roku zamknęli wszystkie szkoły ajurwedy, wygnali stowarzyszenia medyczne rejestrujące indyjskich lekarzy i zakazali

wszelkich form pomocy rządowej dla tradycyjnych praktyk medycznych i farmaceutycznych. Wszystkie lekarstwa stosowane przez Hindusów miały być importowane z Anglii!

Jeszcze przed wiekiem samo słowo „ajurweda” wymawiano w Indiach z pogardą, natomiast coraz więcej Hindusów zafascynowanych było „cudami” medycyny zachodniej. Oczywiście w wioskach, gdzie nie ma praktyk ajurwedy stanowiło od wieków część zdrowego rozsądku mieszkańców i gdzie wiele ziół i roślin leczniczych weszło do rodzinnych diet, pozostała ona na swój sposób żywa. Ale większa część tradycji przepadła. Łańcuch naukowego przekazu został przerwany.

Ponowne odkrycie ajurwedy nastąpiło pod koniec dziewiętnastego wieku w ramach indyjskiego buntu przeciwko władzy kolonialnej. Powrót do leczniczego stosowania miejscowych tanich ziół, zamiast drogich lekarstw angielskich, stał się symbolem swadeśi, wielkiego ruchu antybrytyjskiego na rzecz samowystarczalności.

P. S. Yarrier był jednym z promotorów tego odrodzenia ajurwedy zgodnie z założeniami nacjonalistycznymi. Chciał pomóc biedakom ze swojego regionu, wiedział, że może to uczynić tylko za pomocą lokalnych środków, i w 1902 roku położył podwaliny pod Arya Vaidya Sala.

Fakt, że tradycja została przerwana, a jej ocalenie nastąpiło in extremis, wciąż ciąży na losach ajurwedy, szczególnie w Indiach. W kraju tym, również po uzyskaniu niepodległości, nie znalazła ona wsparcia rządowego, którego można było oczekiwać. Tylko pięć procent indyjskiego budżetu będącego w gestii Ministerstwa Zdrowia przeznaczono na ajurwedę, niewiele - albo nic - zainwestowano w badania i jeszcze dziś nie istnieje żadna kontrola rządowa jakości lekarstw ajurwedycznych produkowanych w kraju. Ale świat jest okrągły, a życie to huśtawka. Tak więc gdy zdecydowana większość Hindusów leczy się na sposób zachodni, a ci, którzy mogą sobie na to pozwolić, jeżdżą do najlepszych szpitali w Londynie i Nowym Jorku, wielu ludzi z Zachodu, niezadowolonych ze współczesnej medycyny, jaką mają u siebie, zwraca się ku ajurwedzie i ryzykuje wyprawy do wnętrza Indii w poszukiwaniu „starożytnego leczenia”.

Ja byłem jednym z nich.

Fabryki produkują zazwyczaj brzydki dym i niemiłe zapachy. Ta, która sąsiadowała ze szpitalem, była wyjątkiem i przez całą dobę - ponieważ pracowała bez przerwy - wypełniała powietrze przyjemną wonią aromatycznych ziół. Kiedy tam przybyłem w towarzystwie innego młodego lekarza - sam nie nazywał się Yarrier, ale poślubił jedną z córek Yarrier - grupa dziewcząt w pięknych, żółtych sari wychodziła przez główną bramę po zakończeniu jednej z trzech zmian.

Fabryka była znakomitym pomysłem założyciela. Zrozumiał on, że fatalna reputacja ajurwedy wynikała w dużej mierze ze złej jakości lekarstw, gdyż lekarze nie przygotowywali ich już osobiście, jak to miało miejsce w starożytności. Pacjenci musieli zajmować się tym sami albo powierzać to zadanie jakiemuś niedoświadczonemu zielaarzowi. Zdarzało się więc, że lekarstwa ajurwedyczne, przygotowane bardzo opieszale i w niehigienicznych warunkach, zamiast leczyć, stawały się przyczyną innych chorób.

Tworząc obok kliniki fabrykę leków, P. S. Yarrier był w stanie kontrolować jakość swoich preparatów, wypróbowywać nowe oraz zapewniać ciągłość produkcji.

Zrodzona z obserwacji natury przez pustelników i ryszich, farmakopea ajurwedyczna składała się niemal wyłącznie z ziół i roślin - przede wszystkim dzikich. Las był wielką skarbnicą tych surowców, a towarzyszący mi młody lekarz znał indyjską historię, jaką opowiada się przy tej okazji.

Pewien wielki mistrz powiedział do swoich uczniów:

- Idźcie do lasu i przynieście mi wszystko, co waszym zdaniem może być pożyteczne.

Każdy z nich coś przyniósł: zioło, korzeń, korę. Tylko jeden student wrócił z pustymi rękami. Ale to właśnie on został pochwalony przez mistrza. Zrozumiał, że każda rzecz w lesie jest pożyteczna i nie da się przynieść wszystkiego. Ów student został nadwornym lekarzem i jednym z wielkich ryszich ajurwedy.

Aby zapewnić sobie dobrą jakość potrzebnych ziół, P. S. Yarrier na początku dwudziestego wieku stworzył własną sieć zbieraczy - niektórzy z nich przebywali w Himalajach - odpowiedzialnych za dostarczanie do fabryki wymaganych ilości surowca. Każda rodzina specjalizowała się w pewnych produktach przyrody, a praca przechodziła z ojca na syna.

Dzisiaj, po upływie stu lat, system ten wciąż działa, natomiast fabryka jest w stanie wyprodukować około pięciuset rodzajów lekarstw, z których niektóre składają się z ponad pięćdziesięciu różnych składników.

Przy każdym worku, który mijaliśmy, młody lekarz mówił mi, skąd pochodzi (z Pendżabu, z doliny Kulu, z Karnataki) i ile kosztują mieszczące się w nim zioła. Najdroższy - sześć tysięcy rupii za kilogram, ponad sto euro - był szczególny gatunek orzecha kokosowego, który rośnie tylko na Sri Lance.

Przeszliśmy do pomieszczenia, w którym wielkie koła, uruchamiane elektrycznie, rozcierały zioła i inne rzadkie rzeczy, które - jak mówił lekarz - pochodziły ze świata zwierzęcego. Były wśród nich rogi jelenia i różne morskie muszle.

Największe wrażenie robiło miejsce, gdzie w wielkich kotłach gotowano zioła. Przed każdym z nich - było ich około dwudziestu - mężczyźni z nagimi torsami i dhoti podwiniętymi aż pod kolana mieszały długimi, drewnianymi łykami czarną ciecz, nad którą unosiła się gęsta i pachnąca para. Każda mieszanka była właściwa dla danego typu choroby.

Lekarz powiedział, że największe sukcesy odnosili w leczeniu artretyzmu, osteoporozy, łuszczycy, zapalenia kręgow, następstw zawału serca, paraliżu wywołanego zakrzepem, problemów ze stawami i ze skórą. W wielu przypadkach podawanie lekarstw łączono ze specjalnymi masażami wykonywanymi z użyciem specjalnych olejków, które również produkowano w fabryce.

Podczas tej przechadzki lekarz mi tłumaczył, że w ajurwedzie lekarstwa sklasyfikowane są według dziewięciu kategorii, w zależności od tego, jakiej obróbce poddaje się zioła i pod jaką postacią są stosowane: jako olejki, proszek, maści lub napary. Nie słuchałem zbyt uważnie, ale właśnie w tym miejscu usłyszałem, jak mówi:

- ...ponieważ niektóre lekarstwa rozpuszczane są w wodzie, inne w alkoholu, jeszcze inne w krowim moczu...

- Również moje? - zapytałem żartem. Dostrzegłem pewne zakłopotanie w jego spojrzeniu.

- Pańskie lekarstwa to same zioła - powiedział uspokajająco. Ale podejrzenie pozostało.

Na każdym oddziale, w każdym biurze, do którego wchodziliśmy, wisiało zdjęcie założyciela. Był on bohaterem, punktem odniesienia dla wszystkich. Zasady, które wprowadził w tej instytucji przed stu laty, wciąż obowiązywały. Na przykład jeśli jeden z tysiąca sześciuset zatrudnionych się pomylił, był natychmiast zwalniany, ale na jego miejsce przyjmowano żonę albo syna, żeby rodzina na tym nie ucierpiała.

Przeszliśmy do apteki, w której na wydanie leków czekała długa kolejka pacjentów. Każdy z nich miał receptę w ręku. Następnie wprowadzono mnie do mniejszego pokoju, w którym przygotowywano specjalne lekarstwa.

- Proszę, oto część leków z pańskiej recepty - powiedział główny aptekarz, potrząsając jakąś fiolką.

Była to galaretka. Poprosiłem, bym mógł spróbować. Nabrałem na łyżeczkę i instynktownie, przed włożeniem do ust, podniosłem ją do nosa. Obrzydliwe. Podejrzenie przerodziło się w odór: sików.

Nalegałem, chciałem wiedzieć, ale nic nie wskórałem. Wszyscy powtarzali, że galaretka zrobiona jest z ziół, że została przygotowana specjalnie dla mnie na specjalne polecenie ordynatora i nie ma jej w sprzedaży.

Pomysł mi się podobał: lekarstwo zrobione na miarę, całkowicie naturalne. Jak siki krowy?

Po zakończeniu wizyty w fabryce poszedłem pieszo do centrum Kottakalu, żeby wysłać jeszcze jeden mail do Angeli. Skorzystałem z uprzejmości mużułmańskiego inżyniera, żeby napisać też dwie linijki do Mangiafuoco i opowiedzieć mu, jaką przebyłem drogę: tym razem, żeby zdobyć remedium w oparciu o krowie siki!

Młody inżynier był zadowolony, że znów mnie widzi, i chciał przedstawić mi inne historie dotyczące Kerali, do której -jak mówił - był bardzo przywiązany. Opowiedział mi o bardzo starej szkole sztuki walki, w której uczono wojowników używania długiego, giętkiego miecza, za pomocą którego jeden człowiek był w stanie pokonać wielu wrogów na polu bitwy. Inną osobliwością tej szkoły była walka wręcz. Adeptci potrafili unieruchomić przeciwnika jednym dotknięciem ręki albo naciskiem jednego palca. Według niego to właśnie w tej szkole, dzięki kilku japońskim studentom sprzed wieków, narodziło się karate i powstała katana - miecz używany przez samurajów. Jak powiedział, niestety, również i ta tradycja, połączenie sztuk walki i magii, znikła wraz z wprowadzeniem prochu strzelniczego, strzelb i nabojów.

Młody mużułmański inżynier był trochę podobny do mnie: nowoczesny, ale tęskniący za przeszłością. Rozmawialiśmy przez ponad godzinę i zanim go opuściłem, sprawdziłem jeszcze moją skrzynkę mailową. Była wiadomość od Mangiafuoco, który - rozbawiony - odpowiadał na moje wątpliwości.

„Czy to nie piękne - napisał. - Prosta krowa sika rano, a ty czujesz się lepiej... a siki krowy to jeszcze nic: my, homeopaci, używamy plwociny gruzlików, wydzieliny rzeżączkowej, złuszczonej skóry chorych na łuszczycę, kilaków, śliny wściekłych psów...!!! A ty wciąż wierzysz, że są bardziej trujące od antybiotyków?“. Według niego, powinienem zaufać.

Wróciłem do szpitala, zastanawiając się nad tym jego:

A ty wciąż wierzysz...?"

No właśnie, wiara. Ja również uważałem to za ważne, a nie byłem... Nielsem Bohrem. Wybitny fizyk, jeden z największych uczonych naszych czasów, na drzwiach do domu miał zawieszoną podkowę. Pewnego razu kolega, który przyszedł do niego z wizytą, zapytał:

- Chyba nie wierzysz w te rzeczy?

- Oczywiście, że nie - odpowiedział wielki fizyk. - Ale mówi się, że przynoszą szczęście również tym, którzy nie wierzą.

Mylił się. Jako uczyony powinien wiedzieć, że to nie podkowa przynosi szczęście, ale wiara w nią. Jest to według mnie fakt - powiedzmy - naukowy.

Postawa ma nieprawdopodobne znaczenie w walce z chorobą, szczególnie z rakiem. Nikt nie potrafi tego dobrze wyjaśnić w sposób naukowy, ale mnie zdawało się możliwe, że umysł - raz uspokojony i pogodny - wysyła sygnały do systemu odpornościowego, aby ten robił, co trzeba. Czasem miałem wrażenie, że to naprawdę tak funkcjonuje. W Nowym Jorku „poczułem”, że fosforyzujący, czerwony płyn stosowany w chemioterapii dobrze mi robi. Ale krowie siki?

Dzień dobiegał końca, a na terenie przed szpitalem rozpoczynały się przygotowania do kolejnych nocnych przedstawień. Pod wielkim słomianym namiotem wielki tłum znów gromadził się wokół sceny: rodziny z dziećmi, ledwie trzymający się na nogach starcy, notable, którym ktoś troskliwie podsuwał krzesło. Niektórzy aktorzy ćwiczyli swoje role; jakiś mężczyzna, siedząc nieruchomo przy ścianie, pogrążony był w medytacji.

Przy wejściu do małej świątyni poświęconej Yiswambharze ustawiono, niczym słupy, dwa piękne, świeżo ścięte pnie bananowca, z nieruszonymi jeszcze kiściami owoców.

Niektórzy starcy krążyli, zapalając knoty setek lamp oliwnych rozstawionych po dziedzińcu: tych małych, kamiennych, umieszczonych w murach, i tych dużych, miedzianych, w kształcie rozgałęzionego drzewa, typowych dla Południa. Woń palonego oleju sezamowego mieszała się ze słodkawymi powiewami, które wciąż docierały z pobliskiej fabryki. Ponad rozgwar bawiących się dzieci podniosły się trele fujarki, na której jakiś wystrojony i afektowany starzec grał po mistrzowsku i z zatraceniem, jakby sam był zachwycony własnymi melodiami na cześć słońca. Nieopodal kobieta owinięta ciemnym szalem, przycupnięta pod ścianą, czytała z ręki młodej dziewczyny jej przeznaczenie.

Dźwięki, światła, zapachy, obrazy: świat z innych czasów. W tym wszystkim, co toczyło się wokół mnie, było coś głęboko autentycznego, prawdziwego; jakaś siła, która - czułem to - naprawdę mogła być komuś pomocna. Ale czy mnie?

Wątpliwość ta mnie zasmucała - tak samo jak smucił brak wiary i świadomość, że w świecie zewnętrznym nie ma już dla mnie zbyt wiele do odkrycia. Daremnie byłoby też zrobić krok do tyłu w poszukiwaniu zagubionej mądrości, ponieważ nie istnieje złota przeszłość, w której można by znaleźć rozwiązanie dla problemów naszego dzisiejszego życia czy też lekarstwo na współczesne choroby. Nie

ma drogi na skróty, żeby dotrzeć do mądrości. Jedyne rozwiązanie - rację ma Swami - jest w nas, a jedynym odkryciem, jakiego można jeszcze dokonać, to takie, że jest się... „dziesiątym człowiekiem”.

Arya Yaidya Sala było miejscem właściwym dla Hindusów: w sposób naturalny, tanio przynosiło nadzieję i ulgę w cierpieniu. Przybywali z daleka, znajdowali się w czystym otoczeniu, naprzeciw dobrego lekarza, i w końcu -w pewnych przypadkach nawet bezpłatnie - byli leczeni. Mieli zaufanie do zastosowanej terapii, ponieważ stanowiła część ich życia. Nie odstręczały ich nawet krowie siki - przecież poza wszystkim było to dla nich zwierzę święte! Tak wyglądał ich świat - z ich ziołami i ich bogami. Też bardzo chciałbym w to uwierzyć, a przecież nie byłem w stanie przekonać sam siebie, że znajdę tam swoje lekarstwo.

Stary sikh, mój sąsiad z pokoju obok - jak się zdaje -znalazł swoje. Pierwszego wieczora widziałem, jak leży nieruchomo na łóżku, zasłonięty całą baterią mniejszych i większych flakoników. Teraz siedział, szczęśliwy, z synem u boku, wśród tłumu, śledząc jak w transie przedstawienie, w którym być może - szczęściarz z niego - widział ostateczną rzeczywistość.

Po powrocie do pokoju znalazłem bilecik od dyrektora: zapraszał mnie na kolację ze swoją rodziną.

Przyjechał po mnie bratanek ordynatora, także YARRIER, także lekarz. Najpierw oprowadził mnie po domu. Weszliśmy przez bramę zwieńczoną symbolami różnych religii, wśród których był islamski półksiężyc i chrześcijański krzyż. Kompleks budynków należących do rodziny YARRIER bardziej przypominał królewską rezydencję o wielu komnatach i wielu dziedzińcach, w której mieszkali razem trzy pokolenia. Kompleks ten wyrósł przez lata wokół oryginalnej, drewnianej bryły zbudowanej w 1926 roku przez założyciela. Jego prochy spoczywały w małej świątyni pośrodku ukwieconego klombu; jego marmurowy posąg stał na dziedzińcu, jego obecność czuło się natomiast wszędzie.

Wspólny salon domu wypełniony był dziećmi, które bawiły się wokół dwóch wielkich stołów. Kobiety siedziały na kanapie ciągnącej się wzdłuż ścian obwieszonych czarno--białymi zdjęciami założyciela i jego potomków.

Kuchnia mieściła się w szarej, zadymionej sieni. Dwunastu kucharzy, którzy przybyli, aby wspomóc trzech pracujących w domu na stałe, krzątało się wokół starych, żeliwnych garnków, w których gotowała się nasza kolacja. Ogień podsycany był dużymi kłocami drewna, które młodzi pomocnicy popychali do płonących palenisk, w miarę jak się wypalały.

Jadalnia wychodziła na wewnętrzny dziedziniec domu, pośrodku którego, niczym na ołtarzu, w wielkiej ceramicznej donicy wyrastało ziele tulsii, rośliny uchodzącej w całych Indiach za świętą. Kiedyś była czczona również u nas, ale o tym zapomnieliśmy!

Tulsii jest krewnym bazylii. W tekstach ajurwedy opisywany jest jako „roślina, która otwiera serce i umysł oraz pobudza energię miłości i pobożności”. Według tradycji tulsii zawiera rtęć, spermę Siwy, i to miałyby czynić zeń roślinę zdolną nadawać temu, kto ją spożywa, moc czystego poznania. W Indiach tulsii stanowi część codziennego życia. Każda rodzina ma u siebie tę roślinę. Mówi się, że oczyszcza dom i przynosi szczęście kobiecie, która ją regularnie podlewa.

Również na Zachodzie, szczególnie we Włoszech i Grecji, bazylia była w dawnych czasach rośliną czczoną. Według legendy rosła na grobie Chrystusa, a także miała tajemne właściwości. Kobiety trzymały ją w szafach, żeby odstraszać mole i - jak to czynią do dziś miliony Hindusów -każdego dnia zjadało się listek, by uchronić się przed chorobami. Również w tradycji greckiego Kościoła prawosławnego bazylia stanowiła dobrą wróżbę. Ślad szczególnej pozycji bazylii pośród innych roślin przetrwał w niektórych europejskich językach: zarówno po francusku, jak i po niemiecku bazylię nazywa się królewską trawą.

Gdzieś rozległo się dźwięczne uderzenie zegara. Był to sygnał, aby usiąść do stołu. Mężczyźni z mężczyznami, kobiety z kobietami. Posadzono mnie obok ordynatora, w centrum długiego stołu z masywnego drewna. Nakrycia nie stanowiły talerze i sztucce, ale liście bananowca i miedziane szklanki. Kilku starców, ubranych tylko w białe dhoti, niezwykle dostojnych i szybkich, przeszło ze lśniącymi wiaderkami, w których zanurzali swoje chochle, żeby nałożyć każdemu porcję ryżu i soczewicy oraz sosu z kokosa i mango. Dania były wegetariańskie, a spożywać je mieliśmy palcami. Woda - zapewnił mnie ordynator - została przefiltrowana i przegotowana. Dodano do niej również ziół,

Wokół siebie widziałem przeszłość i przyszłość Arya Vaidya Sala: starych lekarzy, prawnuków założyciela, a także ich wnuków i prawnuków, z których wielu było jeszcze dziećmi, ale którzy zostaną lekarzami w tym samym domu i w tym samym szpitalu. Godna pozazdrosczenia ciągłość.

Obok kuchni stały dwa rzędy stołów przeznaczonych dla aktorów i muzyków, którym również podawali ci sami służący z wiaderkami.

Ordynator się dowiedział, że bardzo nalegałem, by poznać recepturę moich lekarstw. Dobrze: za pośrednictwem swojego wnuka poda mi łacińskie nazwy wszystkich składników. Po czym, jakby odpowiadał na pytanie, które zadałem mu tylko w myśli, powiedział:

- Tak, galaretka jest połączeniem zioła sahadevi z preparatem pozyskanym z krwi uryny w stanie stałym.

Umilkł na chwilę. Mogłem się tylko uśmiechnąć, a on kontynuował, tłumacząc, że uryna każdego zwierzęcia ma swoistą cechę, natomiast ta krowia była odpowiednia dla mojego przypadku. Jeśli chodzi o jakość produktu, nie powinienem się niepokoić. Arya Yaidya Sala ma własną hodowlę krów - właśnie w celu pozyskiwania łajna i uryny. Ostatnio założyli też własny zielnik, ponieważ zorientowali się, że niektóre ważne dla nich rośliny zaczynają znikać z powodu zanieczyszczenia i niekontrolowanego wycinania lasów.

P. K. Yarrier był uprzejmy, ale na swój sposób szorstki. Nigdy nie widziałem go uśmiechniętego i nie wydawało mi się właściwe kontynuowanie rozmowy o siuškach - szczególnie przy stole. Zapytałem więc, jak on postrzega ajurwedę, i wydaje mi się, że dzięki temu poczuł się swobodniej.

Powiedział, że ajurweda bardziej niż medycyną jest filozofią życia, ponieważ ma wymiar etyczny i ma nie tyle pomóc człowiekowi w zachowaniu zdrowia, ile w osiągnięciu duchowego celu. Dlatego stanowi dziedzinę, która jest jednocześnie fizyczna i moralna. Według niego jedyna gwarancja zdrowego życia leży w wewnętrznej siłę pacjenta.

Powrócił do mojego przypadku i podkreślał z naciskiem zasadnicze znaczenie „właściwego podejścia do jedzenia, snu i seksu”. Powiniennem robić to wszystko z wielką dyscypliną, zwracając uwagę na jakość, miejsce, towarzystwo, czas i na stan mojego umysłu, w jakim oddawałem się właśnie jedzeniu, spaniu i całej reszcie.

Wiedział, że przybywam z gurukulamu, że jestem uczniem Swamiego - traktowanego tam z wielkim respektem - więc pomyślał, że może ze mną rozmawiać bez obawy, że coś źle zrozumiem.

- Jaki jest cel poznania - zapytał - jeśli nie ten, żeby zrozumieć naturę, by móc potem stosować się do jej reguł i lepiej żyć? Trzeba zrozumieć, jakie jest nasze miejsce we wszechświecie, w jakim jesteśmy związku z różnymi zjawiskami kosmicznymi, tak byśmy mogli zachowywać się w sposób zdyscyplinowany, unikać katastrof i przyczyniać się do dobrego samopoczucia wszystkich stworzeń. Jeśli nie znamy samych siebie, nie ma sensu poznawać świata. Nic nie powiedziałem. Chciałem, by kontynuował.

- Na Wschodzie taki był zawsze sens poznania, podobnie jak również u was, na Zachodzie. Ale tylko do czasów Michała Anioła. Od tamtej pory wasza nauka chciała zrozumieć świat wyłącznie w celach materialnych i się pogubiliście. Tak, dzisiaj prowadzi się wiele badań, ale w jakim celu? Żeby odkryć bogactwa ukryte w przyrodzie, zawłaszczyc je i przemienić w towar. Taka jest przyczyna całkowicie zachwianego rozwoju Zachodu oraz powód waszego upadku duchowego.

Ciągnął, jakby nie mówił już do mnie, tylko głośno myślał.

- To społeczeństwo industrialne, poprzez wprowadzenie taśmy montażowej do produkowania w pośpiechu coraz większych ilości towarów, łącząc razem ich poszczególne części, spowodowało, że medycyna zaczęła uznawać człowieka za zbiór oddzielnych kawałków i przestała przywiązywać jakkolwiek wagę do owej tajemniczej, niewidzialnej siły, która zdaje się wchodzić do organizmu w chwili narodzin, a opuszczać go przy śmierci. To dopiero wraz z rewolucją industrialną narodziła się absurdalna potrzeba objaśniania wszechświata według klucza mechanistycznego.

Znakomicie, mój stary P. K. Yarrierze! Zgadzałem się z każdym jego słowem. Ale czy to był powód, bym pił krowie siałki?

To byłem cały ja, zawsze w rozkroku. Z jednej strony ciekawy, zafascynowany takim sposobem myślenia i postrzegania; z drugiej - z ciągłymi wątpliwościami w głowie, które zrodziły się już instynktownie u „lekarza” z Kakinady: Czyżby w Indiach gadanie było skuteczniejsze od lekarstw?

Starzy słudzy wciąż krążyli, pełni szacunku i dokładni, proponując kolejne porcje jedzenia ze swoich lśniących wiader. Drzenie światełek z oliwnych lampek za oknami, dźwięki dochodzące z dziedzińca oraz woń napływająca z fabryk tworzyły atmosferę z innych czasów.

Po kolacji wyszliśmy na dziedziniec, żeby oglądać spektakl. Chcieli mnie posadzić na jednym z miejsc w pierwszym rzędzie, ale wolałem podziękować, pożegnać się i pod pretekstem pójścia do łóżka wmieszać się w tłum, który oglądał widowisko na stojąco.

Spektakl trwał już od pewnego czasu. Po kilku występach tancerzy i śpiewaków na scenie pojawiła się trupa kathakali. Również ona zawdzięczała swoje istnienie patriotycznemu założycielowi. Po utworzeniu szpitala P. S. Varrier zatroszczył się o to, jak jego pracownicy będą spędzać wolny czas.

Żeby uniemożliwić im oddawanie się zajęciom „występnym i o złej reputacji-jak napisano w jego biografii - a tym samym przysparzanie złej sławy Arya Yaidya Sala", pomyślał o przywróceniu do życia kathakali. Była to stara forma teatralna z Kerali: połączenie baletu, opery, pantomimy i komedii magicznej, zrodzona z pradawnych tańców, poprzez które opowiadano ludziom w świątyniach historii bogów i bohaterów. Kathakali było niegdyś w Kerali jednym z klasycznych kanałów przekazu kultury ludowej, ale popadło w zapomnienie. P. S. Yarrier przyczynił się do odrodzenia tej formy; przyuczył młodych aktorów, opłacił pisarzy, żeby przystosowali stare teksty i napisali nowe, oraz zebrał wędrowną trupę, która z własnymi spektaklami odwiedzała wszystkie zakątki regionu. Już niemal od stu lat jej najważniejsze doroczne występy odbywały się właśnie na początku kwietnia na przyszpitalnym placu z okazji obchodów na cześć Yiswambhary, bóstwa opiekuńczego ajurwedy i rodziny Yarrier.

Po lewej stronie sceny stali werbliści, potrafiący rękami lub pałeczkami odtworzyć zgiełk bitwy, huk płynącego potoku albo spokojne kap-kap kropli wody spadającej na liść. Po prawej stronie stanęli śpiewacy. Z pomocą talerzy, gongu i orkiestry złożonej z dwudziestu mężczyzn z gołymi torsami, ustawionych w rzędzie z tyłu, opowiadali historię i wygłaszali kwestie różnych postaci, ponieważ w kathakali aktorzy są niemi - co najwyżej wydają gardłowe dźwięki. Aktorzy „przemawiają" ruchami. Wyrażają myśli i stan ducha gestami rąk; „mówią" grymasami twarzy i przewracaniem oczu, które wydawały się dużo większe niż normalnie na ich pomalowanych twarzach. Na zielono pomalowane były twarze postaci z wyższego świata, deva - bóstwa (jeszcze jeden przykład na to, jak wiele zawdzięczamy sanskrytowi! - Po włosku diuino (z łac.), stąd podobieństwo), w kolorze naturalnym - kobiet i mędrców, na czerwono i czarno - postaci pochodzących ze świata piekieł - asura.

Szerokie, bardzo kolorowe spódnice, każda uszyta z ponad pięćdziesięciu metrów materiału, dodają wagi i majestatu ruchom aktorów, którzy mają na rękach i nogach bransolety intarsjowane kamieniami, złożone naszyjniki na szyi i długie napastrki na palcach dłoni, wydłużające ich gesty.

Wszystkie pokazywane na scenie historie pochodzą z Mahabharaty, z Ramajany, z Gity i ?. puran. Akurat znałem historię opowiadaną tego wieczora: Siwa żeni się z Sita, ale jej ojciec wcale nie jest zadowolony z tego małżeństwa. Zięć wydaje mu się typem niezbyt godnym szacunku: ma długie włosy, smaruje sobie ciało popiołem, chodzi z węzem na szyi i półksiężycem na głowie. On, teść, wstydzi się takiego krewnego i w dniu, kiedy organizuje wielkie święto-ofiarę dla bogów, nie zaprasza go. Pierwsza obraża się Sita, jego córka, a kiedy ojciec pognębia Siwe, wyrażając się o nim bardzo źle w obecności wszystkich zebranych, nie mogąc już dłużej znieść wstydu, zabija się, rzucając się do ofiarnego ognia.

Siwa dowiaduje się o tym i dostaje szalu. Przybiega na miejsce zdarzenia, obcina teściowi głowę, zabiera ciało Sity i mając je w ramionach, biega jak opętany, niszcząc wszystko na swojej drodze. Zaniepokojeni inni bogowie idą do Wisznu, którego zadaniem jest utrzymywanie porządku we wszechświecie, i proszą o interwencję. Wisznu przekonuje Siwe, by się uspokoił. Podpowiada mu, co ma zrobić z ciałem ukochanej małżonki: za pomocą broni Wisznu, chakry, morderczego dysku, który lata i wraca, Siwa tnie zwłoki Sity na pięćdziesiąt jeden kawałków. Tam, gdzie spadają one na ziemię, budowana jest wielka świątynia.

Dzięki temu istnieje dzisiaj w Indiach pięćdziesiąt jeden sanktuariów, z których każde poświęcone jest innej części ciała pięknej Sity: jedno jej językowi, inne znów jej stopom. Świątynia poświęcona yoni, „kobiecomu narządowi rozrodczemu", znajduje się w Gauhati, stolicy Asamu. To nadzwyczajne:

świątynia ofiarowana waginie zbudowana została na skale nad brzegiem jedynej męskiej rzeki w Indiach, Brahmaputry! (Inne rzeki, jak Ganges czy Jamuna, uznawane są za żeńskie). Zwiedziłem ją w towarzystwie ostatniego potomka maharadzów, do których teoretycznie należała świątynia. Był to dzień świąteczny i przybyły tu setki wiernych, aby dokonać swojej pudzi. Zabrali ze sobą kozy na ofiary, dzieci oraz bezpłodne kobiety, żeby otrzymały błogosławieństwo. Sceneria była isticie dantejska: ze środka świątyni - pięknej kamiennej budowli z dziesiątego wieku - schodziło się po śliskich i ciemnych schodach aż do wnętrza ziemi, do niej, do waginy, wilgotnego i mrocznego otworu. Jej wzgórek Wenery przykryty był czerwoną szmatką, na którą ludzie wylewali wodę, rzucali pieniądze i kwiaty. Zapach był duszący, atmosfera niemal histeryczna, litanie pudżarich o lubieżnym wyglądzie - obsesyjne i gwałtowne.

Historia Siwy i jego małżonki, która po pocięciu na kawałki odradza się do nowego życia jako Parwati, córka Himalajów, po czym znów zostaje jego żoną, jest jedną z najbardziej znanych w Indiach i odgrywa ważną rolę w zbiorowej psychice kraju. Historia ta rozgałęzia się na dziesiątki innych. Jedna z nich dotyczy pozbawionego głowy teścia: Wisznu, próbując przywrócić trochę porządku w świecie, rozkazuje, by umieścić mu głowę z powrotem na karku. Polecenie zostaje wypełnione, ale w ostatniej chwili: ktoś w roztargnieniu się myli i biednemu ojcu Sity zamiast jego głowy zakłada głowę kozła.

Epizod, kiedy teść zauważa pomyłkę, pokazywano właśnie na scenie. Drobną, męską postać z głową zwierzęcia klęczała cała drżąca przed bogiem o zielonej twarzy i błagała o pomoc. Muzyka i gesty przekazywały emocje, natomiast zachwycona publiczność dosłownie piła z ust dwóch narratorów. Tuż pod sceną siedziały na ziemi rzędy dzieci z otwartymi ustami; za nimi zajmowali miejsca notable, potem wiele kobiet, a dalej, aż po murowane ogrodzenie, stał gęsty tłum widzów. Dodatkowo ze wszystkich okien wyglądały dziesiątki głów. Nikt nie spał: lekarze i pacjenci, muzycy i aktorzy, służący i panowie, kucharze, pielęgniarze, strażnicy, mamy i dzieci - wszyscy razem, wciągnięci w tę samą magiczną komedię ludzi i bogów.

Mnie też ujęło piękno przedstawienia i tego bajkowego; świata, z którym na Zachodzie mamy coraz mniejszy kontakt. Tuż po wojnie we Florencji, w pobliżu mojego domu. ! na placu, gdzie dziś jest parking, w niedzielę występował; kuglarze i siłacze. Czasami rozbijał tam namiot jakiś czarodziej albo wędrowna grupa teatralna. Emocje niesione przez tamte spektakle po raz pierwszy poruszyły moje struny i pozostawiły trwałe ślady w pamięci.

Ale przecież ja też bardzo się po drodze zmieniłem! Jakim to się stałem sceptykiem, racjonalistą! Jaką przyjemność sprawiało mi poczucie, że jestem odporny na każdą wiarę, każdy przesąd! Ale teraz nie miałem już nic. Nawet tej zdolności doznawania tego, czym upajali się ci ludzie. Im owe dźwięki i obrazy mówiły tak wiele. Mnie - nic. To. co oni widzieli i słyszeli wewnętrznymi oczami i uszami, zmysłami duszy, było dużo bardziej prawdziwe od tego, co widzieli i słyszeli oczami i uszami umieszczonymi na głowie. A ja? Miałem tylko te.

Jest to odczucie, jakie często miewa się w Indiach. Doznałem go wiele lat temu w Kumbhameli w Allahabadzie, gdzie widziałem największy tłum w życiu. Hindusi i santoni zebrali się, żeby się obmyć na świętym skrzyżowaniu trzech rzek: dwóch prawdziwych, wypełnionych wodą, Gangesu i Jamuny, oraz trzeciej, Saraswati, istniejącej w wyobraźni, niewidzialnej rzeki wiedzy, która miałaby płynąć pod-ziemią. Zebrały się tam setki tysięcy osób na zalanym słońcem, nadrzecznym, piaszczystym pasie. Różnica polegała na tym, w jakiej rzeczywistości się znajdowaliśmy. Ja byłem tam w słońcu,

chodziłem po ziemi pokrytej ekskrementami, natomiast inni - w uniesieniu, nie zważając na to, co się dzieje wokół - przebywali gdzie indziej; unosili się w przedśionku raju.

Być może działo się tak, bo każda rzecz, każde miejsce, każde wydarzenie ma swoje znaczenie psychiczne ponad tym pozornym; bo każdemu obrazowi zewnętrznemu odpowiada wewnętrzny, który przywołuje w nas rzeczywistość dużo bardziej prawdziwą i głęboką od przeżywanej przez nasze zmysły. Taki jest zapewne sens symboli, mitów i legend; pomagają nam wyjść poza, dostrzec to, co niewidoczne. Taka jest również wartość owego kapitału bajek i opowieści, jaki gromadzimy w dzieciństwie i do którego sięgamy w trudnych momentach życia, kiedy szukamy drogowskazu albo pocieszenia.

Tych wiecznych mitów, zdolnych pokierować duszą, symboli czegoś innego, mamy na Zachodzie wciąż coraz mniej. Zastępują je sztucznie współczesne mity pochodzące ze świata spektaklu, mody czy sportu, które kończą się tam, gdzie powstają, i nie niosą ze sobą żadnej tajemnicy.

A przecież, tylko patrząc tymi innymi oczami, możemy spowodować, że rzeczywistość dnia codziennego, rzeczywistość materii, ustąpi miejsca tej, której nie postrzegamy zmysłami, ale która nie jest przez to mniej prawdziwa; rzeczywistości psychicznej, jedynej, w której zdarzają się „cuda”, w której człowiek nie czuje bólu, gdy wbijają mu gwoździe w ramiona, a miecz w język.

Tak objawił mi się szpital w Kottakalu owej nocy. Było tak, jakby dzięki przedstawianym na scenie historiom, dzięki muzyce, tańcowi, światłom, zapachom, wspólnemu przebywaniu w jednym miejscu, być może również dzięki zmęczeniu udało się zebranim tam ludziom zdjąć z oczu zasłonę, która nie pozwala zobaczyć „reszty”, jakby zdołali oni przestąpić próg innego wymiaru i wejść w świat innej rzeczywistości.

Mnie czegoś brakowało, aby zrobić ten ostatni krok, ale byłem szczęśliwy, że tam jestem, i nie mogłem stamtąd odejść.

Przyciągnęła mnie dziwna muzyka płynąca ze świątyni. Dwaj mężczyźni stojący w rogu, akompaniując sobie -jeden na bębnie, drugi na dużym talerzu z brązu - zaintonowali przejmującą kantylenę. Kiwali się, potrząsając głowami, unosząc się lekko na stopach, w powolnym rytmie swojej grobowej kołysanki. Obydwaj byli w transie, z zamkniętymi oczami, a twarze ich rozpromieniały się przy każdym refrenie. Usiadłem na ziemi, pogrążony w tej melodii, i pomyślałem, jak by to było łatwie łagodnie opuścić swoje ciało w tym rytmie, z towarzyszeniem tych dwóch cudownych akompaniatorów, którzy wciąż grali i śpiewali bez żadnej przerwy, podtrzymując nietkniętą tę nić, do której -jak mi się zdawało - byłem przywiązany.

Kobiety, wchodząc do świątyni, czyniły prawą ręką znak na głowie i na piersiach, jakby to był znak krzyża (oczywiście: Krysna, Chrystus... takie same imiona, takie same gesty), Niektórzy chłopcy pochylali się, dotykając czołem ziemi przed sancta sanctorum, do której pudźari, powtarzając swoje mantry, rzucał wciąż płatki róż pod stopy marmurowego posągu Viswambhary.

Próbowałem wrócić do pokoju, ale ciągle coś mnie powstrzymywało; karzeł, który przyszedł postawić przed bogiem dwie piękne lampy z brązu, większe od siebie samego; słoń, który na komendę przykląkł, na następną wyciągnął nogę i ogon, żeby, używając ich jako schodków, sześciu mężczyzn mogło wdrapać się na jego grzbiet. Potem, przy akompaniamencie orkiestry złożonej z ponad stu

instrumentów dętych i dziesiątków bębnow, odnieśli do tabernakulum pikowaną, złotą płachtę z wizerunkiem boga, która przez całą noc była na placu.

Zostałem aż do chwili, kiedy pierwsze promienie słońca powoli uśpiły, a potem całkowicie wyciszyły wszystko, poza grobową kołysanką, która - daleka i przejmująca - wciąż się unosiła nad rozchodzącym się tłumem i nad rozbieranym z ozdób słońcem.

Wciąż czułem, jakbym stał w rozkroku nad brodem. Wciąż zawieszony między dwoma światami: starym, któremu życzyłem, żeby nie zniknął, i nowym, z którego absurdem wydawało mi się rezygnować. Jednym magicznym, z jego pradawnymi miksturami, drugim racjonalnym, z jego nowoczesną chemioterapią.

Wraz z innymi pacjentami poszedłem zjeść śniadanie do stołówki, która była już otwarta. W głowie miałem wielki zamęt. Nie zauważyłem nawet, że jem. Potem mój wzrok zatrzymał się na musze, która uporczywie krążyła nad moim talerzem. Sprytniejsza od innych, omijała niebieską lampę, przy której mogła się spopielić, i próbowała uszczknąć swoją porcję z mojej kaszki z sosem kokosowym. Przypomniałem sobie Nur i jej chrząszcza. A jeśli ta mucha była moją Przynoszącą Szczęście doktor, która przybyła z Nowego Jorku, żeby zobaczyć, jak się leczę krowimi siuškami, zamiast jej fosforyzującymi płynami?

Często o niej myślałem: wyprostowana, silna, precyzyjna, ciepła. Każdego dnia, przez cały tydzień w tamtym szpitalu, z tymi samymi chorymi, z tymi samymi problemami, w tych biurach jak grobowce z klimatyzacją i jarzeniowym światłem, wciąż dzwoniącym telefonem, komputerem, listami, zebraniami. Dzień po dniu, rok po roku, jakby czas stał w miejscu, podczas gdy ja, ze wszystkimi swoimi chorobami, siedziałem znów - dzięki niej - na białym koniu na pędzącej karuzeli.

Kto z nas dwojga był bardziej „chory”?

Młody lekarz zastał mnie tam rozmawiającego z mucha. Przyszedł, żeby podać mi łacińskie nazwy ziół składających się na moje dwie mikstury. Sahadevi z galaretki to była *Vernonia cinerea*. W drugiej miksturze, nazwanej... *nimbamrithadipanchathikthan*, było pięć ziół: *Azadirachia indica*, *Tinospora cordifolia*, *Adathoda beddomei*, *Trichosanthes lobata*, *Solanum surattense*.

Lekarstwa były gotowe. Wstąpiłem do fabryki i zapłaciłem rachunek: w sumie sześćset dziesięć rupii, około dwunastu euro.

Opuściłem Kottakal późnym rankiem. Na tylnym siedzeniu taksówki, kolejnego starego ambasadora, ustawione było obok mnie wielkie kartonowe pudło, a w nim - debrze zapakowanych i poprzedzielanych na wszelki wypadek gazetami - dziewięć butli bardzo specjalnego lekarstwa, przyrządzonego dla mnie „na miarę”. Moja głowa zastanawiała się, czy kiedykolwiek je zażyję, ale w głębi ducha wiedziałem już, że tego nie zrobię. I nie tyle z powodu odoru, którego pochodzenie już teraz dobrze znałem, ale ponieważ zasadniczo w to nie „wierzyłem”. Ów słoń, który wciąż jeszcze kołysał patetycznie swoją głową w rogu dziedzińca, co prawda był fascynujący i pociągający, ale dla mnie - chyba, niestety - na zawsze pozostanie zwierzęciem, a nie bogiem.

Cud specjalnie dla mnie

Brama aśramu zamknęła się za taksówką, która przywiozła mnie do „domu”, i świat ze swoimi hałasami, problemami, pragnieniami i radościami - całą zewnętrżnością, o której mówił Swami - pozostał na zewnątrz. Postawiłem kartonowe pudło w chłodzie pod metalową koją i wróciłem do tego uregulowanego, spokojnego rytmu życia, który tak bardzo mi się podobał: lekcje, posiłki, pudża, hymny gurukulam i rechotanie, cykanie, świergotanie, popiskiwanie otaczającej mnie przyrody.

Czasami się zastanawiałem, jak uda mi się opuścić ten spokojny klosz i wrócić do życia w rodzinie, która nie byłaby rodziną guru, ale taki problem koniec końców się nie pojawił. W jakiś sposób - może po prostu dlatego, że wiedziałem, iż ta chwila musi nastąpić - kiedy nadeszła, byłem znakomicie przygotowany. Wyobrażam sobie, że jest tak również ze śmiercią: ciało słabnie, umysł zaczyna myśleć inaczej i kiedy przychodzi pora, wszystko wydaje się łatwiejsze do zaakceptowania i mniej dramatyczne, niż wydawało się wcześniej.

Tafc jak człowiek wyrzuca stare ubranie,

Żeby włożyć zupełnie nowe,

Tak samo ten, kto zamieszkuje wyczerpane ciało,

Zostawia je dla takiego, które nie było nigdy używane

- mówi Kryszna, bóg, do młodego Ardżuny w Gicie, żeby mi wyjaśnić, czym jest śmierć. A mówiąc o tym, dziwa, któr mieszka w ciele, ale którego nie należy z ciałem mylić, dodaje

To ten, nie ma broni, która go przetnie,

Nie ma ognia, który go spali,

Ani wody, która go zamoczy,

Ani wiatru, który go osuszy.

...Niepojęte, niezmiennie, nieobjawione

Jest owo Ja, a Ty, wiedząc, jakim jesteś, nie masz

Powodu cierpieć.

Na temat jednego wersu, czasem jednego słowa Swami mówił całymi godzinami. Po zaprezentowaniu wedanty poprzez upaniszady druga część kursu dotyczyła przede wszystkim Gity, która - również chronologicznie późniejsza - stanowi kompendium, właśnie w formie dialogu między Kryszną a Ardżuną, całej wizji wedanty.

Prosty dźwięk sanskrytu w niektórych fragmentach dawał mi wielką radość. Czasami, recytując je przed lekcją, miałem niemal wrażenie, że lewituję. Do tej pory zdarzyło mi się to tylko wtedy, kiedy paliłem opium w Phnom Penh albo oddychałem historią na szczycie świątyni w takich miejscach, jak

Angkor czy Pagan. Wizja wszechświata, jaką niosły te wersy, bardzo mi odpowiadała. A ludzie? Wielcy i mali, tchórze i bohaterowie, wszyscy bez różnicy objęci tym samym przeznaczeniem:

Tak jak masy ciem rzucają się w ogień

Tylko po to, żeby skonać,

Tak samo ludzkość rzuca się w płonący otwór

Czasu, który zostawia opustoszały świat...

I to nie dlatego, że ludzie czują się naznaczeni grzechem, nie dlatego, że bóg, który jest gdzie indziej, ich skazuje, ale dlatego, że:

Dla tego wszystkiego, co się rodzi, pewna jest śmierć,

Dla tego wszystkiego, co umiera, pewne są narodziny.

Jest to nieuniknione, a ty nie masz powodu cierpieć.

Bóg z Gity nie ma swojego wybranego narodu, nikogo nie skazuje na wieczność, nie przeznaczają dla jednych tego, czego odmawia innym. Taki bóg mi się podobał. Bóg, który jest wszystkim i wszędzie, bóg, który nie potrzebuje pośredników, który nie wysyła na ziemię swojego reprezentanta, syna lub proroka, zawsze gotowego mówić ludziom: „On powiedział mi, że bym wam powiedział”. Bóg, którego każdy może zobaczyć na swój sposób: w zwykłym kamieniu albo w jednej z najwyższych i najpiękniejszych gór Himalajów, takich jak Kajlas. Zdawało mi się to wizją wolnych ludzi, zrodzoną z czystego poszukiwania - to znaczy pozbawioną interesów rasowych czy klasowych - w imieniu całej ludzkości.

W wizji Gity podobało mi się, że - w odróżnieniu na przykład od buddyzmu - świat zmysłów nie był widziany jako maja, iluzja, czy też jako przeszkoda w prawdziwym poznaniu. Wedanta nie neguje świata. Zaprzecza tylko temu, że ma on niezależne istnienie. Ale to właśnie wychodząc od własnego postrzegania świata, każdy może odkryć to, od czego on zależy. Kiedy już zrobi się ten krok, świat zostaje przekroczony, nie jest już potrzebny - w takim sensie staje się „iluzją” - tak jak niepotrzebny jest osiemnasty słoń z klasycznej historii, wykorzystywanej właśnie po to, żeby wyjaśnić znaczenie pojęcia maja.

Pewien człowiek umiera, pozostawiając w spadku trzem synom siedemnaście słoń. W testamencie napisał, że połowa z nich ma przysiąc najstarszemu, jedna trzecia drugiemu, a jedna dziewiąta trzeciemu. Synowie nie wiedzą, jak dokonać podziału. Myślą, że będą musieli przekroić na pół jednego słoń. W końcu wybuchają kłótnia.

- Nasz ojciec był głupi, nie powinien zostawić nas z takim dylematem - mówią.

W tejże chwili przejeżdża przez ich wioskę na grzbiecie swojego słonia, kierując się do stolicy, minister króla. Dowiaduje się o ich problemie i mówi:

Nie przejmujcie się. Weźcie mojego słonia, dodajcie go do waszych siedemnastu i dokonajcie podziału.

Trzej bracia nie rozumieją, jak minister może być taki hojny, ale robią, jak powiedział. Słoni jest teraz osiemnaście: pierwszy syn bierze połowę, czyli dziewięć; drugi jedną trzecią, czyli sześć; trzeci jedną dziesiątą, czyli dwa - w sumie siedemnaście. Trzej bracia są szczęśliwi i dziękują ministrowi. Ten zabiera słonia - osiemnastego - i wyrusza w drogę do stolicy.

Taki jest świat: nie iluzja, ale coś, co pomaga nam dokonać naszych rachunków i przyznać, że cały wszechświat podtrzymywany jest przez świadomość, przez ową rzeczywistość i całość, przez „Ja”, którego częścią jest wszystko. Dlatego wszystko - piekło, raj, szczęście, smutek, radość, sam świat - jest w nas.

Podobało mi się przede wszystkim to, że w wizji wedanty nie ma pojęcia grzechu - a tym bardziej pierwotnego - i dlatego nie istnieją grzesznicy. Pragnienia? Nie są naganne, stanowią część życia. Kryszna w Gicie pośród wielu pięknych określeń, jakimi się obdarza, mówi właśnie:

Ja jestem pragnieniem w sercu ludzi. Trzeba być jednak świadomym, że pragnienia wiążą nas z sansarą, ze światem stawania się. Tylko przecinając te więzy, można naprawdę być wolnym. (Na przykład: „Ja jestem smakiem w wodzie, światłem w słońcu i w księżycu, jestem słowem «OM» w Wedach, jestem dźwiękiem w eterze jestem męskością w ludziach. Ja jestem zapachem w ziemi i tym, czyn płonie ogień. Jestem życiem we wszystkich istotach i surowością życiu ascetów. [...] Jestem nasieniem każdej istoty, intelektem u intehgerwnych, bohaterstwem u bohaterów. Jestem siłą w silnych").Wedanta jest nowoczesna, ponieważ, jako poznanie, nie staje nigdy w sprzeczności z nauką. Uważa ją wręcz za świętą, gdyż jeśli wszystko jest bogiem, nie ma rozróżnienia między sacrum i profanum.

- To, co robią uczeni, to zagłębienie do umysłu Iśwary" -mówił Swami, który nie był w żaden sposób dogmatykiem ani fideistą.

Kiedy zaprosił mnie znowu na kolację, żeby zapytać, jak poszło w Kottakalu, nie zdziwił się, że mam wątpliwości dotyczące skuteczności krowich siusiek, i postanowił nadal mi pomagać. Powiedział, że wkrótce przyjedzie do aśramu młody lekarz, również zajmujący się ajurwedą, o którym bardzo dobrze się wyrażano. On sam chciał się z nim skonsultować w sprawie swojej cukrzycy i postanowił przedstawić mu również mnie.

Fakt, że Swami, choć ubrany w tradycyjny strój sprzed dwóch tysięcy lat, ma umysł jak najbardziej racjonalny i nowoczesny, podobał mi się, ale z biegiem czasu właśnie to zaczęło pozostawiać coś do życzenia. Wszystko było dla niego kwestią logiki. Nie dostrzegał wartości intuicji, nie pozostawiał wiele miejsca dla serca, a pewnego dnia uderzyło mnie, że przez wszystkie tygodnie, kiedy go słuchałem, nigdy nie padło z jego ust słowo „miłość". Zgadałem się, że istnieje rzeczywistość, której nie widzą oczy, której nie słyszą uszy, której nie można posmakować językiem, poczuć nosem ani dotknąć ręką. Ale na koniec rzeczywistość ta, jak on ją opisywał, zdawała mi się nad wyraz zimna, złożona w całości ze słów. Słów sanskryckich przełożonych na angielski, ale przecież zawsze tylko słów. On sam powtórzył kilkakrotnie, że „zbawienie nie pochodzi od słów". Należało zrobić

doświadczenie ze znaczenia słów, a ja wcale nie miałem wrażenia, że tak się dzieje. Słuchałem ich, ale nie „czułem”. Cieszyłem się poezją tekstów, ale nie miałem wrażenia, żeby otwierały mi trzecie oko.

Przeżywałem swoisty kryzys. Poczułem to - jakby chodziło o jakąś przestrożę - pewnego wieczora, gdy usiadłem w małym patio przed moim pokojem, kiedy zgasły wszystkie światła. Był to letni wieczór, podobny do tych z mojego dzieciństwa spędzonego w Orsigni. Z daleka dobiegały głosy śmiejących się dziewcząt, na bezkłębowym niebie świeciły gwiazdy i od czasu do czasu pojawiały się w ciemności światła jakiejś ciężarówki, pędzącej w stronę Coonoor. starej stacji klimatycznej Anglików w Nilgiri Hills. Góry otaczała magiczna aureola niebieskiego światła. Wzdłuż grani jakiś ogień pochłaniał resztki pozostających jeszcze zarośli. Brakowało mi świata. Po wielu tygodniach odizolowanie w aśramie wydało mi się wymuszone. Czułem, że moja koncentracja słabnie, natomiast wzrasta we mnie chęć, żeby stamtąd prysnąć, dowiedzieć się, z czego się śmieją te dziewczyny, zobaczyć, czy dalekie ogniska nie są przypadkiem częścią jakiegoś plemiennego rytuału.

Koniec końców, z całą moją ciekawością i sympatią do „innego”, byłem i pozostawałem Europejczykiem. Czułem, jak narasta piękna i ciekawa, zasadnicza sprzeczność między naszym sposobem bycia na świecie, a tym, jak podchodzą do tego Hindusi: dla nas najwyższą wartością życia jest: samo życie; dla nich - niezycie. Moksza, uwolnienie się od powtórnych narodzin, to wielkie dążenie tej cywilizacji. Jako śiśji proponowano mi dążenie do takiego właśnie negowania życia, gdy tymczasem mnie - takie, jakim jest - wciąż się podobało. Dostrzegałem w nim nadal wiele radości. Rozumiałem, że odpowiada jej cierpienie, rozumiałem wartość walki z pragnieniami. Podobało mi się oderwanie, ale nie obojętność.

Byłem przekonany, że - szczególnie w moim wieku - najlepszym sposobem cieszenia się rzeką jest przebywanie poza jej nurtem, ale chciałem przynajmniej móc usiąść nad brzegiem, patrzeć na wodę, słyszeć, jak przepływa

A wszystko to zdawało mi się bardzo odległe od aśramu.

Pewnego dnia, podczas obiadu, przysiadł się do mnie jeden z najstarszych śiśjich, kardiochirurg z Hajdarabadu.

Anam-ji, co wiesz o piramidach?

O piramidach? - Moje zdziwienie go ośmieliło. Niemal zapominając o jedzeniu, wyjaśnił mi, że piramidy - nie tylko egipskie, ale wszystkie, nieważne, małe czy duże, z kamienia czy z innego materiału, w każdej części świata - mają swoją tajemniczą siłę, która nie została do tej pory zrozumiana. Na przykład on od miesięcy golił się tą samą żyletką, która się nie tępiła, ponieważ po użyciu kładł ją pod małą, żelazną piramidę. Poza tym miał piramidę z plastiku, którą zakładał na głowę podczas medytacji jak kapelusz, a także specjalną maseczkę na oczy - w rodzaju takich, jakie dają w samolotach - żeby lepiej spać.

Powiedział, że około czterdziestu kilometrów od aśramu jest „bardzo potężna” piramida, zbudowana kilka lat temu. Moglibyśmy pojechać ją zobaczyć, dzieląc się kosztem taksówki. Jego, jako lekarza, interesowały przede wszystkim lecznicze siły piramid.

Siły lecznicze? Te interesowały również mnie! Przypomniałem sobie, że Mangiafuoco wspominał mi o czymś takim. Jego sceptycyzm dotyczący klasycznej medycyny pojawił się, kiedy w Peru i w Kolumbii zobaczył, jak na wydziałach rolniczych prowadzi się badania dotyczące siły piramid w walce z pewnymi pasożytami roślin. Uznał to za żart, a tymczasem działało: nie powodowało zanieczyszczenia i było dużo tańsze od środków ochrony roślin.

Powiedziałem kardiochirurgowi, że może na mnie liczyć. A on, zadowolony, że znalazł nowego kandydata na piramidologa, wyciągnął z zawieszzonego na ramieniu worka książkę, którą miałem koniecznie przeczytać, żeby przygotować się do zwiedzania. Miała ona kształt piramidy.

Minęło kilka dni. Któregoś wieczora, podczas satsangu, Swami ogłosił, że następnego dnia nie będzie lekcji. Musiał jechać do Bombaju wygłosić wykład Jak uniknąć stresu we współczesnym życiu dla grupy przemysłowców, którzy partycypowali w naszym utrzymaniu. Skorzystaliśmy z okazji, żeby wyjechać. Wiedziałem, że wszystko, co ma coś wspólnego z „mocami”, bardzo interesuje Sundarajana, więc zaprosiłem go, żeby pojechał z nami. Tak więc we trzech, znów wewnątrz starego ambassadora - samochodu, który ze swoim wysokim tylnym siedzeniem pokrytym białą tkaniną pozostaje dla mnie symbolem luksusowego podróżowania po Indiach - przyjęliśmy kurs na piramidę.

Ale ona też była... indyjska! Bidulka, pod kilkoma palmami, które posadzono wokół, żeby nadać jej trochę bardziej egipski wygląd, wykonana ze zwykłych kamieni i postawiona obok prywatnej szkoły o angielskiej nazwie Perks. Wyróżniała się dwiema grubymi rurami owiniętym.: w połyskującą folię aluminiową, które - wylaniając się dokładnie spod szczytu - niszczyły całą jej naturalną równowagę i niby to mistyczną strukturę.

Są to rury klimatyzacyjne, które musieliśmy zainstalować, gdy odwiedził nas Master Choa Kok Sui - wyjaśnił mężczyzna, który nas przyjął.

Kto?

Master Choa Kok Sui, twórca energoterapii. Wielki uzdrowiciel. Wynalazł system leczniczy cieszący się ogromnym powodzeniem. Mieszka w Manili na Filipinach.

Uzdrowiciel? Zanotowałem to sobie.

Moc piramidy - wytłumaczył nam przewodnik - polegała na zdolności skupiania i zachowywania „promieni kosmicznych”. Umożliwiały one wewnątrz konstrukcji rzeczy inaczej niewyobrażalne: od automatycznego ostrzenia się żyłek, poprzez długotrwałą konserwację jedzenia, po doskonałą koncentrację przy medytacji.

Ponieważ wszyscy trzej przybywaliśmy z aśramu, gdzie medytacja była czynnością rutynową, chcieliśmy natychmiast poddać próbie tę szczególną właściwość piramidy. Wyniki nie okazały się piorunujące. Klimatyzacja, zainstalowana dla sławnego mistrza energoterapeuty, który przebywał tam ledwie przed kilkoma tygodniami, była już zepsuta, a na drewnianym podeście, ustawionym dokładnie pośrodku piramidy, pod jej wierzchołkiem, panował duszący upał. Promienie kosmiczne, które według literatury piramidologicznej miały ogromny wpływ na wiele osób, poczynając od Napoleona, jeśli tam rzeczywiście były, na mnie nie wywarły żadnego. Wstałem jako pierwszy i wyszedłem.

Konstruktor budowli, dyrektor szkoły i autor książki w kształcie piramidy, którą dał mi do przeczytania kardiochirurg, czekał na nas - jak to zwykły czynić ważne osoby - w swoim gabinecie, siedząc za biurkiem z zamiarem podpisywania papierów. Na ścianie w głębi rzucało się w oczy napisane drukowanymi literami hasło szkoły: „Jestem dumny, że się tu uczę. To, czego nie może dać mi ta szkoła, dadzą mi Indie. To, czego nie będą mogły dać mi Indie, da mi świat”.

- Założona przez Anglików? - zapytałem, żeby zacząć rozmowę.

Ależ skąd, szkołę założył on sam przed trzydziestu laty na terenach należących do jego rodziny. Jeśli chodzi o nazwę, Perks, były to pierwsze litery imion piątki jego dzieci w kolejności urodzin.

Rama Ranganathan miał sześćdziesiąt trzy lata, na które nie wyglądał „dzięki możliwościom piramidy” - jak sam powiedział. Wcześniej pracował w przemyśle tekstylnym. Podczas podróży do Europy jego statek zatrzymał się na kilka godzin w Port Saidzie, a on pobiegł zobaczyć piramidy. Od tamtej pory stały się jego pasją. Czytał o nich, pisał, a w 1992 roku, na pamiątkę pewnego wyjątkowego wydarzenia, zbudował własną. Tym wyjątkowym wydarzeniem była trwająca siedem lat susza, której położył kres za pomocą odpowiedniej pudzi: przez trzy dni i trzy noce, bez przerwy, setki osób przybyłych z całego regionu recytowało magiczne mantry wzywające deszcz i pod koniec trzeciej doby przyszły gwałtowne ulewy. Dokładnie w tym miejscu, w którym celebrowana była pudza, w „najświętszej części szkoły”, wyrosła piramida. W jej fundamentach, po umieszczeniu w specjalnych, plastikowych torebkach, żeby się lepiej przechowały, zacementowano tysiące karteczek, na których słowo Ram - „imię Pana”, wyjaśnił - zapisane zostało milion dwieście tysięcy razy.

Ja jestem tylko kierowcą, a on - powiedział, wznosząc palec ku niebu, aby wskazać Boga - on mówi mi gdzie zaprowadzić samochód. W końcu to on jest panem wszystkiego.

Dyrektor był także ekspertem od vastu, indyjskiej wersji feng shui, chińskiej sztuki odpowiedniego ustawiania budynku lub urządzania pokoju w harmonii z siłami natury, a tym samym używania go w najbardziej korzystny sposób.

Oczywiście udało mu się uczynić zbudowaną przez siebie konstrukcję korzystną i dochodową. Wraz z upływem lat piramida stała się atrakcją turystyczną, sława szkoły wzrosła - liczba uczniów się zwiększyła z kilkudziesięciu do ponad dwóch tysięcy - natomiast w muzealnym sklepie, który zdawał się już częściej odwiedzany od samej budowli, sprzedawano różne rodzaje piramid „do osobistego użytku”. Towarzyszącego mi kardiochirurga najbardziej zainteresowała drewniana, rozkładana na cztery części. Jak powiedział dyrektor, była przeznaczona do tego, żeby w niej spać... i w ten sposób „leczyć się z różnych chorób”.

Nie sądziłem, żeby mogła pomóc w mojej, ale kardiochirurg nalegał. O jakie dokładnie choroby chodzi?

Na przykład mój szwagier był już na liście do by-passa - powiedział dyrektor - ale chciał wypróbować piramidę. Natychmiast poczuł się lepiej i teraz nie chce już się operować.

Przez chwilę pomyślałem, że mam do czynienia z jakąś inscenizacją: kardiochirurg zwiedza piramidę i - dziwnym trafem - opowiadają mu o cudownym ozdrowieniu chorego na serce.

A gdzie jest ten szwagier? - zapytałem z nutą dawnej arogancji dziennikarza, który uważa, że ma prawo wiedzieć.

Szwagier mieszkał parę kilometrów stamtąd i jakby inscenizacja naprawdę trwała - ale to niemożliwe, wszystko zdarzyło się przypadkiem! - zastaliśmy go, jak czyta, wyciągnięty na kozetce, wewnątrz piramidy, którą umieścił przed wejściem do swojego domu. Jedna ze ścian konstrukcji została zbudowana tak, żeby - podciągana i opuszczana - mogła służyć za drzwi.

Mężczyzna, około sześćdziesięcioletni, wcale nie wyglądał na chorego. Zrelacjonował swój przypadek kardiochirurgowi i odpowiedział na wiele pytań. Na koniec, mówiąc, iż został „cudownie uzdrowiony” mocą piramidy, dodał, że nigdy nie odda się w ręce chirurgów. Co więcej, przeczytał właśnie o jakimś badaniu amerykańskim, według którego pacjenci operowani na serce mówili, że nie potrafią już kochać i nie czują miłości innych. Innymi słowy, by-pass miałby mieć negatywny wpływ na tę część mózgu, która rejestruje te uczucia, a on chciał umrzeć, zachowując zdolność do kochania.

Czy mogłem zakwestionować to, co mówił? Szczególnie po tym, jak stojąc przy drzwiach-ścianie swojej piramidy, w której spędzał już właściwie dzień i noc, zacytował na pożegnanie czyjeś zdanie, dotyczące nas wszystkich:

- Miara człowieka nie leży w jego śmierci, ale w jego życiu.

W drodze powrotnej do aśramu Sundarajan i kardiochirurg cały czas komentowali naszą wizytę. Obydwaj byli pełni entuzjazmu. Sundarajan, ze swoim dużym, krwistoczerwonym, namalowanym popiołem kółkiem i trzema smugami sandałowego proszku na czole, wytrzeszczał oczy - i tak już wielkie - żeby podkreślić swoje zdumienie. (Inni używają popiołu ze spalonego krowiego łajna; jeszcze inni popiół z kremacji zwłok, uważany za postać Iśwary). Był przekonany o mocy piramidy. Dobrze już znał możliwości mandddrram, jak uporczywie nazywał mantry. Jako przykład podał formułę magiczną, dzięki której można było utrzymać jeszcze przez jakiś czas przy życiu umierającego, albo taką, którą należało zaintonować w czasie ślubu, aby spowodować, że pierwsze dziecko pary będzie chłopcem. Kardiolog zastrzegł tylko, że skuteczność mantr w dużym stopniu zależy od tego, kto je stosuje.

- Antybiotyki też - powiedział - nie mogą być przepisywane wszystkim. A poza tym przydatne są tylko w niektórych przypadkach.

Słuchałem i patrzyłem na przesuwający się za oknem typowy, przygnębiający widok Indii. Zastanawiałem się, jak to możliwe, że mimo wielkiej potęgi mantr i.,, piramid, jest to wciąż kraj o jednym z najwyższych wskaźników śmiertelności dziecięcej na świecie, z wysoką zachorowalnością na gruźlicę. W kraju tym co roku - mimo mocy, jaką mają pudże w wywoływaniu i powstrzymywaniu deszczy - tysiące ludzi umiera w wyniku suszy albo powodzi. Może właśnie dlatego istnieje takie zapotrzebowanie na mantry, pudże i całą poezję ich „mocy”. Czy też wręcz przeciwnie? Wszystko jest tak rozpaczliwe z powodu mantr i pudzi?

W muzealnym sklepie dyrektora każdy z nas kupił sobie swoją piramidę. Moja, z błękitnego plastiku, po tym jak parę razy spróbowałem włożyć ją na głowę podczas medytacji, wylądowała pod żelazną koją obok kartonowego pudła z lekarstwami z Kottakalu.

Coraz częściej, zamiast medytować z grupą, chodziłem podziwiać otaczającą nas przyrodę. Czasem malowałem ją skromniutkimi akwarelami, które znalazłem w sklepie papierniczym w Kojambaturze. Malowałem od dzieciństwa. Nigdy nie byłem w tym dobry, ale próba odtworzenia na papierze nie tyle tego, co widziałem, ile atmosfery tam panującej, wciąż mnie pociągała.

Pewnego wieczora o zachodzie słońca siedziałem na moim pagórku, malując snopki siana rozrzucone na równinie poniżej. Myślałem, że jestem sam, ale podeszła do mnie kobieta. Była z naszego kursu. Zauważyłem ją wcześniej - zawsze na uboczu, samotna, bardzo szczupła, elegancka, ale o wyglądzie cierpiętnicy.

- Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli popatrzę? - spytała.

Szybko rozwinęliśmy interesujący motek wspólnych zainteresowań i zbiegów okoliczności. Słyszała, że byłem w Kottaalu i domyśliła się, że mam problemy ze zdrowiem. Ona też je miała. Przed dziesięcioma laty rozpoznano u niej nieuleczalną chorobę zwyrodnieniową. Medycyna zachodnia doprowadziła ją na skraj życia, zanim jeszcze uczyniła to choroba. Ktoś jej powiedział o maleńkim centrum przyrodolecznictwa, prowadzonym przez pewną parę w zagubionej wiosce w stanie Andhra Pradeś, i ostatkiem sił tam się udała. Było to najbardziej prymitywne i najbiedniejsze miejsce, jakie kiedykolwiek widziała, ale owa para pomogła jej przeżyć, więc tam została. Zerwała z życiem i rodziną w Delhi - oczywiście zamożną - osiadła w owym ośrodku i próbowała pomagać innym poprzez przyrodolecznictwo, które w jej przekonaniu było najlepszym systemem medycznym na świecie.

Najistotniejszą fazą leczenia - wyjaśniła - jest dogłębne poznanie chorego. Chodzi o to, żeby długo z nim rozmawiać, czasami wiele godzin bez przerwy, aby móc ustalić, jak zastosować jedyną prawdziwą terapię naturalną: głodówkę.

Głodówka leczy - powiedziała - ale trzeba koniecznie ustalić, ile ma trwać, ile wody należy pić i z czym; na przykład z miodem i cytryną. Nigdy z sokami owocowymi. Głodówka zmusza organizm do spalania wszystkiego, co nie jest konieczne, nadmiaru, tego co narasta, rzeczy szkodliwych, starych zapasów, ale nigdy rzeczy pożytecznych. Nie odbiera ona organizmowi energii, przeciwnie, pozwala zaoszczędzić tę, którą w przeciwnym razie musiałby spożytkować na strawienie jedzenia. Podczas okresów głodówki konieczna jest całkowita koncentracja. Nie należy ani czytać, ani pisać. Jedynie medytować.

Wyjaśniła mi, że podstawową sprawą jest troska nie tylko o ciało pacjenta, ale także o jego stan psychiczny, a szczególnie o rozwój duchowy.

Koniec końców chodzi o to, żeby wierzyć w Boga. Wszystkie choroby są uleczalne, ale nie wszyscy pacjenci - powiedziała.

Opowiedziałem jej o Kottakalu i zapytałem, co ona zrobiłaby z lekarstwami, które trzymałem pod łóżkiem.

- Bierz je tylko wtedy, jeśli ufasz, że cię wyleczą.

Byłem w punkcie wyjścia. A jeśli nie odniosłoby żadnego skutku albo nawet mi zaszkodziły, nie byłoby to wina krowich sików, ale mojego niedowiarstwa! Znałem to rozumowanie.

Zaprosiła mnie do swojej wioski w Andhra Pradeś. Jeśli byłoby to dla mnie za daleko, mogłem wyrobić sobie pojęcie o przyrodolecznictwie w innym ośrodku, który zyskał sławę, w pobliżu Bangaluru.

Wziąłem adres.

Powoli świat aśramu, który dotąd uważałem za jedyny i szczególny, zaczął mi się w gruncie rzeczy jawić jako niezbyt różniący się od tego na zewnątrz. Ludzie, początkowo łaknący samotności i całkowicie pochłonięci sprawą, z powodu której tam byliśmy, z czasem mieli coraz większą skłonność do nawiązywania kontaktów, do łączenia się w grupy, do dotrzymywania sobie wzajemnie towarzystwa. Jeden członek „brygady emerytów”, który dowiedział się o naszej wycieczce do piramidy, poczuł się dotknięty, że go nie zaprosiliśmy. Kiedy jednak zauważył, że przez tydzień zachowywałem milczenie, po zakończeniu kursu chciał mnie zabrać do swojego Muni Baby, starego sadhu, który nie mówił już od ponad dwudziestu lat.

Sam aśram był społecznością i po jakimś czasie dostrzegłem w nim taką samą dynamikę, jaka rządzi społecznościami na zewnątrz: grupa kobiet rywalizowała, lecz uprzejmie, o prawo do obsługiwania przybywających z wizytą swamich; inni konkurowali w kategorii zadawania najbardziej inteligentnych pytań podczas satsangu.

Kto myśli, że wchodząc do aśramu, ucieka przed pułapkami zastawianymi przez życie, jest w błędzie. Oczywiście, nie dopadają cię tam podatki, rachunek za telefon, zaproszenie na kolację do kogoś, kogo nie masz ochoty widzieć, ale również tam niepostrzeżenie tworzą się powinności i napięcia. Czujesz się w obowiązku być obecnym na pudzi albo walczysz o jak najlepsze miejsce u stóp Swamiego. Również aśram mógł na swój sposób stać się pułapką. Był schronieniem oferującym opiekę i zabezpieczenie, jednak tym samym - jak każda opieka i zabezpieczenie - ograniczał również wolność.

Nauczyłem się tam bardzo wiele, mnóstwo nowych idei wypełniło moją głowę. Czułem się członkiem gurukulam, ale życie aśramu, z jego świętymi pismami, które należało przeczytać i przekazać innym, nie było dla mnie. Swamiemu zawdzięczałem bardzo dużo, ale nie nadawałem się na jego „wyznawcę”.

Pewnego ranka, biorąc prosty prysznic, polegający na tym, że przycupnąłem na ziemi przed niskim kranem i wylewałem sobie na głowę wiadra zimnej wody, poczułem od siebie zapach mnicha: zapach powściągliwości, jałowego jedzenia, nieskazitelnego życia. I to mnie zaniepokoiło.

Wkrótce potem, w napadzie heretyckiego gniewu, nie myśląc długo, wytłukłem cały zastęp mrówek, które wdarły się do mojego pokoju i zaatakowały moje cenne pudełko z daktylami. Wreszcie, zamiast zjeść przy śniadaniu trzy duże kluski z grysiu, wrzucone przez brahmacharię do mojej miski, przełożyłem je do talerza sąsiada, który odszedł, żeby przynieść sobie szklankę mleka. Był to jeden z najbardziej milczących i porządných emerytów. Kiedy wrócił, sprawiał wrażenie bardzo zakłopotanego. Nie rozumiał tego cudownego rozmnożenia się jego posiłku, rozglądał się dookoła, patrzył na mnie, a ja, dumny ze spletanego figla, zachowywałem się jakby nigdy nic. W końcu zjadł wszystko.

Pewnego dnia na cemencie u stóp schodów prowadzących do audytorium wykonano piękne rangoli, dekorację narysowaną mąką ryżową, tak żeby mrówki mogły potem przyjść i zjadając, zetrzeć ją. Był to geometryczny rysunek, w którym wszystko opierało się na ósemce; osiem boków, osiem rogów, osiem linii wewnętrznych, które tworzyły osiem trójkątów, osiem punktów... a w środku - jakby to było słońce, wokół którego krąży świat, albo jądro atomu ze swoimi neutronami - białe kółko.

Był to dzień poświęcony obchodom Śankary, wielkiego komentatora Wed z ósmego wieku. Zamiast lekcji miały się odbyć różne pudże. Dla mnie była to okazja, żeby opuścić aśram i poodychać powietrzem na zewnątrz. Ruszyłem w stronę Coonooru, starej stacji klimatycznej, gdzie Anglicy chronili się przed panującym na równinie upałem.

Podróż była straszna. Droga przypominała komorę gazową. Ciężarówki z benzyną i autobusy wypełnione ludźmi wdrapywały się pod górę, wydychając z siebie duszące chmury rakotwórczych dymów. Słyszałem o Coonoorze jako o jednym z najpiękniejszych i najspokojniejszych miejsc w Indiach, ale kiedy w końcu tam dotarłem, pomyślałem, że pomyliłem adres. Niedawno padało i miasteczko było jednym wielkim grzęzawiskiem, opanowanym przez przemoczonych i zaniedbanych ludzi. Czytałem o YWCA, hotelu w starym stylu dla młodych chrześcijańskich kobiet. Mieścił się w starym, dziewiętnastowiecznym budynku, podupałym jednak i zapleśniałym, ze ścianami pomalowanymi na taki odcień błękitu, który powinien ukryć i zakamuflować każdą usterkę. Z sufitów zwisały odsłonięte żarówki. Podłoga tu i tam pokryta była starymi i wilgotnymi dywanikami. W jednym z rogów stał fortepian, w innym wygaszony kominek. Przy jednym ze stolików siedziało trzech młodych, zagranicznych podróżnych, którzy nie odpowiedzieli na moje Namaste.

Z typowym zapalem kogoś, kto sądzi, że ma jeszcze coś do odkrycia, poszedłem na bazar i Coonoor objawił mi się w całej swojej przygnębiającej nędzy. W typowych kloakach pod gołym niebem w ciągu kilku minut zobaczyłem załatwiającego się dziecko, pijącego psa, dziobiącego kruka oraz kozę skubiącą rzadkie źdźbła trawy. Dnem tego piekielnego chaosu była rzeczka przepływająca pod mostem w centrum miasteczka - tam, gdzie różne ulice spotykają się naprzeciw przystanku autobusowego. Strumień zepsutej i cuchnącej wody przepływał między stertami śmieci, które zdawały się żyć, tak bardzo roily się od szczurów, psów i kruków. Nieco powyżej pały się spokojnie krowy i bawoły. Stado wychudzonych i wyłysiałych małąp, z uwieszonymi przy brzuchach małymi, czekało na balustradzie mostu, kiedy uda im się przejść przez ulicę pośród nieustannego ruchu ciężarówek. Na chodniku trędownaty z rękami pokrytymi różowymi ranami naprawiał kaptcie, siedząc na łachmanie z juty.

Specjalnością bazaru były oleje. W witrynach mnóstwa sklepików stały w rzędach zakurzone buteleczki z olejem eukaliptusowym, migdałowym, sandałowym, goździkowym. Każdy z nich był polecany ze względu na swoje właściwości łagodzące ten czy inny ból.

Aśram, ze swoim bramińskim porządkiem, czystymi ludźmi, ubranymi na biało i nastawionymi nieustannie na myślenie o swoim „Ja”, stał się bardzo odległy. Zastanawiałem się, czemu w końcu służyły wszystkie te piękne idee, jeśli wyprodukowane przez nie społeczeństwo było tak wynędzniałe. Najlepszym sposobem oceny jakiejś sprawy jest przyjrzenie się jej efektom. A zatem: czy to wina Wed? A może kolonialnego reżimu, który zniszczył Wedy, a także upokorzył i skalał indyjski umysł? Czułem się coraz bardziej zagubiony, pozbawiony którejś z owych pięknych, jasnych idei z czasów młodości, kiedy nie tylko byłem przekonany, że rozumiem problemy, ale także, że znam ich rozwiązanie.

Zjadłem kolację w brudnym szynku, prowadzonym przez jakiegoś muzułmanina. Przy tym samym stole siedzieli młodzi Hindusi, którzy pijąc czaj, bardzo słodką herbatę z mlekiem, uczyli się używać wielkiego wynalazku tych czasów - telefonu komórkowego.

Spałem w szerokim, połamanym łóżku. Bardzo bolał mnie brzuch. Światło z sąsiedniego pokoju wpadało do mojego przez świetlik wspólnych drzwi. Jedynym sposobem jego zgaszenia był wyłącznik na korytarzu, który gasił jednak wszystkie światła na piętrze.

Śniadanie zjadłem przed fortepianem, z mężem kobiety zarządzającej hotelem, który przyszedł dotrzymać mi towarzystwa. Miał dyplom z literatury tamilskiej, ale przekwalifikował się na „holistycznego doktora”, jak sam się przedstawił. Rynek związany ze zdrowiem jest dziś jednym z najbardziej ekspansywnych na świecie, a on z tego tortu, wokół którego tłoczą się tłumy cwaniaków i oszustów, również próbował odciąć sobie kawałek. Zajmował się jogą, siddhą, (Stary system medycyny z Tamilnadu, podobny do ajurwedy, ale -jak twierdzą niektórzy - znajdujący się pod wpływem alchemicznych praktyk chińskich), numerologią, magnetyzmem i wieloma innymi diabelstwami.

Żeby zademonstrować mi swoje możliwości, wyciągnął cały zestaw plastikowych narzędzi do leczenia bólu pleców, sprzęt do akupunktury oraz maseczkę na baterię do masażu oczu i przywracania wzroku. W Madrasie były targi „medycyny alternatywnej”, więc zaopatrzył się w wiele nowości. Zgromadził już niemało oświadczeń ludzi, którzy mówili, że zostali wyleczeni. Lista chorób, które -jak twierdził - był w stanie wyleczyć, przedstawiała się imponująco. Miał właśnie kupić teren, na którym zamierzał zbudować holistyczny ośrodek zdrowia. Bungalowy dla pacjentów miały mieć kształt piramidy, która - dodał - ma sama w sobie wielką moc uzdrawiającą. Wiele słyszał o słynnej z powodu tych właściwości piramidzie w szkole Perks w pobliżu Kojambaturu, Liczył na to, że wkrótce tam pojedzie, żeby zasięgnąć bardziej szczegółowych informacji.

Mogłem roześmiać mu się w twarz albo rzucić do gardła, szczególnie kiedy poprosił, żebym mu pomógł, przysyłając zagranicznych pacjentów. Ale w końcu nie zrobiłem ani jednego, ani drugiego.

Dostrzegłem za drzwiami młodego, nędznie ubranego człowieka, wyglądającego na Japończyka, i wolałem z nim porozmawiać. Zaprosiłem go, żeby coś zjadł. Nie myliłem się: pochodził z Tokio, miał trzydzieści lat. Był przerażony stylem życia swoich rodaków, którzy „pracują przez całe życie, żeby potem umrzeć”, więc postanowił „umrzeć, zanim zacznie pracować”. Dlatego przyjechał do Indii. Nie miał pieniędzy, sypiał na dworcach, w kościołach i świątyniach. Był brudny i słabowity. Wydawało się, że nie jest zbyt daleko od osiągnięcia swojego celu.

Wróciłem do aśramu przemoczony do suchej nitki. Zaczęły się nagłe ulewne deszcze monsunowe i jeden z nich mnie zaskoczył. Skorzystałem z niego, żeby zrobić pranie, zmienić prześcieradła i umyć podłogę w moim pokoju, zanim powróciłem, odświeżony, do życia aśramu.

Trujące wyziewy z ciężarówek, a może zanieczyszczenie w Coonoorze, uaktywniły moją zadawnioną alergię: miałem zatkaany nos, oczy mi łzały i często musiałem kichać. Był to powód, żeby nie uczestniczyć w grupowej medytacji, gdzie bym przeszkadzał, i pójść samotnie do świątyni na moim wzgórzu. Było otwarte na wszystkie widnokreśli i wystawione na wszelkie powiewy. Świat widziany

stamtąd, z obojętnością kogoś, kto niczego od niego nie oczekuje i nie pragnie go zmieniać, wydawał mi się przepiękny.

Ale świat miał swój sposób wchodzenia do aśramu. Pewnego dnia przyjechał z Madrasu słynny przemysłowiec z rodziną. Byli oddanymi wyznawcami Swamiego, a także jednymi z najbardziej hojnych dobroczyńców. Musiałem zjeść z nimi kolację. Innym razem przyjechała dziesiątka byłych uczniów Swamiego, którzy teraz - również jako swami - nauczali wedanty w różnych indyjskich miastach. Przybyli, żeby podyskutować na temat, w który ja też zostałem wciągnięty: konwersje. Zdałem sobie sprawę, że była to kwestia, która - mimo deklarowanego oderwania od spraw świata - leżała Swamiemu bardzo na sercu. Pisał o tym, mówił, jeżdżąc po Indiach, a kilka miesięcy wcześniej, w przemówieniu przed jedną z komisji Narodów Zjednoczonych, przedstawił formalne żądanie, żeby międzynarodowa organizacja interweniowała w sprawie zamrożenia nawróceń na chrześcijaństwo w Indiach.

Twierdził, że nawrócenia są aktem gwałtu, gdyż zmieniają lokalną kulturę, wywołują napięcia i konflikty, których dziś należałoby unikać. Według niego religie można ogólnie podzielić na dwa typy: agresywne i misjonarskie, takie jak chrześcijaństwo i islam, oraz te, które nie szukają prozelitów, jak judaizm, zaratusztrianizm i sam hinduizm. Pierwsze byłyby religiami „silnymi”, natomiast drugie „słabymi”. W konfrontacji te drugie stałyby zawsze na straconej pozycji. W szczególny sposób miałyby to dotyczyć hinduizmu, który nie ma żadnej centralistycznej struktury i z zasady pozostawia każdemu swobodę czczenia tego boga, którego chce, i pod takim imieniem, jakie woli.

Inni nauczyciele wedanty przed Swamim nie zajmowali takiego stanowiska. Na przykład w dziewiętnastym wieku wielki mistyk Ramakryszna, który w latach swojego duchowego kształtowania spędził pewien czas w meczecie jako muzułmanin i na krótko przyjął również chrześcijaństwo, twierdził, że wszystkie religie są jednakowe. Przypominają wodę z tego samego stawu, wlaną do różnych wiader i nazwaną w różny sposób słowami, które w poszczególnych językach oznaczają wodę. Tak samo tolerancyjny był jego uczeń, Vivekananda. Ale czasy, zdaniem Swamiego, się zmieniły.

Według niego Kościół katolicki i różne sekty protestanckie, szczególnie w Ameryce, wykorzystywały naturalną tolerancję hinduizmu, żeby inwestować ogromny kapitał w konwersję coraz większej liczby Hindusów. Uważał to za niedopuszczalne. Hinduizm padał ofiarą prawdziwej agresji. Swami nie żądał, żeby chrześcijanie opuścili Indie. Przyznawał, że są tam od dwóch tysięcy lat i mogą spokojnie zostać na kolejne dwa tysiące lat. Domagał się tylko, by powstrzymali się od niszczenia indyjskiej kultury, tak jak w przeszłości zniszczyli starożytne kultury Afryki i Ameryki Łacińskiej.

Powiedziałem mu, że żyjemy w czasach wolnego rynku: dóbr, idei i również religii. Jak może myśleć, że pójdzie pod prąd?

- Rynek nie może być wolny - odparł - ponieważ słaby nie ma szans we współzawodnictwie z silnym. Religie nie-agresywne, niewalczące, takie jak nasza, nie mogą rywalizować z religiami bogatymi i agresywnymi. Dlatego powinny być chronione. Ktoś powinien interweniować, choćby Narody Zjednoczone. Ale to przede wszystkim Kościół musi położyć kres swoim konwersjom. Jeśli tego nie uczyni, w Indiach powstaną warunki do gwałtownej reakcji.

Zdawało mi się, że ma rację. Nawrócenia są nową formą kolonializmu. Swami przeciwstawiał się im, próbując przywrócić tradycję indyjską przez ponowne wprowadzenie wedanty do życia ludzi. Podobnie postępował P. S. Yarrier, na powrót wprowadzając ajurwedę i kathakali.

Wśród odwiedzających był również młody lekarz, który miał się zajmować cukrzycą Swamiego. Naszemu guru bardzo się spodobał: znał na pamięć śastry, święte pisma! Był bez wątpienia szczególnym typem. Pochodził z wioski oddalonej o kilka kilometrów od najbardziej wysuniętego na południe punktu Indii, gdzie kierował małą kliniką ajurwedyzną odziedziczoną po dziadku. Umówiliśmy się na spotkanie. Miałem do niego pojechać po zakończeniu kursu.

Innym gościem, który zatrzymał się w aśramie przez cztery dni, był znany indyjski psychiatra, który pracował przy międzynarodowym projekcie, finansowanym przez Uniwersytet Harvarda, dotyczącym ludzi z „marginesu”. Kilku jego kolegów z Ameryki i Europy zajmowało się narkomanami porzucającymi szkołę i bezdomnymi. On miał w Indiach prowadzić badania nad sadhu i sannjasinami. (Sadhu to ci, którzy - często w bardzo młodym wieku - zrezygnowali ze świata i żyją jako „święci żebracy”, wędrując po Indiach. Często są to osoby o prostym pochodzeniu społecznym. W przeciwieństwie do sannjasinów, którzy stają się nimi zazwyczaj podczas ceremonii inicjacji pod koniec życia spędzonego normalnie, sadhu nie zawsze składają formalnie śluby. Również oni ubierają się na pomarańczowo albo na czerwono. W Indiach jest ich kilka milionów. Wszyscy sannjasini są sadhu. Jedni i drudzy mogą być swami, jeśli zostaną uznani za nauczycieli). Kiedy się o mnie dowiedział, chciał koniecznie ze mną porozmawiać.

Być może byłem dla niego ciekawym przypadkiem człowieka „z pogranicza”, stojącym między światem Wschodu i Zachodu. Nie wiem, w jaki sposób mogłem się przydać w jego badaniach, ale on się przydał w moich. Powiedział, że spędził dużo czasu w Himalajach w poszukiwaniu osób posiadających „moc” i jako uczony musiał przyznać, że nikogo takiego nie spotkał. Wyznał mi też, że w ramach swoich badań odwiedził też Sai Babę, najśłynniejszego współczesnego guru, mającego miliony wyznawców zarówno w Indiach, jak i za granicą. Zrobił na nim jak najgorsze wrażenie: pyszałkowaty, upudrowany, ze szminką na ustach. Powiedział, że wielu z otaczających go ludzi to osoby infantylne, potrzebujące ojca albo czegoś do zabawy. A magia to wspaniała rozrywka!

Tym, co niepokoiło go jako psychiatrę, był fakt, że niektórzy jego pacjenci zostali uczniami Sai Baby. Guru przekonał ich do porzucenia terapii i przestali brać lekarstwa. Kiedy potem do niego wracali, żeby się dalej leczyć, byli często w rozpaczliwym stanie.

Jeśli chodzi o „cuda” Sai Baby, psychiatra opowiedział mi, że pewnego razu sławny prestidigitator z Kalkuty, P. C. Sorcar, pojechał do jego aśramu i wmieszał się między wiernych na darśanę. Kiedy Sai Baba przeszedł przed nim, żeby mu dać, jak to czynił z innymi, trochę yibhuti, które służyło mu „cudownie” z palców, mag spowodował, że na jego wyciągniętej dłoni pojawiło się nie wiadomo skąd rasmalai, ciastko nasączone cukrem, które - jak wiadomo - Sai Baba bardzo lubi. Mag naprzeciwko maga. Straż przyboczna Sai Baby zabrała go siłą i wyrzuciła z aśramu. Psychiatra powiedział, że inni magowie wyzywali Sai Babę na pojedynek na „cuda”, ale on zawsze odmawiał.

- Może powinienem zobaczyć go na własne oczy - powiedziałem sam do siebie. Tym samym zdałem sobie sprawę, że moje stare pragnienie, żeby znów wyruszyć w drogę, wcale nie umarło. Pragnienia! Uwolnić się od nich było trudniej, niż sądziłem.

Gdy pewnego ranka wychodziłem z pokoju, zauważyłem, że na sznurze, na którym wieszałem do wyschnięcia bieliznę, ktoś inny rozwiesił swoje pranie. Były to rzeczy kobiece, więc pomyślałem, że może należą do pięknej nauczycielki tańca, która przyjechała na kilka dni z wizytą do aśramu i wiedziałem, iż zamieszkała w pobliżu mojej kwatery.

Poszedłem na pudzę, na medytację, na lekcje, ale bez mojej woli, niemal niezauważalnie, owa fascynująca i niekontrolowana część każdej osoby, jaką jest umysł, się rozszalała. Wyzwalając się całkowicie spod kontroli, umysł, który powinien być tam, gdzie ja, powracał tymczasem do sznura z bielizną i do nauczycielki tańca. Umysł należący do tego mnie, który nie chciał z nikim rozmawiać, wyobrażał sobie tymczasem całą rozmowę, zadawał pytania, udzielał odpowiedzi, formułował pragnienia.

Oczywiście -jak mówił Swami - miałem wybór: mogłem być mną, który pragnął, albo mną, który śmiał się z tego mnie, który pragnął. Ale łatwiej było to powiedzieć, niż zrobić. Mógłbym pójść do niego z tym dylematem, zrobiłbym to... nawet nie obcinając sobie ręki, jak to uczynił według legendy przed wiekami uczeń założyciela buddyzmu zen w klasztorze Shaolin w Chinach.

Jego mistrz, Hindus imieniem Bodhidarma, znany w Chinach jako Da Muó, a potem w Japonii jako Daruma, wciąż pogrążony był w medytacji i nikomu nie udało się nigdy z nim porozmawiać. Pewnego razu uczeń, zdesperowany, żeby przyciągnąć jego uwagę, obciął sobie lewą rękę. pozwalając, by krew utworzyła na śniegu wielką, czerwoną plamę.

Czego ty chcesz? - spytał w końcu mistrz.

Uspokoić mój umysł.

Dobrze, przynieś mi umysł, to ci go uspokoję.

Uczeń odchodzi.

Nie znalazłem go - mówi, wracając.

Widzisz? - odzywa się na to mistrz. - Uspokoilem ci go. - I powraca do medytacji.

Tym, od czego uczeń chce uciec, jest sieć jego myśli, i mistrz poprzez swój koncept pozwala mu zrozumieć, że to sama myśl jest problemem.

Ale czy ja mogłem pójść do Swamiego i wyjawić mu tę swoją myśl? Doskonale wiedziałem, jaka jest. Dokładnie taka, jak myśl mnicha moralisty z innej głośniejszej historii zen.

Dwaj mnisi idą drogą zalaną przez ulewę. W pewnej chwili staje przed nimi piękna dziewczyna, która nie jest w stanie w swoim stroju przejść przez kałużę. Jeden z mnichów bierze ją na ręce i stawia w suchym miejscu. Drugi mnich nic nie mówi, ale kiedy są w świątyni, gdzie spędzają noc, nie wytrzymuje:

My, mnisi, musimy trzymać się z dala od kobiet, szczególnie jeśli są młode i piękne - mówi z wyrzutem. - A już dotykanie ich jest szczególnie niebezpieczne. Dlaczego to zrobiłeś?

Ja tę dziewczynę zostawiłem po drugiej stronie kałuży - odpowiada obwiniony. - Ale zdaje mi się, że ty przyniosłeś ją w sobie aż tutaj.

Taki sam byłem ja. Dwie szmatki zawieszona na sznurze uruchomiły mechanizm, z którego - jak mi się zdawało -definitywnie już się wyzwoliłem. Bardziej niż myśl sama w sobie, upokarzała mnie niemożność kontrolowania własnego umysłu: im usilniej próbowałem to robić, tym większe płatał mi on figle... dopóki nie przypomniałem sobie Sundarajana.

Kiedy swego czasu opowiadał mi na naszym pagórku o swojej miłości do posągu, stwierdził, że „nie poznał kobiety”, i napomknął o pewnej „umiejętności”, dzięki której przez całe życie panował nad instynktami. Poszedłem do niego i bardzo szczerze przedstawiłem mu problem.

- Nie znasz ćwiczeń?

Nie. Naprawdę nie znałem. On robił je każdego ranka zaraz po przebudzeniu razem z jogą. Są bardzo skuteczne -powiedział - powodują, że nasienie odpływa i zamienia się w energię duchową. Tym samym odcina od umysłu ów bodziec, który go pobudza.

- Usiądź na podłodze, nauczę cię - powiedział.

Kazał mi uklęknąć, następnie pochylić się do przodu, z nieruchomą głową i rękami na podłodze. Wyjaśnił, jak wciągnąć język jak najbardziej do tyłu, w stronę gardła, jak oddychać, co robić z mięśniami w dole brzucha. Powierzył mi jeszcze kilka swoich tajemnic, po czym, żebym nie robił błędów, pokazał mi, jak sam wykonuje każdy z ruchów. Miałem zacząć przez kilka minut dziennie, a potem powoli wydłużać czas.

Sama idea tej „umiejętności” mnie fascynowała. Czyż świat nie jest piękny? Gdzieś jest ktoś, kto wymyśla via-grę, a gdzie indziej się uczą, jak założyć kaganiec temu impertynenckiemu fragmentowi własnej osoby, który każdy ciągnie za sobą. Człowiek jest naprawdę zadziwiający!

Nie wiem, czy ćwiczenia Sundarajana naprawdę powodowały odpływ nasienia, jak twierdził. Natomiast ja, po dorzuceniu ich do potpourri mojej porannej rutyny - trochę jogi, trochę qigong, nieco gimnastyki na oczy, prostatę, kręgosłup, uśmiechy do żołądka i wreszcie „kula” Mastera Hu - mogłem mu powiedzieć, nie kłamiąc, że system działa.

Dzień po dniu, tydzień po tygodniu: minęły prawie trzy miesiące. Zmieniła się pogoda. Nadszedł monsun i wiatr przynosił nagłe, przepiękne i krótkotrwałe ulewy. Góry, które dotrzymywały mi towarzystwa i na które patrzyłem co rano, zmieniły barwę. Stały się szare i okryte mgłą. A ja znów odzyskałem pogodę i spokój. Wydawało mi się, że trochę lepiej rozumiałem Indie, przeżyłem bardzo nietypowe doświadczenie i jeśli kiedykolwiek kusiłoby mnie życie złożone wyłącznie z kontemplacji, teraz byłem już pewny, że to nie dla mnie. A wedanta? Koniec końców wydała mi się czymś, z czym w naturalny sposób byłem już w zgodzie. Nie czułem się oderwany od świata, nie miałem się za małą falę zalewaną przez ocean, i w gruncie rzeczy nie bałem się już śmierci.

Co do pragnień, postanowiłem nad większością zapanować, a ulegać tym nielicznym, z których świadomie nie chciałem zrezygnować. Jeśli chodzi o dźagat, świat, zgadzałem się ze Swamim, że został ułożony bardzo inteligentnie. A zatem warto było się nim cieszyć. Brahmaćaria, odmawiając sobie tego, rezygnowali, jak mi się zdawało, z czegoś wspaniałego.

Coraz więcej czasu spędzałem na łonie przyrody. Ze szczytu mojego pagórka obserwowałem spienioną biel kilku wodospadów, a niżej, na równinie, która nabrała soczyście zielonej barwy, ciemną sylwetkę starego, majestatycznego, samotnego drzewa. Swami mówił, że drzewa są jak sadhu: gdy wszyscy się poruszają, one pozostają cudownie nieruchome, stałe, świadome siebie, bez potrzeby biegania tu i tam w poszukiwaniu czegoś. Nigdy się takim nie stanę.

Nie leży to w mojej naturze. Nie urodziłem się na mnicha. Mógłbym spróbować. Nawet mi się to podobało. Ale nie było w moim stylu i najzabawniejsza rzecz, jaka mogła mi się przytrafić, to gdyby ktoś mnie wziął za takiego.

Ale i to się zdarzyło. Grupka chłopów z pobliskiej wioski przybyła do aśramu poprosić -jak sądzę - o datek na odbudowę ich świątyni. Przechodziłem, a jeden starzec, nazywając mnie „Swami-ji”, podszedł dotknąć moich stóp, a potem czubka brody. Rękami wypełnionymi tym błogosławieństwem pogładził się po twarzy, głowie i piersiach, jakby rozgrzewał się moją mądrością i „świętością”.

Kurs zbliżał się ku końcowi, rozpoczęły się więc ceremonie związane z zamknięciem. Najciekawszą, przynajmniej dla mnie, była mantra dźapa, podczas której musieliśmy wszyscy razem powtarzać sto tysięcy razy formułę dziękczynną dla Dakśinamutri, bóstwa z aśramu, inkarnacji Siwy i opiekunki Wed. Tekst mantry w sanskrycie dostaliśmy poprzedniego wieczora, wydrukowany na karteczkę, żebyśmy mogli go przestudiować. Znaczenie słów nie było szczególne: „Om... korzę się przed tobą Dakśinamutri, która żyjesz w korzeniach drzewa banianu w pełnym skupieniu... Kłaniam się przed niszczyielską mocą Siwy... Orn”. Ale dźwięk był, jak zwykle, piękny; miał swoją „moc”, szczególnie ze względu na kolisty efekt om, które było ostatnią, ale także pierwszą sylabą powracającej mantry. Dzięki powtarzaniu jej godzinami umysł oczyszczał się i uspokajał.

Ceremonia odbyła się w świątyni. Z tej okazji przybyło z Kojambaturu trzynastu specjalnych pudźarich, bramińskich kapłanów, i przynajmniej setka wyznawców Swamiego. Niektórzy przyjechali na darśanę aż z Madrasu, żeby na niego popatrzeć, przebywać w jego obecności - być z kimś, kto poznał samego siebie. Centralnym punktem ceremonii był kwadratowy otwór na święty ogień, zrobiony w posadzce krużganka po lewej stronie świątyni. Swami siedział przed nim w swoim fotelu. Formalnie, jako sannjasin, to znaczy wolny od wszystkich związków ze światem, łącznie z religią i jej rytuałami, nie brał udziału w ceremonii. Prowadził ją, w imieniu wszystkich śiśjich, sekretarz aśramu, leciwy i bardzo dystyngowany pan, obok którego -jak nakazują Wedy - siedziała jego żona. Trzynastu pudźarich otoczyło kołem otwór. Za nimi siedzieliśmy my, a dalej publiczność. Wiele osób stało, żeby lepiej widzieć, co się dzieje. Rozpoczęcie było katastrofą. Chodziło o to, zgodnie z zasadami Wed, żeby rozpalić ogień dawnym sposobem, to znaczy pocierając o siebie dwa kawałki drewna. Ale z jakiegoś powodu iskra nie przeskakiwała. Jeden z brahmacharia zaintonował modlitwę: „Przybądź, przybądź szybko... Nie każ na siebie czekać”. Wszyscy chórem, pod kierunkiem wdów-zakrystianek, powtórzyliśmy w kilku tonacjach mantrę „Om Namaśivaya...”. Ale daremnie. Spoceni i zdyszani pudźari na zmianę ciągnęli z całych sił linkę owiniętą na kawałku drewna ocierającego się o drugi

kawałek, pokryty małymi zwojami włókien kokosa, które powinny z łatwością zająć się ogniem. Wszystkie oczy zwrócone były w tamtym kierunku. Widać było trochę dymu, czuło się zapach rozgrzanego drewna, na które jeden z pudźarich dmuchał z miłością, ale iskra nie przeskakiwała.

- Czy macie coś takiego w waszym kraju? - zapytał stary śiśja z „brygady emerytów”.

- Nie, mamy zapalki - wyrwała mi się z ust niekontrolowana i niezbyt uprzejma odpowiedź.

Ciągnęło się to niemal przez godzinę. Biedny Swami, szary na twarzy, czekał. Kilka dni wcześniej, podczas wieczornego satsangu, na moje pytanie, czy wierzy, że pudża może naprawdę wywołać deszcz, odpowiedział twierdząco. Choć był sceptyczny, opowiedział, że uczestniczył raz w pudży za deszcz i ten nadszedł. A zatem dlaczego teraz nie działa się tak z ogniem?

Sam zapragnąłem mieć ową moc rozpalenia go, żeby uwolnić wszystkich od czekania. I pomyśleć, że polegała ona po prostu na umieszczeniu między włóknami kokosa odrobiny kamfory albo alkoholu, co - jak mi się zdawało - w pewnym momencie ktoś zrobił, podając dyskretnie jednemu z pudźarich zajmujących się pocieraniem kawałków drewna biały wacik. Pojawił się mały, czerwony błysk, dym zgęstniał i w końcu piękne języki ognia zaczęły pochłaniać najpierw polana, a potem również masło, bryzgi wody, ryż i wszystkie inne rzeczy, które pudźari, wtórując każdemu gestowi inwokacją, ofiarowali bogom.

W końcu zamoczoną w wiadrze wody gałązką mango pobłogosławili również nas i mogliśmy zaintonować wielką litanię, pośród coraz gęściejszych oparów dymu, którymi wiatr wionął nam w twarz: Om hrim Dakshinamurtaye tubhyan... Om hrim Dakshinamurtaye...

Mantra trwała około dwunastu sekund. W ciągu godziny każdy mógł wypowiedzieć ją trzysta razy. Było nas około setki śiśjich, więc ktoś obliczył, że w ciągu czterech godzin wszyscy razem wypowiemy ją sto tysięcy razy, biorąc pod uwagę, że od czasu do czasu kogoś na chwilę zabraknie. Tak też się stało. Przez cztery godziny powtarzaliśmy w kółko te same słowa... tak jak robotnik, który przy taśmie montażowej powtarza wciąż te same gesty, żeby złożyć jakieś bezużyteczne urządzenie, które inni kupują za pieniądze zarobione przy robieniu równie bezużytecznych rzeczy. A życie przemija - pomyślałem - bez sensu, w aśramie i poza nim. Przemija jako szereg oczekiwań i rytuałów, których jedyny sens polega na tym, że zdają się nadawać jakieś znaczenie jego bezużytecznemu przemijaniu. W aśramie i poza nim - bez wielkiej różnicy. Na zewnątrz chodzi się do pracy, wypowiada okolicznościowe słowa, bawi rzeczami, które określamy jako konieczne; tutaj powtarza się tysiące razy zdanie na cześć bogini symbolizującej wiedzę. Na zewnątrz drży się o dziecko, które nie wraca do domu, tutaj o ogień, który nie chce się rozpalić.

Gdybyśmy zamiast recytować sto tysięcy razy ową mantrę, przeznaczyli ten czas na wykopanie studni, być może dwie trzecie ludności Indii nie pozostawałoby bez wody pitnej. Ale na tym polegało też szaleństwo Indii, które tak bardzo mi się podobało!

A poza tym bramini nie kopią studni.

Patrzyłem na złożone dłonie tych wszystkich pięknych ludzi, moich towarzyszy ubranych na biało oraz pudźarich: czyste paznokcie, smukłe palce. Żadna z tych rąk nie trzymała nigdy łopaty, kilofa czy siekiery.

Przy okazji tej ceremonii należało zrozumieć bardzo wiele z Indii: rewolucję buddystów, którzy odrzucili rytuały, inteligentną praktyczność Tybetańczyków, którzy, chcąc spotęgować siłę mantr, wymyślili młynek modlitewny, do którego wkładali setki karteczek z zapisaną świętą formułą, tak by przy każdym obrocie jej efekt się pomnażał.

Cały ten rytuał przypominał nam przynajmniej, jak trudno było kiedyś rozpalić ogień i jak święte było zadanie jego podtrzymania.

*

Pod koniec ostatniej lekcji kursu jeden z brahmacharia przypominał Swamiemu, że obiecał nam „cud” vibhuti.

Naprawdę chcecie, żebym to zrobił? - zapytał Swami. Śmiejąc się.

W auli podniósł się chór głosów: „Taaak”.

A zatem niech ktoś tu przyjdzie.

Nastąpiła chwila wahania. Nikt nie miał śmiałości. Podskoczyłem więc z mojego miejsca pod ścianą i podbiegłem do podium. Wyciągnąłem do niego otwartą dłoń, a on, śmiejąc się, przez rozchylone palce swojej prawej ręki zaczął wsypywać do mojej święty popiół. Najpierw cienką strużką, potem coraz więcej. Pocierał lekko palcami i popiół ciągle spadał. Byłem zszokowany. Odwróciłem się z otwartą dłonią, żeby pokazać ją moim towarzyszom, a oni hurmem rzucili się do mnie, żeby wziąć sobie szczyptę i położyć na czole. Nastąpiło wielkie zamieszanie, prawie wszyscy stłoczyli się wokół mnie, podczas gdy Swami, próbując zapanować nad salą, mówił:

To blef... to blef, nie bierzcie tego na poważnie!

Był skonsternowany, ale nikt go nie słuchał. W gruncie rzeczy idea, że Swami dokonał cudu jak Sai Baba, podobała się wszystkim. Mnie też prawie zafascynowała: mnie, który byłem na pewno największym ze wszystkich sceptykiem, mnie, który nigdy nie dotknąłem stóp Swamiego, mnie, synowi marnotrawnemu, który został zaszczycony „cudem”.

Kiedy wróciłem na swoje miejsce, moja ręka została całkowicie oczyszczona przez dziesiątki innych, które zabrały wszystko, co pozostało z magicznego vibhuti. Ja zaś zostałem owego dnia jednym z najbardziej mile widzianych śisjich.

Po obiedzie wielu przyszło do mnie, żeby opowiedzieć swoją wersję tego, co się wydarzyło.

Piękne, piękne. Nie chcę wiedzieć, czy to prawdziwy cud, czy nie... jest to w każdym razie prasad, postać Iśwary - powiedziała stara dyrektorka szkoły dla pielęgniarek.

Młoda lekarka nie miała wątpliwości:

Kto jest bardzo zaawansowany na drodze duchowej, zyskuje te moce. Nie ma w tym nic dziwnego.

Natomiast brahmacharia, który przypominał Swamiemu o cudzie, opowiedział, jak wszystko zostało wcześniej przygotowane, jak mistrz kazał mu schować popiół pod stolik, skąd wyciągał różne

przedmioty. Na nic się to jednak zdało. „Wierzący” nie chcieli ustąpić. Rozumiałem ich: piękniej było wierzyć, niż nie wierzyć. Ale wszystko zdawało mi się coraz dziwniejsze.

Kiedy kardiochirurg przyszedł zapytać nie o yibhuti, ale czy używam piramidy, miałem wrażenie, że znalazłem się w klatce z wariatami. Każdy był na swój sposób szalony i ktoś, kto owego wieczora zobaczyłby mnie, jak siedzę na podłodze w moim pokoju i gotuję w garnuszku za pomocą grzałki kilo cebuli, żeby spróbować wyleczyć moją alergię, która nie ustępowała, pomyślałby to samo o mnie.

Świt ostatniego poranka był krystaliczny. Zrobiliśmy grupową fotografię, przy okazji której miały miejsce małe, typowe walki, który z wielu „oświeconych” stanie najbliżej Swamiego. Potem nastąpiło wręczenie dyplomów. Swami, przyozdobiony z tej okazji niczym jeden z posągów w świątyni wielką girlandą z kwiatów wokół szyi, siedział w swoim fotelu. Podchodziliśmy po kolei przed jego oblicze. Jedna swamini, jego była uczennica, która została już nauczycielką, podawała każdemu garść płatków, które mieliśmy rzucać pod stopy Swamiego. On zaś, wymawiając kolejno imid na każdego śisja, wręczał mu świadectwo i... banana. Wielu uczniów było wzruszonych.

To najważniejsze wydarzenie w moim życiu - powie dział Sundarajan.

Niektóre kobiety nie mogły powstrzymać łez. Ogólna wiara była wzruszająca. Większość naprawdę widziała w Swamim Bhagawana. A ja, po tych trzech miesiącach, czułem si[^] jak szpieg, który przeniknął do wrogiego obozu, żeby poznać jakiś sekret. Kiedy poproszono, żebym wygłosił przemówienie nie, odmówiłem. Uczynił to w bardzo piękny sposób, również w imieniu małżonki, stary pediatra. Piał hymny pochwalne na cześć Swamiego z ironią i wdzięcznością, cytując wersy wielkich poetów indyjskich, takich jak Kabir. Inni przeczytali wiersze dedykowane Swamiemu.

Ktoś go zapytał, czy nie ma dla nas jakiejś ostatniej rady, a on odrzekł:

Żyćcie życiem, w którym możecie się rozpoznać!

To był on, Swami, jakiego poznałem i jakim go zapamiętam.

A my po tych trzech miesiącach? Rozjechaliśmy się każdy w swoją stronę, zadając sobie, być może trochę bardziej świadomie niż przedtem, owo podstawowe pytanie, na które nie wszyscy, jak sądzę, znaleźliśmy odpowiedź:

A ja, kim jestem?

Lekarz dla zdrowych

Kiedy przyjechałem, po prawej stronie drogi było zwyczajne, długie wzgórze zarzucone kamieniami, które rysowało się dziwnym profilem na horyzoncie. Tydzień później, kiedy wyjeżdżałem, wzgórze to było gigantyczną kobietą, leżącą na wznak na polach ryżowych i patrzącą do góry, w pustkę. Rozpoznawałem jej kolana, biodro, piersi, zarys podbródka, ust i nosa na tle nieba.

Wioska Derisanamscope okazała się zaczarowanym miejscem: najbardziej niezwykłym, jednym z najciekawszych, a na pewno najpogodniejszym i najspokojniejszym z tych, w których byłem w Indiach. Ale niech nikt tam nie jedzie, sądząc, że znajdzie to, co ja znalazłem, ponieważ każdy czyni z

wszystkiego - miejsca, osoby czy wydarzenia - to, co chce, to, czego w danym momencie potrzebuje. I nic, ale to nic bardziej od fantazji nie pomaga dostrzec rzeczywistości.

Całkiem biała wioska leżała wśród rozległych, bardzo zielonych pól ryżowych, poprzedzielanych gdzieniegdzie rzędami palm. Już połączenie tych dwóch kolorów wywoływało uczucie spokoju. Asfaltowa szosa, po której sporadycznie przejeżdżał samochód, autobus albo przechodziło stado bawołów, biegła około stu metrów od zabudowań. Druga droga, zrobiona z pięknych płyt kamiennych, używanych również do tłuczenia ryżu i suszenia trawy, wchodziła między jednakowe niskie, parterowe domy i docierała aż do wielkiej, starej świątyni o ciemnych i akustycznych atriach, wypełnionej jakąś tajemniczą siłą. Świątynia kontrastowała z resztą wioski, jakby należała do jakiejś poprzedniej epoki, kiedy ludzie byli olbrzymami.

Rozciągał się przed nią plac z ubitej ziemi. W jego środku wyrastało stare, majestatyczne, szerokie i silne, porośnięte bardzo gęstym listowiem drzewo, otoczone murkiem, na którym starsi ludzie siadali, a dzieci się bawiły. Jak mówili ludzie, śpiewanie mantr pod tym drzewem działało korzystnie na osoby z problemami oddechowymi, ponieważ żyło ono, oddychało i emanowało wielką siłą. Kilka kroków dalej był też mały zbiornik czystej wody, otoczony schodkami w formie amfiteatru. Tam kończyła się wieś. Dalej widniały kolejne pola ryżowe, rzędy palm, a z tyłu, niczym osłona, kamienne wzgórze.

Według legendy świątynia była jedną z dwóch, które Rama, bohater Ramajany, założył na swojej drodze przez Indie. Udawał się na Cejlon zabrać stamtąd Sitę, swoją żonę. I którą porwał zły Rawana, kiedy zmorzył go sen. Zatrzymał się pod drzewem, żeby odpocząć, ale słynna kobieta-demon, która miała zwyczaj przeszkadzać ryszim podczas ich medytacji w Himalajach, przysłała go zaczepiać. Rama ją rozpoznał, podniósł łuk i wypuścił jedną ze swoich celnych strzał. Diablica, ugodzona w serce, upadła na wznak na ryżowiska i tam została, obrócona w kamień.

Na pamiątkę tego wydarzenia Rama kazał zbudować tę świątynię i nadał miejscowości dziwną nazwę Derisanamscope, co właśnie znaczy: „Miejsce, z którego wypuszczone strzałę”.

Było to także miejsce zamieszkania doktora L. Mahadevana, młodego lekarza ajurwedycznego, którego spotkałem w aśramie. Swami miał do niego duże zaufanie - nie tylko dlatego, że się zajął, jak się zdaje, z pewnym powodzeniem, jego cukrzycą, ale że znał na pamięć śastry, święte pisma.

Proszę przyjechać przynajmniej na tydzień do mojego szpitala i zobaczymy, co robić - zaproponował, kiedy powiedziałem mu o swojej chorobie. I oto się tu znalazłem.

- Proszę przyjechać przynajmniej na tydzień do mojego szpitala i zobaczymy, co robić - zaproponował, kiedy powiedziałem mu o swojej chorobie. I oto się tu znalazłem.

Miałem polowe łóżko z cieniutkim materacem pokrytym plastikiem w zupełnie pustym pokoju o niebieskich ścianach, podłodze z czarnego kamienia, z oknem wychodzącym na małe patio, murek, a za nim staw porośnięty kwiatami lotosu. Jeszcze dalej rozciągały się pola ryżowe. Na cementowym podwórku miałem turecki ustęp i kran.

W porze obiadu i kolacji jakiś mężczyzna przywoził mi rowerem trzypoziomą menażkę z chapati, kilkoma łyżkami dał, klasycznej indyjskiej zupy jarzynowej, oraz porcją bardzo pieprznych warzyw.

„Szpital”, złożony zaledwie z sześciu pokoi, położony był około pięćdziesięciu metrów od asfaltowej drogi. Stała przy niej właściwa klinika, gdzie Mahadevan przyjmował pacjentów i gdzie w wielkiej „kuchni” - jak ją nazywano - służący przygotowywali lekarstwa. Na paleniskach z drewna, jak chce tradycja, stały parujące kotły z brązu, każdy ze swoją miksturą. Mniej więcej dziesięcioro skulonych na ziemi mężczyzn i kobiet siekało zioła, rozrabiając je w cebrzykach, filtrowało oleje albo ~ recytując mantry - ugniatało kulki z mieszanek, które zostały wysuszone na słońcu. Ściany kuchni błyszcząły od sadzy, ale powietrze przesiąknięte było owymi balsamicznymi wyziewami, które same w sobie zdawały się lecznicze.

- Dokładnie tak jest - powiedział Mahadevan, oprowadzając mnie po swoim małym królestwie. - Ci, którzy tu pracują, nigdy nie chorują. Nawet się nie przeziębiają.

Ja sam powinienem trochę pobyć w tej kuchni. Może by mi przeszło alergiczne zapalenie zatok, które od tygodni objawiało się ciekącym nosem, łzawieniem z oczu, kichaniem i bólem głowy.

Na ulicy przed kliniką stała lada, przy której podawano czaj, herbatę dla osób, które czekały na wizytę u lekarza i tych, które już u niego były, a teraz wypatrywały autobusu, żeby je zabrał - a także papierowe torebki pełne proszków, pastylek i fiolek.

Gdyby nie parę słupów elektrycznych, które zresztą prawie nigdy nie dawały prądu, gdyby nie autobus i mały generator, poruszający wentylatorem w maciupieńkim pokoiku gdzie Mahadevan przyjmował pod obrazem boga ajurwedy i czarno-białym zdjęciem dziadka, założyciela kliniki, można byłoby odnieść wrażenie, że znaleźliśmy się na jedne; z pocztówek w kolorze sepii z początku dwudziestego wieku. Nigdy wcześniej nie widziałem Indii tak naturalnych prostych i nietkniętych. A poza tym lekarz był naprawdę szczególny: wysoki, szczupły, o jasnej skórze, z czarnymi, gęstymi włosami i opętanym wyglądem kogoś naprawdę wierzącego. Miał tylko trzydzieści pięć lat, ale już pewność kogoś, kto wie, że ze wszystkim potrafi sobie poradzić.

Znam pisma, które mi mówią, co robić w każdej sytuacji. Dla każdego pacjenta mam kurację, choć czasem nie wiem, jak działa - odpowiedział, kiedy zapytałem, czy nie miał nigdy żadnych wątpliwości. - Ale, żeby było jasne: ja nie leczę, ja się troszczę. Leczącym jest ten, kogo każdy ma w sobie, a przede wszystkim jest nim on - dodał, wskazując boga, który spoglądał dobrotliwie ze złotej ramy wiszącej za jego plecami.

Spędziłem dwa pierwsze dni od wieczora do rana w jego pokoiku. Siedziałem w rogu i obserwowałem, jak badał jednego po drugim swoich pacjentów: niektórych tylko przez kilka minut, innych o wiele dłużej. Każdemu dawał jednak odczuć, że w owej chwili jest osobą, która interesuje go najbardziej na świecie. Po zadaniu kilku pytań wszystkim mierzył puls.

Kobietom lewy, mężczyznom prawy - wyjaśnił.

Potem się koncentrował, odchyłał głowę, przymykał oczy i wchodził jakby w stan medytacji.

Jeśli jestem w stanie dobrze się skupić, słuchając pulsu, sonduję cały organizm pacjenta i potrafię wiele o nim powiedzieć - dodał.

Wielu pacjentów się dziwiło, że w końcu to on im mówił, co odczuwają, jakie mają objawy, których nie byli w stanie określić. Dla każdego z nich miał uśmiech, radę... a także lekarstwo do odebrania w apteczkę przylegającej do „kuchni”.

Klinika była znana w całym regionie i ludzie przybywali tu czasem z bardzo daleka. Dwie kobiety powiedziały, że jechały dziewięć godzin autobusem, żeby zobaczyć Mahadevana. Miał do czynienia z najróżniejszymi przypadkami. W ciągu jednego dnia zobaczyłem między innymi kobietę z ogromną tarczycą, inną z problemami menstruacyjnymi i - najstarszą - z podejrzeniem guza na żołądku. Był także mężczyzna, który twierdził, że stał się impotentem po operacji w szpitalu rządowym, i teraz chciał dokonać sterylizacji, oraz młody człowiek, który wrócił, żeby pokazać, jak poprawił się stan jego nogi, dotkniętej niemal martwicą z powodu nieusunięcia z niej na czas wielu odłamków szkła po wypadku samochodowym. Widziałem również cukrzyka, starca z następstwami zawału serca, innego z bardzo wysokim ciśnieniem oraz dwu mężczyzn z łuszczycą.

W chwilach, kiedy pacjenci wchodzili i wychodzili, zadawałem pytania, a Mahadevan odpowiadał, ale nie był pewny, czy od razu zrozumie jego „naukę”. Bardzo zależało mu na tym, żebym nie wyrobił sobie mylnych wyobrażeń. Pod koniec pierwszego popołudnia zrobił sobie małą przerwę, żeby dać mi prawdziwą lekcję wstępną na temat ajurwedy. Ja zaś sporządzałem notatki.

- Ajurweda nie jest medycyną alternatywną i nie konkuruje z zachodnią. To po prostu inna medycyna, oparta na odmiennych podstawach filozoficznych, to znaczy mająca inną wizję świata i samego życia - zaczął.

Mahadevan wiedział, że właśnie spędziłem trzy miesiące ze Swamim i owa indyjska wizja „świata i życia” nie jest mi obca. Chciał jednak zaakcentować kilka zasadniczych punktów.

- Przede wszystkim uważamy, że świat zmysłów nie jest jedyną rzeczywistością i że nasze zmysły nie są jedynym środkiem poznania. Dla nas śastry, święte pisma, pozostawione nam przez ryszich, stanowią narzędzie poznania. Śastry wskazują nam na istnienie jakiejś jedni ponad wszystkim tym, co jawi się naszym zmysłom rozdzielnie. Patrzmy na świat i wydaje się on nam złożony z części: my sami myślimy, że jesteśmy elementami czegoś większego, ale prawda jest taka, że wszechświat to całość, jedyna i niezależna, a na pewno nie suma jego składników. Części odzwierciedlają całość, ale absurdem jest myślenie, że rzeczywistość może zostać zredukowana do jej elementów.

W sensie medycznym oznacza to, że ja, pan i wszystkie inne istoty żyjące, nie tylko ludzie, jesteśmy małym: wszechświatami włączonymi do całości wszechświata. Stanowimy mikrokosmosy zupełnie nieoddzielone od makrokosmosu i tym samym podlegamy takim samym wpływom takim samym prawom kosmicznym. Ajurweda, jako nauka o życiu, postrzega człowieka jako całość, nie jako zbiór części. Twierdzi też, że zachowanie zdrowia danej osoby może być oderwane od jej kontekstu społecznego i duchowego ani odizolowane od jej powiązania kosmicznego.

To podejście, które teraz wy, na Zachodzie, nazywacie „holistycznym”, jest dokładnym przeciwieństwem tak zwanej medycyny nowoczesnej, która postrzega chorobę jako dysfunkcję jednego z mechanizmów składających się na człowieka.

Oczywiście można porównywać ajurwedę z medycyną zachodnią, konfrontować stan kliniczny pacjenta, ale tylko do pewnego momentu, ponieważ, według nas, nie da się znaleźć odpowiedzi na ludzkie problemy wyłącznie w nauce, tak jak wy ją określacie.

Wiem dobrze, że również współczesna nauka przyznaje, iż nie rozumie pewnych zjawisk, o których mówi, że nieznana jest ich przyczyna. My mówimy, że tą nieznaną przyczyną jest karma. Nie można jej dojrzeć pod normalnym mikroskopem i z tego wy, na Zachodzie, wnioskujecie, że iie istnieje. Wystarczy jednak popatrzeć przez mikroskop mądrości, żeby zobaczyć ją bardzo wyraźnie.

Weźmy problem choroby. Dlaczego dotyka ona mnie, a nie inną osobę? W tej chwili nauka zachodnia wyjaśnia wszystko za pomocą genów, i jest w tym prawda. Ale ja pytam się: jaka jest przyczyna różnic w genach? Tego nie wiemy. I nawet jeśli pewnego dnia uda nam się to odkryć, będziemy się jeszcze musieli zastanowić, jaka jest przyczyna tamtej przyczyny. Możemy tak postępować w nieskończoność, szukając przyczyny przyczyny przyczyny. Ale jaka jest przyczyna ostateczna? Rysziowie to zrozumieli: karma.

Dobrze: tam, gdzie zatrzymuje się nowoczesna medycyna, zaczyna się ajurweda. Nowoczesna medycyna zaczyna się i kończy w ciele fizycznym; ajurweda wychodzi poza ciało, ponieważ - przyjrzyjmy się dobrze - ja i pan jesteśmy czymś więcej; jesteśmy umysłem, jesteśmy naszym „ja”, mamy duszę i przede wszystkim karmę.

Słuchałem Mahadevana z przyjemnością. Miałem wrażenie, jakby spędził ze mną miesiące w Nowym Jorku, dzieląc moje wątpliwości i moje przemyślenia dotyczące terapii MSKCC. Wydawało się, że zna odpowiedzi na wszystkie pytania, którymi się bawiłem, prowokując moich naprawiaczy. Ale czy naprawdę tak było? Jedna część mnie się cieszyła, że czuje się zrozumiana, ale druga, jak zwykle, pozostawała sceptyczna: tak, rysziowie wiedzieli bardzo wiele na temat ludzkiej natury, ale czy te piękne słowa mogły przełożyć się na medycynę skuteczniejszą dla mnie od fosforyzujących płynów chemicznych? Na coś mniej dewastującego od radioterapii? W sumie to, co naprawiacze stosowali w moim leczeniu, było owocem długich badań, doświadczeń, weryfikacji w praktyce.

Ja również podziwiam pewne aspekty medycyny zachodniej - odparł Mahadevan w odpowiedzi na moje obiekcje - ja również, jak każdy lekarz zachodni, uczę się dzięki praktyce, ale najwięcej korzystam z mądrości ryszych. Czasami naprawdę zaskakuje mnie ogromna intuicja twórców śastr i jestem szczęśliwy, że je mam i że mogę respektować ich zalecenia. Proszę pomyśleć, przepowiedziano w nich dziedziczne konsekwencje pewnych chorób, i sklasyfikowano różne rodzaje cukrzycy. Ich autorzy znali tak modne dziś pojęcie stresu, byli w stanie opisać współczesne choroby psychosomatyczne i dokładnie wiedzieli, czym jest odporność, do której przywiązywali wielką wagę. Rysziowie wiedzieli o przekazywaniu chorób poprzez kontakty seksualne, bliskość fizyczną, używanie tych samych ubrań. Znali schorzenia wywoływane zanieczyszczeniem wody i ziemi; wiedzieli o epidemiach. Niewiarygodne, jeśli się pomyśli, że doszli to tego wszystkiego bez żadnych narzędzi!

W śastrach są wspaniałe wersy, które opisują choroby umysłowe. O wiele lepiej, niż czynią to współczesne traktaty medyczne... - powiedział, a żeby wzmocnić efekt, wyrecytował w sanskrycie kilka takich opisów.

Zaczęliśmy rozmawiać na ten temat. Mahadevan odniósł się do tego, co powiedziałem na temat „lekarstwa dla mnie”. Wyjaśnił mi, że zalecane w śastrach terapie nie odnoszą się tylko do działania na poziomie fizycznym - jak to czyni współczesna nauka - ale również psychicznym i przede wszystkim duchowym. Wszystkie trzy są traktowane równolegle.

Leczenie się nie polega na połykaniu pigułek co sześć godzin - powiedział. - Należy oczyścić umysł i używać go dla podtrzymania procesu zdrowienia. Może to również oznaczać kąpiel w świętej rzece, pójście na pielgrzymkę, uczestnictwo w pewnych rytuałach, recytowanie mantr. W procesie leczenia należy nastawić się na właściwy styl życia. Dla ryszich było to najzupełniej jasne. Zrozumieli, że najważniejszą rzeczą nie jest leczenie chorób w momencie, kiedy się objawiają, jak to zawsze czyni medycyna zachodnia, ale zapobieganie im poprzez taki sposób życia, w którym ciało pozostaje w harmonii i nic nie zakłóca spokoju umysłu.

Popatrzył na mnie i jakby chcąc sprowokować po przyjacielsku moją „zachodniość”, dodał:

...zaś pigułki, które dają pacjentom, to nie kwestia chemii, jak wasze, ale pranaśakti, siły, która daje życie. Są to pigułki na ciało i na duszę.

Znów zacytował w sanskrycie wersy z śastr, po czym wyjaśnił mi, że oczywiście lekarstwa ajurwedyczne są zrobione z ziół, roślin, czasem z jakichś minerałów, proszku z drogich kamieni lub pewnych bardzo specjalnych produktów pochodzenia zwierzęcego. Poza tym są jednak również nasycone mantrami i w pewnych przypadkach powinny być zażywane w powiązaniu z horoskopem pacjenta.

Tak, to prawda - kontynuował - nasze lekarstwa nie dają natychmiastowego efektu. Przeciwnie, ze swej natury działają powoli, pozostawiając pacjentowi czas na policzenie się ze swoją karmą. Kiedy ta jest wyczerpana przez cierpienie, choroba mija. Przyznaję, że medycyna zachodnia jest dużo skuteczniejsza od naszej w ostrych przypadkach, w sytuacjach, kiedy trzeba pilnie interweniować, jak choćby w chirurgii. Ale medycyna zachodnia nie rozumie całej reszty, przede wszystkim nie chwyta duchowego aspektu życia.

Mahadevan był człowiekiem wielkiej wiary. Według niego ta „nauka”, ajurweda, pochodziła od Brahmy, boskiego, wszechwiedzącego stwórcy. Rysziowie dwa albo cztery tysiące lat temu poznali ją podczas medytacji i niektórzy ich następcy spisali jej zasady w śastrach kilka wieków przed naszą erą.

Być może dlatego, że sam nigdy nie wyznawałem żadnej wiary, instynktownie odczuwam pewną sympatię wobec tych, którzy wierzą, ale...

Doktorze Mahadevan, jest pan człowiekiem moich czasów. Jak może pan myśleć, że kilka tysięcy lat temu tacy ludzie jak pan czy ja, choćby nawet za sprawą jakiegoś boskiego zespolenia, zdołali zrozumieć wszystko to, co człowiek powinien wiedzieć? Jak może pan wierzyć, że w śastrach zawarty jest cały kapitał wiedzy, również naukowej, który się nie zmienia i nie potrzebuje aktualizacji?

Tak właśnie jest. Ajurweda to nauka wieczna właśnie dlatego, że nie zależy od badań. Nauka zachodnia zmienia się nieustannie, ajurweda nie. To owoc wizji, która jest wieczna: nie podlega zmianom ani aktualizacji. My, lekarze, przypominamy ptaki, które przylatują i odlatują, natomiast ajurweda to drzewo, które pozostaje. Logika tej wizji ryszich funkcjonowała przez tysiąclecia. Stosował ją mój dziadek i będą to robić moi wnukowie.

A nowe choroby? - zapytałem. - Świat, w którym żyjemy, nieustannie się zmienia, natomiast medycyna musi się do tego dostosować, odpowiedzieć na nowe wymagania. Czy nie jest pan tego samego zdania?

Nie. Okoliczności mogą się zmienić, ale podstawowa teoria pozostaje taka sama, ponieważ wynika z natury A nikt nie ma mocy zmieniania natury. A choroby? Moje zadanie jako lekarza polega na eliminowaniu cierpienia wywołanego chorobą, nie zaś choroby samej w sobie. Ludzie pytają mnie, czy leczymy AIDS, białaczkę albo cukrzycę. A moja odpowiedź brzmi: nie leczymy chorób - ani starych, ani nowych - ale osoby. Czasami pacjenci zdrowieją z chorób, których nie znam nawet nazwy. Musi pan zrozumieć: celem ajurwedy jest stworzenie zdrowego sposobu życia, przy którym wszystkie żywe istoty, łącznie ze zwierzętami, byłyby zdrowe. I owo zdrowie nie dotyczy tylko ciała, ale - szczególnie u człowieka - całości.

Zapytałem, jak definiuje zdrowego człowieka. Zareagował, jakby zaproszono go na wesele.

Swasta! Swasta! - powiedział.

Potem sypnął, wciąż z pamięci, pięknymi wersami sanskryckimi. Napisał je sławny lekarz, żyjący w Benaresu w szóstym wieku przed Chrystusem, a przetłumaczył sarr. Mahadevan:

„Człowiek jest zdrowy, kiedy znajduje się w stanie swasty, kiedy wszystkie elementy życiowe, ogień i funkcje pozostają w równowadze; kiedy wypróżnienia są regularne; kiedy umysł, zmysły i dusza są spokojne”.

- Wspaniale, nie wydaje się panu? - radował się Mahadevan. - Zdrowie nie polega na prawidłowych wynikach różnych analiz, jakie robi medycyna zachodnia: tomografia prawidłowa, badanie krwi prawidłowe, cholesterol prawidłowy. Człowiek może mieć to wszystko w normie, a wcale nie czuć się dobrze. Dotyczy to szczególnie sytuacji, kiedy niestabilny jest umysł, Swasta oznacza harmonię, stabilność w realizacji siebie samego. To oznacza dla nas prawdziwe zdrowie.

- Jak pan zatem widzi, w ajurwedzie pojęcie zdrowia wychodzi daleko poza normalny poziom świadomości, poza, powiedzmy, zdrowie w rozumieniu medycyny zachodniej. Rysziowie naprawdę byli Jasnowidzami”. Widzieli poza pozorami, w głębi człowieka. Zrozumieli, że ludzkie cierpienie nie jest tylko fizyczne. Największym źródłem nieszczęścia bywa ignorancja duchowa, poczucie oddzielenia od całości. Pan to wie: tylko wiedza o sobie samym rozwiązuje wszystkie nasze problemy. I tylko w takim sensie interesujemy się w ajurwedzie również zdrowiem fizycznym, ponieważ także dla jogina, który zwraca swój umysł wobec ostatecznej rzeczywistości poznania, zdrowie fizyczne jest ważne.

I znów przepiękne wersy: Dharma patana mokśanam..., jeśli chcesz spełnić swój obowiązek na świecie, jeśli chcesz się wzbogacić, jeśli chcesz cieszyć się przyjemnościami zmysłowymi lub jeśli chcesz poznać siebie samego, twoje ciało musi być zawsze zdrowe.

- Ta wizja leży u podstaw systemu ajurwedy. Lekarz musi wejść do umysłu pacjenta ze światłem swojej wiedzy i wyeliminować ignorancję, która jest ostateczną przyczyną wszystkich chorób. Liczy się wiedza, bo tylko ona może zadowolić umysł. Jak pan widzi - zakończył Mahadevan -ajurwedę trudno uznać za system medyczny, mający praktyczny, materialny cel: zdrowie fizyczne. To system duchowy, którego celem jest moksha, wyzwolenie od ponownych narodzin... Będziemy kontynuować jutro?

Nazajutrz rano Mahadevan kazał czekać kolejce pacjentów, ponieważ chciał udzielić mi drugiej lekcji na początku dnia, żebym mógł trochę lepiej zrozumieć, jak podchodzi do różnych przypadków, z jakimi będzie miał do czynienia.

Kiedy pacjent jest nowy i nie mam jeszcze teczek z notatkami sporządzonymi podczas jego poprzednich wizyt i klasyfikacji, przede wszystkim muszę uważnie go obserwować, zadać mu wiele pytań i zdecydować, jaki jest jego model konstytucjonalny. Od tego zależy cała reszta - zaczął.

Kwestia „modeli” interesowała mnie, ponieważ ja także jestem przekonany, że dobry Bóg nie może stworzyć wszystkich ludzi różnych od siebie i korzysta przy tym z form. z modeli, z których wychodzą ludzie niezwykle podobni. Każdy z nas odkrywa, że skłonni jesteśmy zaprzyjaźniać się lub sympatyzować z osobami, które są w jakiś sposób pokrewne, to znaczy stworzone według tego samego szablonu, choć różnią się wyglądem, a nawet kolorem skóry.

Według ajurwedy - powiedział Mahadevan - cały wszechświat, ze wszystkimi przedmiotami i wszystkimi żyjącymi istotami, z człowiekiem włącznie, złożony jest z pięciu elementów: ziemi, powietrza, wody, ognia i eteru. Tych pięć elementów stanowi podstawę rzeczywistości fizycznej kosmosu, dlatego są one w nas i poza nami: w jedzeniu, które spożywamy, w roślinach, w ziołach. Występują w tym wszystkim, co pan widzi lub dotyka.

W organizmie ludzkim tych pięć elementów objawia się w tridoszy, trzech funkcjonalnych zasadach - vata, pitta i kapha - które rządzą wszystkimi naszymi funkcjami fizycznymi i umysłowymi.

Eter i powietrze są elementami pozbawionymi formy, dlatego też w organizmie reprezentują to, co niestałe, niespokojne. To jest vata. Z ognia pochodzi pitta; z wody i z ziemi kafa. Te trzy zasady objawiają się w różny sposób w każdym narządzie, w każdej komórce organizmu. W organizmie jeden element na ogół przeważa nad pozostałymi albo dwa wspólnie górują nad trzecim. Ów dominujący element jest dla nas, lekarzy ajurwedyjnych, bardzo ważny, ponieważ determinuje konstytucjonalny model osoby. Dlatego mówimy, że dana osoba jest vata, kiedy element p o wietrzą-eteru dominuje nad innymi. Inna osoba jest pitta, kiedy jej dominujący element to przejaw ognia. I tak dalej. Ten model konstytucjonalny dostajemy przy urodzeniu i praktycznie pozostaje on stały do końca życia. Czynniki determinujące ów szablon jest wiele, poczynając od dziedzicznych po astrologiczne, od tych związanych z fizjologią danej osoby po jej karmę. Czynniki astrologiczne?

- Oczywiście - odparł. - Wpływ planet determinuje charakter osoby również z punktu widzenia jej zdrowia.

Nie byłem w stanie zrozumieć, w jaki sposób za pomocą tylko trzech „szablonów” można ustalić, kto według którego został stworzony, poprosiłem więc Mahadevana, żeby opisał mi vatę.

- Osoba vata - powiedział - jest szczupła, bez tłuszczu, ma niewiele włosów, a te są suche i z łupieżem. Jej oczy są małe i mętne. Vata może jeść, ile chce i nie tyje. Jest zazwyczaj wysoka, ma długie kończyny i słaby system odpornościowy. Czasem ma duży apetyt, czasem nie. Czasem regularnie się wypróżnia, czasem nie - właśnie z powodu niestabilnej natury vaty. Niestabilność to stała cecha osoby vata, która bywa niespokojna, nigdy nie pozostaje w miejscu, jest niezdecydowana. Ma trudności ze snem i dużo mówi. Niektóre jej kończyny mogą być wykrzywione. Mięwa sny, ale często są to koszmary. Jej pierwszą reakcją w obliczu czegoś nowego jest strach. Ma złą pamięć.

Zarabia dużo, ale nie potrafi oszczędzać. Natychmiast wydaje wszystkie pieniądze. Nie znosi zimna i chce być osłaniana. Wierzy w świat fantazji. Przez długie okresy może oddawać się medytacji.

Nie rozpoznawałem siebie w tym opisie. A pitta?

Pitta to przejaw agni, ognia. Dlatego jest osobą peir, energii, ciepłą, oleistą, intelektualną. Ma duży apetyt i trudności ze spaniem. Dużo się poci, ma siwe włosy już we wczesnej młodości, nie znosi gorąca, niechętnie przebywa na słońcu, uwielbia lody, jest porywcza, łatwo się złości, ale wszystko szybko jej mija.

Tu też nie wpisywałem się całkowicie.

Kafa to przeciwieństwo waty - kontynuował Mahadevan. To osoba gruba, często otyła, bardzo stabilna, porusza się powoli, ma czerwoną twarz i tłuste włosy, bardzo jasne białka oczu. Kafa jest perfekcjonistą, spokojnym i tolerancyjnym.

Oczywiście, przynajmniej według mnie, nie byłem też kafą.

Kiedy jeden z tych elementów wzrasta w stosunku do innych, człowiek zaczyna chorować - kontynuował Mahadevan. - Choroba to przerwanie pierwotnej równowagi trzech składników. Przyczyn może być wiele, przede wszystkim niewłaściwa dieta lub styl życia, uraz. jakiś czynnik zewnętrzny albo związany z siłami nadprzyrodzonymi. Według nas często odpowiedzialne są za to emocje. Mają one, jak jedzenie, swoje smaki, które wpływają na trzy elementy składowe, powodując wzrost jednego w stosunku do pozostałych. Ból jest gorzki, pragnienie słodkie, gniew pikantny, natomiast łakomstwo słone i tym obciąża kafę.

Przypomniał mi się Dan Reid, który - przywołując chińską tradycję medyczną - mówił, żeby uważać na emocje będące przyczyną chorób. Gniew, strach, nienawiść, zazdrość przyczyniają się do złego stanu zdrowia, podczas gdy inne, takie jak miłosierdzie, współczucie, radość lub - co odkrył Norman Cousins - dziki śmiech powodują dobre samopoczucie. Zgadzało się.

A przecież gdy byłem mały, babcia kazała mi zrobić siusiu zaraz potem, kiedy z jakiegoś powodu bardzo się wystraszyłem. Był to wyraźnie stary sposób pozbywania się z organizmu negatywnych resztek emocji, które - jak myślano - mogły mieć złe następstwa. Powiedziałem o tym Vlahadevanowi, a on przyznał, że w Indiach robi się dokładnie to samo - również w przypadku dorosłych. Jeśli osoba, której umarł ktoś bliski, nie płacze, krewni uciekają się do cebuli lub dymu w oczy, a jeśli to nie pomaga, posuwają się lawet do bicia, byle tylko rozwiązać ten węzeł emocji.

Również choroby - kontynuował swoje wyjaśnienia Mahadevan - mają swoją naturę związaną z tymi trzema kategoriami. Są więc choroby wata, pitta i kafa. Choroba sama w sobie nie jest poważna, uleczalna lub nieuleczalna. Wszystko zależy od kontekstu, w jakim się pojawia. Na przykład choroba kafa jest poważna u osoby kafa. Rozumie pan zatem, że w ajurwedzie nie istnieje ogólne podejście do tego samego schorzenia. Nawet do przeziębienia. Ta sama choroba u osób o innej konstytucji musi być leczona inaczej. Podobnie nadmiar któregoś elementu składowego u różnych osób objawia się różnymi chorobami, które są jednak traktowane w taki sam sposób. A to dlatego, że terapia polega na przywróceniu u chorego równowagi między poszczególnymi elementami, niezależnie od choroby. Dla jasności, leczenie takie jest alopacyjne, w tym sensie, że kuracja ma znak przeciwny - a nie podobny, jak w przypadku homeopatii - w stosunku do konstytucji danej osoby. Na przykład osoba

kafa, u której przeważa wilgoć i chłód, leczona jest za pomocą terapii opartej na ciepłe, suchości i pikantnym smaku. Natomiast osoba pitta, porywcza i gorąca, leczona jest ziołami orzeźwiającymi. Pożywienie, dzięki swoim różnym smakom, jest samo w sobie ważnym lekarstwem.

Kiedy się ustali model konstytucjonalny pacjenta i zrozumie, co mogło spowodować załamanie jego równowagi, gdzie zaczęła się choroba, o jakiej porze roku, jaka jest jego odporność, siła woli, dieta, styl życia, cała reszta nie sprawia już trudności. Dla każdego przypadku istnieje tylko dwie formy leczenia: to, co wzrosło, musi zostać zmniejszone; co się zmniejszyło, trzeba podnieść.

Za pomocą czego?

Wszystko może się przydać, ponieważ nic we wszechświecie nie jest zbędne. Na pozór moglibyśmy się obejść bez skorpionów albo jadowitych węży, ale tak nie jest. Każda rzecz ma unikatową wartość i istnieje, żeby karmić wszystkie inne w zamian za to, że sama zostanie nakarmiona. Nic nie jest całkowicie dobre ani całkowicie złe. Wszystko we wszechświecie może być wykorzystane jako lekarstwo - również trucizna, jeśli dodać do tego mądrość. A w pewnych sytuacjach nie dajemy nic, ponieważ również nic może być czymś.

Czyż mogłem nie być zafascynowany taką wizją wszechświata? Poprzedniego dnia widziałem człowieka, który niósł do kliniki pijawki, i chciałem się dowiedzieć, do czego miały służyć, zważywszy że współczesna medycyna odrzuciła je jako przykład minionego barbarzyństwa terapeutycznego.

Pijawki - powiedział Mahadevan - można podzielić na dwa rodzaje: jedno są trujące, stosowane przez niego w pewnych przypadkach artretyzmu; innych, powszechniejszych, używa się przy cystach ocznych. Obydwa typy pochodziły ze stawu z kwiatami lotosu, leżącego obok szpitala, w którym przebywałem.

Obydwa słyszeliśmy gwar rosnącego tłumu pacjentów: więc żeby pociągnąć wątek naszej rozmowy, Mahadevan jeszcze raz odwołał się do swoich ukochanych pism:

Sukarta sarva butanam... Celem mojej nauki jest stworzenie warunków zdrowia dla wszystkich żywych istot. Najlepszy sposób to nie leczenie chorób, ale im zapobieganie. Zadaniem lekarza ajurwedycznego jest nauczyć ludzi żyć w równowadze - rozumnie i świadomie.

Jeszcze dwieście lat temu - powiedział Mahadevan - mądrość śastr stanowiła część życia codziennego ludzi, szczególnie w Indiach południowych. Kuchnia każdej rodziny zaopatrzona była w zioła i przyprawy do stosowania przy przyrządzaniu potraw. Każdy na podstawie własnej konstytucji wiedział, czego powinien unikać, a co mu służyło: na przykład, żeby zachować zdrowie, człowiek vata trzymał się w naturalny sposób z daleka od jedzenia suchego i zimnego. Ale najpierw kolonializm, a potem nowoczesność oddaliły ludzi, szczególnie w miastach, od liczącej tysiące lat tradycji ajurwedycznej.

Dzisiaj - według Mahadevana - ajurwedzie po raz kolejny groziło niebezpieczeństwo; tym razem komercjalizm - jak to nazwał. Przymiotnik „ajurwedyyczny” był już używany dowolnie do reklamowania wszelkiego rodzaju produktów, a szczególnie kosmetyków, które z ajurwedą nie mają nic wspólnego. W Kerali ajurwedą stała się atrakcją turystyczną, z różnymi ośrodkami oferującymi wszelkiego rodzaju masaże. Jeden z aśramów, który określał się jako ajurwedyyczny, stał się wśród cudzoziemców

szczególnie modny, ponieważ praktykował wolny seks jako środek do „oderwania się od wszelkich pragnień”.

Byłem już trzy dni w Derisanamscope, kiedy Mahadevan oświadczył, że zamierza zająć się moim przypadkiem. Było to niemożliwe w klinice, gdzie ciągle miał czymś zaprzątniętą uwagę, zatem spokój mogliśmy znaleźć tylko w jego domu. Przekazał więc wszystkich pacjentów z popołudnia kuzynowi, który też był lekarzem, i poprosił, żebym za nim szedł.

Rodzina Mahadevan - nazwisko to znaczy Wielki Bóg, synonim Siwy - była jedną z najważniejszych w wiosce, ale ich dom, jeden z tych niskich, stojących wzdłuż wybrukowanej drogi, nie wyróżniał się niczym spośród innych. Podobnie jak pozostałe, miał z przodu mały portyk z murowanym podestem, na którym - chroniąc się przed niepogodą - mogli zatrzymywać się, na chwilę odpoczynku albo żeby spędzić tam noc, przygodni sadhu. Był to stary zwyczaj udzielania gościnności świętym żebrakom. Mahadevan mi wyjaśnił, że rano, zanim odeszli, kobiety mieszkające w domu mogły przynieść im jedzenie i picie bez konieczności wpuszczania ich do środka.

Dom Mahadevana zbudowany był wokół podwórza. Opadały na nie dachy różnych przyległych pokoi, w których mieszkała rodzina. Nie było w nich tego obowiązkowego podziału na pokój dzienny, sypialnię i kuchnię, tak absurdalnie uznawanego za oczywistość na Zachodzie. Podwórze służyło do zbierania deszczu, mycia się i zmywania. Tylko wracając z pogrzebu - powiedział mi Mahadevan - należało dokonać ablucji na zewnętrznym podwórzu, za bramą. Ubikacja musiała znajdować się przynajmniej dwieście metrów od domu i nie widziałem jej.

W sposobie, w jaki Mahadevan wyjaśniał mi różne zwyczaje swojej rodziny i wioski, słyszałem nutę dumy braminów, którzy - pozostając wierni tradycji - zdołali utrzymać swoje życie w „stabilnym i zdrowym” stanie. Święte pisma były ich przewodnikiem. Wedy ustanawiały w istocie niezwykle precyzyjnie zasady wszelkich działań i rozwiązań na każdą okoliczność. Było w nich napisane, co należało zrobić oraz kiedy i jak powiedzieć. Zastosowanie się do tego kodeksu postępowania oznaczało gwarancję porządku, harmonii i właśnie zdrowia.

Dni Mahadevana odmierzane były wciąż tym starym rytmem. Cała rodzina wstawała o pół do piątej na pudże. poranne rytuały religijne. Zaraz po przebudzeniu należało spojrzeć na dłonie - jeszcze przez złożeniem ich na znak pozdrowienia - żeby przypomnieć sobie, że „Ja”, symbolizowane właśnie przez ręce, nie jest tym, które robi, które decyduje.

- Ten, kto uważa się za autora działania, nic nie rozumiał - powiedział Mahadevan, parafrazując jeden z wersów Gity. - „Ja” nie ma być stłumione, tylko zostać postawione przed faktem, że wszystko to Iśwara, bóg, że to, co robimy, to Iśwara, i że jedyną rzeczą, do której należy dążyć, jest moksza, wyzwolenie od powtórnych narodzin.

Ojciec Mahadevana, emerytowany adwokat, zajmujący się obecnie administrowaniem kliniki, chciał pokazać mi miejsce w domu, gdzie odbywały się pudże, oraz stary bęben, od pokoleń należący do rodziny, za pomocą którego dawano sygnał do śpiewania mantr. Wydawał mi się jedyną cenną rzeczą, jaką mieli. Jeśli chodzi o resztę, w całym domu panował tylko wielki porządek i czystość.

To ojciec mi wyjaśnił, że w Kerali niektóre rodziny bramińskie utrzymywały przy życiu tradycję ajurwedyczną również w okresie upadku, przekazując z pokolenia na pokolenie święte pisma, których uczono się na pamięć. Jako że ajurweda podzielona jest na osiem sekcji, każda rodzina była

odpowiedzialna za znajomość jednej z nich. Robili tak aż do czasów jego ojca, który założył klinikę w 1924 roku. Mój lekarz miał szczęście urodzić się ze znakomitą pamięcią. Już od dzieciństwa uczył się z dziadkiem, potem studiował w jednej z wielkich szkół ajurwedy, więc teraz znał praktycznie wszystkie te teksty.

Kiedy stary adwokat poszedł do kliniki, Mahadevan i ja - każdy ze swoim notatnikiem - usiedliśmy przed portretem boga, opiekuna rodziny, inkarnacji Kryszny.

Mahadevan powiedział, że przez ostatnie dni obserwował mnie, ale nie zdołał sklasyfikować. Nie był pewien mojego modelu budowy, od którego zależało znalezienie sposobu udzielenia mi pomocy. Przeprowadził więc prawdziwe przesłuchanie dotyczące każdego aspektu mojego życia: gustów, upodobań żywieniowych, przyzwyczajień - szczególnie zwyczajów moich wnętrza - sposobu spania i snów, popędu seksualnego, pamięci, zdolności do długiego pozostawania w stanie medytacji czy też jej braku, sposobu pocenia się i reagowania na bodźce zewnętrzne. Czy lubię bardziej milczeć, czy mówić? Czy jestem ciekawski? Czy gniew mi szybko przechodzi? I tak dalej, i tak dalej.

Przesłuchanie rozciągnęło się potem na medyczną historię mojej rodziny i na choroby dziedziczne. Opowiedziałem o tym, co w dzieciństwie zrobiło na mnie wielkie wrażenie: pogrzeby zmarłych na gruźlicę ciotek, potem pogrzeb dziadka ze strony matki, który zmarł na tę samą chorobę. Pamiętam, jak po powrocie z cmentarza na drodze przed domem rozpaliliśmy wielkie ognisko, paląc wszystko, co do niego należało, żeby infekcja nie przeszła na innych. Zaraz potem babcia - cudowna wiejska babcia - przyszła zamieszkać z nami tylko w tym, co miała na sobie A potem ów nieustanny strach, że ja też zachoruję, i badania krwi, od których piekła mnie ręka. Były to jedne z na - bardziej dramatycznych doświadczeń mojego dzieciństwa, ale Mahadevan zdawał się nimi zupełnie niezainteresowany. Natomiast... hemoroidy! Ach, te bardzo go interesowały.

Jak to? Operowany dwa razy? W ciągu dwudzieste pięciu lat?

O tym chciał wiedzieć wszystko.

Według niego hemoroidy to maharoga, wielka choroba. I tutaj wygłosił w sanskrycie wersy z pism dotyczące tego tematu, jakby chciał potwierdzić ich świętością to, co mówi. Następnie spojrzął na sporządzone przez siebie notatki, skupił się i powiedział, że osiemdziesiąt procent moich odpowiedzi wskazywało na osobę vata, reszta to było pitta z pewnymi oznakami kafa. Według niego pojawiły się jednak one wraz z chorobą i nie należały do mojego modelu. A zatem byłem pomiędzy vata a pitta.

Z tego miała wynikać cała reszta.

- Biorąc to wszystko pod uwagę - podsumował - myślę, że pańskie elementy życiowe nie były w równowadze od dzieciństwa. Pański system obronny był ciągle osłabiony. Istniało zawsze zaburzenie kawy, które wywołało problemy z płucami; następnie były hemoroidy, które dla nas są ważnym znakiem czegoś bardzo poważnego w dolnej części brzucha, gdzie skoncentrowana jest właśnie vata. W pańskim przypadku vata nie przepływała we właściwym kierunku, dlatego ruszyła inną drogą, zaczęła posuwać się w górę, stworzyła amalgamat kawy i pittы w żołądku i to wywołało wielką chorobę, na którą pan teraz cierpi. To jest ta patologia.

Powaga mojej sytuacji polegała na tym, że miałem zachwianą równowagę między wszystkimi elementami życiowymi: watą, pitta i kafa. Według niego sytuację pogarszał jeszcze poważny niedobór agni, wewnętrzny ogień, od którego zależy cały metabolizm.

- Aham vaishvanaro bhutva praninam deham asritaha... (Ja jestem ogniem i objawiam się w trawieniu...) - zadeklamował.

- Gitct, rozdział piętnasty, sloka czternasta - powiedziałem. Dopiero to studiowałem, więc mogłem się popisać. A jemu moja wiedza sprawiła przyjemność. Zatem go rozumiałem!

- Agni to Kryszna - kontynuował Mahadevan. - To bóstwo, któremu ofiarujemy pobożnie pożywienie, tak jak podczas kui ofiaruje się ogniewi wodę, masło, ryż i inne rzeczy. My składamy bogu ofiary, a bóg się nami opiekuje. Ale kiedy agni jakiejś osoby jest przez dłuższy czas nienormalne, w ciele tworzy się duży zły toksyn.

- Gdzie? - zapytałem. - W którym narządzie?

- Nie, nie, tego rodzaju zatrucia nie da się pokazać - odparł Mahadevan.

Potem mi wyjaśnił, że wszystkie patologie systemu żołądkowo-jelitowego mają coś wspólnego z agni i że ja, mając patologicznie kafa i słabe agni, musiałem zapaść na poważną chorobę: mogła to być białaczka albo jakakolwiek inna forma raka.

Czy można coś z tym zrobić?

Tak - powiedział Mahadevan. Rozwiązanie miało polegać na zwiększeniu ognia trawiennego, żeby wzmocnić moją odporność i odwrócić w ten sposób skłonność do niewydolności. Terapia jest prosta: należy pobrać agni - ogień - z ziół i roślin, i wprowadzić do mojego organizmu za pomocą mikstury, którą on przygotowuje.

Wymieszam wszystkie zioła, które mają w sobie ogień, a dodatkowo roślinkę, która w sanskrycie nazywa się właśnie agni. Kiedy weźmie pan to lekarstwo, będzie pan musiał unikać wszelkiego pożywienia zawierającego cukier i ghee, klarowane masło, natomiast powinien pan jeść jak najwięcej cierpkich owoców, takich jak granaty, cytryny i pomarańcze.

Według niego udałoby mi się w ten sposób rozwiązać podstawowy problem, również dlatego, że - jak powiedział - choroba nie jest naturalnym stanem człowieka. Miałem wielką wolę życia i mój wewnętrzny uzdrowiciel ruszyłby mi na pewno z pomocą.

Zapytałem, co myśli o ewidentnym wzroście zachorowań na raka wśród ludności krajów uprzemysłowionych. Według niego było to spowodowane tym, co sam nazywał szkodliwym wykorzystywaniem własnego czasu i inteligencji. Dai przykład różnych głupich prac, jakie ludzie zmuszeni są wykonywać. Poza tym ludzie Zachodu stają się coraz większymi niewolnikami przedmiotów postrzeganych przez zmysły

Im bardziej ludzie oddalają się od natury, tym więcej chorują. W dzisiejszych czasach człowiek staje się coraz większym egoistą, myśli tylko o rozrywkach, o przyjemnościach, o pobłażaniu sobie w jedzeniu i picciu. Wiele chorób spowodowanych jest objadaniem się, przez co zużywa się zbyt dużo

agni. Jedzenie małych ilości nie wywołuje żadnych chorób. Dawne zasady zachowań społecznych i osobistych przestrzegane są coraz rzadziej...

Według Mahadevana przy właściwym sposobie odżywiania żołądek powinien wypełnić się tylko w połowie pokarmem stałym, w jednej czwartej płynami i w jednej czwartej powietrzem. Podczas jedzenia należałoby pić, ale absolutnie nie rozmawiać - właśnie dlatego, żeby nie zwiększać ilości powietrza, które trawimy.

Żegnajcie zatem biznesowe obiady!

Żeby zakończyć w sposób, który już znałem, Mahadevan zacytował tego co zwykle wielkiego lekarza ajurwedycznego Z Benares, który - porównując ludzkie ciało do dyszla wozu - już w szóstym wieku przed Chrystusem napisał: „Tak jak dyszel zużywa się i w końcu pęka, jeśli wóz jest przeładowany, droga wyboista, powożący niedoświadczony, a koła słabe, tak samo długość ludzkiego życia skraca się, czasem nawet o połowę, jeśli ciało poddawane jest nadmiernym wysiłkom, jeśli stosuje się nieodpowiednią dla niego dietę, posiłki są nieregularne, jeśli nie utrzymuje się go we właściwej pozycji, nadmiernie pobłaża seksowi, jeśli wystawi się je na trujący wiatr albo ogień, jeśli nie tłumii się pragnień, które mogą być tłumione, a hamuje te, które nie powinny być hamowane, i jeśli przebywa się w towarzystwie niegodnych osób”.

- Widzi pan - kontynuował Mahadevan - to z tych zachowań godzących w życiową moralność rodzi się choroba. Jednak medycyna zachodnia ignoruje to wszystko, nie szuka prawdziwej przyczyny zła i zamiata wszelkie brudy pod dywan.

Wydało mi się to trochę nazbyt powierzchowne. Pomyślałem o naprawiaczach z Nowego Jorku. Przecież zanim podali mi swoje mikstury, wykonali wiele badań i analiz. Postanowiłem więc wziąć ich w obronę,

- Swoimi metodami, doktorze Mahadevan, nigdy nie odkryłby pan raka, jakiego miałem w nerce. Żeby tego dokonać, potrzebne było bardzo zaawansowane badanie.

- No i co z tego? Często mi się zdarza widzieć pacjentów z wrodzonymi cystami w nerce. Nie wiedzą, że je mają, i żyją szczęśliwie.

- Ale w moim przypadku nie chodziło o cystę. W laboratorium zobaczyli, że to rak.

Mówiąc to, podciągnąłem kurtę, żeby pokazać mu, ile pracy trzeba było wykonać, żeby mi usunąć to głupstwo.

- Ale jeśli człowiek żyje szczęśliwie, po co wysyłać kawałek jego ciała do laboratorium? Według mnie lekarze ci niepotrzebnie pana niepokoiili. Niech pan na to spojrzy - powiedział, wskazując palcem na przepuklinę.

Podobało mi się słowo „niepokoiili”: wyrwali ze stanu spokoju.

Być może nie był aż tak szalony. W gruncie rzeczy świetni naprawiacze nie potrafili mi powiedzieć, od jak dawna owo obce ciało znajdowało się w mojej nerce ani z jaką prędkością rosnęło. Być może mogłem zatrzymać je w sobie do końca moich dni, nie poddając się tylu cięciom, tylu traumom i unikając tej przepukliny, która wystawała mi niebezpiecznie z brzucha.

Młody Mahadevan być może nie we wszystkim się mylił. Kiedy byłem jeszcze w Nowym Jorku, przeczytałem o badaniu wykonanym na zamówienie amerykańskiego Senatu, które wykazywało, że niemal połowa operacji chirurgicznych przeprowadzanych w Stanach Zjednoczonych jest niepotrzebna i kosztuje średnio utratę życia ponad dziesięć tysięcy osób rocznie. Czyżby moja też do nich należała?

- Czym jest w gruncie rzeczy choroba? - zapytałem.

- Choroba jest formą niezgodności z porządkiem kosmicznym - odparł z przekonaniem.

Wydało mi się lekką przesadą, że moja przypadłość miałaby mieć taki wymiar, ale sama myśl była na pewno pociągająca. Również dlatego, że w takim przypadku nie potrzebowałbym już powierzać się narzędziom chirurgów, fosforyzującym płynom, czy też wracać w ramiona Pajęczycy.

Tak minęło całe popołudnie. Ojciec Mahadevana po powrocie z kliniki zasugerował, żebym zatrzymał się u nich. Nie musieliby znów wysłać mi jedzenia przez posłańca na rowerze.

Czekając, aż matka i młoda żona Mahadevana przygotują kolację, ojciec chciał opowiedzieć mi o świątyni. Była ona jego wielką troską. Marniała, nie było już ani jednego pudźariego, a jeśli nie pospieszają się z robotami remontowymi, dach zacznie przeciekać.

Powiedział, że przez wiele pokoleń świątynią zajmowała się rodzina miejscowych królów, ale podupadła i opiekę przejęli bramini z wioski. Ponieważ chodziło jednak o ludzi pozbawionych większych środków, wziął on na siebie obowiązek zebrania funduszy, żeby doprowadzić ją do porządku i opłacić przynajmniej jednego pudźariego, który prowadziłby codziennie ceremonie.

Na odległość przedstawiona mi została młoda żona Mahadevana. Byli małżeństwem od kilku miesięcy. Zgodnie z tradycją dziewczynę wybrali mu rodzice, a on zdawał się być z tego powodu szczęśliwy.

Kolacja była bardzo prosta, a my, mężczyźni, zjedliśmy pierwsi, obsługiwani przez kobiety. Kiedy Mahadevan skończył, zobaczyłem, że podaje swoje brudne thali żonie, która nie myjąc go, nałożyła sobie porcję jedzenia i usiadła obok teściowej, jedzącej z brudnego talerza męża. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego.

- Dla nich to zaszczyt - wyjaśnił mi Mahadevan.

Jeszcze jeden stary zwyczaj.

Wyobraziłem sobie, że europejska albo amerykańska feministka zareagowałaby na taką scenę z niesmakiem i poczułaby się w obowiązku „wyzwolić” obie kobiety spod szowinistycznego ucisku mężów. Potem pomyślałem, że ta sama feministka bardzo by się zainteresowała medycyną Mahadevana, ponieważ właśnie te kobiety z Zachodu są dziś najbardziej otwarte na to, co nowe, mniej sztywne i gotowe widzieć świat w ujęciu „alternatywnym”. Ale czy można akceptować jeden aspekt cywilizacji, która pozostała wierna tradycji przez wieki, a odrzucać inny? Czy przypadkiem wszystko nie jest ściśle związane nitkami, których nie można dowolnie przeciąć, stosując własne kryteria? Wziąć wszystko albo zostawić?

Mahadevan chciał koniecznie odprowadzić mnie do szpitala. Panowały egipskie ciemności i nie było światła. Bał się, że mógłbym upaść. Skorzystałem z okazji i zapytałem go po drodze, co myśli o kursie Jogi i Dźwięku, jaki zorganizował Ramananda. Czy muzyka może być pożyteczna dla moich oszalałych komórek?

- Na pewno. Komórki też mają świadomość – odparł. - Tylko dwie rzeczy w naszym ciele jej nie mają: paznokcie i włosy. Dlatego można je obcinać bez bólu.

Tej nocy nie zasnąłem jak kamień. Nos miałem zatkany od zapalenia zatok, suchość w ustach, a głowę pełną popołudniowych rozmów. Wciąż powracało pytanie: Czym jest choroba? Zadałem je również Luciowi Luzzatto w Nawyrs Jorku i pamiętam, jak się z tego naigrawał, mówiąc, że wo li rozmawiać o raku. Na ten temat miał przynajmniej jakieś pojęcie. Ciekawe, jak przyjąłby jako naukowiec odpowiedź Mahadevana, że choroba to stan niezgodności z porządkiem kosmicznym? A przecież...

Kiedy byłem jeszcze pacjentem-klientem MSKCC, zainteresowałem się historią pewnej małej społeczności uchodźców kambodżańskich. Trafili oni do Ameryki p: przejściu gehenny masakr Pol Poty i Czerwonych Khmerów. Mieszkali w miasteczku w okolicach Los Angeles. Nagle okazało się, że wielu z nich, szczególnie kobiety, oślepiło. Trudno to było wyjaśnić. Sto pięćdziesiąt kobiet poddano bardzo szczegółowym badaniom, z których wynikało, że klinicznie wszystkie są zdrowe. Ich oczy przekazywały do mózgu normalne impulsy światła i ruchu. Ale kobiety nie „widziały"! Może zobaczyły już zbyt wiele. Były świadkami tortur i egzekucji tak wielu swoich bliskich w Kambodży, a teraz, w Ameryce, znalazły się w zupełnie obcym środowisku. Choć miały oczy w porządku, nie chciały już nic więcej widzieć.

Z kolei w Indiach uderzyła mnie historia opowiedziana przez angielskiego myśliwego Jima Corbetta. Stał się on legendą dzięki książkom na temat zwierząt mieszkających w dżungli oraz obław na tygrysy ludojady. Pewnej nocy, kiedy Corbett rozbił biwak u stóp Trishulu, jednego z najwyższych szczytów Himalajów, ludzie z jego wyprawy zaczęli tańczyć i bawić się przy ognisku. Był z nimi jego najstarszy sługa, który asystował mu podczas polowań. Nagle mężczyzna źle się poczuł, upadł na ziemię i stracił przytomność.

Duch Trishulu wszedł w niego, kiedy otworzył usta, żeby śpiewać - mówią inni słudzy i tragarze. Corbett odsyła mężczyznę do jego wioski, każe go zbadać w paru szpitalach. Potem jeszcze zajmuje się nim angielski lekarz wojskowy. Wszystko na nic.

Musi umrzeć, żeby duch opuścił jego ciało - mówią ludzie. Więc mężczyzna tak czyni. Pozwala, żeby śmierć go zabrała. Wszyscy lekarze zgodnie twierdzili, że jest zdrowy. Cóż więc to była za choroba?

Pod względem fizycznym nic mu nie dolegało, ale z punktu widzenia człowieka jako całości - o której mówił Mahadevan - skończyła się równowaga, przerwał się właśnie ów związek kosmiczny. Człowiek ten stracił za sprawą czegoś, co prawdopodobnie nie było duchem Trishulu, kontakt ze świadomością uniwersalną, która według Swamiego utrzymuje w tak inteligentny sposób w całości wszechświat i objawia się w człowieku jako siła witalna, jako instynkt przeżycia.

Dla nauki ten ajurwedyjny sposób rozumowania, postrzegania zdrowia i choroby w kontekście równowagi i jej braku, przerwanej i przywróconej harmonii, jest absurdalny. Mnie tymczasem się

zdawało, że kryje w sobie jakąś prawdę. Choroba nie jest nigdy faktem obiektywnym; stanowi przede wszystkim doświadczenie osobiste i jako takie odmienne dla każdego z nas. Każda jest owocem naszego życia, naszą chorobą. Absurdem więc byłoby nie zdawać sobie z tego sprawy i myśleć - jak to czyni nauka - że wystarczy wziąć leki, aby położyły obiektywnie kres wszystkim naszym dolegliwościom.

Podobała mi się idea ryszych, według których dla utrzymania zdrowia należy przede wszystkim wieść właściwy żywot. Ale czy potrafimy zmienić nasze życie, które w większości wypadków nie jest właściwe? Zmiana to jedna z najtrudniejszych rzeczy do przeprowadzenia. Boimy się jej i nikt tak naprawdę nie chce poprawiać własnego sposobu życia. Dlatego przychylniej patrzymy na terapię obiektywną; dlatego wolimy leczyć astmę aerozolem, alergię środkami przeciwhistaminowymi, a ból głowy aspiryną. To dużo łatwiejsze i szybsze niż próba zrozumienia, co wywołuje u nas te dolegliwości. Czy bylibyśmy skłonni do zmian, gdybyśmy odkryli, że spowodowane są mieszkaniem w domu, który nie jest dla nas zbyt odpowiedni, towarzystwem nijakich ludzi, jedzeniem niewłaściwych rzeczy i wykonywaniem pozbawionej znaczenia pracy?

Ale jak się zmienić? To poczucie niemocy jeszcze potęguje naszą predyspozycję do złego samopoczucia.

Kiedy rano poszedłem do kliniki, Mahadevan zaprowadził mnie do kuchni, żebym zobaczył jego służących uwijających się wokół kotła, w którym przygotowywali miksturę mającą dostarczyć mi ognia. Nie chciałem powtórzyć doświadczenia z Kottakału i nie zapytałem, z czym zioła zostały zmieszane. Tym razem postanowiłem je stosować i już sam widok oddania, z jakim przy nich pracowano, powodował, że czułem się dobrze. Poza tym w zapachu nie wyczuwało się nic podejrzanego. Był ostry, mocny, całkiem przyjemny.

Kiedy powiedziałem Mahadevanowi, że źle spałem z powodu zatok, kazał mi przynieść z apteki zawiniątka z aromatycznymi ziołami, przypominające małe cygara. Miałem je podpalać i oddychać wydobywającym się dymem.

Przez resztę dnia zajmowałem się swoim nosem. Leżałem wyciągnięty na pryczy, czytałem, wdychałem dyrn i rozkoszowałem się jego zapachem oraz dźwiękami, które wraz z powiewem wiatru wpadały przez okno; głosami dzieci, krzykiem ptaków, dalekim skowytom psa, pobrzękiwaniem naczyń i śpiewnymi modlitwami, dochodzącymi z wioski.

Miałem wrażenie, że znam już to miejsce: proste, uporządkowane, bez wielkich bogaczy i skrajnego ubóstwa, żyjące starym, wypróbowanym rytmem, w harmonii z bogami, do których każdy codziennie zwracał na swój sposób swoje myśli. Pośród różnych znajomości, jakie zawarłem, był emerytowany nauczyciel, który zobowiązał się zajmować stojącym na początku brukowanej drogi małym tabernakulum poświęconym Ganeśi. Każdego ranka o szóstej trzydziści otwierał małą bramkę, oplukiwał miski i zmieniał kwiaty. Wieczorem zamykał tabernakulum i zapalał małą lampę oliwną. Jak mi powiedział, był to jego wkład w życie społeczności.

Wyobrażałem sobie, że tak wyglądał świat, w którym narodziły się Wedy. Było to wciąż środowisko, gdzie działał Mahadevan ze swoją medycyną dla biedaków. W takich warunkach życia ajurweda miała sens, tutaj mógł on mówić o prewencji, o właściwym życiu i o powiązaniu kosmicznym. Ale w

nowoczesnym mieście, gdzie każdy żyje osobno jako obcy wśród obcych? Gdzie zdrowie polega po prostu na reagowaniu na chorobę poprzez próbę przywrócenia jakiejś normalności, która pozwoliłaby choremu, trybikowi w maszynie produkcyjnej, wyjść rano i pojechać zatłoczonym metrem do pracy, a wieczorem wrócić do swoich dwóch pokoi i oglądać telewizję? W takich warunkach niezbędni są naprawiacze, trzeba nieuchronnie zawierzyć chemii, środkom uspokajającym, płynom fosforyzującym i całej reszcie.

A zatem Mahadevan i jego nauka byli dla mnie nieprzydatni? Ależ skąd. To idealny lekarz, którego warto spotkać, kiedy jest się zdrowym. Należałoby go zresztą poznać jak najwcześniej, żeby nauczył nas jeść i pościć, chodzić i pozostawać w bezruchu, stać i siedzieć (to wielka różnica, jak to robimy!); żeby nauczył nas oddychać, korzystając w pełni, a nie tylko częściowo z naszych płuc, kochać się tak, aby nie było to ćwiczenie gimnastyczne, ale akt jogi - tym bardziej; że dzisiaj wielu z nas zna jogę - a zatem akt złączenia. Lekarzem, który nauczyłby nas, jak żyć we właściwy sposób.

Patrzyłem na samego siebie. W gruncie rzeczy - przy całej mojej sympatii dla tej kultury i szacunku dla wszystkich, którzy mi o niej opowiadali - ja też byłem tylko zachodnim piratem, który wypłynął na abordaż tego ostatniego okrętu Wschodu, żeby zabrać z niego... lekarstwo. Pewnie bym je zdobył i nawet zastosował, ale czy mogłem uczciwie się łączyć, że wyrzuci na mnie, chorego z innego świata, taki sam efekt, jaki wywarłoby na kimś, kto w tym świecie dodałby do tego jeszcze kąpiel w świętej rzece, wysiłek pielgrzymki albo prosty śpiew mantry?

Innymi słowy: Czy możemy powierzyć się medycynie holistycznej, nie prowadząc holistycznego życia? Żeby je prowadzić, trzeba czegoś znacznie więcej niż medytacji, picia naparów, uprawiania jogi i leczenia się ziołami, by móc powiedzieć, iż żyjemy holistycznie na trzydziestym siódmym piętrze nowojorskiego drapacza chmur czy choćby w eleganckim apartamencie w centrum Mediolanu!

Czy ajurweda nie była jeszcze jednym przypadkiem owego wyrwania z terytorium - a w tym przypadku również z czasu - o którym mówił Leopold?

To było jednego z ostatnich wieczorów w Derisanamscope. Gdy wróciłem ze świątyni, która stała się celem moich spacerów o zachodzie słońca, czekała mnie niespodzianka. W sąsiednim pokoju pojawiło się dwoje nowych gości: starszy pediatra i jego żona, moi towarzysze z aśramu. Para ta zawsze budziła moją sympatię, więc jej widok sprawił mi wielką radość. On, niski, silny i posępny - jego pożegnalna przemowa do Swamiego była perłą inteligencji i oddania - ona, wyższa, wyprostowana, zawsze czule wspierająca męża.

W oczekiwaniu, aż mężczyzna na rowerze przywiezie nam kolację, usiedliśmy na patio przed naszymi pokojami.

Wspominaliśmy niektóre doświadczenia z aśramu, po czym ona zaczęła opowiadać o swojej rodzinie - coś, co Hindusi czynią z taką samą łatwością jak Włosi. Tyle że porównanie na tym się kończyło, gdyż późniejsza rozmowa nie mogłaby nigdy mieć miejsca ani we Włoszech, ani w żadnym innym miejscu na Ziemi.

Kobieta mówiła mi jeszcze, ile mają dzieci i wnuków, i co każde z nich robi, kiedy on jej przerwał. Zaczął opowiadać, jak to na krótko przed wyjazdem na kurs wedanty zwołali wszystkich: synów,

synowe i wnuki, żeby ogłosić, iż od owego dnia po całym życiu, podczas którego żadne z nich nie jadło mięsa, a on tylko raz napił się alkoholu, teraz wspólnie postanowili zrezygnować również z seksu. On w wieku sześćdziesięciu dwóch lat, ona sześćdziesięciu, złożyli ślub czystości, żeby lepiej się skupić na swojej drodze duchowej. Synowie, synowe i wnuki pogratulowali im tej decyzji i urządzili wielkie przyjęcie.

Poczucie mocy, jakie daje tego rodzaju decyzja, jest niemal równe samej przyjemności - powiedział na zakończenie historii. Potem przypomniał, jak ojciec powtarzał mu zawsze w dzieciństwie, że zdeterminowany człowiek może nawet zatrzymać tygrysicę i ją wydoić.

Nasz umysł jest przepotężny i dzięki niemu możemy zrobić wszystko - dodała kobieta. Była pielęgniarką, potem przez wiele lat kierowała szkołą dla dziewcząt chcących zajmować się tą profesją. Teraz - razem z mężem - miała już tylko jeden, ostatni cel: osiągnąć w tym życiu mokszę.

Przyjechali do kliniki Mahadevana, żeby poddać się pięciu zabiegom oczyszczania, panćakarmom, w oparciu o oleje i masaże. Było to zgodne z klasyczną zasadą jogi wzmacniania ciała, aby lepiej poświęcić się uwolnieniu.

Kiedy niczym żółw, który chowa swoje kończyny, osoba medytująca wycofuje swoje zmysły z przedmiotów, jej wizja staje się nieruchoma i niezachwiana - powiedział pediatra, cytując wersy Gity.

Byłem zafascynowany i w głębi ducha podziwiałem ich determinację. W tym, co robili, nie było nic z moralizatorstwa. Wyrażali tylko przekonanie, oczywiście zresztą, że jeśli ktoś dąży do jakiegoś celu, musi całą energię zwrócić w tym właśnie, nie zaś w przeciwnym kierunku. Celem tych dwojga było oderwanie się od ciała, a zatem nie mieli już powodu, żeby wciąż dawali posłuch zmysłom.

Tradycja indyjska zawsze uznawała wstrzeźliwość za niezbędny warunek poznania. Dorastający młodzieniec, który szedł do gurukulam, przyjmował śluby brahmacharii. ponieważ wówczas jego celem było poznanie świata wewnętrznego, siebie, nie zaś świata zewnętrznego, postrzeganego właśnie przez zmysły. Jednak po zakończeniu okresu spędzonego z guru kończyło się także zobowiązanie brahmacharii. Od tamtej pory było całkowicie właściwe, żeby młodzieniec oddawał się wszelkim przyjemnościom.

Seks sam w sobie nigdy nie był traktowany w Indiach (przynajmniej do czasów podboju muzułmańskiego) jako coś nagannego lub jako narzędzie diabła. Sceny z Kamasutry wyrzeźbione zostały przed wiekami w kamieniu jednej z najbardziej zadziwiających świątyń kraju, w Kajurao. A jeszcze do dzisiaj na wiejskich targach sprzedaje się obrazki erotyczne wyryte na liściach bambusa, żeby matki mogły nauczyć córki, jak być po ślubie dobrymi kochankami.

Z pediatrą i jego żoną wspominaliśmy, jak Swami zabawiał się od czasu do czasu, porównując zachowanie Hindusa w stosunku do genitaliów z zachowaniem ludzi Zachodu. On sam opowiadał o tym bez żadnych oporów i mówił, jak mądrzy byli starożytni, którzy umieścili Jingam i yoni w centrum swojej religii. Zrozumieli, że nic nie jest doskonalsze i bardziej święte od tych dwóch narządów, którym zawdzięczamy życie. Ludzie Zachodu - mówił - zakrywają je listkiem figowym; my, Hindusi, okrywamy je kwiatami!

Zaskoczyło mnie, z jaką naturalnością ja sam potrafiłem rozmawiać o seksie z pediatrą i jego żoną. W tym ich zdystansowaniu się od czegoś, co w życiu wymaga zazwyczaj wiele uwagi i czasu, kryła się

wielka mądrość. Postrzegali swoje zobowiązanie do wstrzemięźliwości jako część równowagi, której szukali. Główna idea polegała na tym, że we wszechświecie wszystko jest zharmonizowane i wystarczy postępować w zgodzie z naturą, żeby robić to, co słuszne. Owoce i warzywa powinny być spożywane w porze ich dojrzwania, ponieważ ziemia produkuje rzeczy ciepłe w czasie chłodu, a zimne w czasie ciepła. Czas tych dwojga nie należał już do pory zmysłów. Rozumiałem ich.

A my, na Zachodzie, którzy jemy wszystko, co chcemy i kiedy chcemy? Kapustę wiosną, czereśnie zimą? Którzy uprawiamy miłość w wieku osiemdziesięciu lat dzięki via- grze? Z jakimi konsekwencjami? Na dłuższą metę nie da się ich przewidzieć. Na krótszą, przynajmniej w przypadku viagry, ryzykujemy zawał.

Stary pediatra sobie tego oszczędzi. Nazajutrz - wraz ze swoją drogą żoną, z którą dzielił całe życie, a teraz pragnął dzielić ostatnią przygodę duchową - miał zacząć serię oczyszczających masaży.

Po tygodniu tak bardzo pogodnego i uporządkowanego życia opuszczenie „Miejsca, skąd wypuszczono strzałę”, by- io prawdziwym rozstaniem.

Kiedy wraz z grupą innych pacjentów wsiadłem do autobusu jadącego na północ, zobaczyłem na schodach kliniki żegnających mnie Mahadevana, jego ojca, kuzyna, kilku służących, a także pediatrę z żoną. Przed wszystkim jednak za plecami ich wszystkich ujrzałem ją, imponującą : milczącą, kobietę-demon, patrzącą nieruchomo w niebo. Za życia wchodziła w drogę rysim i Ramie. Teraz, po śmierci, jakby dla zrównoważenia swoich złych czynów, osłaniała - byłem o tym przekonany - ową bańkę mydlaną tradycji i tych niewielu wiernych naśladowców wielkich, starych mistrzów życia, ryszych.

Wystarczyło przebyć kilka kilometrów po asfaltowej drodze, żeby zdać sobie sprawę, jak unikatowym i szczęśliwym miejscem jest Derisanamscope. Szybko zaczęliśmy mijać wioski, gdzie ponad palmami chwiały się neonowe krzyże nowych kościołów, wzniesionych przez agresywne sekty protestanckie, o których wspominał Swami. Były wielkie i nie na miejscu ze swoim ostentacyjnym przepychem. W dodatku zamknięte, bo to nie dzień świąteczny.

Czy ojciec Mahadevana zdoła zdobyć wystarczająco pieniędzy, żeby wyremontować starą świątynię Ramy w głębi wioski i przedłużyć jeszcze na trochę jej życie?

FILIPINY

Ocaleni przez magię

Dziecko jest nieruchome, z nagim torsem, wyciągnięte na ziemi. Mężczyzna chwyta nóż i podcina mu gardło od ucha do ucha. Przynajmniej tak to wygląda. Krew tryska malcowi na piersi.

To mój syn! - wrzeszczy mężczyzna do tłumu. - Ale muszę go poświęcić. Poprosiła mnie o to bogini Kali. Nie mam wyboru. -1 szykuje się do oderżnięcia dziecku głowy, która już wydaje się na pół ucięta.

W przerażonym tłumie podnoszą się krzyki:

Nie... Nie... Zaczekaj.

Chłopiec jeszcze żyje i wytrzeszcza oczy. Mężczyzna zdaje się wahać.

Naprawdę chcecie go ocalić? - pyta.

Tak... tak... - krzyczy tłum.

Jest na to sposób - mówi mężczyzna. - Kali przyjęłaby głowę kozy zamiast jego, ale ja jestem biedny, a koza dużo kosztuje. Pomóżcie mi go ocalić. Dajcie mi coś. Każdy z was.

Z tłumu zaczyna spadać wokół ojca i syna deszcz monet.

Dziękuję. Dziękuję - szepce mężczyzna i powoli rozkłada na małym ciałku stary koc. Potem wznosi ręce do nieba i zwracając się do bogini Kali, prosi ją, żeby zwróciła mu zdrowego syna. Tłum milknie: pod kocem coś się rusza.

Mężczyzna nagle go ściąga, a dziecko - całe i zdrowe, z nienaruszoną głową - podskakuje i biegnie zbierać pieniądze z ziemi. Uśmiechnięty ojciec zaczyna teatralnie czyścić szmatką zakrwawiony nóż.

Na placach Indii taki spektakl się powtarza, a ludzie, choć wiedzą, jak się skończy, przychodzą, za każdym razem na nowo zaciekawieni, żeby pozwolić się przestraszyć, rozbawić, a na koniec jeszcze za to zapłacić. Dzieje się tak od wieków - nie tylko w Indiach - natomiast reakcja publiczności, nasza reakcja, zawsze jest taka sama, ponieważ ma związek z czymś głęboko ukrytym w ludzkiej duszy. Nie zmienia się to z upływem czasu ani nie jest zależne od miejsca: to pragnienie spojrzenia ponad, dojrzenia świata innego od tego, który znamy.

Tym, co instynktownie podoba się nam u czarodziejów, co fascynuje nas u prestidigitatorów, jest to, że za każdym razem potrafią nas zaskoczyć. Ich moc zdaje się nieodparta. Dobrze wiemy, że nie da się wyciągnąć z pustego kapelusza królików i gołębi, że nie można przepołowić kobiety, a potem cudem spowodować, że pojawi się znów w całości, a jednak jesteśmy gotowi wielokrotnie oglądać tę samą scenę, za każdym razem zadowoleni, że daliśmy się nabrać.

Oczywiście, wszystko polega na sztuczce, ale właściwie wcale nie chcemy jej odkryć, żeby nie pozbawiać się przyjemności iluzji. Wiemy, że czarownik nie zmienia rzeczywistości, przekształca się tylko sposób, w jaki myją postrzegamy. Ale już samo to zostawia nas z otwartymi ustami, a często nawet z odrobiną skrywanej nadziei, że świat może być tak cudowny, jak pokazuje nam czarodziej, a nie taki, jaki jest.

Na temat uzdrowicieli filipińskich i „chirurgii psychicznej”, za pomocą której mieliby oni usuwać z ludzkiego organizmu guzy i inne diabelstwa bez pozostawiania żadnych śladów po cięciach, jak w klasycznym indyjskim przypadku dziecka z obcięcią głową, wiedziałem mniej więcej to wszystko, co należało wiedzieć. Jakież piętnaście lat wcześniej zajmowałem się tym jako dziennikarz, deptałem po piętach kilku sławnym uzdrowicielom z tamtych czasów, przyglądałem się ich operacjom, rozmawiałem z cudownie ozdrowiałymi pacjentami i z tymi, którym się nie powiodło. Moje wnioski były takie same jak większości innych, którzy zajmowali się tymi sprawami przede mną: uzdrowiciele są czarownikami. Ich „cuda” to owoc bardzo zręcznych sztuczek, które gołym okiem, nawet z bliskiej odległości, niełatwo odkryć.

Mnie również się nie udało. Widziałem oczy wyjęte z orbit, „uzdrowione” i wstawione z powrotem na swoje miejsce (odkryłem inny klasyczny przykład magii indyjskiej, w którym specjalizowali się fakirzy), zobaczyłem skrzepy krwi i kawałki ciała wychodzące z ludzkich brzuchów i gardła, ale szczerze mówiąc, nie mogłem przyznać, że rozumiałem dokładnie, jak uzdrowiciele stwarzali tę iluzję. Tak realistyczną, że mroziła również mnie.

Podczas tamtych dwóch tygodni zdarzyła się rzecz niesamowita. W podróży na Filipiny towarzyszył mi Folco, mój wówczas szesnastoletni syn, zainteresowany zjawiskami paranormalnymi. Pewnego dnia w Manili jeden z uzdrowicieli, których poczynania śledziliśmy, po zakończeniu wielu operacji zapytał, czy jeszcze ktoś potrzebuje pomocy. Folco, który od wielu dni przebierał nogami, żeby spróbować, wystąpił naprzód. Jego problem dotyczył też wielu chłopców w jego wieku: uważał, że ma na twarzy początki trądziku.

Uzdrowiciel kazał chłopcu zdjąć koszulę, położył go na łóżku, do prawej ręki wsunął mu krucyfiks i powiedział, żeby zamknął oczy. Potem jedną ręką zasłonił gardło Folca, a drugą coś pod spodem majstrował. Stałem bardzo blisko, podniosłem aparat fotograficzny, ustawiłem ostrość na mniej niż metr i zacząłem robić zdjęcia. Nagle... strużka czerwonego płynu wytrysnęła spod brody Folca, wypełniła mu zagłębienie szyi, spłynęła na piersi. Byłem przerażony. Jak mogłem mu na to pozwolić? Jak mogłem narazić jego życie tylko po to, żeby zaspokoić młodzieńczą ciekawość lub - co gorsza - moją dziennikarską?

Panika trwała krótko. W ciągu może niespełna minuty wszystko się skończyło. Folco podniósł się rozbawiony i uśmiechnięty, a ja - na powrót dziennikarz - wziąłem ukradkiem jedną z papierowych chusteczek, którymi asystenci wycierali jego „krew”. Nie zdążyłem jednak włożyć jej do kieszeni, bo jeden z tych pobożnych młodzieńców, ochroniarzy mistrza, unieruchomił moją dłoń, niemal mi ją wykręcając, dopóki nie zwolniłem uścisku i nie wypuściłem... dowodu oszustwa.

Od tamtej pory minęło wiele lat. Dobra i zła sława filipińskich uzdrowicieli się nie zmieniła. Ale na pewno ja się zmieniłem. Wiedziałem coś więcej niż przedtem o mechanizmach umysłu, z mniejszym sceptycyzmem podchodziłem do tego, co może przyczynić się do „uzdrawiania” człowieka. Przede wszystkim zaś to ja byłem chorym, który - po zastosowaniu wszelkich dostępnych środków normalnej medycyny - teraz interesował się całą resztą.

Tak więc kiedy usłyszałem, że wielobny Alex Orbito, największy w owym czasie filipiński uzdrowiciel, inaugurował w swoim rodzinnym miasteczku, położonym na północ od Manili, Piramidę Azji, aby stworzyć tam Światowe Centrum Zdrowia, postanowiłem przyłączyć się do karawany.

Zawsze miałem słabość do Filipińczyków, do ich ironicznego fatalizmu, sympatycznej wyniosłości, z jaką ubarwiają swoją nędzę, do ich ciepła i otwartego serca: najmniej azjatyccy z Azjatów, najbardziej facyńscy na Wschodzie. W sensie ludzkim czułem zawsze z nimi duże powinowactwo - może dlatego, że jak ja, oni też niezbyt lubią trzymać się zadanego tematu.

Jeepney, wydłużona, filipińska wersja starego wojskowego jeepa amerykańskiego, używany jako wspólna taksówka.

jest czymś typowym dla tego kraju. Złożony właściwie wyłącznie z kośćca, z najbardziej niewygodnymi siedzeniami, . akie można sobie wyobrazić, jest jednak żywiołowym przejawem radości z tymi wszystkimi powiewającymi proporczykami, prawdziwą trąbą jako klaksonem i bokami

pomalowanymi w wyobrażone krajobrazy, twarze gwiazd filmowych : najdziwniejsze hasła. Na pierwszym jeepneyu, jaki zdarzyło mi się zobaczyć, gdy wyjeżdżałem z lotniska, napisane było drukowanymi literami: „Przygotuj się. Jezus nadchodzi”.

Centrum operacyjne wielkiego jarmarku związanego z Piramidą Azji mieściło się w wielkim hotelu przy Rochas Boulevard. Zielone wstęgi witały zagraniczne delegacje. Przy ladzie w holu można się było zarejestrować. Potem każdy szedł odebrać torbę konferencyjną z nadrukowaną datą i miejscem wydarzenia, zawierającą materiały do przestudiowania, program, notatnik i pamiątkowy długopis.

Wystarczyło rozejrzeć się wokół, żeby zrozumieć, że Alex Orbito jest już czymś w rodzaju międzynarodowego przedsiębiorstwa, z własną agencją podróży Orbitours. Stało do dyspozycji wszystkich zainteresowanych „wycieczkami, usługami leczniczymi i shoppingiem” - jak mówiła ulotka w torbie. Miało własne biuro public relations i wiele „filii” w różnych częściach świata, gdzie co roku Orbito jeździł operować taśmowo setki osób.

Wokół niego skupiało się wszystko: w pierwszym rzędzie rodzina, aby dzielić się zdobyczami jego sławy, następnie przedstawiciele różnych krajów, mający w tym swój interes : uczestniczący w jego sukcesie, prawdziwi chorzy, chorzy z urojenia, samotnicy poszukujący czegoś albo kogoś, żeby się przyłączyć, i wielu bardzo wiernych wyznawców. Spośród tych ostatnich niektórzy twierdzili, że wyszli z terminalnego stadium raka lub czegoś innego, i byli przekonani, iż mają przed sobą „człowieka ze światła”, kogoś w rodzaju boga na ziemi.

On, jako osoba, był niemal niewidoczny. Gdyby nie oddanie i rewerencja, jaką go otaczano, nie zostałby nawet zauważony: mężczyzna średniego wzrostu, ubrany jak komiwojażer, szczupły, o pospolitym wyglądzie, z twarzą, która we mnie instynktownie nie wzbudziła zaufania, tak samo jak fakt, że farbował sobie włosy, żeby zamaskować - ciekawe, po co - naturalną siwiznę.

Alex Orbito, walebnny espiritualistas, wyłącznie filipińskiej sekty katolickiej, urodził się w 1940 roku jako ostatni z czternaściorga rodzeństwa. Spośród nich niemal wszyscy też byli czarownikami i jasnowidzami, a matka występowała jako medium. W hagiograficznych historiach na temat jego życia - część materiału, jaki dostaliśmy w torbach - wyczytałem, że Pangasinan, region, w którym urodził się Orbito i wielu innych uzdrowicieli przed nim, charakteryzował się unikatową koncentracją energii, wynikającą z bardzo zaawansowanej cywilizacji starożytnego kontynentu Lemuria, który zniknął w morzu w tych rejonach setki tysięcy lat temu.

- Alex zbiera w swoich rękach, szczególnie na czubkach palców, tę eteryczną energię, i to pozwala mu wnikać w materię na poziomie komórkowym, a także subatomowym, gdzie materia i energia są wymienne. To fakt uznany również przez fizykę kwantową, pan to wie. Energia nie należy do Alexa, pochodzi od wyższej istoty. On jest tylko kanałem.

Był to typowy język, od którego dostawałem skrętu kiszek, ale się powstrzymałem. Kiedy stary, były dziennikarz, odpowiedzialny za public relations Orbita, zobaczył, że kręcę się po holu i natychmiast rozpoznał, że nie jestem delegatem, przedstawił mi się bardzo zręcznie, cytując Kierkegaarda:

- Są dwa sposoby, żeby dać się nabrać: jeden, to uwierzyć w coś, co nie jest prawdą; drugi, to nie wierzyć w coś, co jest prawdą.

Następnie bardzo pilnie przyłożył się do tego, żeby „sprzedać” mi na wszelkie możliwe sposoby „Alexa”, jego wiarę („Alex widzi Filipiny jako most New Age między Wschodem a Zachodem: chrześcijańskie światło, które rozświetli duchowo cały świat”) oraz jego cuda.

Nie byłem dobrze nastawiony do tego gadania, ale wysłuchałem go, bo koniec końców człowiek zawsze się czegoś uczy. Zainteresował mnie fakt, że Orbito nic nie wie o anatomii i nie chce oglądać prześwietleń ani innych badań medycznych pacjentów, których ma uzdrowić. Jego sposób podejścia do choroby i chorego był całkowicie odmienny.

Po krótkim czasie pożegnałem go i poszedłem poszukać pokoju w znanym mi małym hotelu w Pasay City.

Nazajutrz, gdy delegacje pod wodzą Orbitours wyruszyły na wycieczki i shopping, poszedłem na przechadzkę ulicami Manili. Widok nędzy był chwilami tak rozpaczliwy, że nachodził mnie rodzaj sympatii dla Orbita i tych cwaniaków, jego akolitów i krewnych, że koniec końców znaleźli jakiś sposób, żeby się z tego wyrwać. Inni Filipińczycy wciąż szukali swoich sposobów.

W dzielnicy Mabini, przed biurami pośrednictwa pracy dla bezrobotnych, nazywanymi na Filipinach „ośrodkami na rzecz rozwoju zasobów ludzkich”, stały te same co zwykle kolejki osób, mających nadzieję, że się zaciągną albo zostaną zatrudnione w którymś z krajów Środkowego Wschodu. Jakaś młoda kobieta głaskała delikatnie staro, trochę podchmielonego Europejczyka, który właśnie inkasował czek ze swojej emerytury elektryka. Każde ogłoszenie, które czytałem, niesło nadzieję: „Poszukiwana pielęgniarka. PILNE”. Być może było „pilne” dwadzieścia lat temu, sądząc po złuszczonej i wyblakłym piśmie, podobnie jak obwieszczenia z nagłówkami: Ginekologia, Pediatria, Promienie X. To już chyba lepiej zostać uzdrowicielem!

A jednak nikt nie rezygnował z nadziei. Nie ci, którzy czekali na wizę i pracę, nie kobieta, która dawała mi porozumiewawcze znaki i szeroko uśmiechała się bezzębными ustami udając taneczny krok przed barakiem z kartonu, ani też chorzy w ostatnim stadium, którzy przychodzili do Orbita, wiedząc, że tylko jeden z jego cudów może ich ocalić.

Ale czym są cuda? Czy naprawdę istnieją? Oczywiście. Istnieją i są cudami, ponieważ zdarzają się raz na jakiś czas, ponieważ są czymś niezwykłym, czymś, czego nie rozumiemy, ponieważ są wyjątkiem od reguły niecudu. Mówi się, że w Lourdes dokonują się cuda. Jestem pewien, że tak jest naprawdę. Za absurd uważam natomiast utrzymywanie, że woda z Lourdes pozwala chodzić kalekom i widzieć ślepcom. Jest ona taka sama jak każda inna: nic nie robi, nikogo nie leczy; co najwyżej gasi pragnienie. Zdarza się jednak, że w tłumie tysięcy osób, które przybywają do Lourdes kosztem wielkich wyrzeczeń, wśród śpiewów, błagań, lamentów i modlitw, ślepiec zacznie widzieć, a kaleka wstanie z wózka. W ten sposób woda zyskuje sławę „cudotwórczej”. I w gruncie rzeczy taka jest, ponieważ jej wypicie kogoś leczy. Gdyby leczyła wszystkich, byłaby jak aspiryna, która w ciągu pół godziny uśmierza ból głowy u każdego, kto ją zażyje.

W tym sensie byłem pewny, że Orbito dokonuje cudów. Ale czy również u ludzi takich jak ja? Nie. To dla mnie było jasne tak samo jak to, że powinienem zostawić innym prawo do nadziei, iż tak się dzieje.

Po południu wstąpiłem do hotelu, w którym odbywał się jarmark cudów. Wciąż przyjeżdżali ludzie, głównie chorzy. Szczególnie wzruszające były dzieci, takie, jakie znałem z MSKCC: żółte, o wystraszonych oczach i głowach zupełnie łysych od chemii. Ominąłem mężczyznę od public relations, ale zatrzymałem się, żeby porozmawiać z członkami delegacji niemieckiej, a potem z Włochami.

Historie cudownych uzdrowień, które mi opowiedziano, były zawsze takie same w najdrobniejszych szczegółach:

Pacjenci przywożeni już właściwie jako bezwładne paczki, które Orbito przywracał do życia, znikające guzy na mózgu, na widok czego normalni lekarze wykrzykiwali potem:

- Ależ to czarna magia!

We wszystkich tych opowieściach podkreślano jeden moment: zdrowieje ten, kto jest gotów. Wiara nie jest niezbędna, ale nie można być negatywnie nastawionym. Tymczasem miałem wrażenie, że pod wpływem tych wszystkich historii ta sceptyczna postawa we mnie narasta. Niepokoiłem się, bo ciągle ktoś powtarzał, że Orbito od razu wyczuwa, jeśli w jego otoczeniu znajdzie się ktoś o „negatywnym” stanowisku, i każe go natychmiast wyrzucić, ponieważ w przeciwnym razie operacje się nie udają. Już czułem się zdemaskowany.

Jeden z Włochów niezwykle zręcznie przedstawiał punkt widzenia wiernych. Uzdrowiciele - mówił - stanowią połączenie hinduizmu (myślał o magii), tradycji szamańskiej i miłosierdzia chrześcijańskiego. Wskazują przyszłość, ponieważ ludzkość doszła do granicy i potrzebuje teraz nowego narzędzia poznania... Również Wergiliusz, który był z Dantem podczas jego wędrówki, zatrzymuje się na progu raju i mówi mu: „Teraz potrzebujesz przewodnika, którym ja nie jestem”. W tym momencie rozum nie wystarcza, konieczne jest serce... Uzdrowiciele filipińscy wskazują nową drogę do zrozumienia świata. Znajdują się w idealnej sytuacji, żeby to uczynić, ponieważ dysponują techniką pozwalającą kanalizować energię duchową... Alex jest diamentowym ostrzem tej szkoły... Inni uzdrowiciele, jak Sai Baba, nie odpychają negatywnego nastawienia. Natomiast Alex wobec takiej postawy sztywnieje, opróżnia swój umysł, staje się kanałem Wielkiego Anioła i odpycha ją... Kiedy Alex udziela komuś porad na temat rzeczy, których nie zna, słucha dźwięku w swoich uszach. Gdy dźwięk jest płaski, oznacza to, że mówi prawdę, więc kontynuuje. Jeśli dźwięk jest przenikliwy, wie, że to, co przekazuje, jest niewłaściwe, i musi się poprawić... Nie należy tego rozpowiadać, ale kiedy czasem Alex widzi, że jakaś osoba nie ma wyjścia, mówi: „Błogosławię cię”, i tym samym daje jej energię, która szybciej popycha ją w stronę harmonijnej śmierci... Ręka Alexa zagłębia się w ciała pacjentów z taką samą łatwością, z jaką każda dłoń zanurza się w wodzie, ponieważ wchodzi on w harmonię z ciałem. Wszystko na świecie jest harmonią...

Spędziłem tak parę godzin i poczułem się źle. Miałem wrażenie, że pod wpływem słuchania tych szalonych opowieści sam stawałem się szalony. Być może ta wzajemna interakcja stwarzała warunki dla cudu, ale nie mogłem włączyć się w ową wspólnotę „my”.

Zanim opuściłem hotel, poszedłem do biura Orbitours, żeby się dowiedzieć, jak dojechać do piramidy. Wszystko zostało już przewidziane: nie byłem delegatem, ale przydzielono mnie do jednego z włoskich autokarów. Myśl, że spędzę kolejnych sześć albo siedem godzin z tymi wiernymi, wysłuchując od nowa ich opowieści, przerażała mnie, ale miałem szczęście. Uratowały mnie

wieczorem dwa telefony. Najpierw zadzwoniłem do Frankiego, starego zaprzyjaźnionego pisarza (sam też wyruszał na północ i chętnie zawiezie mnie aż do piramidy); potem do wielkiego badacza uzdrowicieli, profesora Uniwersytetu w Manili, prestiżowej uczelni katolickiej na Filipinach. Był wolny i gotów się ze mną spotkać. Miałem się u niego pojawić nazajutrz.

Ojciec Jaime Bulatao, jezuita, założyciel pierwszego wydziału psychologii na Filipinach i sam od czterdziestu lat praktykujący psychoterapeuta, czekał na mnie w fotelu w swoim gabinecie pełnym książek. Z powodu paraliżu z trudem się poruszał, pomagając sobie długą, aluminiową laską. Jego głowa funkcjonowała jednak znakomicie, wędrując swobodnie we wszystkich kierunkach. Po wszystkich fideistycznych oraz krótkowzrocznych przemowach „wiernych” wielka doza pozbawionej uprzedzeń inteligencji ojca Bulatao, połączona z mądrością i ciekawością, bardzo dobrze mi zrobiła.

Na przestrzeni dziesięcioleci ojciec Bulatao drążył filipińską duszę. Zajmował się zjawiskiem uzdrowicieli z pozycji obserwatora i protagonisty i miał odpowiedzi na wszystkie moje pytania oraz wątpliwości.

Zaczął od bardzo dyskretnego upewnienia się, czy przyszedłem do niego jako dziennikarz tylko po to, żeby wyciągnąć kilka wypowiedzi demaskujących uzdrowicieli. Uczyniło to już zresztą kilka międzynarodowych tygodników, a przede wszystkim dokumentalny film zrealizowany przez niemiecką telewizję. Na nic się to jednak specjalnie nie zdało - powiedział. Przedstawienie sztuczek uzdrowicieli, wykazanie, że krew nie jest krwią albo że „guzy” wydobywane z ludzkich brzuchów to tylko wnętrzności kurczaka, nie stanowiło istotnego punktu całej kwestii. Według niego należało zrozumieć, czy sztuczki te czemuś służą i dlaczego.

- ...jeśli służą leczeniu ludzi, niech je robią! - zakończył.

Natychmiast poczułem, że darzy uzdrowicieli pewną sympatią, szczególnie kilku wielkich z przeszłości. Byli Filipińczykami, on był Filipińczykiem, natomiast cudzoziemcy, którzy przyjeżdżali tu, żeby szybko i prosto opisać to skomplikowane zjawisko, być może nie przypadali mu do gustu. W gruncie rzeczy mógł uważać uzdrowicieli za kolegów. Nie robił tajemnicy ze swojej sławy egzorcysty. Stosował inne środki, przede wszystkim hipnozę, ale również te metody przez sceptyczny umysł mogły zostać uznane za rodzaj magii.

Uspokoilem go. Przyjechałem z Indii, ojczyzny magii, i studiowałem wedantę, ideologiczną podstawę cywilizacji, która postrzega cały wszechświat jako mają - iluzję - boga jako czarownika w niebie, natomiast prestidigitatora z bazaru jeszcze dziś trochę jako boga na ziemi. (Od tego sanskryckiego słowa „maja” miałby właśnie pochodzić termin „magia”). Powiedziałem, iż wydaje mi się, że rozumiałem, jak bardzo blisko siebie były - szczególnie na początku - magia i religia, i jak łatwo można było pomylić czarowników z kapłanami, a spektakl magiczny z rytuałem religijnym. Opowiedziałem mu, że w dżatakach, historiach przywołujących poprzednie życia Buddy, jest wiele epizodów magicznych, i że w rocznikach chińskich z drugiego wieku po Chrystusie opisano historię indyjskiego maga, który na dworze ówczesnego cesarza zadziwił wszystkich, robiąc sobie, na pozór własnymi rękami, dziurę w brzuchu, żeby wyciągnąć potem stamtąd całe metry wnętrzności... dokładnie tak, jak to czynią jego współcześni filipińscy „koledzy”!

Ojciec Bulatao był rozbawiony, a jego oczy uśmiechały się za grubymi szklami. Potem, aby dać naszej rozmowie podstawę teoretyczną, powiedział, że musimy zgodzić się co do faktu, iż pojęcie rzeczywistości jest bardzo względne i że każda kultura ma własną definicję tego, co realne.

Kiedy pewne wierzenie jest zakorzenione w kulturze jakiegoś ludu, to staje się rzeczywistością - powiedział. Zgodziłem się z nim.

Według niego - na przykład - dla Filipińczyków świat duchów jest równie realny, jak świat materii. Każde zjawisko, które nie znajduje normalnego wyjaśnienia, zostaje w całości naturalny sposób przypisane właśnie „duchom”. Lekarze nie są w stanie wyleczyć choroby? Należy rozpoznać odpowiedzialnego za to ducha i go spacyfikować. Dla obrony przed duchami są anting-anting, amulety, a także modlitwy. Istnieją również osoby mające specjalną moc nad duchami, jak klasyczny herbolaryo, wioskowy zielarz-mag-uzdrowiciel, albo jak niektórzy kapłani. On był jednym z nich.

Duchy są tak nieodłączną częścią filipińskiego życia, że wy, Europejczycy, nie potraficie sobie tego wyobrazić - powiedział. - Proszę pomyśleć o rzymskim Panteonie. Była to świątynia poświęcona bogom Rzymian, ale wystarczyło błogosławieństwo papieża, żeby uczynić z niej kościół. Starożytni bogowie zniknęli i więcej się nie pojawili. Na Filipinach byłoby to niemożliwe. Tutaj przedwieczne duchy drzew, rzek, gór wciąż żyją i wchodzą do ciał dzisiejszych ludzi.

Według ojca Bulatao to właśnie w tym kontekście należało widzieć uzdrowicieli w ogóle, a także najnowsze zjawisko chirurgii psychicznej. Wyjął z biblioteki książkę z listami napisanymi w 1603 roku przez jego kolegę jezuitę, ojca Pedra Chinino, który zaraz po przyjeździe opisał, jak to ówczesni Filipińczycy dokładnie tam, gdzie teraz mieści się uniwersytet, organizowali wielkie i krwawe ceremonie, żeby uspokoić duchy i uzdrowić ludzi.

Hiszpanie nie szczędzili sił, żeby stłumić te praktyki, ale nigdy im się to całkowicie nie udało. Pod koniec dziewiętnastego wieku, wraz z powstaniem espiritualistas, będących pod wpływem pewnego francuskiego misjonarza, praktyki te znów stały się powszechne i popularne. Na czele tego odrodzenia stał niejaki Terte z regionu Pangasinan. To on przywrócił tradycję krwi i od niego albo od jego następców uczyli się wszyscy słynni uzdrowiciele. Jednym z nich był wielki przyjaciel ojca Bulatao, który nie robił przy nim żadnej tajemnicy ze swoich sztuczek. Dla symulowania obecności ludzkiej krwi używali pęcherzy wypętnionych farbą zwierząt albo ciecżą przypominającą krew.

- Ważne jest to - powiedział ojciec Bulatao - że ludzie czegoś oczekują i to coś się zdarza. Pragną wyzdrowieć : zdrowieją. Krew i złudzenie, że chirurg wchodzi rękami w ich ciało, stanowią element tego oczekiwania. Oszustwo jest konieczne.

Również jemu w jego praktyce zdarzało się inscenizować jakąś „operację”, żeby uzdrowić pacjenta. Opowiedział mi o przypadku kobiety, która przestała jeść. Nagle stała się anorektyczką. Słyszała w środku głosy sędziów, którzy jej mówili: „Nie jesteś godna zostać matką”. On ją zahipnotyzował, nałożył jej papierową torebkę na ucho i zaczął powtarzać: „Pierwszy sędzia wynocha... drugi wynocha”. Za każdym razem pociągał ją za ucho. Uczynił to sześć razy i się zatrzymał. Kobieta po wyjściu z hipnozy powiedziała, że czuje się lepiej. Ale on ją ostrzegł. To jeszcze nie koniec. Miała wrócić następnego dnia, żeby usunąć siódmego sędziego.

Tradycyjnie mówi się - wyjaśnił ojciec Bulatao - że jesteśmy opętani przez siedmiu diabłów. I ona podświadomie to wiedziała.

Kobieta wróciła i po usunięciu ostatniego sędziego zaczęła znowu jeść, zaszła w ciążę i urodziła dziecko.

Zazwyczaj metoda stosowana przez ojca Bulatao nie wymagała żadnej inscenizacji. Wprowadzał pacjenta w stan hipnozy i mówił do niego. Przycoczył przypadek dziewczynki z nieuleczalną już białaczką, którą odesłano ze szpitala do domu, żeby tam umarła.

Wyniki badań krwi były bardzo złe. Wprowadziłem ją w trans, po czym zwróciłem się do jej szpiku kostnego i powiedziałem mu, jak się rodzi ryż. Kiedy się go sieje, nasiona znikają w ziemi. Potem nadchodzą deszcze, roślinki kiełkują, rosną, a kiedy wieje wiatr, pochylają główki. Następnie pod liśćmi pojawiają się ziarenka, bardzo dużo ziarenek. Ryż był niejako kluczem, za pomocą którego przemawiałem do podświadomości. Dziewczynka zasnęła i w ciągu dziesięciu dni wyniki badań jej krwi wróciły prawie do normy.

Dziewczynka żyła jeszcze trzy lata. Potem choroba wróciła i wtedy nawet on nie mógł już nic zrobić.

Wyjaśnił, że przypadki dzieci leczonych hipnozą są dla wszystkich uzdrowicieli, a także dla niego najtrudniejsze, ponieważ dużo trudniej jest zwracać się do ich podświadomości, niż dzieje się to w przypadku dorosłych.

Wszystko zaczyna się i kończy w umyśle - kontynuował. - Umysł i ciało nie są osobnymi bytami, jak sądził Kartezjusz. Był to karygodny błąd, którego konsekwencje płacimy jeszcze dziś. Są one całością, przy czym umysł kontroluje materię. Co do tego nie ma wątpliwości. Myślisz o pięknej kobiecie i twoje ciało reaguje. Ścinasz świeże mango i ślinka napływa ci do ust.

Według ojca Bulatao cała zręczność uzdrowiciela polega na stosowaniu magii w celu uruchomienia tego mechanizmu. Umysł subiektywny - wyjaśnił - nie ma swojego języka i musi go zapożyczać od świata obiektywnego. Innymi słowy, potrzebuje zobaczyć „krew" i „zło", które jest odrzucane. To - powiedział - szczególnie dotyczy cudzoziemców, których umysł, również w części podświadomej, jest dużo bardziej przywiązany do materii niż umysł Filipińczyków.

Operacje takich uzdrowicieli jak Orbito są w każdym razie symboliczne. To, co zostaje wyjęte z ciała, jest tylko ..materializacją" na przykład guza, a nie samym guzem. Dlatego niemal wszystkie operacje są jednakowe i odbywają się w miękkich częściach ciała, niezależnie od choroby, na jaką uskarża się pacjent.

Uzdrowiciele mówią, że usuwają „guzy" i „negatywne nastawienie" - zakończył ojciec Bulatao - ale żaden z nich nie byłby nigdy w stanie usunąć wyrostka robaczkowego czy migdałków.

Jego zdaniem pierwszy krok w procesie zdrowienia, o którym mówiliśmy, polegał na wprowadzeniu pacjenta w wyższy stan świadomości, to znaczy na spowodowaniu, że zerwie on z normalnym sposobem patrzenia i reagowania na świat.

W każdym z nas istnieje nieświadoma rezerwa przeszłych doświadczeń i mocy, które nie są osiągalne poprzez nasz racjonalny umysł - ciągnął. - Kiedy mamy problem, na przykład chorobę, nasz racjonalny umysł szuka rozwiązania. Często go jednak nie znajduje i się blokuje. Czy to koniec? Nie. Jeśli w jakiś sposób odsunie się na bok racjonalny umysł, wówczas potencjał podświadomości się mobilizuje, żeby zaradzić problemowi i znaleźć wyjście. - Tutaj ojciec Bulatao wyciągnął wniosek, o którym ja sam

byłem coraz bardziej przekonany: - Nasz organizm ma swój własny system samoleczenia. Należy go po prostu uaktywnić. Potrzebny jest bodziec.

Bodźce - przyznał - mogą być bardzo różne: poczynając od nakładania rąk, po medytację, jogę, modlitwy, wiarę w świętego, w jakąś osobę, w uzdrowiciela albo - i to uzupełnienie mi się spodobało - ćwiczenia kontemplacji zalecane przez świętego Ignacego Loyolę, założyciela zakonu jezuitów.

Zawsze miałem do nich słabość. Najbardziej wolni od przesądów, najlepiej wykształceni i - w gruncie rzeczy - o dużo solidniejszej od wielu innych wierze, jako że poddanej próbie inteligencji.

W pewnym momencie rozmowy, kiedy powtórzył, że to umysł kontroluje materię i że pewne bodźce semantyczne wywołują efekty, które my nazywamy „cudownymi”, sprowokowałem go:

A zatem cuda nie istnieją?

Zatrzymał się i spojrzał na mnie uważnie swoimi ogromnymi oczami, ukrytymi za grubymi szkłami. Nie mógł przyjąć mojej konkluzji, ponieważ dobrze wiedział, jak ważne są dla Kościoła cuda.

A czy cały świat nie jest cudem? A kto stworzył umysł i jego moc? To jest prawdziwy, wielki cud - powiedział.

Przypomniało mi to Swamiego, który wciąż przywoływał dżagat, świat „tak inteligentnie złożony w całość”. Dwaj ludzie zupełnie innych kultur i tradycji, ale w gruncie rzeczy wcale nie tak bardzo od siebie odlegli.

Zapytałem, jak Kościół zapatruje się na zjawisko uzdrowicieli.

Odpowiedział, przytaczając historię Jonny'ego Mezzanottego, która zajmowała Filipińczyków przez wiele miesięcy.

Jonny Mezzanotte był uzdrowicielem, który dokonywał swoich cudów przez radio. Miał audycję, którą transmitowano o czwartej rano. Początkowo o tej porze słuchali go nieliczni, ale szybko jego sukces osiągnął takie rozmiary.

że w Manili tysiące osób budziło się dla niego o świcie. Technika Jonny'ego Mezzanottego była prosta. Prosił słuchaczy, żeby stawiali obok odbiornika radiowego szklankę wody. On, poprzez dźwięki wysyłane przez radio, miał dostroić wodę i wprowadzić ludzi w odmienny stan świadomości. Po pewnym czasie prosił słuchaczy, żeby bardzo powoli wypili wodę.

Wielu słuchaczy twierdziło, że w ten sposób wyzdrowieli. Jedyne problem Jonny'ego Mezzanottego polegał na tym, że przemawiając w eterze, mówił: „Ja jestem Bogiem”. Nie podobało się to Kościołowi, który na pewien czas wypowiedział mu wojnę. Potem głowa Kościoła filipińskiego, słynny kardynał Sin z Manili, zaprosił Jonny'ego Mezzanottego na śniadanie, podziękował za dobro, jakie czyni ludziom, i poprosił, żeby dał sobie spokój z tym zdaniem. Uzdrowiciel przystał na to i jego audycja wróciła na antenę z dużym powodzeniem. Jednak w miarę upływu czasu on też wyszedł z mody.

Według ojca Bulatao praktycznie istniały teraz dwa typy uzdrowicieli, znajdujących poklask u szerokiej publiczności: ci, którzy praktykowali chirurgię psychiczną, coraz częściej zajmujący się

obcokrajowcami, wspierani w związku z tym przez rząd ze względu na wkład w rozwój turystyki, oraz ci, którzy nie uciekali się do teatralności operacji, ale zwracali się „ku duchom”.

Wielu z nich - powiedział - należy do grupy „Nowi Mistycy”. Żyją jak biedacy pośród biedaków, nie pobierają opłat, ale przyjmują drobne ofiary, które pozostawiane są w pudełku przy wejściu do ich bardzo skromnych domostw. Uzdrowiciele ci leczą ludzi, wprowadzając ich zazwyczaj w trans. W kulturze filipińskiej postrzegane to było zawsze jako dar boży, sposób wyjścia poza zasłonę, która oddziela nas od tamtego świata.

Ojciec Bulatao opowiedział mi o przypadku czteroletniego dziecka cierpiącego na alergiczny nieżyt nosa. Matka, sama lekarka, po wypróbowaniu wszelkiego rodzaju leków alopacyjnych zaprowadziła go do pewnej mistyczki. Ta w transie wzięła calamansi, mały miejscowy owoc, pół cytrynę, pół mandarynkę, i wycisnęła mu cały sok do nozdrzy, modląc się przy tym. Po dwóch takich seansach „lecniczych” mały wyzdrowiał.

Matka opowiedziała tę historię swoim kolegom lekarzom. Jeden z nich spróbował leczyć niektórych swoich pacjentów w taki sam sposób. Rezultaty były katastrofalne: zapalenie i podrażnienie śluzówki nosa, wywołane kwaśnym sokiem. Lekarz poszedł więc do uzdrowicielki, żeby zapytać, gdzie popełnił błąd. A ta odparła:

Zapomniałeś o modlitwach.

W medycynie występuje wymiar psychologiczny, który dzisiaj całkowicie się ignoruje. W tych warunkach leczenie ludzi jest sprawą zbyt poważną, żeby zostawić je lekarzom - powiedział ze śmiechem Bulatao.

Był przekonany, że przyszłe pokolenia uznają sposób, w jaki podchodzi się dziś do choroby i chorego, za prymitywny i barbarzyński. Według niego w następnym tysiącleciu w mniejszym stopniu będziemy się zajmować badaniem rzeczywistości fizycznej, która pozostawała do tej pory w centrum naszej nauki, a w większym tego, co nazywał rzeczywistością subiektywną, czyli świadomością.

Czas minął tak szybko, że żaden z nas nawet się nie spostrzegł. Powiedziałem mu, że nigdy nie byłem zahipnotyzowany i chciałbym, aby on to zrobił. Zaczął się przygotowywać, by zadośćuczynić mojej prośbie. Dopiero w owej chwili się zorientowaliśmy, że woźni zamykają wszystkie pokoje i że jeśli się nie pospieszymy, utknijemy na uniwersytecie na całą noc.

Odprowadziłem powoli ojca Bulatao do czekającego samochodu, który miał go odwieźć do rezydencji. Szkoda, bo owo pragnienie, by zostać zahipnotyzowanym - i to przez jezuitę! - pozostało niespełnione.

Punktualnie o piątej rano Frankie stawił się przed moim hotelem w samochodzie, który prowadził jego młody wnuk. Manila spowita jeszcze była ponurą szarością wilgoci i zanieczyszczeń. Uliczne sygnalizatory nie zostały jeszcze włączone, żebracy spali wtuleni jeden w drugiego pod kocami mokrymi od rosy na trawnikach przy Rochas Boulevard, a my, bez zatrzymywania, mknęliśmy wzdłuż pięknego nabrzeża, oddzielonego wysokimi palmami.

Frankie był gadułą. Zналиśmy się już ćwierć wieku. Kiedy pierwszy raz przyjechałem do Manili, pojawiłem się w jego księgarni Solidaridad w poszukiwaniu rady i pomocy. Frankie Sionil José, najśłynniejszy anglojęzyczny pisarz filipiński i otwarty przeciwnik dyktatury Mareosa, był ode mnie szesnaście lat starszy i dzięki temu dałem się „zaadoptować”. Od tamtej pory nie było na Filipinach ważnego wydarzenia, nieudanego przewrotu czy też niedoszłej rewolucji, której nie przeżylibyśmy wspólnie i przy okazji nie skorzystałbym z jego idei. Teraz, obydwaj rozczarowani polityką - rozwiązanie problemów ludzi musiało nadejść z jakiejś innej strony - dokonywaliśmy rozrachunku z naszymi niegdysiejszymi oczekiwaniami, wychodząc od refrenu wszystkich starych ludzi:

- Pamiętasz?

Frankie wskazał na farańską budowlę Film Center. Oczywiście, że pamiętałem! W 1981 roku prezydent Ferdinand Marcos i jego żona Imeldata od setek butów - postanowili zorganizować w Manili wielki Międzynarodowy Festiwal Filmowy. Z tej okazji zarządzili wzniesienie nad brzegiem morza imponującej modernistycznej budowli, która miała ich upamiętnić dla przyszłych pokoleń. Prace zajęły jednak więcej czasu niż przewidziano i na krótko przed otwarciem, na które państwo Marcos zaprosili pół świata, część dachu się zawaliła. W rumowisku uwięziona została trudna do oszacowania liczba osób. Poszukiwania tych, którzy mogliby przeżyć katastrofę, odsunęłyby otwarcie imprezy. Postanowiono więc zalać cementem zniszczoną część i kontynuować prace. Mówiło się, że w tym grobowcu pogrzebanych zostało od trzydziestu do stu pięćdziesięciu robotników. Niektórych zalano jeszcze żywych, mimo że wzywali pomocy. Inauguracja Centrum odbyła się na czas, ale jedna katastrofa następowała po drugiej i żadna instytucja, poczynając od Ministerstwa Spraw Zagranicznych, któremu zaproponowano tam siedzibę, nie chciała się przenieść do tego nawiedzonego miejsca.

Ostatnio najwięcej się mówiło - poinformował mnie Frankie - o grupie stu absolwentów i studentów trzech największych uniwersytetów w Manili, wśród których byli też dawni uczniowie ojca Bulatao. Stworzyli oni zespół wolontariuszy, mający na celu rozwiązanie problemów z duchami, które miały otwarte porachunki z tym światem, oraz pomoc ludziom żyjącym dzięki darmowym seansom psychoterapii i medycyny alternatywnej. Kazali się nazywać Poszukiwaczami Duchów. Jednym z miejsc, gdzie z powodzeniem interweniowali, odprawiając msze i inne rytuały, był Film Center. Duchy zostały w końcu spacyfikowane. Film Center wróciło do normalności, a ostatnio opublikowano książkę na temat całej tej sprawy.

Dla Frankiego „duchy” były codzienną, zaakceptowaną rzeczywistością w życiu Filipińczyków jego pokolenia. We wszystkich jego powieściach, pomyślanych jako dokumenty tego życia, duchy są takimi samymi bohaterami jak ludzie. W serii opowiadań Rosales, poświęconych wiejskiemu światu swojego dzieciństwa, Frankie opisuje pierwsze spotkania z duendes, gnomami zamieszkującymi każdy dom, które często - żeby przypomnieć ludziom o swoim istnieniu - powodują znikanie różnych rzeczy w chwili, kiedy są najbardziej potrzebne, a potem, po wielu prośbach, ich ponowne pojawianie się. Sin (Grzech), jego ostatnia powieść, opowiada o wyspie na południu Filipin - Siquijor. Od wieków uważana ona była za miejsce czarów, ponieważ przybywające z Haiti hiszpańskie galeony przywiozły tam duchy, które i w dobrym, i w złym okazały się najpotężniejsze w kraju. Jeszcze dziś w każdy Wielki Piątek kobiety z wyspy zbierają się w jaskini i nawiązują z nimi kontakt.

Jadąc na północ, minęliśmy Luneta Park, wielki publiczny plac, będący w centrum wielu filipińskich wydarzeń historycznych. Tu 30 grudnia 1896 roku rozstrzelany został przez Hiszpanów Rizal,

narodowy poeta i bohater, dziś otoczony kultem, który wyniósł go na krzyż w miejsce Chrystusa. Tu w 1986 roku Córy Aquino, wdowa po Benigno zamordowanym wcześniej przez zwolenników Marcosa, obiecała w obecności milionowego tłumu - byliśmy tam z Frankiem - że zostanie prezydentem Filipin, aby przywrócić demokrację, zwalczyć korupcję i dać biednym masom w kraju sprawiedliwy kawałek jego bogactwa.

~ Nic się nie zmieniło - powiedział Frankie.

Biedni pozostali biedakami, a wielu z tych, którzy jedli dwa razy dziennie, teraz je tylko raz, nazywając ten posiłek altanghap, co jest połączeniem trzech słów w języku taga-log, oznaczających śniadanie, obiad i kolację.

Luneta nadal pozostawała miejscem wielkich, masowych manifestacji. Nie miały one jednak charakteru politycznego ani rewolucyjnego. Dzisiaj na tym placu w każde sobotnie popołudnie gromadzili się wyznawcy byłego, zbankrutowanego agenta nieruchomości, który został kaznodzieją. Za każdym razem około miliona ludzi, w zdecydowanej przewadze byli to katolicy.

- Pokażcie mi wasze paszporty, pokażcie wasze portfele - krzyczał z podium kaznodzieja. - Wkrótce w tym paszporcie znajdziecie wizę do kraju, do którego chcecie pojechać. Wkrótce w portfelu znajdziecie potrzebne wam pieniądze.

Dzięki tej obietnicy oraz pobłogosławieniu na odległość trzech jajek, które - zawinięte w serwetkę - ludzie zabierali na spotkanie, ktoś taki cieszył się wielkim powodzeniem.

Minęliśmy stary, barokowy kościół w Quiapo, gdzie przed laty Frankie podarował mi mój pierwszy anting-anting, mający ochraniać mnie przed złymi duchami kraju. Na placu tłoczył się ten sam co zwykle, kolorowy i uśmiechnięty tłum biedaków, snujących się wśród straganów wypełnionych kwiatami, świecami, amuletami i fałszywymi relikwiami.

Zaraz po opuszczeniu Manili i jej niekończących się peryferii, złożonych z nędznych baraków i rojących się ludzi, którzy porzucają wsie w poszukiwaniu pracy, Filipiny znów stawały się przyjemne i uporządkowane. Czy to możliwe, żeby nikt nie wymyślił mniej zbrodniczego systemu od tego wypróbowanego przez Mao i Poi Pota dla przekonania chłopów, aby pozostali na swoich przynoszących nędzny plon polach, zamiast żebrać na chodnikach metropolii?

Soczystozielone, zalane wodą ryżowiska rozpościerały się aż do podnóża błękitnych gór w oddali. Mieszkańcy ciągnących się wzdłuż drogi wiosek ze słomianymi chatami zdawali się mieć z czego żyć, a także śmiać się w ciągu nieustannej, wyzbytej dramatów zabawy.

Zatrzymaliśmy się na śniadanie w przydrożnej restauracji. Frankie był cukrzykiem, położył więc przed sobą całą baterię pigułek do połknięcia przed jedzeniem, ale uspokoił mnie: uzdrowiciele mu pomogli. Najlepszy był niejaki Juan Blanche, który w tym czasie zmarł. Kazał mu przychodzić o czwartej rano, mówiąc, że o tej porze jest w nim najwięcej mocy (o tej samej godzinie ryszowie medytują w Himalajach!). Uciskał łyżką jego brzuch pod pępkiem i Frankie widział, że ze skóry wydobywa się brązowa ciecz, Jak spalony cukier".

- Właśnie cukier, Frankie? - Oczywiście. Potem czułem się lepiej. Zapytałem go, co się stało z uzdrowicielami, których obserwowałem podczas mojego dziennikarskiego śledztwa. Jeden zmarł jako

alkoholik, drugi wciąż praktykował w Manili, ale wyszedł z mody. Natomiast najstłynniejszy, Jun Labo, został burmistrzem swojego miasta, ożenił się z Japonką, potem pojechał do Rosji, gdzie trafił do więzienia za prowadzenie nielegalnej praktyki lekarskiej i oszustwo. Żona go opuściła, wróciła do Japonii, zaczęła się zajmować uzdrawianiem, ale wkrótce ona też skończyła w więzieniu.

Słyszałem, że coś podobnego spotkało również Orbita podczas jego podróży po Europie. Dlatego włoscy organizatorzy jego wojaży planowali teraz wizyty tylko w Republice San Marino. Świat oficjalny i świat duchów musiały się ze sobą zderzyć. Biurokraci i uzdrowiciele nie są w stanie wzajemnie się zrozumieć, a normalni lekarze nie mogą przyjąć wyzwania psychicznych chirurgów. Wyobraźmy sobie policje z różnych krajów w obliczu krwi i całej reszty! Stąd podejrzenia, oskarżenia i w końcu kajdanki, „żeby chronić obywateli”.

A czy państwo, które naprawdę chciałoby chronić swoich obywateli, nie powinno zabronić nieograniczonej sprzedaży papierosów? Przecież na pewno wiadomo, że powodują raka. Zamiast tego zakazuje się czarownikom, dającym nadzieję na wyleczenie - i czasem nawet im się to udaje - praktykowania ich „sztuki”.

Frankie przyznał mi rację, ale po chwili się rozmyślił.

- No cóż, gdyby przed laty, kiedy byłem dzieckiem, policja wydała zakaz działalności herbolaryo, nie miałbym dzisiaj tej ogromnej głowy - powiedział.

Frankie był niski i krępy, natomiast jego głowa - całkowicie łysa i trochę w kształcie gruszki - sprawiała wrażenie naprawdę nieproporcjonalnie dużej w stosunku do reszty ciała.

- Herbolaryo przyjeżdżali do wioski w okresie zbiorów - zaczęła. - Największą moc miał pewien garbus. Cała rodzina ustawiała się w kolejce, a on kolejno się nam przyglądał, badał wzrokiem, jakby robił nam prześwietlenie, po czym jednym udzielał rad, a innym dawał zioła. Pewnego razu - musiałem wtedy mieć sześć albo siedem lat - kiedy przyszła moja kolej, herbolaryo położył mi rękę na głowie, a ja poczułem, jak staje się ona gorąca i coraz większa. Od tej pory jestem krótkogłowy.

Zbliżając się do Pangasinanu, mijaliśmy wioski, w których centrum znajdowały się całe domy -z. pierwszym piętrem z drewna, wspartym na kamiennych kolumnach, i z oknami z małymi kwadratami z masy perłowej zamiast szyb. Tradycja, która ginęła - powiedział Frankie.

Jedną ze zmian, która najbardziej go przygnębiała, było stopniowe zanikanie owej odmienności, która czyniła z Filipin, dzięki ich licznym wyspom zamieszkanym przez różne ludy, miejsce wyjątkowe. I opowiedział mi jedną z tych historii, które trudno potem zapomnieć.

W jednym z ostatnich wielkich lasów pierwotnych na znajdującej się w południowej części archipelagu wyspie Mindanao przeżyło małe plemię bardzo prymitywnych tubylców, Tedurajów, którym przez wieki udało się trzymać z dala od „cywilizacji”. Jednak w końcu ich dopadła. Pewnego dnia, podczas filipińskiej wojny domowej, która trwa już od dziesięcioleci, grupa muzułmańskich partyzantów, ściganych przez oddziały rządowe, weszła do wioski Tedurajów i dokonała tam masakry. Pozostały po nich tylko zapiski pewnego antropologa, który nieco wcześniej spędził tam dwa lata. To była prawdziwa cywilizacja! Tedurajowie mieli ogromny respekt dla przyrody i wiele pięknych bajek, poprzez które wyjaśniali jej zjawiska. Oto jedna z nich, za pomocą której można odpowiedzieć dziecku, dlaczego nietoperze latają tylko w nocy.

Pewnego razu ptak, nie zdając sobie z tego sprawy, obraził zwierzę lądowe i między ptakami a ssakami rozgorzała wielka wojna.

Nietoperze, myśląc, że ssaki, dużo większe od ptaków, w końcu zwyciężą, poszły do nich i powiedziały:

- Dobrze się nam przyjrzyjcie: nie jesteśmy ptakami. To prawda, że latamy, ale nie mamy piór, tylko sierść, podobnie jak wy. Przyjmijcie więc nas do siebie.

Ssaki się zgodziły.

Ptaki, widząc, że zostały zdradzone przez nietoperze, i zdając sobie sprawę, że ssaki są rzeczywiście od nich większe i potężniejsze, zwróciły się do os.

- Wy nie jesteście tak zupełnie ptakami, jak my, ale latacie... a więc przyłączcie się do nas, pomóżcie nam.

Osy się zgodziły i wielkimi chmurami opadły na ssaki, żądając je, gdzie popadnie, aż te w końcu rzuciły się do ucieczki.

Nietoperze wróciły wtedy do ptaków i poprosiły, żeby je na powrót przyjąć, bo przecież latają.

- Dobrze - powiedziały ptaki - ale żeby odpokutować hańbę waszej zdrady, od dziś będziecie latać tylko w nocy.

W społeczności Tedurajów kobiety i mężczyźni traktowani byli na równi, a element kobiecy - ugodowy, nie gwałtowny - ceniono dużo bardziej niż ten agresywny męski. Choroby uważali za reakcję jakiegoś ducha, który został obrażony. Jednym z zadań ich szamanów była właśnie identyfikacja rzeczonego ducha, rozmowa z nim i wspólne znalezienie rozwiązania pozwalającego przywrócić choremu zdrowie.

Tedurajowie mieli jeszcze jedną cechę, niezwykle rzadką w społecznościach ludzkich wszystkich czasów: nie bali się śmierci.

- Kiedy się rodzimy, nigdy nie jesteśmy sami - mawiali, według zapisków antropologa. - Każde narodziny są narodzinami bliźniąt: jedno to ciało, drugie pępowina. Bliźniak-ciało żyje, ponieważ ma płuca. Bliźniak-pępowina, nie mogąc oddychać, umiera. Przed rozstaniem bliźnięta jednak rozmawiają i bliźniak-pępowina pyta drugiego, kiedy i jak będzie chciał umrzeć: „Ze starości, w porze monsunowej, po narodzinach pierwszego wnuka?”. W ustalonym dniu, o określonej godzinie, bliźnięta wyznaczają sobie spotkanie. Potem, kiedy pierwsze idzie do Królestwa Lasu przeżyć swoje życie, drugie zmierza do Królestwa Zmarłych przygotować piękny dom. Na krótko przed wyznaczonym spotkaniem bliźniak-pępowina przekracza kosmiczny most dzielący oba królestwa, pojawia się w wiosce, w której mieszka bliźniak-ciało, czeka kilka dni, dopóki nie zakończą się obrzędy pogrzebowe, a ciało nie zostanie pochowane dla Zjadaczy Zwłok. Wtedy bliźnięta wyruszają w drogę, żeby razem pędzić szczęśliwe życie, nie pracując i żując bez przerwy najprzedniejszy betel.

Tedurajowie nie boją się śmierci, a tym bardziej nie mogą zostać przez nią zaskoczeni, ponieważ każdy z nich sam postanowił, kiedy i jak ona nastąpi.

Ludzkość nie będzie być może nawet wiedziała, że Tedurajowie kiedykolwiek istnieli, ale na swój sposób zapłaci za ich zniknięcie, bo jeśli różnorodność biologiczna konieczna jest dla życia na ziemi, różnorodność kulturową należy uznać za niezbędną dla zdrowia psychicznego człowieka.

Gawędząc tak, nie zauważyliśmy nawet, jak minęło pięć godzin podróży z Manili. Wjechaliśmy do Pangasinanu, regionu, który - jak powiedział Frankie - pozostawał zawsze w centrum mitów i tajemnic. Miejscowa ludność jest absolutnie przekonana, że tam znajdowała się stolica Lemurii i że dziesiątki wysepek rozrzuconych na morzu są wierzchołkami tego wielkiego, bardzo rozwiniętego kontynentu, zatopionego przez ocean kilka tysięcy lat przed Atlantydą. Część katolików twierdzi, że pierwsza w historii msza została odprawiona właśnie tam, podczas gdy niektórzy poszukiwacze skarbów wciąż mają nadzieję na znalezienie w tym rejonie bajecznych bogactw.

Było w sumie wystarczająco dużo powodów, żeby dać kredyt zaufania i „moc” Piramidzie Azji, Światowemu Centrum Zdrowia, które na życzenie wielbnego Alexa Orbito miało powstać w Manaoagu - spokojnym i zadbanym miasteczku o niskich i skromnych domkach, nad którymi wyrastała dziwna i szokująca budowla z nasypów i kamiennych przypór: Kościół Matki Boskiej od Cudów.

Frankie nalegał, żebym go zwiedził, i miał rację. Wrażenie było niesamowite: kościół-forteca o ogromnych nawach, cyklopowych murach wykonanych z bloków tufu, powiązanych ze sobą zaprawą z ziemi i tej kleistej melasy, która pozostaje po wyciśnięciu trzciny cukrowej. Zbudowany przez hiszpańskich ojców dominikanów około 1600 roku, mógł pomieścić wszystkich chrześcijan z regionu na wypadek ataku muzułmańskiego. Była tam studnia ze świeżą wodą i obszerne piwnice zawsze pełne jedzenia. Dźwięk dzwonu oznaczał alarm. Tysiące osób mogły się tam ukryć i przetrwać wiele tygodni. Osłaniała ich Matka Boska od Cudów, posąg pokryty perłami, z Dzieciątkiem Jezus w ramionach, ustawiony w gablocie nad głównym ołtarzem.

Obejrzelśmy z Frankiem po kolei wiele starych obrazów sztuki prymitywnej, przypominających dramatyczne epizody - od trzęsień ziemi po pożary - w których Matka Boska odegrała swą cudowną rolę. Z tego, co mówili ludzie, odgrywa ją zresztą cały czas.

Niekończąca się kolejka wiernych wchodziła do kościoła, całowała przy wejściu zakrwawione stopy ukrzyżowanego Chrystusa, żegnała się i szła się modlić. Zapalane przez wszystkich świece, które ustawiano pobożnie ku czci Matki Boskiej wraz z karteczkami zawierającymi prośby o łaskę i wstawiennictwo, tworzyły w półmroku kościoła wrażenie połyskującego stawu. Dobudowano blaszany dach, żeby ustawić tam tysiące świec, które nie mieściły się już w środku. Miejsce to miało bez wątpienia swoją magię. Było właśnie „cudotwórcze” - jak mawiali filipińscy chrześcijanie od ponad trzech wieków; na długo przed Lourdes czy Fatimą.

Frankie opowiedział mi, że gdy był dzieckiem, raz w roku cała rodzina wyruszała tu z jego wsi na pielgrzymkę. Jechali trzy dni wozami zaprzężonymi w woły, przeprawiając się przez rzeki i lasy. Pamiętał, jakie wstrząsające wrażenie - po ciemności ostatniej nocy - robił przyjazd do tego miejsca ożywionego światłem tysiąca świec, śpiewem, zapachem kadzideł, z Matką Boską tam, na górze, o białej twarzy, lekko uśmiechniętą, zdolną do czynienia cudów. To oczywiście, że w takiej atmosferze jakiś ślepiec widział, a kaleka chodził.

Teraz przyszła moja kolej, żeby doświadczyć cudu. Frankie pomógł mi znaleźć pokój w małym pensjonacie dla pielgrzymów, po czym zaprowadził mnie do piramidy. Znajda wała się zaraz za terenem zabudowanym i bez problem; tam trafiliśmy.

Przed bramą stał stolik z tabliczką: „Tu należy zostawi broń palną”. Na innej tabliczce podane były ceny biletów wstępu: pięćdziesiąt pesos dla dorosłych, dwieście peso za samochód. Przez siatkę zobaczyliśmy, że w środku wrzała jeszcze praca. Ogrodnicy układali kwadraty trawy malarze pokrywali blaszane dachy czerwoną farbą, natomiast wokół piramidy stało jeszcze bambusowe rusztowa nie. Ale już z zewnątrz było jasne, że miejsce to jest ośrodkiem turystycznym z wielkim, okrągłym, błękitnym basenem, restauracją i bungalowami dla gości, pacjentów oraz klientów.

Kto nie dozna cudu od Matki Boskiej, może spróbować tutaj - powiedział Frankie. - Będzie tylko trochę drożej.

Nie chciał wejść i wysadził mnie przed bramą.

Autobusy z różnymi delegacjami miały przyjechać po południu, miałem więc czas, żeby zrobić obchód całego kompleksu. Przede wszystkim chciałem poznać Dietera Loewera, siedemdziesięciosiedmioletniego niemieckiego inżyniera, strasznie spoconego i wściekłego. Był ekspertem od piramid. Tę też obmyślił i zaprojektował, ale pod jego nieobecność Orbito zmienił cały plan. Dieter przewidział, że w środku piramidy będzie mała wanna z powierzchnią wody dokładnie półtora metra nad podłogą. Zastał natomiast studnię, w której woda była pod ziemią, w dodatku połączona z wodą z basenu.

Orbito chce zrobić interes na tej wodzie błogosławionej i naładowanej energią piramidy, ale nie rozumiał, że może się ona naładować tylko wtedy, kiedy jest umieszczona w budowli, a nie na dnie studni - mówił rozsierdzony. - A poza tym co to za błogosławiona woda, w której wszyscy się kąpią?

Wyjaśnił mi, że piramida musiała być izolowana od zewnątrz i nie mogła mieć żadnego połączenia, które rozładowałoby jej siłę. Tymczasem poza rurami łączącymi studnię z basenem odkrył, że - dla zasilenia czterech reflektorów - robotnicy pociągnęli kable elektryczne wokół budowli, które wysysają całą energię, jaką piramida gromadzi podczas nocy.

Wszedłem tu dziś rano i piramida była martwa - mówił, poruszając stalową pałeczką, czymś w rodzaju anteny radiowej długości około metra, za pomocą której mierzył pola magnetyczne. - Martwa. Rozumiesz?

Niezbyt to rozumiałem. Ta skąpa wiedza, jaką posiadałem na temat piramid, pochodziła z Kojambaturu, ale ten Dieter wydawał mi się bardziej przekonujący od dyrektora Szkoły Perks.

Można studiować, co się chce, ale i tak w końcu wszystko powraca do piramidy, do jej koncepcji, proporcji, mocy - powiedział.

Według jego teorii linie między punktami kardynalnymi, północ-południe i wschód-zachód, tworzą pola magnetyczne, w których skupiają się energie. Piramida zbiera je i zwiększa moc tego, kto do niej wchodzi: moc leczenia, jak w przypadku Orbita, albo po prostu siłę medytacji.

Dieter mi się podobał. Był wierzący. Wierzył w piramidę, wierzył w Orbita i w chirurgię psychiczną, ale w taki sam sposób wierzył też w swój zawód. Nie chciał być manipulowany i na pewno nie zostawiłby swojego podpisu na piramidzie, która nie byłaby taka, jak ją obmyślił, ze wszystkimi możliwymi trikami. Jeden z nich polegał na tym, że była trochę bardziej spiczasta od piramid egipskich ze względu na to, iż dzisiaj gęstość ziemi nie jest taka jak wówczas: zmniejszyła się!

Przejął prace w swoje ręce. Poleciał robotnikom, żeby przecięli rury między studnią a basenem i wyciągnęli wszystkie zakopane już kable elektryczne. Nazajutrz rano miał sprawdzić, czy piramida w nocy się naładowała. Zapytał, czy medytuję. Mam więc przyjść zaraz po śniadaniu. Razem otworzymy piramidę, a ja będę mógł jako pierwszy ją wypróbować. Chciał zrobić eksperyment.

Dieter spotkał Orbita w Niemczech, kiedy szukał lekarstwa na tajemniczą chorobę, która dotknęła jego i córkę. Orbito ich wyleczył i Dieter z wdzięczności zaoferował się, że pomoże mu przy projekcie piramidy. Tajemnicza choroba? Miała coś wspólnego z polami magnetycznymi i z energią statyczną wytwarzaną przez fale radiowe i nowe linie do przekazywania danych. Według niego w tej chwili najbardziej szkodliwy wpływ na nasze zdrowie ma telewizja kablowa. Energia statyczna wywoływała u córki depresję, której nie łagodziły żadne lekarstwa, jemu zaś „zamykała serce”, szczególnie w nocy - wyjaśnił - kiedy nasz organizm, podobnie jak kwiaty, zwija się sam w sobie. Orbito, dzięki różnym operacjom, uwolnił oboje od tej „negatywnej” energii, która przeniknęła do ich ciał z ziemi w miejscu zamieszkania.

Słuchałem i wyobrażałem go sobie na werandzie Dana Reida, jak uczestniczy w dyskusjach Akademii Szaleńców. Ale być może nie wszystkie te jego opowieści były wzięte z powietrza. Czy naprawdę jesteśmy pewni, że linie wysokiego napięcia, które przebiegają nad naszymi domami, te wszystkie kable zakopane pod spodem, anteny transmisyjne ustawione na szczytach pobliskich wzgórz, telefony komórkowe, które trzymamy godzinami przy czaszce i wszystkie urządzenia używane w kuchni albo biurze... czy naprawdę jesteśmy pewni, że nie „zamykają nam serca”, nie powodują u nas jakiejś strasznej dolegliwości?

Przy obiedzie zapytałem Dietera, jakie inne prace wykonał ostatnio w Niemczech, i tu znów mnie zaskoczył. Wspecjalizował się w domach spokojnej starości. Opracował swój model oparty na idei bardzo prostych, ale przewiewnych budynków, otoczonych jak największą ilością zieleni, a przede wszystkim pomalowanych na bardzo żywe kolory.

W Lipsku, gdzie na zamówienie lokalnej administracji zbudował tego rodzaju kompleks, doszło niemal do rewolucji. Bardzo wielu młodych robotników uznało bowiem te domy, przeznaczone dla ludzi starych, oczekujących na śmierć, za dużo przyjemniejsze i wygodniejsze od tych,

w których sami mieszkali, zaczęli więc je okupować.

Przez całe popołudnie Dieter uwijał się jak w ukropie wokół swojej piramidy. Przyjechały autokary z delegatami i chorymi, którzy zajęli miejsca w bungalowach. Około siódmej rozeszła się pogłoska, że Dieter źle się poczuł. Prawa strona twarzy została sparaliżowana i nie był w stanie dobrze mówić. Orbito miał go operować wraz z innymi w salce obok kaplicy.

Pokój był skromny - bez okien ani umywalki. Pośrodku stała typowa leżanka jak w gabinecie zabiegowym, przykryta czarną ceratą, a obok żelazne krzesło z jedną z tych stalowych wanienek na przyrządy chirurgiczne. W środku zobaczyłem jednak tylko waciki. Pod leżanką stał też zamknięty kosz na śmieci otwierany dźwignią. Było nas tam około trzydziestu osób ustawionych wzdłuż ścian, ale kiedy wszedł Orbito, a za nim kilku jego najwierniejszych wyznawców, zostaliśmy wyproszeni. Alex musiał się skoncentrować i pomodlić. Zauważyłem, że został z nim jego bratanek - najbliższy asystent. Czekaliśmy około dwudziestu minut na korytarzu. W tym czasie przybyła też ekipa telewizyjna z agencji Reutersa. Drzwi się otworzyły i wszyscy wbiegliśmy zająć na powrót miejsce przy leżance. Ja znalazłem się w końcu tam, skąd mogłem najlepiej widzieć głowę leżącego pacjenta.

Pierwszy był Dieter. Miał trochę zdrętwiałą twarz, ale nie czuł się źle. Chodził i sam ułożył się na kozetce. W ciągu kilku sekund Orbito położył mu ręce na tętnicy szyjnej pod prawym uchem. Zobaczyłem, jak wydobywa się stamtąd czerwona ciecz, a potem coś przypominającego fragment kurzego jelita. Siedzący na krześle bratanek podał uzdrowicielowi papier higieniczny, którym ten oczyścił nieistniejącą „ranę”.

- Zrobione - powiedział. - Kto teraz?

Dieter wstał uśmiechnięty. Operacja trwała niespełna minutę.

Przepływ pacjentów regulował brat Orbita. Następną była mniej więcej trzydziestoletnia Hiszpanka, która powiedziała, że ma problem z jajnikami; być może to rak. Położyła się, rozpięła spodnie i odsłoniła brzuch. Orbito wziął z wanienki wacik nasączony jakąś cieczą i posmarował brzuch, jakby go dezynfekował. Potem obiema rękami, których dwa pierwsze paliczki były zagięte, wykonał gest, jakby wchodził do jej brzucha.

Dał się słyszeć krótki dźwięk, jakby pękł jeden z tych pęcherzy, o których mówił mi ojciec Bulatao, ale choć stałem bardzo blisko, nie zobaczyłem go. Ujrzałem natomiast „krew” - najpierw jaskrawoczerwoną, potem ciemniejszą -która spływała po biodrach kobiety i wypełniała zagłębienie jej pępka. Tam, w tej małej kałuży, wniknęły ręce Orbita, znikły jego palce i z towarzyszeniem jak najbardziej realnego dźwięku plaf... plaf... plaf zdawało się, jakby szukały i w końcu coś znalazły: zakrwawiony kawałek czarniawego mięsa wielkości kurzej wątróbki.

Orbito podniósł go w górę, pokazał przez chwilę kobiecie, która zdawała się być w transie, po czym wrzucił do wanienki. Bratanek podał papier higieniczny do oczyszczenia i kobieta wstała. Minęły może dwie minuty, odkąd się położyła.

Orbito miał publiczność w ręku. Wszyscy - włącznie ze mną - byliśmy pod wrażeniem.

- Ja nic nie robię. To Bóg operuje moimi rękami - powiedział Orbito, zwracając się do kamery agencji Reutersa, która nie przestawała go filmować. - Następnym, proszę.

To była moja kolej. Zapiłem się na liście u brata i być może dzięki brodzie ten wpuścił mnie przed innymi. Poczułem na sobie jak szpilki oczy wszystkich zgromadzonych. W dodatku było to czarne oko telewizji, które teraz filmowało mnie na pierwszym planie.

- Jaki jest problem? - zapytał Orbito.

Być może ja też wszedłem w rodzaj transu, a może nie, może to był wstyd, a może obecność Włochów i moja wrodzona niechęć do pojęcia „my”, ale kładąc się na leżance, nie powiedziałem o mojej chorobie, a jedynie:

- Mam chroniczne zapalenie zatok.

Orbito polecił, by przyniesiono mu olej kokosowy. W tym czasie przesunął dłońmi nad moim czołem i nosem, ale nie dotykając mnie.

- Zamknij oczy - powiedział. Poczułem jego palec, bardzo cienki, być może środkowy, najpierw w jednym nozdrzu, potem w drugim... i smród kurzych wnętrzności był prawie nie do wytrzymania. Sugestia? Nie sądzę. Palce Orbita, wsunięte do moich nozdrzy, miały ten zapach. Charakterystyczną woń tego, co wyszło z szyi Dietera i brzucha Hiszpanki. Odór ten nie ustąpił, ponieważ Orbito nie mógł umyć rąk. W pokoju nie było wody.

- Nie ma oleju kokosowego - powiedział ktoś - tylko lawendowy.

- Może być.

Usłyszałem, jak Orbito majstruje przy butelce, a potem poczułem coś - jakby małe kłęбки waty - co wchodziło mi głęboko do nosa. Teraz był to bardzo silny zapach lawendy. Źle słyszałem, zacząłem się trochę kręcić, ale Orbito, przytrzymując mi jedną ręką głowę, powtórzył operację cztery albo pięć razy w obydwu nozdrzach - głębiej, coraz głębiej. Wydawało się, jakby chciał mi wejść do mózgu. Czyżby „poczuł”, że nie powiedziałem prawdy? Że byłem jednym z tych „negatywnie” nastawionych, którzy wszystko psuli? Pomasaował mi przez chwilę czoło i kazał wydmuchać nos najmocniej, jak mogłem. Wydostał się z niego śluz, który wytarł bratanek. Oczy mi łzawiły.

- Następny, proszę.

Na korytarzu jakaś stara Niemka z Namibii, którą w 1982 roku Orbito wyciągnął z raka płuc, przyszła uścisnąć mi dłoń i pogratulować wyzdrowienia. Jeśli ona tak mówiła!

Wyobraziłem sobie, jak będzie potem opowiadała o Włochu imieniem Anam, któremu Orbito w ciągu dwóch minut usunął wieloletnie zapalenie zatok.

Operacje trwały, ale ja poszedłem na spacer z Dieterem. On czuł się dobrze. Ja, szczerze mówiąc, nie. Całe to grzebanie w nosie jeszcze bardziej podrażniło śluzówki i bez przerwy kichałem.

- Poczekaj. Zobaczysz, jutro wszystko ci przejdzie - obiecał mój drogi piramidolog.

Wieczorem, w moim pokoiku pielgrzyma, oddzielonym od tego obok ścianą ze sklejk, musiałem zastanowić się nad tym, co mi się przydarzyło. Czy straciłem okazję, nie prosząc Orbita o wyleczenie mnie z raka? Nie. Jeśli jest tak, jak mówił ojciec Bulatao i uzdrowiciel zabiera czyjeś „negatywne” nastawienie, a nie taką czy inną chorobę, to ja mieściłem się w tej kategorii. Orbito mnie „zoperował”.

Ale nie miałem się co łudzić. Nie nadawałem się na cudownie uzdrowionego. Wydawało mi się, że przynajmniej to zrozumiałem. Mogłem spokojnie stamtąd wyjechać.

Poza tym, jeśli naprawdę myślałem tak jak ojciec Bulatao, że umysł ludzki zdolny jest do cudów i że każdy z nas, w granicach natury, ma moc wprawienia w ruch we własnym organizmie jego mechanizmu samoleczenia, to powinienem zająć się bardziej moim umysłem i umożliwić mu dokonanie tego dzieła. W tym celu niepotrzebne mi były bodźce zewnętrzne. A tym bardziej teatralność sztucznej krwi i kurzych flaków.

Na czym polegała sztuczka?

Tym razem też tego nie zrozumiałem, ale - przeciwnie niż przed piętnastu laty - pojąłem, że jakakolwiek by ona była, nie należało jej demaskować. Trik, wraz ze złudzeniem, jakie stwarza, pozostaje fascynujący i zawsze może być bardzo użyteczny.

Oczywiście - powie ktoś - użyteczny dla czarowników, żeby wciągnąć w to ludzi.

Ale co w tym złego, jeśli - dla przyjemności obcowania z ich sztuką - czarownicy każą sobie płacić pod pretekstem konieczności kupienia kozy albo czegośkolwiek innego?

Na koniec tego intensywnego dnia jeszcze bardziej niż Orbito i jego operacje pozostawał mi w pamięci mit o śmierci Tedurajów opowiedziany przez Frankiego i domy dla starców, o których mówił Dieter. Dwie wspaniałe historie!

Jest to coś, nad czym na Zachodzie naprawdę powinniśmy bardziej się zastanowić. Nasza koncepcja śmierci jest mylna. Za bardzo łączymy ją ze strachem, z bólem, z ciemnością, z czernią. Jest to dokładne przeciwieństwo tego, co dzieje się w naturze, gdzie słońce umiera każdego dnia z radosną eksplozją światła, gdzie rośliny umierają jesienią w pełnej krasie, w niezwyklej feerii barw. Być może powinniśmy sobie powiedzieć za przykładem Tedurajów, że umieramy wtedy, kiedy sami postanowimy. A może - wzorem Tybetańczyków - powinniśmy traktować śmierć nie jako przeciwieństwo życia, ale po prostu jako drugie oblicze narodzin, jako drzwi, które widziane z jednej strony są wejściem, a z drugiej wyjściem.

Jako dobry pielgrzym obudziłem się tuż przed wschodem słońca i ruszyłem pieszo w stronę kościoła Matki Boskiej. Na niebie był jeszcze księżyc w pełni, który przesłaniał błękitnym odbłaskiem czarne skarpy fortyfikacji. Moje kroki zaalarmowały ludzi, którzy spędzali noc skuleni w swoich trzykołowych pojazdach.

- Piramida? Piramida? - zaczęli krzyżeć z zaspą jeszcze nadzieją, że zawiozą pierwszego klienta do wielkiej, nowej lokalnej atrakcji. Kobiety, które zaczynały powoli rozkładać swoje stragany, próbowały sprzedać mi bez przekonania medaliki z wizerunkiem Matki Boskiej i różańce.

W kościele dopiero się rozpoczęła pierwsza msza. Zagłębiłem się w różne korytarze, kaplice, stare przejścia. Dotarłem do słynnej studni i przysiadłem na kamiennej ławce, żeby podziwiać przepiękne magnolie, które kołysały się nad dziedzińcem. Z którejś strony wyłonił się stary kapłan i usiadł obok mnie.

Czy jadłem śniadanie? Nie. Zaprosił mnie więc na posiłek do seminaryjnego refektarza. Na wielkim półmisku, który obracał się pośrodku okrągłego stołu, stały garnki i półmiski z ryżem, smażonymi rybami, jajami na twardo, krewetkami, kiściami bananowi pancitem, cieniutkim filipińskim

makaronem. Mój gospodarz, siedemdziesięcioletni ojciec Rafael, przeor kościoła, doszedł jednak do wniosku, że nie będzie mi to odpowiadało, i zaczął przygotowywać dla mnie miskę płatków owsianych z mlekiem, którą wstawił do kuchenki mikrofalowej.

- Muszę ściśle przestrzegać instrukcji - wykrzyknął. - Mówią, że jeśli nie używa się ostrożnie tych kuchenek, powodują bezpłodność!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem: starzy kapłan i nauczyciele przy naszym stole i młodzi seminarzyści przy dwóch długich stołach wzdłuż ścian. Poza Filipińczykami byli tam też przybysze z Indonezji i Sri Lanki.

Zaczęliśmy rozmawiać o uzdrowicielach.

- Jeśli nie stosują diabelskich sztuczek i poprawiają samopoczucie ludzi, nie ma w tym nic złego - powiedział ojciec Rafael, ale najbardziej interesowała go piramida. Espiritualistas, wśród których Orbito był kimś w rodzaju kapłana ze swoim tytułem „wielebnego”, stanowili sektę na obrzeżach Kościoła, ale wciąż w jego łonie. Co jednak miała z tym wspólnego piramida?

Dałem mu broszurę przygotowaną przez Orbitours, a ojciec Rafael od razu zwrócił mi uwagę na szczegół, który mi umknął: piramida przedstawiona na okładce promieniowała światłem... w kształcie krzyża.

- Widzi pan? Wszystko w porządku - stwierdził zadowolony. - A jeśli piramida przyciąga tu zagranicznych turystów, to dobrze dla wszystkich. Jeśli do tego zdrowiej, jeszcze lepiej.

Zapytałem go więc o Matkę Boską i jej cuda. Posąg - powiedział - był na dziobie hiszpańskiego galeonu, który przyplłynął z Meksyku. Fama o jego cudotwórczych właściwościach rozeszła się wkrótce potem, kiedy podczas pożaru w miasteczku Manaoag przeor kościoła polecił, aby poniesiono posąg ulicami, i ogień nagle zgasł.

- Być może był to tylko wiatr, który zmienił kierunek, ale ludzie uwierzyli w cud - dodał.

- Czyżby ksiądz nie wierzył w cuda?

Nie odpowiedział mi wprost, ale zbliżając swoje usta do mojego ucha, jakby chciał wyjawiać sekret, który miałem jednak zachować dla siebie, wyszeptał:

- Wie pan, my też musimy uciekać się do pewnych sztuczek z Matką Boską.

Naprawdę nie rozumiałem,

- Caiy posąg jest z kości słoniowej - kontynuował. - Ale lepiej o tym nie rozpowiadać. Wie pan, w dzisiejszych czasach... antykwariusze. Zrobiliśmy więc kopię i to ją wynosimy na doroczną procesję przez miasto. Nazywamy ją La Calleira - ta, która wychodzi na ulicę - ale dla ludzi jest cudotwórcza jak ta prawdziwa!

Wyszedłem stamtąd, kiedy rozgrzane słońce stało już wysoko na niebie, wszystkie stragany były rozłożone, a kobiety znów próbowały mi coś sprzedać. Jedna z nich podeszła wszelako z inną prośbą.

- Proszę cię, pomóż mi z moją szyją. Wiem, że jesteś uzdrowicielem - powiedziała i pokazała mi dymienicę, którą miała pod uchem.

Byłem strasznie zakłopotany. Moja broda i siwe włosy stwarzały złudzenie, że mogę jej pomóc, tak jak czerwona ciecz stwarza iluzję krwi.

Zdołałem tylko położyć jej rękę na ramieniu i uciec, pod czas gdy inne kobiety mówiły do biedaczki ze śmiechem :

To nie jest uzdrowiciel. To Święty Mikołaj.

Nie zapomniałem o spotkaniu przy piramidzie. Wsiadłem z trójkołowej rikszy przed bramą. Nadszedł dzień wielkiej inauguracji. Fakt, że była pełnia, stanowił dobrą wróżbę.

Zdjęto rusztowania i piramida wznosiła się elegancko m zielonym trawniku. Dieter czekał na mnie i przygotował wszystko do eksperymentu. Miałem zdjęć zegarek i wszystkie metalowe przedmioty. Dieter zmierzył mi ciśnienie, pa liczył uderzenia serca, przystawił do mojego ciała swoje czarodziejską różdżkę, która zaczęła wirować, po czym przyrządem podobnym do detektora metalu albo liczniki Geigera zbadał mnie od stóp do głów, zapisując serię liczb

W końcu otworzył drzwi piramidy, wpuścił mnie do nie; i z powrotem je zamknął. Od środka budowla była jeszcze piękniejsza, z lekkim światłem, które przenikało przez szpary pozostawione w górze konstrukcji. Usiadłem nieruchomo na podłodze oparty o ścianę. Byłem spokojny. Bardzo spokojny. Po piętnastu minutach drzwi się otworzyły i Dieter podbiegł ze wszystkimi swoimi przyrządami, żeby powtórzyć pomiary.

Był zadowolony: Przed wejściem moje górne ciśnienie wynosiło 110, a dolne 68, puls 56. Teraz miałem ciśnienie 92 na 65, a puls 61. Inne pomiary wykazywały jednak coś dziwnego. Zazwyczaj - powiedział Dieter - Europejczycy mają zawsze więcej elektryczności niż magnetyzmu. Ze mną - zarówno przed, jak i po medytacji - sytuacja była odwrotna.

Może dlatego, że mieszkasz w Indiach - powiedział.

W każdym razie obie wartości bardzo wzrosły, i to było ważne: Przed wejściem moje naładowanie elektryczne wynosiło 31, a magnetyzm 58, przy wyjściu odpowiednio 60 i 120. Oznaczało to, że piramida się naładowała i że część tej mocy przeszła na mnie. Budowla była znów żywa, a Dieter szczęśliwy. Ja też.

Kilka godzin później miało nastąpić uroczyste otwarcie piramidy w obecności wysokich urzędników Ministerstwa Turystyki, generałów i polityków. Między innymi zapowiedział swoje przybycie były prezydent Fidel Ramos, który sprawował ten urząd po Córy Aquino. Miało być przecinanie wstęg, przemówienia i pamiątkowe zdjęcia.

Mnie wystarczyło, że dzięki Dieterowi mogłem ją wypróbować jako pierwszy.

Wynająłem starą taksówkę i wróciłem do Manili. Zdążyłem na czas, żeby nacieszyć oczy widokiem przepięknego zachodu słońca nad zatoką - tak jakby natura chciała zrekompensować ludziom z barakowisk między Rochas Boulevard a brzegiem morza ich nędzę. Na wszystkich światłach otaczały

nas dzieci sprzedające one stiefe, jednego papierosa, plastikowe helikoptery, naszyjniki z muszelek i porcje gorących orzeszków.

Zostałem w Manili jeszcze parę dni. Być może miałem tam już nigdy nie wrócić i nie chciałem przegapić Mastera Choa, wynalazcę energoterapii, dla którego w piramidzie w Kojambaturze założono klimatyzację. Nie miałem jednak szczęścia. Master Choa Kok Sui, biznesmen chińskiego pochodzenia, inżynier chemik, od dzieciństwa zagorzały czytelnik książek ezoterycznych, właśnie wrócił z kongresu swoich zwolenników w Kanadzie. Następnego dnia miał wyjechać na kolejny kongres do Australii i przez tych kilkanaście godzin spędzonych w Manili musiał się zająć innym interesem, który prowadził: przedsiębiorstwem autobusowym w Quezon City.

Była jednak jego organizacja: Instytut Energoterapii i Badań Wewnętrznych, mieszczący się w skromnej kamieniczce na rogu Pasay Road i Anmorsolo. Na parterze natknąłem się na uzbrojonego strażnika, który odradził korzystanie z windy, ponieważ często się psuje i można

zostać uwięzionym w pułapce. Kiedy otworzyłem drzwi jakaś dziewczyna robiła korektę kolejnej książki Mistrza natomiast inna odpowiadała na dziesiątki maili, jakie ten otrzymuje każdego dnia z całego świata. Dwaj mężczyźni przy ladzie przygotowywali paczki. To maleńkie miejsc« wypełniały papiery, książki oraz pudła papierowych chusteczek. Formuła była błyskotliwa: z tego małego biura, przy minimalnych kosztach, Mistrz kierował swoim międzynarodowym imperium. Ludzie chodzą na kursy] odbierają dyplomy, a następnie sami prowadzą kursy, wydają dyplomy i „uzdrowiają”, wyludzając pieniądze w zamian za nadzieję.

Opowiedziałem o zdjęciu Mastera Choa, które widziałem w Kojambaturze. Dodałem, że przybywam z daleka, żeby rozwiązać problem chronicznego zapalenia zatok. Skora nie ma Mistrza, zapytałem, które z nich skończyło kurs i umiało uzdrawiać. Wszyscy, ale najlepsza była dziewczyna od maili.

Posadziła mnie na stołku z rękami na kolanach, z dłońmi zwróconymi wewnętrzną stroną ku górze i z zamkniętymi oczami. Poczułem, jak porusza powietrzem wokół mojej twarzy i spróbowałem zobaczyć, co się dzieje. Lewą rękę trzymała na swoim sercu, prawą powoli zbliżała do mojego czoła, po czym szybko ją wycofywała. Powtórzyła to wielokrotnie. Następnie się zatrzymała, otworzyła butelkę alkoholu, umyła ręce, wytarła je papierowymi chusteczkami (do tego służyły!) i znów zaczęła wykonywać manewr, który -jak się zorientowałem - polegał na zbliżaniu się do czegoś niewidzialnego w powietrzu w pobliżu mojej twarzy, chwytaniu tego czegoś i odrzucaniu.

Wszystko trwało około dziesięciu minut. Żeby się odpłacić i okazać wdzięczność, kupiłem kilka książek i się pożegnałem.

Wieczorem, w łóżku, czytałem dzieła Mistrza. Uznałem, że to ta sama papka, co reiki, tyle że z innymi nazwami i rodowodem. Jak wszystkie rozwiązania New Age, również propozycja Mastera Choa była ponętna, jako że łatwa i szybka. „Nie ma potrzeby studiować dziesięć albo dwadzieścia lat, żeby być zdolnym do paranormalnych uzdrowień. Nie trzeba się też urodzić z darem uzdrowiciela czy jasnowidza. Wystarczy determinacja do pomagania innym i postępowanie zgodne ze wskazówkami zawartymi w tej książce" - obiecywał Mistrz.

Jednak w nocy miałem wrażenie, że zapalenie zatok ustąpiło, a rano wydawało mi się, że naprawdę lepiej oddycham. Czy była to zasługa energoterapeutycznej dziewczyny od maili? A może chirurgii psychicznej Orbita? Czy też efekt z opóźnionym zapłonem sauny w Ko Samui? A może aromatyczne

opary kadzidełek doktora Mahadevana? (Mógłbym jeszcze długo żyć z tą wątpliwością. Jednak wkrótce zapalenie znów się ujawniło i od tamtej pory pojawia się i znika, kiedy zechce).

Przed wyjazdem poszedłem się pożegnać z Frankiem i zdać mu relację ze swojej wizyty. Usiedliśmy w kawiarni. Frankie nie odrywał oczu od siedzących przy sąsiednim stoliku, ożywionych i swobodnych młodych ludzi, nienagannie ubranych i wyglądających na biznesmenów. Obserwował ich gesty, sposób mówienia. Wyznał, że jego następna powieść będzie właśnie o tym środowisku: yuppie z Manili. Powiedział, że wiedzieli wszystko o francuskich winach, ale nic o gnomach, które zamieszkują ich domy. Jak będą mogli być prawdziwymi Filipińczykami?

Do kawy zamówił dla nas obu ensaimadę.

Jest to pozostałość po Hiszpanach, ale dzisiaj przyrządza się ją lepiej tutaj niż w Hiszpanii.

Dla Frankiego ten deser był symbolem Filipin.

Spójrz, z zewnątrz jest piękny, kremowy i cukrowany - powiedział. Potem, naciskając na widelczyk, który zagłębił się w kruchym cieście, dodał:

- Ale w środku jest tylko gorące powietrze.

Obaj zaczęliśmy się śmiać jak wariaci, również dlatego, że właśnie w owym momencie zauważyliśmy, jak przed oknem kawiarni przejeżdża wielobarwny jeepney, na którego bokach wielkimi, białymi literami było napisane; „Nie miej wątpliwości. Bóg króluje. Zawsze królował i będzie królował. Koniec transmisji”.

HIMALAJE

Pył rtęciowy

Pewien tygrys miał dwóch stronników; lamparta i szakala. Za każdym razem, kiedy chwytał zdobycz, sam zjadał, ile mógł, a resztki zostawiał lampartowi i szakalowi. Pewnego dnia zdarzyło się jednak, że tygrys zabił trzy zwierzęta: jedno duże, jedno średnie i jedno małe.

- I jak teraz je podzielimy? - zapytał swoich stronników.

- To proste - odpowiedział lampart. - Ty weźmiesz największe, ja średnie, a to małe damy szakalowi.

Tygrys nic nie powiedział, tylko jednym uderzeniem łapy rozszarpał lamparta.

- A więc, jak je podzielimy? - znów zapytał tygrys.

- Och, Wasza Wysokość - odparł szakal. - Małą sztukę ty weźmiesz na śniadanie, dużą zatrzymasz na obiad, a średnią zjesz na kolację.

Tygrys był zaskoczony.

- Powiedz, szakalu, od kogo nauczyłeś się takiej mądrości? Szakal przez chwilę się zawahał, po czym odparł:

- Od lamparta, Wasza Wysokość.

Zabrałem ze sobą w drogę egzemplarz Pancatantry (Według niektórych za legendarnym autorem Yishnu Sharmą miałyby się ukrywać Canakja, „indyjski Machiavelli”, autor traktatu Arthaśastra na temat sztuki rządzenia) i wieczorem, w hoteliku nad Gangesem w Riśikeś, czytałem przed zaśnięciem niektóre teksty z tego zabawnego zbioru historii o zwierzętach. Według legendy napisał je z górą tysiąc pięćset lat temu stary pustelnik, który chciał dać trzem nieokrzesanym i gnuśnym synom pewnego króla kilka podstawowych lekcji życia i w ten sposób przygotować ich do sukcesji.

Jechałem z Delhi i następnego ranka planowałem ruszyć w dalszą drogę do Dehradun, gdzie miałem spotkanie ze znanym lekarzem ajurwedyicznym, obiektem wielu polemik, który twierdził, że opracował bardzo szczególną kurację na raka.

Tym, co uderzyło mnie w owych starożytnych historiach o zwierzętach, był fakt, że nie miały one, jak nasze bajki, morału w dobrym sensie tego słowa. Przeciwnie: wychodząc od obiektywnej i bezstronnej obserwacji rzeczywistości, miały na celu wpojenie pewnych nauk praktycznych dotyczących sztuki przeżycia. Wnioski, do jakich stary pustelnik doprowadzał trzech początkujących, opornych na wiedzę młodzieńców, mogły nie być inspirujące, ale bez wątpienia zawierały pewną pragmatyczną mądrość.

A ja? Czyż nie wyciągnąłem jakiegoś mądrego wniosku z mojego życia w ostatnich latach? Krążąc po świecie i spotykając lekarzy, czarowników oraz mistrzów, zrozumiałem na pewno, że nie warto kontynuować podróży, że jakieś nadzwyczajne lekarstwo nie istnieje i że jedynym, co można zrobić, to żyć bardziej świadomie, możliwie jak najbliżej natury, w sposób prosty, jedząc mało i czysto, dobrze oddychając, redukując własne potrzeby, ograniczając do minimum konsumpcję, kontrolując pragnienia i rozszerzając tym samym granice własnej wolności. Po co zatem podążałem tropem kolejnego lekarza?

Do podróży do Dehradun skłoniła mnie nie nadzieja pacjenta, ale dawna pasja dziennikarska, owa przyjemność wynikająca ze sprawdzenia, co jest wiarygodnego w historii, o której się tylko czytało albo słyszało. A w tym przypadku historia była ciekawa.

W przeciwieństwie do „lekarza” z Kakinady czy młodego Mahadevana Yaidya Balendu Prakaś był sławny. Interesowała się nim prasa, został odznaczony ważnym narodowym orderem, cieszył się protekcją ówczesnego prezydenta Indii, a wśród pacjentów, którzy poddali się jego leczeniu, był angielski multimilioner, sir James Goldsmith, który sprowadził go do Europy i wysłał po niego prywatny helikopter. Sława Yaidyi Balendu Prakaśa sięgała roku 1987, kiedy zdołał wyleczyć z białaczki dwuipółletnie pakistańskie dziecko, uznane za nieuleczalnie chore przez wielki londyński szpital. Historia ta trafiła na łamy gazet.

Wyjątkowość jego terapii polegała na tym, że Yaidya Balendu Prakaś nie stosował ziół i roślin, a wyłącznie metale. Idea, że odgrywają one ważną rolę w utrzymaniu ciała w formie, była znana wszystkim cywilizacjom. Miedziane dzbany na wodę używane jeszcze przez nasze babki, podobnie jak żeliwne patelnie do smażenia jajecznic, bez wątpienia świadczyły o mądrości przodków, którą

współczesny przemysł odsunął na bok, proponując produkty dużo bardziej praktyczne, ale też o wiele mniej zdrowe.

Co innego jednak stosować metale do wyrobu naczyń kuchennych, co innego zaś je spożywać. I to, co medycyna zachodnia uważa za ewidentną formę zatrucia, kazał robić właśnie Yaidya Balendu. Za pomocą bardzo skomplikowanego systemu, opisanego w kilku tekstach ajurwedyjnych, sprowadzał metale do konsystencji proszku i dawał je do picia swoim pacjentom. Przeczytałem, że ze wszystkich metali najczęściej sięgał po rtęć, i to był kolejny powód, dla którego chciałem go spotkać. Rtęć, według mitologii indyjskiej, to sperma Siwy, „nasienie czystej świadomości”. Czyżby w medycynie praktykowanej przez Yaidyę Balendu Prakaśa było coś, co przekraczało pozory? Jak w alchemii?

Już przed tysiącami lat kapłani i czarownicy tak odległych i różnych cywilizacji, jak Majów, chińskiej, egipskiej czy indyjskiej, usiłowali zamienić metale o niskiej wartości, takie jak ołów czy miedź, w metale cenne, jak srebro czy złoto. Ta tajemnicza sztuka, nazwana później alchemią, była częścią odwiecznej próby dowiedzenia się przez człowieka czegoś więcej o samym sobie. Rzekoma materialna przemiana jednego metalu w inny była prawdopodobnie sposobem zatajenia sekretu przemiany duchowej, której przebieg związany był z wiedzą ezoteryczną dostępną jedynie poprzez długie i absorbujące procesy inicjacyjne. Nie przypadkiem język, jakim posługiwała się ta sztuka, pełen był podwójnych sensów. Mówiło się na przykład o „zabijaniu” metalu nikczemnego, żeby potem „odrodzić” go jako metal szlachetny, taki jak złoto. Znaczyło to: zabić własne „Ja”, żeby odrodziło się jako „Ja” czystej świadomości.

W Chinach alchemia weszła do tradycji taoistycznej, gdzie oczywiście zamiar wytworzenia tego, co nazywano „złotem nieśmiertelności”, maskował cel zupełnie niezwiązany z metalurgią, W Europie alchemia stała się sztuką przygotowywania „lekarstwa” za pośrednictwem tajemniczego środka, rozpoznanego potem jako kamień filozoficzny. Lekarstwo dla ciała czy dla ducha? Zachowanie tej niejasności było podstawową kwestią dla średniowiecznych mistyków, którzy uniknęli prześladowań ze strony Kościoła za ich poszukiwanie bezpośredniego związku z Bogiem, chowając się za stosem alembików i moździerzy i ukrywając za pozornie materialną pracą alchemików swoją prawdziwą pracę poszukiwaczy duchowych.

Czy to możliwe, żeby coś podobnego kryło się za praktyką lekarza z Dehradun, który twierdził, że zmienia „nasienie Siwy” w lekarstwo?

Następnego ranka takim jak zwykle ambasadorem dotarłem do celu. Nie było to ambulatorium lekarza, ale far-ma za miastem na końcu wiejskiej drogi, pośród pól. Białe, murowane ogrodzenie, brama, parę budynków, wielkie zadaszenie nad rzędami czarnych dołów wykopanych w czerwonej ziemi i bardzo dużo zwierząt - kurczaków, kaczek, pawi indyjskich i krów - pasących się spokojnie wokół małego jeziora.

- Witamy w najmniejszym i najbiedniejszym na świecie ośrodku badań nad rakiem - powiedział lekarz, wychodząc mi naprzeciw z uśmiechem. Był niski i ubrany na modłę zachodnią. Przywitał mnie uściskiem ręki, zamiast tradycyjnym Namaskar. Nie, nie było w nim nic świętego. Nic mistycznego. Jego uprzedzająca uprzejmość miała raczej coś z charakteru public relations. Na pewno nie był

alchemikiem, a nawet wegetarianinem. Kiedy, wskazując na kurczaki, zapytałem, czyje spożywa, odpowiedział: „Oczywiście!” z takim przekonaniem, jakby uważał ich niejedzenie za głupotę.

Kiedy rozmawiałem z nim przez telefon, nie przedstawiłem się jako potencjalny pacjent. Powiedziałem tylko, że zamierzam pisać o medycynie alternatywnej, a on zarezerwował sobie cały dzień, żeby opowiedzieć mi o swojej pracy. Tak więc nie było żadnych pacjentów w kolejce, ale telefon w jego małym gabinecie, w którym usiedliśmy, nie milkł nawet na chwilę. Dzwonili ludzie z połowy świata, prosząc o porady albo chcąc się umówić na wizytę. W większości przypadków jego odpowiedź brzmiała: „nie”.

Powiedział, że nie był już zainteresowany leczeniem pojedynczych przypadków. Jego priorytetem są teraz badania. Chciał, żeby ta terapia została zaakceptowana przez społeczność naukową, która chwilowo uparcie ją ignorowała. Lekarze wykształceni na Zachodzie obłożyli ją anatema, natomiast ci, którzy wpisywali się w tradycję ajurwedyczną, chcieli - jego zdaniem - uniknąć poddania ich praktyki sprawdzianom i eksperymentom typu naukowego.

Sam Balendu Prakaś odbył regularne studia ajurwedy i uzyskał dyplom, który pozwalał mu dodać do nazwiska prestiżowy tytuł „Vaidya” (doktor), ale ze swoimi kolegami był od dawna na noże.

Lekarze ajurwedyjscy są z reguły konserwatywni i przeciwni nowoczesności. Wciąż traktują swoją medycynę jak religię, a o starych podręcznikach mówią jak o świętych pismach. Uniemożliwiają w ten sposób poddanie tych tekstów krytyce i dyskusji - mówił. - Jeśli o mnie chodzi, czuję się bardzo szczęśliwy, że mogę żyć w Indiach, i bardzo nieszczęśliwy, że jestem Hindusem. Indie pełne są mądrości, ale dzisiaj bardziej wspomaga się religię niż naukę. Nowe idee nie są mile widziane ani finansowane. Badania w ramach ajurwedy właściwie nie istnieją i od lat nie wyprodukowano ani jednego nowego lekarstwa.

Przed przyjazdem do Dehradun czytałem o jego publicznych atakach skierowanych w szkoły ajurwedy, wypuszczające jego zdaniem „doktorów”, którzy praktykują potem nielegalnie i bez przygotowania zachodnią medycynę alopatyczną. Wiedziałem również, że wystąpił też przeciwko wszystkim produktom, które wykorzystując przymiotnik „ajurwedyczny”, oszukują kupujących i wzbogacają szarlatanów.

Vaidya mówił, że pewne preparaty wzmacniające słynne w Indiach i coraz modniejsze również za granicą, gdzie nie podlegają obowiązkowej kontroli, bo sprzedawane są jako „integratory spożywcze”, to tylko papki pełne cukru, natomiast kosmetyki „ajurwedyczne” to czyste oszustwo.

Tak zwane oleje roślinne są syntetyczne, a szampony, o których się mówi, że powstały w oparciu o zioła, wyprodukowane są z normalnych detergentów. Ajurweda jest modna, więc ludzie za nią podążają. Ponieważ produkty te nie stanowią zagrożenia dla przemysłu farmaceutycznego, nie są wycofywane z rynku. W przypadku lekarstw na raka jest inaczej. Z nich przemysł farmaceutyczny czerpie ogromne zyski, a ponieważ taka kuracja jak pańska kosztuje maksymalnie dwa dolary dziennie, postrzegana jest jako zagrożenie. Czy wie pan, ile kosztuje terapia przeciwrakowa w Memoriał Sloan-Kettering w Nowym Jorku?

Jego pytanie było retoryczne, więc nie odpowiedziałem. Wiedziałem, a jakże!

Vaidya podał mi przykład byłego oficera armii indyjskiej, który - uznany za nieuleczalnie chorego w Delhi - zwrócił się o pomoc do niego, a on postawił go na nogi kosztem dwunastu rupii (około dwudziestu centów europejskich) dziennie. A czym było owo cudowne lekarstwo? Mieszanką metali!

Jego terapia opierała się na bardzo prostej teorii. Choroba taka jak rak spowodowana jest niedoborem lub nadmiarem podstawowych metali: miedzi, srebra, ołowiu, złota, żelaza, cyny, cynku i rtęci. Leczenie polega więc na przywróceniu równowagi tych składników w organizmie.

Dobrze wiem, że metale są trujące, a te wydzielane przez rury wydechowe samochodów - wręcz zabójcze, ale mogą też one przywrócić życie, jeśli pochodzą z rąk vaidyi - powiedział. - W starych tekstach jest napisane: „Rtęć tysiąc razy oczyszczona może wyleczyć każdego pacjenta, jeśli powstrzyma się on od seksu, jedzenia soli i wszelkich ostrych potraw”. Ja to wypróbowałem i na własne oczy widziałem rezultaty.

Wyjął z biurka plik papierów. Było to ponad pięćdziesiąt kart pacjentów, których ostatnio z powodzeniem leczył. Paradoksalnie, powiedział pewną rzecz, która mnie uderzyła:

Wiem, że kuracja działa, ale nie wiem dokładnie, jak : dlaczego. Nie jestem pewien dawek ani czasu jej trwania. - Wydawał się szczery. - Dlatego potrzebuję pomocy, funduszy na kontynuowanie badań.

Nadeszła chwila, żeby zobaczyć słynne „lekarstwa”. Zadaszenie, które wcześniej widziałem, osłaniało piec, w którym metale „oczyszczane były tysiąc razy”. Otwory w ziemi miały różną wielkość: niektóre były głębokie na dłoń, inne na dwie dłonie, w jeszcze innych dałoby się zagłębić rękę do łokcia. Były to jednostki miary opisane w starych tekstach. Nad każdym otworem ustawiano pod wieczór zamknięty pojemnik z ogniotrwałej gliny. W środku znajdowała się właściwa ilość metalu, która pod wpływem ognia się roztopiała, eliminując stopniowo wszelkie zanieczyszczenia. Rano metal wlewano do kamiennych moździerzy i przez cały dzień ręcznie rozdrabniano. Wieczorem miksturę znów stawiano nad ogniem w otworach, a rano na powrót wracała do moździerzy. Po miesiącach tej procedury metal uzyskiwał konsystencję bardzo drobnego pyłu, rodzaju proszku, zwanego bhasma.

Yaidya zaprowadził mnie do „apteki”. Rzędy mężczyzn siedzących na ziemi popychały do przodu i z powrotem stalowe koła w czarnej brei na dnie moździerzy. Na półkach stało pełno słoików, każdy z etykietą, na której umieszczono nazwę zawartości i datę produkcji. Yaidya powiedział, że po zakończeniu procesu wytwarzania proszki powinny stać przynajmniej przez dwa lata, zanim zostaną podane. Każde lekarstwo wymagało zatem co najmniej trzech lat przygotowań.

W jednej z misek pokazał mi rtęć w stanie czystym. Wziąłem ją do ręki. Była bardzo ciężka. Potem, czubkiem łyżeczki, Yaidya wyjął z jednego ze słoików bhasmę z tej samej rtęci: czarny proszek, bardzo drobny, niemal zwiewny.

- W wodzie pozostaje na powierzchni, ponieważ rtęć utraciła swój charakter ziemi, która opada, a zyskała charakter ognia, który ulatuje - powiedział, cytując wers ze starych tekstów. (Teksty ajurwedyczne dotyczące stosowania metali występują pod nazwą Rasaśāstra, dosłownie „znajomość rtęci”. Pochodzą mniej więcej z ósmego wieku po Chrystusie i są dużo nowsze od klasycznych tekstów ajurwedy. Niektórzy twierdzą, że takie zastosowanie metali dotarło do Indii z Chin).

Przestudiował te teksty; znał już je dobrze, ale to nie od nich wyszedł na poszukiwanie swojej medycyny. Wszystko zaczęło się od ojca i historii, która - jak mi powiedział - zdawała się indyjską bajką.

Rodzina pochodziła z Meerut, miasteczka na północ od Delhi. Byli to prości ludzie, ale bardzo religijni. Wielu starców pod koniec życia zostało sannjasinami. Kiedy ojciec Vaidyi miał zaledwie dwanaście lat, ktoś dał mu do wypicia alkohol. Zdjęci grozą rodzice wyrzucili go z domu. Pewien sadhu imieniem Maharaj, jeden z tych, którzy żywili się tylko bananami i mlekiem, wziął go na ucznia i zachęcił do studiowania świętych tekstów ajurwedy. Przekazał mu też sekret dziwnego, czarnego proszku, który nosił zawsze z sobą w woreczku i którym leczył u ludzi choroby kości.

Kiedy Vaidya dorósł, jego ojciec został uzdrowicielem. Dzięki skomplikowanemu procesowi oczyszczania niektórych metali, którego nauczył się od Maharaja, utrzymywał swój zapas czarnego proszku i leczył nim różnych pacjentów. W 1960 roku trafił mu się urzędnik państwowy, którego w miejscowym szpitalu uznano za nieuleczalnie chorego. Choroba przeniknęła już do szpiku kostnego. Ojciec podał mu proszek Maharaja i ten wyzdrowiał. Był to jego pierwszy przypadek wyleczenia raka. Po nim nastąpiło wiele innych. Jego ojciec zyskał sławę leczącego nieuleczalnie chorych. Zmarł w 1984 roku. Zastąpił go Vaidya, który w tym czasie, za radą sadhu Maharaja, podjął studia ajurwedy. Żeby mieć więcej miejsca dla swoich eksperymentów, przeniósł się na farmę w Dehradun, gdzie założył ośrodek badawczy.

Jego pierwszym wielkim sukcesem było wyleczenie pakistańskiego dziecka za pomocą mieszanki rtęci, arseniku i srebra. Od tamtej pory Vaidya zdołał - jak twierdził - wyleczyć co najmniej trzydzieści pięć różnych rodzajów raka. Doskonale wiedział, że jego system nie działa we wszystkich przypadkach, przyznawał, że popełnił błędy, i nie miał problemu z mówieniem mi o swoich oszczercach.

Powiedział, że Ministerstwo Zdrowia w Australii posunęło się do zamieszczenia ogłoszenia w telewizji, ostrzegającego przed ryzykiem otrucia kilkudziesięciu Australijczyków zażywających jego lekarstwa. Na ścianie gabinetu pokazał mi zdjęcie blondwłosej dziewczyny. Była to Catherine Angielka, która przyjechała do niego leczyć się z białaczki. Została z rodziną kilka tygodni. Niestety, nie zdołał jej uratować.

- Wtedy było coś nie tak z lekarstwami z zapasów - przyznał Vaidya. - Zdarzyło się to już mojemu ojcu. Po latach dobrych rezultatów uzyskanych dzięki proszkowi Maharaja nagle nikt więcej nie zdrowiał. Dopiero po pewnym czasie odkrył, iż to kwestia jakości miedzi. Ta uzyskiwana z nowych monet nie była już tak czysta jak ze starych. Dopiero kiedy ojciec zaczął używać miedzi pozyskanej z drutów elektrycznych, lekarstwo odzyskało skuteczność.

- A przypadek Goldsmitha? - zapytałem.

Powiedział, że kiedy go wezwano, było już za późno. Poza tym pojawiły się konflikty z grupą lekarzy francuskich i angielskich, którzy się nim zajmowali.

Vaidya doskonale wiedział, że poza sukcesami miał na swym koncie także wiele porażek. Nie rozumiał tylko, dlaczego społeczność naukowa nie interesuje się przypadkami, w których jego system zadziałał, i czemu nie pomagała mu odkryć, z jakiego powodu czasem kuracja nie przynosiła efektów. Po przypadku pakistańskiego dziecka przyjechało kilku angielskich lekarzy, żeby się przyjrzeć jego terapii,

ale potem już nikt się nie pokazał. Teraz zwracali się do niego tylko ci lekarze, którzy już nie wiedzieli, co robić ze swoimi pacjentami.

Tymczasem on kontynuował swoje eksperymenty i rejestrował każdy przypadek, którym się zajmował.

- Dawaj jeść szakalom, a któregoś dnia pojawi się też lew - mawiał jego ojciec. I Yaidya był przekonany, że prędzej czy później ktoś w końcu przyjdzie mu z pomocą.

W trakcie obchodu farmy podeszliśmy do stawu, wokół którego grzebały piękne kurczaki i kaczki, podczas gdy pary gołębi gruchały na drzewach.

- Wyobraźmy sobie, że jesteśmy w czasach starożytnych i mieszkamy w lesie - powiedział Yaidya. - Obserwujemy naturę, zwierzęta i uczymy się wielu rzeczy. Zauważamy, że kogut dziobie coś w jednej porze roku, a w drugiej coś innego. Widzimy, że z niektórych roślin stoń zjada tylko korę. Dostrzegamy, że chore zwierzę żywi się jakąś szczególną trawą. Naśladujemy zwierzęta, robimy to samo co one, ale nie zawsze uzyskujemy taki sam rezultat. Odkrywamy, że trawa w danym miejscu nie ma takich samych właściwości jak ta sama trawa w innym miejscu, na przykład w pobliżu skały. Wtedy rozumiemy, że skała ta zawiera coś, co przenika do rośliny, dając jej te cechy.

- Bierze się kamień, podgrzewa i wydobywa z niego metal. Zjada się go, ale kończy się to śmiercią. Potem się odkrywa, że w ziemi są dżdżownice, które wchłaniają ten metal, na przykład miedź, i że barwa kogucich piór, taka czarnofioletowa, pochodzi właśnie od tej miedzi, którą kogut przetrawia, jedząc robaki. Cykl jest następujący: robak zjada i przetwarza miedź, kogut zjada robaki i wchłania miedź. Rysziowie to wszystko zrozumieli. Oczywiście, miedź w stanie naturalnym jest trucizną, zabija, ale miedź to także środek przeciwzapalny. Sprowadzona do postaci proszku, zdolna jest także zablokować narastanie pewnego rodzaju raka.

- To samo się dzieje z rtęcią. Kiedy ludzie umierali otruci rtęcią, odkryto, że dotarła ona aż do ich komórek macierzystych. Wywnioskowano stąd, że może być stosowana jako nośnik, żeby wejść jak najgłębiej do organizmu. Ajurweda wiedziała o tym od wieków, tak samo jak znała właściwości cynku i żelaza, które medycyna zachodnia odkryła dopiero niedawno. Ale ajurweda zrodziła się bez znajomości chemii, fizyki i elektroniki. Moim celem jest wprowadzenie tych dziedzin do ajurwedy, żeby ją udoskonalić, wyjaśnić, ulepszyć i iść naprzód.

Vaidya myślał nowocześnie, ale miał też swoje wątpliwości w tym względzie. Na przykład z dużą podejrzliwością podchodził do tego wszystkiego, co produkuje przemysł, szczególnie spożywczy. Był przekonany, że ziemia, przede wszystkim z powodu nawozów, traci wiele ze swoich dawnych właściwości. Z tego powodu produkowana dzisiaj żywność pozbawiona jest już substancji, których ludzie potrzebują, przede wszystkim minerałów. Dlatego był bardzo dumny ze swojego ekosystemu - jak nazywał tę małą farmę - gdzie mógł wyprodukować w najbardziej naturalny sposób niemal wszystko to, czego potrzebował i on, i jego rodzina. Tu wszystko było przetwarzane, łącznie z tajnem krów i byka, używanym do palenia w piecu.

Cały dzień spędziliśmy na rozmowie. On był bardzo zadowolony, że może z kimś podzielić się swoimi refleksjami, a ja, że mogę to wszystko zanotować.

Na krótko przed zachodem słońca pod zadaszeniem odbyła się codzienna ceremonia rozpalenia ognia, w której uczestniczyła cała rodzina. Do każdego otworu należało włożyć rozżarzoną głownię, która bez dmuchania na nią miała spalać na wolnym i ciągłym ogniu placki suchych ekskrementów pod pojemnikami.

Jeden z ludzi miał pilnować przez całą noc ognia. Rankiem metale będą schłodzone, przelane do moździerzy, ucierane przez wiele godzin, a wieczorem znów podgrzewane. I tak przez kolejne tygodnie i miesiące.

- Tylko w Indiach, gdzie siła robocza jest tania, możemy sobie pozwolić na produkcję tego typu leków. Ale może właśnie dlatego, że pochodzą z tego kraju, nie są brane na poważnie przez lekarzy z Memorial Sloan-Kettering - dodał.

W ciągu dnia wielokrotnie odwoływał się do mojego ukochanego szpitala, a ja, nie mówiąc mu jeszcze nic na swój temat, zapytałam, dlaczego odnosi się zawsze do niego. Powiedział, że nie zna osobiście nowojorskiego szpitala, ale miał wielu pacjentów, którzy tam byli i po uznaniu ich za nieuleczalnie chorych przyjechali do niego. Wiedział, że w MSKCC nastawiają się całkowicie na badania genetyczne, ale nie sądził, żeby rozwiązanie problemu raka leżało właśnie w tym. Widział wielu pacjentów, u których dokonano w MSKCC przeszczepu szpiku kostnego, ale wątpił, żeby to specjalnie czemuś służyło.

- Dla mnie są w porządku również pacjenci, którzy mają już szpik z naciekiem - dodał wyzywająco, śmiejąc się,

- A więc nie jestem jeszcze gotów, żeby zostać pańskim pacjentem - wyrwało mi się. I pokrótce opowiedziałem mu moją historię kliniczną.

Yaidya nic nie powiedział, ale po tym moim „wyznaniu” wytworzyło się między nami bardziej intymne porozumienie. Zaprosił mnie na kolację.

Vaidya siedział u szczytu stołu, po prawej jego żona, potem troje dzieci - dwie dziewczyny i chłopak - wszyscy zdecydowani pójść w ślady ojca i dziadka. Zobaczyłem, że przed jedzeniem Yaidya połknął, popijając wodą ze srebrnego kubka, różne pastylki. Cynk, złoto, perły, koral i rtęć - wyjaśnił mi. A dodatkowo dawka czarnego pieprzu, bo „żeby rozpałić ogień, potrzebny jest zawsze środek zapalny”.

Roti, mączne chlebki, które jedliśmy, nie były z pszenicy, ale z bardzo pospolitej rośliny rosnącej na jego polach.

- To najtańsza mąka. Jedzą ją biedacy - powiedział Vaidya. - A biedacy chorują mniej, jeśli pozostają wierni tradycyjnej diecie. Niestety, wszyscy stajemy się bogatsi, a przez to głupszy i mniej zdrowi.

Dopiero kiedy usiedliśmy w saloniku, żeby wypić ziołową herbatę, podjął mój wątek.

- Pewnego dnia będzie pan musiał przyjechać do mnie jako pacjent, bo tym z MSKCC nie uda się z panem, tak jak nie udało się z wieloma innymi wcześniej. Oni nie są w stanie odpowiedzieć na jedyne istotne pytanie: co spowodowało pańskiego raka?

Znałem ten argument. To ja go wysuwałem przez wszystkie miesiące mojego pobytu w Nowym Jorku. Ale on dodał inny, który lepiej trafiał w sedno.

- Chory na raka leczony na modłę zachodnią, to znaczy poprzez zwalczanie choroby, a nie jej przyczyn, skazany jest na śmierć. Niektórym się udaje, bo zmieniają życie,

- Cóż... właśnie to próbowałem zrobić.

- Tak, a potem ci z MSKCC powiedzą, że to była ich zasługa! W każdym razie wie pan, jak oni postępują: uważają pięć lat przeżycia za sukces. Później umiera pan w szóstym roku. To ma być sukces?

Według niego za jedną z podstawowych przyczyn mojego typu schorzenia należało uznać zachwianie równowagi zawartości metali w organizmie. Było to częściowo spowodowane zanieczyszczeniem, wyjąłowieniem ziemi z jej składników naturalnych, a coraz większym nasączeniem składnikami sztucznymi, chemicznymi.

Zgadzałem się z nim.

Poprosił, żebym następnego dnia przyszedł na czczo. Chciał sprawdzić stan mojej krwi. W tym celu używał specjalnego mikroskopu, który bada „w ciemnym polu”.

- Gwiazdy widać tylko nocą, kiedy niebo jest ciemne - wyjaśnił. - Ale przecież są one też w dzień. To samo dzieje się z objawami raka. Spojrzę na pańską krew i będę mógł zobaczyć lepiej i wcześniej niż lekarze zachodni znaki wskazujące na to, jak pański rak się rozwinie.

Tym razem jego słowa mi się nie podobały. Czyżby szarlatan?

Wieczorem, znów w małym hoteliku - tym razem w centrum Dehradun - przeczytałem przed zaśnięciem kolejne zabawne historie o zwierzętach z Pancatantr. Oto jedna z nich:

Stary lew udawał się codziennie po obiedzie do swojej jaskini na drzemkę, ale regularnie niepokojony był przez mysz, która włązała mu do ucha i podgryzała sierść. Lew był wielki i silny, ale nie mógł schwytać tego małego zwierzątka. Poprosił więc kota, żeby był jego strażnikiem. W zamian miał mu dać jeść. Wszystko poszło gładko. Mysz, widząc kota, nie wychodziła ze swojej dziury, lew spał spokojnie, a kot najadał się do woli tym, co lew dawał mu hojnie do dyspozycji. Lew był tak zadowolony, że ciągle wychwalał kota i dziękował mu za pomoc. Jednak pewnego dnia mysz, już wyголоdniała, wyszła z dziury, a kot, nie namyślając się długo, schwytał ją i zabił. Kiedy lew się obudził, kot opowiedział mu z dumą, co się stało. Lew nic nie odrzekł, ale jego zachowanie w stosunku do kota kompletnie się zmieniło. Nie odzywał się do niego i nie dał mu nawet odrobiny jedzenia. Kot nie rozumiał.

- Wywiązałem się ze swojego zadania. Dlaczego tak mnie traktujesz? - ośmielił się w końcu zapytać po wielu dniach głodówki.

- Mała, nędzna istotko. Jesteś już kompletnie nieprzydatnym służącym. Idź sobie i pozwól mi spać - odparł lew.

Następnego ranka udałem się na czczo do domu Yaidyi. Rodzina jadła jeszcze śniadanie, a drzwi pokoju otwarte były na ekosystem gołębi, kurczaków i kaczek, które domagały się swojej części.

Yaidya powierzył mnie młodej pani mikrobiolog, która pracowała przy mikroskopie. Dziewczyna pobrała ode mnie kroplę krwi, umieściła ją na szkiełku i po kilku minutach na wielkim ekranie telewizyjnym mogłem zobaczyć przepiękny spektakl, złożony z wielu różnokolorowych kształtów, które poruszały się, dotykały, obejmowały, pochłaniały, zmieniały formę i kolor. Niewiarygodne życie kłębiło się na tej projekcji mojej kropli krwi!

Według dziewczyny wszystko było w porządku. Potem przyszedł Vaidya i uznał, że w krwi są jeszcze ślady jedzenia sprzed dwunastu godzin, znak złego wchłaniania; że moje komórki nie są idealnie okrągłe, oznaka niedoboru żelaza; że moja odporność jest niska i zamiast przetrwać pięć godzin, po godzinie już umierała; że...

Pomyślałem, że całe widowisko, z tym akcentem nowoczesności w postaci ekranu telewizyjnego, jest inscenizacją, żeby uwiarygodnić podawanie metali. Pułapka? Jak to, że wśród różnych telefonów, które zaczęły napływać, był również z Dubaju od matki pakistańskiego chłopca, pozdrawiającej Yaidyę? Pozwolił mi z nią porozmawiać. Chłopak ma teraz szesnaście lat i czuje się znakomicie. Są na zawsze wdzięczni Yaidyi za to, co dla nich uczynił.

Przypadek? A może zaaranżował ten telefon, żeby zrobić na mnie wrażenie? Wybrałem przypadek. Vaidya instynktownie mi się podobał. A jego system bez wątpienia pozwolił przywrócić nadzieję wielu ludziom, którzy już ją stracili. Być może Yaidya również kogoś wyleczył. W gruncie rzeczy jednak jego postawa jako lekarza wobec choroby nie różniła się od podejścia naprawiaczy z Nowego Jorku, o których wspominał. On także postrzegał mnie tylko jako ciało, organizm, któremu brakowało jakiegoś metalu, i nic więcej. W najlepszym razie on też chciał wprowadzić do mnie trochę materii, żeby naprawić materię. A tym nie byłem już zainteresowany.

Kiedy powiedział, iż powinienem zacząć zażywać jego kombinację metali służącą wzmocnieniu systemu odpornościowego, odparłem, że chwilowo nie chcę więcej lekarstw

1 że przyjechałem do niego w nadziei, że może spotkam alchemika. Zaśmiał się na to, rozbawiony. Ale sądzę, że mnie zrozumiał, i pożegnaliśmy się serdecznie. Obiecałem, że napiszę o nim i jego eksperymentach w możliwie najuczciwszy sposób.

Miałem przed sobą siedem albo osiem godzin jazdy samochodem do Delhi, więc rozłożyłem się na tylnym siedzeniu starego ambassadora. Droga była wyboista i nie mogłem czytać. Żeby się uśpić, sarn sobie opowiedziałem historię o zwierzętach. Tym razem nie z Pancatantr, których zamysłem było nauczenie tylko czegoś materialnie praktycznego, ale jedną z dużo starszych i prostszych, pochodzących z Wed, które podpowiadały wyższy cel w życiu.

Pewnego dnia, przelatując nad wsią, sokół widzi rybę wypływającą na powierzchnię stawu. Pikuje w jej kierunku, łapie w dziób i odlatuje. Stado kruków, które śledziło tę scenę, rzuca się na niego i próbuje wyrwać mu zdobycz. Jest ich dużo, bezczelnych i hałaśliwych. Dołączają do nich inne. Sokół próbuje wzbić się w powietrze, ale kruki go opadają, atakują, dziobią, nie dają mu wytchnąć.

Kiedy do sokoła dociera, że to wszystko spotyka go dlatego, że wciąż trzyma zdobycz, wypuszcza ją.

Kruki rzucają się na rybę, a sokół odlatuje, lekki i swobodny. Nic ani nikt mu nie przeszkadza ani go nie napastuje. Wreszcie może wznosić się coraz wyżej, w stronę nieskończoności. Jest wolny. Jest spokojny.

Flet pośród mgły

..a las dotrzymał swoich tysiącletnich obietnic. Wystarczyło się weń zagłębić. Z każdym krokiem ożywał, stawał się bardziej tajemniczy, bardziej święty. Drzewa wyglądały jak nawy olbrzymiej katedry, słońce przeświecało ukośnie przez listowie jak przez magiczne witraże. Wkrótce nie było już wokół nas nic, co przypominałoby dzisiejsze czasy. Jedynym ludzkim śladem pozostała ścieżka, która to się wspinała, to opadała w ciemny wąwóz, żeby potem znów się wspinać - coraz wyżej i wyżej.

Drzewa były bardzo stare: dęby, pokryte mchem i porostami, zwisającymi z powykrzywianych gałęzi; gigantyczne rododendrony o korze w nieskończonych odcieniach szarości, różu i fioletu. Każda roślina miała swoją osobowość, swoją historię, blizny po piorunach i pożarach wyrte na wiekowych pniach.

Las porastający zbocza Himalajów był lasem wszystkich legend. Tutaj każda trawka mogła być lekarstwem, każde zagłębienie kryjówką jakiegoś świętego człowieka, każdy dół jamą niedźwiedzia lub lamparta. Odwykliśmy już od takiego naturalnego majestatu, więc zdumienie, połączone z lekkim niepokojem, odebrało nam mowę. Szliśmy w nabożnym milczeniu, wsłuchując się w szum liści, w dobiegające z oddali odgłosy kroków jakiegoś zwierzęcia, w krzyk ptaków. Las odzywał się tysiącem istnień, tworzących jedno wspólne życie.

Wspinając się pod górę, często się myśli o nagrodzie, jaka nas za to czeka; przynajmniej jest możliwość spojrzenia na świat z wysokości. My niespodziankę mieliśmy wcześniej. Ujrzeliśmy wśród zarośli mur z dużych kamieni pokrytych mchem, a potem żelazną furtkę, zardzewiałą i zamkniętą.

Otworzyłem ją. Przeszliśmy między dwoma olbrzymimi drzewami, które stały jakby na straży po bokach ścieżki. Zrobiliśmy jeszcze gdzieś pięćdziesiąt kroków. Las się skończył, ścieżka skręciła i niespodziewanie w pełnym świetle objawił się nam amfiteatr tarasowy z bardzo zielonej trawy. W górze, jakby na ostatniej skarpie, w siodle góry, ujrzeliśmy zarys komina domu zatopionego w cieniu wysokich cedrów.

Wszystko stało się nagle nieruchome i bezgłośnie, jakby nie było prawdziwe, a namalowane na wielkim płótnie, w które za sprawą czarów wchodziliśmy. Była to wizja poza czasem, emanacja spokoju, jakiego już nie znamy.

Zaszczekał pies i starzec, który spał w słońcu, podniósł się.

Musieliśmy wspiąć się jeszcze trochę, żeby dotrzeć do tych dwóch czarnych sylwetek rysujących się na tle nieba. Kiedy znaleźliśmy się na grzbiecie, widok, który roztoczył się przed naszymi oczami, odebrał nam dech w piersi. Wzdłuż całego horyzontu, ponad oceanem gór i dolin, ponad warstwami chmur, jeszcze wyżej, tam, gdzie świat zdawał się już kończyć, ciągnęły się jak okiem sięgnąć niedostępne góry o bieli, która niemal skrzyła się na błękitnym tle. Niematerialne, niewiarygodne, jak na obrazie.

- Proszę powiedzieć prawdę, one są namalowane! -zwróciłem się do Starca, który czekał na nas nieruchomo przed gankiem domu.

Roześmiał się głośno.

- Oczywiście. To Boski Artysta je namalował. I codziennie maluje mi je inaczej - powiedział. Po czym, patrząc mi prosto w oczy, dodał: - Prawdę? Dlaczego, czy jesteście tu w poszukiwaniu prawdy? Jak mogliśmy zaprzeczyć?

- Prawda jest jak piękno. Nie ma granic - kontynuował. - Nie może być uwięziona w słowach czy w formach. Jest bezkresna.

Angela i ja popatrzyliśmy po sobie. W tym momencie nie musieliśmy już się przedstawiać.

Starzec poprosił, byśmy usiedli na dwóch wiklinowych fotelikach, i poczęstował nas wodą.

- Pochodzi ze źródła, tu, z lasu - zapewnił nas. Chudy i pomarszczony, sam zdawał się drzewem z lasu, który dopiero co opuściliśmy. Miał na sobie brązowe spodnie, zniszczony, zielony sweter i wełnianą czapkę, również w kolorze liści. Na jego dużym nosie opierały się okulary, a biała broda okalała ciemną twarz, której lata przebywania na słońcu dodały głęboką opaleniznę. Z sufitu ganku zwisały sznurki, kosze i pęki suszonych ziół.

Był grudzień, ale słońce było ciepłe, powietrze krystaliczne, natomiast góry za naszymi plecami sprawiały wrażenie jeszcze jednego gościa, a może prawdziwego gospodarza. Pies się uspokoił i ułożył do snu przy nogach Starca, który powoli zaczął sobie skręcać papierosa. Z krzewów dzikiej szalwii wystawały długie łodygi fioletowych i białych kwiatów. Krzewy różane, od dawna niepodlewane, obsypane były rozwiniętymi różyczkami. Odnosiliśmy wrażenie, że każde źdźbło trawy i każdy kamień cieszą się spokojem i słońcem.

Kiedy wyciągnęliśmy chleb i ser, które zabraliśmy ze sobą, z wierzchołka cedru opadły, skrzecząc, dwa bardzo czarne kruki i zaczęły domagać się swojej części. Starzec powiedział, że od lat są jego regularnymi biesiadnikami.

- Samiec i samica? - zapytałem.

- A to już ich problem, nie mój - odpowiedział ze śmiechem.

Angela i ja wciąż na siebie spoglądaliśmy. Co nas tu przywiodło? Na pierwszy rzut oka ten co zwykle przypadkowy łańcuch małych kroków, zbiegów okoliczności, decyzji, które dopiero po fakcie wydają się podjęte przez kogoś innego, nie przez nas samych.

Przez tyle lat pobytu w Indiach Angela widziała Himalaje tylko z daleka, z Dharamsali, postanowiliśmy więc spędzić Boże Narodzenie w Almorze, starym miasteczku przy wielkiej barierze górskiej, w miejscu, gdzie Indie graniczą na północy z Tybetem, a na wschodzie z Nepalem. Mieszkaliśmy w dziewiętnastowiecznym bungalowie, zamienionym na pensjonat, noszącym nazwę The Deodars, drzewa bogów, od majestatycznych cedrów, które niegdyś porastały całą okolicę.

Almora ma długą historię. Wspomina się o niej już w puranach, starożytnych legendach. Przez wieki była bramą wejściową do niektórych z najbardziej świętych szczytów Himalajów i ich „tajemnic”. W

Almorze robili sobie przystanek sannjasini, którzy postanowili „iść do lasu”, i święci ludzie, szukający odosobnienia jeszcze dalej, pośród lodowców. W Almorze zatrzymali się tacy poeci jak Tagore i mistycy, jak Vivekananda, który założył tam jeden ze swoich aśramów. Gandhi spędził w tym miejscu kilka tygodni i powiedział potem, że to idealne miejsce dla zdrowia duszy i ciała.

Zgodnie z założeniami świętej geografii Almora znajduje się w centrum trójkąta tantrycznego - inni mówią: swastyki - i to przyczyniło się do jej sławy miejsca szczególnie sprzyjającego skupieniu i życiu duchowemu.

W ubiegłym wieku Almora, z Himalajami wzdłuż całego horyzontu i swoimi jeszcze niemal nietkniętymi lasami, przyciągnęła również niewielką liczbę cudzoziemców, których śladami pospieszyłem. Wszyscy zamieszkali wzdłuż wąskiego grzbietu, który łącząc dwie głębokie doliny, ciągnął się od Deodars przez kilka kilometrów aż za starożytną świątynię Kasar Devi. Właśnie ze względu na obecność tych bardzo szczególnych obcokrajowców, którzy przybyli, żeby ukryć się tam w górze, miejsce nazwano z czasem Cranks Ridge (Grzbiet Dziwaków).

Do tych ekscentryków należał Evans-Wentz, Amerykanin niemieckiego pochodzenia, teozof, któremu zawdzięczamy pierwsze wydanie klasycznej Tybetańskiej księgi zmarłych oraz Żywotu Milarepy. Był tu też Lama Govinda Anagarika, urodzony w Niemczech Wschodnich, który przybył na Grzbiet po odbyciu w Neapolu studiów nad pali, językiem pierwszych tekstów buddyjskich, i po długim pobycie na Capri, gdzie ktoś wziął go za reinkarnację Novalisa, pierwszego niemieckiego poety romantycznego. Novalis zmarł na gruźlicę w 1801 roku w wieku dwudziestu dziewięciu lat, pozostawiając niedokończoną krótką powieść biograficzną. Lama Govinda, jeszcze bardzo młody, w dziwny sposób napisał jej zakończenie, nic nie wiedząc ani o Novalisie, ani o jego niedokończonym dziele.

Inną postacią, która również dotarła tu po uprzednim pobycie na Capri, był Earl Brewster, amerykański malarz, przyjaciel D. H. Lawrence'a i Aldousa Huxleya. Kolejną był Duńczyk Soresen, którego do Indii przyciągnął Tagore. Przez kilka lat był ogrodnikiem w jego akademii w Śantiniketanie, po czym przeniósł się na Grzbiet i został sadhu, przyjmując imię Baba Suniata (Ojciec Zero).

Ja również szukałem ustronia i pomysł spędzenia trochę czasu na Grzbiecie, może w jednej ze starych rezydencji Dziwaków, mnie pociągał. Ale tam też wszystko się zmieniło. Posiadłość, która należała do Wentza, a potem przez czterdzieści lat do Lamy Govindy, została podzielona i brzydkie, cementowe domy wyrosły tam, gdzie dwaj uczeni odtworzyli z miłością mały Tybet. W miejscu bungalowu, w którym Brewster mieszkał przez prawie pół wieku i gdzie umarł w 1959 roku w wieku osiemdziesięciu jeden lat, stała nowoczesna willa; a dokładnie na tyłach Kasar Devi, jednej z najświętszych świątyń w regionie, w samym środku trójkąta tantrycznego, zainstalowano telefoniczną stację przekaźnikową, która swoim ogromnym, żelaznym szkieletem bezcześciła całą panoramę.

W największej demokracji świata każdy ma swobodę robienia tego, co chce, szczególnie we własnym interesie. I tak Grzbiet, kiedyś porośnięty gęstym lasem, teraz jest ogołocony i upstrzony białymi, cementowymi sześcianami, które wynajmowane są nowym Dziwakom: już nie ekscentrycznym i wykształconym postaciom sprzed kilkudziesięciu lat, ale chmarom zachodnich hipisów, których przyciąga przede wszystkim dobra jakość haszyszu, rosnącego tu dziko wzdłuż wszystkich murów, łącznie z posterunkiem policji.

Poszedłem zobaczyć, czy mogę wynająć jeden z tych sześcianów, ale uciekłem zdesperowany. Aż któregoś ranka Richard Wheeler, właściciel Deodars, gdy jedliśmy śniadanie na słonecznym tarasie wychodzącym jak dziób statku na morze mgły w dolinach, wskazał mi za łańcuchami gór, które rozpyływały się w błękicie, ostatni, ciemniejszy od innych szczyt.

- Widzisz, tam na górze nic się nie zmieniło. Las jest jak dawniej, a na szczycie, jak sądzę, mieszka jeszcze stary Hindus - powiedział.

I ów szczyt przemówił do mnie. Patrzyłem na niego i słyszałem, jak szepcze mi wersy Kiplinga:

Coś jest ukryte. Idź tego poszukać

Idź i spójrz za góry

Coś jest zagubione za górami

Idź! Jest zagubione i czeka na ciebie,

Pewnego ranka wyruszyliśmy w drogę. Samochód jechał w górę i w dół przez wzniesienia i doliny, po czym skręcił w dróżkę pnącą się cały czas pod górę przez łaś -najpierw sosnowy, a na końcu dębowy. W niespełna dwie godziny dotarliśmy do polany, w której wilgotnym wnętrzu stał skulony, biało-pomarańczowy mandir, mała hinduistyczna świątynia. Poświęcona była Śiwie, a opiekowała się nią pewna stara sannjasin. Zostawiliśmy tam samochód i ruszyliśmy ścieżką, która zagłębiała się w las. W górę, cały czas w górę przez ponad godzinę, aż do zardzewiałej furtki, Starca i jego domu.

- To idealne miejsce dla kogoś, kto chce pościć z dala od świata - powiedział Starzec.

On pościł tam od ponad pół wieku. Wcześniej też mieszkał na Grzbiecie, ale kiedy stare pokolenie Dziwaków zaczęło wymierać i zastępowane było nowymi przybyszami, kiedy stara, ubita droga, biegnąca wzdłuż Grzbieta, została najpierw poszerzona, a później również wyasfaltowana, postanowił przenieść się „wyżej”. Dawni Dziwacy - powiedział - „przybyli w Himalaje w poszukiwaniu czegoś ponad sobą”; nowi szukali „tylko iluzji”. Timothy Leary, amerykański guru LSD, były psycholog z Harvardu, dotarł na Grzbiet na początku lat sześćdziesiątych. On i jego pastylki stali się symbolem przełomu.

Starzec znał wszystkich, którymi się interesowałem. Przybył na Grzbiet jako młody malarz i pierwszą osobą, z którą się zetknął, był Brewster, wówczas już zaawansowany wiekiem. Brewster, Amerykanin z zamożnej rodziny, napisał na Capri, w Casa dei Quattro Venti, książkę o życiu Buddy, a także trochę rzeźbił. Z Capri przeniósł się do Kolombo, na wyspę zwaną wówczas Cejlon, stamtąd do Pondicherry, do aśramu Śri Aurobindo, a pod koniec lat dwudziestych do Almory, gdzie zajął się malarstwem. Według Starca Brewster zdołał uchwycić ducha gór - niezmiennego aż do końca - lepiej niż ktokolwiek inny.

Starzec mówił nam potem o Rudolfie Rayu, Żydzie rosyjsko-polskiego pochodzenia, znanym na Grzbiecie jako „Ru”. W Wiedniu wyrobił sobie nazwisko jako portrecista, ale potem pod wpływem Freuda przestał malować „to, co widzialne”, żeby poświęcić się przedstawianiu podświadomości. W ten sposób znalazł się wśród Dziwaków. Malował w ciemności, czasem wiele godzin z rzędu, nie mając nawet pewności, że farby znajdą się na płótnie.

- Ru - powiedział Starzec - był zarażony pięknem.

Dla niego wszystko było piękne. Nigdy nie widział rzeczy samej w sobie, lecz związek między nimi - i to dla niego było pięknem.

Również żona Lamy Govindy, Li Gotami, bogata parsi z Bombaju, była malarką. Chciała zobaczyć świat „z odmienną perspektywę”, a żeby to uzyskać, malowała, patrząc na rzeczy z głową w dół, między nogami. Według Starca najdziwaczniejszy ze wszystkich był Duńczyk, Ojciec Zero. Jak pozostali, również on próbował „przekroczyć «Ja»” i nie używał nigdy pierwszej osoby. Napisał na ten temat książeczkę zatytułowaną Dlaczego nazywamy siebie My. Ojciec Zero miał psa, do którego był bardzo przywiązany. Nazywał go Wu, co po chińsku jest przeczeniem, oznacza „tego, którego nie ma”.

- Latem jest moim guru. Zimą termoforem - mawiał.

Choć Starzec przekroczył już osiemdziesiątkę, miał znakomitą pamięć. Pamiętał imiona, daty, rozmowy, szczegóły. Jego umysł był jakby cały czas nastawiony na ostrość. Zapytałem, jak to możliwe. I to wtedy po raz pierwszy napomknął o „sztuczce ze świecą”.

- W życiu nie zajmowałem się niczym innym - powiedział ze śmiechem i zadeklamował dwa słynne wersy z Gity:

Tak jak płomień, który nie drży na wietrze

Taki jest umysł skupiony na brahmanie.

Opowiedział, że tuż po przyjeździe na Grzbiet podjął najważniejszą decyzję w życiu: Zamiast „zostać” malarzem, chciał „być” sobą samym. Spalił wszystkie swoje obrazy i poświęcił się wyostrzeniu umysłu, „wychodzeniu poza”. Ani razu nie użył słowa „medytacja”. Powiedział jednak, że wstawał każdej nocy, żeby pobycć nieruchomo dwie albo trzy godziny w ciszy, przy zapalanej świeczce. To właśnie była owa „sztuczka ze świecą”.

Zapytałem, jacy inni Hindusi mieszkali na Grzbiecie. Jednym z jego przyjaciół był Boshi Sen, Bengalczyk ożeniony z Amerykanką, wnuczką Walda Emersona. Jego pasją była botanika. Od czasów młodości w Kalkucie próbował udowodnić, że również rośliny mają uczucia. Był przekonany, że istnieje inny świat poza tym materialnym i że całe stworzenie przeniknięte jest świadomością takiego samego typu jak ludzka.

Mówiąc o ludziach, których poznał, Starzec opisywał często sposób, w jaki się śmiali. Śmiech danej osoby był według niego ważnym kryterium oceny. „Śmiech intelektualny” jest negatywny; śmiech „naiwny” lub „prosty” pozytywny. Ci, którzy umieli się śmiać również z siebie, jak Brewster, mieli śmiech „czysty”.

On sam, jak zauważyłem, śmiał się pięknie, choć z rozedmą wywołaną papierosami, które od dziesięcioleci wciąż skręcał i namiętnie palił.

Najbardziej szczególnie śmiech, bo głęboko „szczerzy”, należał jego zdaniem do Krishny Prema, Anglika, który pierwotnie nazywał się Roland Npton. W czasie pierwszej wojny światowej był pilotem, a potem profesorem na Uniwersytecie Lucknow w Indiach. W 1929 roku przyjechał do Almory, aby założyć wraz ze swoim guru, kobietą, aśram w Mirtowi, kilka kilometrów od Grzbietu. Starzec

odwiedzał ten aśram, nigdy jednak nie został jego członkiem. Dla swoich poszukiwań wolał samotność własnego domu.

W trakcie tej opowieści Starzec zauważył mój radziecki zegarek z wizerunkiem Buddy, który prawą dłonią dotyka ziemi, żeby wziąć ją na świadka osiągniętego przez siebie oświecenia.

- Ach, wieczność schwytna w pułapkę czasu... I to jakiego czasu! - powiedział. - Gdyby był to przynajmniej czas doświadczenia. Nie, to czas zegarka ze wskazówkami, które wychodzą z serca Przebudzonego! - Uważał to za okropne.

Nie wyjawiałem mu, gdzie go kupił. Była to historia należąca do repertuaru, z którego zrezygnowałem. Powiedziałem tylko, że przez całe życie podróżowałem, a teraz chciałbym się zatrzymać.

- To jedyny sposób, żeby poznać samego siebie - odrzekł, i żeby lepiej to wyjaśnić, wskazując wciąż na tarczy mojego zegarka Buddę owiniętego w pomarańczową tunikę, opowiedział pewną historię.

Pewnego dnia Budda jest w podróży i chce przejść przez las. Wszyscy mu to odradzają. Las jest bardzo niebezpieczny. Ukrywa się w nim groźny bandyta, zabawiający się napadaniem na wędrowców, okradaniem ich i obcinaniem im palców, które doczepia do noszonego na piersi naszyjnika. Jego imię to właśnie Angulimal: anguli (palce), mala (naszyjnik). Budda nie daje się odwieść od zamiaru i rusza sam do lasu. Kiedy tylko bandyta go dostrzeże, rzuca się za nim w pościg, ale nie jest w stanie dogonić mędrca. Angulimal idzie w jedną stronę, a Budda jest z drugiej, biegnie tu, a Budda jest tam. Wyczerpany Angulimal krzyczy:

- Kim ty jesteś? Człowiekiem czy nadczłowiekiem? Bogiem czy diabłem? Biegnę za tobą i nie mogę cię dogonić. Jak to się dzieje, że jesteś znacznie szybszy ode mnie?

- To ty biegiesz. Ja się nawet nie ruszyłem - odpowiada Budda. - Oto jestem.

Angulimal na to się zatrzymuje i w końcu „dogania” Buddę. Rozumie, pada mu do stóp i zostaje jego uczniem.

- Wniosek z tej historii płynie taki - zakończył Starzec - iż trzeba się zatrzymać, żeby się poznać, żeby być sobą.

Doskonale to rozumiałem! Od lat czułem tę konieczność i próbowałem się gdzieś zatrzymać. Po przybyciu do Indii wypytywałem, czy nie ma jakiegoś miejsca, gdzie mógłbym się od czasu do czasu schronić i tam pisać. W Delhi niektórzy znajomi wspominali mi o pewnym starym, odosobnionym domu, położonym w górach na północy, w którym Anglicy więzili Nehru.

- Ale jeśli piszesz na komputerze, to nie dla ciebie - uprzedzali. - Nie ma tam elektryczności. - I na tym się skończyło.

Opowiedziałem Starcowi, że byłem przez trzy miesiące w aśramie Swamiego Dayanandy i studiowałem tam wedantę, ale nie jest to miejsce, w którym mógłbym się zatrzymać.

- Swami nadmiernie wierzą w słowa - stwierdził. Miałem wrażenie, że czyta w moich myślach, i zanim powiedziałem, jak bardzo jednak wedanta mi pomogła, dodał: -Wedanta to znakomity punkt wyjścia, ale zbyt intelektualny. Prawdziwe poznanie nie płynie z książek, nawet tych świętych, ale z

doświadczenia. Najlepiej poznawać rzeczywistość poprzez uczucia, intuicję, a nie przez intelekt. Ten jest ograniczony.

Nie wiedziałem dokładnie, co o nim sądzić. Nie ubierał się na pomarańczowo jak lamowie, nie miał na czole czerwonego znaku hindusów. Nie było w jego wyglądzie ani w jego słowach nic, co wskazywałoby na przynależność do jakiegokolwiek wiary. A zatem?

- Wedanta, buddyzm, hinduizm, dżinizm: jedno nie wyklucza drugiego - odparł. - Takie są Indie; cywilizacja złożona z różnych religii, opierających się jednak na podstawowych ideach, których nikt, począwszy od Buddy, nigdy nie podawał w wątpliwość.

Zatrzymał się i patrząc na mnie, jakby chciał się upewnić, że rozumiem i może podzielam jego pogląd, zaczął je wymieniać:

To nie jest jedyny świat - powiedział, wskazując szerokim gestem ręki cały horyzont.

- To nie jest jedyny czas - i wycelował palcem w mój zegarek.

- To nie jest jedyne życie - i pokazał na siebie, na Angelę, na mnie, na psa i na wszystko, co nas otaczało.

Umilkł na chwilę, jakby chciał nam dać czas na refleksję.

- A to nie jest jedyna świadomość. - Dotknął swojej piersi i zakończył: - To, co jest na zewnątrz, jest także w środku; a tego, czego nie ma w środku, nie ma nigdzie.

Potem, jakby dla rozładowania atmosfery, wybuchnął gromkim śmiechem i zwracając się do mnie, dodał:

- Dlatego podróżowanie niczemu nie służy. Jeśli ktoś nie ma nic w środku, nie znajdzie też nic na zewnątrz. Daremnie szukać po świecie czegoś, czego nie można odnaleźć w sobie.

Uderzyło to mnie. Miał rację.

Na rozmowie upłynęły nam godziny. Zimą dni są krótkie. Wraz ze słońcem schodzącym za horyzont powietrze się ochłodziło i Starzec zaprosił nas do środka. Przeszliśmy przez ciemną i prymitywną kuchnię do spartańskiej jadalni z owalnym stołem, czterema krzesłami i bukłakiem w rogu, po czym przekroczyliśmy próg pokoju, który wyglądał jak piwnica skarbcza. A skarb był dobrze widoczny na ścianie w głębi, gdzie duże okno obramowywało wyjątkowy obraz: Na pierwszym planie pnie i ciemne ramiona dwóch cedrów, za nimi łańcuch górski z masywem Nanda Dewi w środku, który zachodzące słońce zaczynało zabarwiać na bladoróżowo. Nie „martwa” natura, ale wzniosła żyjąca natura, która zmieniała się przed naszymi oszołomionymi oczyma.

Sufit pokoju był wysoki, z drewna poczerniałego przez lata od dymu, ściany miały kolor ochry, a podłoga ułożona była ze starych desek. W kominku ustawiono żelazny piecyk, okrągły jak pół gąsiora, z którego dobywało się pachnące ciepło. Na konsoli medytował mały Budda z brązu. W głębi pokoju, przed oknem, za którym wciąż trwał spektakl gór, stał stary brązowy tapczan, jakby to była łóżka honorowa w teatrze. Po bokach były dwa foteliki z intarsjowanego drewna; na małej szafeczce stała czarno-biała fotografia starego Hindusa i mosiężna doniczka, w której wyrastał żółty kwiat.

Odwrociłem się. Na przeciwległej do okna ścianie w szarym obramowaniu wisiał obraz z tymi samymi górami, widzianymi z tego samego okna, o tej samej porze, tymi samymi oczami. Podeszedłem. W prawym, dolnym rogu widniał niebieski podpis: E. H. Brewster.

Obraz miał swoją milczącą siłę; emanował światłem, które zdawało się odbiciem światła zza okna. Było w tym wszystkim coś czarownego, nieuchwytnego, niemal niepokojącego: obraz obrazu w obrazie. Od samego początku wydawało mi się, że w niego wchodzi. Przez chwilę poczułem, jakbym się prawie gubił w tej dziwnej grze luster, w której zdawała się odbijać świadomość.

- To najpiękniejszy dom, jaki w życiu widziałem - powiedziałem, żeby przerwać milczenie, ale także się upewnić, że to wszystko nie jest halucynacją.

- Kocham ten dom, ale z wzajemnością - odparł Starzec. - On też kocha mnie.

Powiedział, że został wybudowany na początku dziewiętnastego wieku przez kolonialnego urzędnika angielskiego. Potem dodał:

- W czasie drugiej wojny światowej Anglicy więzili tu Nehru.

Angela także pamiętała tę historię, więc spojrzeliśmy po sobie z niedowierzaniem. Jak to możliwe? W tak wielkim kraju, jak Indie, z milionami domów, trafiłem do chaty, o której mówiono mi już dawno - przed chorobą, przed lekarstwami!

Czułem, że coś albo ktoś się ze mną bawi, że mam przed sobą jakąś siłę, której nie mogłem i nie powinienem się opierać. Było tak, jakby wszystko już się zdarzyło.

Wydawało mi się, że w tej atmosferze przemilczenie szczegółu, który mnie dotyczył, równałoby się kłamstwu. Tak więc opowiedziałem pokrótce Starcowi o podróży rozpoczętej w Bolonii, która przez Nowy Jork przywiodła mnie do Almory w poszukiwaniu ustronia.

- Ach, rak! - powiedział, znów z towarzyszeniem chrapliwego śmiechu palacza, po czym zadał mi pytanie, które od tamtej pory -jak myślę - powinno być stawiane wszystkim studentom medycyny w pierwszym dniu ich pobytu na uniwersytecie: - Czy to choroby powodują śmierć, czy też śmierć powoduje choroby?

Potem kontynuował. Czy naprawdę chcę zaprzestać podróży? Czy rzeczywiście szukam schronienia? Jest takie jedno nieopodal. Służyło za komórkę, ale od kilku lat jest przystosowane do zamieszkania.

Natychmiast poszliśmy je zobaczyć. Ujrzałem skromny domek z kamienia, pokryty dachem z płyt. Drzwi były niskie. Wąskie i strome schody prowadziły na drewniane poddasze z małym kominem. Ściany otynkowano błotem i krowim łajnem, okno było duże, z widokiem na Nanda Dewi, najwyższą górę Indii.

- Możesz tu zamieszkać, kiedy zechcesz - powiedział Starzec.

Oniemiałem.

Życie jest tajemnicą i powinno tak pozostać. Coś albo ktoś trzymało w ręku nić mojego życia, tak jak trzyma lunatyka zawieszoną na gzymsie dachu i prowadzi go, nie pozwalając, by spadł.

„Kiedy uczeń jest gotów, pojawia się nauczyciel” - mawiają Hindusi na temat guru. To samo jednak równie dobrze może także dotyczyć miłości, miejsca, wydarzeń, które tylko w pewnych warunkach stają się ważne. Daremnie szukać powodów, polować na fakty i wyjaśnienia. My sami jesteśmy dowodem na to, że istnieje rzeczywistość ponad rzeczywistością zmysłową, że istnieje prawda ponad prawdą faktów i - jeśli upieramy się, aby w to nie wierzyć - gubimy drugą część życia, a wraz z nią radość tajemnicy.

Zrobiło się późno. Angela i ja musieliśmy jeszcze raz przejść przez las aż do mandiru, więc w końcu wyruszyliśmy w takim pośpiechu, żeby oszczędzić sobie wszelkich podziękowań.

- Do widzenia, do widzenia! - krzyknąłem na odchodnym. Zanim zesliśmy na łąki kotliny, rzuciliśmy ostatni raz okiem na góry. Słońce znikło, ale Boski Artysta przeciągnął jeszcze ciepłym różem po lodowcach, a wcześniej po- krył ciemnym i mroźnym woalem wąwozy i szczeliny w dole. Drogę powrotną przemierzaliśmy niemal biegiem - lekko, jakbyśmy byli trochę pijani albo dopiero co wysiedli z lotni. Nie przestawaliśmy rozmawiać.

Mieliśmy wiele do powiedzenia i do zdecydowania. Angela i ja! Moja żona była bardzo wspaniałomyślna. Przez czterdzieści lat dzieliłem z nią najróżniejsze i w większości najpiękniejsze doświadczenia. Przygoda, którą zamierzałem podjąć, była jednak inna; tej podróży nie mogliśmy odbyć we dwoje. Ona o tym wiedziała. Podobnie jak mnie, uderzyły ją wersy Attara, (Fariduddin Muhammad Attar. perski sufi z dwunastego wieku, autor religijnego poematu filozoficznego Rozmowa ptaków), które Starzec zacytował przy pożegnaniu jako wiatyk:

Pielgrzym

Pielgrzymowanie i droga:

Nic tylko ja

W drodze do siebie.

Wróciliśmy do Delhi, po czym ona wyjechała do Florencji. Pod wieloma względami było to rozstanie. Angela wracała do życia, które znaliśmy, ja ruszałem w kierunku życia, co do którego nie miałem nawet pewności, czy istnieje. Ale musiałem spróbować. Bez ograniczeń czasowych, bez terminów. Lekarze, lekarstwa, uzdrowiciele i cuda już mnie nie interesowały. Z mniej lub bardziej skutecznymi kuracjami ciała skończyłem. Szukałem czegoś innego. Podobnie jak Ojciec Sogol z Mont Analogue, alegorycznego opowiadania Renego Daumala, „nie chciałem umierać, nie dowiedziawszy się, dlaczego żyłem”. Albo - dużo prościej - musiałem znaleźć w sobie ziarno spokoju, który mógłbym potem wszędzie zasiać.

Normalne, codzienne życie stało się dla mnie ośmiornicą o tysiącu ramion. Nie byłem w stanie przed nią uciec. Moja głowa, nieustannie zaprzątnięta myślą o obronie, organizacji, jakimś planem albo nadzieją, nigdy nie była pusta i przez to nigdy gotowa do czegoś wielkiego. We Florencji Anam stał się postacią jeszcze śmieszniejszą od tej, którą zastąpił. A jeszcze bardziej niż innym wydawał się śmieszny mnie samemu, który czułem, że nie jestem ani jednym, ani drugim. Kim więc byłem?

Kiedy sannjasini opuszczają świat, zrywają wszelkie wieży, „umierają” w stosunku do swojej przeszłości, i dlatego przenoszą się możliwie jak najdalej od swego dotychczasowego świata: od rodziny, pracy, przyjaciół. Ja nie byłem jeszcze na tym etapie ani nie chciałem - szczerze mówiąc -go osiągnąć. Musiałem jednak się oderwać, nabrać dystansu. Musiałem spróbować tej samotnej podróży, której potrzebę odczuwałem, a zardzewiała furtka w lesie była być może widzialnymi drzwiami do niewidzialnego.

Zostałem w Delhi jeszcze około dziesięciu dni. Kupiłem kolektor słoneczny i konwertor, które miały zasilać mały komputer służącymi do pisania. Zrobiłem zapasy jedzenia i kadzidła. Z Chiang Mai sprowadziłem kilogram najlepszej herbaty ulung. Następnie obszedłem kilkakrotnie dom, żeby wybrać spośród wielu rzeczy i książek zgromadzonych przez całe życie to niezbędne minimum, które chciałbym jeszcze mieć przy sobie.

Wziąłem tankę z Buddą Medycyny, namalowaną dla mnie w Dharamsali, małą, współczesną figurkę z brązu Milarepy i starą, chińską Buddy na podróż -jak ją nazywałem - która stała na parapecie w moim nowojorskim mieszkaniu. Nie zapomniałem o starym dzbanku do herbaty, wykonanym w Yixingu w Chinach co najmniej sto lat temu, i o dwóch małych miseczkach z białej, bardzo cienkiej porcelany. Spośród książek wybrałem egzemplarz upanisad, Gity i kilka zbiorów poezji, przede wszystkim indyjskiej.

Czyja jestem gotowy?

Chciałbym odpowiedzieć mu śmiechem, ale wolałem być szczerzy. Nie. Nie wiem, czy jestem gotowy. Poza tym Prawda wydawała mi się jeszcze trochę zbyt wielką rzeczą, abym sam zaczął jej szukać.

Tak więc to on zaśmiał się swoim chrapliwym śmiechem.

- Oczywiście - powiedział. - To nie my znajdujemy Prawdę. To Prawda znajduje nas. Musimy się tylko przygotować.

Potem wyjaśnił:

- Czy można zaprosić gościa, którego się nie zna? Nie. Ale można wysprzątać dom tak, że kiedy ten przyjdzie, będziemy gotowi przyjąć go i poznać.

A w jakich on jest stosunkach z Prawdą?

Powiedział, że dostrzegł ją kilka razy - przez chwilę. Ale owa chwila wystarczyła, aby dać mu pewność, że nie pochodziła ona z wiary, a z doświadczenia. Nie z doświadczenia innych, a jego własnego. To owa pewność podtrzymywała jego poszukiwania. Jeśli chodzi o porządek w domu, pozostawało mu bardzo dużo do zrobienia. Ma jeszcze stare meble na strychu, które trzeba wyrzucić.

- „Ja” twierdzi, że potrzebuje bardzo dużo rzeczy, aleja wiem, że to pułapka.

Wskazał małą, czarno-białą fotografię na szafce. Był to jego pierwszy guru, Swami Sathyananda, człowiek, który otworzył mu głowę. Z szuflady wyciągnął inne zdjęcie, również czarno-białe, przedstawiające jakiegoś starca. Ten człowiek otworzył rnu - serce. Był to Krishna Prem, Anglik sannjasin, o którym opowiadał mi poprzednio. Zmarł na raka w założonym przez siebie aśramie.

On też na raka. Jak to możliwe? Na Zachodzie - powiedziałem - myśli się, że rak ma coś wspólnego ze stresem, ale w Indiach wielu świętych ludzi ostatniego wieku, którzy żyli w świętym spokoju, z dala od napięć współczesnego życia, umarło na raka: mistyk Ramakryszna i Nisargadatta Maharaj, człowiek robiący bidi bidi na ulicach Bombaju, którego dopadł rak gardła; Ramana Maharysi na bardzo bolesny nowotwór na ramieniu; a J. Krishnamurti, choć już stary, na raka pęcherzyka żółciowego...

- Stres może mieć także charakter wewnętrzny - powiedział Starzec. - Kto szuka Prawdy, musi często bardzo dużo cierpieć. Krishna Prem zdołał włączyć chorobę do swojego życia, zobaczyć ją jako część wszystkiego i osiągnąć, właśnie dzięki chorobie, wyższy stopień świadomości.

- Czy to znaczy, że ją zaakceptowałeś? - zapytałem.

- Nie chodzi o akceptację czy też jej brak, ale o uczynienie z choroby części siebie. Jemu to się udało i na koniec stał się dla nas wszystkich dowodem na to, czego nie można udowodnić.

W każdym pokoleniu, na każdym kontynencie - powiedział Starzec - są takie osoby, jak Krishna Prem czy Ramana Maharysi, które swoim życiem pokazują, że możliwe jest wyjść poza. Wystarczy być zdeterminowanym, wytrwałym i odważnym.

Było jasne, że daje mi dyskretnie rady. Mam dużo książek w torbach, które przywiozłem?

- Uwaga! - ostrzegł mnie. - To, co jest w książkach, to wiedza z drugiej ręki, zapożyczona. Nie ma większej wartości. - I opowiedział mi kolejną historię.

Pewien człowiek wchodzi do dużej biblioteki i po długich poszukiwaniach wybiera trzy książki, które chce wypożyczyć. Podchodzi do lady, żeby je zarejestrować, i pyta bibliotekarza:

- Ile jest książek w tej bibliotece?

- Dziesiątki tysięcy.

- A ile potrzeba czasu, żeby je wszystkie przeczytać?

- Och... niejedno życie.

- A więc tych też nie chcę - mówi mężczyzna. - Musi być chyba jakaś inna droga. - I wychodzi.

Tą inną drogą, według Starca, jest droga doświadczenia. Doświadczenia przeprowadzonego na samym sobie. Prawdziwe zrozumienie nie odbywa się poprzez głowę, ale przez serce. Tak naprawdę rozumie się tylko to, czego się doznało, co poczuło się wewnątrz siebie. Drogi dojścia do tego doświadczenia mogą być rozmaite. On wybrał „sztuczkę ze świecą”: praktykowaną regularnie, bez zmęczenia czy zniechęcenia.

- Przynajmniej dziesięć minut dziennie - powiedział. Jego pierwszy guru zmusił go do tych dziesięciu minut i - jak o tym pomyśli - być może była to największa pomoc, jaką kiedykolwiek otrzymał. Z upływem lat owych dziesięć minut stało się godzinami, ale nie zapomniał znaczenia tamtego pierwszego kroku. Obym ja też go zrobił!

- Na początek przynajmniej dziesięć minut. Zmus się. Była to zachęta kogoś, kto myśli, że dokonał odkrycia i nie chce zachować go tylko dla siebie. Ja byłem bardzo zainteresowany tym odkryciem. Starzec to czuł, więc kontynuował:

- Przede wszystkim musisz uspokoić umysł. Tylko wtedy będziesz mógł słuchać Głosu, który masz w sobie. Nie możesz być niecierpliwy, gdyż intuicja, która otwiera ci świadomość, przychodzi rzadko. Może to być tylko kropla, ale kiedy się pojawia, jest jak ocean. Głos, który wtedy do ciebie przemawia, to Głos Wewnętrznego Człowieka, Człowieka Kosmicznego, Głos „Ja”. Nazwij go, jak chcesz. Nazwij go Umiałowanym, jak czynią to sufiowie; kamieniem filozoficznym, jak alchemicy; nazwij go Bogiem, Buddą, Parśwą; nazwij go On albo Ona. Ale wiedz, że jest, i że To jest prawdziwe ty, ponieważ ty i To nie jesteście osobno. Ty jesteś Tym - zakończył, a jego głęboki śmiech pełen był ciepła i sympatii.

Wróciłem do swojej kryjówki, nie zapalając latarki, którą przywiozłem. Księżyc jeszcze nie wzeszedł, ale roziskrzone niebo wystarczało, bym widział, gdzie stawiam stopy. Przed wejściem do domu przystanąłem. Zrobiło się zimno, ale ziemia była sucha. Wyciągnąłem się na trawie, żeby popatrzeć na gwiazdy. Wydawało mi się, że widzę je po raz pierwszy. I może naprawdę tak było, ponieważ patrzyłem na nie, nie myśląc o ich nazwach, nie szukając Gwiazdy Polarnej czy Malej Niedźwiedzicy. Wyobraziłem sobie, że jestem jaskiniowcem, który nic nie czytał, nie studiował, który nie „wie”. I - wolny od tej całej „wiedzy” - zagubiłem się w cudownym, krzepiącym ogromie wszechświata. Już nań nie patrzyłem. Byłem jego częścią.

Wśród wielu postanowień, jakie powziąłem przy wyjeździe, jedno dotyczyło również prowadzenia sennika. Wiedziałem, że jedynym sposobem jest robienie notatek zaraz po przebudzeniu. Tak więc położyłem karteczki i ołówek obok pięknego pośłania, jakie sobie przygotowałem. Przeczytałem gdzieś, że aby więcej śnić i dzięki temu „być świadomym nocnej podróży duszy”, trzeba mało jeść wieczorem, spać na twardym pośłaniu i - przede wszystkim - zasypiać świadomie, a nie zapadać w sen. Również Swami mówił, że jedynym doświadczeniem porównywalnym ze śmiercią jest przejście od normalnego stanu czuwania do snu i że każdy może tego doznać, zwracając uwagę na ten moment, mając aż do ostatniej chwili świadomość. Spróbowałem, ale byłem tak zmęczony, a pokój tak wyziębiony, że padłem pod ciężkimi, tybetańskimi kocami jak kamień. Szczęśliwy kamień.

Miałem dwa sny i zmusiłem się do ich zanotowania. W pierwszym byłem z przyjaciółmi w zębatym tramwaju, który wjeżdża na Peak w Hongkongu. Szukałem szpitala, którego adres miałem w kieszeni. Jednak na jednym z przystanków, udając, że dojechałem, wyskakiwałem z pojazdu, pozostawiając innych w odjeżdżającym wagonie. Stojąc we wiacie, dawałem im znaki, jak się mamy znów spotkać, ale w głębi duszy wiedziałem, że się ich pozbyłem i nigdy więcej się nie zobaczymy.

W drugim śnie byłem w jakimś mieście w Azji Środkowej. Również tam szukałem szpitala, którego adres dała mi doktor Przynosząca Szczęście z MSKCC. Przechodziłem przez plac, na którym walczyły dwa wielkie byki: jeden czarny, drugi biały. Interweniował jakiś człowiek, jakby czarownik z czerwoną bandaną na czole. Rozdzielał dwie bestie maczetą, obcinał głowę białemu bykowi, wrywał mu język i podawał kęs dziecku, które - zdawałem sobie z tego sprawę - było czarownikiem i prawdziwym przywódcą tej ceremonii. Ów chłopiec „rozwiązał problem” i mógł zdradzić również mnie sekrety swojej mocy. Wiedziałem, że nie mam czasu, że muszę iść do szpitala, ale pomyślałem, iż potem wrócę, więc poprosiłem go o imię i adres. Chłopiec zapisywał go z uśmiechem w moim notesie, a ja

czułem, że mam w ręku coś ważnego, że zbliżyłem się do niewyjaśnionej, ale tajemniczej i skutecznej mocy.

Zazwyczaj to Angela pomaga mi rozszyfrowywać moje sny. Ciekawe, na jakie aspekty zwróciłyby mi uwagę tym razem. Ale nie miałem jej przy sobie, była bardzo daleko. W gruncie rzeczy wydawało mi się, że również o tym śniłem. Wstałem, ogarnięty pozytywnymi wrażeniami. Te sny były dobrą wróżbą. Dostrzegłem w nich potwierdzenie, że chcę być sam, że mam „adres” miejsca, do którego zmierzam, i że owo zbliżanie się do „potęgi magii”, to znaczy do czegoś poza polem rozumu, było dla mnie w owym momencie czymś właściwym.

Świtało. Owinąłem się w koc i wszedłem na najwyższy punkt grzbietu, żeby przywitać góry. Nie było ich jeszcze. Zastłona matowej mgły wisiała nad całym horyzontem. Powoli z owego półmroku wyłoniły się ledwie dostrzegalne cienie, niemal się rozplywające; a potem białe i zimne zarysy. I nagle wierzchołki rozjarzyły się różowo i pomarańczowo. W dolinach mgła nabrała barwy fioletowej, potem złotej, a lodowce zapłonęły na tle nieba lazurytem. Świat stał się apoteozą światła i radości. Chwiejąc się na szczycie cedrów, ptaki zaczęły świergotać. A moje serce z nimi.

Proste, chłodne piękno gór budziło we mnie uczucie podobne jedynie do tego, które rodzi się wraz z miłością: poczucie kompletności, niezwykłej siły, prawie nieśmiertelności. Nigdy wcześniej nie czułem tak blisko obecności boga. Niebo było na wyciągnięcie ręki, a te góry zdawały się prowadzącymi do niego schodami.

Nie potrzebowałem myśleć o mitach ani o mędrkach z lodowych grot, ani też o skarbach ukrytych w Shangrila. Nie musiałem pokładać nadziei w żadnym cudzie. Wszystko było tutaj, w otaczającym mnie życiu. Nic już mi nie ciążyło, nie niepokoiło. Niczego już mi nie brakowało, niczego się nie bałem. Również moja śmierć zdawała mi się częścią tej nieskończonej doskonałości.

Dni zaczęły upływać jeden po drugim w całkowitym spokoju: bez planów, oczekiwań, terminów - poza porą krzepiących wschodów i zachodów słońca.

Wyczuwałem bardzo dyskretną obecność Starca w jego domu, ale on też chciał być sam ze sobą i żadnego z nas nie nachodziła pokusa, żeby dotrzymywać sobie towarzystwa. Później odkryłem jednak, że czasem przyjmuje dziwnych gości.

Mnie interesował przede wszystkim post. Chciałem oczyścić się z tego wszystkiego, czym zapychamy się i rozpraszamy tam, w dole: wiadomościami, pragnieniami, nadziejami, pogawędkami. Tu, na górze, bez prądu, telefonu, gazet, bez niczego i nikogo, z kim i z czym należałoby się liczyć, łatwo było stworzyć wokół siebie pustkę. Kiedy tylko zerwiemy z rutyną, zauważamy, jak mało wolności, również wewnętrznej, mamy w codziennym życiu i jak to, co zazwyczaj robimy i myślimy, jest często owocem zwykłego automatyzmu. Przyjmujemy za pewnik dowody rozumowe, pojęcia naukowe, wymagania naszego ciała i logiki, i tym samym zamykamy sobie możliwość spojrzenia na świat i nas samych w inny niż zwykle sposób.

Ile myśli i przekonań, ile „wiedzy” zgromadziłem przez całe życie! Czy nie byłoby pięknie stać się znów białą kartą, na której można by zapisać coś całkiem nowego? Z tym problemem buddyzm zeń mierzył się od swoich początków w Chinach. Jedna z prostych, ale jakże trafnych anegdot, używanych od wieków dla wskazania drogi nowym adeptom, mówi właśnie o tym:

Pewien profesor idzie do mnicha.

- Powiedz mi, czym jest zeń? - pyta.

Mnich nie odpowiada. Zaprasza go, żeby usiadł, stawia przed nim filiżankę i zaczyna nalewać mu herbaty. Filiżanka się napętnia, ale niewzruszony mnich leje dalej. Profesor jest zdumiony; przez chwilę nic nie mówi, po czym, widząc, że mnich się nie zatrzymuje, zwraca mu uwagę:

- Jest pełna, pełna!

- Właśnie - odpowiada mnich. - Ty też jesteś pełen opinii i przesądów. Jak mogę ci powiedzieć, czym jest zeń, jeśli najpierw nie opróżnisz głowy?

Mnich z tej historii nie wyjaśnia, jak to uczynić. Ale ja odkryłem, że bardzo pomocna jest w tym noc. Wszystkie przedmioty, które w świetle dnia pobudzają nasze zmysły, nocą wycofują się, znikają w ciemnościach i podmiot pozostaje jedynym protagonistą. Noc to jego chwila: wtedy jest jedynym obserwatorem i jedynym obserwowanym.

Być może dlatego, że spałem w warunkach idealnych do śnienia, a może dlatego, że - gdy postanowiłem zapisywać sny - jakaś część mnie czuwała, nigdy nie śniłem tak dużo, jak tam na górze. Każda noc była widowiskiem. Najczęściej nieprzyjemnym. W ciągu dnia czułem się odprężony i pogodny, ale kiedy tylko zasypiałem, opadały mnie zmyły, udręki, obsesje. Za dnia miałem wrażenie, że zdystansowałem się od lęków świata i prowokacyjnie je odrzucałem. W czasie snu wynurzały się ze mnie, jak z jakiegoś rynsztoka cuchnące szczury, najbardziej nieokiełznane namiętności.

Jakbym wciąż powątpiewał, że rzeczywistość zmysłów nie jest jedyna, nocą stawałem naprzeciw innej, z którą musiałem się zmierzyć. Jak ślimaki, które przed zjedzeniem muszą się żywić tylko sałatą i pozostawać w occie, tak samo ja oczyszczałem się i obmywałem. I to w sposób dużo istotniejszy niż na Ko Samui. Płukanie nie dotyczyło już okrężnicy, a głębokiego jelita odepchniętej pamięci, gdzie kończą emocjonalne pozostałości całego życia. W sitku mojej koncentracji znajdowałem toksyny i trucizny dużo bardziej prawdziwe i ciężkie niż pozostałości plastikowych kapsułek wmuszanych nam przez Sarna. Miałem też czas i warunki, żeby się nad tym zastanowić.

Starzec oddawał się w środku nocy „sztuczce ze świecą” i ja próbowałem robić to samo. Było bardzo zimno, ale zmuszałem się do wstawania. Zapalałem mój kagarek i owinięty grubym kocem, w wełnianej czapce naciągniętej na uszy, siadałem na podłodze przed tym małym, pomarańczowym płomykiem o błękitnej duszy. Zamykałem oczy i obserwowałem z obojętnością myśli, wspomnienia, obrazy, pozostałości snów, czasem jedno albo dwa słowa, wynurzające się w głowie, jak bańki powietrza z dna stawu, bez żadnej interwencji, aby je zmienić, odsunąć czy pokierować nimi. Śledziłem je, nie identyfikując się z nimi, jakby nie miały ze mną nic wspólnego: ja nie byłem tymi myślami.

Oddawałem się „sztuczce ze świecą” o wiele dłużej niż dziesięć minut i wydawało mi się, że w ten sposób robię porządek.

Było tam na górze coś jeszcze, co z upływem czasu stawało się dla mnie coraz ważniejsze: cisza. Jest to doświadczenie, od którego już odwykliśmy. Na górze stało się tłem wszystkich przeżyć.

Cisze były różne, każda z nich miała swoje właściwości. W dzień cisza stanowiła sumę świergotu ptaków, krzyku zwierząt, wiejącego wiatru, na co nie nakładał się nigdy żaden dźwięk, który nie pochodziłby od natury: żadnego hałasu silnika albo innego odgłosu pochodzącego od człowieka. Nocą cisza była jednym głuchym dudnieniem, który wychodził z wnętrza ziemi, przenikał przez mury, docierał wszędzie. Cisza tam w górze była dźwiękiem. Czyżby symbolem harmonii przeciwieństw, do której dążyłem? Zdawałem sobie sprawę, że moje uszy absolutnie nic nie słyszą, ale owo dudnienie było na zewnątrz i wewnątrz mojej głowy. Głos Boga? Muzyka sfer? Nasłuchując, też próbowałem go określić i wyobrażałem sobie tylko ogromną rybę, śpiewającą na dnie morza.

To cudowne, cisza! A przecież my, współcześni, unikamy ciszy, niemal się jej boimy, może dlatego, że identyfikujemy ją ze śmiercią. Utraciliśmy nawyk pozostawiania w ciszy, w samotności. Jeśli mamy jakiś problem, czujemy, że ogarnia nas strach, wolimy pobiec i oszołomić się jakimś hałasem, wmieszać się w tłum, zamiast odsunąć się na bok i zastanowić w ciszy. To błąd, cisza jest bowiem pierwotnym doświadczeniem człowieka. Bez ciszy nie ma słowa. Nie ma muzyki. Bez ciszy nie można słyszeć. Tylko w ciszy można osiągnąć zgodność z samym sobą, odnaleźć związek między naszym ciałem i wszystkim tym, co jest w środku. Od dawna głośiłem wśród tych, którzy chcieli mnie słuchać, świętość ciszy, aż wreszcie między starymi, indyjskimi opowieściami znalazłem jedną, wyjaśniającą wszystko przy użyciu niewielu słów.

Pewien król idzie do lasu do sławnego rysziego.

- Powiedz mi, jaka jest natura („Ja”) Duszy? - pyta. Starzec patrzy na niego i nie odpowiada.

Król powtarza pytanie. Ryszi milczy. Król pyta jeszcze raz, ale mędrzec nadal nic nie mówi. Król wścieka się i krzyczy:

- Pytam, a ty nie odpowiadasz!

- Odpowiedziałem ci trzy razy, ale ty nie słuchasz - mówi spokojnie ryszi. - Naturą Duszy jest milczenie.

Ramana Maharishi, mistyk indyjski, zmarły w 1950 roku w swoim aśramie u stóp góry Arunaćal, którą wybrał sobie za guru, miał zwyczaj mówić:

- Istnieją różne sposoby komunikowania się z drugą osobą: poprzez dotyk, rozmowę, ale przede wszystkim przez milczenie.

Milczenie Ramany było „potężne” i wielu odwiedzających przytłaczała sama jego obecność. Angielski pisarz Somerset Maugham wszedł do pokoju, w którym siedział Ramana, i zemdlał. (Wydarzenie to Somerset Maugham opisał w swoim zbiorze esejów *Points of View*. Z niego zrodziła się jedna z jego głośniejszych powieści *Ostrze brzytwy*). Psycholog Carl Jung, choć podczas swojego pobytu w Indiach uzgodnił już spotkanie z wielkim mistykiem, w ostatniej chwili się wycofał. Być może się obawiał, że zwykłe milczenie Ramany spowoduje załamanie się jego teoretycznej wizji psychiki.

Wraz z upływem dni miałem wrażenie, że ciszy otaczającej moje górskie ustronie coraz wyraźniej odpowiada cisza we mnie, i to - w połączeniu z samotnością - dawało mi chwilę prawdziwego uniesienia. Bez rozpraszania się, bez zewnętrznych bodźców umysł mógł swobodnie śledzić swoje myśli, wyjść poza ograniczenia i w końcu się uspokoić. Milczący umysł nie oznacza umysłu wyzbytego

myśli. Znaczący to, że myśli nachodzą nas w tym spokoju i mogą być lepiej obserwowane. Mogą być lepiej myślane.

Nigdy jeszcze świat nie potrzebował tak bardzo nauczycieli ciszy i nigdy nie było ich tak niewielu. Powinni być w szkołach: godzina dziesiąta, lekcja ciszy. Trudna lekcja, ponieważ przystosowani do nieustającej kakofonii miejskiego życia, nie potrafimy już „słyszeć” ciszy. A przecież warto by spróbować. Gdyby w dzieciństwie uczono mnie filozofii, zaczynając od polecenia, żebym był cicho i zastanowił się, kim jestem, może w końcu coś bym rozumiał: przynajmniej tyle, że wszystkie te teorie miały związek z moim życiem i były mniej nudne, niż mi je przedstawiano.

Wielkim doświadczeniem mojego przebywania na górze była przyroda. Rozumiałem, dlaczego niektóre ludy nie potrzebowały świętych pism, przesłań przyniesionych przez kogoś - i jakiegoś innego świata. Przecież to, co mieli przed swymi oczami, było otwartą dla wszystkich księgą. Zawarto w niej wszelkie przesłania. Jest w przyrodzie coś głęboko świętego, w co człowiek nie włożył jeszcze rąk, żeby to wykorzystać i nagiąć do własnych celów.

Przyroda w swej prymitywnej czystości jest w równowadze, ma tę kompletność, do której my, ludzie, dążymy. Obserwując ją, miałem wrażenie, że odnajduję ojczyznę; czułem harmonię, jakiej dotąd nie doświadczyłem. Przywrócenie mojego życia jej rytmowi zdawało mi się samo w sobie lekarstwem. W miastach nie zwracamy już na nią uwagi. Kończy się dzień i automatycznie zapalają się światła. Można więc dalej czytać, spacerować, pracować. Można by - i wielu, zmuszonych swoimi zajęciami, tak czyni - odwrócić wszystko do góry nogami: czuwać w nocy i spać w dzień. Ale w ten sposób sami stajemy na głowie. Im bardziej się cywilizujemy, tym bardziej oddalamy się od natury, łącznie z naszą naturą, która jest częścią całości.

Siedząc na innej skale grzbietu - niekiedy godzinami, już bez udręki upływającego czasu - okutany przed zimnem, naprzeciw horyzontu poprzecinanego łańcuchami białych i błękitnych gór, przeżywałem chwile ekstazy. Ten sam wiatr, który mnie muskał, przyginał żdźbła trawy u moich stóp, popychał chmury na niebie, a życie, które czułem wszędzie dookoła w roślinach, kwiatach, zwierzętach, płynęło też w moich żyłach. Przyroda pomaga poszerzyć świadomość, i moja zdawała się nagle zdolna ogarnąć całość. W przyrodzie nie ma nic małego, miernego; nic, co nas trapi czy zubaża. Przeciwnie, czujemy się w niej powołani do wielkości i - jakbyśmy chcieli wchłonąć w siebie to, co jest na zewnątrz - rozszerzamy instynktownie płuca i oddychamy głęboko.

Byłem sam, ale gdziekolwiek sięgnąłem wzrokiem, widziałem dziesiątki, setki, nieskończoną liczbę innych istnień. Wszędzie było życie, w różnych formach, w różnych stadiach, w nieustannym tworzeniu. Kosmiczny Pająk tkął w tym momencie pajęczynę wszechświata, którego każda część trzymała się na tej samej nici jak perły w naszyjniku Indry, zdolne odbić w sobie wszystkie pozostałe.

Pająk nie potrzebował siódmego dnia, żeby odpocząć. Wciąż tkął. A może był to Wisznu, który w innym pięknym micie spał, a cały wszechświat był niczym innym, jak tylko jego snem? Trzeba uważać, żeby go nie obudzić, bo wszystko rozpierzchnęłoby się w nicości!

Wspaniałe te wizje Stworzenia! Stworzenie, które staje się teraz, które staje się nieustannie. Nie stworzenie zagubione w czasie, dokonane w sześć dni. Nie mężczyzna stworzony przed kobietą! I nie człowiek stworzony na obraz i podobieństwo stwórcy! Naprawdę jest zupełnie odwrotnie: to

człowiek wymyślił stworzyciela na swój obraz i podobieństwo. Czymże innym może być, jeśli nie projekcją „Ja” i jego namiętności, ów bóg różnych religii, zazdrosny o innych bogów, wybiórczy w tym, kogo kocha, i tak mściwy, że skazuje na wieczność tego, kto w krótkim życiu mógł go obrazić? Z całego stworzenia tylko człowiek jest taki. I tylko ludzkie są owe namiętności, które religie przypisują stwórcy. W przyrodzie nie istnieją. Lew nie jest wściekły, kiedy rozszarpuje gazelę, tylko po prostu głodny.

Jakaż to przyjemność obserwować własne myśli! W dodatku w otoczeniu piękna, którym mogłem się swobodnie cieszyć, nie próbując go zawłaszczyć. To jeszcze jeden krzepiący aspekt natury: jej ogromne piękno jest dla wszystkich. Nikt nie może pomyśleć, że zabierze do domu świt albo zachód słońca.

Boski Artysta był niewyczerpany w swoich niespodziankach: czarna chmura przesłaniająca słońce i wylewająca na lodowce strumienie złotej lawy; nagła ściana deszczu, za którą góry połyskiwały, jakby były z metalu; albo wciąż odmienne wyłanianie się świata z kosmicznego mroku nocy.

Gdy patrzyłem tylko na ten skrawek ziemi, nad którym się pochylałem, żeby podnieść coś, co można by położyć u stóp Milarepy na moim stoliku, dostawałem z zachwytu zawrotu głowy. Kolory, kształty, użytkowanie liści - wszystko to zdawało się nie mieć końca, podobnie jak różnorodność źdźbeł trawy i kwiatów, czasami mikroskopijnych. Małe i duże - krzaczek i cały łańcuch Himalajów - były przejawem tego samego piękna, częścią tego samego nie-wyczerpalnego widowiska.

Kiedy pewnego ranka ćwiczyłem odwrócony plecami do słońca, zobaczyłem swoje odbicie w warstwie mgły, która podnosiła się z przepaści pod granią. Mgła przemieszczała się gwałtownymi porywami i nagle wokół cienia mojej głowy utworzyła się aureola ze wszystkimi kolorami tęczy. Nie miałem jednak czasu, żeby uznać się za świętego. Z wierzchołka pobliskiego drzewa rozległo się krakanie kruków. I był to bez wątpienia śmiech.

Dwaj współbiednicy Starca siłą rzeczy wdarli się w moje samotnicze życie i wnet zdałem sobie sprawę, że są strasznie ciekawscy. Kiedy byłem w pokoju, wychylały się zza dachu, żeby podglądać przez okno. Nie mogłem wyjść ani malować, żeby ta dwójka nie usadowiła się nade mną po to, by - jak przypuszczam - komentować moje akwarele. Pewnego popołudnia usłyszałem, że wrzeszczą jak oszalałe. Podeszedłem do okna. Były na drzewie, ale za to duża mała, siedząca na płocie, wyrwała po kolei wszystkie moje kwiaty. Ostrzegły mnie!

Kiedy po długim marszu docierałem na szczyt pobliskiej góry, leciały nade mną i nawoływały z góry. Dotarły tam dzięki kilku uderzeniom skrzydeł, popychane wiatrem. Patrzyłem na siebie ich oczami: byłem taki ciężki, tak przywiązany do ziemi! Tymczasem one - leciutkie. Kiedy podrywały się do lotu i opadały w otchłań wąwozu pod moją granią, mogłem im tylko zazdrościć.

Ów wąwóz ukrywał całe życie, które mi umykało. Stamtąd dochodziło chrapliwe beczenie kakarów, himalajskich kozłów; tam, przy najłżejszym odgłosie moich kroków, uciekały dzikie kozy. Mieli rację starożytni Chińczycy, malując konie z Fergany ze skrzydłami. Jak inaczej przedstawić owo nagłe, lekkie unoszenie się z ziemi?

Pewnego popołudnia, kiedy gęsta mgła z doliny podniosła się, a ja szedłem wzdłuż grzbietu jak po zawieszonym w próżni wybiegu z owego wąwozu, doszedł mnie bardzo cienki dźwięk fletu. Zatrzymałem się. Ów dźwięk do mnie przemawiał. A ja, którego muzyka nigdy specjalnie nie

wzruszała, byłem bliski płaczu. Ów flet, należący być może do dalekiego pasterza, poruszał jakąś moją strunę. Stałem zasluchany. Potem, jak wszystko - być może tylko dlatego, że wiatr zmienił kierunek - również ów dźwięk ucichł. Bardzo silnie odczułem jego brak.

Użyłem więc umysłu, żeby go na powrót usłyszeć.

Czasem jeszcze ten flet odzywa się we mnie. Wiedział o tym Basho, samuraj, który został pustelnikiem i poetą haiku, pisząc;

Gong świątyni

U milki

Ale dźwięk wciąż

Wyływa z kwiatów,

Bez wcześniejszych uzgodnień Starzec i ja pozwalaliśmy, żeby naszymi spotkaniami kierował przypadek. Mijaliśmy się na ścieżce podczas naszych spacerów po lesie albo odwiedzaliśmy się, żeby o coś zapytać lub czymś się podzielić. Nieregularnie, bez żadnego poczucia obowiązku, nie popadając w rutynę.

Owe spotkania, rozmowy czy wspólne picie przed moim domem chińskiej herbaty, którą nalewałem mu z pięknego dzbanka Ybdng, stawały się więc wydarzeniem, które on przypisywał „siłom wszechświata: tym widzialnym i niewidzialnym, dotykającym i niedotykającym, męskim i żeńskim, negatywnym i pozytywnym”, zjednoczonym po to, żeby zrealizować cud owej chwili. Żartował, ale nie do końca.

Dla niego wszystko się łączyło. Był przekonany, że cokolwiek się nam przydarza, ma swój sens, choć najczęściej nie jesteśmy w stanie go dostrzec. Według niego również moja choroba miała sens. Ważne, żebym zdał sobie z tego sprawę i podjął ostatnią podróż: podróż powrotną, jak ją nazywał, podróż każdego człowieka, który budzi się ze snu życia zmysłowego.

- Rozumiesz? To chwila powrotu do domu, cofnięcia się do początków. A te, wiedz o tym, są boskie, bo jeśli na skali czasu pochodzimy od małpy, to na skali bytu - od Boga. Powrócić oznacza upomnieć się o nasze boskie pochodzenie.

W jaki sposób?

- Dokopując się do własnego wnętrza, eliminując stopniowo całą otoczkę swojej osobowości, swojej wiedzy, żeby dotrzeć do istoty swojego bytu. Potrzeba na to odwagi - mówił - chodzi bowiem o to, żeby odrzucać jedną rzecz za drugą, aż już nie ma nic więcej, czego możesz się uchwycić, i odkrywasz, że istnieje coś, co podtrzymuje ciebie. Dopiero wtedy rozumiesz, że to właśnie ta rzecz jest tym wszystkim, czego szukałeś.

- Widzisz? We wszystkich kulturach drzewo życia przedstawiane jest jak ten cedr: korzenie w ziemi, a gałęzie w powietrzu. To samo można powiedzieć o życiu: rodzi się z ciemności i szuka światła. Ale jest też inne drzewo, opisane przez ryszich w upanisadach. Jego korzenie są w niebie, a gałęzie opadają ku ziemi. To drzewo życia duchowego, które wychodzi od materii, żeby wznieść się do nieba, właśnie do swoich boskich korzeni.

Starzec wciąż mówił bardzo powoli, robiąc długie pauzy, jakby chciał dać czas, żeby jego słowa weszły mi nie tylko do uszu.

- I właśnie to życie duchowe się liczy. Najtrudniejszy jest pierwszy krok. Chodzi o to, żeby oderwać się od ziemi, od pewników, jakie mamy. Należy uniknąć pułapki intelektu, choć zawdzięczamy mu wiele. Pomaga nam analizować, wybierać, oceniać i poszerzać pole poznania. Ale co na koniec? Człowiek może dokonać wielkich odkryć, pójść daleko do przodu w wiedzy, ale jakkolwiek będzie ten postęp, na horyzoncie znanego zawsze znajdzie nieznanne. I owo nieznanne będzie zawsze dużo rozleglejsze od tego wszystkiego, co zdoła kiedykolwiek poznać. A zatem? Tak czy owak warto zmierzyć się z tym nieznanym. Przyznajmy to: istnieje tajemnica, a nasz umysł nie jest w stanie jej rozwikłać.

Pewnego wieczora było już całkiem ciemno, kiedy usłyszałam, jak podchodzi pod moje drzwi. Przyszedł zapytać mnie o coś, ale gdy wszedł, zobaczył na ziemi miseczkę z połówką jabłka, i to go rozproszyło.

- Ach... tak, to dla myszy - powiedziałem, mając w końcu okazję przedstawić mu problem, którego rozwiązania szukałem od wielu dni.

Każdej nocy pojawiała się w domu mysz, która podgryzała tu i tam, co się dało, niszcząc wszystkie moje cenne zapasy owoców, ziemniaków i pomidorów. Nie chciałem jej zabijać, próbowałem więc ją przekonać, by jadła to, co podawałem w miseczce, i nie ruszała reszty.

Starzec śmiał się jak szalony z moich dobrych intencji i opowiedział, co przytrafiło się Lamie Govindzie, kiedy był jego sąsiadem na Grzbiecie Dziwaków. Również do jego domu ciągle wchodziła mysz, więc miejscowi mówili mu:

- Lama-ji, musisz ją zabić, nie ma innego sposobu.

Ale Lamę, który był buddystą, odpychała myśl, że miałby zabić żywą istotę. Kazał więc kupić jedną z tych klatek z drzwiczkami na sprężynie, które łapią mysz w pułapkę, ale pozostawiają przy życiu. Zadziałało znakomicie. W krótkim czasie Lama schwycił wiele tych małych gryzoni. Każdego z nich odnosił do lasu i wypuszczał na wolność.

- Czy nie rozumiesz? To cały czas ta sama mysz - mówili ludzie. - Musisz ją zabić. Gdziekolwiek ją zaniesiesz, wraca.

Lama nie mógł w to uwierzyć. Kiedy jednak kolejna mysz trafiła do klatki, pędzlem żony malarki pomalował jej ogon na zielono. Później, w trakcie spaceru, odszedł dużo dalej niż zwykle, żeby ją wypuścić. Kiedy wrócił do domu, niosąc pustą klatkę, mysz czekała już na niego na progu.

- Miała zielony ogon i uśmiechała się do mnie - mówił Lama, kiedy opowiadał tę historię.

Według Starca moje pokojowe rozwiązanie mogło zadziałać.

- W gruncie rzeczy to wszystko kwestia psychiki - powiedział.

Psychiki?

- Tak. Psychika nie jest w nas, to my jesteśmy wewnątrz niej. Psychika jest wszędzie, jest wszystkim, co nas otacza. Nie jest ani zachodnia, ani wschodnia, ale uniwersalna. Psychika jest jedna: dla

zwierząt, roślin, kamieni i ludzi. To wszystko ta sama psychika. Spójrz na pnące, na małe pnące: znajduje miejsce, gdzie może się zaczepić, i potem wspina się w stronę światła. Spójrz na pszczoły, utrzymywane razem przez królową, albo na bociany, które przelatują tędy co roku w swojej drodze znad jeziora Manasarovar w Tybecie do Radżasthanu. Co sprawia, że to wszystko jest możliwe? Psychika! Świadomość, która stanowi podstawę wszystkich świadomości, świadomość kosmiczna, utrzymująca w całości cały wszechświat, bez której nic by nie istniało. Celem jogi jest właśnie nawiązanie kontaktu ze świadomością kosmiczną. Kiedy ci się to uda, przestaje istnieć czas, nie ma już śmierci.

Ale mysz?

- Ona też istnieje w tej świadomości, której moja, twoja, jej świadomość jest tylko odbiciem. - I zaśmiał się. Po czym, jakby chciał mnie sprowokować, dodał:

- I nie są to idee indyjskie! Na Zachodzie wasi rysziowie powiedzieli to samo, co nasi, to samo, co mówi wedanta. Tyle tylko, że wy waszych ryszich zapomnieliście, wstawiliście ich do muzeów, do ksiązek profesorów. Natomiast dla nas są oni wciąż obecni jako towarzysze, nauczyciele życia. Na tym polega różnica.

Zachodni rysziowie?

Lista naszych Jasnowidzów" była dla niego długa: od Heraklita po Pitagorasa i Boecjusza, od Giordana Bruna po Bergsona. Przy czym jego faworytem był Platon.

- Weź go jako guru, a zobaczysz, że przyjmie cię na ucznia i przemówi do ciebie.

Właśnie to czynił Starzec. Wyznał, że od jakiegoś czasu przyjmował Platona w swoim pięknym pokoju z widokiem na góry i spędzał godziny - w milczeniu - na dyskusjach z nim. Według Starca Platon wyszedł dużo bardziej „poza" od wielu innych; jego Republika pozostawała dla niego jedną z najpiękniejszych i najbardziej inspirujących wizji „republiki wewnętrznej", republiki „Ja" (Duszy). Fakt, że Platon ją tak dobrze opisał - twierdził Starzec - musiało być wielką zachętą, żeby również inni jej szukali.

Dla Starca istniała wspólna nić, która poprzez tysiąclecia i różne kontynenty łączyła tak różne postaci, jak Platon i Gurdżijew, Plotyn i Śri Aurobindo, nauczyciele sufizmu, Mistrz Eckhart, Ramana Maharishi i Krishna Prem.

- Wszyscy są na tej samej drodze, jedni trochę bardziej z przodu, drudzy z tyłu, niektórzy pobłądzili, inni dotarli, ale wszyscy poszukują naszych korzeni. To jest sens pytania: „Kim jestem?". Ci, którzy go sobie nie stawiają, nie mogą zrozumieć i może myślą, że jesteśmy szaleni, ale my musimy iść dalej. Wracamy do domu... Naprzód, ty też chodź - powiedział.

Być może wydało mu się, że owo wezwanie było zbyt osobiste, wrócił więc do tematu myszy. Chciał opowiedzieć mi Jeszcze jedną z tych historii, których nie rozumie umysł", ale których on - jak powiedział - był świadkiem. Wstawiłem nową wodę na herbatę, a on skręcił kolejnego papierosa i...

W aśramie w Mirtoli Krishna Prem miał dziesięciu uczniów. Był tam też duży pies tybetański, którego nocą nigdy nie zostawiano na zewnątrz, ponieważ lampart miał zwyczaj robić obchód aśramu i zatrzymywać się, żeby popatrzeć przez wielkie okno. Drapieżnik ryczał, pies szczekał i wszyscy musieli

wstawać z łóżek i wrzeszczeć, żeby odpędzić intruza. Każdej nocy ta sama muzyka i nikt nie był już w stanie spać.

- Spróbuję coś z tym zrobić - powiedział Krishna Prem. Poszedł do świątyni i pozostał tam przez dziesięć minut. Owej nocy lampart się nie pokazał. Następnej też nie, ani kolejnej. Zniknął.

- Ale co ty zrobisz? - zapytał jeden z uczniów starego angielskiego profesora, który został sannjasinem i założył ów aśram, poświęcając go Krysznie, do którego wszyscy tam się zwracali po prostu „On”.

- Nic nie zrobiłem - odparł Krishna Prem. - Porozmawiałem tylko z Nim i powiedziałem: „Twój lampart przeszkadza twojemu psu”.

- To wszystko - zakończył Starzec. - Psychika jest wszędzie, a my, lampart, pies i twoja mysz, jesteśmy wewnątrz niej. Negowanie tego oznacza ślepotę, chęć pozostania w ciemności.

Ślepotą, ciemnością. Owe słowa przypomniały mu, po co przyszedł do mnie tak późno. Potrzebował zapalnika. Nie pozostała mu nawet jedna do „sztuczki ze świecą”, jak nazywał swoje regularne, nocne spotkania z „Ja”.

Dałem mu pudełko, a on odszedł w noc, w stronę swego domu, podpierając się laską.

Co dwa, trzy tygodnie schodziłem do Almory zrobić zapasy. Bazar, położony wzdłuż wąskiej, prowadzącej pod górę drogi wybrukowanej kamieniami, jest jednym z tych w starym stylu. Niektóre domy są jeszcze z drewna, z intarsjowanymi oknami. Sklepiki, czasami miniaturowe, ustawione jeden przy drugim, przypominają małe sceny ze swoim aktorem solistą, kupcem i filozofem. Sprzedawanie i kupowanie to zajęcia marginalne. Wszędzie króluje wielki spokój. Nawet psy właściwie nie są psami: nie szczekają, nie atakują się i dzielą bruk z krowami oraz budami ludzi, przycupniętych dla rozgrzewki przy małych ogniskach.

Bazary są zwierciadłem społeczności, a ten w Almorze sprawiał wrażenie, jakby miał specjalny ładunek mądrości i pogody ducha, nagromadzony przez wieki istnienia w cieniu Himalajów. Wielu z ludzi siedzących w czworoboku swoich sklepików zdawało się tylko czekać na okazję, żeby porozmawiać o losach świata i duszy.

Jednym z tych, przy którym zatrzymywałem się na krótką pogawędkę, był Said Ali, chudy i rozczochrany muzułmanin o bardzo ciepłym uśmiechu. Naprawiał zegarki w małym otworze w murze, któremu nadał nazwę „Milion Tik-Tak”.

Życie twardo obeszło się z Saidem, ale on nie miał mu tego za złe. Jego dwaj synowie zapadli nagle na schizofrenię i ani czarownikom, ani lekarzom nie udało się nic zrobić poza tym, że uczynili Saida jeszcze trochę biedniejszym, niż był. Żona rozpacziała z powodu tego nieszczęścia i przez całe dni błagała Allaha, by ich uzdrowił. Również Said Ali był pobożnym muzułmaninem i nie opuszczał żadnej z pięciu codziennych modlitw, ale w sprawie synów nie zgadzał się z żoną.

- Nie można prosić Allaha, żeby interweniował w sprawach ludzkich. Kiedy mam do naprawienia zegarek, mogę się modlić, ile zechcę. On nie może wykonać mojej pracy za mnie. Uczynił już tak wiele: dał mi oczy, uszy, ręce, rozum. Przynajmniej reperować muszę sam - mówił.

Pewnego dnia zapytałem go, jak to robi, że nie pozwala ogarnąć się przygnębieniu.

- Każdego ranka po modlitwach siadam na ziemi z wyprostowanymi plecami. Podążam za moim oddechem, słucham płynącej w moich żyłach krwi, opróżniam głowę ze wszystkich myśli i skupiam się na Nim: na Nim, który jest poza czasem i przestrzenią. Na Nim, który nie zostawia śladów, nie jest człowiekiem, ale jest zawsze obecny. Przez chwilę z Nim przebywam. Potem przychodzę do pracy - powiedział.

Poza oddaniem Jemu Said Ali miał jeszcze jedną tajemnicę, która trzymała go przy życiu: muzykę. Komponował ghazal i śpiewając je, zapominał o kłopotach. Raz do roku wychodził nawet na scenę. Zawsze w lutym przyjeżdżał do Almory utalentowany Włoch, mistyk i praktyk, muzyk i poeta, który pod nazwiskiem Krishna Das (Sługa Kryszny) zamieszkiwał na jakiś czas w podupadłym hotelu Savoy i prowadził grupę swoich uczniów na poszukiwanie spokoju. Zatem każdego wieczora Said Ali dołączał swój piękny głos do dźwięku sitaru Krishny Dąsa, a poezja pięknych, starych hymnów sufich przepełniała go radością i chęcią życia aż do następnego lutego. Kiedy wchodziłem do jego sklepika, zawsze był uśmiechnięty.

Bazar miał nieodmiennie w zapasie jakieś niespodzianki. Gdy pewnego dnia zbliżałem się do sklepu Balbina, zauważyłem, że właściciel robi w moim kierunku wszystkie wielkie gesty Namaskar, ale nie wypowiada żadnego z licznych słów, jakimi zawsze mnie witał. Uśmiechnął się i podał mi kartkę, na której było napisane: „Sześć tygodni milczenia”. Balbin ślubował swojemu bogu, że nie wypowie ani jednego słowa przez półtora miesiąca! Kontynuował jednak pracę i wydawał polecenia swoim dwóm sprzedawcom głośnym pomrukiwaniem i gestami rąk.

- Zapewne musi odkupić jakieś duże kłamstwo albo oszustwo - skomentował Starzec, kiedy poszedłem do niego, żeby zanieść mu wieści ze świata.

Zaprosił mnie na wspólną kolację i przy okazji opowiedziałem mu o „sierotach”, które pojawiły się na Grzbiecie. Byli to w większości obcokrajowcy w średnim wieku, którzy spędzili całe lata jako uczniowie Osho w Punie, a potem Babadżina w Lucknow. Odkąd ich guru „opuścili swoje ciała”, zagubili się. Dwoje z nich zaprowadziło mnie do swojego białego sześcianu na Grzbiecie, żeby dać mi do posłuchania kasetę, na której Osho mówił o śmierci jako o „wielkim orgazmie z bogiem”. Słuchając po raz nie wiadomo który z kolei tego głosu, ludzie ci omdleli, a mnie uderzyła ich psychologiczna zależność od guru. Czy warto było mieszkać przez lata w aśramie, iść za naukami „mistrza”, jeśli to nie miało doprowadzić do wyzwolenia, a przeciwnie, do popadnięcia w niewolę?

Rozbawiony starzec ustosunkował się do tego w ulubiony przez siebie sposób, opowiadając historię.

Pewien człowiek budzi się rano w łańcuchach i nie wie, jak je zdjąć. Latami szuka kogoś, kto go uwolni. Któregoś dnia przechodzi obok warsztatu kowala i widzi, że ten kuje żelazo, więc prosi go o pomoc. Kowal dwoma uderzeniami przecina łańcuchy. Mężczyzna jest mu bardzo wdzięczny. Zaczyna pracować dla wybawcy, zostaje jego sługą, niewolnikiem i przez resztę życia jest... przykuty do kowala.

- Guru jest ważny - ciągnął Starzec. - Wyraża słowami to, co ty czujesz jako prawdę w sobie. Ale kiedy już przeżyłeś bezpośrednie doświadczenie z tą Prawdą, więcej go nie potrzebujesz. Guru pokazuje ci księżyc, ale biada, jeśli pomylisz z księżycem jego palec. Guru wskazuje ci drogę, ale przejść musisz nią ty. Sam.

Potem, jakby nadszedł odpowiedni moment na wyjawienie rzeczy, która naprawdę mogłaby mi pomóc, dodał:

- Prawdziwy guru to ten w tobie - i przyłożył jeden z kościstych palców do mojej piersi. - Wszystko jest tutaj. Nie szukaj poza sobą. Cokolwiek będziesz mógł znaleźć na zewnątrz, jest ze swej natury zmienne, nietrwałe. Możesz się łudzić, że znalazłeś stabilizację w bogactwie, po czym ono się kończy. Możesz myśleć, że znalazłeś ją w miłości jakiejś osoby, która potem odchodzi. Albo we władzy, która łatwo zmienia kierunek. Możesz powierzyć swoje życie guru, a ten umiera. Nie, nic z zewnątrz nigdy cię nie zaspokoi. Może ci pomóc jedynie stabilizacja wewnętrzna. Natomiast guru, którzy czynią się niezbędnymi, służą własnemu „Ja”, a nie poszukiwaniom swoich uczniów.

Starzec chciał dodać wagi temu, co powiedział, i przypomniał ostatnie słowa Buddy. Kiedy umierał w otoczeniu ścisłego grona zapłakanych wyznawców, Ananda, jego kuzyn i uczeń, zapytał:

- A teraz kto nas poprowadzi?

- Jesteście światłem samych siebie. Schrońcie się w sobie - odparł Budda.

„Ja”, o którym mówił Budda, było - według Starca - tym samym „Ja” z wedanty. - A bez poznania owego „Ja” - zakończył - nie ma żadnego poznania. Tylko informacja.

... A szklanka wody?"

Z myślą doszliśmy do porozumienia. Zjadała to, co każdego wieczora zostawiałem jej w miseczce, i nie dotykała reszty. Sądzę jednak, że rozpowiedziała o tej mojej krainie obfitości kilku swoim mysim przyjaciom lub krewnym, jedno z nich bowiem rozlokowało się na poddaszu mojego pokoju i każdego ranka przed świtem rozrabiało jak diabli... żeby przypomnieć mi, że pora wstawać na „sztuczkę ze świecą”. Przynajmniej lubiłem myśleć, że tak właśnie jest.

Także kamienny stolik, który ustawiłem przed domem dla dwóch kruków, stał się z czasem ludową stołówką, przy której obsługiwało się wielu bardzo różnych „ludzi”, a mnie nie pozostawało nic innego, jak stać w oknie i obserwować ich zachowanie: każde zwierzę ze swoją osobowością, barwami, sposobem bycia, nawykami.

Pewnego ranka stałem na łące w słońcu, żeby naładować się ciepłem, kiedy pojawił się maleńki ptaszek: szary, w biało-czerwone prążki i z grzebykiem z czarnych piór. Zamarłem w bezruchu. On rozejrzał się dookoła, sfrunął na moją stopę i bez żadnych ceregieli zaczął dziobać grube, wełniane skarpety. Kiedy miał dziób pełen nitki na gniazdo, odleciał i po chwili wrócił po kolejną porcję.

Przywiódł mi oczywiście na myśl mistrza zen, który ma właśnie rozpocząć kazanie o zachodzie słońca dla grupy stojących naprzeciwko uczniów, kiedy mały ptaszek przysiadł na parapecie otwartego okna. Rozgląda się, przez chwilę ćwierka i odlatuje.

- Na dziś kazanie skończone - mówi stary mnich i też odchodzi.

Iluż rzeczy nauczyli się Azjaci, obserwując życie zwierząt! Dużo więcej niż my, ludzie Zachodu. Mnisi z Shaolin, żeby nie ulec bandytom, którzy grasowali w lasach otaczających świątynię, wymyślili kung-fu, łącząc w nim techniki obronne różnych zwierząt. Hindusi dla kontrolowania ciała rozwinęli hatha-jogę, naśladując cztery najważniejsze czynności zwierząt: przeciąganie się, mycie, oddychanie i odpoczynek. Zachowanie zwierząt zdeterminowane jest przez instynkt, nie przez myśl, i dlatego ich życie pozostaje w absolutnej zgodności z przyrodą. Nasze coraz mniej. My nie „czujemy” już przyrody, nie bierzemy na poważnie, nie korzystamy już z jej nauk. A przecież wciąż tu jest - wielkie, zawsze otwarte muzeum bez strażników, uniwersytet dostępny dla wszystkich, z lekcjami o każdej porze dnia i nocy.

- Kiedy dotykasz kamienia, czujesz coś. Spróbuj sobie wyobrazić, co czuje kamień. On też ma świadomość - powiedział pewnego dnia Starzec. Potem, może bym nie wziął go za wariata, wyjaśnił, że według śastr, świętych pism, świat minerałów nie różni się od całej reszty, i że żaden rzeźbiarz hinduski ze starożytności nie zrobiłby posągu boga, używając żeńskiego kamienia, ani posągu bogini przy użyciu kamienia klasyfikowanego jako męski na podstawie jego konsystencji, ciepła i pożytkowania.

Poszedłem do niego, żeby opowiedzieć mu swój sen. Chciałem, żeby pomógł mi go zinterpretować, ale to starca nie interesowało. Treść snów - powiedział - to sprawa dla psychoanalityków, którzy próbują przystosować pacjentów do społeczeństwa, zamiast zmieniać społeczeństwo, żeby dostosować je do potrzeb ludzkości w ogóle. Interesowało go natomiast, czy odkryłem, kto śnił.

- Bo jeśli ty jesteś we śnie, kim jest ten, który ciebie śni? Kop dalej. Wkopuj się w jedno miejsce coraz głębiej i głębiej. Zobaczysz, że prędzej czy później znajdziesz wodę - powiedział.

Niekiedy miałem problemy ze świecą. Wszystko szło dobrze, dopóki na zewnątrz było ciemno, ale kiedy tylko wstawał dzień, czułem słońce, mój umysł wyobrażał sobie góry i wolałem oglądać świat na zewnątrz niż z zamkniętymi oczami szukać świata wewnątrz, który czasami wydawał mi się naprawdę bezpodstawny. Nie robiłem z tego przed Starcem tajemnicy. On zaśmiał się i opowiedział mi anegdotę z życia Rabii, wielkiej świętej sufizmu. (Rąbią znaczy „Czwarta”, ponieważ ojciec miał już trzy córki, kiedy się urodziła w 717 roku w Basrze, w dzisiejszym Iraku).

Pozostawała ona przez większość czasu w domu i kontemplowała. Któregoś dnia pod jej oknami przechodził przyjaciel i zawołał:

- Rąbią, wyjdź zobaczyć piękno stworzenia. Zza zamkniętych okiennic dobiegła odpowiedź:

- Wejść do środka zobaczyć piękno Stwórcy!

Piękna historia. Ale mój przekorny duch znów się odezwał i instynktownie zareagowałem:

- Wciąż to „wewnątrz” i „na zewnątrz”. Ale gdzie jest to przekłete „wewnątrz”?

- Na pewno nie wewnątrz twojego ciała. Tam śmierdzi tak samo jak na zewnątrz - odparł Starzec. - Istnieje wewnątrz, które jest nigdzie, jak cisza, jak tamten świat. Gdzie jest tamten świat? Gdybyś był myślącą rybą, ze skłonnością do metafizyki, powiedziałabyś: „Musi przecież być coś poza wodą”. Otóż wewnątrz jest w tamtych stronach.

Wkrótce spadł śnieg. Zaczął prószyć w nocy i kiedy po ciemku wstałem, żeby usiąść przed świeczką, usłyszałem, że na dworze cisza już nie dudni. Dźwięk był stłumiony.

O świcie wyrząłem przez okno i ujrzałem świat cały w bieli. Cedry stały się jeszcze większe ze zmrożonymi gałęziami, amfiteatr na tacie był wyraźniejszy niż kiedykolwiek, natomiast horyzont zakrywała drżąca zasłona wciąż padających płatków. Przed południem na kilka minut wyrzało słońce i góry wydały się bardzo bliskie. Śnieg nadawał im lekkość, jakiej nigdy wcześniej nie widziałem. Ale spektakl ten trwał krótko. Wielka chmura wszystko zdusiła, zrobiło się ciemno i znów zaczęło padać. Trwało tak przez dzień

1 noc, i jeszcze przez kolejne dwa dni. Moje okno było do połowy przysypane, drzwi zablokowane. Wszystkie zwierzęta zniknęły. Pozostała tylko wielka cisza.

Z wioski w dolinie, w głębi urwiska, przyszedł ktoś, żeby się upewnić, czy Starzec dobrze się czuje, i przyniósł wiadomość, że kobieta sannjasin z mandiru zmarła. Znalaziono ją w lesie z oderwaną nogą. Policja próbowała ustalić, czy zamarzła, a zwierzęta potem ją rozszarpały, czy może zaatakował ją lampart i pożarł nogę. W takim przypadku musieliby zorganizować obławę, bo jeśli już raz lampart zagryzie człowieka, nic go nie powstrzyma. Podchodzi wtedy również pod zabudowania w poszukiwaniu zdobyczy. Trzeba go zabić. Zdarzyło się już tak przed rokiem, kiedy lampart porwał w nocy dziecko z szałasów pasterzy położonego kilka kilometrów pod nami.

Potem nastąpiły dwa słoneczne dni. Śnieg zaczął się topić, więc postanowiliśmy ze Starcem zejść do Almory po zaopatrzenie. Droga przez las do mandiru była męcząca. Nikt nie przetała ścieżki i w niektórych miejscach śnieg sięgał nam do połowy uda. Było wiele śladów zwierząt. Starzec pokazał mi tropy lamparta.

- Pięknie byłoby go ujrzeć, choćby z daleka - powiedziałem.

- Zanim ty dostrzeżesz lamparta, najpierw trzy lamparty zobaczą ciebie trzy razy - odparł.

Obydwoj mieliśmy oczywiście na myśli kobietę sannjasin z mandiru i Starzec - trochę dla śmiechu - a trochę dla odpędzenia lampartów, które ze swoich kryjówek być może się nam przyglądały, zaczął recytować donośnym głosem słynny wiersz Williama Blake'a:

Tiger! Tiger! Burning bright

In the forest of the night,

What immortal hand or eye

Could frame thy fearful symmetry?

Tygrys, Tygrys, gorejący/Żywym żarem w dżungli nocy/Jakaż ręka nieśmiertelna/Twój straszliwy kształt poczęta? (tłum. Jolanta Kozak)

Przyłączyłem się do niego i podjęliśmy głośno, idąc śmielszym krokiem: - Tiger/ Tiger! Burning bright...

Światło w lesie, odbijane od bieli śniegu, niemal oślepiało. Drzewa były nieruchome, zmrożone. Niektóre rododendrony zaczęły, o dziwo, kwitnąć, a kiście bardzo czerwonych pączków wyglądały jak garście rubinów rozrzucone po lodzie.

Rozbawieni, wrzeszczeliśmy:

- Tiger! Tiger! Burning bright... - aż do mandiru, gdzie czekał na nas jeep. Zrobiliśmy zakupy na bazarze i wieczorem, obładowani warzywami, ryżem oraz mąką, wróciliśmy cało i zdrowo do domu. Uczciliśmy sukces naszej wyprawy, jedząc wspólną kolację w jego pokoju, w przyjemnym, wonnym cieple, pochodzącym z żelaznego piecyka wstawionego do kominka.

Starzec wyjął z szafki stare wydanie poezji Williama Bla-ke'a, jedno z tych ze złotymi literami na granatowej okładce, i jeszcze raz przeczytaliśmy wiersz, który nas „ocalił”. Naprawdę piękny. Szczególnie dlatego, że na końcu Blake zdaje sobie sprawę, iż ręka odpowiedzialna za stworzenie dzikiej bestii powołała także do życia nieśmiałą owieczkę.

- Widzisz? Anglik z osiemnastego wieku zrozumiał sedno rzeczy jak rysziowie - entuzjasmował się Starzec. - Pojął, że boskość wyraża się w tym, w czym współistnieją przeciwności: wszystko jest przeciwieństwem wszystkiego; piękno i potworność; nienawiść i miłość. Wszystko tam można znaleźć. Nie ma dwoistości. Rysziowie mieli odwagę zobaczyć zło jako część Boga. Ale nie byli jedynymi, W Indiach wizja ta jest tylko bardziej wyraźna: Kali, bogini zniszczenia, z językiem ociekającym krwią i naszyjnikiem z czaszek, jest również Wielką Matką, dawczynią życia, właśnie dlatego, że nie ma stworzenia bez destrukcji. Rozumiesz? Dwoistość to nasze złudzenie. To my chcemy rozróżnić między szczęściem a nieszczęściem, radością a cierpieniem, ale rozróżnienie to jest fałszywe. Naprawdę stanowią jedno.

Zacytował wers z Wed:

- Dzień jest cieniem nocy, życie jest cieniem śmierci. -Potem dodał: - Dojście do tego doświadczenia oznacza wejście w kontakt z Tym, Duchem, Nim - czy jak chcesz to nazwać.

- A gdyby On był złudzeniem? - zapytałem. - Gdyby życie duchowe okazało się tylko pogłoską? W gruncie rzeczy: gdzie jest ten duch?

Popatrzył na mnie rozbawiony.

- To ty mi powiedz, gdzie go nie ma, Tiger.

Od tamtej pory właśnie tak się do mnie zwracał.

Mijały dni, tygodnie, miesiące; spokojnie, przy harmonijnym następstwie myśli, spacerów, ciszy, jakichś rozmów, a przede wszystkim dużej ilości czasu pozostawionego czasowi. Musiałem też pojechać do Nowego Jorku na wyznaczone spotkania z naprawiaczami - raz towarzyszył mi Fol-co, drugi raz Leopold. Naprawdę jednak było tak, jakbym -dzięki samotnemu życiu i „sztuczkom ze świecą” - wprawił się w ćwiczeniu rozdzielania się na dwóch. Moje ciało podróżowało, było usypiane, badane, budzone i wsadzone na powrót do samolotu, ale umysł pozostawał na górze, w spokoju kamiennego domu na wysokości prawie trzech tysięcy metrów. Tak więc wracałem tam, jakbym nigdy nie wyjeżdżał.

Z Nowym Jorkiem i ogólnie światem w dole chciałem mieć coraz mniej do czynienia. Zdawało mi się, że rozumiałem, jak funkcjonuje, i nie podobało mi się to. Zorientowałem się, że nawet mój ukochany szpital, z którym byłem już związany pewnym uczuciem, to przede wszystkim wielki biznes zarządzany z taką samą logiką, jak supermarket czy kopalnia diamentów. Kiedy zaliczka na operację, której miałem zostać poddany, spóźniła się z powodu typowych zawirowań bankowych, zostałem poinformowany, że moje nazwisko zostanie usunięte z listy na przewidziany dla mnie dzień.

Jednak pod moją nieobecność poszło z duchem czasów również szanowane i tradycjonalistyczne MSKCC. Otworzono sekcję medycyny komplementarnej, wprowadzono reiki, badano terapię przeciwrakową w oparciu o arsenik i wysyłano na oddziały młodych ludzi z gitarami, żeby podnosili na duchu obłożnie chorych i mówili im o zdrowieniu holistycznym. Naprawiacze nie mieli najmniejszego zaufania do tych „spraw”, ale szpital przystał najwyraźniej na żądania wielu pacjentów, a przede wszystkim nie chciał stracić części rynku na rzecz uzdrowicieli i im podobnych.

Po drugiej wizycie pozwolenie na pobyt na krawędzi między chorobą a wyzdrowieniem zostało rozciągnięte z trzech na sześć miesięcy, ale nie chciałem przywiązywać większej wagi do tej wiadomości. Jak mi się wydawało, znalazłem własny sposób na dobre samopoczucie, a cisza, widok gór i przebywanie z samym sobą było wszystkim, czego pragnąłem.

Jeśli kiedyś podróżowanie stanowiło rodzaj narkotyku, od którego się uzależniłem, teraz mogłem powiedzieć, że się całkowicie odtrułem. Nie było już żadnego potencjalnego lekarstwa albo uzdrowiciela, którzy mogliby mnie skłonić do podjęcia wędrówki. Ze wszystkich możliwych eskapad interesowała mnie już wyłącznie owa podróż „powrotna”, o której wspominał Starzec, a której doskonały opis znalazłem u Lao Zi. Jak często bywa, w innych okolicznościach nie zwróciłbym nawet na nią uwagi.

Legenda mówi, że kiedy stary chiński filozof, żyjący w szóstym wieku przed Chrystusem, dotarł na grzbiecie bawołu do najdalszej granicy Chin, żeby wyruszyć w stronę Himalajów, skąd już nie wrócił, strażnik z przełęczy Hań powiedział mu, iż przepuści go tylko wtedy, gdy wcześniej zapisze swoje najważniejsze myśli. Waśnie w ten sposób miały się narodzić klasyczny tekst taoizmu Dao de Jing, rozpoczynający się od słynnych wersów: „Dao, które może zostać zapisane, nie jest prawdziwym Dao...”. (Dao (Tao), po chińsku oznacza „drogę”. Jest to mniej więcej to samo pojęcie, co dharma w Wedach i buddyzmie).

W pewnym miejscu tej książki Laozi mówi, że celem człowieka jest ustawienie własnego życia w zgodzie z Dao bez żadnego wysiłku - nie pragnąc niczego osiągnąć, a tylko uznając po prostu to, co jest. Kto praktykuje Dao, ma być tylko w zgodzie z samym sobą, gdyż...

Nie wychodząc przez drzwi

Poznaje wszystko co jest do poznania

Nie wyglądając przez okno

Widzi drogi niebieskie

Bo im dalej się odejdzie

Tym mniej się rozumie

Mędrzec dociera nie wyruszając

Widzi nie patrząc

Czyni nie czyniąc.

W Benaresie odwagi dodała mi jeszcze zachęta Indry, boga podróżników, skierowana do młodego Rohity, by wyruszył w drogę. Był to znakomity bodziec dla starego, który już się zatrzymał, żeby tak pozostał.

Nadeszła wiosna, potem zaczął wiać monsun. Wraz z każdą zmianą klimatu pojawiały się nowe ptaki, nowe zwierzęta, nowe kolory w lesie i na niebie. Droga do Almory zmieniała się wraz z upływem miesięcy. Najpierw była rozplomieniona od kwitnących rododendronów, potem stała się parna i żółta wraz z wybuchem mimoz, a jeszcze później ponaznaczana niebieskimi plamami kiści dzakarandy.

Gdy pewnego ranka schylałem się po kwiat, którego nigdy wcześniej nie widziałem, zauważyłem, że trawa pełna jest chrabąszczy. W hindi - ciekawe, dlaczego - nazywają się ramkigai (krowy Ramy). Jakąż fantazją musiał wykazać się ktoś, kto doszedł do tej nazwy. Moja wyobraźnia też nie próżnowała. Zacząłem obserwować jednego z nich i się zapomniałem. Wspinał się po źdźbło trawy, przechodził na drugie, schodził, niestrudzenie znów się wspinał na kolejne źdźbło, i na następne, aż w pewnej chwili, trzymając się cieniutkiej trawki, która pochylała się lekko pod jego ciężarem, spod swojego błyszczącego, czerwonego pancerzyka, upstrzonego czarnymi punkcikami, wyciągnął maleńkie, przezroczyste skrzydełka i odfrunął. Nie na jakiś inny krzaczek, ale wysoko, wysoko w górę, do nieba, w stronę gór, nic nie wiedząc o prawach grawitacji, nie zastanawiając się, czy jego umysł mógłby myśleć o nieskończoności, robiąc po prostu to, do czego został stworzony, idąc za swoją naturą.

Wiele razy ktoś, kto wiedział, że spędziłem dużą część życia w Azji, pytał mnie, czy zdarzyło mi się widzieć „cuda”, jakieś niecodzienne rzeczy, na przykład jogina, który lewituje, chodzi po wodzie albo potrafi stać się niewidzialny. Nie. Nigdy nie widziałem nic podobnego. Ale ramkigai? Maleńki chrabąszcz odlatujący wolno w dal? Czyż to nie był cud? Nie trzeba szukać nic nadzwyczajnego, jeżeli to, co zwyczajne - jeśli naprawdę się temu przyjrzeć - potrafi być tak zadziwiające. Boskie.

Moje sporadyczne wizyty w świecie, szczególnie w Nowym Jorku, gdzie nie tylko ukochany szpital, ale także cała reszta reprezentowała najbardziej zaawansowany etap tego, co cywilizacja zachodnia była w stanie wyprodukować, utwierdziły mnie w przekonaniu, że rozwiązanie ludzkich problemów nie może pochodzić z rozumu, ponieważ to właśnie on stanowi źródło wielu z nich.

Rozum stoi za skutecznością, a ta dehumanizuje stopniowo nasze życie i niszczy ziemię, od której zależy. Rozum stoi za przemocą, za pomocą której, jak nam się zdaje, położymy kres przemocy. Rozum stoi za bronią, którą produkujemy i sprzedajemy w coraz większej ilości, a potem się zastanawiamy, jak to się dzieje, że jest tyle wojen i tyle zabitych dzieci. Rozum stoi za cynicznym okrucieństwem ekonomii, która każe wierzyć biedakom, że pewnego dnia staną się bogaci, podczas

gdy świat tak naprawdę coraz wyraźniej dzieli się na tych, którzy mają coraz więcej, i tych, którzy mają coraz mniej.

Rozum, który był nam przecież bardzo pomocny i przyczynił się do naszego dobrobytu - przede wszystkim materialnego - teraz uwięził nas w łańcuchach. Pozbawił jakiegokolwiek roli nasze emocje i intuicję, uczynił ze snów martwy język, a teraz narzuca nam myślenie i mówienie wyłącznie na swój sposób.

Rozum odebrał życiu tajemnicę, wymazał z pamięci bajki, uczynił zbędnymi wróżki i czarownice, które uzupełniały przecież naszą, w innym wypadku jałową, panoramę egzystencjalną.

Jaka była alternatywa? Ja sam czułem pod tym względem ograniczenia. Wobec takich słów, jak „serce”, „intuicja”, „energia”, przechodziłem zawsze obojętnie, a przecież, zważywszy na katastrofę wywołaną przez obiektywne prawdy rozumu, uważałem za właściwe zbadać ten - choć niepewny - teren prawd subiektywnych. Żeby poszukać nie alternatywy dla rozumu, ale - jak w przypadku medycyny - czegoś komplementarnego.

Jeśli rozum ze swoimi wytworami, takimi jak ideologie i religie, działając w świecie zewnętrznym, poniósł porażkę w dziele poprawy ludzkiej kondycji, coraz bardziej zdominowanej przez poczucie odseparowania i przemoc, sensowne się wydawało zajrzeć do wnętrza człowieka w poszukiwaniu tam innego rozwiązania. Być może to my jesteśmy rozwiązaniem, dopóki potrafimy uciec przed niewolą ustalonej z góry myśli, doświadczenia, tego, co - jak nam się zdaje - wiemy, aby móc odzyskać swobodę wyobraźni i przestrzeń, w której możemy puścić wodze fantazji.

Czasami zdaje się i oczywiście tak zdawało się również mnie, że porzucenie pewnego gruntu rozumu dla grząskiej gleby nierozumu stanowi ryzyko, ale jest to ryzyko, które - jeśli się dobrze zastanowić - już znamy, choć mamy skłonność o tym zapominać. Czymże jest miłość, jeśli nie zaprzeczeniem rozumu?

A zatem dlaczego nie spróbować nie rozumować, jak w przypadku miłości? Dlaczego nie odrzucić automatyzmu racjonalnego umysłu, który stoi u podstaw całego naszego sposobu widzenia świata?

- Powiedz mi, czym jest Prawda - pewien mnich prosi swojego opata.
- Najpierw musisz wypić jednym haustem całą wodę z rzeki - rzecze zapytany.
- Już to uczyniłem.
- Dobrze, a więc ja już ci odpowiedziałem.

Oto przykład nierozumowania typowego dla buddystów zen, którzy zajęciu temu, właśnie „nierozumowaniu”, namiętnie się poświęcali. Również oni czuli, że nie porzucając typowego sposobu myślenia, nie uda im się uchwycić w jednym mgnieniu, jak marzyli, Ostatecznej Rzeczywistości.

To mnisi uprawiający medytację zen - najpierw w Chinach, w klasztorze Shaolin, a potem w Japonii, gdzie tradycja ta przetrwała aż po dziś dzień - rozwinęli ideę koanu: paradoksu, z którym racjonalny umysł nie jest w stanie sobie poradzić; pytanie pozornie absurdalne, na które logiczna odpowiedź zdaje się niemożliwa. Ale właśnie w tym tkwi sens.

Historia najbardziej znanego koanu jest następująca.

Młody mnich widzi starszych kolegów, jak każdego ranka i wieczora wchodzą do pokoju opata Mokuraiego, którego już samo imię jest w sobie paradoksem: oznacza Cichy Grzmot. Młody mnich jest zazdrosny, ponieważ rozumie, że Mokurai daje innym mnichom specjalne wskazówki dotyczące medytacji. Pewnego ranka zdobywa się na odwagę i również wchodzi do Cichego Grzmotu.

- Ty nie. Jesteś za młody. Idź sobie - mówi na jego widok opat.

Chłopak nalega, więc starzec ustępuje:

- Przyjdź wieczorem.

Wieczorem młodzieniec przychodzi pod drzwi Mokuraiego, uderza trzy razy w gong i wchodzi do celi. Opat mówi mu tylko:

- Potrafisz usłyszeć dźwięk dwóch dłoni, które biją brawo? Dobrze, jaki jest zatem dźwięk jednej dłoni bijącej brawo? Wróć, jak będziesz znał odpowiedź.

Chłopak jest zdezorientowany i każdego dnia przychodzi do mistrza z inną odpowiedzią: jest to dźwięk kropli spadającej na kamień; jest to muzyka gejszy; śpiew szarańczy; powiew wiatru. Wiele różnych dźwięków, ale oczywiście nie chodziło o żaden z nich. Żaden z nich nie jest dźwiękiem dłoni bijącej brawo. Młody mnich cierpi, myśli, rozpacza. Jego męki trwają ponad rok. Każdego dnia powtarza wszystkie dźwięki, aż pewnego ranka pomija je wszystkie i biegnie do Mokuraiego.

- Mistrzu, znalazłem: to dźwięk, który nie ma dźwięku, cisza.

Brawo, młody mnichu. To właśnie dźwięk jednej dłoni bijącej brawo.

Rozwiązanie jest oczywiste, ale dojść do niego było bardzo trudno, i to jest prawdziwym celem koanu. Sekret tkwi nie w rozwiązaniu, ale w procesie dochodzenia do niego, który zaprzętał umysł. W poszukiwaniu rozwiązania młody mnich musiał zmierzyć się z różnymi emocjami, od arogancji po gniew, rozpacz, nienawiść w stosunku do Mistrza, aż w końcu osiągnął spokój ducha, który pchnął jego umysł poza zwykły, linearny sposób rozumowania, pozwolił mu myśleć inaczej, ...nie myśleć i postrzegać rzeczy takie, jakie są: jedna ręka, która klaszcze, nie wydaje żadnego dźwięku.

Umysł jest wytworem czasu, magazynem doświadczeń. Działa za pomocą tego, co zna i ze swej natury nie wychodzi poza to, co jest mu wiadome. Dlatego, gdy osiąga swoją racjonalną granicę i nie znajduje rozwiązania w sobie, w tym, co zgromadził, wycofuje się i pozwala, aby adept medytacji wyszedł poza niego i dokonał skoku świadomości, który pozwoli mu na inną wizję. Dzisiaj jest to wizja braku dźwięku, jutro będzie to wizja Ostatecznej Rzeczywistości, tajemnicy, która istnieje „poza tym światem” - nieznanego, coraz bardziej przerastającego rozmiarami wszystko to, co kiedykolwiek może zostać poznane, jak mówił Starzec.

Często przeżywa się takie doświadczenie również w życiu: kiedy jakiś problem wydaje się nierozwiązywalny, wyjście pojawia się nagle poza logiką wyborów, do jakich przywykliśmy.

Pewnego wieczora, właśnie myśląc o koanie, zrozumiałem wreszcie, że pytanie, nad którym łącałem sobie głowę przez trzy miesiące pobytu w aśramie i które wciąż za mną chodziło: „Kim jestem?”, było koanem koanów. Mimo słów upaniszad i Gity, tym, co zakładało pytanie, nie był proces intelektualny,

który miał się zamknąć odpowiedzią - nawet odpowiedzią z wedanty: „Ty jesteś tym wszystkim” - tym, co zakładało, był proces wątpienia we własną tożsamość.

Odpowiedź tkwi w zadaniu pytania, w uświadomieniu sobie, że nie jestem moim ciałem, nie jestem tym, co robię, ani tym, co posiadam, nie jestem moimi związkami ani nawet moimi myślami czy doświadczeniami, nie tym „Ja”, na którym tak bardzo nam zależy. Odpowiedź jest bez słów. Polega na milczącym zanurzeniu się „Ja” w Sobie.

Zrozumiałem, że część mojego instynktownego usiłowania zmiany tożsamości, rezygnacji z przeszłości poprzez wyjazd do aśramu i przyjęcie imienia Anam, wynikała z tej potrzeby ucieczki od znanego, spojrzenia na świat w inny sposób, bez ciężaru „wiedzy” zgromadzonej przez całe życie.

Spędzałem godziny przed świecą, próbując uspokoić wodę zmaconą wokół problemu „Ja”. Pewnego dnia zapytałem Starca, co myśli o tych praktykach, których celem jest zniszczenie owego „Ja” - czasem z katastrofalnym skutkiem.

Jak zwykle odpowiedź przybrała formę historii. Tej używał sam Ramakryszna, aby odpowiedzieć właśnie na pytanie dotyczące „Ja”.

Tuż za wioską żyje straszliwy wąż, który atakuje i kąsa każdego, kto się do niego zbliży, a nawet z daleka terroryzuje ludzi swoim sykiem. W wiosce nie wiedzą, co robić. Na szczęście pewnego dnia przechodzi tamtędy sadhu, proszą go więc o interwencję. Sadhu idzie do węża i bardzo grzecznie do niego przemawia.

- Musisz zostawić tych chłopów w spokoju. Nie są twoim pożywieniem. Nie zagrażają ci. Dlaczego więc ty im grozisz? - mówi sadhu. - Rozumiem, że musisz jeść myszy i małe zwierzęta z lasu, ale czemu straszysz tych biednych wieśniaków? Zrób to dla mnie: przestań.

Wzruszony wąż się zgadza.

Rok później sadhu przechodzi podczas swoich wędrówek w pobliżu wioski i spotyka węża. Jest naprawdę w opłakanym stanie: jedno oko dynda mu na głowie, krwawi z pyska, a całe ciało ma pokryte ranami.

- Co ci się stało? - pyta sadhu.

- Twoje słowa, Mistrzu, naprawdę mnie zmieniły. Uczyniłem dokładnie to, o co prosiłeś, i teraz wszyscy przychodzą mnie okładać. Nawet dzieci zabawiają się rzucaniem we mnie kamieniami. Ale ja, Mistrzu, wciąż postępuję tak, jak powiedziałeś.

- Kretyn! - wybuchnął sadhu. - Przecież nie powiedziałem, żebyś przestał też syczeć!

Ramakryszna chciał przez to powiedzieć - zakończył Starzec - że „Ja” może być też użyteczne. Potem dodał od siebie:

- Lepiej uczynić, by dojrzało, niż je niszczyć. Żeby żyć na świecie, odrobina „Ja” jest niezbędna do obrony. Wystarczy tylko, żeby „Ja” nie brało się zbyt na serio, a ty musisz wiedzieć, że to tylko maska.

Każdy medal ma dwie strony. Także samotne życie, w spokoju, skupione na sobie, w dodatku tam, w górze, oświetlone radością przebywania na łonie przyrody, miało swój ciemny aspekt. W moim przypadku były to halucynacje.

Pojawiły się pewnej nocy. Siedziałem przed świecą, wykonując to samo ćwiczenie co zwykle. Miało ono na celu uspokojenie umysłu i beznamiętne obserwowanie myśli w całkowitej ciszy. Nagle usłyszałem głos kobiety: nie był to głos kogoś, kogo znałem, na pewno nie Angeli, ale jasny i wyraźny głos, który nie dochodził z żadnego konkretnego miejsca, a który powiedział po włosku:

- Rób tak dalej, ja ci pomogę.

Nie poruszyłem się. Poczekalem, aż jeszcze coś powie, ale mój umysł już się rozkojarzył i śmiał się z figli, jakie potrafi sam sobie i mnie spletać. Ja też uśmiechnąłem się na myśl, że jest tak, iż święci słyszą głos Pana, natomiast opętani głos Diabła, ale nie wydawało mi się, by w moim przypadku chodziło o jeden z nich. Nie był to też głos, o którym wspominał Starzec, ponieważ tamten nie „mówił”; tamten pozwalał tylko „słyszeć” odpowiedzi na problemy, z którymi ktoś się zgłaszał „z oddaniem i wdzięcznością” -jak dodał któregoś razu.

Ów głos wynikał z sytuacji, w jakiej się postawiłem. Przedłużająca się samotność oraz cisza wytwarzają pustkę, która w sensie psychologicznym przyprawia o zawroty głowy. Pozbawiony dodatkowych bodźców umysł koncentruje się, staje się szkłem powiększającym, w którym małe rzeczy ogromnieją. Umysł ma wówczas wrażenie, że wszystko rozumie, że widzi wszystko jaśniej i doświadcza czegoś, co normalnie pozostaje poza doświadczeniem. Jest to odczucie podobne do tego, które -jak sądzę - wywołują niektóre narkotyki, kiedy nawet czas traci swój rytm i staje się czymś w rodzaju fisharmonii, gdzie terażniejszość, przeszłość i przyszłość zachodzą na siebie.

Słyszałem jeszcze parę razy głos owej kobiety, ale nie tak dramatyczny i wyraźny, jak za pierwszym razem. Zapewne to ja bawiłem się z samym sobą.

Potem przytrafiło mi się coś, co na pewno związane było z ćwiczeniem, jakie robiłem, aby oderwać się od ciała, nie identyfikować się z nim, a ze świadomością. Zacząłem odnosić wrażenie, że jest we mnie jakieś nasionko, które chce wykiełkować, ale zduszone zostało warstwami wiedzy, pewności, pojęć i zasad związanych z moim przeszłym życiem: coś, co było uwięzione, a teraz chciało wyzwolić się spod ciężaru materii.

Pewnego wieczora o zachodzie słońca zszedłem do tej części lasu, której jeszcze nie znałem, i zobaczyłem dziwną, wysoką skałę, na której szczycie wyrastał karłowaty dąb, naturalne bonsai, odcinające się wyraźnie na tle różowego zarysu gór. Wdrapałem się na skałę, usiadłem obok drzewa i spostrzegłem, że pod moimi stopami otwiera się pustka urwiska. Przerazająca i pociągająca. Na niebie, bardzo wysoko, pojawiły się moje dwa kruki i zaczęły mnie nawoływać. Odpowiedziałem, więc podleciały bliżej. Coś niesamowitego to ich unoszenie się w zimnym wietrze, który zaczął wiać wraz z zachodem słońca! Opadły do urwiska, a chwilę potem znów były wysoko w górze. Jak zauroczony śledziłem ich ruchy! Czas się nie powtarza, czas jest tylko terażniejszy, ponieważ tylko w terażniejszości się go doświadcza. Wzywały mnie i odpowiedź wydawała mi się prosta; skoczyć i dołączyć do nich. Czułem za sobą obecność, która mnie zachęcała, rękę, która mnie popychała, umysł, który powtarzał, że czas jest tylko w terażniejszości, że ciało to ciężar, którego łatwo się pozbyć, żeby zyskać lekkość i latać jak kruki. Odwróciłem się, przestraszony. Nie zobaczyłem nikogo,

ale byłem pewien, że nie jestem sam. Uczyniłem wysiłek, żeby zachować spokój, skupić się, wycofać z przepaści i potem, powoli, wrócić na moją ścieżkę.

Wejść na skałę jest zawsze łatwiej niż z niej zejść, więc musiałem bardzo uważać, gdzie stawiam stopy. Miałem wrażenie, że z kimś walczę, podczas gdy kruki w górze zaśmiewały się, widząc moje ciało tak uparcie uczonej ziemi.

Nie widziałem Starca już od kilku dni. Pewnego popołudnia spotkałem go przy furtce, gdy wychodził na spacer do lasu.

- Tiger, jak się czuje twój przyjaciel? - zapytał. Myślałem, że mówi o myszy, więc zacząłem mówić, że doszliśmy do porozumienia, ale on dodał:

- Czy wciąż myślisz o jakimś leczeniu? Zrozumiałem, że odnosi się do mojego raka.

- Musisz dojść do punktu, w którym terapia nie będzie już tym, czego pragniesz, ponieważ zrozumiesz, że istnieje dużo głębsze leczenie, nie za pomocą lekarstw. Gdybyś mógł wejść w kontakt z jednością życia, wtedy poczułbyś, że nic ono nie znaczy - powiedział. - Widzisz, są dwa rodzaje zdrowia. Zdrowie niskie, polega na tym, żeby mieć formę atlety; oraz zdrowie wysokie, oznaczające zintegrowanie z chorobą.

Szliśmy jeszcze jakiś czas bez słowa, ale on najwyraźniej kontynuował w duchu swoje rozważania, ponieważ w pewnej chwili przystanął i zapytał:

- Czy odkryłeś, kto umiera, kiedy się umiera? Powiedziałem, że słowami mogłem udzielić wszelkich

słusznych odpowiedzi, ponieważ ostatnio bardzo wiele czytałem i rozmyślałem na ten temat. Interesowały mnie ćwiczenia podpowiadane przez różne tradycje, żeby przygotować się do „umierania żyjąc”, na sposób sufich, ale szczerze mówiąc, nie byłem pewien, czy to wszystko zmieniło coś we mnie. Dla mojej głowy było jasne, że przy narodzinach zaczyna się żyć, ale też i umierać. Życie i śmierć są przejawami tego samego istnienia. Intelktualnie rozumiałem, że wraz ze śmiercią umiera też wszystko, z czym się identyfikujemy: ciało, myśli, nasze związki międzyludzkie, doświadczenie i owo „Ja”, któremu przypisujemy tak wielkie znaczenie. Dlatego każdego dnia należy sobie powtarzać: „Ja tym nie jestem. Ja jestem świadomością”, i ćwiczyć tym samym, by nie przywiązywać się zbyt do tego, czym nie jesteśmy. Ale czy to wszystko wystarczało, żeby uwolnić mnie od strachu przed śmiercią?

A czy on nigdy nie odczuwał tego strachu?

Tak, w młodości - powiedział. Ale teraz już nie. Przeciwnie, jest raczej ciekaw śmierci. Powiedział też, że mam rację: nie chodzi o to, żeby zrozumieć ją głową. Jedynym sposobem poznania jej naprawdę było umrzeć.

Szliśmy dalej wolnym krokiem, wciąż z tym samym tematem w głowie. Powiedziałem, że jedną z najpiękniejszych rzeczy, jakie ostatnio przeczytałem, była Katha-upaniszada, ta, w której młody Naciketas idzie do Śmierci, siada przed jej domem i przez trzy dni błaga, żeby nauczyła go, czym jest Prawda. Śmierć nie chce o tym słyszeć, chowa się. Potem, żeby pozbyć się chłopaka, oferuje mu złoto

i bogactwa. Proponuje mu nawet królestwo i bardzo długie życie, ale Naciketas wszystko odrzuca. Chce tylko tego, co jest poza zasięgiem samej Śmierci.

Śmierć jest tym poruszona. Zgadza się przyjąć Naciketasa na ucznia i - zostając jego guru - uczy młodzieńca tego, co raz poznane, „rozwiązuje wszystkie węzły w sercu i czyni zbędnym jakiegokolwiek inne poznanie”. Jest to ta sama lekcja, jaką znajdujemy we wszystkich innych upaniszadach i w Gicie. To lekcja wedanty: wszystko, co się rodzi, umiera, wszystko, co umiera, się odradza. Pozostaje tylko Dusza, czysta świadomość, która nigdy się nie narodziła i jest poza czasem.

Pamiętałem wersy tej upaniszady i zadeklamowałem je:

Jak ziarno

Człowiek dojrzewa,

Jak ziarno

On na powrót się rodzi.

Starzec był rozbawiony. Katha była ulubioną upaniszadą także jego dawnego guru, Krishny Prema.

- Widzisz? Śmierć nie jest negatywna. Może być Wielką Nauczycielką. W istocie, dzięki niej zadajemy sobie wielkie pytania na temat życia - powiedział. - A jeśli dobrze się zastanowisz... to właśnie ona nas tu przywiodła.

Miał rację.

W drodze powrotnej przeszliśmy blisko miejsca, gdzie kilka dni wcześniej zszedłem ze ścieżki w stronę dziwnej skały z karłowatym dębem. Postanowiłem opowiedzieć mu o tym, co mi się przytrafiło.

- Ach, tak! Zapomniałem ci o tym powiedzieć. Nigdy nie chodź w to miejsce - powiedział Starzec. - Pulsuje wszystkimi zabójstwami, które zostały tam popełnione. Kiedy mieszkali tu Anglicy, stawali na tej skale i strzelali do zwierząt w lesie. Dokonywali prawdziwych rzezi. Potem jeden pasterz zaprowadził tam żonę i zepchnął w przepaść. Miejsca tego należy unikać, uwierz mi.

Po wielu miesiącach izolacji musiałem powrócić do domu. Latem rodzina miała się zebrać w Orsigni w Apeninach Toskańsko-Emiliańskich i nie mogło mnie tam zabraknąć. Myśl o wyjeździe sprawiała mi wielką przyjemność. Tęsknota za Angelą sprawiała czasem niemal fizyczny ból, chciałem też pobyc z dziećmi, których od dawna nie widziałem. Nie było to jednak proste. Nawykłem już do ciszy, do samotnego życia, z głową nakierowaną już na jedno, bez żadnych koniecznych myśli, które zaprzęta ją w normalnym życiu. Bardzo się obawiałem powrotu do codziennej rutyny, do dzwoniącego telefonu, tankowania benzyny, chodzenia na pocztę, z rewizytą do przyjaciół, do rozmów o innych przyjacielach albo o polityce.

Po wielu wzlotach i upadkach, sam w moim kamiennym domu, byłem na tropie czegoś, co leżało mi na sercu, czegoś, co wydawało mi się ważniejsze od całej reszty. Za nic nie chciałem porzucić tej drogi. W gruncie rzeczy się bałem. Bałem się zagubić jak Narada, bohater innej starej indyjskiej opowieści.

Narada był bardzo wiernym wyznawcą i uczniem Wisznu. Pewnego dnia idzie do mistrza i pyta o różnicę między mają, światem iluzji a prawdą. Wisznu nie ma najmniejszej ochoty mu tego tłumaczyć. Jest strasznie gorąco i dręczy go pragnienie.

- Posłuchaj - mówi do Narady. - Najpierw przynieś mi szklanę wody.

Narada biegnie. Trafia do wioski i puka do drzwi. Otwiera mu przepiękna dziewczyna. Narada prosi o wodę, dziewczyna zaprasza go do środka i zaczynają rozmawiać. Narada zakochuje się, żeni z dziewczyną, a ona rodzi mu kilkoro dzieci. Mija dwanaście lat. Pewnego dnia nad wioską rozpętuje się straszliwy huragan. Rzeka występuje z brzegów, porywa domy i Narada widzi, jak w jej odmętach znika żona, a potem - jedno po drugim - wszystkie dzieci. Zostaje tylko najmniejszy syn, którego próbuje ocalić, trzymając wysoko na głowie. Ale woda wciąż się podnosi, sięga mu już do szyi. Narada jest zrozpaczony, nie wie, co robić. Z oczami zwróconymi ku niebu błaga:

- Panie, proszę cię, pomóż mi!

I wtedy, wśród grzmotów i błyskawic, słyszy głos:

- A szklanka wody?

Sens historii leży w tym, że wysyłając Naradę po picie, Wisznu udzielił uczniowi odpowiedzi, której ten szukał: wioska, dziewczyna, rodzina, dzieci... to wszystko mają, świat, który się staje, zmienia. To nie jest Prawda, coś stałego. Natomiast doświadczenie, bardziej od jakiegokolwiek tłumaczenia, pozwoliło Naradzie zrozumieć różnicę między tymi dwoma pojęciami.

Orsigna była wioską, ale mnie nie udało się nawet dobrze odegrać roli dzielnego Narady. Spędziłem lato z rodziną, ale nikomu nie sprawiło to przyjemności. Nieustannie miałem zły humor. Chciałem być sam. Wszystko mi przeszkadzało. W okresie ferragosto wieczorem na placu odbywały się tańce. Kiedyś muzyka dochodząca z doliny i głos jakiegoś prowincjonalnego śpiewaka pod rozgwieżdżonym niebem sprawiały mi radość. Teraz zakłócały „mój spokój”. Miałem za złe nawet dzwonom kościelnym, które już bez udziału dzwonnika, dzięki elektronicznemu urządzeniu, odzywały się automatycznie. Wszystko wydawało mi się zbędnym ciężarem. Dla nikogo nie miałem czasu: dokładne przeciwieństwo tego, do czego dążyłem.

Jeśli tyle miesięcy samotności i skupienia służyło tylko temu, żeby uczynić mnie tak nieznośnym, naprawdę nie było warto. Zdawałem sobie sprawę, że owo uzależnienie od samotności, żeby mieć spokój, świadczyło o niedojrzałości, ale świadomość ta nie wystarczała. Rozumiałem, że samotność sama w sobie nie jest rozwiązaniem. To tylko punkt wyjścia, z którego jednak się nie ruszyłem. W Himalajach odnalazłem ciszę na zewnątrz, ale nie osiągnąłem jeszcze spokoju wewnętrznego. Myślałem tylko o tym, żeby tam wrócić i zabrać się „do pracy” - jak mawiał Starzec.

Kropłą, która przepełniła czarę goryczy, był wózek w położonym najbliżej Orsigni supermarkecie w Maresce. Pojechałem po zakupy, krążyłem między regałami. Powoli przebiegałem wzrokiem po półkach, żeby wziąć to, co mi było potrzebne, i wrzucić do wózka. Patrzyłem na innych, którzy robili to samo, po czym stawali w kolejce, żeby zapłacić. Słyszałem hałas elektronicznych kas, docierało do mnie, jak te wszystkie pudełka, słoiki, kolory i figurki nawołują, żeby je kupić. Nie wytrzymałem. Czy to ja oszalałem, czy świat? Porzuciłem na pół wypełniony wózek i wróciłem do samochodu. W ciągu dwudziestu czterech godzin byłem w samolocie do Delhi. Dwa dni później w moim kamiennym domu.

Spędziłem kolejną zimę pełną śniegu, a potem piękną wiosnę. Tym razem bez halucynacji - przeciwnie, ze złudzeniem, że naprawdę robię jakiś postęp. Wkrótce poddany zostałem próbie. Angela, poświęcając na to lata pracy, po wystawie w Palazzo Pitti, upamiętniającej jej ojca, zorganizowała w Zitadelle w Berlinie drugą. Hans-Joachim Staude, urodzony na Haiti w rodzinie Niemców z Hamburga, jako bardzo młody człowiek przybył do Florencji i tam, nazywany przez przyjaciół Anizo, spędził całe życie na malowaniu.

Ekspozycja ta oznaczała jego pośmiertny powrót - już jako znanego malarza - do Niemiec. Było to wielkie wydarzenie. Przybyli wszyscy krewni niemieccy, rodzina, prasa, telewizja, moi byli koledzy ze „Spiegla”, bardzo wielu przyjaciół i znajomych. Mnie zaś się wydawało, że zostałem wrzucony do jakiejś komedii i zapomniałem swoją rolę. Stałem oślepiały na scenie, nie mogąc sobie przypomnieć swoich kwestii. Tych kilka zdań, które wypowiedziałem, było nie na miejscu. Do tego nasączyłem je ową arogancją, którą tylko surowość i ascetyzm samotniczego życia są w stanie czasem wyzwolić. Kto się poświęca i rezygnuje z przyjemności świata, po czym rozwija, jakby na zasadzie kompensacji, poczucie wyższości, jeśli nie jest głęboko pokorny, w końcu też zaczyna się uważać za świętego.

Hindusi dobrze znają ten mechanizm. Żeby się mieć na baczności, opowiadają historię jogina, który - po latach ciężkich prób i wyrzeczeń - czuje w końcu, że zyskał „moc”, do której dążył. Przygotowuje się do opuszczenia swojej pustelni w lesie, kiedy ptaszek siedzący na gałęzi dokładnie nad nim... plaf, robi mu na głowę. Jogin jest wściekły, spogląda na biedne stworzenie, i to spada na ziemię spopielone. Jogin jest zadowolony. Ma dowód, że jego zamiar się powiódł. Przepełniony pychą, schodzi do doliny i w pierwszej wiosce puka do drzwi, żeby poprosić o jedzenie. Kobięcy głos mówi mu ze środka, żeby zaczekał. Jogin się irytuje i kiedy w końcu kobieta otwiera, aby podać mu ryż, ten patrzy na nią złym wzrokiem.

- Ej, ja nie jestem jak ten ptaszek, którego dopiero co spopieliliś - mówi kobieta.

Zaszokowany jogin uprzytamnia sobie, że istnieją różne sposoby zyskania „mocy”.

Ja też to zauważyłem. Choć Angela nie odizolowała się w żadnych Himalajach, nie zerwała z niczym i z nikim, była dużo pogodniejsza, bardziej zrównoważona i pogodzona ze światem niż ja. To wzmagало jeszcze moją frustrację. Powinienem wziąć ją sobie jako guru. Tymczasem doszedłem do tego, że widziałem w niej (uważałem, że przez swoją obecność w świecie wciągała mnie do środka) przeszkodę dla mojej „pracy”, ostatnią pokusę, która nie pozwalała mi zerwać się do lotu. Ze złością, z jaką można niszczyć to, co się kocha, pomyślałem również o zerwaniu tych więzów. Udało mi się już zapanować nad tyloma pragnieniami; na pewno mogłem wyeliminować również ostatnie.

W ciągu czterdziestu lat był to najtrudniejszy moment tego związku.

„Rzeki nie trzeba popychać, sama płynie” - mawiają Hindusi.

Angela to zrozumiała i pozwoliła mi odjechać, nie robiąc żadnych wymówek. Potrzebuję jeszcze czasu, żeby pobyć sam? Proszę bardzo, bez ustalania terminów ani warunków. Wróciłem do kamiennego domu, wiedząc, że muszę znaleźć rozwiązanie dla mojego niepokoju, które nie byłoby związane z tym czy jakimkolwiek innym miejscem. Wszystkie należą do świata zewnętrznego, dlatego są nietrwałe, zmienne.

Spróbowałem się skupić nad tematami, którymi w owej chwili byłem owładnięty. Miłość, rozstanie, wolność. Czym jest miłość? Zwykłym pragnieniem, a zatem zależnością? A może jednym z najwyższych wyrazów wolności? To bowiem związek, który nie wiąże, i dlatego jest silny, tak jakby słoń się zgadzał na trzymanie go na jedwabnej nici.

Czy oderwanie się od spraw świata oznacza zobojętnienie? A może tylko niebycie ich niewolnikiem? W pierwszym przypadku nie chciałbym już dążyć do tego oderwania. W drugim zaś bym się odnalazł.

Pewnego razu zapytałem Starca, czy rodzina może być przeszkodą dla życia wewnętrznego.

- Dla Buddy była - odparł. Potem, kiedy zrozumiał, że mówię o sobie i że porównanie z Oświeconym nie jest dobre, opowiedział mi historię Tagore, zatytułowaną Kandydat na ascetę. - Ta bardziej pasuje do twojego przypadku - stwierdził.

Pewien człowiek postanawia opuścić rodzinę, żeby zostać sannjasinem. Którejś nocy, kiedy ma ukradkiem wyruszyć w drogę, rzuca ostatnie spojrzenie na śpiącą żonę i dzieci, i zwracając się do nich, mówi:

- Kim jesteście, że trzymacie mnie tu przywiązanego? Jakiś głos w ciemności szeptem;

- Oni są mną, są Bogiem.

Mężczyzna nie zwraca na to uwagi. Nie słucha i opuszcza dom. A Bogu pozostaje tylko stwierdzić:

- Oto ktoś, kto, żeby mnie odszukać, porzuca mnie. Nie, Na dłuższą metę nie byłem stworzony do ascety-

zmu i rezygnacji. Życie wciąż pozostawało dla mnie czymś wspaniałym, silnym wezwaniem. Już samo moje tak dobre samopoczucie na łonie przyrody najlepiej o tym świadczyło. Pewnego dnia uderzył mnie widok kilku kwiatków, które wzruszająco wyrastały w szparach między kamieniami mojego domu. Uparte i pełne fantazji. Ta ich determinacja, by żyć, ciesząc się słońcem, była też moją.

Uznałem, że dużo bardziej w moim charakterze leży coś włączać, a nie wykluczać, jak to ostatnio czyniłem. Włączanie uważałem też zresztą za mądrzejsze.

Powoli zauważyłem, choć nie działo się nic szczególnego, że coraz częściej się uśmiecham. Nawet w trakcie przesiadywania przed świecą byłem bardziej odprężony. Na odległość, bez komplikacji słów, za pomocą których zawsze można w końcu wyrazić za dużo albo za mało, moje stosunki z Angelą się poprawiły. Kiedy spotkaliśmy się po dwóch miesiącach, żeby znów pojechać do Nowego Jorku, odbyło się to zupełnie naturalnie. Nie musieliśmy się z niczego rozliczać. Było tylko dużo śmiechu.

Naprawiacze znaleźli mnie w dobrym stanie i powiedzieli, że chcą, abym pojawił się za rok. Mógłbym umrzeć zaraz potem - jak powiedział lekarz ajurwedyczny z Dehradun, a naprawiacze mogliby i tak zakwalifikować mój przypadek jako sukces. Takie jest prawo statystyk.

Lato spędziłem z rodziną w Orsigni. Znów zacząłem spotykać się z ludźmi, kilkoma przyjaciółmi. Zaangażowałem się nawet w projekt, mający na celu ocalenie starego młyna wodnego na rzece. Czasami odbierałem nawet telefon. To znak, że moja nerwica znalazła się do pewnego stopnia pod kontrolą.

Planowałem powrót jesienią w Himalaje. Angelą miała do mnie dojechać na Boże Narodzenie, ale jak mawiał Swami:

- Chcesz rozśmieszyć Bhagawana? Powiedz mu o swoich planach!

Bhagawan miał bowiem wobec mnie zupełnie inne zamiary.

11 września był przełomem w życiu wszystkich i oczywiście również w moim. Powrót w góry, gdy ludzkość musiała stawiać czoło wyborom o ogromnej wadze historycznej, okazał się dla mnie po prostu niemożliwy. W obliczu tego, co się działo, a jeszcze bardziej wobec tego, co, jak czułem, miało się stać - to przynębiające być Kasandrą – powrót do życia w pustelni wydawał mi się nieprzyzwoity. W samotności, w poszukiwaniu samego siebie czułem już coś bardzo jałowego, jak w miłości głoszonej przez kapłanów. Nie musiałem długo się zastanawiać. Czułem się jeszcze częścią tego świata, nie chciałem być jego niewolnikiem, pragnąłem spróbować żyć w nim lepiej. Jeśli przez te lata samotności czegoś się nauczyłem - zbytnio nie osądzać, uwolnić się od „znanego”, traktować ludzkość jako jedność, nie akceptować podziałów religijnych, rasowych, narodowych, które prowadzą nas do zguby - teraz nadeszła chwila, żeby oddać trochę z tego, co wzięłem. Jeśli zapaliło się w moim sercu małe światełko, które nie drżało przy pierwszym podmuchu wiatru, to była chwila, żeby zapłonęły od niego inne światła, a od nich z kolei następne, aż świat będzie trochę mniej pogrążony w ciemności.

Zainspirował mnie mój wnuk Novalis. Miał dwa lata, był ciekawski i nieświadomy, pełen entuzjazmu, a pozbawiony jeszcze tego uczucia, które szybko tłumi inne - strachu. Chciałem zostawić mu coś, co nie byłoby tylko wspomnieniem dziadka z brodą. Zrodził się z tego pomysł, żeby znów zobaczyć na własne oczy przyczynę wszelkiego lęku: przemoc. Listy przeciwko wojnie zadedykowałem właśnie jemu. Przez trzy miesiące krążyłem po Pakistanie i Afganistanie. Czasami myślałem o moim kamiennym domu i o Starcu. Wyobrażałem sobie, jak się uśmiecha na myśl o moim zapale wobec sprawy braku przemocy. Słyszałem go, jak mówi, że wszystko, co robię, niczemu nie służy, że ta cywilizacja nie jest tego godna, by ją ocalić, i że na pewno nie ratuje się tonącego statku, biegając tu i tam, żeby zatykać dziury. Wiem, że uważał, iż ludzkość - całkowicie już pochłonięta gonitwą za przyjemnościami zmysłowymi - była w przededniu wielkiej neurozy. Wszystko, co się działo, widział na skali wieczności, na której świat narodził się już siedem razy i siedem razy został zniszczony.

W gruncie rzeczy miał może nawet rację - zamieszane w to siły są od nas potężniejsze - ale nie mogłem na to przy stać. Jestem pewien, że gdybym przed nim stanął, zacytowałby jakiegoś świętego albo może nawet tego inteligentnego i mistycznego cwaniaka Gurdżijewa, według którego wystarczyłoby dwieście oświeconych osób, żeby zmienić historię ludzkości. Lepiej zatem spróbować stać się jedną z nich. Słyszałem, jak mówi, że być jest na dłuższą metę ważniejsze niż robić, ale ja myślałem, iż są w życiu chwile, kiedy żeby móc być, trzeba działać. W takich okolicznościach brak działania stawał się działaniem, które wydawało mi się niemoralne.

W gruncie rzeczy w jego pochwalę braku działania było coś głęboko indyjskiego, co mi się nie podobało i nie leżało w mojej naturze. Jeśli mój dach przeciekał, musiałem pójść go naprawić. Starzec - wiem to - potrafił być na to obojętny.

W drodze powrotnej z Kabulu wstąpiłem do Delhi i pojechałem do kamiennego domu napisać ostatni list. Kiedy zobaczyłem Starca, odniosłem wrażenie, jakbyśmy naprawdę przeprowadzili te wszystkie rozmowy, które sobie wyobrażałem.

- Jeśli naprawdę musisz pisać, bądź przynajmniej szczerzy - powiedział.

W tym spróbowałem go posłuchać. Potem zadał pytanie, na które niełatwo mi było szczerze odpowiedzieć.

- Poprzez tę książkę pracujesz dla Niego czy dla siebie? - zapytał, patrząc mi prosto w oczy.

Innymi słowy: poświęcam się Temu, Świadomości, Bhagawanowi, Głosowi, czy też robię to wszystko dla własnego „Ja”? Piszę, bo myślę, że poprzez to zbliżam się do Prawdy, czy dlatego, że lubię widzieć swoje nazwisko w gazetach i mieć przed sobą ludzi, którzy przyszli mnie posłuchać?

Było to bardzo słuszne pytanie. Zadając je, Starzec postawił mi za plecami strażnika, który - wciąż to czuję - wszędzie za mną chodzi. Bardzo przydatny, żeby nic stracić kontroli nad tym, co mi się przydarza, i pilnować swojego „Ja”. Według Starca byłoby dużo lepiej, gdybym został i „kopał w jednym miejscu, zamiast gdzieś krążyć i zbierać jakieś skorupy, myśląc, że to drogie kamienie”. Jednak jego pogląd nie był sądem ostatecznym.

- W końcu znajdziesz Drogę... jeśli wcześniej masz odwagę się zgubić - zakończył, cytując poetę urdu.

Wiele zawdzięczałem Starcowi. Wskazał mi kierunek podróży powrotnej. Przede wszystkim dał mi do zrozumienia, że nie muszę zależeć od żadnej cudzej myśli, od żadnego guru, a tym bardziej od niego. Wszystkiego muszę doświadczyć sam, bezpośrednio, na własnej skórze. To ja mam słuchać Głosu, a nie czyichś relacji o nim.

On i Indie były dla mnie wielką szansą, ale to, czego -jak mi się zdaje - w końcu się nauczyłem, nie jest indyjskie. To część tej wieczystej filozofii, która nie ma narodowości, nie jest związana z żadną religią, ponieważ dotyczy najgłębszego dążenia ludzkiej duszy, z ową odwieczną potrzebą dowiedzenia się, dlaczego jesteśmy na świecie i jak możemy wejść w kontakt z tym, kto nas tu sprowadził.

W Indiach, gdzie nic nie jest nigdy całkowicie porzucane, różne odpowiedzi na te pytania są jeszcze na ustach ludzi, przejawiają się w ich sposobie życia, jak to miało kiedyś miejsce również u nas. Ale nie trzeba wcale jechać do Indii, nie trzeba daleko podróżować, żeby zrozumieć. Kto naprawdę umiera z pragnienia, żeby się dowiedzieć, musi tylko znaleźć źródło, własne źródło. Woda jest zawsze taka sama.

PRZYJAZD

W chmurach

Na koniec wszystko poddawane jest próbie: idee, postanowienia, to, co uważamy za ogarnięte umysłem, postęp, jakiego - naszym zdaniem - dokonaliśmy. Czemu służy siedzenie godzinami na piętach i medytowanie, jeśli nie staliśmy się w ten sposób lepsi, trochę bardziej oderwani od spraw świata, od pragnień zmysłowych, od potrzeb ciała? Co jest warte głoszenie braku przemocy, jeśli nadal się korzysta z okrutnego systemu gospodarki rynkowej? Czemu służy refleksja nad życiem, jeśli potem, w obliczu dramatycznej sytuacji, nie robi się tego, co tyle razy się powtarzało, iż należałoby uczynić, popada się natomiast w stary, uwarunkowany sposób reagowania?

Dopóki przebywałem w mojej górskiej kryjówce na wysokości trzech tysięcy metrów, sprzeczność między tym, co myślę, a tym, co robię, tym, kim jestem, a kim chciałbym być, nigdy się nie pojawiała. Nie było ku temu okazji. Żyłem sam, praktycznie w jednym wymiarze świadomości, i nigdy nie musiałem dokonywać wielkich wyborów. Ale również dla mnie nadeszła chwila weryfikacji, i to w sposób, jakiego się spodziewałem: podczas wizyty w Nowym Jorku.

Miała to być wizyta rutynowa. Minęło ponad pięć lat od początku mojej podróży, czułem się dobrze. Naprawiacze mogliby więc zaklasyfikować mój przypadek jako sukces, choć -jak powiedział lekarz od rtęci z Dehradun - gdybym umarł rok później, nie zepsułoby to statystyk MSKCC. Liczyłem, że spędzę w Nowym Jorku najwyżej zwyczajowy, niezbędny tydzień i wrócę na czas do Florencji, żeby uczestniczyć w Social Forum oraz w wielkiej, pokojowej manifestacji. Ale Bhagawan, który podobnie jak ja na pewno nie lubi rutyny, uśmieł się z tych moich planów i spowodował, żeby wszystko szło jak po grudzie - począwszy od samego przyjazdu do Nowego Jorku.

W kolejce do urzędnika imigracyjnego Angela stała bezpośrednio przede mną. Do jej paszportu wbito już trzymiesięczną wizę, kiedy urzędnik wziął mój dokument, prze-kartkował go, spojrział na mnie i wprowadził nazwisko do komputera. Coś mu się nie spodobało, więc natychmiast zabrał również paszport Angeli, wyszedł ze swojej budki i powiedział:

- Chodźcie za mną.

Broda? Moje liczne wizy pakistańskie? Wiza do Afganistanu? A może zawiadomienie z ambasady amerykańskiej w Rzymie, która w stosunku do pewnych fragmentów Listów przeciwko wojnie wystosowała publiczny protest?

Zostaliśmy przekazani innemu urzędnikowi, który posadził nas w salce, gdzie na rzędach plastikowych fotelików czekała już zaniepokojeni inni podejrzani. Podejrzani oczywiście o terroryzm. Podobnie jak ja, wielu innych mężczyzn nosiło długie brody; żony ich miały jednak głowy osłonięte czarnymi szalami. Byli to pakistańscy, saudyjscy i jemeńscy muzułmanie.

Czekaliśmy pół godziny, po czym jakiś oficjel wezwał mnie do łady, za którą sam siedział wysoko, ja zaś musiałem do niego mówić z zadartym nosem. Powiedział, że wjazd do Stanów Zjednoczonych nie jest żadnym moim prawem i to od niego zależy decyzja, czy odmówić mi wizy wjazdowej, czy też ją przyznać. Wyjaśniłem mu, że przyjeżdżam tu już nie wiem po raz który, pokazałem maili zaświadczenia o wizytach w MSKCC i potwierdzony bilet powrotny. Pytania, odpowiedzi, długie pertraktacje i na koniec:

- Następnym razem musi pan jednak wystąpić o wizę przed wyjazdem - powiedział, zwracając mi wreszcie podstemplowany paszport. Odetchnęliśmy z ulgą. Dobrze mi poszło. A może nie?

Gdyby ów urzędnik wówczas mnie nie wpuścił, lecz wsadził do pierwszego samolotu i odesłał do domu, wydawałoby mi się to katastrofą. Ale dzisiaj? Zawsze bardzo trudno oceniać sens tego, co nas spotyka, w chwili, kiedy się to dzieje. Należałoby nauczyć się raz na zawsze przywiązywać mniejszą wagę do tego rozróżnienia - dobrze czy źle, przyjemnie czy nieprzyjemnie - zważywszy, że ocena zmienia się z czasem, a często sama przestaje mieć w końcu jakąkolwiek wartość.

Teraz patrzę wstecz i widzę, że gdyby zabroniono mi wtedy wjechać do Stanów Zjednoczonych i pójść do szpitala, przynajmniej oszczędziłbym sobie wszystkiego, co nastąpiło potem. Czy również to byłoby dobrem albo złem? Szczęściem albo nieszczęściem?

Ale wizę dostałem i następnego dnia rano stawiałem się punktualnie w szpitalu. Znow zobaczyłem naprawiaczy, powiedziałem im, że czuję się znakomicie, jestem pełen energii, mam wilczy apetyt, nic mnie nie boli, mogę chodzić na długie spacery bez zmęczenia, a przede wszystkim jestem spokojny. Po zbadaniu mnie oni również zdawali się podzielać tę opinię. Ale nie ich maszyny! Szczególnie ten wężyk ze światełkiem na głowie, którym Speleolog manewrował po najciemniejszych zakamarkach mojego znieczulonego ciała. Według maszyn wcale nie czułem się dobrze: mój wewnętrzny przyjaciel zaczął zajmować jeden z narządów i ten kawałek mnie należało wyciąć, i to szybko (zła wiadomość). Ale mam szczęście: najlepszy chirurg w szpitalu jest wolny i może zająć się moim przypadkiem (dobra wiadomość).

Czy była to ta operacja, o której Mahadevan, lekarz z „Miejsca, skąd wypuszczono strzałę”, powiedziałby, że niepotrzebnie mnie „niepokoi”? Być może. Była jedną z tych dziesiątków tysięcy, które -jak wiadomo - wykonywane są niepotrzebnie co roku w Stanach Zjednoczonych? Presja, aby się jej poddać, była silna. Powiedziano mi, że w ciągu półtora miesiąca doszedłbym do siebie i powoli przywykłym też do życia bez tego ważnego kawałka. Zgodziłem się.

Szczęśliwie przyjaciółka z Florencji zaoferowała nam rezydencję w Gramercy Park, więc opuściliśmy hotel- Ale to również mogło doprowadzić nas do rozpacz albo po prostu do śmiechu. Kiedy taksówka zatrzymała się przed starą, elegancką kamienicą, zgodnie ze skomplikowanymi przepisami nowojorskimi musieliśmy zostać zaakceptowani jako „czasowi i godni zaufania goście” naszej przyjaciółki, właścicielki. Tymczasem drzwi pojazdu zatrzasnęły się nagle, uderzając mnie w głowę, a ja stanąłem, półprzytomny i ociekający krwią, przed wyniosłym portierem. Zostawiliśmy u niego walizki i popędziliśmy do najbliższego szpitala, gdzie -jak odkryliśmy - zajmowano się przede wszystkim nagłymi przypadkami narkomanów. Tam na dziurę w owłosionej skórze założył mi szwy bardzo młody stażysta, który wyznał, że robi to po raz pierwszy w życiu.

Gdy wróciliśmy do portiera, stanęliśmy jak wryci. W drzwiach tej starej kamienicy, zamieszkaney przez byłych artystów, pisarzy i aktorów, zobaczyliśmy białą trumnę, z której wychodziła chuda śmierć ludzkich rozmiarów, owinięta w czarny płaszcz, z kosą w ręku i dwiema migoczącymi, czerwonymi lampkami na czaszce, imitującymi ogniste oczy. Ameryka obchodziła Halloween! Dobra czy zła wróżba?

Spotkałem się z chirurgiem i spodobał mi się. Powiedziałem, żeby wyciął wszystkie kawałki, które uzna za konieczne i przy okazji usunął też tę paskudną przepuklinę, którą sobie wyhodowałem. Zaśmiał się. Nic nie mógł z tym zrobić.

To, co nastąpiło potem - przygotowania do operacji, modlitwy, rurki, narkoza - odbyło się w sposób, jaki już znałem. Nie byłem nawet ciekaw. Kiedy się jednak obudziłem, mając jeszcze zamęt w głowie wywołany działaniem środków znieczulających, przede wszystkim zapytałem o liczbę kawałków, które mi wycięto. W odpowiedzi usłyszałem:

- Żadnego.

Żadnego? A zatem wszystko na próżno? Dokładnie.

Po otwarciu brzucha chirurg tak się zdziwił i zaniepokoił tym, co zobaczył, że wolał zostawić wszystko jak jest i zaszyć dopiero co wykonane cięcie, zakładając pięćdziesiąt osiem szwów.

Jego decyzja była właściwa czy mylna? Była dobrem czy złem?

Starym naprawiaczom, którzy utrzymywali mnie przy życiu przez pięć lat i przez to swoje leczenie przyczynili się być może także do nowej sytuacji - zawsze byłem świadomy tego ryzyka - było bardzo przykro. W pewnym sensie to ja musiałem ich pocieszać, kiedy przyszli mnie odwiedzić. Nie byłem już ich przypadkiem. Teraz miał się mną zajmować ich kolega, specjalizujący się w nowej kombinacji schorzeń.

Facet był antypatyczny. Przyjął mnie rozwalony na krześle w swoim gabinecie, z gumą do żucia w ustach i w sportowych butach na nogach, Zobaczyłem go i zrozumiałem, że nie chcę mieć z nim do czynienia. Tak więc kiedy po przeczytaniu moich kart i orzeczeń lekarskich zaproponował natychmiastowe rozpoczęcie nowej, bardzo silnej chemioterapii, rozmowa była krótka.

- Z jaką korzyścią? - zapytałem.

- Ewentualnie sześć dodatkowych miesięcy życia - powiedział.

- W przeciwnym razie?

- W przeciwnym razie nie da pan rady. - I dodał jedno z tych zdań, które dobry lekarz powinien zawsze sobie darować, ale które, szczególnie w Stanach Zjednoczonych, teraz również z powodów prawnych, są coraz częściej wypowiedane: - Jeśli za rok będzie się pan tu jeszcze kręcił, przejdzie pan do historii medycyny.

Nigdy nie aspirowałem, aby wejść do historii medycyny. Teraz jednak nagle otworzyła się przede mną taka możliwość, mimo to odpowiedziałem mu:

- Nie. Dziękuję. Nie poddam się już żadnej chemioterapii.

Wydawało mi się, że Przeżuwacz Gumy źle to przyjął -jak ktoś, kto musi odstąpić klienta konkurencji.

Konkurencją nie był zaś żaden sympatyczny lekarz czy medycyna alternatywna. Wybrałem pokój zamiast nowej wojny. Nie poddawałem się. Wcale nie rezygnowałem z leczenia się. Chciałem tylko to robić w inny sposób. Zdecydowałem się na powrót do harmonii... z życiem kosmicznym.

Mój brzuch stał się polem bitwy, ale głowa nie, więc decyzja była jasna i nie podlegała żadnym zmianom. Nie odrzuciłem lekarzy i ich nauki, ale nie czułem się już tak uzależniony od nich jak przed pięciu laty. Lekarze mogą być dobrymi doradcami, ale końcowa decyzja, co robić, a czego nie, należy do pacjenta, gdyż w ostatecznym rozrachunku nie jest ani naukowa, ani praktyczna, tylko egzystencjalna. Do każdego należy decyzja, jak chce dalej żyć.

Lekarstwa? U lekarza z Dehradun naprawdę przestałem ich szukać i nie chciałem zaczynać od początku. Pięć lat wcześniej zrobiłem to wszystko, co mi doradzano. Wówczas chciałem fizycznie żyć dłużej i Ameryka ze swoją przodującą nauką wydała mi się właściwym rozwiązaniem. Uwierzyłem w to. Teraz już nie.

A poza tym nowa chemioterapia w Ameryce? Nigdy. Wszędzie mówiło się tylko o wojnie. Z Ameryką po 11 września, po Afganistanie, z Ameryką szykującą się do inwazji na Irak nie mógłbym już mieć takiego samego związku jak kiedyś. Sam szpital się zmienił - podobnie jak atmosfera w Nowym Jorku. Przemoc, którą wcześniej czułem przepływającą gdzieś pod ziemią, teraz wszędzie eksplodowała otwarcie, a nie chciałem mieć już do czynienia z amerykańskimi wojnami. Miałem już dość ich inteligentnych bomb, które zabijają niewinnych cywilów, ich zubożonego uranu, który najpierw zabija na raka ich własnych żołnierzy. Miałem dość ich potężnych koktajli chemioterapeutycznych, ich rakotwórczej radioterapii. Chciałem spokoju.

Całe doświadczenie, jakie zgromadziłem w ciągu ostatnich lat w drodze, a potem w mojej samotni w Himalajach - wszystko, co pomyślałem albo przeczułem - dziś osiągało punkt kulminacyjny. Było to wielkie wyzwanie, na które się przygotowałem. Reszta to literatura.

Starzy sufiowie uważali nagłą śmierć za nieszczęście, przekleństwo Boga, ponieważ nie pozwalał im się na nią przygotować i ją docenić. Nie miałem tego problemu. Przemyślałem to, wyćwiczyłem się i nic - jak ten wyrok Przeżuwacza Gumy - nie mogło już wystawić mnie na próbę ani ustalić, ile prawdy jest w mojej rzekomej obojętności.

Pacjenci mają skłonność pamiętać ten rodzaj „wyroku” i poddawać się, jakby werdykt był nieodwołalny. Często tych kilka słów staje się proroctwem, które dzięki samemu pacjentowi w końcu się ziszcza, ponieważ pozbawia go tej ostatniej siły, od której - jeszcze bardziej niż od lekarstw - zależy jego ocalenie: chęci życia. Oczywiście ja też zapamiętałem rokowanie Przeżuwacza Gumy, ale umieściłem je obok innych, które usłyszałem na temat mojej przyszłości, i nie uczyniłem z tego obsesji. Umieściłem je razem z przewidywaniem Swamiego, który uważał, że będę żył przynajmniej do 2006 roku, a także z opinią chińskiej lekarki z Hongkongu, która wyczuła we mnie jeszcze bardzo wiele życia. A jeśli to oni się pomylili? Nieważne. Wśród wielu ćwiczeń, którym poświęcałem się w ostatnim czasie, było też ograniczenie potrzeb i rezygnacja z pragnień. Wszystkich pragnień. Rzecz jasna również tego dotyczącego długiego życia!

Rodzina, Angela i dzieci, zrozumiała mnie. Zrozumiał mnie Leopold, któremu napisałem, że chcę teraz przeżyć jeszcze więcej radości niż poprzednio. Z Odessy, gdzie zamieszkał, odpowiedział mi mailem: „Nie wiem, czy mógłbym ci coś doradzić, bo doradcy rzadko płacą, ale jestem przekonany, że robisz dobrze, przedkładając czujny pokój nad wojnę, nieważne, chemiczną czy chirurgiczną. Po wojnie nie można niczego się spodziewać, po pokoju - wszystkiego”.

Zrozumiał mnie nawet chirurg, który najpierw otworzył mi brzuch, a zaraz potem zamknął. Przed wyjazdem z Nowego Jorku chciałem mu podziękować. Zachował się znakomicie. Zapanował nad swoim „Ja”, postąpił wbrew dumie chirurga, zdolnego wyciąć wszystko, co jest do wycięcia. Sprzeciwił się organizacji. Wszystko było przewidziane na wielogodzinną operację; lekarstwa, asystenci i pielęgniarki stali w szyku. Wszystko, łącznie z jego honorarium, zostało opłacone z góry, a on, w ostatniej chwili - rozmawiając jeszcze z jednym z moich dawnych naprawia-czy, który prosił go przez komórkę, żeby kontynuował i „próbował wszystkiego” - postanowił nic z tym nie robić.

Poszedłem powiedzieć, że jestem mu wdzięczny, że wrócę w Himalaje i że będę się leczył, żyjąc w spokoju i samotności. Popatrzył na mnie z zaciekawieniem, jakby dostrzegł coś, co go interesowało, i ściskając mi dłoń, powiedział:

- Ach, umysł, który kontroluje materię!? Proszę dać mi znać.

Wróciliśmy do Florencji. Straciłem wszystko, co wydarzyło się podczas Social Forum, ale przynajmniej zdążyłem na wielki pochód na rzecz pokoju. Przy tej okazji przeżyłem pierwsze i ostatnie w moim życiu zgromadzenie na schodach kościoła Świętego Ducha, w towarzystwie dwóch pijaczków, którzy próbowali odebrać mi mikrofon, żeby wygłosić swoją opinię na temat stanu świata. Było ciemno, a cały plac stanowił rozedrganą płaszczyznę światła i wielobarwnych flag z napisem POKÓJ. Wzruszające.

Jeśli to moje stare miasto, niegdyś godne i poważne, ale dzisiaj niechlujne i pazerne, było w stanie wyprowadzić na ulice tak dużo ludzi, przede wszystkim bardzo wielu młodych, pobudzonych wspólnym sprzeciwem wobec wojny, to znaczy, że nadzieja, iż ludzkość może zrobić jakiś krok naprzód, nie całkiem umarła. Widziałem coś podobnego w innych miejscach Włoch, w szkołach, gdzie jeździłem mówić

O konieczności braku przemocy do młodych ludzi, zanim również ich mózg zostanie nieodwracalnie zglobalizowany. Mogło się to zdarzyć wszędzie. I nie tylko u nas, nie tylko w Europie.

Oznaki tej rewolucji, nie politycznej, ale wewnętrznej, która wydaje mi się dzisiaj jedyną możliwą i której chciałbym jeszcze stać się częścią, zdawały mi się objawiać na różne sposoby i wszędzie. Coraz wyraźniej. Objawiają się też w tonie samych zinstytucjonalizowanych religii - nawet w islamie - w ruchach antyglobalistów, w grupach walczących o prawa człowieka, w organizacjach ekologicznych i wolontariacie. Objawiają się wśród młodych, którzy nie zamierzają rezygnować z marzeń, wśród kobiet zdecydowanych wprowadzić element żeński do zarządzania sprawami ludzi. Jestem przekonany, że wśród najróżniejszych ludzi na całym świecie rozwija się już nowa świadomość tego, co jest niewłaściwe, i tego, co należy robić. Moim zdaniem ta nowa świadomość jest wielkim dobrem naszych czasów. Należy ją pielęgnować.

Stąd, z tej świadomości, a nie z jakiejś nowej religii czy od jakiegoś nowego proroka, dyktatora albo wyzwoliciela, będzie pochodzić duchowe przewodnictwo przyszłości. Rozwiązanie jest w nas, chodzi o to, żeby je znaleźć, robiąc porządek, wyrzucając wszystko, co zbędne, i dochodząc do sedna tego, kim jesteśmy. Bardziej chodzi o stawianie długotrwałego oporu, niż o obleganie bastionów władzy. Trzeba opierać się pokusie dobrobytu, opakowanego szczęścia i zrezygnować z chęci posiadania tylko tego, co sprawia nam przyjemność. Nie należy porzucać rozumu, by oddać się szaleństwu, ale należy też zrozumieć, że rozum ma swoje ograniczenia, że nauka ocala, ale również zabija, i że człowiek nie dokona żadnego prawdziwego postępu, dopóki nie zrezygnuje z przemocy. Nie w słowach, konstytucjach czy prawach, które ignoruje, ale w głębi swojego serca.

Droga do przebycia jest oczywista: musimy żyć w sposób bardziej naturalny, mniej pragnąć, więcej kochać, a wtedy liczba takich schorzeń jak moje też się zmniejszy. Zamiast szukać lekarstw na choroby, spróbujmy żyć tak, żeby nie powstawały. A przede wszystkim: dosyć wojen, dosyć broni! Koniec z „wrogami"! Nawet ten, który powodował szaleństwo moich komórek, nie był wrogiem. Chwilowo to my jesteśmy wrogami samych siebie.

Należy przywrócić duchowy wymiar naszemu życiu, uwięzionemu teraz w sidłach materii. Musimy być nie tak egoistyczni, mniej się kierować osobistym interesem, a bardziej poświęcać dobru ogółu. Należy odkryć na nowo sens tego wspaniałego, lapidarnego przestania na fasadzie katedry w Bardze

w dolinie Garfagnanu, które przeczytałem jako chłopiec w czasie wycieczki szkolnej i od tamtej pory wyrzyło się w mojej pamięci:

„Małe jest moje, wielkie nasze”.

Na krótko przed Bożym Narodzeniem wyruszyłem do Indii i do mojej himalajskiej pustelni. Postanowiłem żyć tam zdrowo, pisząc tę książkę i wdychając w ciszy, pełnymi płucami, czyste powietrze i wielkość gór. Dołączyłem inne kawałki siebie do tych, do których miałem się wewnętrznie uśmiechać każdego ranka podczas moich ćwiczeń, i spędzałem wiele godzin przed małym komputerem, zasilanym energią słoneczną. Do mojej diety, wciąż wegetariańskiej, dołączyłem również ziołową miksturę, po którą Angela -mniej ode mnie sceptyczna w kwestii „cudów” - pojechała najpierw do Hongkongu, a potem do północnych Chin, gdzie jest produkowana. Według mnie nie różniła się specjalnie od mikstury z Grzyba z Chmur, ale ta naładowana była dodatkowo uczuciem Angeli i jej determinacją, żeby mi pomóc. Tak więc przyjmowałem ją regularnie i bez dyskusji. I wciąż to czynię.

Śnieg, pierwsze deszcze, monsun, jesień, potem znów śnieg. Czas przeleciał i zupełnie niepostrzeżenie, nie czując się inaczej niż przedtem, wszedłem do „historii medycyny”. Nie wiem, jak długo w niej pozostanę. Nieszczerólnie mnie to interesuje. Chwilowo mam inne problemy, którym się poświęcam.

Jednym z nich jest to, że nie zdołałem jeszcze ustanowić właściwego związku z czasem i traktować mojego czasu jako czasu dla innych w taki sposób, jak czynił to Swami. Bardzo chciałbym to osiągnąć!

Inny problem polega na tym, że wciąż identyfikuję spokój wewnętrzny z samotnością, a moją harmonię z życiem w górskiej pustelni. Oddalenie od świata pozostaje koniecznym warunkiem mojej równowagi. To znak, że muszę jeszcze dużo pracować. Dlatego zacząłem niedawno wykonywać ćwiczenie, które Tybetańczycy, sufiowie i wielu innych praktykują od wieków,

Wyciągnięty na ziemi, patrzę w niebo. Na tle błękitu przesuwają się lekkie chmury. Wybieram jedną, śledzę ją, utożsamiam się z nią. Szybko sam staję się tą chmurą i jak ona, bez ciężaru, bez myśli, bez emocji, bez pragnień, bez oporu, bez kierunku, pozwalam sobie płynąć po ogromnej powierzchni nieba. Nie ma tam ścieżek ani celu do osiągnięcia. Po prostu błędzenie, unoszenie się jak pusta chmura. I jak chmura zmieniam kształt, przyjmuję różne formy, potem się zacieram, dematerializuję, znikam. Chmury już nie ma. Mnie już nie ma. Pozostaje tylko świadomość -swobodna, bez związków - świadomość, która się rozprzestrzenia.

Zacząłem wykonywać to ćwiczenie na moim grzbiecie nad urwiskiem. Teraz muszę nauczyć się robić je wszędzie: na łące w Apeninach, na tarasie domu we Florencji albo na poboczu autostrady. Jeśli zdołam zmagazynować to poczucie pustki materii, tak jak udało mi się, jak sądzę, zrozumieć w końcu, że cisza jest wymiarem wewnętrznym, a nie fizycznym, zrobię kolejny krok naprzód. Przeszanę uważać życie codzienne za ośmiornicę o milionach ramion, czas za „swój” i ucieczkę w Himalaje za konieczną, by poczuć spokój. Pracuję nad tym.

Czy to szczęśliwe zakończenie?

A co jest szczęśliwego w zakończeniu? I dlaczego wszystkie historie muszą je mieć? A jakie miałyby być szczęśliwe zakończenie historii podróży, którą właśnie opowiedziałem? „...i żył długo i

szczęśliwie"? Tak kończą się bajki, które są poza czasem, nie zaś historie życia, które czas jednak trawi. Poza tym kto decyduje, co jest szczęśliwe, a co nie? I kiedy?

Koniec końców cała ta choroba, którą opisałem, była dobrem czy złem? Była, i to jest ważne. Była, i tym samym mi pomogła, ponieważ bez choroby nigdy nie odbyłbym tej podróży, nie postawiłbym sobie tych pytań, które - przynajmniej dla mnie - miały znaczenie.

Nie jest to apologia choroby czy cierpienia - mnie dotknęło go jeszcze niewiele. To zachęta, żeby spojrzeć na świat z innego punktu widzenia, a nie myśleć wyłącznie pod kątem tego, co nam sprawia przyjemność, a co nie.

Poza tym, gdyby całe życie było usłane różami, uważalibyśmy to za błogosławieństwo czy karę? Być może za karę, bo jeśli ktoś żyje, nie zastanawiając się nad tym, dlaczego, marnuje wielką okazję. A tylko ból skłania do zadawania sobie pytań.

Urodzenie się człowiekiem, ze wszystkim, co to ze sobą niesie, jest być może przywilejem. Według puran, starożytnych indyjskich opowieści ludowych, nawet stworzenia niebiańskie, którym wszystko było dane i które znały jedynie piękno, dobro i radość, musiały w pewnym momencie narodzić się jako ludzie. One również musiały bowiem odkryć przeciwieństwo tego wszystkiego i pojąć znaczenie życia. Próba zaś może zostać przeprowadzona tylko na sobie samym. Trzeba osobiście doświadczyć, żeby zrozumieć. W przeciwnym razie zostaje się tylko przy słowach, które same w sobie nie mają żadnej wartości, nie czynią ani dobrze, ani źle.

Gandhi znał tę prawdę i ją praktykował.

Któregoś dnia pewna matka przyprowadziła do niego swojego syna. Miał piętnaście lat i lekarz zalecił mu, żeby nie jadł więcej cukru, bo inaczej jego życie znajdzie się w niebezpieczeństwie. Jednak chłopiec wciąż opychał się słodyczami i matka miała nadzieję, że Gandhi będzie mógł jej pomóc. Mahatma wysłuchał jej, po czym rzekł:

Teraz nie mogę nic z tym zrobić. Przyjdźcie za tydzień.

Kiedy wrócili, Gandhi wziął chłopaka na bok i porozmawiał z nim. Od tamtej pory nie tknął on więcej nic słodkiego.

Gandhi-ji, jak tego dokonałeś? - zapytali jego zwolennicy. - To proste - odparł Wielki Duchem. - Przez tydzień sam nie tknąłem cukru i w ten sposób, kiedy rozmawiałem z tym chłopcem, wiedziałem, co to znaczy nie jeść go, więc byłem przekonujący.

Ach, Gandhi!

Krótko przed śmiercią Gandhiego z rąk zamachowca ktoś zapytał, jakie jest przesłanie jego życia. Odparł:

Moje życie jest moim przesłaniem.

Bardzo niewielu może tak stwierdzić, a przecież każdy z nas na swój sposób dąży do czegoś, co stanowiłoby podsumowanie własnej egzystencji. Mnie czasami przychodzi do głowy koło. Widzę chińskiego malarza z wielkim pędzlem nasączonym atramentem z kory chinowej, który koncentruje się przed dużą płachtą papieru ryżowego i potem, z zupełnie spokojnym umysłem, jednym, szerokim

gestem ręki rysuje i zamyka wielkie koło. Innym razem myślę też o owym mnichu zen, który śmiał się i śmiał do utraty tchu, tak że nawet jego najbliżsi uczniowie nie byli w stanie płakać, kiedy odszedł.

A poza tym: po co płakać? Śmierć nie zawsze jest złą wiadomością.

*

Na trasie z Delhi do Almory, w miejscu, gdzie kończy się równina i droga zaczyna piąć się wzdłuż himalajskich wąwozów wypełnionych potokami, jest ukryty w dolinie aśram o bardzo czerwonych dachach, słynny z tego, że przebywał tu wielki sadhu Nim Karoli Baba. Baba, korpulentny i ciepły człowiek, dzięki swojej prostocie i „mocom” skupił wokół siebie kilkudziesięciu zachodnich hipisów. Wśród nich był Richard Alpert, Amerykanin, profesor psychologii, usunięty w 1963 roku z Harvardu, ponieważ eksperymentował ze swoim przyjacielem i kolegą z uczelni, Timothyem Learym, z narkotykami psychodelicznymi. Podobno pewnego razu Leary, w celu sprawdzenia „mocy” Baby w kontrolowaniu stanu własnej świadomości, dał mu garść pastylek LSD - chyba około dziesięciu - a ten połknął je, co nie wywołało żadnego efektu. Alpert stał się bardzo wiernym wyznawcą Baby i - pod imieniem Ram Dass (sługa Rama), opisał swoje doświadczenia w różnych, bardzo popularnych książkach, które zmieniły postrzeganie Indii i ich duchowości u wielu Amerykanów. Oto jedna z historii, którą opowiada Ram Dass na temat swojego guru:

Pewnego dnia przybiegł do aśramu jakiś człowiek i błagał wielkiego sadhu, żeby poszedł z nim do domu krewnego, który czuł się bardzo źle i tylko Baba mógł coś na to poradzić.

- Nie. Nie pójdę - odparł sucho Baba - ale kiedy wrócisz, daj mu tego banana i zobaczysz, że wszystko będzie dobrze.

Mężczyzna pobiegł do domu, dał choremu do zjedzenia banana, a kiedy tylko ten przełknął ostatni kęs, spokojnie umarł.

Wszystko było „dobrze” - jak powiedział Baba. Umarł w spokoju. A jednak my upieramy się przy myśleniu, iż „dobrze” powinno znaczyć: wyzdrowiał i żył jeszcze długie lata. Ale dlaczego? To właśnie z tego nieustannego rozróżniania między tym, co nam się podoba, a tym, co nam się nie podoba, rodzi się nasze nieszczęście. Tylko akceptując, że wszystko to Jedno, niczego nie odrzucając, zdołamy być może uspokoić nasz umysł i złagodzić udrękę.

Aśram Nima Karoliego Baby jest jeszcze dziś celem tysięcy pielgrzymów, mimo że on „opuścił swoje ciało” w 1973 roku. Jakież to piękne określenie, aby odrzec śmierć ze smutku! My też tego próbujemy, mówiąc „przeniósł się na tamten świat”, „przeszedł do lepszego życia”, jednak w gruncie rzeczy wciąż z tego powodu rozpaczamy.

Oczywiście, mnie też nie jest obojętne, co się ze mną stanie. Próbuję tylko nie stać się niewolnikiem tego stanu i naprawdę chciałbym osiągnąć ów dystans, który wielki poeta opisał w tym słynnym haiku:

Cień bambusa zamiata kamienne schodki

Ale kurz pozostaje.

Księżyc odbija się w stawie

Ale nie dotyka wody.

Historia tej podróży nie jest dowodem na to, że nie ma lekarstwa na pewne choroby i że wszystko, co uczyniłem, szukając go, niczemu nie posłużyło. Przeciwnie: wszystko, łącznie z samą chorobą, posłużyło bardzo wielu rzeczom. W ten sposób musiałem zrewidować swoje priorytety, zastanowić się, zmienić perspektywę, a przede wszystkim - życie. I to właśnie mogę polecić wszystkim: zmienić życie, żeby się leczyć, zmienić życie, żeby zmienić siebie. Co do reszty, każdy musi przebyć tę drogę sam. Nie ma skrótów, które mógłbym wskazać. Święte księgi, mistrzowie, guru, religie są przydatne, ale tak jak windy, które zawożą nas na górę, pozwalając oszczędzić siły. Ostatni fragment drogi, ta drabinka prowadząca na dach, z którego widać świat, albo na którym można się wyciągnąć i stać się chmurą, ten ostatni fragment - trzeba przejść na piechotę, samotnie.

Ja próbuję. Czuję się dobrze, mam siły, ale się tym nie chlubię, nie cieszę się z tego. Robię nadal to, co teraz wydaje mi się słuszne, nie formułując życzeń... poza tym, żeby dojść do takiego momentu, kiedy nie będę już potrzebował czasu dla siebie i ten, który mi został, będę mógł poświęcić innym. Bardzo zazdrościłem Swamiemu jego postawy i naprawdę bardzo bym chciał, choć jestem jeszcze daleki od mokszy, uczynić zeń cel mojej kolejnej podróży. Czasami nawet jedno słowo czy gest mogą wystarczyć, aby zmienić kierunek życia i wielu, bardzo wielu, szczególnie młodych, szuka tej okazji.

Angela, która przyjechała odwiedzić mnie w mojej pustelni, bawiła się, widząc, jak łapię w chusteczkę muchy, które wpadły do mojego pokoju, żeby wypuścić je przez okno. Mnie też to bawiło - nie dlatego, że myślałem, iż są czyjąś inkarnacją, ale ponieważ uważałem to za sposób na znalezienie harmonii z innymi żywymi istotami, okazję, by nie odbierać życiu życia. To tylko intuicja, jako że nie potrzebuję wierzyć, być czegokolwiek pewnym. Żyję teraz tutaj z poczuciem, że wszechświat jest nadzwyczajny, że nic nigdy nie zdarza się nam przypadkiem i że życie to nieustanne odkrywanie.

A ja mam szczególne szczęście, bo teraz bardziej niż kiedykolwiek każdy dzień jest naprawdę jeszcze jednym obrotem na karuzeli.

Koniec książki